



Marta Łabecka

All Of Your Flaws

Przypomnij mi naszą przeszłość



beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redakcja: Anna Skóra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://beya.pl/user/opinie/allofy_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

ISBN: 978-83-283-9670-8

Copyright © Marta Łabęcka 2022

- [Poleć książkę na Facebook.com](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Prolog

Zapominanie o nim było jak nocne niebo, które zachwyca swoim pięknem, podczas gdy ty nie jesteś w stanie nawet unieść głowy, by na nie spojrzeć. Jak samotne stanie i odwracanie wzroku od gwiazd ze świadomością, że osoba, która kiedyś dawała ci je w prezencie, jest teraz równie nieosiągalna, co one.

Zapominanie o niej było jak pokój bez wyjścia, w którym tkwisz w pojedynkę, a ściany nieustannie odbijają echo jej śmiechu. Jak jej cień tańczący w rogu podczas bezsennych nocy, gdy leżysz w pościeli przesiąkniętej jej zapachem, czując, że z każdym dniem staje się coraz mniej wyraźny, zupełnie jak twoje wspomnienia.

Rozdział 1

Sześć lat później

Rzeczywistość bywa rozczarowująca. Josephine przekonała się o tym przy więcej niż jednej okazji.

Nie powinna być więc zaskoczona, że po latach zastanawiania się, jak by to było wrócić do rodzinnego miasteczka, spotkał ją jedynie zawód. Po niezliczonych koszmarach, w których przemierzała znienawidzone ulice, wołając kogoś, kto nigdy jej nie słyszał, kiedy faktycznie na powrót znalazła się w Moreton, nie czuła zupełnie nic.

Mogłaby argumentować swoją reakcją tym, że jeszcze nie dotarła do niej realność tego, co się dzieje. Jednak miała całe dwa tygodnie na pogodzenie się z faktem, że wraca. Bilet lotniczy na jej nazwisko straszył ją za każdym razem, gdy zaglądała na swoją pocztę. Dziesiątki kartonów, do których przez minione kilkanaście dni skrzętnie pakowała ostatnie sześć lat swojego życia, również nie pozostawiały miejsca na luksus zaprzeczenia.

Znała więc doskonale wagę tego, co robiła, wracając do miasta, w którym wszystko się zaczęło i jeszcze więcej skończyło. Mimo to nie potrafiła znaleźć w swoim sercu nawet jednej z tak wielu emocji, które powinny jej w tym momencie towarzyszyć. Ani śladu tego, co czuła, gdy opuszczała to miejsce, wierząc, że robi to na dobre. Ostatnie sześć lat sprawiło, że zobojętniała na wiele rzeczy.

— Gotowa?

Męski głos zmusił ją do odwrócenia głowy od znajomej fasady budynku i zwrócenia się w kierunku narzeczonego. Carter przyglądał

jej się uważnie nieodgadnionym spojrzeniem i przez chwilę zastanawiała się, czy jest w stanie odczytać to, co dzieje się w jej głowie.

Zaraz jednak odezwał się ponownie, nie czekając na jej odpowiedź, i tym samym rozwiął wszelkie wątpliwości.

— Chodźmy. Tak dawno nie widziałas się ze swoimi rodzicami, że pewnie nie możesz się doczekać, aż ich zobaczysz.

— Dokładnie tak bardzo, jak oni mnie — odpowiedziała zgodnie z prawdą. *Czyli wcale* — dodała już jedynie w myślach.

Carterowi natomiast posłała wystudiowany uśmiech. Zadziałał dokładnie tak samo jak zawsze, bo mężczyzna bez cienia podejrzliwości dał znak kierowcy obserwującemu ich w lusterku. Chwilę później drzwi samochodu zostały otwarte, a Josie z wdzięcznością chwyciła dłoń szofera, który pomógł jej wysiąść.

Ledwie odczuwalny powiew wiatru otulił jej skórę, gdy chłonęła wzrokiem znajomą fasadę budynku, na próżno szukając zarówno wyraźnych zmian w otoczeniu, jak i przejmujących emocji we własnym sercu.

— Pięknie tu — zauważył Carter, obserwując posiadłość otoczoną zielenią, która powoli ustępowała innym barwom na skutek zbliżającej się jesieni. — Nie rozumiem, dlaczego zawsze wzbraniałaś się przed tym, żebyśmy odwiedzili twoją rodzinę.

— Bo wszystko, czego potrzebowałam do szczęścia, miałam w Bostonie — przyznała, a ramię bruneta owinęło się wokół jej talii. Jakby ten gest był nagrodą za to, co powiedziała. — Poza tym musisz przyznać, że małe miasteczka nie są dla ciebie.

— Ty wychowałaś się w małym miasteczku, a jednak jesteś dla mnie niemal idealna — odparł tak czule, że „niemal” w jego ustach *prawie* nie brzmiało jak zamierzony przytyk.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że Carter Bateson pochodzi z innego świata. Nawet jeśli stał na żwirowym podjeździe największego i najbogatszego domu w Moreton. Wszystko, począwszy od postawy jego idealnego ciała, przez sposób, w jaki patrzył na innych, aż po ubrania, które nosił, krzychało o pieniądzach i władzy, przy jakich nawet Sinclairowie wydawali się zupełnie przeciętną rodziną.

Decyzja Josephine w kwestii wyboru partnera życiowego zdecydowanie przerosła oczekiwania jej rodziców. Ona — córka, która nigdy nie była wystarczająco dobra, zostanie żoną człowieka, który przewyższał ich pod każdym względem, jaki się dla nich liczył. Był czas, kiedy Josie uważała to za swoisty pstryczek w nos za wszystko, czego od nich doświadczyła. Żart jednak bardzo szybko obrócił się przeciwko niej. Zarówno Lillian, jak i jej mąż pokochali kandydata na zięcia. A raczej wszystkie korzyści płynące z wejścia kogoś takiego do rodziny.

Carter poprowadził ją do drzwi, które się otworzyły, jeszcze zanim zdążyli zapukać. Najwidoczniej ktoś po drugiej stronie czekał, aż zdecydują się podejść.

— Panie Bateson, panno Sinclair. — Kobieta o nieznamym twarzy powitała ich nieśmiałym uśmiechem. — Zapraszam.

Pytanie o to, gdzie jest pani Murphy, niemal ześlizgnęło się z języka Josephine. Cały czas podświadomie i być może naiwnie zakładała, że kobieta nadal jest gosposią w jej rodzinnym domu.

Rodzice czekali już na nich w holu i chociaż od ich ostatniego spotkania minęło ponad półtora roku, dziewczyna nadal czuła, że powitania nadeszły zbyt wcześnie. Gdyby to zależało wyłącznie od niej, ten moment nigdy by nie nastąpił.

Nikt jednak nie pytał jej o zdanie zarówno w tej, jak i w wielu innych kwestiach, więc jedyne, co mogła zrobić, to wyprostować plecy i unieść podbródek, chowając głęboko w sobie wszystkie urazy, których nie leczyły czas ani odległość.

— W końcu jesteście — odezwała się Lillian, gdy już mieli za sobą pierwsze uściski dłoni i uprzejme słowa powitania. — Zaczynaliśmy już się zastanawiać, czy coś się wydarzyło.

Josephine nie była nawet zdziwiona, że ta troska i przyjazny uśmiech są skierowane do Cartera zamiast do rodzonej córki. Nie miała tego za złe rodzicom. W końcu zawsze mieli szczególne upodobanie do wszystkiego, co *idealne*.

— Josephine zadbała o to, żebyśmy byli modnie spóźnieni — zażartował mężczyzna z lekkością, chociaż dziewczyna wiedziała, że jeszcze

nie do końca wybaczył jej fakt, że był zmuszony czekać na nią na lotnisku. Spośród wielu rzeczy, których jej przysły małż nie tolerował, brak punktualności plasował się w ścisłej czołówce. — Zadziwiająco trudno było ją znaleźć na lotnisku — dodał, przyciągając ją bliżej do swojego boku.

— Cóż, mogłaś przynajmniej wykorzystać ten czas na zadbanie o swój wygląd. Przy Carterze prezentujesz się dosyć mizernie.

Josie powstrzymała wywrócenie oczami. *Jakże jej tego brakowało.*

— Ciebie też miło widzieć, mamó. — Zignorowała kąśliwy komentarz i postanowiła nie wdawać się w dyskusję o tym, jak wygląda po siedmiogodzinnym locie, który w dodatku spędziła w szpilkach i eleganckiej sukience, bo chciała prezentować się odpowiednio na spotkaniu z narzeczonym.

— Przejdźmy do salonu. — Anthony skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku, niemal od razu wdając się z Carterem w dyskusję na ich ulubione tematy, które zawsze krążyły wokół finansów, gospodarki i bostońskiego imperium Batesonów.

Z kolei Josephine, mimo kilkuletniego związku z człowiekiem, którego prawie całe życie składało się właśnie z tych rzeczy, wciąż uważała je za nieprawdopodobnie nudne zagadnienia do rozmowy. Niezmiennie ją nużyły. Dlatego, kierując się zasadą wyboru mniejszego zła, skupiła uwagę na osobach, które czekały na nią w salonie.

— Josephine! — William z zaskakującym entuzjazmem podszedł do młodszej siostry. — Miło cię znów widzieć po tylu latach.

Na szczęście jej brat w przeciwieństwie do rodziców nigdy nie czuł potrzeby, by odwiedzać ją w Bostonie, więc ich ostatnie spotkanie odbyło się niemal siedem lat temu, podczas świąt spędzonych u dziadków w Szkocji. W zupełnie innym życiu.

— Ciebie też — odpowiedziała mu słabym uśmiechem, odrobinę przytłoczona jego reakcją. Wyglądał, jakby naprawdę cieszył się, że ją widzi.

— Chodź, przedstawię cię dwóm najważniejszym osobom w moim życiu. — Zaprowadził ją do kobiety z dzieckiem na rękach, stojącej nieco z boku.

W odpowiedzi na tę deklarację rudowłosa piękność spojrzała na niego z zawstydzonym uśmiechem, chociaż w jej oczach wyraźnie błyszczało szczęście.

— Moja żona Crystal i nasza córeczka Nicole. — Z czułością, o jaką nigdy nie podejrzewałaby tego Williama, którego znała, pogładził głowę dziewczynki. — Zostawię was na chwilę i pójdę przywitać się z Carterem.

— Miło was w końcu poznać i przepraszam, że dopiero teraz — zaczęła uprzejmie Josephine, aby uniknąć niezręcznej ciszy. Pośród wielu rzeczy, które ją ominęły w konsekwencji unikania Anglii jak ognia, były między innymi ślub brata i narodziny bratanicy.

Crystal jednak zbyła to machnięciem ręki.

— W ogóle się tym nie przejmuj. Teraz będziesz nas miała aż w nadmiarze, biorąc pod uwagę, że będziemy mieszkać w jednym domu.

Odwzajemniła uśmiech, chociaż nie do końca wierzyła w tę ciepłą i miłą postawę żony swojego brata. Jeśli czegokolwiek nauczyła się, żyjąc u boku Cartera, to właśnie tego, żeby nie ufać temu, co się widzi na pierwszy rzut oka.

— Przynajmniej będę miała okazję spędzić trochę czasu z moją bratanicą. Cześć, jestem Josephine. — Wyciągnęła rękę do dziewczynki, starając się brzmieć jak najbardziej przyjaźnie.

— Ty wyglądasz jak ja! — Nicole zignorowała jej powitanie i wyciągnęła rączkę, by dotknąć jej włosów. Drugą sięgnęła po swoje. — Zobacz! Mają taki sam kolor.

— Masz rację, są bardzo podobne. — Pokiwała głową, bo obserwacja dziewczynki była całkowicie słuszna. Nicole zdecydowanie odziedziczyła cechy charakterystyczne dla rodziny Sinclair i z ciemnymi włosami oraz błękitnymi oczami przypominała swojego ojca, a co za tym idzie, w pewnym stopniu również Josephine.

— Josephine. — Głos Cartera rozbrzmiał za jej plecami i zmusił do odwrócenia się. — Na mnie już pora.

— Tak szybko? — Matka Josie odezwała się, zanim dziewczyna zdążyła zareagować. — Liczyliśmy, że zjesz z nami obiad. W końcu tak długo się nie widzieliśmy.

— Niestety mam dzisiaj jeszcze kilka spotkań, których nie mogę przełożyć. Innym razem — zapewnił uprzejmie, ale Josephine była niemal pewna, że nie nastąpi to tak szybko, jak jej rodzice by sobie tego życzyli.

— W takim razie trzymamy cię za słowo. Może któregoś dnia odwiedisz nas w kancelarii? To zawsze ogromna przyjemność cię zobaczyć — wtrącił pozornie niezobowiązująco ojciec Josephine, wymieniając pożegnalne uściski dłoni z przyszłym zięciem.

— Oczywiście, z największą przyjemnością.

— Będę za tobą tęsknić. — Westchnęła ciężko, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Jeszcze kiedy żyli w Bostonie, Carter często wyjeżdżał lub spędzał całe dni w biurze, ale to był stan rzeczy, który Josephine akceptowała. Była świadoma, że prędzej czy później jej narzeczony wróci do ich mieszkania. Tym razem ich rozłąka miała potrwać o wiele dłużej.

— Nie przesadzaj, kochanie. Będę zaledwie godzinę drogi stąd. — Zbył jej słowa wzruszeniem ramion. — To o wiele bliżej, niż byliśmy przez ostatnie tygodnie.

— Co z tego, jeśli wiecznie będziesz zbyt zajęty, by mnie chociaż odwiedzić — odpowiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

— Josephine, przerabialiśmy to wystarczająco dużo razy. — Carter westchnął, a w jego oczach na chwilę pojawił się cień irytacji, jak zawsze, gdy musiał się powtarzać. — To nie jest kara, tylko najlepsze wyjście dla wszystkich. Ja muszę skupić się na firmie, a ty musisz... Dla ciebie to okazja, żeby nadrobić stracone lata i poznać rodzinę swojego brata. To lepsze, niż gdybyś miała spędzać całe dni sama w apartamencie, a ja martwiłbym się o ciebie, zamiast poświęcić uwagę sprawom, które naprawdę jej potrzebują. Rozumiesz to wszystko, prawda?

Pokiwała głową. Już jakiś czas temu porzuciła nadzieję, że dyskusja na ten temat ma sens.

— Obiecuję, że spotkamy się najszybciej, jak to możliwe, w porządku? — Poglądził ją po policzku, zadowolony z jej niewerbalnej odpowiedzi. — W najbliższych dniach muszę polecieć do Bostonu na ostatnie spotkanie zarządu. Zanim zamknę wszystkie najpilniejsze sprawy związane

z przenosinami, będę miał urwanie głowy, więc gdyby coś się działo, dzwoń do mojej asystentki, dobrze?

Nie powiedziała mu, że nawet nie ma numeru kobiety, która dla niego pracuje. Nie to Carter chciał usłyszeć. Dlatego jedynie ponownie skinęła głową na znak zgody.

Przez większość czasu wierzyła, że Carter jest najlepszym, co jej się mogło przydarzyć. Nie wymagał od niej miłości, przynajmniej nie takiej, jakiej było jej dane doświadczyć, gdy miała osiemnaście lat. Młody milioner chciał od swojej przyszłej żony przede wszystkim tego, żeby spełniała oczekiwania. A to było coś, co Josephine umiała aż za dobrze.

I tym razem jej się udało, bo mężczyzna się uśmiechnął. Wyglądał, jakby zrzucił z siebie jakiś ciężar.

— Zadzwoń, jak będę miał chwilę. Kocham cię.

— Ja ciebie też — odpowiedziała cicho, obserwując, jak narzeczony oddala się i wsiada do samochodu.

Nie była pewna, czego powinna się spodziewać, wchodząc do swojej starej sypialni. Jeśli jakiegokolwiek miejsce w domu było jeszcze w stanie wywołać ból, którego się spodziewała, wracając do Moreton, to był nim właśnie jej pokój.

Wcześniej, w towarzystwie Cartera i rodziny, łatwo było skupić się na czymś innym, jednak gdy w końcu została sama, nie mogła już dłużej uciekać od przeszłości. Mogła mieć tylko nadzieję, że okaże się wystarczająco silna, by się z nią zmierzyć.

Pokój oczywiście został przygotowany do jej przyjazdu, dzięki czemu nigdzie nie było nawet najcieńszej warstwy kurzu. Jednak poza świeżą pościelą, jej walizkami oraz kartonami, które dotarły do Moreton jeszcze przed nią, wszystko było dokładnie tak, jak w chwili, kiedy wychodziła z niego po raz ostatni. Zupełnie jakby czas się zatrzymał.

Nie potrafiła zdecydować, czy bardziej niewiarygodne wydaje jej się to, że od tamtego momentu minęło aż sześć lat, czy fakt, że znowu tu jest. W swojej sypialni, w swoim domu, w swoim rodzinnym mieście, chociaż

zarzekała się, że już nigdy nie wróci. Była doskonałym przykładem, że — jak widać — nie można oszukać przeznaczenia.

Niepewnie weszła w głąb pokoju, prawie jakby spodziewała się, że spod łóżka zaraz wyskoczy potwór, w którego wierzyła, gdy miała osiem lat. Jednak podświadomie wiedziała, że ta ostrożność nie ma nic wspólnego ze strachem przed wytworem dziecięcej wyobraźni.

Jedynym niebezpieczeństwem czyhającym na nią w tym pomieszczeniu były jej własne wspomnienia — i stanowiły dużo większe zagrożenie niż potwory pod łóżkiem.

Powoli przechadzała się po sypialni. Próbowwała odtworzyć w pamięci sposób, w jaki promienie słońca padały na ścianę w letnie wieczory, i układ kroków, które przed laty stawiała z niezachwianą pewnością, znając na pamięć miejsca, gdzie parkiet skrzypiał pod jej ciężarem. Teraz wszystko tu było jednocześnie znajome i obce, należało do niej, a zarazem było własnością kogoś innego, kogo kiedyś знаła.

W końcu zatrzymała się w połowie drogi między łóżkiem a biurkiem. I gdy tak przystanęła, zwrócona plecami do okna, na powierzchnię jej świadomości wypłynęło pojedyncze wspomnienie. Uświadomiła sobie, że dokładnie w tym miejscu stała, gdy wszystko się skończyło.

Niesamowite, jak żywe ono było. Mimo że minęły całe lata i mimo że spędziła je, robiąc wszystko, by o tym nie myśleć, to stojąc pośród tych samych ścian, które były świadkami pożegnania, bez najmniejszego wysiłku potrafiła przywołać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

I właśnie wtedy to poczuła. Pierwsze ukłucie bólu, jak szpilka wbita w jedną z wielu zabliznionych ran, które nosiła głęboko pod skórą, ukryte przed wzrokiem tych, dla których miała być idealna.

Pierwszy raz od lat pozwoliła sobie na chwilę słabości. Na kilka sekund wpuściła go do swojej głowy i patrząc w miejsce, w którym stał tamtego dnia, gdy widzieli się po raz ostatni, niemal go widziała. Pamiętała wszystko tak wyraźnie, że gdyby tylko potrafiła, bez trudu byłaby w stanie przenieść na kartkę każdą emocję błyszczącą w ciemnobrązowych oczach i lży cieknące w dół po jego policzkach, gdy opowiadał jej wizję przyszłości, która nigdy się nie spełni.

A zaraz potem, dokładnie tak samo nagle i bez uprzedzenia, wszystko zniknęło. Wróciła do terażniejszości i szczelnie zamknęła za sobą drzwi, za którymi kryły się wspomnienia. Gdy to zrobiła, przeszywające klucie zelżało do tępego pulsowania, z którym była zaprzyjaźniona, bo nigdy jej nie opuszczało. Czasem było uciążliwe, męczyło ją jak niewidoczna dla innych kula u nogi, którą ciągnęła za sobą wszędzie. Ale to nic.

Nic w porównaniu z cierpieniem, którego doznała w przeszłości.

I nic w porównaniu z cierpieniem, którego doświadczy, gdy ta przeszłość wślizgnie się niepostrzeżenie i wróci do niej, niszcząc wszystko, co zbudowała przez minione sześć lat.

Rozdział 2

Sny zawsze były narzędziem, za pomocą którego umysł Josephine co jakiś czas przypominał jej, że każdą sekundę dnia spędzała, oszukując siebie i innych.

Czasem mogła spędzić cały wieczór u boku Cartera na ważnym bankiecie, w drogiej sukience i z uśmiechem na twarzy tak przekonującym, że sama zaczynała wierzyć, że jest szczęśliwa. Czasem potrafiła przejść przez całe tygodnie bez myślenia o przeszłości i żyć tak, jakby nigdy się nie wydarzyła. Czasem myślała o tym, jak będzie wyglądał jej ślub, i do jej głowy nawet na sekundę nie wpadała myśl, że już kiedyś planowała swoją wymarzoną uroczystość — gdy miała osiemnaście lat i leżała na plaży pod rozgwieżdżonym niebem z kimś zupełnie innym u boku.

Jednak za każdym razem, kiedy nabierała pewności, że zblizniły się już wszystkie rany pozostawione przez jej pierwszą miłość, jej własny umysł atakował ją, gdy była najbardziej bezbronna.

Zacząło się krótko po rozpoczęciu pierwszego semestru, gdy w ciągu dnia jej głowa była zajęta przystosowywaniem się do nowej rzeczywistości. Chodziła na zajęcia, nawiązywała znajomości, poznawała kampus oraz miasto i wydawało się, że *jakoś* sobie radzi. Jednak kiedy przychodziła noc i gdy zasypiała po całym dniu funkcjonowania tak, jakby wcale nie zostawiła serca na innym kontynencie, wspomnienia atakowały ją właśnie w snach.

Dobre sny były różne. Czasem zawierały prawdziwe zdarzenia z ich wspólnej przeszłości — śniła o spacerach po plaży przed wschodem słońca albo długich rozmowach przy świetle księżyca. Innym razem oglądane sceny były jedynie wytworami wyobraźni. Śniła o nim stojącym

pod drzwiami jej akademika lub o wspólnej przyszłości, którą obiecał, gdy się rozstawali. Widziała siebie, starszą o kilka lat, jego, patrzącego z tą samą czułością w brązowych oczach, i dwójkę dzieci, które wołały do niej „mamo”.

Koszmary pojawiały się rzadziej, ale siły o wiele większe spustoszenie, chociaż ich scenariusz nigdy się nie zmieniał. W złych snach Chase zawsze stał na krawędzi klifu, a ona biegła, by go uratować przed upadkiem z wysokości. Krzyczała jego imię, próbując ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Jednak nigdy jej nie słyszał, a ona była zbyt wolna, żeby go ocalić. Zawsze spóźniała się o ułamki sekund i mogła jedynie patrzeć, jak jego ciało znika porwane przez szalejący w dole sztorm.

Za każdym razem budziła się z krzykiem w gardle i zlna potem. Czasem po takich snach spędzała resztę nocy, kuląc się w łazience i wyrzucając z siebie całą treść żołądka. Czekwała, aż nastanie świt i będzie mogła uciec od samej siebie, bezpiecznie schować się w tłumie ludzi na uczelni.

Nie pamiętała już, ile miesięcy minęło, ale w końcu sny zaczęły stopniowo tracić na częstotliwości. I właśnie wtedy rozpoczęła się jej prywatna gra z własnym umysłem.

Po czterech tygodniach przespanych w spokoju nocy pierwszy raz uwierzyła, że zaczęła dochodzić do siebie, i postanowiła uczcić to wyjściem ze znajomymi z roku. Kilka godzin później obudziła się z płaczem, a wspomnienie widoku chłopaka spadającego z klifu wciąż było żywe w jej głowie.

Nie było reguły. Czasami spała spokojnie przez całe miesiące, a potem przychodził tydzień, w którym pięć z siedmiu nocy spędzała, przeżywając na nowo najlepsze momenty swojego życia.

Nie było też ratunku, bo nauczyła się już dawno, że pewne rany sięgają tak głęboko, że nie leczył ich nawet czas.

Jedynym, co mogła zrobić, było postawienie wyraźnej granicy, by nawiedzająca ją nocami przeszłość nie niszczyła teraźniejszości budowanej za dnia. Więc nad tym właśnie pracowała.

Została dziewczyną, później narzeczoną mężczyzny, który przez większość czasu był ideałem. Zamieszkała z nim i planowała wspólne

życie. I tylko co którąś noc modliła się, by nie obudziły go jej wspomnienia o innym.

W każdym razie Josephine żyła w przekonaniu, że ma swoją przeszłość pod całkowitą kontrolą, szczelnie zamkniętą i oddzieloną od *teraz*. Dlatego z taką łatwością przystała na powrót do Moreton. Była pewna, że to, co już było, nie pokrzyżuje jej planów tego, co dopiero miało być.

Sny pojawiły się już pierwszej nocy. Zupełnie jakby jej własny umysł postawił sobie za cel udowodnienie, że była w błędzie, sądząc, że powrót nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Bo przez kolejne półtora tygodnia każda godzina odpoczynku była projekcją życia, które wiodła, gdy poprzednim razem zamieszkiwała te same cztery ściany.

Pod koniec drugiego tygodnia czuła się, jakby wróciła do początków, gdy bała się zmruzzyć oko w obawie, co tym razem przygotowała dla niej jej podświadomość. Sny były też żywsze, bardziej realistyczne i trudniejsze do zapomnienia po obudzeniu, więc czasami potrzebowała długich minut spędzonych na wpatrywaniu się w sufit, zanim otrząsnęła się na tyle, by być gotową na spotkanie z domownikami.

Spędziła lata, odgradzając swoje nowe życie murami obronnymi tylko po to, by po czasie dowiedzieć się, że zostały zrobione ze szkła. Na dodatek pierwsze kamienie w misterną konstrukcję zostały rzucone od wewnątrz.

— Dzień dobry! — Crystal powitała ją z tym samym entuzjastycznym uśmiechem, jaki towarzyszył jej każdego poranka.

Josie zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zatuszować nieco wystraszone wzdrygnięcie. Jeszcze nie przyzwyczała się do największej zmiany, jaka zaszła w rodzinnym domu, i mimo że minęły już dwa tygodnie, wciąż jeszcze zaskakiwała ją obecność innych ludzi.

— Cześć.

— Marie zostawiła ci śniadanie w lodówce, chyba że masz ochotę na coś innego.

Kuchnia Marie była kolejną z rzeczy, do których wciąż starała przywyknąć, bo dom zawsze kojarzył jej się z pysznymi daniami pani Murphy.

— W każdym razie czuj się jak u siebie, w końcu to też twój dom.

— Dużo się tu zmieniło, odkąd to był mój dom — przyznała i momentalnie tego pożałowała, uświadamiając sobie, że Crystal mogła źle odebrać jej słowa. Jeszcze nie nauczyła się rozmawiać ze swoją bratową.

Nie chodziło tylko o widoczne na pierwszy rzut oka zmiany w wystroju, dzięki czemu pomieszczenia straciły odrobinę swojej mrocznej aury. Dom, który znała Josephine, był cichy i zimny, ale nawet jeśli czasem ją przytłaczał swoim rozmiarem, bo był zdecydowanie za duży dla niej samej, to nauczyła się znajdować spokój i ukojenie w tej odstraszałającej przestrzeni.

Natomiast teraz dom z jej wspomnień był wypełniony ciepłem i różnymi odgłosami. Ciągłe coś się działo, ktoś rozmawiał, Nicole się śmiała, oglądała bajki lub bawiła zabawkami wygrywającymi radosne melodie. *Dom żył* i Josie miała trudności z przyzwyczajeniem się do nowego oblicza miejsca, w którym spędziła osiemnaście lat życia.

— Nie miałam na myśli nic złego — dodała wyjaśniająco, gdy już usiadła z kubkiem kawy i przygotowanym dla niej jedzeniem. — Wręcz przeciwnie. Cieszę się, że wam tu dobrze, bo gdy ja tu mieszkałam, było tu... smutniej.

— Na pewno lepiej niż w mieście — przytaknęła Crystal. Wyglądała trochę tak, jakby jej ulżyło, że znalazła coś, czym może pociągnąć rozmowę. — Całe życie mieszkałam w Londynie i za nic nie chciałabym, żeby Nicole wychowywała się w tym ciągłym zgiełku. Za to tu mamy raj i nawet William woli mieszkać tutaj niż w stolicy, chociaż musi dojeżdżać do kancelarii.

Josephine była prawie pewna, że nikt wcześniej, w całej historii miasta, nie uważał Moreton za raj.

— Właśnie, a gdzie zgubiłaś Nicole? — zapytała, ignorując wzmiankę o swoim bracie.

— Jest u siebie. — Crystal kiwnęła głową w stronę schodów prowadzących na piętro. — Sarah ma na nią oko, żebym ja mogła trochę poprawić, ale jakoś mi nie idzie. — Westchnęła ciężko, z nieskrywaną niechęcią spoglądając na rozłożone przed nią projekty architektoniczne.

— Pytała o ciebie dzisiaj. Mam nadzieję, że jej wybaczysz, że ciągle nazywa cię swoim klonem, a nie ciocią. Próbuję jej to wybić z głowy, ale trochę to może potrwać. Spodobało jej się to słowo.

Tym razem uśmiech Josephine był odrobinę bardziej szczery. Czterolatka zdecydowanie była jej ulubionym członkiem rodziny i jak na razie najlepszym, co ją spotkało po powrocie.

— Nie przejmuj się, nie mam z tym żadnego problemu. W końcu naprawdę jesteśmy podobne, więc mogę być jej „starszą siostrą bliźniaczką”. — Zaśmiała się, cytując słowa dziewczynki.

— Twoja mama była wniebowzięta, kiedy się okazało, że złote geny Sinclairów wygrały i mała odziedziczyła wygląd po Williamie. Przez całą moją ciążę bała się, że dziecko będzie rude i piegowate — wyjaśniła Crystal, machając puklem swoich ognistych włosów.

— Tak, to bardzo podobne do mojej matki. — Josephine nie mogła powiedzieć, że jest w jakimkolwiek stopniu zdziwiona zachowaniem rodzicielki. — Najważniejsze, żeby mała odziedziczyła charakter po tobie, a nie... — Urwała, zdawszy sobie sprawę, co prawie powiedziała. — Nie po kimś z mojej rodziny — dokończyła, nieudolnie próbując zatuszować wpadkę. Jasne było, że w pierwszej chwili miała na myśli swojego brata.

— Wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale chciałabym z tobą porozmawiać o twojej relacji z Williamem — rzuciła Crystal, spoglądając na Josie z nadzieją w piwnych oczach. — Jeśli nie masz nic przeciwko.

Miała, i to bardzo dużo. Oczywiście, że miała. A jednak nie wyraziła swojego sprzeciwu na głos.

Od pierwszego dnia zarówno domownicy, jak i pracująca dla nich trójka ludzi okazywali jej wyłącznie uprzejmość i szczerą troskę. Crystal codziennie próbowała nawiązać z nią rozmowę, jakby naprawdę chciała stworzyć z nią rodzinną relację. Nie zrażał jej nawet dystans, z jakim traktowała ją Josephine.

Ta zatem nie miała podstaw do podejrzliwości, a mimo to wciąż jeszcze nie do końca ufała, że ta ciepła, rodzinna otoczka jest czymś więcej niż sztuczną fasadą. A już na pewno nie wierzyła w szczere chęci

William, który zachowywał się, jakby od zawsze był jej bratem, a nie jedynie nieobecną w jej życiu figurą, której mimo wszelkich starań nie mogła dorównać.

Może zachowywała się dziecinnie, ale nie potrafiła tak zwyczajnie wymazać z pamięci osiemnastu lat dorastania ze świadomością, że rodzice jej nie kochają, bo nie jest tak idealna jak on. Widziała, że mężczyzna się stara, ale nie potrafiła patrzeć na niego jak na brata i nawet *jesli* miała się tego kiedykolwiek nauczyć, potrzebowała o wiele więcej czasu.

Dlatego gdy w domu rozbrzmiał dźwięk dzwonka do drzwi, ratując ją przed rozmową z Crystal, niemal zeskoczyła ze stołka.

— Otworzę — rzuciła, zanim wyszła z pomieszczenia. Zrobiła to tak szybko, że bratowa nawet nie zdążyła zareagować.

Praktycznie podbiegła do drzwi, chociaż z oczywistych powodów nie spodziewała się, że ktoś po drugiej stronie mógłby czekać właśnie na nią. Tym większa była niespodzianka, gdy okazało się, że tak było. Pierwszy raz od dawna uśmiechnęła się szczerze i szeroko.

— Pani Murphy!

Stojąca po drugiej stronie siwowłosa kobieta zmierzyła ją spojrzeniem od góry do dołu w geście niedowierzania.

— Och, Josephine. — Tylko tyle zdołała z siebie wykszusić, zanim jej głos całkiem załamał się ze wzruszenia.

Dziewczyna zrobiła krok, by ją objąć, a w jej sercu rozlało się dawno zapomniane uczucie ciepła. W tamtej chwili na krótko poczuła, że jest w domu. Ciało jej dawnej opiekunki wydawało się o wiele bardziej krusze, niż kiedy się zęgały. Josie poczuła przyпіływ tkliwości wobec kobiety, która przez lata troszczyła się o nią bardziej, niż jej własna matka.

— Lepiej? — zapytała, gdy zaprowadziła ją do salonu i pomogła usiąść na sofie.

W odpowiedzi otrzymała kiwnięcie głową.

— Wybacz, już się biorę w garść. Po prostu nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. — Pani Murphy wyciągnęła pomarszczoną dłoń i czułym gestem pogładziła ją po policzku. — Wyglądasz pięknie. I tak dorośle.

Josephine czuła, jak ciężar, który nosiła w sobie, odkąd przyjechała, staje się lżejszy, i odetchnęła z ulgą. Przez krótką chwilę zwyczajnie cieszyła się ciepłem, jakie niosła sama obecność osoby z jej dawnego życia, i pozwoliła sobie zapomnieć, jak wiele zmieniło się od ostatniego razu, gdy się widziały. Jednak ten moment szybko przerwało im pojawienie się Crystal.

— Pomyślałam, że zrobię wam herbatę — wyjaśniła, stawiając na stoliku tacę z dwiema filiżankami. — Zostawię was same i pójdę sprawdzić, co u Nicole.

— Skąd się pani dowiedziała, że wróciłam?

— Twój brat mi powiedział — odpowiedziała, cały czas ściskając dłoń Josephine, jakby nadal nie do końca mogła uwierzyć w jej obecność. — Złoty chłopiec z tego Williama, wyrósł na dobrego człowieka. Jesteśmy w stałym kontakcie, odkąd tylko przekonał mnie do przejścia na emeryturę. Nie wiedziałaś?

— Niezbyt często rozmawiamy. — Zawstydzienie zaróżowiło policzki Josephine, gdy poczuła na sobie wzrok pani Murphy. Kobieta znała ją od urodzenia i bez trudu zrozumiała wszystko, co kryły trzy proste słowa.

— Och, kochanie. Dla ciebie to zupełnie obcy człowiek, prawda? — Trzęsącymi się dłońmi uniosła ze stołu filiżankę z herbatą. — Daj sobie czas. A jemu szansę. Obojgu wam zmieniałam pieluchy, więc wiem, co mówię, kiedy twierdzę, że oboje tego potrzebujecie.

— Przepraszam, że nie przyszłam pani odwiedzić. — Dziewczyna najdelikatniej, jak potrafiła, zmieniła temat, rozumiejąc, że rozmowa o Williamie to jak trafienie z deszczu pod rynnę. — Miałam to zrobić, ale potrzebowałam trochę czasu na przyzwyczajenie się do... tego. — Wolną dłonią wskazała na pomieszczenie, w którym się znajdowały.

— Przecież wiesz, że nigdy nie mogłabym mieć do ciebie pretensji — uspokoiła ją głosem pełnym ciepła, który dziewczyna знаła na pamięć. — Poza tym domyślam się, że twoi dawni przyjaciele nie posiadają się ze szczęścia z powodu twojego powrotu, więc nie dziwię się, że byłaś zajęta.

Josie poczuła, że jej ciało na powrót się spina, i skuliła się mimowolnie. Nie była przygotowana na podobne słowa, a kobieta zupełnie nieświadomie zadała jej bolesny cios.

— Właściwie to nie wiedzą, że wróciłam — wyjaśniła, starając się zachować lekki ton. — Minęło dużo czasu, a od mojego wyjazdu nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Przez te lata na pewno poukładali sobie życie i nie chcę im teraz w nim mieszać.

— Rozumiem. — Zmartwienie widoczne na poznaczonej zmarszczkami twarzy wskazywało, że naprawdę tak było.

Sześć lat temu pani Murphy była cichym obserwatorem zdarzeń, które doprowadziły do tragedii. Wystarczająco dużo razy mijają się rano z Chase'em, gdy zostawał na noc, zaspokajała wilczy apetyt Archera i słyszała miłosne przekomarzania Ethana i Valerie, by rozumieć znaczenie tych osób w życiu Josephine.

— Tak jest po prostu lepiej — dodała jeszcze Josephine, jakby mogła tym zmienić to, co pani Murphy sobie pomyślała.

— Więc... opowiadaj. Co się u ciebie działo przez te wszystkie lata? — Prośba okraszona ciepłym, zachęcającym uśmiechem wystarczyła, żeby porzucić niewygodny temat i przejść na taki, który pozwolił Josephine zapomnieć o wypowiedzianej półprawdzie.

Czy chciała zobaczyć się z Archerem lub Valerie? Oczywiście. Odałaby niemal wszystko za kilka informacji, jak potoczyło się ich życie. Jedyną rzeczą większą od tego pragnienia był strach powstrzymujący ją przed kontaktem z którymś z przyjaciół.

Valerie tylko raz złamała niepisaną zasadę braku kontaktu po wyjeździe Josephine. Rok po tym, jak widziały się ostatni raz, wysłała jej SMS-a z informacją, że biorą z Ethanem ślub i że mimo wszystko chcieliby, żeby się pojawiła.

W tamtym czasie ledwo zaczęła stawać na nogi po rozstaniu z Chase'em i wiedziała, że nie zniósłaby spotkania z nim. Poza tym pojawienie się w jego życiu na chwilę, by zaraz zniknąć, nie byłoby w porządku. Dlatego nawet nie odpisała na tę wiadomość, a Valerie nigdy już nie próbowała się z nią kontaktować.

Sytuacja z Archerem wyglądała nieco inaczej, a jednocześnie równie źle. Rozmawiali ze sobą kilka razy. Kiedy Josephine czuła, że brakuje jej sił, by dalej walczyć, sięgała po telefon i zgodnie z tym, co obiecała mu w zamian za opiekę nad Chase'em, dzwoniła do niego. Zawsze odbierał, nawet jeśli budziła go w środku nocy, i po prostu był. Nieważne, czego akurat potrzebowała, dawał jej to. Aż do ostatniego telefonu.

Zadzwoiła do niego po tym, jak odrzuciła oświadczyzny Cartera. Powiedziała, że chce wrócić do domu, do Chase'a, do tego, co mieli, bo nie wytrzyma ani dnia więcej, żyjąc takim życiem, jakie wiodła w tamtym momencie. Archer sprowadził ją na ziemię, mówiąc, że nie ma już do czego wracać. Praktycznie zagroził, że jeśli kiedykolwiek kochała Chase'a, to zostanie tam, gdzie jest, i przerwał połączenie.

Więc została i jeszcze tego samego wieczoru pojechała z przeprosinami do mieszkania Cartera. Wybaczył jej, a ona przyjęła oświadczyzny. Nie zrobiła tego z miłości, bynajmniej nie z miłości do mężczyzny, za którego zgodziła się wyjść. Wtedy było to po prostu jedyne, co jej pozostało.

Sądziła, że zwiążanie się z mężczyzną na dobre zakotwicy ją po tamtej stronie oceanu, i przez długi czas żyła w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Złudnym, bo nie przewidziała scenariusza, w którym zostanie zmuszona do powrotu właśnie ze względu na Cartera.

Nikłe prawdopodobieństwo tego, jak potoczyły się wypadki, aż prosiło się o stwierdzenie, że ciążyło nad nią antyczne fatum. Na poparcie tej tezy Josephine miała też fakt, że sama często czuła się jak bohaterka greckiej tragedii. Wszystkie jej działania prowadziły do katastrofy.

Rozdział 3

Na zewnątrz już od jakiegoś czasu było ciemno, gdy ciszę w pokoju Josephine przerwało pukanie do drzwi. Oderwała wzrok od okna, o które rytmicznie uderzały krople jesiennego deszczu, i spojrzała w kierunku wejścia. Domyślała się, że to Crystal, która po wyjściu pani Murphy jeszcze dwa razy próbowała zacząć z nią rozmowę na temat Williama, dlatego postanowiła udawać, że położyła się wcześniej.

Jednak ku jej niezadowoleniu drzwi uchyliły się bez jej pozwolenia i rudowłosa kobieta zajrzała do środka, z radością odkrywając, że jej ofiara nie śpi.

— Hej. — Uśmiechnęła się krótko i zamknęła za sobą drzwi, zanim Josephine zdążyła zaprotestować. — Nicole właśnie zasnęła, więc pomyślałam, że teraz możemy porozmawiać bez przeszkód.

Josephine nie miała najmniejszej ochoty na tę rozmowę, ale ze względu na determinację bratowej zaczęła godzić się z myślą, że nie uda jej się tego uniknąć. Poza tym Carter zawsze jej powtarzał, że czasami zachowuje się jak dziecko, a nie tak, jak przystało na dorosłą kobietę. Dlatego skinęła głową i wyprostowała się na fotelu, który beczynnym zajmowała zdecydowanie zbyt długo, bo kości strzyknęły jej nieprzyjemnie, gdy w końcu zmieniła pozycję.

— Widzę, że nadal się do końca nie rozpakowałeś. — Crystal wskazała brodą na stertę kartonów, które od przyjazdu Josephine zmieniły jedynie miejsce i teraz stały w kącie, cierpliwie czekając, aż ich właścicielka zbierze się na odwagę, by przejrzeć zawartość. Na razie się na to nie zanosilo.

— Chciałaś rozmawiać, więc mów — odcięła się ostrzejszym tonem, niż zamierzała. — Bo domyślałam się, że nie planowałaś rozmowy o bałaganie w moim pokoju.

— Masz rację. — Kobieta zreflektowała się, słysząc jad w głosie dziewczyny. — Chciałam porozmawiać o twoich stosunkach z Williamem. Wiem, że pomyślisz sobie, że robię to tylko dlatego, że jestem jego żoną, ale naprawdę chciałabym, żebyś dała mu szansę. Jemu szczerze zależy na zbudowaniu z tobą normalnej relacji.

Josephine nie odpowiedziała. Głównie dlatego, że naprawdę nie chciała być wredna dla kobiety, która od jej przyjazdu nie zrobiła jej nic złego, była uprzejma i gościnna. Jednak w tamtym momencie nie przychodziły jej do głowy żadne miłe słowa.

Crystal jednak wzięła jej milczenie za pozwolenie, by kontynuować:

— I przepraszam, że się wtrącam, ale chciałabym, żebyś miała pełny obraz tego, co działo się w twojej rodzinie, kiedy cię tu nie było.

Josephine nie była pewna, czy w ogóle chce to wiedzieć. Nigdy nie miała szczególnego poczucia przynależności do własnej rodziny, a teraz było ono jeszcze mniejsze niż wcześniej. Tak naprawdę obecnie chciała tylko wyjść za mąż i nie mieć nic wspólnego z rodziną Sinclairów.

— Mieliśmy z Williamem naprawdę trudne początki, bo twoja matka... — Crystal zawahała się, szukając odpowiednich słów na opisanie zachowania teściowej. — Cóż, powiedzmy, że nigdy nie była moją największą fanką.

— Niech zgadnę: była dla ciebie okropna i robiła wszystko, żeby ci pokazać, że nie jesteś wystarczająco dobra. Na pewno nie dla jej idealnego syna — rzuciła kpiąco Josephine. Nie musiała tego widzieć, żeby mieć pewien obraz sytuacji. Możliwość swojej matki miała okazję poznać na własnej skórze zdecydowanie zbyt wiele razy.

— Mniej więcej — przyznała Crystal. — I prawie jej się udało, bo ja byłam gotowa się poddać i zostawić Williama, ale on się postawił. Powiedział Lillian, że zamierza się ze mną ożenić bez względu na to, co ona o tym myśli, więc jeśli nie ma zamiaru mnie zaakceptować, to może o nim zapomnieć.

— To doprawdy cudowne, że mój brat przejrzał na oczy i po prawie trzydziestu latach zobaczył, jaka jest nasza matka. Cieszę się z waszego szczęścia, ale nie do końca rozumiem, jak to wszystko ma się do mojej relacji z nim. — Ta rozmowa stawała się coraz trudniejsza do zniesienia i Josephine modliła się o szybkie jej zakończenie.

— Właśnie w tym rzecz. — Crystal zignorowała sarkazm w głosie brunetki. — William dopiero wtedy przejrzał na oczy. Dopiero kiedy zobaczył, jak Lillian mnie traktuje, zaczął mieć pewien obraz tego, jaka jest naprawdę. Wcześniej widział ją jedynie jako kochającą i wspierającą matkę i wierzył, że taka była też dla ciebie, bo zwyczajnie nie podejrzewał, że mogłaby być inna. Nie miał powodu, by sądzić, że ciebie traktowała gorzej niż jego, i nie rozumiał, skąd wzięła się wasza napięta relacja. Teraz...

— Nie ma pojęcia. — Gdy Josephine przerwała kobiecie, jej głos nie był już podszyty sarkazmem. Nie było w nim żadnych emocji, a słowa, które wypowiadała, brzmiały, jakby były wykute z lodu. — Żadne z was nie ma najmniejszego pojęcia, jak wyglądało moje życie z nią. I nie mówię tego, żeby ktokolwiek się nade mną użalał. Po prostu taka jest prawda. Nie znałam Williama, a on nie znał mnie, i nadal tak jest. Jak widać, nawet matki mieliśmy inne, bo mojej nikt nie nazwałby kochającą czy wspierającą. — Wypowiedzenie tak pozytywnych określeń w stosunku do kobiety, która niszczyła ją przez lata, brzmiało dziwnie w jej ustach.

— Masz do niego żal, rozumiem. — Crystal pokiwała głową, ale Josephine pomyślała, że w rzeczywistości w ogóle nie rozumiała. Gdyby fatycznie tak było, odpuściłaby sobie te próby stworzenia z nich rodzeństwa. — Chcę tylko, byś wiedziała, że on naprawdę się zmienił i żałuje, że uświadomił sobie pewne sprawy zbyt późno, żeby naprawić wasze stosunki, zanim wyjechałaś.

— Więc mam rzucić mu się na szyję i zacząć traktować jak kochanego braciszka? To sugerujesz?

— Sugeruję jedynie, żebyś dała mu szansę.

Josephine powoli zaczynała podziwiać tę zdolność ignorowania jej złośliwych uwag. Podziwiała też oddanie, z jakim Crystal walczyła

w imieniu swojego męża. Jednocześnie czuła, że dostała odpowiedź na pytanie o prawdziwość uczuć, które widziała między tą dwójką.

— Mówisz, że go nie znasz, ale co ci szkodzi spróbować go poznać?
— Bratowa nie poddawała się. — Nawet jeśli niedługo przeprowadzisz się do Cartera, nadal będziesz miała Lillian zdecydowanie zbyt blisko. Przyda ci się wsparcie, kiedy znowu zaczniesz ci wchodzić na głowę. Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że zaczniesz to robić. Nawet ja to wiem. Użerałam się z nią wystarczająco przy własnym ślubie, by wiedzieć, że do twojego też się wtrąci. Będziemy po twojej stronie, jeśli nam na to pozwolisz.

Josephine niechętnie musiała przyznać jej rację. Miło byłoby dla odmiany chociaż raz w życiu przekonać się, jak to jest nie być samej przeciwko rodzicom. A William naprawdę się starał i nie przeszkadzała mu nawet niechęć, z jaką się spotykał za każdym razem, gdy próbował nawiązać rozmowę.

— Zgaduję, że nie mam nic do stracenia — powiedziała po części po to, by kobieta w końcu dała jej spokój. — Spróbuję być miłsza.

— Na początek wystarczy. — Crystal posłała jej uśmiech, który Josephine odwzajemniła bez entuzjazmu.

Gdy już została sama, doszła do wniosku, że podjęła dobrą decyzję. Potrzebowała nowych granic, czegoś, co pozwoli jej się skupić na teraźniejszości zamiast na przeszłości, która wciąż nawiedzała ją w snach.

Naprawdę nie miała nic do stracenia, a nawet jeśli, to bardzo niewiele. Nie sądziła bowiem, że może być gorzej, niż było dotychczas.

I można to nazwać niezwykłą naiwnością lub nawet głupotą — by zapomnieć, że życie najczęściej kieruje się zasadą „zawsze może być gorzej”.

Zanim się obejrzała, wszystko, co na początku wydawało się nowe, w końcu stało się rutyną, a dni zaczęły zlewać się ze sobą. Wstawała, jadła śniadanie, spędzała czas z Nicole i Crystal, próbowała rozmawiać z Williamem, jeśli akurat był w domu, a wieczorami dzwoniła do Cartera. Czasem nawet udawało jej się z nim porozmawiać, jeśli nie był zbyt

zajęty. Sny o przeszłości w końcu przestały ją nawiedzać i wyglądało na to, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Do czasu.

— Dzień dobry — przywitała się, chociaż ten dzień zdecydowanie nie był dobry, nawet jeśli dopiero się zaczęł.

Od momentu obudzenia jak tonowy kamień ciążyło jej dręczące poczucie, że o czymś zapomniała. O czymś ważnym, jednak za nic nie potrafiła uchwycić, co to mogło być. Cokolwiek to było, sprawiało, że czuła się źle we własnej skórze.

— Josie! — Nicole z pełnym radości okrzykiem zeskoczyła z kolan taty i z impetem wtuliła się w nogi cioci. — Miłego dnia. — Posłała jej szeroki uśmiech, spoglądając na nią z dołu.

— Zaczynam być zazdrosny — odezwał się William z wyczuwalną radością, zwracając na siebie uwagę. — Kradniesz mi moją własną córkę.

— To dobrze o niej świadczy. — Josie uśmiechnęła się z gryźliwie. — Młoda po prostu ma dobrego nosa do ludzi.

William w odpowiedzi jedynie parsknął śmiechem.

Od jej rozmowy z Crystal ich relacje powoli ruszyły do przodu. Na razie dopiero raczkowały i były na etapie niegroźnego dogryzania sobie nawzajem, ale przynajmniej szły w dobrym kierunku.

Dziewczynka w końcu wypuściła ją z objęć i wróciła na miejsce na kolanach taty, zaczynając z nim rozmowę, a Josie zbliżyła się do Crystal, która przyrządzała śniadanie.

— Na co masz ochotę? Dzisiaj ja rządzę w kuchni. — W soboty Marie miała wolne, co dawało Crystal pole do popisu w przyrządzaniu posiłków.

— Na razie zostanę przy herbacie, nie czuję się najlepiej. — Dziwne uczucie nadal nie dawało jej spokoju, miała wrażenie, że jej żołądek zaciska się z niewyjaśnionego zdenerwowania. Prawie jakby jej ciało spodziewało się, że zaraz coś się wydarzy, i było gotowe na to, że lada moment nadejdzie cios.

— Faktycznie wyglądasz trochę blado. — Crystal skinęła głową, marszcząc brwi. — Może powinnaś wrócić do łóżka i odpocząć.

— Dobrze, *mamo*.

Mimo że były między nimi zaledwie cztery lata różnicy, Crystal często przejawiała wobec niej opiekuńcze uczucia. Na początku Josie uważała to za irytujące, ale z czasem zaczęła się do tego przyzwyczajać. Zrozumiała, że kobieta ma po prostu taki charakter.

— Tato, a za ile dni będę miała pięć lat?

Pytanie Nicole sprawiło, że Josie zaczęła nasłuchiwać rozmowy podczas przygotowywania herbaty. Nawet nie wiedziała, kiedy jej bratanica ma urodziny.

— Poczekaj, zającu, policzymy razem. — William bez wahania odłożył telefon i ponownie poświęcił całą uwagę dziecku.

Josephine niechętnie musiała przyznać, że jej brat ma świetny kontakt z córką, co zdecydowanie działało na jego korzyść w opinii dziewczyny.

— Jaki mamy dzisiaj dzień?

— Szesnasty września. — Crystal pospieszyła z odpowiedzią, stawiając talerz z jedzeniem na wyspie kuchennej.

Josephine poczuła się tak, jakby coś ciężkiego z impetem uderzyło ją w głowę.

Szesnasty września — powtórzył głos w jej głowie, łudząco podobny do głosu, który kiedyś był jej ulubioną melodią.

Dzień jej wyjazdu. Dzień, w którym wszystko się zaczęło, a dokładnie rok później wszystko się skończyło. Teraz już doskonale wiedziała, o czym zapomniała. O tym, że mijało dokładnie sześć lat, odkąd ostatni raz go widziała.

W Bostonie byłby to kolejny zwykły dzień. Być może nawet przegapiłaby tę okrutną rocznicę. Ale tutaj, w miejscu, gdzie to wszystko się wydarzyło, szesnasty września nabierał zupełnie innego znaczenia.

— Josephine, wszystko dobrze? — Crystal zauważyła jej dziwne zachowanie i chwilę później uwaga całej trójki skupiła się na dziewczynie.

— T-tak. — Próbowwała się pozbierać i utrzymać pozory. — Chyba jednak pójść się położyć — wyjąkała pospiesznie i najszybciej, jak mogła, skierowała się do swojej sypialni.

Nienawidziła tracić kontroli — i to jedynie pogarszało sytuację, bo w tamtej chwili daleko jej było do opanowania. Próbowała być ponad to i odgrodzić się grubą ścianą od swoich uczuć, jak robiła to przez resztę dni w roku, ale dzisiaj przypominało to raczej budowanie zamków z piasku w środku huraganu.

Nie potrafiła zapomnieć i to było jej zgubą. Wiedziała, że to nigdy nie minie. Mogła przestać go kochać, mogła ruszyć dalej i chcieć życia z Carterem, ale jakaś jej część będzie za nim tęsknić już zawsze.

I szesnastego września pozwoliła sobie na jeden dzień bez kłamstw, którymi karmiła się przez pozostałą część roku. Jutro wstanie i wznowi nieustanną walkę z wrogimi zakamarkami jej umysłu. Będzie upychać nieproszone myśli w szufladki, zamykać na klucz, kreślić linie i budować mury.

Dzisiaj spuściła ze smyczy swoje własne demony. Pozwoliła im biegać wolno.

Spędziła dwie godziny zamknięta w pokoju, zanim doszła do wniosku, że zwariuje, jeśli pobędzie tam jeszcze minutę dłużej. Więc zdecydowała się na coś, czego nie miała odwagi zrobić od dnia przyjazdu.

— Wychodzisz? — Głos Williama dotarł do niej, gdy zmierzała do drzwi, a sekundę później w zasięgu wzroku pojawiła się jego sylwetka. — Czujesz się już lepiej?

— Pomyślałam, że świeże powietrze dobrze mi zrobi — rzuciła, zakładając płaszcz.

— Daj znać, jeśli byś się gorzej poczuła, przyjadę po ciebie.

W innych okolicznościach może nawet doceniłaby tę troskę, jaką jej starszy brat w sobie rozwijał.

— Poradzę sobie — zbyła go, jednak po chwili się zreflektowała. — Ale dzięki — dopowiedziała, by jej wypowiedź zabrzmiała trochę uprzejmiej. Nie czekała na reakcję mężczyzny i chwilę później była już na zewnątrz, oddychała rześkim jesiennym powietrzem.

Nie zmierzała w konkretnym kierunku. Pozwoliła, by nogi same ją poniosły, podczas gdy ona starała się zająć myśli obserwowaniem widoków, które niegdyś stanowiły część jej codzienności. Jesień w Moreton

zawsze była jej ulubioną porą roku i teraz również Josie potrafiła dostrzec ten urok, jaki miało miasteczko skąpane w szarości.

Jednak miasto było inne. A przynajmniej takie się wydawało, choć może winą powinna obarczyć fakt, że Moreton było całkowitym przeciwieństwem Bostonu. Josephine uwielbiała obserwować metropolię przez okno apartamentu położonego wysoko ponad poziomem ulic. Często, gdy zostawała sama, siadała przy przeszklonej ścianie i godzinami obserwowała panoramę miasta z widokiem na zatokę.

Podczas gdy Boston był ciągłym zgiełkiem i ruchem, Moreton było wręcz przytłaczająco spokojne i Josephine miała wrażenie, że każdy jej krok niesie się echem, zwracając na nią uwagę innych. Tutaj nie była jedynie jednym z miliona przechodniów zlewających się w jednolitą masę. Przechadzając się pustym, nierównym chodnikiem, nie mogła wyzbyć się swojej tożsamości ani niczego, co się na nią składało.

Za późno zorientowała się, gdzie właściwie się kieruje, i zanim otrząsnęła się z zamyślenia, stała już w miejscu, w którym go poznała. Poczuli się, jakby jej własne ciało ją zdradziło, prowadząc prosto w miejsce pełne wspomnień, jednak nie mogła powstrzymać pokusy i na drżących nogach podeszła jeszcze bliżej.

Bez trudu odnalazła wzrokiem miejsce, w którym pośród wielu innych rysunków na drewnianej desce zostały napisane ich inicjały umieszczone przez nich pewnej nocy tamtego pamiętnego lata. Teraz były już ledwie widoczne i częściowo zasłonięte przez inne rysunki i podpisy, ale wciąż tam były. Dowód na to, że kiedyś naprawdę byli *Chase'em* i *Jose*. Czasem miała wrażenie, że to wszystko wydarzyło się jedynie w jej głowie.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła, wpatrując w ten jeden punkt, zanim w końcu się otrząsnęła i zrozumiała, co robi. Musiała iść dalej, dosłownie i w przenośni.

Chase to przeszłość — przypomniała sobie. Musiała wziąć się w garść i pamiętać o przyszłości, którą miała przed sobą. Z mężczyzną, którego zamierzała poślubić.

Odwróciła się od ławki i ruszyła w przeciwnym kierunku tak szybko, że nie zauważyła osoby przechodzącej chodnikiem.

— Bardzo przepraszam — przeprosiła z paniką i szczerą skruchą i schyliła się, by pomóc pozbierać rzeczy, które w wyniku zderzenia z kobietą wypadły tamtej z torebki. — Nie zauważyłam...

— Josephine?

Brunetka była tak zaaferowana sytuacją, którą spowodowała, że w ogóle nie zwróciła uwagi na kobietę, na którą wpadła. Dopiero znajomy głos sprawił, że podniosła głowę.

— Valerie.

Powiedzieć, że Val wyglądała, jakby zobaczyła ducha, to niedopowiedzenie. Patrzyła na nią z ustami rozchyłonymi ze zdziwienia, nie do końca wierząc w widok, jaki ma przed oczami, a Josephine nie mogła jej się dziwić. W końcu nie spotyka się tak po prostu osób, które powinny być tysiące kilometrów dalej.

— Cześć? — Nie miała pojęcia, jak się zachować w obecności byłej przyjaciółki, więc jej powitanie zabrzmiało bardziej jak pytanie. — Jeszcze raz przepraszam za torebkę. I... nawet nie wiem, co powiedzieć. Nie spodziewałam się ciebie spotkać — tłumaczyła nieskładnie, próbując choć trochę zmniejszyć niezręczność sytuacji.

— Mogę powiedzieć to samo — odpowiedziała Valerie, ale nie starała się ukryć, że nie jest zadowolona ze spotkania. — Więc co tu robisz?

— To trochę skomplikowane — przyznała szczerze. Musiałaby jej streścić przynajmniej trzy lata życia, by dziewczyna w pełni zrozumiała, co ją sprowadziło do Moreton. — Może pójdziemy napić się kawy i wtedy porozmawiamy? — zapytała z nadzieją.

Pomimo wiszącej w powietrzu niezręczności nie była jeszcze gotowa pozwolić Val odejść. Nie szesnastego września.

Valerie w pierwszej chwili wyglądała, jakby miała zamiar uciec i nie oglądać się za siebie. W końcu jednak wygrała ciekawość. Cecha charakteru, którą Josephine знаła w przyjaciółce aż za dobrze.

— W porządku.

W niekomfortowej ciszy ruszyły w kierunku pobliskiej kawiarni, która kiedyś była ich ulubionym miejscem spotkań.

Jednak gdy znalazły się w środku, Valerie od razu skierowała się w stronę przeciwną do tej, gdzie znajdował się ich ulubiony dawniej stolik, i zajęła miejsce na drugim końcu lokalu. Nawet na nią nie patrzyła, gdy składała zamówienie. Również inne niż to, co wybierały lata temu.

Josephine bez trudu odczytała ukryty przekaz zachowania dziewczyny. To nie było przyjacielskie spotkanie po latach.

Mimo wszystko postanowiła wyciągnąć z niego jak najwięcej.

— Więc... co tam u was? — Liczyła, że uda jej się otrzymać odpowiedzi na dręczące ją pytania o to, jak potoczyło się życie najważniejszych dla niej ludzi. — Jak ci się układa z Ethanem?

— Josephine, jego tutaj nie ma. — Ton Valerie był tak wrogi, że Josephine odchyliła się na krzesło, jakby przyjaciółka zadała jej fizyczny cios. — Jeśli wróciłaś dla niego, to tylko tracisz czas.

— O czym ty mówisz? — Doskonale wiedziała co, a raczej *kogo* Val miała na myśli, ale nie zmniejszało to zaskoczenia atakiem. — Nie wróciłam tutaj dla Chase'a, przeniosłam się z Bostonu z narzeczonym. Carter jest biznesmenem. Przeprowadziliśmy się, bo jego rodzinna firma otwiera oddział w Londynie, a on został dyrektorem.

Teraz to Valerie była zdziwiona.

— Narzeczonym? — powtórzyła z uniesionymi brwiami, a gdy Josie skinęła głową, zaskoczenie zmieniło się w zawstydzenie. — Wybacz, ale nie masz nawet pierścionka, więc pomyślałam...

Josephine odruchowo spojrzała na palec, na którym powinna znajdować się biżuteria, i zorientowała się, że faktycznie jej nie ma. Często zapomniała włożyć pierścionek albo celowo tego nie robiła, gdy Cartera nie było, bo czasami ciążył jej na palcu. Wysadzana diamentami ozdoba kosztowała fortunę i zdecydowanie była zbyt wystawna, by móc nosić ją swobodnie.

— Ale to nie wyjaśnia, co robisz akurat w Moreton.

Josephine miała wrażenie, że słyszy w głosie dziewczyny ślad oskarżenia, jakby pojawienie się w rodzinnym mieście było niewybaczalnym wykroczeniem. Może faktycznie tak było.

— Mieliśmy się przeprowadzić dopiero za kilka miesięcy, ale ze względu na firmę musieliśmy to przyspieszyć, a nasze mieszkanie w Londynie nie jest jeszcze skończone. — To nie była prawda, przynajmniej nie całkowicie, ale nie mogła sobie pozwolić na większą szczerość. — Carter jedną nogą wciąż jest w Bostonie, żeby pozamykać tam ostatnie sprawy, więc nie chciał, żebym była sama w nowym domu, mając na głowie ludzi od remontu. — Uśmiechnęła się słabo, starając brzmieć przekonująco. — Dlatego na jakiś czas wprowadziłam się do domu rodziców. A przy okazji mogę w końcu poznać swoją bratanicę.

— William ma dziecko? — Valerie, chociaż starała się tego nie okazać, wydawała się zadowolona z wyjaśnień dziewczyny.

— I żonę. Wygląda na to, że podczas mojej nieobecności mój brat przeszedł wewnętrzną przemianę i jest teraz zupełnie innym człowiekiem. W dodatku obrał sobie za cel zrobienie z nas kochającego się rodzeństwa. — Josephine wyrwała oczami z rozbawieniem, a Valerie parsknęła śmiechem i na chwilę obie się zapomniały. Pozwoliły sobie udawać, że wszystko jest dobrze.

— To prawie tak jak Archer. — Valerie rzuciła głosem pozbawionym wrogości i prawie swobodnym.

— A co z nim? — Josie starała się nie pokazać, jak duże znaczenie ma dla niej jakakolwiek informacja o dawnym przyjacielu.

— Niedawno został tatusiem.

Josephine była wdzięczna, że akurat w tamtym momencie nie piła, bo była pewna, że w przeciwnym razie, słysząc tak szokującą informację, mogłaby zrobić sobie krzywdę.

— Żartujesz? — wykrztusiła z trudem, obserwując rozbawienie blondynki.

— Niestety nie. Wszyscy wiedzieliśmy, że tak się kiedyś skończą jego jednonocne przygody, i stało się — wyjaśniła, wzruszając ramionami. — Chociaż trzeba mu przyznać, że wziął odpowiedzialność za dziecko i postanowił, że nie ograniczy się jedynie do płacenia alimentów, tylko faktycznie będzie obecny w jego życiu. Nadal jest takim samym

podrywaczem, jakim był w szkole, ale teraz pracuje w firmie ojca i jest weekendowym tatusem.

— Odpowiedzialny Archer Coleman, kto by pomyślał. — Pokręciła głową z niedowierzaniem. Dziwne uczucie zaczęło ścisnąć ją za gardło, gdy uświadomiła sobie, jak wiele ją ominęło. — Dorosłość.

— Dopadła nas wszystkich — dodała Valerie z tym samym uśmiechem pełnym melancholii.

— A ty i Ethan? Jak wam się układa? — ponowiła pytanie, które zadała wcześniej, licząc, że tym razem dziewczyna odbierze je przychylniej.

— Jakoś leci. — Twarz Valerie rozświetliła się na dźwięk imienia ukochanego. — Ethan pracuje w banku, a ja niedawno zaczęłam staż u jednej projektantki. Czasem trudno mi uwierzyć, że czas mija tak szybko. Wydawałoby się, że tak niedawno szliśmy na pierwszą randkę, a już niedługo będziemy świętowali piątą rocznicę ślubu.

— Przepraszam, że mnie z tobą nie było tamtego dnia — wyznała pod wpływem emocji. Jednak jej słowa były całkowicie szczere.

— Było, minęło. — Valerie wzruszyła ramionami w odpowiedzi, uśmiechając się przy tym smutno. — Nie mam do ciebie żalu, bo ostatecznie chyba tak było najlepiej dla wszystkich, ale to nie zmienia faktu, że chciałabym, żeby tamtego dnia moja najlepsza przyjaciółka była ze mną.

Josephine mogła tylko pokiwać głową ze zrozumieniem. Było jej przykro, że zawiodła Val, nawet jeśli obie wiedziały, że postąpiła w jedyny słuszny sposób. Ale to niczego nie zmieniło.

Nie zmieniło faktu, że nie są już dziewczynami, które po szkole przychodziły na kawę do ulubionej kawiarni. Podobnie jak oni wszyscy nie są już tamtymi nastolatkami, którzy kiedyś byli paczką najlepszych przyjaciół. Jedyne, co po nich zostało, to pełne melancholii uśmiechy i ucisk w sercu na myśl o pięknych wspomnieniach.

Rozdział 4

Josephine stała przed lustrem w łazience, z narastającą irytacją usilnie próbując wyciągnąć z włosów wszystkie różowe spineczki, które Nicole jej wpięła, gdy zmusiła ciocię do zabawy w salon fryzjerski. Nie miała nic przeciwko spędzaniu czasu z bratanicą, ale zaczynała się obawiać, że jeszcze kilka wizyt u małej fryzjerki i straci większość włosów, ewentualnie wyląduje w szpitalu z zatruciem pokarmowym po kolejnej zabawie w kucharkę.

Pozbyła się wszystkich ozdób i wróciła do sypialni, akurat by nacieszyć się mniej więcej pięcioma sekundami spokoju.

— Josie!

Wesoły krzyk dotarł do dziewczyny, a chwilę później drzwi sypialni otworzyły się z hukiem i Nicole wpadła do pomieszczenia.

— Nicole Sinclair! — Zaraz za dziewczynką w drzwiach pojawiła się jej zdyszana opiekunka. — Ile razy mam ci powtarzać, że nie biegamy po domu? I na litość boską, nie możesz tak po prostu wpadać do pokoju swojej cioci, jak kompletna dzikuska!

Czterolatka skwitowała wywody Sarah jedynie łobuzerskim śmiechem i wskoczyła na łóżko Josephine, nie okazując ani krzty skruchy.

— Przepraszam za nią. — Starsza kobieta zwróciła się do Josephine z przeproszającym uśmiechem.

— Nic się nie stało. — Na początku te nagłe inwazje na jej prywatność w dowolnym momencie dnia były irytujące, ale powoli zaczęła się do nich przyzwyczajać, a nawet je lubić. — Powiesz mi, zającu, co było takie pilne, że aż musiałaś do mnie przybiec? — zapytała, odwracając się do uśmiechniętej Nicole.

— Masz gościa! — Entuzjazm w głosie bratanicy wskazywał, że ewidentnie tylko czekała, aż będzie mogła przekazać wieści. — Przyszedł pan i mówi, że chce cię widzieć.

— Pan? — powtórzyła Josie, spoglądając na Sarah, by się upewnić, że dziewczynka mówi prawdę.

Podjeżdżała, że to kolejny popis dziecięcej wyobraźni, bo jedynym mężczyzną, który mógłby ją odwiedzić, był Carter, ale on nigdy nie był typem robiącym niespodzianki. Gdyby zamierzał przyjechać, poinformowałby ją z przynajmniej trzydniowym wyprzedzeniem i podał dokładną godzinę, o której się pojawi.

Jednak Sarah skinęła głową twierdząco.

— Przez tego małego diabła nawet nie zdążyłam zapytać, jak ma na imię — powiedziała, patrząc karcąco na swoją podopieczną. — Wysoki szatyn, mniej więcej w pani wieku i... mówił o pani „kruszynka”? — dodała pytająco, krzywiąc się w obawie, że zabrzmi śmiesznie.

Josephine nie odpowiedziała. Przez kilka pierwszych sekund nie zdobyła się na żadną reakcję. Nie była nawet pewna, czy oddycha. Był to czas, jakiego potrzebowała, by usłyszana informacja dotarła do jej mózgu.

Tylko jedna osoba na świecie nazywała ją w ten sposób. A to oznaczało, że Archer Coleman przyjechał się z nią zobaczyć.

Drogę z sypialni i przez długi korytarz pokonała w stylu bardziej pasującym do czteroletniej bratanicy niż dwudziestoczteroletniej kobiety, którą była. Dopiero kilka kroków przed dotarciem do schodów i pojawieniem się w zasięgu wzroku gościa zatrzymała się równie gwałtownie, jak wybiegła z pokoju.

Do jej głowy wróciło wspomnienie, jak zakończyła się ich ostatnia rozmowa, i uświadomiła sobie, jak głupia była, pozwalając sobie na przyływ szczęścia w pierwszej reakcji. Co, jeśli odwiedził ją tylko po to, by powiedzieć, że ma wracać, skąd przyjechała?

Jej wczorajsze spotkanie z Valerie przebiegło w miarę spokojnie. Pomimo trudnego początku udało im się przeprowadzić normalną rozmowę i rozstały się we względnej zgodzie, chociaż bez obietnicy, że pozostaną w kontakcie.

Jednak pojawienie się Archera nasuwało podejrzenie, że gdy tylko rozeszły się w swoje strony, blondynka chwyciła za telefon, by podzielić się z przyjacielem najnowszą sensacją. Jeśli obecna Valerie choć trochę przypominała dziewczynę, którą Josie znała, to ta ostatnia mogła założyć się o swój pierścionek zaręczynowy, że tak właśnie było.

Co takiego Valerie mu powiedziała, że rzucił wszystko i następnego dnia zjawił się w Moreton, żeby się z nią zobaczyć? Nagle Josephine całkiem straciła ochotę, by schodzić na dół i konfrontować się z najlepszym przyjacielem. Obawiała się słów, jakie padną z jego ust, gdy to zrobi.

Jednak miała może kilka sekund, zanim jej mały cień przybiegnie za nią z sypialni i niewątpliwie zdemaskuje fakt, że się chowa. Ostatnie, czego chciała, to pokazać, że jest tchórzem, przed człowiekiem, który zostawił ją w momencie, gdy najbardziej go potrzebowała.

Wmawiając sobie, że panuje nad własnymi emocjami i nie wybuchnie płaczem lub śmiechem, gdy tylko na niego spojrzy, opuściła bezpieczną kryjówkę.

W stresujących sytuacjach czasami pomaga myślenie o najdziwniejszych rzeczach, żeby odwrócić swoją uwagę od tego, co nas stresuje.

Josie, schodząc po schodach na spotkanie z jednym z duchów swojej przeszłości, myślała o tym, że jeśli kiedykolwiek będzie miała córkę, zamierza trzymać ją w odległości przynajmniej kontynentu od syna Archera Colemana. Bo jeśli chłopak odziedziczy po ojcu wygląd i urok osobisty, kiedyś będzie łamał wiele serc.

A jeśli Archer był przystojny, gdy był nastolatkiem, to jako młody mężczyzna był wręcz powalający. Jakimś sposobem udało mu się zachować znany Josephine chłopięcy urok, ale garnitur i zadbane zarost zdradzały jego prawdziwy wiek. Wyglądał dorosłej i poważnej.

Przynajmniej tak jej się wydawało, dopóki się nie uśmiechnął. Bo kiedy to zrobił, wyglądał, jakby nie minął nawet dzień od ich ostatniego spotkania.

— Nie uwierzyłem Valerie na słowo, ale własnym oczom też do końca nie wierzę. — Pokręcił głową, szczerząc się do dziewczyny, jakby nic się nie wydarzyło. — Kruszyńska we własnej osobie.

— Cześć, Archer. — Jego reakcja nieco rozluźniła nerwowy spłot w jej żołądka, ale strach nie zniknął całkowicie.

Sześć lat. Nie mogła uwierzyć, że aż tyle minęło, odkąd ostatni raz się widzieli.

— „Cześć, Archer”? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? — Uniósł brwi w zdziwieniu. — Nie widzieliśmy się sześć lat i nie zasłużyłem nawet na przytulenie? Chodź tutaj, kruszynko. — Rozłożył szeroko ramiona w zapraszającym geście.

Josephine chciałyby móc powiedzieć, że jego słowa nie były najpiękniejszymi, jakie usłyszała od dłuższego czasu. Albo że wcale nie czuła się, jakby spadł jej z serca stutonowy kamień. Ale wszystko to byłoby kłamstwem, a w tym momencie pierwszy raz od niepamiętnych czasów czuła się zbyt szczęśliwa, by udawać.

Podeszła do niego bez śladu wahania czy niezręczności i pozwoliła zamknąć się w boleśnie znajomym niedźwiedzim uścisku przyjaciela. Emocje wzięły nad nią całkowitą kontrolę i z jej gardła wydobył się krótki szloch.

Archer odsunął ją na długość ramion, przyglądając się z troską.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał, jakby naprawdę nie miała ku temu żadnego powodu.

— Nie wiem — odpowiedziała zgodnie z prawdą, wycierając pojedynczą łzę, która wydostała się z oka. — Ze szczęścia? Nie sądziłam, że będziesz chciał mnie zobaczyć. Strasznie się za tobą stęskniłam.

— Nie mów tak, bo zaraz i ja zacznę płakać. — Archer teatralnie wytarł sobie nieistniejące łzy, przeganiając te zebrane w oczach dziewczyny.

Josie już miała odpowiedzieć, ale przerwało im pojawienie się Nicole. Odsunęli się od siebie zdecydowanie zbyt szybko jak na te wszystkie lata bez ani jednego uścisku.

— Kim jest ten pan? — zapytała z zaciekawieniem mała, gdy Josephine wzięła ją na ręce, by była na równej wysokości z nimi.

— Archer Coleman. Miło mi panienkę poznać — przedstawił się z teatralnym ukłonem, wywołując śmiech obu dziewczyn.

Wtedy dla Josephine stało się jasne, że nawet jeśli chłopak wydorósł z wyglądu, to pod wszystkimi innymi względami wciąż jest tym samym Archerem, który był jej najlepszym przyjacielem, gdy byli nastolatkami.

— Śmieszny jest — odezwała się Nicole do cioci teatralnym szeptem, zanim z imitacją dorosłej powagi zwróciła uwagę z powrotem na Archera: — Mam na imię Nicole. A Josie jest moją *najulubieńszą* osobą na świecie. — Uśmiechnęła się szeroko i wyprostowała dumnie.

— Naprawdę? A wiesz, że moją też? — Przelotnie spojrzął w oczy Josephine z niemym zapewnieniem, które dla dziewczyny znaczyło więcej, niż potrafiłaby wyrazić słowami.

— Zającu, pójdziesz do Sarah i pozwolisz mi porozmawiać z Archerem? — poprosiła, próbując powstrzymać przyływ nowych łez w reakcji na jego słowa.

— Ale ja chcę zostać z tobą — zaprotestowała Nicole, ciasniej owijając drobne ramiona wokół szyi Josie.

— Jestem pewna, że Sarah będzie chciała pobawić się z tobą w salon fryzjerski — zasugerowała. Wiedziała, że opiekunka nie znosi tej zabawy, ale była zbyt zdeterminowana, by pozbyć się dziecka, żeby mieć wyrzuty sumienia. — A my dwie pójdziemy na spacer, jak skończę rozmawiać, zgoda? — dodała jeszcze, co w końcu poskutkowało.

— Chodź. — Kiwnęła głową w stronę salonu. — Napij się czegoś?

— Nie, dzięki. Na takie okazje wypada tylko coś mocniejszego, a podejrzewam, że nie to proponujesz — rzucił z lekkością, jedynie utwierdzając Josie w przekonaniu, że wcale się nie zmienił.

— A ja naprawdę uwierzyłam Valerie, kiedy powiedziała, że wydorósłaś. — Westchnęła, kręcąc głową, i usiadła obok chłopaka. — Jak widać, pewne rzeczy się nie zmieniają.

— Cóż, powiedziałbym, że ideały się nie zmieniają, ale ty jesteś przykładem, że to nieprawda. Jak to w ogóle możliwe, że jesteś jeszcze piękniejsza, niż byłaś? — Pokręcił głową ze zdumieniem, omiatając jej twarz ciepłym spojrzeniem. — Zaczynam żałować, że nigdy nie spróbowałem swoich sił, gdy byliśmy w liceum.

— Przestań! — zaprotestowała, trącając go łokciem. Odzwyczaiała się już od jego platonicznych, zupełnie niegroźnych podrywów. — Miałam na myśli to, że zostałeś ojcem. Przecież to nawet brzmi abstrakcyjnie. Opowiadaj!

— Ma na imię Alfie. — Uśmiechnął się, a widoczna w nim ojcowska duma rozlała ciepłe uczucie w sercu Josephine. — Ma sześć miesięcy i już ma większe powodzenie u dziewczyn niż tata. Obracają się za nim na każdym spacerze. — Wyciągnął telefon, by pokazać zdjęcie chłopca, które miał na tapecie. — Nie jest łatwo, ale zdecydowanie jest warto.

— A mama Alfiego? — Zapragnęła dowiedzieć się wszystkiego, jakby jedna rozmowa mogła załatać sześciolletnią przepaść. — Z tego, co mówiła Valerie, nie jesteście razem.

— Nie, ale mamy dobre relacje — wyjaśnił. — Cami to typ dziewczyny lubiącej żyć bez zobowiązań, jak ja, ale postanowiła urodzić, a ja ją wspierałem, więc siedzimy w tym razem. Jesteśmy przyjaciółmi. A ty? Jednak Carter?

— Jednak Carter — potwierdziła, unikając jego wzroku. — Można powiedzieć, że dzięki tobie — dodała, przypominając chłopakowi ich ostatnią rozmowę. Archer mógł zachowywać się, jakby nigdy się nie wydarzyła, ale ona nie zapomniała.

— Josie... przepraszam za tamto. — Wesolość zniknęła z jego twarzy i dziewczyna była pewna, że przez chwilę widziała dręczące go wyrzuty sumienia. — Wiem, że byłem dupkiem, ale to naprawdę był zły pomysł, żebyś wracała dla Chase'a. Zwłaszcza wtedy.

— Wiem i nie żałuję tego, że zostałam — zapewniła go szczerze. Teraz wiedziała już, że była głupia, myśląc wtedy, że może tak po prostu wrócić.

Zawahała się przed zadaniem pytania, które dusiła w sobie od wczoraj. Powstrzymała się podczas rozmowy z Valerie i wiedziała, że pytanie Archera jest równie złym pomysłem.

Nie pytaj, nie pytaj, nie...

— Co u niego? — Zdrowy rozsądek jak zwykle zawiódł ją, kiedy najbardziej go potrzebowała.

— Kruszyńko... — zaczął, a jego mina wskazywała, że szuka sposobu, by jak najdelikatniej powiedzieć jej, że nie powinna pytać.

I może miał rację, ale czuła niewytłumaczalną pewność, że musi wiedzieć. Bała się, że nie zazna spokoju, dopóki nie usłyszy, że Chase jest szczęśliwy i jego życie potoczyło się tak, jak mu tego życzyła.

— Archer, proszę. — Błaganie nie było poniżej jej godności. Nie, kiedy wiedziała, że Archer jest jedyną osobą, od której może się tego dowiedzieć. — Przecież nie proszę cię o jego adres ani nie szukam z nim kontaktu. Chcę tylko wiedzieć, jak sobie radził po moim wyjeździe. Tylko tyle.

Szatyn nadal się wahał. Wbrew temu, co sądziła Josephine, nie chodziło o to, że nie chciał jej powiedzieć. Uważał wręcz, że zasługiwała na to, by wiedzieć.

Znał ją i jej dobre serce. Nie było żadnych ukrytych motywów ani pretekstów. Pytała, bo szczerze chciała usłyszeć, że jej pierwsza miłość znalazła wszystko to, co ona mu kiedyś dała, a później była zmuszona odebrać. I jeszcze więcej.

Właśnie dlatego wstrzymał się z odpowiedzią. Bo nie wiedział, czy zniósłaby całą prawdę. Gdyby tylko znała szczegóły tego, co się działo z Chase'em po jej odejściu, mogłaby sobie nigdy nie wybaczyć.

— Wiesz, kruszyńko — zaczął ostrożnie, szukając odpowiednich słów. — Chase i szczęście to nigdy nie był zbyt dobrany duet. — Milczał przez chwilę, aż w końcu westchnął poddańczo, godząc się z faktem, że zdawkowa odpowiedź jej nie wystarczy. — Było źle, okej? — wyrzucił z siebie, gdy wzrok brunetki zaczął stawać się natarczywy. — *Bardzo* źle, ale potem minęło trochę czasu i wydawało się, że będzie lepiej. Aż nagle wyszła sprawa z jego mamą i...

— Jaka sprawa z jego mamą?

— Zaćpała się — przyznał cicho. — I może to wcale nie było najgorsze, bo przecież wiesz, jaka była. Jakkolwiek okrutnie to brzmi, bez niej Chase'owi mogło być jedynie łatwiej. Ale potem ludzie zaczęli gadać, i to naprawdę okropne rzeczy. Wygadywali świństwa o jego matce, o nim... — zawahał się na chwilę. — O tym, jak to dobrze, że go zostawiłaś, bo tylko by cię pociągnął na dno.

Josephine jedynie skinęła głową w zrozumieniu. Archer nie był w stanie wyczytać z jej twarzy, co naprawdę czuje.

— Po kilku tygodniach miał już dosyć i postanowił, że wyjedzie do Birmingham...

— Poszukać ojca — dokończyła za niego, przypominając sobie, że to właśnie to miasto wskazywał adres, który dała Chase'owi, zanim wyjechała.

Archer potwierdził, nie kryjąc zdziwienia. Kiedy pierwszy raz usłyszał od przyjaciela o jego planie, pomyślał, że ten postradał rozum. Josephine wydawała się jednak bardziej wtajemniczona niż on, pomimo swojej nieobecności.

— Skąd wiedziałaś?

— To ja dałam mu adres. Nie powiedział ci? — zapytała, a chłopak jedynie pokręcił głową. — Krótko przed wyjazdem zaczęłam go szukać. Chase od dawna chciał to zrobić, więc to był mój pożegnalny prezent dla niego. I co? Udało mu się?

— Właściwie tak. — Archer jeszcze nie wiedział, jak się powinien czuć z myślą, że nawet ta jedna dobra rzecz, jaka przytrafiła się jego przyjacielowi przez ostatnie lata, wydarzyła się dzięki Josephine.

— To dobrze. — Szczęście, jakie czuła z powodu tej drobnostki, było prawie żalodne.

— James okazał się całkiem w porządku. Wyszło na to, że nie wiedział, że Katherine była w ciąży, gdy ją zostawił — dodał, widząc wpływ, jaki na dziewczynę miała ta informacja. — Zaprosił Chase'a do swojej rodziny i pomógł w znalezieniu pracy i mieszkania. Chase jest tam... dobrze mu tam — poprawił się, bo zdawał sobie sprawę, że „szczęśliwy” to przesadne określenie.

— Widujecie się?

— Nie tak często, jak byśmy chcieli. Wiesz, jak to jest w dorosłym życiu. Praca, dom, rodzina, dzieci.

Josephine nie miała odwagi powiedzieć mu, że nie wie. Bo nie miała żadnej z tych rzeczy.

— Ale tutaj nie przyjeżdża, prawda? — Czuła irracjonalny strach, że go spotka, chociaż właśnie dostała zapewnienie, że ułożył sobie życie daleko stąd.

— Nie ma po co — uspokoił ją Archer. — Wciąż ma tu mieszkanie, ale raczej stara się omijać to cholerne miasto szerokim łukiem.

— To dobrze — przyznała cicho. Moreton nigdy nie przyniosło mu nic dobrego. — Nie powiesz mu, że wróciłam?

— Nie — odpowiedział zdecydowanie. — Valerie i Ethan też nie. Chyba wszyscy się zgadzamy, że dla was obojga lepiej będzie, jeśli będziecie trzymać się od siebie z daleka.

— Za pierwszym razem narobiliśmy wystarczająco dużo szkód? — Uśmiechnęła się smutno, sarkazmem próbując ukryć to, że z jakiegoś powodu ten komentarz ją zabolął. Nawet jeśli zgadzała się z każdym słowem.

— Za drugim razem nie mogłoby wyniknąć z tego nic dobrego.

Josephine nadal nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, czy z perspektywy czasu te kilka tygodni szczęścia było wartych wszystkiego, co nastąpiło później, ale przynajmniej przez chwilę byli szczęśliwi. Teraz nie mogliby dać sobie nawet tego. Nie wyobrażała sobie nawet, jak by to było spojrzeć mu w twarz, porozmawiać z nim. Nie była pewna, czy potrafiłaby to zrobić.

— Masz całkowitą rację — przyznała, bo nie chciała, żeby Archer pomyślał, że miała nadzieję na spotkanie.

— Przeszłość to przeszłość, a teraz każde z was ma swoje życie i tak powinno zostać — powiedział jeszcze, zupełnie niepotrzebnie.

Josephine skinęła głową, zgadzając się z jego słowami.

Zdawało się jednak, że oboje zapomnieli o tym, że w życiu bardzo rzadko dzieje się tak, jak *powinno*.

Rozdział 5

Odzyskanie kontaktu z Archerem miało swoje dobre i złe strony.

Oczywistym plusem była sama jego obecność w życiu Josie. Nawet jeśli miała postać sporadycznych rozmów przez telefon czy wymienionych wiadomości, z czego ponad połowę stanowiły zdjęcia Alfiego. Nawet jeśli poruszali jedynie bezpieczne, płytkie tematy, które w żaden sposób nie nawiązywały do przeszłości. Josephine i tak była szczęśliwa. Potrzebowała przyjaciela.

Minus był taki, że wraz z jego powrotem już i tak cienka granica pomiędzy przeszłością a teraźniejszością zaczęła zacierać się jeszcze bardziej. Archer nie musiał nawet poruszać z nią wspólnych wspomnień, by samą swoją osobą przypominać wszystko, o czym chciała zapomnieć.

Potrzebowała choćby imitacji kontroli nad sytuacją. Poczucia, że to rozgraniczenie nadal istnieje.

To właśnie zmotywowało ją do zrobienia rzeczy, do której zabierała się przez prawie miesiąc swojego pobytu w domu.

Dwie misternie ułożone wieże z kartonów zawierały wszystko, co było dla niej ważne w obu jej życiach.

Jedną stanowiły pudła, które przyplłynęły do Anglii jeszcze przed nią. W nich miała pamiątki z czasów studiów — zdjęcia, książki, eseje, dyplom, biret i inne tego typu sentymentalne drobiazgi. Pomędzy nimi były także rzeczy związane z jej relacją z Carterem — drogie prezenty, które od niego dostała, wycinki z gazet, w których były ich wspólne zdjęcia, a także prawie pusty planer ślubny, który kupiła zaraz po zaręczynach. Było też całe mnóstwo kartonów z ubraniami, które w najbliższym czasie w ogóle jej się nie przydadzą, bo nosiła je tylko wtedy, kiedy towarzyszyła gdzieś swojemu narzeczonemu.

To była ta bezpieczna wieża, która symbolizowała terażniejszość i przyszłość. W słowniku Josephine termin „teraźniejszość” oznaczał okres mniej więcej od poznania Cartera. Przyszłość, której tak wyczekiwała, nastąpi, gdy zostanie jego żoną i ostatecznie przypiecztuje swój los.

Ta druga wieża czekała na nią, odkąd sześć lat temu zapakowała wszystko, czego nie potrafiła się pozbyć, a jednocześnie nie chciała zabierać ze sobą, i ustawiła w kącie, uznając, że będzie problemem kogoś innego. Tam były między innymi pamiątki z dzieciństwa, drobiazgi nawiązujące wspomnienia o Charliem i ośrodku oraz całym ostatnim roku jej życia w Moreton.

Któreś z tych pudeł zawierało w sobie całą historię jej i Chase'a. Nie pamiętała już które i możliwość natknięcia się na te rzeczy przerażała ją tak, że przez cały pierwszy miesiąc ledwo spoglądała w tamten kąt pokoju.

Do Bostonu nie zabrała ze sobą zupełnie nic, nawet jednego wspólnego zdjęcia. Ile razy się za to wyklinała, bo oddałaby wszystko, żeby spojrzeć na jego twarz? Zdecydowanie zbyt wiele. Czasami budziła się w nocy przerażona myślą, że kiedyś będzie miała siedemdziesiąt lat i zapomni, jak wyglądał, bo nie ma żadnej fotografii, by mogła zachować jego obraz w pamięci.

A teraz miała okazję, by naprawić ten błąd. Musiała przejrzeć każde z tych pudeł i zdecydować, co chce zabrać ze sobą, gdy będzie wprowadzać się do mieszkania, które kupił Carter. Resztę powinna wyrzucić, bo nie chciała, by William czy Crystal, gdy kiedyś postanowią uporządkować to za nią, znaleźli jej najbardziej osobiste wspomnienia.

Była w stanie pozbyć się zdjęć ze swoją pierwszą miłością? A jeśli nie, to czy miała odwagę zabrać je ze sobą do domu, który miała dzielić ze swoim przyszłym mężem? Zamierzała się przekonać.

Było już późno, gdy zabierała się do pierwszego kartonu, ale noc była jedyną porą, kiedy mogła to zrobić bez obaw, że Nicole wpadnie do jej sypialni.

Zdecydowała się brać na przemian po jednym z obu stosów. Dla ułatwienia zaczęła od bezpiecznej wieży. Trafiała na pamiątki ze studiów.

Nie miała zbyt wielu fascynujących wspomnień z tego okresu. Nawet jeśli udało jej się nawiązać kontakt z rówieśnikami i stworzyć jakiegokolwiek grono znajomych, nigdy nie była z nimi szczególnie blisko.

Na trzecim roku poznała Cartera, który był od niej starszy i obracał się w zupełnie innym towarzystwie. Gdy wprowadził w nie Josie, studenckie imprezy i wypadki do barów zaczęły jej się wydawać śmieszne w porównaniu z wykwintnymi kolacjami, na które ją zapraszał. Kilka miesięcy później namówił ją do wyprowadzki z akademika i zamieszkania w jego apartamencie. Wtedy już zupełnie straciła zainteresowanie studenckim życiem.

Teraz, niespełna rok po ukończeniu studiów, nie było nikogo, kogo mogłaby zaprosić na ślub. Nikomu nie zależałoby, żeby na nim być, na tyle, by przylecieć z Bostonu do Anglii.

Większość rzeczy nie była jej już potrzebna, nie wydawało się też, żeby miała za nimi szczególnie tęsknić. Dlatego po dokładnym przejrzeniu zaczęła stopniowo odkładać je na bok, decydując, że być może część z nich mogłaby oddać do antykwarium pana Barnetta, jeśli sklep wciąż istnieje.

Zawahała się przy kolejnym kartonie, bo na samym wierzchu leżał dobrze znany album, który dostała od Archera, Ethana i Valerie na swoje urodziny. Był jedną z tych pamiątek, których porzucenia żałowała najbardziej.

Teraz niepewnie chwyciła przedmiot i otworzyła na losowej stronie. Uśmiechnęła się melancholijnie, podziwiając trzy fotografie, na których uwieczniono jeden z wakacyjnych dni spędzonych nad jeziorem.

Na pierwszym zdjęciu pozowali we czwórkę, bez Archera, który akurat był fotografem. Chase i Ethan stali po pas w wodzie, a ona i Valerie siedziały na ich ramionach, szczerząc się do aparatu z rękoma wyrzuconymi w górę. Następne zdjęcie przedstawiało sytuację kilka sekund później, gdy chłopcy postanowili zrobić im żart i zrzucili je prosto do wody. Ostatnie było selfie, również zrobione przez uradowanego Archera, a w tle przemożone dziewczyny krzyczały na swoich roześmianych chłopaków.

Przeglądała album jeszcze przez chwilę, walcząc ze łzami. Na każdej stronie zatrzymywała się na chwilę, dokładnie oglądała zdjęcia i przywoływała kryjące się za nimi wspomnienia. Czasami z jej ściśniętego gardła wyrывał się krótki śmiech, gdy czytała zamieszczone na kartkach dopiski.

Cały ten proces przypominał żałobę i Josephine w końcu doszła do wniosku, że to właśnie robiła — oplakiwała życie, które miała, żeby ostatecznie rozprawić się z przeszłością i ruszyć dalej. Więc kolejny raz pozwoliła sobie na łzy, na rozrywającą tęsknotę za tym, co już nie wróci.

Niemal od razu po zamknięciu album trafił w miejsce przeznaczone na rzeczy, których nie chciała się pozbyć, po czym Josephine zaczęła przeglądać resztę zawartości kartonu.

Wtedy zrozumiała, że ma problem, bo praktycznie niczego nie była skłonna wyrzucić. Decyzja o zostawieniu albumu byłaby jeszcze zrozumiała, ale wpadło jej w ręce także całe mnóstwo zupełnie niepotrzebnych drobiazgów, które były zdecydowanie zbyt drogie jej sercu — bilety z letnich koncertów, na które wszyscy razem chodzili, mały pluszowy miś, którego Archer wygrał w wesołym miasteczku. Nawet ulubiona kostka do gry Ethana, którą przegrał z nią w szachy, wydawała się zbyt ważna.

I cała masa zdjęć. Głównie przedstawiały ich czwórkę, ale obecność fotografa była wyraźnie wyczuwalna, nawet jeśli się nie pojawiał. Josephine widziała na tych zdjęciach sposób, w jaki patrzył na świat. Czuła to melancholijne szczęście, które ścisnęło go za serce, gdy obserwował ich z boku z cichą wdzięcznością za to, że ich ma.

Godząc się z porażką na całym froncie, przeszła do metodycznego zawieszania w szafie sukienek, które przyplęły z Bostonu. Robienie tego nie miało większego sensu, ale potrzebowała zajęcia, które pomogłoby jej ochłonać.

Przez kolejne godziny skrupulatnie segregowała następne pudła, co jakiś czas zatrzymując się, gdy znajdowała coś ciekawego, a jej umysł zaczynał błądzić, przywołując wspomnienia z jednego czy drugiego życia. Gdy został jej ostatni karton, był już środek nocy, a ponieważ nie natknęła się na to wcześniej, wiedziała dokładnie, co w nim znajdzie. I to prawie

skłoniło ją do zgaszenia światła i pójścia spać, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli nie zdobędzie się na odwagę teraz, nie zrobi tego nigdy.

Pożałowała swojej decyzji, gdy tylko chwyciła w dłonie drewnianą szkatułkę, którą dostała od chłopaka tak dawno, że wydawało się niemal całą wiecznością. Kolejna fala łez napłynęła jej do oczu, gdy zajrzała do środka i znalazła odrobinę poźółkłą już kartkę zapisaną niechlujnym pismem.

Chciałaś wiedzieć, co jest moim ulubionym widokiem. Co uważam za piękniejsze niż klify czy wschód słońca. Nawet jeśli wszystko inne się zmieniło, odpowiedź wciąż jest taka sama.

Do tej pory nie zdawała sobie do końca sprawy, jak bardzo zmieniła się przez te lata, ale różnica między siedemnastoletnią a dwudziestoczteroletnią Josie była porażająca. Dziewczyna ze zdjęć była pełna energii i życia. Na większości fotografii błyszczała szerokim, szczerym uśmiechem, od którego aż biły szczęście i bez troska. Były też takie, na których była poważna, ale wtedy jej twarz wyrażała spokój, który tylko jedna osoba na świecie potrafiła jej dać.

Nie miało to nic wspólnego z powagą, którą znalazłaby na swoich fotografiach z Carterem. Kobieta, którą stała się u jego boku, była nau czona zawsze pilnować siebie i swojego zachowania. Zawsze opanowana, by nie skompromitować siebie ani narzeczonego przed ważnymi ludźmi podczas bankietów. Nigdy nie śmiała się zbyt głośno, uśmiechając się, unosiła jedynie kącki ust.

I można to nazwać ironią losu, że w końcu sama zaczęła dążyć do ideału, którym jej matka przez tyle lat chciała ją uczynić.

Obudziła się, leżąc na miękkim dywanie pośród rzeczy, które spędziły jej sen z powiek na większą część nocy. Podniosła się powoli, masując kark obolały po kilku godzinach snu w niewygodnej pozycji. Zdecydowanie nie miała już siedemnastu lat, a w tamtym momencie odnosiła nawet wrażenie, jakby miała co najmniej sześćdziesiąt.

Czuła się fatalnie z powodu niewystarczającej ilości snu i ścierpiętego ciała, a paskudna aura panująca za oknem jedynie pogarszała sytuację.

Wzdrygnęła się niekontrolowanie na wściekle wyjący wiatr i krople deszczu objijające się o szybę. Zapowiadał się *okropny dzień z fatalną pogodą*.

Westchnęła ciężko, obserwując powstały bałagan, i zabrała się do zbierania rozsypanych zdjęć, które nagromadziły się podczas tych kilku miesięcy z Chase'em. Nie wiedziała, jak to o niej świadczyło, ale nie potrafiła się zdobyć na wyrzucenie ich. Zamiast tego zamknęła je razem z pozostałymi w drewnianej szkatułce, którą położyła tuż obok albumu.

Natomiast płyty, książki i całą resztę ich wspólnych zdobyczy z antykwariatów i pchlich targów umieściła w kartonie pośród rzeczy, których miała zamiar się pozbyć.

Nie mogła przecież przez resztę życia z powodu własnej sentymentalności ciągnąć za sobą wszystkiego, co kiedyś od niego dostała.

Od dziesięciu minut siedziała w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, obserwując antykwariat — niepewna, czy w ogóle jest otwarty. Jeszcze zanim wyjechała z domu, zadzwoniła do pani Murphy, by upewnić się, że sklep nadal funkcjonuje. Kobieta odpowiedziała twierdząco, ale teraz nie wyglądało na to, że właściciel jest w środku.

Nie było jednak innego sposobu, by się przekonać, niż wysiąść z auta i sprawdzić.

Zdecydowała, że na razie zostawi kartony w samochodzie, poprawiła płaszcz, wygładzając nieistniejące zagniecenia, i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę niewielkiego budynku z czerwonej cegły. Jej motywację stanowił prosty fakt, że chciała mieć tę sprawę za sobą. Najpierw zajrzała przez szybę i chociaż nie dostrzegła żadnego ruchu wewnątrz, podeszła również do drzwi, by mieć stuprocentową pewność, że pana Barnetta nie ma.

Szarpnęła za klamkę, a gdy nie ustąpiły, spróbowała też je popchnąć. Pamiętała, że przed laty właściciel często miał z nimi problemy, więc dla pewności powtórzyła próbę jeszcze kilka razy.

— To, że drzwi się nie otwierają, zazwyczaj oznacza, że sklep jest zamknięty. Szarpanie nic pani nie pomoże. — Głos podszyty ironią

dobiegł z za jej pleców, komentując jej dość idiotyczne dla postronnego widza starania.

Jednak dla Josephine treść komentarza nie miała najmniejszego znaczenia. *Znała* szydzący z niej głos i mrożąca świadomość tego, kto za nią stoi, na chwilę odebrała jej zdolność poruszania się.

Czuła się, jakby przeszył ją sople lodu. Zamroził wszystkie komórki nerwowe i krew płynącą w żyłach, zamieniając ją w lodową rzeźbę. I mimo że trwało to zaledwie kilka sekund, gdy stała tyłem z ręką na klamce, miała wrażenie, że minęły całe lata świetlne, zanim w końcu się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, który niegdyś był miłością jej życia.

Chase zrozumiał, do kogo mówi, dopiero gdy brunetka się odwróciła. Josephine widziała jak na dłoni wszystkie emocje, które przemknęły przez jego twarz. Widziała, jak w zaskoczeniu jego usta układają się w nieme „Jose” i jak kręci głową, cofając się o krok, jak gdyby chciał zaprzeczyć temu, co widzi. Aż w końcu zobaczyła, że zaskoczenie powoli znika, zastąpione przez przebłysk bólu, który pojawił się na pojedyncze uderzenie serca, zanim wszystkie emocje skryły się pod maską obojętności.

Gdy się odezwała, on patrzył już na nią jak na obcą osobę.

— Cześć.

I może faktycznie nią była, o ile w ogóle można stać się kimś obcym dla osoby, która widziała twoją duszę.

— Josephine.

Nie, Jose — było pierwszą myślą, jaka wpadła jej do głowy. Przez kilka sekund bez słowa skanowała każdy skrawek jego twarzy, jakby chciała nałożyć zmiany na obraz, który przez lata miała przed oczami. Chociaż nie było ich wiele, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Może miał odrobinę ostrzejsze rysy i może jego włosy układały się inaczej, niż pamiętała, ale poza tym wciąż wyglądał jak *jej Chase*.

Poza jednym — i właściwie tylko to przypomniło jej, że przecież już od dawna nim nie jest. Bo *jej Chase* nigdy nie patrzył na nią z takim chłodem w oczach.

Zaraz potem jej umysł na nowo zaczął pracować, a wraz z tym wróciła chłodna logika ścigana przez panikę. Bo przecież Archer powiedział jej, że Chase już od lat nie przyjeżdża do Moreton. Więc jakim cudem nagle się tu znalazł?

Musiał mieć powód — odpowiedziała sobie na własne pytanie. Archer zapewniał, że utrzyma jej przyjazd w tajemnicy, podobnie jak pozostała dwójka przyjaciół, ale najwyraźniej coś musiało się zmienić.

— Powiedzieli ci, że tu jestem? — Oboje do końca nie wiedzieli, czy było to pytanie, czy oskarżenie, ale Josie kontynuowała, nie dając mu dojść do słowa: — Kto ci powiedział? Archer czy Valerie? Ethan?

— O czym ty mówisz? — Chase czuł rozdrażnienie spowodowane coraz większą dezorientacją. Jeśli któreś z nich miało prawo naskakiwać na drugie z pytaniami, to tylko on. — Nikt mi o niczym nie... — urwał, gdy dotarło do niego, co dziewczyna miała na myśli.

Przez chwilę milczeli, zbyt przygniecenii własnymi emocjami, by zrobić coś więcej oprócz wpatrywania się w siebie z całkowitym niedowierzaniem.

Chase ponad wszystko owładnięty był poczuciem zdrady, jakie wiązało się ze zrozumieniem, że jego przyjaciele wiedzieli o powrocie dziewczyny i postanowili to ukryć. Josie próbowała pogodzić się ze świadomością, że się pomyliła i że Chase przyjechał do Moreton, nie wiedząc o jej obecności w miasteczku.

Wspomnienie z ich pożegnania pojawiło się przed jej oczami i miała ochotę roześmiać się ze złośliwości losu.

— *Pewnego pięknego dnia...*

Oboje płakali, wciąż uparcie się w siebie wpatrując.

— *...który w rzeczywistości będzie okropnym dniem z fatalną pogodą, upadniemy na siebie na chodniku. Zupełnym przypadkiem, który wręcz ocierać się będzie o przeznaczenie, znajdziemy się w tym samym miejscu, w tym samym czasie.*

A więc naprawdę spotkali się przypadkiem. Dokładanie tak, jak jej obiecał.

To się nie dzieje — wmawiała sobie. Takie rzeczy przydarzały się jedynie bohaterom filmów i książek. To było prawdziwe życie, tutaj miłość nie gwarantowała szczęśliwego zakończenia.

A jednak stali tu oboje niczym tragiczni kochankowie, rozdzieleni przed laty tylko po to, by ich drogi skrzyżowały się ponownie w wyniku absurdałnego zawirowania losu.

Nagle poczuła, że musi jak najszybciej uciec z tego miejsca i znaleźć się jak najdalej od niego.

— Będzie lepiej, jeśli już sobie pójdę — powiedziała drżącym głosem. Odsunęła się o krok, przebijając szczelną bańkę, w której utknęli na kilka chwil.

Chase chciał coś powiedzieć, chociaż sam nie wiedział co. Może nawet przez ułamek sekundy chciał ją zatrzymać.

Jednak w tym samym momencie, gdy otwierał usta, Josephine uniosła dłoń, by odgarnąć z twarzy rozwiane przez wiatr włosy, a uwagę chłopaka przyciągnął srebrny pierścionek na jej palcu.

Dlatego jedynie pokiwał głową i w milczeniu podążył wzrokiem za jej oddalającą się sylwetką. Dopiero gdy samochód zniknął z pola widzenia, z ulgą wypuścił wstrzymywany oddech, jakby sama jej obecność utrudniała mu oddychanie.

Rozdział 6

Archer naprawdę kochał swoje życie.

Może wynikało to z tego, że niewiele mu było potrzeba do szczęścia. Lub zwyczajnie potrafił cieszyć się z tego, co ma, zamiast szukać powodów do niezadowolenia i skupiać na myśleniu o tym, czego mu brakuje.

To była jedna z wielu cech, które odróżniały go od jego najlepszego przyjaciela. Chase zawsze twierdził, że jest źle, a nawet jeśli nie było, to zawsze mogło być lepiej.

Tymczasem Archer znajdował radość nawet w takich trywialnych rzeczach jak piątkowy wieczór spędzony w komfortowym zaciszu własnego mieszkania. Do pełni szczęścia potrzebował tylko butelki zimnego piwa, po które właśnie zmierzał do lodówki.

I dokładnie w momencie, gdy już miał otwierać drzwiczki, by wyciągnąć upragniony napój, jego spokój został przerwany przez dzwonek do drzwi.

— Chase?! — Jego reakcja była czymś pomiędzy zaskoczeniem a okrzykiem radości. Nie spodziewał się odwiedzin przyjaciela akurat dzisiaj, ale wieczór właśnie stał się lepszy.

Przynajmniej do momentu, w którym zobaczył minę gościa. Chase zazwyczaj był dosyć pośepny, zwłaszcza w ostatnich latach, ale ten szczególnie wyraz twarzy nie zapowiadał nic dobrego.

Archer nienawidził mieć racji.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — odezwał się brunet, wciąż stojąc w progu. W jego głosie pobrzmiwało poczucie zdrady. — Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ona tu jest? — Ponowił pytanie, ale tym razem z większym gniewem.

Archer westchnął ciężko, godząc się z myślą, że jego długo wyczekiwany przyjemny wieczór właśnie się skończył.

— Wejdz. Wszystko ci wyjaśnię.

— Wiedziałeś, że przyjeżdżam. — Zaczął chodzić w tę i z powrotem po salonie, oskarżycielsko wskazując na przyjaciela palcem. — Wiedziałeś, że ona tu jest, że jest w tym cholernym mieście. — Zatrzymał się w pół kroku, szarpiąc włosy. Miał ochotę wyrwać je wszystkie, a potem dostać się do mózgu i to samo zrobić z każdym wspomnieniem o Josephine. — I nic mi nie powiedziałaś.

Archer mimochodem zauważył, że przyjaciel unika imienia dziewczyny, jakby sam jego dźwięk niósł ze sobą przeszłość i otwierał z trudem zasklepione rany.

— Uznałem, że tak będzie najlepiej dla wszystkich — wyznał nietypowo ciężkim i posępnym jak na niego głosem. — Nie chciała, żebyś się dowiedział. Powiedziałem jej, że ułożyłaś sobie życie z dala od Moreton, i nie chciała ci w nim mieszać — wytłumaczył, również nie używając imienia przyjaciółki, by przypadkiem nie pogorszyć sytuacji. — A ty miałeś przyjechać tylko na chwilę i wrócić do Birmingham, więc było naprawdę niewielkie prawdopodobieństwo, że na siebie wpadniecie. Założyłem, że żadne z was się nie dowie.

Kiedy Chase zadzwonił do niego z informacją, że przyjeżdża do ich rodzinnego miasteczka na prośbę pana Barnetta, największą obawą Archera było właśnie to. Jednak jak przystało na optymistę, którym był, uznał, że najczarniejszy scenariusz jest zbyt nieprawdopodobny, by podjąć jakiegokolwiek działania.

— No to coś ci w tych założeniach nie wyszło, bo spotkałem ją pod antykwariatem. — Chase prychnął, ewidentnie ignorując szlachetne pobudki przyjaciela.

— A co niby miałem zrobić? Od razu pobiec do ciebie z informacją, że wróciła? Po co? Co byś zrobił z tą wiedzą, Chase?

Chase nie znał odpowiedzi na żadne z pytań i obaj dobrze o tym wiedzieli.

— Ona ma narzeczonego — dodał Archer już spokojniej, niepewny, jaką reakcję wywoła ta wieść.

— Uwierz, raczej trudno nie zauważyć na palcu pierścionka z kamieniem wielkości pięści.

W końcu westchnął ciężko i usiadł na oparciu kanapy, spuszczać głowę. Gdy się odezwał, przerywając chwilową ciszę, wcześniejszą złość zastąpił cień tych emocji, które dusiły go od sześciu lat.

— W pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłem... — Urwał, z frustracją przecierając twarz dłonią. — Przez jedną sekundę pomyślałem, że wróciła dla mnie. — Zaśmiał się krótko i bez cienia wesołości, uświadomiwszy sobie, jak żałośnie to brzmiało. — Minęło sześć lat, Archer. Pieprzone sześć lat, a ja wciąż jestem takim samym idiotą, jakim byłem, gdy wyjeżdżała.

Archer obserwował przyjaciela, zastanawiając się, co powinien powiedzieć i czy istnieją w ogóle słowa odpowiednie na taką sytuację. Chase siedział zgarbiony, opierając łokcie na udach, z twarzą schowaną w dłoniach, i wyglądał jak człowiek, który przegrał każdą rundę pojedynku z życiem.

Niezmiernie ciężko było widzieć najlepszego przyjaciela w takim stanie, a od wyjazdu Josephine widział go w takim i dużo gorszym zdecydowanie zbyt wiele razy. I podobnie ciężko było mu nie wykształcić w sobie nienawiści do dziewczyny, która to spowodowała. Wiedział, że to nie była jej wina, ale w takich chwilach żałował, że kiedykolwiek pojawiła się w ich życiu.

— Nie mam pojęcia, co robić — wyznał Chase po długim milczeniu.

Buntownicza postawa gdzieś zniknęła, podobnie jak złość. Została tylko bezsilność. Cholerna bezsilność, która była z nim już tak długo, że mógłby zacząć nazywać ją swoją przyjaciółką. Siostra bliźniaczka jego drugiej przyjaciółki — samotności.

— Nawet nie pół godziny przed tym, jak ją spotkałem, zgodziłem się zaopiekować antykwariatem przez kilka miesięcy.

— Co? — Archer szczerze wątpił, czy można być większym pechowcem niż Chase.

— Pan Barnett musi przejść operację biodra, a później wyjechać na jakiś czas na rehabilitację — wyjaśnił zrezygnowany. — Nie chciał się na to zgodzić, wiedząc, że musiałby zamknąć sklep. Nie mogłem mu odmówić. Zbyt wiele mu zawdzięczam. Traktował mnie jak członka rodziny, kiedy nie miałem nikogo.

— Ale co z pracą w Birmingham? — dopytywał Archer, próbując zrozumieć, jak przyjaciel sobie to wyobraża. — I całym życiem tam? Nie po to wyjeżdżałeś z Moreton, żeby teraz tu wracać.

— Przecież nie wracam na stałe — bronił się. — Rozmawiałem już z Jamesem. Będzie miał na oku mieszkanie. Powiedział też, że znajdzie kogoś na zastępstwo za mnie. Jak widać, łatwo mnie zastąpić. — Wzruszył ramionami, jakby mógł tym zamaskować fakt, że nie mówił tylko o ojcu. — I tak od dawna chciałem to rzucić i zacząć coś swojego.

— Więc co dalej?

— A co ma być? — zapytał, zupełnie jakby jego pierwsza i jedyna miłość nie pojawiła się ponownie w jego życiu. — Josephine Sinclair jest dla mnie nikim. Mamy wspólną przeszłość, ale to jedyne, co nas łączy, i nie ma to dla mnie znaczenia, podobnie jak ona. — Z tym stwierdzeniem podniósł się do pionu i ruszył do kuchni z pozorną beztroską. — Masz piwo? Napiłbym się czegoś.

Nic dla niego nie znaczyła. Może jeśli będzie powtarzał to wystarczająco często, przekona nawet samego siebie.

Josephine chyba nigdy wcześniej nie czuła, żeby ziemia usuwała jej się spod nóg tak boleśnie, jak przez następne dni po tamtym wydarzeniu. *Sześć lat*. A wystarczyło jedno spotkanie, by cały świat, który tak starannie przez ten czas budowała, zatrząsł się w posadach. Lada moment pierwsze odłamki sufitu zaczną się osypywać, zwiastując, że zaraz wszystko runie jej na głowę.

Może zwyczajnie była słaba, ale nie potrafiła wyobrazić sobie, że ktoś inny na jej miejscu potrafiłby potraktować to z obojętnością. Patrzenie w oczy osobie, która kiedyś znaczyła dla niej więcej niż cały świat

i wszystkie gwiazdy na niebie, ze świadomością, że to minęło. Że pomimo tylu zapewnień i obietnic jednak stali się jedynie duchami przeszłości.

Przeszłość zawsze boli, gdy wraca.

— Jesteś ostatnio jakaś inna — zaczął William, gdy siedzieli w kuchni, pijąc kawę. Miłość do kofeiny okazała się ich wspólnym mianownikiem. — Chodzi o twoje spotkanie z mamą?

Jeśli miałyby szukać pozytywnych spotkania pod antykwariatem, to jedynym było właśnie to, że czas, który następnego dnia spędziła z matką, był jej całkowicie obojętny. Zdążyła już nawet zapomnieć większość komentarzy, jakie padły pod jej adresem z ust Lillian.

Jednocześnie jedynym plusem spotkania z matką było to, że na chwilę odwróciło jej uwagę od faktu, że widziała Chase'a.

— Bo jeśli coś zrobiła albo powiedziała, to wiesz, że...

— William, bez urazy, ale mam jakieś tysiąc razy większe doświadczenie w radzeniu sobie z naszą matką niż ty. — Przekleła się w myślach za to, że za późno ugryzła się w język. Nie chciała wzbudzać w bracie wyrzutów sumienia, skoro powoli zaczęli się dogadywać. — Ona zawsze coś robi, a jeszcze więcej mówi. Nic, czego bym wcześniej nie słyszała. — Wzruszyła ramionami, starając się tym samym pokazać, że zachowanie ich rodzicielki nie robi na niej wrażenia.

— A co powiedziała tym razem? — dopytywał, korzystając z tego, że nie ucieła tematu tak stanowczo, jak to miała w zwyczaju, gdy tylko zaczynał rozmowę na bardziej osobiste tematy. Nie spodziewał się, że poznanie siostry okaże się takie trudne, ale na szczęście kolejną wspólną cechą rodzeństwa był upór. Oboje byli tak samo uparci i nawet jeśli Josephine uciekała przed otwarciem się, William nie tracił determinacji. — Podobno chciała się z tobą spotkać, żeby porozmawiać o twoim ślubie z Carterem.

— Nic specjalnego. — Jej głos był pozbawiony emocji, jakby komentowała deszczową pogodę za oknem. Upiła łyk czarnej kawy. — Uznała, że skoro będzie to uroczystość na dużo wyższym poziomie, niż ja sama sobą reprezentuję — powiedziała, robiąc cudzysłów w powietrzu, by podkreślić, że były to słowa matki — to lepiej dla wszystkich będzie,

jeśli organizacją ślubu zajmą się specjaliści, których ona wybierze, po czym w miarę możliwości będzie miała oko na przygotowania. Bo przecież nie możemy sobie pozwolić na to, żebyś przyniosła wstyd rodzinie Sinclairów w tak ważnym dniu. — Uśmiechnęła się sarkastycznie, kończąc swoją wypowiedź.

— I ty się na to zgodziłaś? — William wydawał się szczerze zdziwiony jej podejściem. — Przecież to *twój* wielki dzień i to dla ciebie powinien być idealny, a nie dla niej. Ona swój wielki dzień już miała, jak wychodziła za tatę.

— A dinozaury chodziły jeszcze wtedy po ziemi i sypały kwiatki przed jaskinią, w której się pobierali. — Uśmiechnęła się zgryźliwie, obserwując, jak William próbuje opanować wybuch śmiechu.

— Nawet jeśli było to w epoce kamienia, nie zmienia to faktu, że *było*, więc swój wielki dzień już miała. — Wciąż walczył z rozbawieniem, ale jego spojrzenie pozostawało troskliwe. — Poza tym *ja* się urodziłem niedługo po tym ślubie, a nie jestem aż taki stary.

— W każdym razie... — zignorowała oburzenie brata — nie kłóciłam się z nią, bo uznałam, że tak będzie łatwiej dla wszystkich. Ten ślub będzie wystarczająco stresujący i bez matki strofującej mnie jak dziecięciolatkę. — William nadal nie wyglądał na przekonanego, więc wyjaśniała dalej: — Jeśli zrobi po swojemu, przynajmniej będzie miała mniej argumentów do krytykowania. A dla mnie i tak nie ma większego znaczenia, gdzie to będzie ani jaki kolor kwiatów będą miały dekoracje na stołach. Po prostu chcę mieć to już za sobą.

— Okej, rozumiem. — Uniósł ręce w geście poddania. — Po prostu twoje podejście trochę mnie dziwi, bo Crystal dostała obsesji na punkcie planowania naszego ślubu. Osobiście musiała dopilnować najmniejszego szczegółu, żeby było dokładnie tak, jak ona sobie wymarzyła. — Uśmiechnął się czule do własnych wspomnień. — Ale jeśli ty zdecydowałaś inaczej, to masz moje pełne wsparcie. Tylko nie daj sobie wejść na głowę, jasne? Ani matce, ani nikomu innemu.

— Jasna sprawa, braciszku. — Zasalutowała ironicznie. Ich kontakt się poprawił, ale wciąż jeszcze musiała się przyzwyczaić do tego, że ktoś jest wobec niej tak opiekuńczy, zwłaszcza William.

— Moja mała siostrzyczka. — Przyciągnął ją do siebie, zamknął w uścisku i zmierzwił jej włosy, jakby była dzieckiem.

— Zrób tak jeszcze raz i wydrapię ci oczy — zagroziła, gdy się uwolniła, ale jej groźny ton został całkowicie zagłuszony przez śmiech mężczyzny.

William miał rację w jednej kwestii. Nie mogła pozwolić innym wejść sobie na głowę. I nawet jeśli była to bardzo szeroka interpretacja jego słów, tym tropem doszła do stwierdzenia, że nie może się wiecznie chować w domu w obawie, że spotka Chase'a.

A im dłużej nad tym myślała, tym mniej prawdopodobne wydawało jej się, że chłopak nadal jest w Moreton. Przecież miał swoje życie w Birmingham i nawet jeśli z jakiegoś powodu odwiedził rodzinne miasteczko, wizyta nie mogła przecież trwać dłużej niż kilka dni. A już na pewno nie dwa tygodnie, które minęły od ich spotkania. Ostatecznie uznała, że Chase pewnie już od dawna jest daleko stąd, a ona niepotrzebnie panikuje.

Mogłaby zapytać o to Archera, ale nie chciała stawiać go pomiędzy młotem a kowadłem. Musiał wiedzieć o przyjeździe przyjaciela i decyzja o ukryciu tego przed Josie była jasnym sygnałem, że starał się zachować neutralność. Podejrzewała, że i tak narobiła mu wystarczająco problemów, wygadując się przed Chase'em, że wiedział o jej powrocie.

Zamiast tego postanowiła zaryzykować i zrobić drugie podejście do oddania rzeczy, których teraz chciała się pozbyć jeszcze bardziej niż wcześniej.

Tym razem miała pewność, że antykwariat jest otwarty, bo jeszcze zanim wysiadła, widziała kobietę, która akurat wchodziła do sklepu z piękną starą lampą. Zapewne zamierzała oddać ją panu Barnettowi, podobnie jak Josie swoje rzeczy. Josephine poczekała kilka minut, aż kobieta opuści sklep, wyciągnęła ciężkie pudło z tylnego siedzenia i pewnym krokiem ruszyła w stronę wejścia.

Wewnątrz wszystko wyglądało tak, jakby czas się zatrzymał. I może było to jedynie złudzenie, ale była niemal pewna, że niektóre przedmioty

stały w tym samym miejscu, gdy spędzała tu popołudnia wypełnione pyszną herbatą i historiami charyzmatycznego właściciela. Nawet pachniało zupełnie jak wtedy.

Pana Barnetta nie było przy drewnianym kontuarze, więc odłożyła pudło na ciemny blat i zadzwoniła barowym dzwonkiem. Słyszała kroki dochodzące z zaplecza i na jej twarz mimowolnie wpłynął uśmiech. Spodziewała się, że zaraz w zasięgu wzroku pojawi się przygarbiona sylwetka siwowłosego mężczyzny.

Nagle spowaźniała i była wdzięczna, że nie trzyma już niczego w rękach. Zapewne upuściłaby wszystko, widząc, że z zaplecza wcale nie wyłania się pan Barnett, tylko wysoki brunet, którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miało już nie być w mieście.

Tym razem Josephine nie miała pojęcia, co poczuł lub pomyślał na jej widok, bo jego twarz była wyprana z jakichkolwiek emocji.

— W czym mogę pomóc? — odezwał się i nawet jeden mięsień na jego twarzy nie drgnął, by zdradzić jej, że pod tą zimną postawą kryją się uczucia. Zupełnie jakby naprawdę rozmawiał z kompletnie obcą osobą.

Weź się w garść — nakazała sobie stanowczo.

— Przyniosłam kilka rzeczy, których chciałam się pozbyć, i pomyślałam, że... — przerwała, by opanować drżący głos, który łamał się pod ostrym spojrzeniem chłopaka. W końcu westchnęła ciężko, przeczesując włosy dłonią, i zdecydowała się na szczerość: — Przepraszam, nie spodziewałam się, że nadal będziesz w Moreton. Liczyłam, że spotkam tu pana Barnetta.

— Cóż, ja liczyłem, że nie spotkam tutaj ciebie, więc zgaduję, że oboje się zawiedliśmy — odparł niewzruszony jej wyjaśnieniem. — Pana Barnetta nie będzie tu jeszcze kilka miesięcy, a za te jakże *szczodre* dary dziękujemy, ale na ten moment nie przyjmujemy nic od klientów, więc możesz sobie darować następne wizyty — poinformował ją z uśmiechem równie zimnym, co cała jego postawa.

Josephine zaczynała odnosić wrażenie, że przejrzał jej uczucia na wylot i teraz czerpie satysfakcję z jej bólu. Gdyby nie była tak rozbita jego wrogością, może wytknęłaby mu oczywiste kłamstwo, bo doskonale

widziała stojącą za nim lampę. Tę samą, którą tamta kobieta przyniosła zaledwie pięć minut wcześniej.

— Rozumiem. — Skinęła głową, doskonale łapiąc ukryty przekaz.

Miała mu nie wchodzić w drogę. Mogła to zrobić i nie musiał być dla niej taki okrutny, żeby to osiągnąć. Była przyzwyczajona do spełniania życzeń innych kosztem własnych pragnień.

Spuściła wzrok i pospiesznie chwyciła pudło. Jej twarz wykrzywił nieznaczny grymas bólu, gdy znów poczuła ciężar kartonu wypełnionego w dużej mierze książkami, ale zignorowała to i ruszyła do wyjścia.

Wiedziała, że ją obserwuje. Jego wzrok był jak dwa ostrza wbite w plecy. Jednak nie zamierzała dać mu większej satysfakcji niż ta, którą już zapewne odczuwał, poniżając ją.

Drogę do samochodu przemierzyła najpewniejszym krokiem, na jaki było ją stać, i z dumnie uniesioną głową. Dopiero gdy znalazła się poza zasięgiem spojrzenia mężczyzny, mogła odetchnąć z ulgą. Kiedy spojrzała we wsteczne lustro, zorientowała się, że jej twarz jest mokra od łez.

Rozdział 7

Chase czuł się podle.

Przez krótką chwilę po tym, jak za Josephine zamknęły się drzwi, odczuwał satysfakcję i ulgę, że dał upust złości, która kotłowała się w nim, odkąd spotkali się pod antykwariatem. A może nawet siedziała w nim całe sześć lat.

Jednak ta radość trwała krótko. Zaraz po niej przyszły wyrzuty sumienia oraz dobijająca świadomość tego, jak żalonym człowiekiem się stał. Jakim ona go uczyniła swoim odejściem.

Podświadomie wiedział, że to nie była jej wina. Ta niewielka część, która nie zdążyła w nim jeszcze do reszty zgnić i pozostała niezainfekowana gniewem oraz bólem, wiedziała, że nie może jej winić.

Jednak ona ruszyła dalej, podczas gdy on nadal tkwił w zawieszaniu, zbyt zepsuty, by się do reszty pozbierać. Obarczenie jej odpowiedzialnością zwyczajnie było wygodniejsze.

Dwa spotkania, pierścionek na palcu i fakt, że dobrowolnie wróciła do miejsca, w którym mogła go spotkać, wystarczyły, by wysnuć wnioski. I one były siłą napędową większości burzących się w nim emocji.

Ich miłość nie zniszczyła jej tak, jak to zrobiła z nim.

Josephine nigdy nie kochała go tak mocno, jak on kochał ją.

Więc Chase, jak zawsze czujący za wiele i za bardzo, pozwolił sobie ją za to znienawidzić.

Miał ochotę zadzwonić do Archera. Liczył, że przyjaciel poprawi mu humor albo przynajmniej zajmie czymś jego myśli. Zrezygnował jednak, przypomniawszy sobie, że aktualnie ich stosunki nie są najlepsze.

Archer już na samym początku postanowił zachować neutralność w wojnie, która ewidentnie nadchodziła, i oznajmił, że nie zamierza brać niczyjej strony. Jednak to nie powstrzymało go przed nawrzeszczeniem na Chase'a, gdy ten opowiedział mu, jak się zachował w antykwariacie. I być może miał trochę racji.

— Wiesz, że pytała o ciebie, gdy się spotkaliśmy? — powiedział mu w końcu, gdy opanował się na tyle, by przestać wyzywać go od skończonych dupków i idiotów. — Bardzo chciała usłyszeć, że jesteś szczęśliwy. Gdybyś tylko widział jej minę, gdy jej powiedziałem, że udało ci się z ojcem. — Patrzył na niego karcąco, próbując wzbudzić w nim wyrzuty sumienia. — Bez względu na wszystko ona nadal życzy ci dobrze, a ciebie nie stać nawet na odrobinę ludzkiej przyzwoitości?

Chase czasem miał wrażenie, że jego wiecznie bez troski i roztrzepany przyjaciel wydorósł, odkąd został ojcem. Kiedy go karmił za okropne zachowanie względem Josie, miał nawet spojrzenie, które mogłoby uchodzić za ojcowskie. Chociaż może akurat Chase nie był odpowiednią osobą, by to oceniać, skoro sam miał ojca zaledwie od kilku lat.

W każdym razie słowa Archera przyniosły zamierzony rezultat, bo im dłużej siedziały mu w głowie, tym gorzej się czuł sam ze sobą. W końcu w akcie desperacji postanowił nawet wyjść na spacer, chociaż nie miało to większego sensu w kwestii poprawy jego nastroju. Może poza tym, że odrobinę nienawiści do samego siebie mógł przenieść na nienawiść do rodzinnego miasta.

A Chase naprawdę nienawidził Moreton. Szczerze i dogłębnie gardził wszystkim, co się na nie składało. Ludźmi, budynkami, dosłownie wszystkim, aż do najmniejszego źdźbła trawy. Czasami chciałby, żeby spłonęło do gruntu, by zostały tylko zgliszcza, które też pewnie by nienawidził. Wiedział jednak, że to się nie stanie, bo w Moreton nigdy nie działały się żadne tragedie, które dotknęłyby całą społeczność.

Wszystkie nieszczęścia spotykały ludzi jako indywidualne jednostki. Miasteczko składało się z osobistych tragedii, które działały się za zamkniętymi drzwiami uroczych domów z zadbanymi ogródkami.

W obronie Moreton można powiedzieć, że Chase nie lubił obecnie żadnego miejsca na świecie. Birmingham w jego opinii było zbyt głośne, pozbawione wyrazu. Sieć kanałów wcale nie sprawiała, że czuł się tam jak w Wenecji, wbrew temu, co kiedyś żartem powiedział mu ojciec.

Miłością darzył jedynie Seaport. Ale potem spędził tam z Josephine najpiękniejsze momenty swojego życia i teraz nadmorskie miasteczko było jedynie smętnym cementarzyskiem, w którym na każdym kroku potykał się o pogrzebane wspomnienia. Dlatego nie był tam od lat i nie sądził, by to się prędko zmieniło.

Zapewne chodziłby tak jeszcze długo, kontemplując własną nienawiść, gdyby nie to, że do jego uszu dobiegł śmiech. Nieprzypadkowy śmiech. Ten sam, który całe lata temu był jego ulubionym dźwiękiem — i był wtedy gotów zrobić wszystko, by nigdy nie ucichł. *Śmiech Jose*.

Gdy obrócił głowę w kierunku dźwięku, zobaczył, że dziewczyna siedzi na ławce zaledwie kilka metrów od niego, obserwując plac zabaw, na którym bawiło się kilkoro dzieci. W pewnym momencie, jakby wyczuła, że ktoś na nią spogląda, obróciła się w jego stronę. Gdy ich oczy się spotkały, uśmiech jeszcze grał na jej ustach.

Przez kilka ułamków sekundy mógł żyć złudzeniem, że uśmiecha się w ten sposób do niego.

Ale tego nie robiła, bo chwilę później uśmiech zgasł, a szczęście rozplynęło się w powietrzu. Teraz jej spojrzenie było styczniowym porankiem na biegunie północnym.

Chase gdzieś między tym wszystkim chciał podejść, chociaż sam nie wiedział po co. Bo co miał powiedzieć? Przeprzić za swoje zachowanie? Zacząć niezobowiązującą rozmowę o pogodzie? Zapytać, co słysząc, a później wysłuchiwać o jej narzeczonym i idealnym życiu, które zapewne wie? Chyba już wolałby wrócić do szkoły, a przecież *nienawidził* szkoły.

Cokolwiek planował, nie dano mu szansy na realizację tego, bo ten krótki moment, kiedy patrzyli na siebie bez słowa, został przerwany przez małą postać, która pojawiła się przy brunecie.

— Kim jest ten pan?

Chase poczuł, że mu niedobrze. Kilkuletnia dziewczynka wyglądała jak kopia Josephine. Te same włosy, rysy twarzy i podobny, choć jaśniejszy kolor oczu.

— Nikim ważnym — odpowiedziała ze wzrokiem wciąż utkwionym w swojej dawnej miłości.

Może w innych okolicznościach jej słowa mogłyby go zabołec, ale wtedy w jego głowie odbijała się tylko jedna myśl. *Ona ma córkę.*

— Chodź, zającu, powinnyśmy już wracać. Tata na pewno czeka na nas w domu.

Złapała dziewczynkę za rączkę i razem ruszyły w przeciwnym kierunku, nie posyłając mu nawet jednego spojrzenia. Chase jeszcze przez chwilę wpatrywał się w dwie oddalające się sylwetki, zanim sam się obrócił i ruszył w swoją stronę.

Właściwie już sam nie wiedział, czego w tamtej chwili nienawidził najbardziej.

— Coleman, czy ja ci już kiedyś nie powiedziałam, że masz nie przywodzić swoich panienek do Alfiego? — wyrzuciła z siebie dziewczyna z burzą ciemnych loków na głowie, obrzucając Josie nieprzyjaznym spojrzeniem. — Wyrwij sobie, co i kogo chcesz, ale przynajmniej nie wykorzystuj do tego mojego syna.

— Naszego syna — upomniał ją chłopak z typowym dla siebie pogodnym uśmiechem. — A to... — Objął ramieniem brunetkę stojącą z nim w drzwiach. — To jest Josie, moja przyjaciółka. Opowiadałem ci o niej, pamiętasz?

Zmiana w postawie młodej mamy była natychmiastowa. Na jej usta wpłynął uśmiech, który przepędził początkową nieprzystętność.

— To ty jesteś tą laską, która zostawiła Chase'a i zwiła do Bostonu? — zapytała bez krepacji, wyciągając rękę do Josephine. — Jestem Camille, ale wszyscy mówią na mnie Cami. Wejdźcie.

Archer od razu skierował się do pokoju, gdzie jak Josie podejrzewała, przebywał jego syn, ją zostawiając z matką chłopca.

— Tak między nami, wcale ci się nie dziwię, że go zostawiłaś. Straszny z niego ponurak — rzuciła od niechcienia, jakby znały się od lat i plotkowały ze sobą regularnie. Nawet nie poświęcała dziewczynie zbyt wiele uwagi, zajmując się pakowaniem dziecięcych rzeczy do torby.

Josephine oderwała się na chwilę od podziwiania mieszkania i spojrzała na Cami, zaskoczona bezpośredniością, z jaką dziewczyna podeszła do tematu, do którego wszyscy inni, łącznie z samą Josie, podchodzili jak pies do jeża.

— To nie do końca tak, że go zostawiłam — wyjaśniła niepewnie.

— Nie? — Camille przerwała krzątanie się po mieszkaniu i spojrzała na Josie z ciekawością. W końcu jednak wzruszyła ramionami. — Mój błąd w takim razie. Po prostu z tego, co mówił Archer, wynikało, że chłopak nieźle się załamał po twoim wyjeździe, więc nie podejrzewałabym, że to on zerwał.

Josie nie sądziła, by kiedykolwiek wcześniej była tak wdzięczna za pojawienie się Archera.

— Okej, jesteśmy. — Chłopak wszedł do salonu z chłopcem na rękach, zupełnie nieświadomy zakłopotania, w jakie wpędziła Josephine wymiana zdań z Cami. — A kogo my tu mamy? Ciocia Josie. Kruszynko, poznaj Archera Juniora.

Josephine nigdy nie sądziła, że przyjdzie jej doświadczyć widoku roztrzępanego i wiecznie beztroskiego przyjaciela trzymającego na rękach swojego syna. Duma i czułość, jakie od niego biły, gdy spoglądał na chłopca, były rozczulające, ale obserwowanie go takiego budziło w Josie słodko-gorzkie uczucia. Ta jedna scena pokazywała, jak wiele lat upłynęło i jak wiele ją ominęło.

— Nie żebym was wyganiała, ale dzisiaj jest mój dzień wolny od piełuch i już naprawdę nie mogę się doczekać, żeby móc się w końcu porządnie wyspać. — Cami dołączyła do nich z torbą w dłoni i wręczyła ją Josephine. — Macie tam wszystko, czego młody potrzebuje. Buzi dla mamy. — Ostatnie zdanie powiedziała już do niemowlaka i nachyliła się do synka.

— Myślałem, że chcesz buzi ode mnie. — To z kolei był już ten Archer, którego Josephine dobrze знаła.

— Coleman, do wyjścia — rozkazała kategorycznie Camille, chociaż jasne było, że ta twarda postawa jest jedynie na pokaz. — Pilnuj dziecka. Josie... — Odwróciła się do brunetki. — Pilnuj ich obu.

— Więc... — Josephine postanowiła skorzystać z okazji i zaczęła temat, który nękał ją, odkąd wyszli z mieszkania. — Ty i Cami?

Spojrzenie, jakim w pierwszej chwili obdarzyła ją Camille, Josie poznała aż za dobrze, pojawiając się na bankietach u boku Cartera. I nie wpisywało się ono w kategorie relacji, jaką opisał jej Archer podczas ich pierwszego spotkania.

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi — powiedział, unikając wzroku Josephine.

Zamiast tego po raz dziesiąty w przeciągu kilku minut zajrzał do wózka chłopca, który zasnął chwilę wcześniej, zanim usiedli na jednej z licznych parkowych ławek.

— Wiesz... — Nie mogła powstrzymać uśmiechu na odpowiedź chłopaka. — Znałam kiedyś dwoje takich, którzy też ciągle powtarzali, że są *tylko przyjaciółmi*. — Posłała mu sugestywne spojrzenie, nawiązując do siebie i Chase'a. — I wszyscy wiemy, co z tego wyszło.

— Tak. Wszyscy wiemy też, jak to się skończyło — odparł Archer, skutecznie gasząc rozbawienie dziewczyny.

Rozmowa na chwilę ucichła, więc Josephine skupiła uwagę na szarej wiewiórce, która biegła nieopodal nich. Uśmiechnęła się w duchu na odległe wspomnienie z dzieciństwa, kiedy pani Murphy zabierała ją i Valerie do Londynu i zimą przychodziły do jednego z parków, żeby dokarmiać wiewiórki orzechami.

— Dlaczego oboje mnie nienawidzą? — zapytała nagle, odwracając się w stronę przyjaciela. — Chase i Valerie. Może nawet Ethan.

— Ethan to najbardziej bezkonfliktowa osoba na świecie. Wątpię, czy jest w stanie kogoś nienawidzić — rzucił wymijająco, ale zaraz zreflektował się, że tym samym potwierdził przypuszczenia dziewczyny odnośnie

do pozostałej dwójki. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że Chase i Val wcale cię nie nienawidzą.

Bardzo starał się brzmieć przekonująco, ale Archer nigdy nie był dobrym kłamcą. Nawet dziecko nie uwierzyłoby w jego łągarstwa.

— Proszę cię, ja naprawdę nie jestem ślepa. — Josephine, niestety dla niego, również nie uwierzyła. — Widziałam morderczy wzrok Chase'a i widziałam, jak zachowywała się Valerie. Oboje najchętniej wpakowaliby mnie w pierwszy samolot do Bostonu, żeby nigdy więcej nie musieć mnie oglądać.

— Będę z tobą całkowicie szczerzy, okej? — zaczął, wiedząc, że nie da się tej rozmowy przeprowadzić inaczej, nawet jeśli ostatecznie, czego chciał, to zranić Josephine. — Wszystkim nam jest trudno zaakceptować twój powrót, bo całe lata zajęło nam zaakceptowanie twojego wyjazdu. Ja chyba wyszedłem z tego najlepiej ze wszystkich, bo mieliśmy *jakiś* kontakt. A poza tym jesteś moją kruszynką, jak mógłbym się na ciebie złościć? — dodał z ciepłym uśmiechem, licząc, że te słowa chociaż trochę polepszą sytuację. Nie zrobiły tego. — Każdy z nas to przeżył na swój sposób, a w dodatku wszyscy widzieliśmy, jak znosi to Chase...

— A jak to znosił? — zapytała. — I nie zbywaj mnie tym, że było źle, bo to już wiem, ale może jeśli poznam szczegóły... — zawahała się. Sama nie była pewna, dlaczego tak bardzo jej na tym zależy. — Chcę tylko zrozumieć.

Archer westchnął. Nie był zaskoczony tą prośbą. Spodziewał się, że prędzej czy później dziewczyna będzie chciała wiedzieć. Odwrócił wzrok i zajął do wózka, poniekąd by sprawdzić, czy z Alfem wszystko w porządku, a po części, by zyskać chociaż chwilę na zebranie myśli.

Gdy znalazł w sobie odwagę i wrócił spojrzeniem do brunetki, spotkał się z nieustępliwym spojrzeniem, które dobrze znał.

Niezłomna Josephine Sinclair — pomyślał i niemal się uśmiechnął. Dawno temu, jeszcze zanim zostali przyjaciółmi, uważał, że taka właśnie jest. Twarda jak skała. Dziewczyna, której nic nie złamie. Taka była w oczach innych, bo tak właśnie chciała być postrzegana.

Jednak później poznał ją bliżej i zrozumiał, że wcale nie jest niepokonana. I chociaż niezmiennie uważał ją za jedną z najsilniejszych osób, jakie poznał, będąc jej przyjacielem, wiedział, że nawet ona ma swój limit wytrzymałości. Archer był przy niej, gdy go osiągała, i bardzo nie chciał być osobą, przez którą przekroczyłaby tę granicę.

— Tego nawet nie można nazwać cierpieniem po rozstaniu — powiedział w końcu pokonany. — To była żałoba. Przez pierwsze dni praktycznie nie było z nim kontaktu. Potrafił całymi godzinami milczeć i wpatrywać się w swoją ścianę ze zdjęciami. Musieliśmy ustalić grafik, żeby codziennie sprawdzać, czy w ogóle jadł. — Przerwał na chwilę, by sprawdzić reakcję dziewczyny, ale ta nie dała po sobie poznać, co czuje. — Potem zaczął znikać, ale nie tak, jak w liceum, kiedy wyjeżdżał na trochę i wracał. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy musieliśmy odbierać go w środku nocy z komisariatów czy szpitali w innych miastach, bo wszczął bójkę po pijaku. Albo ile razy się zgubił i nie wiedział, gdzie jest, więc dzwonił do nas, prosząc o pomoc.

Dobrowolne słuchanie o tym było czystym aktem masochizmu, ale Josephine czuła, że musi to usłyszeć. Musiała też wiedzieć jedną rzecz:

— Czy... wrócił do brania narkotyków?

Mina Archera wystarczyła jej za odpowiedź.

— Kilka razy — potwierdził to, co Josie sama zdążyła wywnioskować. — Szczęście w nieszczęściu, że... — To naprawdę nie on powinien opowiadać tę część historii, ale żadna z osób do tego uprawnionych prawdopodobnie nigdy tego nie zrobi. — Został zatrzymany przez policję, gdy prowadził pod wpływem narkotyków. Na tym etapie miał już w kartotece kilka wcześniejszych bójek, więc groziło mu więzienie.

— Jak to się skończyło? — zapytała, chociaż wcale nie chciała wiedzieć. Zniosłaby świadomość, że Chase trafił do więzienia, a ona w pewnym stopniu się do tego przyczyniła?

— Valerie. — Archer rzucił imię przyjaciółki, jakby było ratunkiem od wszystkich problemów. — Przekupiła funkcjonariuszy, którzy go zatrzymali, żeby nie wnieśli oskarżenia, ryzykując przy tym, że sama skończy w sądzie za oferowanie łapówek. Miała szczęście i uszło jej to na

sucho. — Uśmiechnął się ironicznie, bez cienia wesołości. — Byliśmy dziećmiakami na pierwszym roku studiów i żadne z naszych rodziców nie dałoby nam pieniędzy, więc użyła swojej części spadku po mamie. Jej ojciec się o tym dowiedział.

— Co zrobił?

— Praktycznie ją wydziedziczył — wyjaśnił bez emocji. — Z dnia na dzień przestał płacić za jej studia i mieszkanie, odciął dostęp do pieniędzy, zostawiając ją na lodzie. Nie pojawił się nawet na jej ślubie z Ethanem. Dopiero niedawno odnowili kontakt.

To wyjaśniało nieprzyjazne nastawienie Valerie wobec Josephine. Pośrednio z jej winy straciła ojca, który po śmierci mamy był jej jedyną rodziną.

— W każdym razie po tym wszystkim odbyła z Chase'em długą rozmowę i nawet Ethan nie ma pojęcia, co dokładnie mu powiedziała — zaznaczył od razu Archer, spodziewając się pytania. — Ale cokolwiek to było, zadziało. Chase wyjechał na kilka tygodni w to swoje miejsce i gdy wrócił, było z nim dużo lepiej.

Seaport — uświadomiła sobie od razu Josephine i podziękowała w duchu za obecność Florence w życiu Chase'a. Nie miała wątpliwości, że u niej był pod najlepszą opieką.

— Było tak, jakby coś znowu tchnęło w niego życie. Ethan z Valerie zaczęli planować wesele i wydawało się, że naprawdę cieszy się ich szczęściem. Wszyscy pomagaliśmy w przygotowaniach i było *prawie* normalnie. — Archer zastanawiał się, jakim cudem lata później to nadal boleło tak samo, jak wtedy, kiedy się działo. — A potem nagle upił się na weselu i zaczął wygadywać różne rzeczy. Jak bardzo cię nienawidzi i jak bardzo... żałuje, że cię pokochał.

Sposób, w jaki Archer powiedział ostatnie zdanie, sugerował, że chłopak bał się sprawić nim Josie ból. Jednak paradoksalnie wywołało ono najmniejsze wrażenie ze wszystkiego, co powiedział. Dziewczyna sama przeklinała dzień, w którym Chase pojawił się na jej drodze, wystarczająco dużo razy, by rozumieć zachowanie bruneta.

— Sądziłem, że to wina alkoholu, ale następnego dnia zaczął zachowywać się tak, jakby był kompletnie wyprany z uczuć. Nie załamał się jak na początku, funkcjonował normalnie, pracował w antykwariacie, ale zachowywał się jak robot. Jakby ktoś wyłączył mu emocje. — Zdaniem Archera ten stan był nie mniej przerażający, niż kiedy Chase godzinami wgapiał się w ścianę. — Wtedy też zaczął się zachowywać tak, jakbyś nigdy nie istniała. Jakby kompletnie wymazał z pamięci ciebie i wszystko, co między wami było. Taki stan utrzymywał się aż do śmierci jego matki, a potem wyjechał. Resztę już znasz.

Alfie wybrał ten moment, by się obudzić, i Josephine była mu za to niezmiernie wdzięczna. Potrzebowała chwili, gdy Archer był zajęty czymś innym, żeby poukładać sobie w głowie wszystko, czego się dowiedziała, i towarzyszące temu emocje.

— Powiesz mi, co o tym wszystkim myślisz?

Co myślała? Przede wszystkim, że ich rozumie. Pragnęła poznać powody nienawiści Chase'a i Valerie i je dostała. Teraz mogła powiedzieć, że jest w stanie zrozumieć, bo sama znienawidziła się odrobinę za ból, jaki wywołała w osobach, które nadal miały specjalne miejsce w jej sercu. Jednak pogodzenie się z tym było nieco inną kwestią.

— Nie wydaje ci się, że jesteście trochę niesprawiedliwi? — odpowiedziała chłodno pytaniem, czując irracjonalną złość. — Zachowujecie się, jakby Chase był jedyną osobą, która wtedy ucierpiała, jakbym zraniła go specjalnie, a nie macie pojęcia...

Pomyślała: *...co ja przeszłam*. Jednak nie powiedziała tego na głos.

— Właśnie — zgodził się równie oschłym tonem. — Nie mamy pojęcia, Josie. Żadne z nas nie wie, co dokładnie przeszłaś przez ostatnie sześć lat i jak to zniosłaś, nawet ja. Nie jestem na tyle głupi, by wierzyć, że wysiadłaś z samolotu z uśmiechem na ustach, ale sam fakt, że wróciłaś tutaj z własnej woli i z wielkim pierścieniem na palcu, nasuwa wniosek, że poradziłaś sobie z waszym rozstaniem dużo lepiej niż on.

— Więc postanowiliście zrobić ze mnie czarny charakter tej historii, zupełnie jakbym ukrywała przed wami fakt, że wyjadę. — Sama nie wiedziała, czy to już kłótnia, czy jeszcze zwyczajna rozmowa. — Cóż,

pozwól, że ci przypomnę, bo zdaje się, że zapomniałeś. To wy wpakowaliście się nieproszeni do mojego życia, a nie na odwrót. I od początku wiedzieliście, jak to się skończy.

Zdawała sobie sprawę, że nie jest do końca sprawiedliwa. Żadne z nich nie mogło wiedzieć, że Ethan nie będzie tylko kolejnym przelotnym zauroczeniem Valerie ani że z piątki nastolatków, których łączyła głównie szkoła, staną się paczką przyjaciół gotowych skoczyć za sobą w ogień. A już na pewno nikt nie spodziewał się, że Chase'a i Josie — dwa najbardziej odmienne światy — połączy tak wielkie uczucie.

Jednak sposób, w jaki została potraktowana, również nie był całkiem w porządku, więc zignorowała głos sumienia.

— Kruszyńko...

— Mówiłeś, że w przypadku Chase'a to było jak żałoba? — przerwała mu, uśmiechając się przy tym smutno. — To cholernie trafne określenie, bo ja w tym samym czasie czułam się, jakbym umierała. A to, że żadnego z was nie było przy mnie, żeby podnieść mnie z podłogi, nie oznacza, że nie spędziłam na niej niezliczonej liczby nocy, płacząc z tęsknoty za wami wszystkimi. — Wstała z ławki, gotowa, by odejść. — Ale jeżeli chcecie mnie nienawidzić za to, że za każdym razem podnosiłam się z niej sama, to śmiało. Nie będę was powstrzymywać.

Rozdział 8

Chase potrzebował kilku dni na przełknięcie dumy i znalezienie się pod drzwiami mieszkania Archera. Był zdeterminowany, by otrzymać odpowiedź na pytanie, które dręczyło go od nieszczęsnego natknięcia się na Josephine w parku.

Wiedział, że nie powinno go to w ogóle interesować. Ale ta świadomość niczego nie zmieniała.

— Cześć — rzucił, gdy tylko drzwi się otworzyły, ukazując zaskoczono-
nego gospodarza. — Mogę wejść?

Archer bez słowa przepuścił go w przejściu, więc od razu skierował się do salonu, zatrzymując się tylko na sekundę, by zdjąć buty. Przyjaciel podązał za nim.

Wszedł do pomieszczenia i zdusił w sobie chęć wyrzucenia z siebie przekleństwa, gdy zorientował się, że Archer nie jest w mieszkaniu sam.

— Chase! — Valerie uśmiechnęła się szeroko na jego widok.

Chłopak postarał się, by jego uśmiech był chociaż w połowie tak szeroki jak jej i chociaż w jednej czwartej tak szczerzy.

— Miło, że w końcu postanowiłeś się pofatygować i odwiedzić starych przyjaciół — rzucił Ethan na wpuł ironicznie.

Chociaż Chase był w Moreton już od prawie trzech tygodni, nie zdążył jeszcze spotkać się z Valerie i Ethanem. Tęsknił za przyjaciółmi, ale jednocześnie wierzył, że im dalej się od nich trzyma, tym lepiej dla wszystkich. Każde spotkanie we czwórkę przywodziło mu na myśl czasy, które wołałby wyrzucić z pamięci.

Teraz również nie przyszedłby w odwiedziny, gdyby wiedział, że ich spotka, ale było za późno, żeby się wycofać. Stojący za nim Archer położył mu rękę na plecach i popchnął w kierunku wolnego miejsca na kanapie.

— Archer mówił nam, że tym razem przyjechałeś na dłużej — dodał mąż Valerie, jakby jeszcze liczył, że to nieprawda.

— Tak jakoś wyszło — odpowiedział zdawkowo Chase, otwierając butelkę piwa, które Archer mu przyniósł.

— Mów, o co chodzi. — Archer zwrócił na siebie jego uwagę.

— Nie mogę cię odwiedzić bez powodu?

Cała trójka posłała mu spojrzenie, które odpowiadało na to pytanie aż z nawiązką. O dziwo, nigdy nie mieli mu za złe tego, że unika kontaktu z nimi, przez co Chase czuł się jeszcze gorzej. Miał najlepszych przyjaciół na świecie, a nie potrafił tego docenić, bo był zbyt zepsuty. Bo *ktos* go zepsuł.

Po raz kolejny w ciągu kilku minut zdusił w sobie przekleństwo. Nie chciał o to pytać przy Valerie i Ethanie, ale miał wrażenie, że zwariuje, jeśli się nie dowie.

— Spotkałem ostatnio Josephine. — Pełne imię brzmiało obco w jego ustach. — Była w parku z dzieckiem, dziewczynką. To jej? — dokończył pospiesznie, unikając wzroku pozostałych. Starał się, by jego głos był obojętny, jakby pytał od niechcenia, ale nie sądził, żeby ktokolwiek to kupił.

Ku jego zdziwieniu pierwsza odpowiedziała mu Valerie:

— To nie jest jej dziecko.

Chase nienawidził siebie za to, że poczuł ulgę. Nie chciał wiedzieć, co by było, gdyby się okazało, że miłość jego życia ma dziecko z innym mężczyzną. Nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku to właściwie niczego nie zmieniało.

— To Nicole, córka jej brata — dodał Archer ze swojego miejsca. — Mieszkają teraz wszyscy razem.

— Razem? — Chase czasami zastanawiał się, jak nisko jeszcze upadnie.

— No tak. — Blondynka przerwała, żeby upić łyk swojego piwa. — Z tego, co mówiła, zgodziła się tam zamieszkać właśnie dlatego, że chciała lepiej poznać żonę Williama i swoją bratanicę.

Spojrzał kontrolnie w kierunku Archera, ale ten jedynie kiwnął głową, potwierdzając słowa Valerie. Chase już się nie odezwał, pozwalając, by pozostali zmienili temat, a sam pogрузzył się we własnych myślach.

Chociaż Archer już na samym początku pobieżnie wyjaśnił mu rzekome powody powrotu Josephine, Chase był wtedy zbyt zaślepiiony złością, by zastanowić się nad tym dłużej. Teraz jednak po raz pierwszy spojrział na całą sytuację, odkładając na bok emocje.

Był niemal pewien, że to, co usłyszał od Valerie, to kłamstwo. Josephine nigdy nie chciała mieć nic wspólnego ze swoim bratem ani niczym, co się z nim wiązało, podobnie jak z resztą swojej rodziny. Dlatego było to niemal niemożliwe, by zgodziła się wrócić do miasta, którego nienawidziła równie mocno jak on sam, bo chciała poznać rodzinę człowieka, którego przez lata darzyła tak wielką niechęcią.

A skoro skłamała w tej sprawie, to skąd mogli mieć pewność, że kłamstw nie było znacznie więcej?

Josephine zawsze należała do ludzi o spokojnym usposobieniu i naprawdę rzadko komuś lub czemuś udawało się wyprowadzić ją z równowagi. Może poza jedną osobą, która miała do tego szczególny talent, ale poza tym na ogół była oazą spokoju.

Ta cecha została dodatkowo wyszlifowana do perfekcji przez ostatnie lata. Będąc z kimś takim jak Carter, nie mogła sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą.

Dlaczego więc od rozmowy z Archerem czuła, że jest na skraju wybuchu? Nie miała pojęcia.

Nie chodziło nawet chyba o samą sprzeczkę, bo chłopak zadzwonił do niej z przeprosinami niemal od razu po tym, jak dotarła do domu. Archer nienawidził konfliktów, a Josie nie chciała tracić kontaktu z jedynym przyjacielem, więc nie mieli innego wyjścia, jak się pogodzić.

Podjerzywała natomiast, że jeżeli szybko nie znajdzie sposobu, by dać upust nagromadzonym emocjom, wybuchnie w najmniej odpowiednim i oczekiwanym momencie, a wtedy najpewniej inni domownicy

uznają, że zwariowała. I może nawet mieliby rację, bo od dwóch dni ani trochę nie czuła się jak osoba stabilna psychicznie.

Wolała jednak tego uniknąć, więc dla dobra wszystkich dwa dni po spotkaniu z przyjacielem opuściła dom wczesnym popołudniem, sądząc, że może długi spacer pomoże jej chociaż odrobinę.

Nie pomógł, bo im dłużej spacerowała, kręcąc się po centrum miasteczka, tym więcej osób mijała po drodze. W Moreton każdy znał każdego, więc będąc dobrze wychowaną młodą kobietą, za jaką też ją mieli, uśmiechała się do starszych osób i witała ich uprzejmie. Kilka pań nawet zatrzymało ją na niezobowiązującą pogawędkę, więc naturalnie wymieniała się z nimi opiniami o tegorocznej pogodzie i o tym, jak to „wszędzie dobrze, ale w Moreton najlepiej”, chociaż w środku aż gotowała się ze złości.

W końcu po półtorej godziny zrozumiała, że to na nic, bo te wymuszone uprzejmości jedynie pogarszały sprawę. Jednak ponieważ nadal nie była gotowa wrócić do siedzenia w czterech ścianach, obrała sobie za cel miejsce, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mogłaby pobyć całkiem sama.

Nie pamiętała już, jak długa droga dzieliła centrum miasta do jeziora, ale nieszczęśliwie jej to przeszkadzało. Z zewnątrz była zmarznięta na kość, ale szalejące w niej emocje rozgrzewały ją od wewnątrz, więc uznała, że sobie poradzi.

Nie wiedziała nawet, w jakim celu tam idzie, bo właściwie wszystkie argumenty przemawiały za tym, że to nie jest dobry pomysł. Zarośnięte jezioro na obrzeżach miasteczka, otoczone rozpadającymi się rybackimi szopami, nie stanowiło przyjemnego miejsca na samotne spacer, zwłaszcza jesienią, kiedy bardzo szybko zapadał zmrok. W dodatku było to kolejne miejsce pełne wspomnień, a wydawało się, że to ostatnie, czego w tej chwili potrzebowała. A jednak szła zawzięcie, nawet na chwilę nie wahając się, czy powinna zawrócić.

Wielkie było jej zaskoczenie, gdy dotarła na miejsce i zorientowała się, że po tym, co знаła, nic już nie zostało. Stare chaty zostały zlikwidowane, a teren wyrównano, tworząc całkiem przyjemną przestrzeń do

spędzania czasu w ciepłe dni. Pomosty, które kiedyś przy każdym wejściu groziły rozpadnięciem się, również wymieniono na nowe i bezpieczne.

Całość zdecydowanie była zmianą na lepsze i Josephine z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak wielu mieszkańców to odnowione miejsce przyciągało latem. Jednocześnie poczuła ukłucie zawodu. Miejsce, w którym spędzała czas z przyjaciółmi, w którym odbywały się wszystkie próby zespołu, zostało zniszczone i nie było po nim nawet najmniejszego śladu, zupełnie jakby nigdy nie istniało.

To jednak nie sprawiło, że zawróciła. Otulając się szczelniej płaszczem, ruszyła pomostem, aż dotarła do barierki na końcu. Oparła się łokciami o metalowe rurki i wzięła głęboki wdech, przysmykając na chwilę oczy. A potem krzyknęła.

Wrzeszczała, aż zabrakło jej powietrza w płucach, aż zaczęła czuć, że zdziera sobie gardło. W którymś momencie zrozumiała, że sprzeczką z Archerem była jedynie drobiazgiem, który przepełnił czarę. Ten krzyk stopniowo gromadził się w jej gardle przez lata. Wykrzykiwała te emocje, które chowała za uśmiechami i posłusznym potakiwaniem, bo była świadoma, że okazanie ich niczego nie zmieni, a także te, które skrupulatnie ignorowała.

Gdy w końcu przestała, cisza, jaka nastąpiła wokół, przypominała tę w jej sercu.

Robiło się coraz zimniej, ale to nie miało znaczenia, bo w końcu czuła upragnioną ulgę. Po raz pierwszy też rozejrzała się, podziwiając roztaczający się przed nią krajobraz. Powoli zaczynało się ściemniać, niebo przybrało odcienie zimnego błękitu i ciemnego granatu, barwiąc taflę jeziora rozpościerającą się pod stopami dziewczyny. Był to jeden z niewielu pięknych widoków, jakie widziała w Moreton od powrotu.

Woda zawsze mnie uspokajała — uświadomiła sobie, wspomniawszy niezliczone godziny, które spędziła przy oknie apartamentu w Bostonie, wpatrując się w zatokę zabarwioną światłami miasta, a także kojący wpływ, jaki miał na nią szum fal w Seaport.

Woda i gwiazdy — pomyślała wdzięczna, że przynajmniej na to pierwsze jest jeszcze w stanie patrzeć. Już od wielu lat nie mogła zmusić się do spojrzenia w niebo usłane gwiazdami. Niosły za sobą zdecydowanie zbyt wiele bólu.

Zdecydowanie straciła poczucie czasu i przeceniała własne możliwości. Jezioro było jednak dużo dalej, niż jej się wydawało, więc w drodze powrotnej nogi cierpiał już od przemierzonych kilometrów, brzuch bolał z głodu, a całe ciało było zmarznięte na kość. Dodatkowo dochodziła północ, a powrót o tak późnej godzinie przez niezamieszkałe tereny zdecydowanie nie uprzyjemniał tej małej wycieczki.

Zdążyła już zgubić rachubę, ile razy przekłęła własną bezmyślność, ale prawdopodobnie była to liczba zbliżona do ilości nerwowego obracania się za siebie, gdy wyobraźnia zaczynała brać górę nad rozsądkiem.

Bo z racjonalnego punktu widzenia była prawie całkowicie bezpieczna. W Moreton nigdy nie działy się rzeczy, które uzasadniałyby jej obawy przed potencjalnym niebezpieczeństwem.

Właściwie w każdej chwili mogła zadzwonić do Williama i poprosić, by po nią przyjechał, ale wtedy musiałaby znaleźć niesamowicie dobrą wymówkę, dlaczego była w takim miejscu, i to o tej porze. Mężczyzna zdecydowanie za bardzo wziął sobie do serca bycie starszym bratem, a ona nie chciała, żeby się martwił.

Była już w połowie drogi, wciąż na pozbawionym chodnika poboczu, ale przynajmniej mogła już dostrzec w oddali pierwsze uliczne lampy. Jedynym plusem późnej pory było to, że drogą nie przejeżdżały żadne auta, więc nie musiała się bać, że skończy pod kołami.

Jednak jej szczęście musiało się kiedyś skończyć. Niedługo później usłyszała za plecami warkot silnika. Modliła się w duchu, by auto przejechało obok niej bezpiecznie i bez zatrzymywania się, ale druga z jej próśb nie została wysłuchana. Pojazd zwolnił, mijając ją, po to, by kilka metrów dalej zatrzymać się całkowicie.

Nagle odwieczne przekonanie o całkowitym bezpieczeństwie Moreton wyleciało jej z głowy, zastąpione przez czarne scenariusze. Czy

naprawdę mogła mieć takiego pecha, by zostać pierwszą w historii miasta ofiarą napaści? Niemal słyszała w głowie komentarze matki o tym, jak wielki wstyd przyniosła rodzinie.

Z drugiej strony istniała szansa, że postawią jej pomnik na placu w samym sercu Moreton. Niewielkie pocieszenie, ale zawsze coś.

To była ostatnia myśl, jaka wpadła jej do głowy, zanim kierowca wysiadł z samochodu i ruszył w jej stronę. Znała tę sylwetkę za dobrze, by jej nie rozpoznać nawet w słabym świetle odległych ulicznych lamp, i niemal żałowała, że to jednak nie jest potencjalny morderca.

Chociaż wnioskując po zabójczych spojrzeniach, jakie Chase posyłał jej poprzednim razem, może nie powinna zbyt szybko wykluczać tej możliwości.

— Czy ty jesteś nienormalna?! Co ty tu robisz?! — ryknął wściekły, gdy tylko znalazł się dostatecznie blisko. — Mogłem cię potrącić!

Josephine w jednej sekundzie uznała, że poświęciła zbyt wiele czasu na odzyskanie wewnętrznego spokoju, by teraz tak po prostu wdać się w kłótnię z wrzeszczącym na nią chłopakiem. Dlatego zignorowała go całkowicie i nie rzucając mu nawet jednego spojrzenia, minęła go i ruszyła dalej.

Chyba sobie ze mnie żartujesz — przemknęło mu przez głowę, gdy zdziwiony obserwował oddalającą się sylwetkę dziewczyny.

— Hej! — krzyknął i ruszył za nią, głównie dlatego, że był skończonym idiotą i koniecznie chciał, by zwróciła na niego uwagę.

Zatrzymanie się było głupim impulsem, bo nie mógł inaczej nazwać swojej reakcji, gdy rozpoznał dziewczynę. Jednak ona także nie popisała się inteligencją, włączając się po drogach sama o tej porze.

Chase nie miał pojęcia, na jakiej podstawie uznał, że ma prawo być na nią wściekły właśnie za to, ale był. Tak po prostu.

— Wyprało ci wszystkie szare komórki w tym Bostonie? Mówię do ciebie!

Josephine wzięła głęboki wdech, który miał pomóc w opanowaniu emocji, ale działał niewiele. Sekundę później odwróciła się do chłopaka, czując, że cała złość powróciła i znalazła idealne ujście.

— O co ci do cholery chodzi?!

Josie odwróciła się gwałtownie w jego stronę, a on przystanął, jakby porażony jej wybuchem, który przecież sam spowodował. Jednak zdziwienie nie trwało długo.

— Aktualnie? — zapytał. — O idiotkę, która łązi po drodze w kompletnej ciemności w środku nocy!

— Wiadomość z ostatniej chwili, Chase: ta *idiotka* nie jest twoim problemem — przypomniała mu całkiem słusznie, wściekła na niego jeszcze bardziej za to, że w dwie minuty udało mu się zburzyć jej cały z trudem odzyskany spokój. — Po prostu sobie jedź.

— Jesteś pół godziny drogi od domu, jest zimno — poinformował ją, zupełnie jakby była turystką, która wpadła do Moreton przejazdem. — Chodź, podwiozę cię do domu.

Trudno byłoby określić, kto był bardziej zdziwiony tą propozycją. Chase dla własnego spokoju uznał, że robi to tylko po to, by pozbyć się wyrzutów sumienia po tym, jak się zachował w antykwariacie.

Josephine jako pierwsza odzyskała rezon.

— Nie, dzięki — prychnęła, nie kryjąc pogardy. — Z dwojga złęgo wolę, żeby mnie zjadły dzikie zwierzęta.

I tak oto, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zniknęły znikome pokłady dobrej woli Chase'a. Zastąpiło je upokorzenie, dolewając oliwy do trawiącego go ognia złości.

— Jaki ty masz właściwie problem?

— Jaki mam problem?! — powtórzyła przez zaciśnięte zęby, nie dowierzając, że naprawdę musi mu tłumaczyć absurdalność tej sytuacji. — Nie wiem, może taki, że ostatnim razem, gdy rozmawialiśmy, usilnie próbowałeś zamordować mnie samym spojrzeniem? A teraz pojawiaasz się znikąd, niczym pieprzony księżę w lśniącej zbroi, i oferujesz mi podwózkę, oczekując, że przyjmę ją z wdzięcznością.

Josephine zapomniała już, jakie przyjemne to potrafi być — możliwość otwartego wyrażenia swojej frustracji. Nie było żadnych przeszkód, nie czekały jej żadne konsekwencje.

Zdrowy rozsądek to w tamtym momencie było za mało, by zmusić ją do przemilczenia reszty słów cisnących się na usta:

— A może taki, że muszę wrócić do tego cholernego miasta, by się dowiedzieć, że *wszystkie* osoby, które kochałam, nagle mnie nienawidzą i traktują jak wroga za coś, na co nie miałam najmniejszego wpływu?

Jej słowa rozniosły się echem po pustej ulicy. Chase milczał przez chwilę, obserwując, jak dziewczyna ciężko oddycha po swoim wybuchu, i starał się wymyślić, jak powinien zareagować.

— Czy ty jesteś pijana? — zapytał w końcu, szukając racjonalnego wyjaśnienia dla jej zachowania. Nie sądził, żeby kiedykolwiek wcześniej widział ją tak wyprowadzoną z równowagi. *Nawet on* nie doprowadzał jej do takiej wściekłości.

— Wiesz co? — Tym razem jej głos był o wiele spokojniejszy, ale przepełniony jadem. — Wal się — rzuciła i odwróciła się zdecydowanie, by dumnie ruszyć przed siebie. Jeszcze pół minuty w jego towarzystwie i mogłaby nie być w stanie powstrzymać się przed użyciem przemocy.

— Josephine, daj spokój! Przestań się zachowywać jak uparte dziecko i wsiadaj do tego cholernego samochodu. — Chase nawet nie wiedział, dlaczego nadal się stara. Może martwił się, że jeśli naprawdę coś jej się stanie, to on będzie pierwszym podejrzanym, bo widział ją jako ostatni?

Dziewczyna nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Jediną reakcją na jego słowa był wystawiony w górę środkowy palec, gdy się oddalała.

Rozdział 9

— Coleman, nie uważasz, że ostatnio bywasz tu trochę za często? — Cami na powitanie obdarzyła go pozornie zirytowanym spojrzeniem, chociaż jednocześnie uchylała drzwi szerzej, by wpuścić chłopaka do środka. — Doceniam chęci stworzenia więzi z synem, ale jest późno, a mały właśnie zasnął.

— Nie przyszedłem do niego — odpowiedział z popisowym uśmiechem, który w ogóle nie zmienił się od czasów, gdy podrywał nim nastolatki. Archer zmienił jedynie grupę docelową, którą nim czarował. — Przyszedłem do ciebie.

Uśmiech działał podobnie jak na nastolatki.

— A skąd pomyśł, że mam ochotę na twoje towarzystwo?

A przynajmniej w większości przypadków. Na Camille zadziałał raz. I dowód na to, jak to się skończyło, spał w pokoju obok. Więc może lepiej, że teraz już była odporna na jego urok.

Jednak to sprawiało, że spędzanie z nią czasu było jeszcze przyjemniejsze. Dlatego niezrażony powitaniem wyciągnął zza pleców łapówkę w postaci dwóch butelek.

— Twoje ulubione. Bezalkoholowe — dodał, pamiętając, że dziewczyna nie może spożywać alkoholu.

— Zamówię pizzę — zdecydowała zrezygnowana, zamykając za nim drzwi.

Czterdzieści minut później siedzieli rozłożeni na kanapie w salonie, zajadając się pizzą, a w tle leciał denny film, na który żadne z nich nie zwracało większej uwagi.

Niejednokrotnie spędzali tak wieczory, a Archer przyłapywał się na tym, że coraz częściej świadomie wybiera towarzystwo Cami i ich synka zamiast imprez i podrywania nieznanomych dziewczyn w klubach. Przyjaciele droczyli się z nim, mówiąc, że się starzeje, ale zwyczajnie lubił spędzanie z nią czasu.

Cami była zabawna, silna i miała dystans do siebie — trzy cechy, które Archer zawsze cenił. Ponadto podobnie jak on uważała, że życie jest proste, i nie lubiła go niepotrzebnie komplikować, więc jej obecność była miłym odpoczynkiem od dramatów, jakie działy się w życiu jego przyjaciół.

Zwłaszcza w ostatnich tygodniach, bo Chase i Josephine komplikowanie spraw opanowali do perfekcji. Archer podejrzewał, że na tym etapie ich życia są już ze sobą tak poplątane, że mogli ich już nigdy nie rozplątać ani się od siebie uwolnić.

— No, no. — Cami kiwnęła głową z uznaniem, gdy chłopak skończył zwierzać się z problemu, z którym przyszedł. — Problemy twoich przyjaciół to całkiem niezły materiał na telenowelę.

— Mówisz? — zapytał ironicznie. — W takim razie ja chyba nie mam ochoty na kolejny sezon. Poprzednie siedem w zupełności mi wystarczy.

Nie czuł się dobrze z tym, że wywlekał problemy swoich przyjaciół poza ich wąskie grono, ale miał wrażenie, że jeśli nie wygada się osobie bezstronnej, to zwariuje.

Poprzedniego wieczoru miał dwa bardzo podobne telefony, które nastąpiły właściwie jeden po drugim. Jeden od Chase'a, drugi od Josie. Oboje potrzebowali odreagować po spotkaniu.

Jeśli w ogóle można tak nazwać wrzeszczenie na siebie dwójki idiotów stojących w nocy pośrodku niczego.

Obie rozmowy telefoniczne składały się z wielu bardzo kreatywnych określeń obrażających tego drugiego uczestnika starcia, przekleństw i komentarzy przepełnionych wściekłością. Dodatkowo Josephine rzuciła też czymś szklanym, bo zanim się rozłączyła, Archer usłyszał dźwięk do złudzenia przypominający rozbijanie się szklanego przedmiotu o ścianę.

— Zachowują się jak para rozwścieczonych gówniarzy, które biją się o miejsce w piaskownicy. — Nie minęły nawet dwa miesiące od powrotu Josephine, a Archer spodziewał się, że z nerwów lada dzień pojawi mu się pierwszy siwy włos. — Ja nawet nie mam pojęcia, jak oni to robią. Moreton jest małe, ale nie aż tak, żeby wpadać na siebie przy każdym wyjściu z domu. Chyba tylko oni mogą mieć takie „szczęście”.

Przyjaciele zapewne by go wyśmiali. Nikt nie zgadłby, że kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym to Archer będzie osobą narzekającą na dziecinność innych.

— Trochę ich rozumiem. — Camille z trudem powstrzymywała rozbawienie zachowaniem Archera, który znajdował się na skraju załamania. — Z tego, co mówisz, bardzo się kochali, a takie rozstania zawsze są paskudne. Oboje są zranieni. Nawet jeśli minęło sporo czasu, to nagle znaleźli się w nowej sytuacji i okazało się, że jednak nie wszystkie rany się zagoiły.

— Więc co sugerujesz?

Cami pod płaszczykiem ślicznej dziewczyny, lubiącej przygody bez zobowiązań, kryła niesamowity intelekt, zwłaszcza jeśli chodziło o życie. Archer już kilkakrotnie przekonał się, że dziewczyna znajdzie rozwiązanie niemal każdego problemu, i teraz też liczył na pomoc.

— Biją się o miejsce w piaskownicy? Zabierz ich na inny plac zabaw — poradziła, nawiązując do użytej wcześniej metafory. — Neutralny grunt, najlepiej gdzieś, gdzie jest dużo ludzi. Może publicznie będzie ich łatwiej powstrzymać przed rzuceniem się sobie do gardeł. Może przy odrobinie szczęścia uda im się przeprowadzić przyzwoitą rozmowę.

Sam nie wiedział, czy to dobry pomysł. Zaraz po tym, jak Chase i Josie spotkali się po raz pierwszy, uznał, że najlepiej będzie nie ingerować i zostawić sprawę samym sobie.

W swoim wrodzonym optymizmie, który można było uznać też za naiwność, sądził, że będą się trzymać od siebie z daleka. Kilka tygodni zleciałoby szybko, Chase wróciłby do Birmingham i wszystko znowu byłoby normalnie — z tym wyjątkiem, że Archer odzyskałby przyjaciółkę. Scenariusz idealny, w którym wszyscy byli względnie zadowoleni.

Dlaczego nie miał prawa się udać? Bo to byli *Chase* i *Josie*. A z nimi jeśli tylko coś mogło pójść nie tak, zawsze kończyło się tragicznie.

Biorąc pod uwagę fakt, z jaką pasją skakali sobie do gardeł i ile energii wkładali w tę małą wojnę, Archer zaczynał rozumieć, że nieingerowanie w nią może przynieść więcej szkód niż pożytku. Potrzebowali buforu, bo pozostawieni sami sobie stanowili zagrożenie dla życia. Swojego i wszystkich znajdujących się w pobliżu.

— Myślisz, że nadal się kochają? — Głos Camille wyrwał Archera z zamyślenia.

— Nie. — Był tego *prawie* pewien. W końcu minęło sześć lat, Josie miała narzeczonego i Archer nie chciał nawet myśleć o tym, co by było, gdyby do całego tego bałaganu dodać miłość. — Z nimi jest jak z ukochanym psem rodziny, który zdechł i został zakopany w ogródku. Sytuacja była już wystarczająco smutna, ale potem zleciały się wilki, rozkopały ziemię i rozszarpały ciało. Więc teraz rodzina ma szczątki swojego zwierzaka rozwalone po ogrodzie i nikt nie chce na nie patrzeć, ale trzeba coś z nimi zrobić, bo pozostawione same sobie zaczną śmierdzieć.

— Okej, ale żeby się ich najłatwiej pozbyć, najlepiej najpierw zebrać je z powrotem razem — odpowiedziała bez mrugnienia okiem na jego totalnie oderwaną od rzeczywistości metaforę. — Nie będzie to pewnie przyjemne, ale bardziej efektywne niż radzenie sobie z każdym kawałkiem z osobna.

— Nie mogę po prostu zadzwonić po kogoś i zapłacić, żeby to zrobił za mnie? — wyjęczał dramatycznie, chowając twarz w dłoni.

— Możesz, ale to w końcu *twój* ukochany pies. Jesteś mu to winien za wszystkie dobre chwile. — Cami poklepała go współczująco po plecach. — Nie wiem, czy kierunek, w którym zmierza ta rozmowa, bardziej mnie niepokoi, czy bawi. Po prostu zrób tak, żeby się ze sobą spotkali, i pokaż im, że spędzenie kilku minut w swoim towarzystwie bez rzucania się sobie do gardeł nie jest niemożliwe. Jeśli będą w stanie to zrobić, to jest szansa, że będą też w stanie porozmawiać i wyjaśnić sprawy między sobą. Są dorośli, na litość boską. To nie może być aż takie trudne.

— Może być i będzie — zaproponował. Był optymistą, ale nie aż takim, by wierzyć w to, że potencjalne spotkanie Josephine i Chase'a pójdzie gładko.

Całe pokłady nadziei, że to nie skończy się kompletną katastrofą, pokładał w Josie. W końcu była najrozsądniejszą osobą, jaką znał, i to musiało się jakoś przysłużyć sprawie.

Ponad wszystko Archer był jednak wyznawcą zasady „raz kozie śmierć” i ostatecznie uznał, że gorzej i tak już być nie może. Z tą myślą zaczął opracowywać plan działania.

— Masz jakieś plany na wieczór? — Archer powitał ją w ten sposób, gdy tylko odebrała telefon.

— Nie. — A przynajmniej już nie. Wcześniej była umówiona z Cartelem, ale mężczyzna zadzwonił z samego rana i poinformował ją, że musiał pilnie lecieć do Bostonu.

— No to już masz.

Josephine była prawie pewna, że chłopak uśmiecha się z satysfakcją, bo dokładnie taką odpowiedź chciał uzyskać.

— Ja, ty, Ethan i Valerie. Pójdziemy gdzieś, wypijemy i porozmawiamy jak za dawnych czasów. — Pobieżnie przedstawił jej plany, jakby to było coś, co robili ciągle. — Co ty na to? I od razu mówię, że nie przyjmuję odmowy.

— Nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł. — Co więcej, była przekonana, że to tragiczny pomysł. — Valerie...

— Valerie sama to zaproponowała. — Archer wszedł jej w słowo, pozbawiając argumentów. — Chyba poczuła się głupio po waszym spotkaniu i chciała odkupić winy. Ethan też chce cię zobaczyć. Więc?

Albo Archer tego dnia wyjątkowo dobrze kłamał, albo Josephine bardzo chciała wierzyć w jego słowa. Inaczej na pewno wyłapałaby tak oczywisty fałsz. Jednak jej percepcja została zniekształcona przez ziarenko nadziei kiełkujące w jej sercu.

— Niech będzie. — Informacja, że to jej przyjaciółka zainicjowała spotkanie, miała o wiele większe znaczenie w podjęciu decyzji, niż Josephine chciałaby przyznać.

— Świetnie, zaraz wyślę ci adres baru. Do zobaczenia. — Coleman pożegnał się i rozłączył, jakby bał się, że jeśli nie zrobi tego wystarczająco szybko, Josie może zmienić zdanie.

Odsunęła telefon od ucha, spoglądając na ekran dla potwierdzenia, że ta rozmowa naprawdę się wydarzyła.

Nie wiedziała, co powinna myśleć o zaproszeniu, ale miała niejasne przeczucie, że będzie tego żałować.

Zdecydowanie będę tego żałować — uświadomiła sobie, gdy stała pod barem w umówionym miejscu, a w zasięgu jej wzroku pojawili się dawni przyjaciele. I Chase.

Co Valerie strzeliło do głowy, żeby organizować to spotkanie? Albo co Archer chciał osiągnąć, ukrywając przed nią ten mały szczegół? I co ona sobie myślała, wyrażając zgodę? Czowała, że panika ściska ją za gardło, i przez jedną chwilę mogła myśleć tylko o tym, że musi stamtąd uciec.

Jednak było już za późno, bo przyjaciele ją zauważyli. O ile nie chciała tracić resztek godności, odbiegając w przeciwnym kierunku, musiała wziąć się w garść. Dlatego zrobiła użytek z lat doświadczenia, jakie miała w udawaniu, i ukryła strach głęboko w sobie.

Później będzie rozmyślać o tym, jak przykry był fakt, że po wszystkim, co razem przeszli, wróciła do początku, gdy nawet przed nimi zakładała maski. Teraz skupiła się wyłącznie na tym, by jej uśmiech był przekonujący.

— Kruszyńka! — Archer intuicyjnie wiedział, że musi przyjąć najbardziej błazeńską wersję samego siebie, i mieć wielką nadzieję, że to uratuje ten wieczór od katastrofy. Dlatego gdy tylko podeszli, przygarnął ją do siebie, ścisnął i podniósł nad ziemię, jakby nie widzieli się od wieków. — Ciesz się, że nas nie wystawiłaś. Długo czekasz?

— Chwilę. Kierowca Cartera mnie przywiózł, więc... — urwała, gdy uświadomiła sobie, że wspomnianie o narzeczonym w tych okolicznościach prawdopodobnie nie jest najlepszym pomysłem.

— Dobrze cię znowu widzieć, Josie. — Ethan przyszedł jej z pomocą, uśmiechając się do niej ciepło. — Dobrze wyglądasz.

— Dziękuję, Ethan. — Z wdzięcznością odwzajemniła uśmiech. — Ty też.

Mimochodem zerknęła w stronę Chase'a, starając się zdecydować, jak powinna się wobec niego zachować. Liczyła też na wskazówkę, czy wiedział o tym, że ją tu dzisiaj spotka, jednak chłopak nie okazywał żadnych emocji. Zdawał się jej w ogóle nie widzieć. Widocznie tego dnia dla odmiany postanowił udawać, że dziewczyna nie istnieje.

Josie uznała, że woli to niż kolejną rundę wrzeszczenia na siebie.

— Idziemy? — Valerie, która również postanowiła darować sobie powitanie, kiwnęła głową w stronę wejścia do baru i ruszyła we wskazanym kierunku, nie czekając na odpowiedź.

Ethan i Chase podążyli za blondynką, a gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Josie zwróciła się z morderczym spojrzeniem do Archera.

— Nie wierzę, że mi nie powiedziałaś! — wysyczała wściekła.

— Nie przyszlabyś, gdybyś wiedziała — bronił się przyciszonym głosem.

— Oczywiście, że nie! Nie mam pojęcia, skąd ci przyszło do głowy, że to dobry pomysł.

— Słuchaj — zaczęła, chwytając ją za łokieć, gdy dotarli do drzwi baru. Pozostali zdążyli już wejść do środka. — Chcę cię mieć w swoim życiu. Nie tylko jako przyjaciółkę, ale jako rodzinę. Chcę, żeby mój syn wychowywał się, mając tak wspaniałą ciocię. Ale nie zamierzam ryzykować, że każde urodziny czy święta będą kończyły się awanturą, bo nie potraficie z Chase'em znieść swojej obecności.

Josie nie miała pojęcia, co powiedzieć. Sposób, w jaki Archer przedstawił swój punkt widzenia, sprawiał, że trudno było się sprzeczać albo czuć na niego złość.

— Wiem, że wina nie leży wyłącznie po twojej stronie, ale *proszę*, możesz być mądrzejsza i chociaż spróbować jakoś się z nim dogadać? Dla mnie?

Pokiwała głową, z trudem przeżykając wzruszenie.

— W porządku.

— Dziękuję. — Archer wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca. Otworzył przed nią drzwi, gestem zachęcając, by weszła do środka. — Ja zamówię, a ty idź do nich — poradził, a widząc jej spanikowane spojrzenie, dodał: — Odwagi, kruszynko. To wciąż ci sami ludzie, z którymi jadłaś obiady na stołówce.

Podbudowana rozmową z przyjacielem podeszła do boksu, który wybrali.

— Archer poszedł złożyć zamówienie — wyjaśniła, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Nie spotkała się z żadną reakcją. Chase skupiał się na swoim telefonie, odcinając od towarzystwa, Ethan i Valerie posyłali sobie spojrzenia zrozumiące tylko dla nich.

Josie z pozornym zainteresowaniem zaczęła podziwiać wystrój baru, w duchu modląc się, by to się już skończyło i by mogła wrócić do domu.

Kilka minut później Archer wrócił i postawił przed każdym szklanekę piwa. Josephine była mu niesamowicie wdzięczna za to, że zajął miejsce obok niej, a nie tak jak pozostali — naprzeciwko. Drobnym gest wsparcia, który w tamtym momencie był na wagę złota.

Josephine na ogół nie przepadała za bursztynowym trunkiem i minęło kilka lat, odkąd ostatni raz miała go w ustach. Jednak nie sądziła, by była w stanie długo wytrzymać wiszące w powietrzu napięcie bez alkoholu, więc z ulgą chwyciła szklanekę.

— Jestem w szoku, że nasza bostońska księżniczka w ogóle pije tak mało ekskluzywny alkohol. — Valerie przerwała ciszę i zwróciła się do Josie głosem pełnym ironii. — Ktoś o twoim statusie nie powinien gustować raczej w bardziej wykwintych trunkach?

— Mój status ma się świetnie, ale dzięki za troskę. — Posłała blondynce chłodny uśmiech, unosząc szklanekę w geście ironicznego toastu.

— Tak tylko pytam. — Valerie podkreśliła swoją odpowiedź niewinnym wzruszeniem ramion. — Nie chcielibyśmy cię urazić, podając guinnesa komuś, kto na co dzień popija chardonnay albo pinot noir.

— Lepiej ci, jak wyrzucasz z siebie te wszystkie złośliwości? — Obiecała Archerowi, że się postara, ale nie bardzo wiedziała, jak znoszenie docinków miało się do tej obietnicy. — Nie przyjęłam twojego zaproszenia, żebyś się mogła na mnie wyżywać.

— *Mojego* zaproszenia? — Żona Ethana z zaskoczenia prawie zakrzutuła się piwem, które akurat piła. — Naprawdę wierzysz, że ktokolwiek z naszej trójki chciałby tu przyjść, gdyby wiedział, że ty tu będziesz? Archer zaprosił nas na spotkanie w *przyjacielskim* gronie.

Chase, gdyby tylko chciał, mógłby nie zgodzić się z przyjaciółką i przyznać, że osobiście nie miał ochoty przychodzić, nawet jeśli na spotkaniu miało nie być Josephine. Był jednak o wiele bardziej zainteresowany bierną obserwacją niż angażowaniem się w rozmowę.

Niechętnie musiał przyznać, że był pod wrażeniem tego, jak dobrze Josephine radziła sobie z ukrywaniem emocji. Może gdyby nie znał na pamięć wszystkich szczegółów jej twarzy, aż do najmniejszych elementów mimiki, sam uwierzyłby, że słowa byłej przyjaciółki nie robiły na niej wrażenia.

Brunetka nie odpowiedziała, zamiast tego zwróciła się cicho do Archera:

— Mnie sprzedałeś trochę inną wersję wydarzeń.

— W każdym razie... — zaczął Archer radosnym tonem, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. — Skoro już jesteśmy tu wszyscy, możemy zacząć świętować.

Pozostali spojrzeli na niego w oczekiwaniu na wyjaśnienia, na chwilę zapominając o konfliktach.

— No co? — Archer Coleman był jedyną osobą, która potrafiła zachować pogodę ducha w atmosferze tak gęstej, że można ją było kroić nożem. — Obchodzimy moje urodziny.

— Nie masz urodzin — powiedzieli Chase i Josie w tym samym momencie, po czym posłali sobie równie mordercze spojrzenia.

— Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale tak się składa, że żadne z waszej dwójki nie pofatygowało się, kiedy faktycznie je miałem — pouczył ich urażony. — Więc obchodzimy te, które były, bo teraz mam okazję świętować je ze *wszystkimi* moimi przyjaciółmi. — To mówiąc, strzelił spojrzenie Valerie, nawiązując do jej ostatniej wypowiedzi. — To co? Moje zdrowie? — Uniósł szklanke z piwem do toastu, ale nikt do niego nie dołączył. Sytuacja coraz bardziej wymykała się spod kontroli, a jemu brakowało już pomysłów. Liczył, że będzie łatwiej i rozmowa jakoś się potoczy, ale sam miał już ochotę wyjść.

— Więc, Josie... — Ethan ze współczucia postanowił pomóc przyjacielowi i ratować sytuację. — Jak było w Bostonie?

Było to całkiem idiotyczne pytanie, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, i Chase niemal parsknął śmiechem, ale mieli do wyboru to albo niezręczną ciszę.

— Dobrze.

Archer, który odzyskał nadzieję, gdy dostrzegł szansę na jakąkolwiek rozmowę, kopnął Josie pod stołem, by rozwinęła swoją zdawkową odpowiedź.

— To znaczy... na początku trudno było się przyzwyczaić. Duża zmiana po całym życiu spędzonym w Moreton. — Miała nadzieję, że Archer uzna to za satysfakcjonującą odpowiedź, ale wciąż czuła na sobie jego wzrok. — Przez pierwsze tygodnie nie mogłam się odnaleźć. Ciągłe się gubiłam, myliłam ulice albo wsiadałam do złego autobusu i kończyłam na drugim końcu miasta. Raz właśnie podczas takiej sytuacji ukradli mi w metrze portfel razem ze wszystkimi dokumentami.

Ethan kiwał głową i wydawał się szczerze zainteresowany tym, co Josephine ma do powiedzenia. Dzięki niemu po raz pierwszy tego wieczoru dziewczyna poczuła, że odrobinę się rozluźnia.

— Kompletnie zawałam też pierwszy semestr studiów — przyznała szczerze.

— Naprawdę? — Zdziwienie chłopaka było całkiem uzasadnione.

W liceum Josephine nigdy nie dostała nawet jednej gorszej oceny. Ale w liceum nie miała złamanego serca, które bezowocnie próbowała pozbić w czasie, kiedy powinna się uczyć.

— Musiałam go powtarzać — potwierdziła i wzięła łyk piwa, by zamaskować zawstydzenie z tego powodu.

Archer był zbyt podekscytowany tym, że w końcu rozmowa się nawiązała, i za bardzo chciał ją podtrzymać, by uważać na to, co mówi:

— O tak, pamiętam to! Byłaś wtedy taka wściekła, że skończysz studia później niż wszyscy. — Zorientował się, co właśnie zrobił, kiedy poczuł cztery pary oczu wpatrujące się w niego. Trzy z czystym szokiem, a jedna ze złością. — To znaczy... pamiętam, jak mi to opowiadałaś ostatnio, kiedy się widzieliśmy. — Usilnie próbował wybrnąć, ale jego umiejętności aktorskie go zawiodły.

— Mieliście ze sobą kontakt? — Chase odezwał się po raz pierwszy tego wieczoru, przerywając ciszę. — Przez cały ten czas? — Pokręcił głową z niedowierzaniem, a w jego oczach błyszczało poczucie zdrady. Podniósł się i pospiesznie ściągnął kurtkę przewieszoną przez oparcie, zanim ruszył do wyjścia.

— Moje gratulacje. — Valerie pokiwała głową z ironicznym uznaniem. Ona, w przeciwieństwie do Chase'a, obwiniła jedynie Josephine. — Tego właśnie chciałaś? Po to wróciłaś? Nikt cię tu nie chciał. *On* cię tu nie chciał. Ale nie, ty musiałaś się pojawić i rozpieprzyć dosłownie wszystko, co mu zostało. Przyjaciół nie byłaś w stanie zabrać mu za pierwszym razem, więc próbujesz zrobić to teraz?

— Valerie! — skarcił żonę Ethan. Odrobinę za późno.

Josie wstała, zwyczajnie czując, że nie wytrzyma dłużej pełnych nienawiści oskarżeń dziewczyny, która od dziecka była dla niej jak siostra. Żadne słowo padające z ust blondynki nie było prawdziwe, ale Josephine nie była nawet w stanie się bronić.

— Pójdę już. — Niemal czuła wyrzuty sumienia, że zostawia Archera z tym wszystkim samego, ale ledwo się trzymała. Nie sądziła więc, że byłaby w stanie mu pomóc. — Wiem, że chciałaś dobrze, ale niektórych rzeczy po prostu nie da się naprawić. — Ścisnęła jego ramię we wspierającym geście, by wiedział, że nie jest na niego zła, i wyszła.

Chłód na zewnątrz podziałał na nią kojąco. Dopiero stojąc na chodniku przed barem, uświadomiła sobie, jak wiele kosztowało ją te kilkanaście

minut. Poczula, że łzy napływają jej do oczu, i nie znalazła w sobie siły, by je powstrzymać.

Mijających ją ludzi i tak nie obchodziła płacząca na środku chodnika dziewczyna, a lokal, z którego wyszła, nie miał okien od strony ulicy. Dlatego pozwoliła sobie na chwilę słabości, sądząc, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Nie wiedziała tylko, że kilka metrów dalej, w miejscu, gdzie nie dochodziło światło ulicznych lamp, stał Chase. Za pomocą papierosa próbował opanować emocje po zejściu w barze.

Na początku chciał odejść z obawy, że dziewczyna go zauważy. Jakkolwiek kontakt z nią był w tamtym momencie ostatnim, na co miał ochotę. Potem jednak dostrzegł, w jakim jest stanie, i nie mógł opanować ciekawości. Zastanawiał się, co takiego wydarzyło się po jego wyjściu, że doprowadziło ją do płaczu, ale to nie był jedyny powód, dla którego został.

Po raz pierwszy od jej powrotu miał okazję zobaczyć Josephine w sytuacji, gdy sądziła, że jest sama. A skoro w tym momencie nie musiała przed nikim udawać, pomyślał, że obserwowanie jej pozwoli mu uzyskać odpowiedź.

Chciał wiedzieć, czy ta sztywna i pełna wyższości postawa wyraża osobę, jaką stała się przez lata, czy jest zwyczajną maską. Miała doświadczenie w zakładaniu ich, a jej łzy popierały tę teorię, ale Chase potrzebował czegoś więcej. Nie rozumiał dlaczego, ale czuł, że *musi* się tego dowiedzieć.

I kiedy myślał już, że jednak nie dostanie odpowiedzi, Josephine wykonała pojedynczy gest. Zupełnie niepozorny dla kogoś innego, natomiast dla niego tak oczywisty, że równie dobrze mogłaby wykrzyknąć mu prawdę prosto w twarz.

Na chwilę przed tym, jak wytarła łzy i ruszyła dumnie w przeciwną stronę, jej dłoń powędrowała tam, gdzie biło serce. W miejsce, które zdobył prosty rysunek upamiętniający to, że kiedyś była jego.

Chase wpatrywał się tępo w oddalającą się sylwetkę dziewczyny, a jego dłoń bezwiednie podążyła do lewej piersi, gdzie miał identyczny tatuaż.

Rozdział 10

Chase nie wiedział, ile minut dokładnie minęło od zniknięcia Josephine ani ile papierosów wypalił przez ten czas, ale w końcu uznał, że wszystko, co wiązało się z dziewczyną, nie jest w tej chwili najważniejsze. Jeśli będzie miał na to siłę, może zastanowić się nad tym, czego się dowiedział, później. Najpierw jednak miał zamiar zamordować swojego przyjaciela.

— Możesz mi w końcu wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?!
— rzucił, gdy tylko przekroczyli próg mieszkania.

Archer przewidział nadchodzącą kłótnię, gdy tylko Chase wrócił do baru, więc od razu poprosił, by wrócili do jego mieszkania, zanim zacznie się tłumaczyć. Prawdopodobnie pierwszy raz żałował, że mieszka tak blisko centrum Londynu. Droga powrotna trwała zdecydowanie zbyt krótko, by gniew bruneta zdążył się chociaż trochę ostudzić.

Starał się zachować spokój. Ruszył do salonu z Chase'em wściekle podążającym za nim. Valerie i Ethan pojawili się zaraz za nimi, zdecydowani na razie nie ingerować w sytuację.

— Chase, przede wszystkim się uspokój. — Archer uniósł dłonie w uspokajającym geście, gotowy wyjaśnić wszystko, o ile przyjaciel opakuje się chociaż odrobinę. Cenił swoją twarz za bardzo, by ryzykować bliskie spotkanie z jego pięścią.

— Chcesz, żebym się uspokoił? — zapytał Sanderson, nakręcając się jeszcze bardziej. — To powiedz mi, że to wcale nie jest tak, jak myślę, i że nie miałaś z nią kontaktu przez cały ten czas za naszymi plecami. Powiedz mi, że wcale nie zatrzymywałeś dla siebie każdej informacji o niej, chociaż wiedziałeś cholernie dobrze, że każdego dnia umieram z niepokoju, czy wszystko u niej w porządku.

— Kiedy niby miałem ci powiedzieć?! — O ile jeszcze chwilę temu Archer prosił przyjaciela o spokój, teraz sam tracił cierpliwość. — Kiedy całym dniami patrzyłeś się tępo w ścianę i nie było z tobą kontaktu? Czy kiedy odbierałem cię w środku nocy z izby wytrzeźwień? A może to powroty ze szpitali, kiedy leżałeś półprzytomny na tylnym siedzeniu mojego samochodu, były najlepszym momentem? Ty mi powiedz.

— To nie zmienia faktu, że nie powiedziałeś nikomu. — Ethan włączył się do rozmowy, dziwnie spokojny w porównaniu z pozostałymi. — Wszyscy się o nią martwiliśmy i mieliśmy prawo wiedzieć przynajmniej to, że nic jej nie jest. Miałeś sześć lat, żeby się przyznać, więc myślę, że okazji było aż za dużo.

— Wiem — przyznał. — Ale to nie był taki kontakt, jak wam się wydaje. Nie pisaliśmy ze sobą codziennie o tym, jaka jest pogoda w Bostonie i innych bzdurach.

Czuł, że początkowa złość powoli mija zarówno jemu, jak i Chase'owi. Opadł ciężko na jeden z foteli i poczekał, aż przyjaciel zrobi to samo.

— Zawarliśmy umowę. Krótco przed tym, jak wyjechała, kazała mi obiecać, że się tobą zaopiekuję — zwrócił się do Chase'a, który zmarszczył brwi w zdziwieniu. — Nie mogłem znieść myśli, że będzie tam zdana tylko na siebie. Dlatego skorzystałem z okazji i powiedziałem, że zrobię to, jeśli ona zostawi sobie mój numer i obieca dzwonić, jeśli będzie potrzebowała się wygadać. To było tylko na wypadek momentów, kiedy już naprawdę nie radziłaby sobie sama.

— Ile razy dzwoniła? — Valerie, zadając pytanie, nie była już zła, ale jedynie smutna.

— Cztery? Może pięć. Po tej sytuacji z zawałonym semestrem zadzwoniła pierwszy raz. Kolejny był dopiero w rocznicę jej wyjazdu — wyjaśnił. Chciał, by przyjaciele mieli świadomość tego, jak rzadki był to kontakt. — Słuchajcie, wiem, że przez lata zrobiliśmy z niej kozła ofiarnego, bo tak było łatwiej. Wszyscy byliśmy rozżaleni i wściekli, chociaż tak naprawdę nie była niczemu winna. Zawsze wiedzieliśmy, że wyjedzie. Nie sądziliśmy tylko, że to zaboli tak bardzo.

Valerie i Ethan skinęli głowami, zgadzając się z tym, co powiedział. Archer miał wrażenie, że ogarnął ich wstyd za to, co nieświadomie przez te lata robili. Chase jedynie słuchał słów przyjaciela, a po jego minie nie dało się wywnioskować, co myśli.

— Myślę, że zapomnieliśmy o tym, że ona straciła dokładnie tyle samo, co my. W dodatku radziła sobie z tym całkiem sama. — Na chwilę skupił uwagę wyłącznie na Valerie. — A jakoś nie ma w niej nienawiści i nie rzuca okrutnymi komentarzami na nasz temat.

— Może odrobinę przesadziłam tam, w barze — przyznała niechętnie, unikając oskarżycielskiego spojrzenia przyjaciela.

— Odrobinę?

— Wiedziałaś, że wraca? — wciął się Ethan, żeby oszczędzić żonie dalszego pouczenia.

— Nie miałem pojęcia tak samo jak wy. Nasz kontakt też w końcu się urwał, a o tym, że jest w Moreton, dowiedziałem się od Valerie — wyjaśnił zgodnie z prawdą. — Czy wam się to podoba, czy nie, nie zamierzam się od niej odcinać. Przeciwnie, zamierzam odbudować naszą relację. Nie zmuszę żadnego z was, żebyście zrobili to samo, ale zaprosiłem ją dzisiaj, bo liczę, że wszyscy jesteśmy na tyle dorośli, by zaakceptować chociaż to, że będzie obecna w moim życiu.

Nikt nie zażartował z tego, że jakimś cudem to Archer stał się osobą, która nawoływała innych do wykazania się dojrzałością. Nikomu nie było do śmiechu.

— Nie jestem na ciebie zły. — Chase przerwał ciszę. — Przynajmniej nie tak, jak jeszcze chwilę temu.

Nadal pozostał w nim żal, że przez te wszystkie lata Archer nie zdobył się na odwagę, by się przyznać, ale rozumiał jego motywę. Nie mógł go winić za to, że chciał być dobrym przyjacielem dla Josephine.

— Jest jeszcze coś, co powinniśmy wiedzieć?

Było, ale Archer bał się, że o ile Chase wybaczył mu potajemne kontakty z Josie, to następna informacja sprawi, że naprawdę go znienawidzi. Jednak z drugiej strony wiedział, że jeśli nie powie mu od razu, a chłopak dowie się w inny sposób, będzie o wiele gorzej.

To była prawdopodobnie jedyna i najlepsza okazja, by się przyznać.

— Jest jeszcze jedna rzecz.

Cami kiedyś powiedziała mu, że trudne wiadomości należy przekazywać tak, jak się zrywa plaster. Szybko i zdecydowanie. Postanowił pójść za tą radą.

— Chciała wrócić. — Czuł utkwione w nim oczy przyjaciół, którzy oczekiwali wyjaśnienia. — Dwa lata temu zadzwoniła do mnie ostatni raz. Carter jej się oświadczył, a ona mu odmówiła i zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że chce wrócić do domu. Że nie może za niego wyjść, bo zła-małyby tym wszystkie obietnice, które ci złożyła.

— Co zrobiłeś? — Głos Chase'a był opanowany i przerażająco zimny, ale jego wzrok wypalał chłopakowi dziurę w głowie. — Archer. Co zrobiłeś? — powtórzył dosadniej, cedząc każde słowo.

— Kazałem jej zostać — wyznał zrezygnowany. Tym razem nie miał wiele na swoją obronę. — Powiedziałem jej, że już dawno ruszyłeś dalej i jeśli kiedykolwiek cię kochała, to zostanie w Bostonie.

Stojąca pod ścianą Valerie zaskoczona zakryła usta dłonią, ale Archer przejmował się tylko swoim najlepszym przyjacielem, który wyglądał, jakby patrzył na zupełnie obcą osobę.

— Jak mogłeś? — zapytał jedynie, a jego głos drżał z emocji. Maską chłodnego opanowania zaczęła się kruszyć niebezpiecznie szybko. — Jak mogłeś zrobić coś takiego za moimi plecami?!

— Co innego miałem zrobić? Pozwolić jej wrócić, kiedy ty *w końcu* się pozbierałeś i wyjechałeś z Moreton, żeby ułożyć sobie życie?

— Nie miałeś prawa podejmować tej decyzji za mnie! — Chase nie myślał rozsądnie. Nie brał pod uwagę całej historii i motywów przyjaciela, a jego umysł był owładnięty myślą, że gdyby nie chłopak przed nim, Josephine mogłaby wrócić. Mogła wrócić i od dawna mogliby być szczęśliwi, dokładnie tak, jak zawsze tego chcieli.

Mogłaby być teraz *jego* Jose, a zamiast tego była narzeczoną innego mężczyzny. Wszystko przez jedną decyzję człowieka, który uważał się za jego przyjaciela.

— Nie chcę cię widzieć.

Wstał i wyszedł, nie spoglądając na żadne ze swoich przyjaciół. Trzasnął drzwiami, a Archer miał wrażenie, że ten huk będzie dźwięczał w jego uszach jeszcze długo.

Josephine wróciła z Londynu pociągiem. Kierowca Cartera najpewniej poinformowałby pracodawcę o stanie, w jakim wracała ze spotkania ze znajomymi.

Nie chciała jednak wracać prosto do domu, gdzie nie pozostałoby jej nic innego, jak zaszyć się w czterech ścianach swojego pokoju i odtwarzać w głowie fatalny wieczór. Problem polegał na tym, że w miasteczku nie było wielu miejsc, gdzie można było pójść, żeby trochę się nad sobą poużalać.

Takim sposobem Josephine skończyła w jedynym barze w Moreton. Tym samym, w którym przed laty Chase grał z chłopakami. Tego wieczoru nikt jednak nie występował, a większość klientów stanowili mężczyźni grubo po czterdziestce, którzy w piątkowy wieczór przyszli do pubu odpocząć od swoich rodzin przy alkoholu i grze w bilard.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna tam być. Bez trudu potrafiła wyobrazić sobie wściekłość Cartera, gdyby się dowiedział, że jego *idealna* narzeczona siedzi samotnie w podupadłym barze, upijając się po spotkaniu ze swoją byłą miłością, o której istnieniu nie miał pojęcia. Chociaż gdyby się nad tym zastanowił, Carter nie miał pojęcia o wielu rzeczach.

Mężczyzna zawsze uważał, że kobiecie wielu rzeczy nie wypada robić, a zwłaszcza kobiecie na pewnym poziomie. Między innymi sądził, że alkoholem odpowiednim dla płci pięknej jest jedynie wino lub szampan, w dodatku w niewielkich ilościach. Josephine wciąż pamiętała awanturę, jaką jej urządził, gdy pijana wróciła do ich apartamentu po swoim ostatnim wyjściu ze znajomymi ze studiów. Po tym zdarzeniu zaczął uważnie kontrolować, co i w jakich ilościach piła, za każdym razem, gdy wychodzili gdzieś wspólnie, jakby spodziewał się, że może się upić i przynieść mu wstyd.

A mimo to tamtego wieczoru siedziała przy barze sama pomiędzy starszymi mężczyznami, popijając nieumiejętnie przyrządzonego drinka,

w którym sok był jedynie do koloru. I nawet jeśli miała w głowie opinię swojego narzeczonego na ten temat, była zbyt pijana, by się nią przejmować.

— Muszę przyznać, że to chyba najżałośniejszy widok, jaki dziś widziałem.

Znajomy głos podszyty ironią dotarł do niej, a chwilę później Chase pojawił się w zasięgu wzroku.

— Widocznie nie spoglądałeś dzisiaj w lustro — odpowiedziała niewzruszona. Dokończyła drinka i kiwnęła do barmana, prosząc o jeszcze jednego.

Ku jej zaskoczeniu Chase wybuchł śmiechem w reakcji na jej słowa, odchylając głowę do tyłu. Jej serce na jedno uderzenie zabiło mocniej na dźwięk, który znała tak dobrze.

— Co ty robisz? — zapytała, obserwując z przerażeniem, jak siada na stołku obok niej.

— A na co ci to wygląda? Zamierzam zamówić sobie piwo, bo poprzedniego nie było mi dane dokończyć.

— Świetnie, a nie możesz tego robić przy stoliku? — Nie miała siły na kolejną rundę walki z nim. Jeszcze nawet nie zaczęła zbierać się po tej z Valerie. — Najlepiej na drugim końcu sali?

— Masz pecha, bo moje ulubione miejsce jest zajęte.

Josephine nie musiała się nawet odwracać, by to sprawdzić. To było także jej ulubione miejsce i dobrze wiedziała, że siedzący przy nim mężczyźni nigdzie się nie wybierają.

— Ale zawsze możesz sobie pójść, jeśli nie odpowiada ci moje towarzystwo — zaproponował niezobowiązująco.

— Byłam tutaj pierwsza. — Nie miała zamiaru dać mu tej satysfakcji. — Poza tym z naszej dwójki to raczej ty nie potrafisz znieść mojego towarzystwa.

— Tak się składa, że wyjątkowo spadłaś dzisiaj na drugie miejsce w rankingu osób, których nie mam ochoty widzieć — poinformował ją, zanim zwrócił się do barmana gotowego przyjąć jego zamówienie.

— Archer chciał dobrze... — Josie czuła się zobowiązana, by wytłumaczyć przyjaciela, skoro była współwinna złości, jaką Chase do niego czuł.

— Nie obchodzi mnie, co Archer chciał — odwarknął, dodatkowo zirytowany tym, że bez trudu odgadła, o kim wcześniej mówił.

W świetle wszystkiego, czego Chase się dziś dowiedział, ich wspólny przyjaciel był ostatnim, o czym chciał rozmawiać z Josephine. Musiał znaleźć inny temat, zanim przegra z pragnieniem zapytania jej wprost o to, czy Coleman mówił prawdę.

— Więc za co pijemy? — zapytał tak po prostu, jakby wcale nie było między nimi miliona niewyjaśnionych spraw, żalu ani niedokończonych historii.

Tamtego wieczora oboje byli zbyt zmęczeni. Jutro mogli wrócić do nienawidzenia siebie, ale na te kilka godzin nastąpiło nieformalne zawieszenie broni.

— Za błędy młodości — odpowiedziała po namyśle.

— Głębokie. — Chase zaśmiał się z typową dla siebie ironią. — Jakie konkretnie błędy?

— Znałam kiedyś dziewczynę... — zaczęła, a Chase przypatrywał jej się z niepodzielną uwagą. Gdyby była całkowicie trzeźwa, ten intensywny wzrok pewnie zmusiłby ją do ucieczki, jednak alkohol pomagał jej nie tylko go znieść, ale też odpowiedzieć tym samym. — Jej największym błędem było to, że szesnastego września wsiadła do samolotu lecącego do Bostonu.

— I co się z nią stało? — zapytał z ciekawością, jakby naprawdę opowiadała mu autentyczną historię o nieznanym mu dziewczynie.

— Zginęła. — Josie wzruszyła ramionami. — Samolot spadł, nikt nie przeżył. Straszna tragedia.

— Paskudna sprawa — skwitował i podniósł do ust szklanekę z alkoholem.

— Polubilibyście się, wiesz? Była bardzo w twoim typie.

— Nie wydaje mi się. — Pokręcił głową. — Ale za to mój stary znajomy pewnie zakochałby się w niej jak wariat. Mogę się założyć, że byli dla siebie stworzeni. Niestety biedak też nie skończył zbyt dobrze.

— Co się stało? — Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ta gra ani czy to w ogóle jest gra. W tle leciała muzyka, a ludzie rozmawiali ze sobą głośno

i co chwilę wybuchały donośne śmiechy, ale żadne z nich nie zwracało nawet najmniejszej uwagi na otoczenie.

To uczucie zapomnienia przypominało coś, co było boleśnie znajome. Dawno temu dokładnie tak się czuli w swoim towarzystwie — zatraćli się w sobie, aż wszystko inne na chwilę przestawało istnieć.

Chase odnalazł jej oczy, które były znajome zupełnie jak ten moment, i na sekundę kącik jego ust podniósł się delikatnie.

— Pękło mu serce — odpowiedział z powagą, wciąż nie spuszczać z niej wzroku.

— Paskudna sprawa. — Powtórzyła jego słowa i uniosła swojego drinka. — W takim razie za nich. Może się spotkają w innym życiu.

— Za nich. — Stuknął w jej szklankę w geście toastu.

— Wiesz, że nie musisz mnie odprowadzać? — zapytała po raz kolejny. Gdy wyszli z baru, było już późno, a ona wciąż była pijana. Jednak świeże powietrze zdawało się ją otrzeźwiać i z każdą chwilą coraz bardziej dochodziło do niej, w jak nietypowej sytuacji się znaleźli. — Jestem już dużą dziewczynką i umiem sama trafić do domu. Poza tym to jest Moreton, co złego może się stać?

Chase też wypił wystarczająco dużo, by poczuć skutki alkoholu, i Josie zastanawiała się, czy robi to wszystko tylko dlatego, że nie myśli trzeźwo.

— Nie wiesz, co może się stać. Może kiedy cię nie było, rozwinęła się przestępczość i wychodzenie samemu stało się skrajnie niebezpieczne? — odparł pouczającym tonem, w którym kryło się rozbawienie. Naprawdę zachowywali się jak zwyczajna para przyjaciół.

— Ty też tego nie wiesz — uświadomiła mu z kąśliwym uśmiechem, przypominając, że jego również nie było w mieście od dawna. — Ale trzeba przyznać, że trochę się zmieniło.

— Czy ja wiem? — Rozejrzał się, jakby faktycznie oceniał zmiany. — Dla mnie to jest nadal to samo miasto, którego nienawidziłem całe życie. Nieważne, ile ulic wygląda inaczej.

O tej godzinie w mieście już od dawna panowała cisza, a na ulicach nie było żywej duszy. Josephine starała się nie myśleć o tym, ile razy byli w takich sytuacjach, wracając pustymi ulicami z nocnych spotkań.

Gdy w końcu znaleźli się pod domem brunetki, Josie nagle poczuła się dziwnie nerwowa i skrupowana, chociaż właśnie spędziła z nim kilka godzin. Może czał się w niej również żal, że jutro wszystko wróci do normy.

— Dziękuję. Chyba. — Mimo wszystko musiała przyznać, że to był całkiem miły czas. Kompletnie niespodziewane, ale pozytywne zakończenie okropnego dnia. — To niczego nie zmienia, prawda?

Jutro od nowa prowadzimy wojnę, prawda?

— Prawda. — Skinął głową.

Dziewczyna powtórzyła gest i ruszyła w stronę domu.

— Josie? — Nieważne, jak bardzo starał się wyrzucić te myśli z głowy, przez cały wieczór dręczyło go to, co kilka godzin wcześniej usłyszał od Archera.

Czy naprawdę jeszcze dwa lata temu kochałaś mnie na tyle, by zrezygnować ze wszystkiego i wrócić? — wisało mu na końcu języka.

Jednak gdy się odwróciła, zmienił zdanie. To i tak niczego nie zmieniło i nie powinno mieć dla niego żadnego znaczenia.

— Kiedy mówiłaś, że miasto się zmieniło... — zaczął zamiast tego. — Może to nie Moreton jest inne, tylko ty?

Przez chwilę przetwarzała w głowie jego słowa, by w końcu uśmiechnąć się smutno.

— Może. — Już chciała się odwrócić i odejść, ale się rozmyśliła. — Może nikt z nas już nie jest tym, kim był wtedy?

— Może — przyznał i odpowiedział jej podobnym uśmiechem.

Bardzo dużo było tych „może”. Byli dorośli, a dorosłość zazwyczaj kojarzy się z pewnością i stabilnością. Tymczasem oni wciąż byli tak samo niepewni życia, jak kiedy mieli naście lat.

Jednak *może* dorosłość polega właśnie na tym — na udawaniu i chowaniu nastoletniej niepewności przed światem.

— Możesz wyświadczyć mi przysługę? — zapytała jeszcze, korzystając z resztek odwagi, jaką dawał jej alkohol.

— Mogę wysłuchać, jaka to przysługa, i się zastanowić — odparł wymijająco, głównie dlatego, że był ciekaw, o co chodzi.

— Wybacz Archerowi — poprosiła. Sumienie nie dałoby jej spokoju, gdyby nie spróbowała. — Nie mam prawa oceniać, czy twoja złość na niego jest słuszna. Ale wiem, że wszystko, co Archer robi, wynika z troski o ludzi, których kocha. Czasami jego decyzje skutkują katastrofą, ale intencje zawsze ma dobre. To przemawia na jego korzyść.

Pewnie miała rację. Jeśli Chase czegokolwiek jeszcze na świecie był pewien, to tego, że żadna siła wyższa nie miała go w swojej opiece i że Josephine Sinclair zawsze ma rację.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że w tej sytuacji dziewczyna ucierpiała w takim samym stopniu jak on, skoro chciała wrócić, a Archer ją powstrzymał. A jednak potrafiła mu to wybaczyć i jeszcze stała w jego obronie.

— Przemyślę to — zapewnił w końcu. — Dobranoc, Josie.

— Dobranoc, Chase.

Rozdział 11

Josephine obudziła się następnego ranka, a właściwie południa, z mętlikiem w głowie. Przez pierwszą chwilę po przebudzeniu sądziła nawet, że całe spotkanie z Chase'em jej się jedynie przyśniło, ale to nie był sen. To była po prostu koszmarne poplątana rzeczywistość.

I nie miało znaczenia to, ile razy powtarzała sobie, że ten jeden wieczór nic nie zmienia, że Chase nadal jej nienawidzi i pewnie żałuje, że w ogóle podszedł do niej w barze. Wystarczyło, że raz okazał jej odrobinę sympatii, i wszystko, co zaczęła sobie powoli układać w głowie na temat ich relacji, legło w gruzach.

Na chwilę straciła z oczu swoje postanowienia o rozgraniczeniu przeszłości od terażniejszości i teraz sama już nie wiedziała, co i kto należy do której kategorii.

Ale czy z Archerem z powrotem w jej życiu, Chase'em przebywającym w tym samym mieście i klótnią z Valerie, której wciąż nie mogła wyrzucić z głowy, Josephine mogła jeszcze mówić o jakimś rozgraniczeniu?

Wiedziała jedno — bez względu na wszystko, co już się wydarzyło i działo się teraz, przyszłość pozostawała niezmienna. Zostanie Josephine Bateson i równie dobrze mogła zacząć poświęcać tej myśli trochę więcej czasu.

Dlatego większą część dnia spędziła w salonie z plikiem katalogów i folderów, które od kilku tygodni co jakiś czas przychodziły pocztą, wysyłane przez organizatorkę uroczystości, osobiście wybraną przez matkę Josephine. I chociaż bardzo szybko stało się jasne, że gust kobiety jest bardziej zbliżony do gustu Lillian niż przyszłej panny młodej, dziewczyna i tak była wdzięczna, że nie musi uzgadniać wszystkiego bezpośrednio z matką.

Wyciągnęła także planer ślubny, który przywiozła ze sobą z Bostonu, licząc, że jeśli w końcu poważnie podejdzie do tematu, w jej głowie zacznie kształtować się wizja, jak według *niej* ten dzień powinien wyglądać. W ten sposób byłoby łatwiej, bo mogłaby przynajmniej wyrażać swoje zdanie i próbować osiągnąć z matką kompromis pomiędzy tym, czego obie chciały. Carter prawdopodobnie wziąłby jej stronę, bo dla niego szczegóły wesela i tak nie miały znaczenia, a zależało mu na tym, żeby Josie była zadowolona.

Jednak pomysły nie nadchodziły. Bez względu na to, czy sięgała po folder z salami weselnymi, propozycjami menu czy salonami sukien ślubnych, Josie miała pustkę zarówno w głowie, jak i w sercu. Jediną emocją, jaką wzbudzała w niej myśl o weselu, był stres wywołany ciężarem oczekiwań nakładanych na nią w związku ze ślubem.

Do czasu, gdy William wrócił z pracy, była już na skraju wytrzymałości. Z trudem walczyła chęć wrzucenia wszystkich katalogów do palącego się w salonie kominka.

— Josie?

— W salonie — odrzyknęła, nie podnosząc głowy znad folderu leżącego na kolanach.

— Zobacz, kogo znalazłem kręcącego się pod bramą. — Mężczyzna wszedł do pomieszczenia z szerokim uśmiechem. Osoba idąca za nim była mniej radosna. — Zostawiamy ją czy wyrzucamy za drzwi?

Josephine nie odpowiedziała, zresztą ledwo słyszała pytanie brata. Całą uwagę poświęciła Valerie, która wyglądała na tak skrepowaną, jak Josie czuła się wczoraj przed spotkaniem z dawnymi przyjaciółmi.

— To ja może lepiej was zostawię — zdecydował William. Najwyraźniej zauważył napięcie pomiędzy dziewczynami. — Miło było cię znowu widzieć, Valerie.

— Ciebie też — zapewniła go dziewczyna, nieco zaskoczona jego uprzejmością. Znała go tak długo, jak znała Josephine, a jednak ze względu na różnicę wieku i naturę relacji między rodzeństwem byli sobie praktycznie obcy. Była zdziwiona, że w ogóle ją pamiętał.

— Właściwie dlaczego miałabym cię nie wyrzucić? — zapytała Josephine, gdy zostały same.

— Bo jesteś lepiej wychowana niż ja i traktujesz ludzi z uprzejmością, nawet jeśli nie zawsze na to zasługują? — rzuciła niepewnie Valerie, starając się wybadać grunt. — I przyniosłam ciasto czekoladowe? — Uniosła papierową torbę, którą trzymała w dłoni. Kiedyś zawsze przynosiły sobie słodczyce w ramach przeprosin i miała nadzieję, że przyjaciółka rozpozna ten gest jako gałązkę oliwną.

— Ciasto czekoladowe było adekwatną formą przeprosin za umówione spotkania, o których zapomniałaś, bo chłopak zaprosił cię na randkę, gdy byliśmy nastolatkami. — Nagromadzona tego dnia frustracja dodawała Josephine odwagi. — Nie za traktowanie przyjaciółki jak brudu pod butem za coś, co nigdy nie było jej winą.

— A jeśli oprócz ciasta są też szczerze przeprosiny? — Nie zamierzała odpuścić tak łatwo.

To była typowa zagrywka Valerie, wyszkolona do perfekcji od najmłodszych lat — odkąd tylko zrozumiała, jak działa na ludzi jej cukierkowo słodki wygląd. Urokiem osobistym przełamywała lody każdej relacji, zwłaszcza takie, które powstały z jej winy. Josephine znała jej taktyki aż za dobrze, bo padała ich ofiarą zdecydowanie zbyt często.

— Naprawdę zraniłaś mnie tym, co powiedziałaś wczoraj — uświadomiła ją bez ogródek. Nie była zbyt dumna, by się do tego przyznać.

Jednocześnie Valerie miała rację — nie była w stanie zdobyć się na zniesienie się do jej poziomu i wyrzucenie dziewczyny z domu bez wysłuchania tego, co ma do powiedzenia.

— Napijesz się kawy? — zapytała, przejmując od blondynki torbę z ciastem. Poczekala, aż Valerie skinie głową. — Nadal pijesz tylko latte?

— Przestałam zmieniać swoją ulubioną kawę na długo przed tym, jak przestałam zmieniać chłopaków — odważyła się zażartować.

Josephine była wdzięczna za pretekst, który pozwolił jej na chwilę uciec od napiętej atmosfery w salonie, i zabrała się do rozpracowywania ekspresu do kawy. Spośród domowników korzystała z niego jedynie Kryształ, bo ona i William pili wyłącznie czarną kawę, ale Josie spędziła już z żoną swojego brata wystarczająco dużo czasu, by podpatrzeć ją przy obsłudze urzędnika.

Chwilę później obie siedziały już na powrót w salonie, z pokrojonym ciastem, parującą kawą i niekomfortową ciszą. Valerie szukała odpowiednich słów, a Josephine cierpliwie czekała, aż blondynka je znajdzie.

— Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. Byłam dla ciebie okropna — odezwała się w końcu Valerie.

Josephine bez słowa obserwowała zestresowaną przyjaciółkę, która zawsze była książkowym przykładem pewności siebie. Teraz nerwowo zakładała włosy za uszy i wykręcała dłonie, próbując zebrać się w sobie.

Chociaż ten widok nie sprawiał Josie przyjemności, nie miała zamiaru w żaden sposób jej tego ułatwiać. Nie ze złośliwości, ale z prostego faktu, że po słowach, jakie wczoraj padły, zasługiwała na lepsze wyjaśnienia.

— Byłam rozżalona i wściekła. Bez ciebie wszystko się posypało, każdy z nas na swój sposób się pogubił — dodała, unikając wzroku brunetki. Zawsze tak robiła, gdy miała wyrzuty sumienia. — To zabrzmiało żałośnie, ale dla mnie najtrudniejsze było to, że przez twój wyjazd musiałam dorosnąć.

— W jakim sensie?

— W każdym. — Parsknęła niewesołym śmiechem. — To zawsze ty byłaś rozsądkiem naszej paczki. Ja nigdy nie musiałam się martwić o problemy innych, nie musiałam się martwić nawet o *swoje*, bo z każdą sprawą mogłam przyjść do ciebie. A potem cię zabrakło i nie miałam pojęcia, co robić. Nie mogłam zadzwonić, gdy pokłóciłam się z Ethanem o bzdurę i nie wiedziałam, jak przeprosić. Nie mogłam liczyć, że poradzisz Archerowi, gdy stanął w moich drzwiach w środku nocy i powiedział, że chyba zniszczył sobie życie, bo zostanie ojcem. Nie miałam na kogo rzucić ciężaru odpowiedzialności za Chase'a i... — Urwała, upominając się w porę. — Nie byłam gotowa na to, że zostanę sama.

— Nie byłaś sama. Wciąż miałaś Ethana i resztę chłopaków.

To więcej, niż miałam ja — chciała dodać, ale ugryzła się w język, zamiast tego wzięła łyk kawy. To nie był konkurs o to, kto miał gorzej.

— Ale żaden z nich nie zastąpił mi przyjaciółki, którą znałam całe życie — zaprotestowała miękko. — Wiem, że nic z tego mnie nie tłumaczy, bo zaczęłam na ciebie zrzucać winę za to, że sobie nie radziłam.

Żadne z nas sobie nie radziło przez ostatnie lata i obwiniliśmy ciebie, bo tak nam było łatwiej. A ty nagle wróciłaś, twoje życie jest takie... poukładane, i to jasne, że radziłaś sobie bez nas lepiej, niż my bez ciebie.

Zdziwiłaby się, gdyby Josephine powiedziała jej, jak dalekie od prawdy było to założenie.

— Archer wyjaśnił nam wczoraj, na czym polegał wasz kontakt. I zrobiło mi się tak strasznie wstyd, gdy powiedział, że kazał ci obiecać, że zadzwonisz do niego, gdy będziesz tego potrzebować — wyznała, obracając w dłoniach kubek. — Bo to ja powinnam na to wpaść przed twoim wyjazdem. A zamiast tego zaatakowałam cię za to, że potrzebowałaś przyjaciela, tak samo jak ja.

Pomimo żalu, jaki Josephine wciąż czuła do przyjaciółki, potrafiła docenić jej szczerość. Zdawała sobie sprawę, ile musiała ją ona kosztować. Przyznanie się do czegoś takiego z pewnością nie było łatwe.

Postanowiła odwdzińczyć się taką samą odwagą.

— Przez cały ten czas byłam zupełnie sama. — Teraz przyszła jej kolej na unikanie kontaktu wzrokowego. — Kiedy wszyscy ludzie z roku nawiązywali przyjaźnie, ja ledwo byłam w stanie uśmiechać się do innych. Wychodziłam czasami ze znajomymi, ale wiedziałam, że to nie będzie to samo, co miałam z wami, więc nigdy nawet nie próbowałam nikim was zastąpić.

— A Carter?

— Poznałam go na trzecim roku i to była pierwsza bliższa relacja, jaką nawiązałam w Bostonie — odpowiedziała, wracając pamięcią do początków jej znajomości z mężczyzną. — Ale Carter jest pięć lat starszy ode mnie, był już wtedy po studiach, pracował w firmie ojca, więc jego świat był zupełnie inny niż mój.

Pamiętała, jak zagubiona wtedy była. Jak przerażał ją fakt, że minęła ponad połowa jej studiów i jej czas w Bostonie powolnym krokiem dobiega końca. Rodzice oczekiwali, że po zdobyciu dyplomu wróci i dołączy do kancelarii, a ona wciąż nie miała nic, co mogłoby ją uchronić przed powrotem.

Więc kiedy pojawił się Carter i zaprosił ją do swojego pięknego świata, oferując bezpieczeństwo, którego potrzebowała, skoczyła na główkę bez zastanowienia.

— Kiedy dowiedziałam się o przeprowadzce, myślałam tylko o tym, jak bardzo chcę się do was odezwać, ale wiedziałam, że nie mogę tak wpaść do waszego życia po tylu latach. Spodziewałam się, że możecie mnie w nim nie chcieć — powiedziała zgodnie z prawdą. — Kiedy wpadłam wtedy na ciebie przypadkiem, byłam tak cholernie szczęśliwa, że cię widzę. A potem pojawił się Archer i pierwszy raz od sześciu lat znowu miałam przyjaciela. Jeśli to egoistyczne z mojej strony, to przepraszam, ale nie potrafię sobie tego odmówić.

Nawet nie podejrzewała, jak bardzo jej tego brakowało — możliwości nieskrępowanego odsłonięcia się przed kimś, zdjęcia wszystkich masek bez obawy o bycie ocenianą. Bo tak się właśnie czuła, i to nie tylko dlatego, że Valerie zrobiła to pierwsza.

Znały się całe życie, widziały w najróżniejszych momentach i były dla siebie wsparciem niezliczoną ilość razy. Valerie mogła myśleć, że nigdy nie pomagała jej rozwiązywać problemów, ale Josephine nie zapomniała o tym, że przez całe lata przed pojawieniem się chłopaków była jej jedyną przyjaciółką.

To wszystko nie mogło zniknąć tak po prostu.

— Czułam się tak samo. Wtedy, jak się spotkałyśmy. W pierwszej sekundzie, gdy zrozumiałam, że to ty, chciałam ci się rzucić na szyję. A potem się wściekłam na siebie, bo czułam, że nie powinnam się tak cieszyć.

Kawa się skończyła, zupełnie jak słowa, które dziewczyny chciały sobie powiedzieć. Cisza, jaka między nimi zapadła, była jednak zupełnie inna niż ta sprzed kilkunastu minut. Ta wyznaczała nowy początek dla nich obu.

— Powinnam się zbierać, Ethan pewnie czeka na mnie w domu.
— Valerie podniosła się z kanapy.

Josephine odprowadziła przyjaciółkę do drzwi. Zastanawiała się, co teraz i czy w najbliższym czasie nadarzy się jeszcze okazja, by się spotkały.

— Do zobaczenia?

— Poczekaj. — Zatrzymała Valerie, gdy dziewczyna była już gotowa do wyjścia. — Daj mi minutę, zaraz wrócę — poprosiła i pospiesznie ruszyła po schodach do swojej sypialni.

Ponieważ z wiadomych przyczyn nie udało jej się oddać pudeł z częścią swoich rzeczy do antykwariatu, wciąż zalegały w jej pokoju i czekały, aż Josie zmotywuje się do odwiedzenia podobnego sklepu w innym mieście. Tym razem jednak zająrzała do jednego konkretnego kartonu.

— Znalazłam to ostatnio, jak przeglądałam rzeczy po powrocie — wyjaśniła, gdy już wróciła do dziewczyny. — Oddasz to Ethanowi?

— Jego ulubiona kostka do gitary. — Twarz Valerie rozświetliła się w uśmiechu, gdy wzięła do ręki mały przedmiot. — Boże, nie sądzę, że kiedykolwiek później widziałam go jeszcze tak obrażonego, jak wtedy, kiedy z tobą przegrał.

— Sam zaproponował, żebyśmy grali o coś ważnego. — Josephine postawiła wtedy swoje pierwsze zdjęcie z Chase'em z początków ich przyjaźni. — Przekażesz mu ją?

— Wiesz co? Mam lepszy pomysł — odpowiedziała, wyciągając rękę z kostką w stronę Josie. — Oddaj mu ją osobiście. Zobaczysz nasze mieszkanie i będziemy mogli porozmawiać trochę dłużej. Co ty na to?

Josephine mogła odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

— Chętnie.

Zaproszenie Valerie nie było pustą obietnicą i Josephine już w następnym tygodniu po rozmowie z blondynką siedziała na kanapie w jej mieszkaniu.

Apartament był dokładnie tym, czego spodziewała się po wspólnej przestrzeni przyjaciółki i jej męża. Pomimo swojej skromności był idealnym odzwierciedleniem charakteru lokatorów i ich związku — przytulny, pełen ciepła i wspólnych wspomnień nagromadzonych przez lata. Jeśli ściany mogłyby mówić, te zapewne rozprawiłyby o tym, jak bardzo kochają się osoby zamieszkujące to miejsce.

Atmosfera mieszkania wraz z wrodzoną gadatliwością Valerie pozwoliły Josephine całkiem się rozluźnić. Do czasu, gdy Ethan wrócił z pracy

i dołączył do nich, prawie nie czuła już lat, które upływały, odkąd siedziały tak, rozmawiając o wszystkim, po raz ostatni.

— Okej, Val zakazała mi o to pytać, ale umieram z ciekawości, więc wybaczone, kochanie — dodał Ethan pospiesznie, zanim wrócił spojrzeniem do Josephine. — Kiedy ślub?

Josie skłamałaby, gdyby powiedziała, że w ogóle nie spodziewała się tego pytania. Miała jednak nadzieję, że z niekończącą się liczbą tematów, które przez ostatnie półtorej godziny napływały zupełnie naturalnie, uda jej się ominąć kwestię swojego zamążpójścia.

— Latem — rzuciła niechętnie.

— To... bardzo specyficzna data, dzięki. — Chłopak roześmiał się serdecznie. — A dokładnie? Muszę wiedzieć, na kiedy kupić nowy garnitur.

— Przyjdziecie? — Josephine nie była w stanie ukryć zaskoczenia.

Małżeństwo spojrzęło po sobie, po czym w idealnej synchronizacji wzruszyli ramionami, spoglądając z powrotem na dziewczynę.

— Na darmowe jedzenie? — zapytała Valerie tonem sugerującym, że pytanie Josie było absurdalne.

— I alkohol? — dodał Ethan w podobny sposób.

— Mielibyśmy zrezygnować z okazji, żeby odstawić się jak gwiazdy na czerwony dywan i wybawić do białego rana? Nie ma opcji i już teraz ci mówię, że Archer też za nic w świecie tego nie przepuści.

— No chyba że nas tam nie chcesz. — Sugestia blondyna została okraszona sztucznie oskarżycielskim spojrzeniem.

— Nie, oczywiście, że chcę — zapewniła Josephine, wciąż walcząc ze zdziwieniem. — Po prostu nie spodziewałam się, że będziecie chcieli przyjść, biorąc pod uwagę... w zasadzie wszystko.

— Będziemy tam — powiedziała Valerie ze zdecydowaniem, a Ethan potwierdził skinieniem głowy. — Więc kiedy to?

— Nie ustaliliśmy jeszcze daty. Właściwie nic jeszcze nie ustaliliśmy.

Reakcja przyjaciół na tę informację nie była dla niej wielkim zaskoczeniem.

— Ale... mówimy o najbliższym lecie, prawda? — upewniła się blondynka zbita z tropu. — Tym, które zaczyna się za jakieś siedem miesięcy? A wy nie macie jeszcze nic? Nawet daty?

— Ciężko jest coś ustalić z Carterem. Z przeprowadzką, firmą i wszystkim nie wiemy, kiedy znajdzie czas. — Z trudem powstrzymała chęć skrzywienia się. Zdawała sobie sprawę z tego, jak to brzmiało.

— Czas, żeby wziąć ślub? — Brwi Ethana zmarszczyły się w oczywistej konsternacji. — To brzmi...

— Żle — dokończyła Valerie za niego, nie kłopotząc się ostrożnością, z jaką jej mąż chciał wyrazić swoją opinię.

Josephine mogła jedynie wzruszyć ramionami, nie mając zbyt wielu argumentów na obronę narzeczonego.

— Carter jest bardzo zajęтым człowiekiem. Poza tym bardzo długo nie wiedzieliśmy, kiedy będziemy musieli się przeprowadzić, i wyszło, jak wyszło — wyjaśniła, nie poprawiając zbytnio sytuacji. — Moja mama zatrudniła profesjonalistkę, więc wszystko powinno pójść sprawnie.

A to, czego nie uda się załatwić organizatorce, załatwią pieniądze Cartera — mogłaby dodać, ale wolała zachować to dla siebie.

— Dlaczego twoja mama się tym zajmuje? — Z ust dziewczyny padło kolejne pytanie, którego Josephine wolałaby uniknąć.

— Bo chce mieć kontrolę nad tą uroczystością, żeby zminimalizować ryzyko, że przyniosę wstyd rodzinie — wyrecytowała ze sztucznym uśmiechem.

— Boże, zapomniałam już, jak bardzo nienawidzę tej kobiety. — Valerie ostentacyjnie wywróciła oczami, ignorując męża, który upomniął ją, szturchając w żebra.

— Nie ty jedna, ale oboje z ojcem są zakochani w Carterze, więc i tak jest między nami dużo lepiej, niż było kiedyś. — Na przykład wtedy, kiedy była dziewczyną Chase'a. — Nawet kilka razy odwiedzili nas w Bostonie. Jeśli planowanie mojego ślubu sprawi, że będzie mnie krytykować chociaż trochę mniej, kiedy ten dzień faktycznie nadejdzie, to z przyjemnością pozwolę jej wybrać nawet moją suknię ślubną.

— Nie brzmisz zbyt entuzjastycznie, kiedy mówisz o tym ślubie — zażartował Ethan, wytykając oczywistość.

Żona chłopaka przyjrzała się jej wnikliwie, rozważając jego słowa, zanim zapytała:

— Nie cieszysz się, że wychodzisz za mąż?

— Cieszę się. Bardzo — dodała, zdawszy sobie sprawę, że samo „cieszę się” to trochę mało. — Po prostu... ten ślub to też spora presja. W bostońskich kręgach biznesowych nazwisko Bateson sporo znaczy, więc mimo że zdecydowaliśmy się zorganizować uroczystość tutaj, to i tak będzie o tym głośno. Chyba żadna panna młoda nie chce się dodatkowo do całej reszty martwić tym, że zdjęcia z jej ślubu wylądują w gazecie.

Oboje przez chwilę wpatrywali się w brunetkę z mieszańką zdziwienia i podziwu.

Valerie pierwsza otrząsnęła się z szoku:

— Zawsze chciałam się przyjaźnić z celebrytką — pisnęła z przesadną ekscytacją. — Zabierzesz mnie ze sobą, jak zaproszą cię na spotkanie z królową?

Josephine parsknęła śmiechem, czując ulgę, że niewygodny dla niej temat dobiegł końca. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, uwagę wszystkich odwrócił telefon Ethana.

— To Archer — powiadomił je, zanim odebrał. — Co tam?... Poczekaj — rzucił do telefonu, a następnie zwrócił się do żony: — Pyta, o której będziemy.

— Siedemnasta? — zaproponowała w odpowiedzi i spojrzała na Josephine. — Masz jakieś plany na później? — zapytała, a kiedy dziewczyna zaprzeczyła, poleciła mężowi: — Powiedz mu, że Josie przyjdzie z nami.

— Przyjdzie gdzie? — zapytała Josephine półgłosem, gdy Ethan przekazywał informację.

— Do Archera. Mamy taką małą tradycję, że w każdy czwartek jemy razem — wyjaśniła, dając przyjaciółce do zrozumienia, że chce, aby Josie została częścią tego zwyczaju. — Czasami gotujemy, innym razem zamawiamy. Ostatnio Cami zaczęła wpadać, jeśli akurat ma wolne. Jest miło.

— Tak, Archer. *Nasza Josie*. A znasz jeszcze jakąś inną? — rzucił Ethan do słuchawki. — Przekażę. Do zobaczenia. Kazał ci powiedzieć, że będziesz się tłumaczyć, bo ma milion pytań, jak doszło do tego, że Josie jest teraz u nas, i że za karę, że mu nie powiedziałaś, będziesz zmywać po kolacji — powiedział żonie, gdy już odłożył telefon. Potem zwrócił się też do brunetki: — A ty będziesz wycierać.

Obie dziewczyny parsknęły śmiechem i w tym momencie Josephine w końcu poczuła się tak, jakby wróciła do domu.

Rozdział 12

— Jezu, jak dobrze, że w końcu ktoś normalny — rzuciła z ulgą Camille, gdy tylko otworzyła drzwi mieszkania Archera. — Ci dwaj mnie wykańczają.

Bardzo szybko stało się jasne, jakich dwóch dziewczyna miała na myśli. Chase nakrywał właśnie do stołu, gdy pozostali pojawili się w mieszkaniu. Stał tyłem do drzwi, więc nie zdawał sobie jeszcze sprawy z obecności Josephine.

— Dlaczego do cholery potrzebujemy sześciu nakryć?! — zapytał zirytowany, zwracając się zapewne do znajdującego się w kuchni Archera. — Może to będzie dla ciebie spory szok, ale twój syn jeszcze nie usiądzie z nami przy stole.

— Nie — odburknął szatyn, przemieszczając się w stronę nowo przybyłych gości. — Ale moja przyjaciółka tak. Cześć, kruszynko — przywitał się, specjalnie używając przezwiska.

Zagranie osiągnęło zamierzony efekt, bo Chase odwrócił się, wciąż trzymając garść sztućców, a jego wzrok spoczął na Josephine. Przez ułamek sekundy był zdziwiony jej widokiem, a później jego twarz przybrała wyraz znudzenia.

— Lepiej idź sprawdzić, jak tam twoje *enchiladas, amigo*, bo jak spieprzysz kolejne danie, będziemy musieli coś zamówić, a dostawa zajmie wieki — poradził Archerowi, nie siląc się na uprzejmość, po czym wrócił do rozkładania nakryć, kompletnie ignorując Josie i pozostałych.

Jeśli Josephine miała jakieś wątpliwości co do tego, czy ich pijacki wieczór coś zmieniał w ich relacji, to teraz zyskała odpowiedź.

— Tak jest cały czas — wtajemniczyła ich Cami, stając obok trójki przyjaciół z synkiem na rękach. — To jest, odkąd tylko przestali na siebie wrzeszczeć.

— Uroczo — skomentowała Valerie ironicznie. — To ja mu pomogę, a ty weź na siebie Archera.

Josephine była bardziej niż chętna, by zniknąć z oczu Chase'owi, więc zgodnie z sugestią przyjaciółki ruszyła do kuchni.

— Więc co kuchnia dzisiaj serwuje? — zapytała, stając w progu pomieszczenia.

— To zależy, co wyjdzie na tyle zjadliwe, żeby nie skończyć w koszu.

— Pachnie i wygląda dobrze. — Nie żeby Josie miała jakieś pojęcie o gotowaniu.

— Większość zdążyła zrobić Cami, ja tylko pomagałem, ale potem Alfie się obudził, więc zostałem sam na placu boju — wyjaśnił i przeklął pod nosem, gdy się oparzył. — I jak mój kochany przyjaciel był łaskaw zauważyć, nie idzie mi najlepiej.

— Potrzebujesz pomocy? — Była całkiem pewna, że ich duet w kuchni skończyłby się katastrofą, ale była gotowa podjąć ryzyko.

— Jestem! — Camille dołączyła do nich w kuchni, ratując kolację od pewnej tragedii. — Pozbyłam się dziecka. Jak sobie radzicie?

— Wspaniale. Wszystko pod kontrolą. — Archer siłił się na optymizm, chociaż w jego głosie czaiła się panika. — Komu sprzedałaś Alfiego?

— Handlarzom organów — odpowiedziała bez zająknięcia, wywołując śmiech Josie. — Wujek Ethan dostał go pod opiekę. Dobra, przesun się, przejmuję dowodzenie. Josie, jak sobie radzisz w kuchni?

— Mniej więcej tak jak Archer — przyznała zgodnie z prawdą.

— Gorzej — poprawił ją przyjaciel, za co zarobił sójkę w bok.

— Czy nikt w tej rodzinie nie ma podstawowych umiejętności, jakie powinien posiadać każdy dorosły? — wyrzuciła z siebie Cami na tyle głośno, by słyszeli ją także przyjaciele w salonie.

— Połowa osób w tym mieszkaniu wychowała się w domach z prywatną kucharką — wyjaśnił jej Chase, gdy pojawił się w progu kuchni.

— Mnie wyrzuciłaś już na samym początku. „Nie mam do ciebie za grosz zaufania! Pewnie dosypiesz środek na przeczyszczenie do porcji Archera” — przedrzeźniał dziewczynę, przywołując jej słowa. — Więc zostaje ci Ethan, który o kuchni meksykańskiej wie tyle, że wywodzi się

z Meksyku. — To powiedziawszy, odbił się od framugi i wrócił do swojego zadania.

— Boże, skoro już naprawdę musiałam zaliczyć wpadkę, to czy nie mogło to być chociaż z facetem, który miałby użytecznych przyjaciół? — zapytała, unosząc oczy ku sufitowi. — Już nie mówię o kucharzu, ale chociaż jakiś lekarz albo prawnik.

— Josie skończyła prawo — wtrącił się Archer usłużnie, przerywając brunetce rozmowę z Bogiem.

— I nie ma zamiaru spędzić choćby dnia w swoim życiu, korzystając z tego wykształcenia — poinformowała Josephine bez zająknięcia.

— Wszyscy jesteście beznadziejni — zawyrokowała Camille z rezygnacją. — Okej, do roboty. Będę wam mówić, co robić, i może skończymy ten wieczór bez zatrucia pokarmowego.

— A nawet jeśli tak, to zawsze możemy oskarżyć Chase'a, że jednak czegoś tam dosypał — zaproponował Archer, otwierając jedną z paczek nachosów.

— Słyszałem to, Coleman! — odkrzyknął z salonu wspomniany chłopak.

Josephine odnalazła się w chaosie tego spotkania z zadziwiającą łatwością. Wykonywała polecenia wydawane przez Camille, jednocześnie korzystając z okazji, by nieco lepiej poznać dziewczynę. Wtajemniczyła także przyjaciela w ostatnie wydarzenia pomiędzy nią a Valerie. Szatyn nie krył zadowolenia z nowej sytuacji.

Nie trzeba było niepoprawnego optymizmu Archera, by zauważyć, że powoli wszystko zaczyna się układać.

By było idealnie, brakowało jeszcze tylko tego, żeby Chase i Josephine potrafili spędzić trochę czasu w swojej obecności bez rzucania się sobie do gardeł.

Jednak mimo wyraźnie napiętej relacji pomiędzy nimi tamtego wieczoru Josie czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek przez ostatnie lata. Nie mogła odzyskać czasu, który straciła, ale po raz pierwszy nie wydawało jej się, że powstała między nimi przepaść jest nie do pokonania.

Tamtego wieczoru, siedząc przy wspólnym stole, wśród góry jedzenia i głośnych śmiechów razem zaczęli budować most, by Josephine mogła przejść na ich stronę ze swojej samotnej krawędzi. I nic nie mogło zepsuć ciepła, jakie w dziewczynie wywoływała ta świadomość.

Prawie nic.

— Josie, prawie nic nie zjadłaś — zauważyła Cami, spoglądając na nią ze swojego miejsca. — Nie smakowało ci?

Brunetka powstrzymała grymas cisnący się na usta. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej braku apetytu.

— Na twoim miejscu bym uważał, kruszynko — ostrzegł Archer z ciepłym spojrzeniem utkwionym w matce jego dziecka. — Cami jest przewrażliwiona na punkcie jedzenia. Zaraz nakarmi cię łyżeczką jak Alfiego.

— Jasne, że mi smakowało — zapewniła. — Tylko...

— Jeśli mi powiesz, że jesteś na diecie ze względu na ślub, to nie ręcę za siebie — obiecała Valerie i prychnęła. — Już i tak wystarczająco mnie zazdrość zżera za twoją figurę.

— Ja i moje rozstępy po ciąży dołączamy się do tego stwierdzenia. — Cami i Valerie stuknęły się kieliszkami. Ten blondynki był wypełniony winem, podczas gdy młoda mama musiała ograniczyć się do soku.

— Nie. — Chyba że bycie w ciągłym stresie i pod przygniatającą presją można było nazwać dietą. — Po prostu...

— Po prostu Josephine nienawidzi meksykańskiej kuchni — oznajmił Chase wszystkim, odzywając się po raz pierwszy, odkąd usiedli przy stole.

— Przepraszam, ale czy ktoś cię o coś pytał? — odparowała Josie bez zastanowienia.

— Trzeba było tak od razu. — Archer bezbłędnie odczytał konieczność wtrącenia się pomiędzy tych dwoje. — Czemu nic nie mówiłaś, kruszynko?

— Bo w przeciwieństwie *do niektórych* — zaczęła, posyłając siedzącemu naprzeciwko chłopakowi mordercze spojrzenie — mam na tyle dobre maniery, by docenić wysiłek, jaki ktoś włożył w przygotowanie dla mnie posiłku. Nie chciałam sprawiać nikomu przykrości.

— Oj, daj spokój, Josie, to przecież tylko my. — Ethan również podjął próbę rozładowania wzrastającego napięcia, zanim dojdzie do tragedii. — Następnym razem schowaj w buty te swoje maniery i powiedz, że mamy ci wsadzić do piekarnika mrożoną pizzę.

— No dokładnie — zawtórowała Valerie, wymachując kieliszkiem. — Chodzi o to, żebyśmy wszyscy czuli się tu...

„Dobrze” nie zdążyło jeszcze wybrzmieć z jej ust, gdy Chase uznał, że jednak nie zamierza zignorować komentarla Josephine.

— Wybacz, że nie pobierałem lekcji etykiety od francuskich guwernantek, ale jak ostatni raz sprawdzałem, to odprowadzanie do domu pijanych księżniczek liczyło się jeszcze jako dobre maniery.

— Nie byłem pijana — odwarknęła wściekła. — A już na pewno nie potrzebowałam, żebyś mnie odprowadzał. Tak samo jak nie prosiłam o twoje towarzystwo.

— Co... co nas ominęło? — wtrącił się Archer, skacząc wzrokiem pomiędzy Chase'em i Josie.

— O nie. — Chase teatralnym gestem zasłonił usta. Zupełnie jakby wcale nie wspomniął celowo o ich pijackim wieczorze. — Jak to możliwe, że spędzasz tyle czasu z moimi przyjaciółmi, a nie zdążyłaś się jeszcze pochwalić?

— Pochwalić czym? — Valerie, podobnie jak Archer, usilnie próbowała odnaleźć sens tej wymiany zdań.

— Naszą wspólną nocą. — Jego bezczelny uśmiech wskazywał, że ta dwuznaczność była zamierzona.

Archer zakrztusił się powietrzem.

— To było zagranie o wiele poniżej twojego poziomu. Który, pozwól sobie zauważyć, od początku był niski. — Josie siłała się na niewzruszony ton. — Chase dosiadł się do mnie w barze w Moreton.

Chłopak starał się zignorować uczucie, jakie wywoływał w nim dźwięk jego imienia w ustach Josephine.

— Wypiliśmy trochę, porozmawialiśmy i odprowadził mnie do domu. Nic wielkiego — wyjaśniła przyjaciółom, po czym wróciła wzrokiem do Chase'a. — Ale dobrze wiedzieć, że tylko po alkoholu potrafisz zachowywać się jak człowiek.

— Dobrze wiedzieć, że tylko po alkoholu twoje towarzystwo jest znośne.

— Zawsze możesz wyjść — zaproponowała mu, podobnie jak on zrobił to w barze.

— Byłem tutaj pierwszy. — Nie umknęło mu nawiązanie do tamtej rozmowy.

— To może komuś dolać wina? — odezwał się Archer głośniejszym głosem, niż to było konieczne, desperacko próbując przerwać, cokolwiek się działo między dwójką jego przyjaciół. — Albo jakiś mocniejszy alkohol? Skoro najwidoczniej tak dobrze się po nim dogadujecie?

Interwencja nie przyniosła zamierzonego efektu, bo chociaż wymiana zdań chwilowo się urwała, Chase i Josephine nadal byli skupieni wyłącznie na sobie i swojej wojnie na spojrzania.

Przy stole zapadła cisza, pozostali obserwowali pojedynek z mieszkanką ciekawości i przerażenia. Na tym etapie każde z nich spodziewało się, że za chwilę sos guacamole będzie latał w powietrzu, gdy werbalna forma okazywania swojej niechęci przestanie być wystarczająca.

W końcu Chase się poddał i w akcie zwieszenia broni wstał od stołu.

— Zamierzasz wyjść? — zapytał Archer z obawą.

— I dać Josephine tę satysfakcję? Nigdy w życiu. Idę do łazienki.

Uwadze brunetki nie umknęło to, że podczas ich nocy w barze zwracał się do niej „Josie”.

— Jedna wielka dysfunkcyjna rodzina. — Camille z rozbawieniem podsumowała wydarzenia ostatnich kilku minut. — Zaczynam się poważnie martwić, na kogo mój syn wyrośnie, wychowując się w takim gronie.

Josephine milczała, niepewna, czy powinna przeprosić za zajście, czy wyśmiać całą sytuację. Na szczęście dzwoniący telefon oszczędził jej konieczności podjęcia decyzji.

— Przepraszam na chwilę — rzuciła, odczytując na wyświetlaczu imię Cartera. Wyszła z salonu na korytarz, zanim odebrała. — Halo?

— Gdzie jesteś? — Natychmiast padło pytanie. — Bo na pewno nie ma cię w domu.

— U starych znajomych z czasów szkoły. — Teoretycznie nie było to kłamstwo. — Dlaczego pytasz?

— Bo postanowiłem cię odwiedzić — poinformował Carter tonem, który dobrze znała. Był zirytowany z jej winy. — Cóż, jak widać, zmarnowałem tylko czas.

— Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że planujesz przyjechać akurat dzisiaj.

— Ty również nie mówiłaś, że planujesz jakieś wyjścia towarzyskie. Co do których ustaliliśmy, pozwolę sobie przypomnieć, że nie będą miały miejsca — pouczył ją cierpliwie. — Z powodów, które, jak sądziłem, rozumiesz.

Kiedy Carter wymieniał jej zasady towarzyszące przeprowadzce do Moreton, mechanicznie kiwała głową, zgadzając się na wszystko. Wtedy nie podejrzewała nawet, że nadejście okazja do złamania którejś z reguł.

— Carter, nic mi nie będzie — zapewniła, choć zdawała sobie sprawę, że to nie pomoże. — Nic mi nie *jest*. To tylko kolacja z przyjaciółmi.

— Podobnie jak nic ci nie było poprzednim razem? — rzucił, bez trudu odbierając jej argumenty.

Josie westchnęła ciężko, uświadomiwszy sobie swój błąd. Wchodzenie w dyskusję z urodzonym biznesmenem nigdy nie kończyło się dla niej dobrze.

— Jeśli wyjdę teraz, za jakąś godzinę powinnam być w domu. — Zmiana tematu była w tym wypadku najlepszą taktyką. — Jesteś w stanie tyle poczekać?

— Jestem już w drodze do Londynu.

— No to może pojedę do mieszkania i zobaczymy się tam? — proponowała, chcąc pokazać, że zależy jej na spotkaniu. — Jeśli zawiadomisz portiera, wpuści mnie do środka i poczekam.

— Nie sądzę, by to był dobry pomysł — odmówił formalnie. — Już późno, a ja jutro z rana mam telekonferencję z potencjalnym kontrahentem z Chin.

— Rozumiem. — Josie zdusiła ukłucie rozczarowania.

— A kiedy ty zamierzasz wrócić do domu? *I jak?* Bo nie planujesz chyba tam spać, prawda? — Padła seria pytań, a kiedy Josie nie odpowiedziała, Carter dorzucił kolejne: — Jak w ogóle dostałaś się do Londynu? Mój kierowca nie wspominał, że poprosiłaś o zawieszenie.

— Pojechałam pociągiem — przyznała, nie widząc sensu w kłamstwie. Zamknęła oczy, krzywiąc się w oczekiwaniu na to, co miało nadejść.

Jedna sekunda ciszy. Dwie. Trzy.

— Żartujesz? — Kolejne dwie sekundy ciszy, po których nastąpiło głębokie westchnienie pełne rozczarowania. — Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak nieodpowiedzialne to było z twojej strony. I jak wielką aferę mogłaś wywołać, gdyby twój *incydent* się powtórzył.

— Mój *incydent* się nie powtórzy, bo... — przerwała, opamiętując się w porę. Nic, co powie, nie mogło zmienić opinii Cartera.

— Wysyłam po ciebie kierowcę, gdy tylko dojadę do apartamentu — zdecydował tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Wyślij mi adres.

— To naprawdę nie...

— Adres — powtórzył, powoli tracąc cierpliwość.

— W porządku. — Josephine poddała się, nie mając siły upierać się przy swoim. — Wyślę ci, jak tylko się rozłączymy.

— Świetnie. Postaram się znaleźć czas na kolejne odwiedziny w przyszłym tygodniu, więc tym razem, proszę, bądź w domu. Muszę kończyć — rzucił i rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Josephine wzięła jeden głęboki wdech, który miał jej pomóc zebrać się w całość po rozmowie, i odwróciła się z zamiarem dołączenia do przyjaciół przy stole. Nie zostało jej już dużo czasu, by cieszyć się wieczorem.

Zatrzymał ją jednak widok Chase'a opierającego się o framugę drzwi łazienkowych. Nawet nie próbował ukryć faktu, że przysłuchiwał się rozmowie.

— Dla twojej informacji: podsłuchiwanie prywatnych rozmów *nie* zalicza się do dobrych manier — poinformowała go, gdy odzyskała rezon.

— Nie pochlebiaj sobie myślą, że twoje sprawy interesują mnie w jakimkolwiek stopniu — prychnął, unosząc kącik ust w pogardliwym uśmiechu. — Ale rozmowa wydawała się na tyle poważna, że zwyczajnie wolałem poczekać, aż skończysz, żeby nie rozpraszać cię swoją obecnością. To chyba można zaliczyć do dobrych manier.

— Nie pochlebiaj sobie myślą, że twoja obecność wywołałaby u mnie jakąkolwiek reakcję. — Zachowanie spokoju kosztowało ją niemal

nadludzki wysiłek, bo większość jej głowy zajęta była rozmyślaniami o tym, co Chase słyszał i jakie wnioski wyciągnął. — No, może poza zniesmaczeniem.

Zostawiła go samego, nie czekając na reakcję. Była jednak niemal pewna, że gdy wchodziła do salonu, zza jej pleców dobiegło ciche parsknięcie śmiechem.

Rozdział 13

— Ostatnio coś często nie ma cię w domu — zauważył William, uśmiechając się znad swojego kubka, gdy kilka dni po kolacji u Archera wspólnie z Josephine pili kawę.

— Nie wiedziałam, że jestem w areszcie domowym — odparła spokojnie.

William twierdził, że jest po jej stronie. Teraz miał okazję to udowodnić.

— Bo nie jesteś — zapewnił. — Bez względu na to, co twierdzi Carter, nie sądzę, żebyś potrzebowała całodobowej opieki. I nie zamierzam cię zamykać w pokoju. Pytam, bo jestem ciekawy.

— Odnawiam kontakty ze starymi przyjaciółmi. — Wzruszyła ramionami, nie wdając się w szczegóły.

— Nie rozmawialiście, jak byłaś na studiach?

Josephine czasami zapomniała, że brat nie miał pojęcia o tym, jak wyglądało jej życie przed wyjazdem. Tak jak teraz, kiedy uświadomiło ją dopiero jego zdziwienie.

— Wiesz, dlaczego Harvard był moim marzeniem? — Podjęcie decyzji, by podzielić się z mężczyzną swoim małym sekretem, przyszło jej zaskakująco łatwo. — Bo nieważne, jak bardzo nienawidziłam myśli o studiowaniu prawa, Boston był jedyną drogą ucieczki od rodziców. Planowałam wyjechać i nigdy tu nie wrócić, więc zerwałam kontakty ze wszystkimi, żeby nic mnie tu nie trzymało.

— A jednak mimo wszystko wróciłaś. Dla Cartera — zaznaczył, co Josie mogła skomentować jedynie wzruszeniem ramion. — Więc jak ci idzie odzyskiwanie przyjaciół? Bo wiem, że z Valerie się dogadałaś. Ją znam. Kto jeszcze?

— Jest Ethan, jej mąż. Gdy wyjeżdżałam, byli jedynie parą, ale spodziewałam się, że tak skończą. Od początku byli dla siebie stworzeni. Jest też Archer, syn Colemanów — podpowiedziała, spodziewając się, że William będzie wiedział, o kim mówi.

— Wiem, o kogo chodzi — oznajmił zadowolony, potwierdzając założenia siostry. — Pracuje w firmie swojego ojca i czasami wpada do kancelarii podrzucić dokumenty. Rodzice zawsze mówią, że jest błaznem, który nic w życiu nie osiągnie i jedynie przynosi wstyd swojej rodzinie.

— Dokładnie ten sam. Archer jest jedyny w swoim rodzaju. — Jej głos był przepełniony sympatią do przyjaciela. — W liceum zawsze miał opinię największego podrywacza, ale pół roku temu urodził mu się syn i kompletnie stracił dla niego głowę.

— To wszyscy?

Josie chciała, żeby tak było.

— Jest jeszcze Chase — przyznała i upiła duży łyk kawy, jakby mogła tym zatuszować dobijającą ciszę w porównaniu z opisem poprzednich przyjaciół.

— Chase... — powtórzył William przeciągle, dając jej w ten sposób znać, że ma powiedzieć coś więcej.

— Po prostu Chase — ucięła. Kłamstwo, że byli jedynie przyjaciółmi, nie przeszłoby jej przez gardło. A prawdą nie chciała się dzielić.

— W porządku. — Bez trudu załapał sugestię, że to drażliwy temat. Już na samym początku nauczył się, że w kontaktach z siostrą nie należy naciskać. — W każdym razie fajnie byłoby poznać tych twoich przyjaciół. „Po prostu Chase’a” też — dodał, puszczając do niej oczko.

— Może kiedyś — rzuciła wymijająco, nie zastanawiając się zbytnio nad tym pomysłem.

Bez względu na to, jak obiecujący był tamten wieczór u Archera, Josephine nie zapomniała, że był dopiero początkiem. Zdawała sobie sprawę, że dopóki nie dojdą z Chase'em do jakiegokolwiek porozumienia zapobiegającemu sytuacjom podobnym do tej przy stole, nie mogła mówić, że jej relacja z przyjaciółmi wróciła do stanu sprzed sześciu lat.

— Zgubiłaś coś? — zapytała Crystal, gdy wszedłszy do salonu z dwoma kieliszkami wina, znalazła Josephine zaglądającą pod każdą poduszkę na kanapie.

— Telefon. Zapomniałaś się gdzieś, jak budowałyśmy bazę z Nicole — odpowiedziała, uśmiechając się mimo nerwowości. Była bezsprzecznie zakochana w swojej bratanicy. — Mam. — Odetchnęła z ulgą, wyczuwając urządzenie w dziurze pomiędzy siedziskiem a oparciem sofy.

— Całe szczęście. Twoje wino. — Rudowłosa podała jej kieliszek, zanim usiadła i złapała za pilota. — To jaki film oglądamy?

Gdzieś pod koniec pierwszego miesiąca pobytu Josephine w rodzinnym domu kobiety odkryły, że mają podobny gust filmowy, i od tego czasu wspólne wieczory przed telewizorem stały się ich małą tradycją.

Josie nie odpowiedziała, skupiona na swojej komórce, gdzie czekały na nią dwa nieodebrane połączenia z nieznanego numeru. I akurat gdy rozważała, czy powinna oddzwonić lub napisać wiadomość, urządzenie rozdzwoniło się ponownie.

Odebrała, spodziewając się, że numer może należeć do jednego ze służbowych telefonów Cartera. Jednak głos po drugiej stronie słuchawki nie należał do jej narzeczonego.

— Cześć, Josie.

Nie odpowiedziała, starając się dopasować męski głos do osoby.

— Halo? Jesteś tam?

— Przepraszam, kto mówi? — zapytała w końcu, poddając się. Wiedziała, że zna głos, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, do kogo należał.

— O, no tak. Zapomniałem. — Mężczyzna po drugiej stronie zaśmiał się niezręcznie. — To ja, Sammy, pamiętasz mnie? Poznaliśmy się...

— Wiem, kim jesteś, Sammy. — Jak mogłaby zapomnieć? — Oczywiście, że cię pamiętam. Przepraszam, nie mogłam skojarzyć, skąd znam głos. — Zwłaszcza że telefon od chłopaka, którego poznała w Seaport, był ostatnim, czego się spodziewała. — Dzwonisz w jakimś konkretnym celu?

— Właściwie tak — potwierdził, wyraźnie smutniejąc. — Chciałem ci przekazać... Chodzi o Florence. Wiem, że wyjechałaś do Bostonu, ale pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

Coś w jego głosie sprawiło, że serce Josie zacisnęło się z niepokoju. Wiedziała, właściwie jeszcze zanim wypowiedział słowa.

— Zmarła dziś rano.

Sammy mówił coś jeszcze, ale nic z tego nie dotarło do Josephine. Była ledwie świadoma uważnego wzroku Crystal, która dostrzegła jej reakcję i przyglądała jej się z niepokojem.

Florence nie żyje. — Wciąż z telefonem przy uchu pokręciła głową, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości, że ta wspaniała kobieta odeszła.

Jednak zaprzeczenie trwało tylko kilka sekund. I niemal natychmiast po tym, jak wiadomość w pełni do niej dotarła, wszystko inne przyćmiła inna myśl.

— Chase. — Dopiero gdy Sammy urwał w pół słowa, uświadomiła sobie, że powiedziała imię chłopaka na głos. Jej gardło ścisnęło się, zapowiadając płacz, gdy wykrztusiła pytanie: — Sammy, wiesz może, czy ktoś przekazał już wiadomość Chase'owi?

— Na pewno — odparł bez wahania. — Moja ciocia zawiadamiiała wszystkich bliskich, więc jego na pewno też.

— Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś — powiedziała tylko, zanim przerwała połączenie.

Nie powiedziała nawet, że jej przykro, bo to określenie w najmniejszym stopniu nie oddawało tego, co czuła, a nie mogła tracić czasu na puste frazesy.

— Coś się stało? — zapytała Crystal zmartwiona.

— Muszę iść. — Josephine wybiegła bez słowa wyjaśnienia.

Miała w głowie tylko to, że musi jak najszybciej dotrzeć do Chase'a.

Nie mogła powiedzieć, że *zdecydowała się iść do Chase'a*. To nie był wybór pomiędzy dwiema możliwościami. Nie zastanawiała się też, czy to, co robi, jest słuszne. Nawet na sekundę nie przemknęło jej przez myśl, że mogłaby tego *nie* zrobić.

Dawna miłość, złamane serca, wyjazd Josie, jej powrót i ich dziecinne kłótnie — nic z tego nie miało w tej chwili znaczenia.

Josephine była jedyną na świecie osobą, która rozumiała ogrom jego straty. Pozostali nie mieli pojęcia, kim była Florence ani ile Chase jej zawdzięczał. Josie natomiast na własne oczy widziała, jak głęboka więź łączyła tych dwoje. Jeśli kiedykolwiek przyszedłoby jej podać *jeden* dowód na to, że rodzina nie ma nic wspólnego z pokrewieństwem, Chase i Florence byłiby tym przykładem.

I to było o wiele ważniejsze niż wszystkie argumenty, dlaczego nie powinna pojawiać się pod jego drzwiami.

Dlatego nie zawahała się nawet na chwilę przed wtargnięciem do mieszkania Chase'a. Ledwo znalazła się w środku, gdy powietrze przeszło łomot.

Stała jak wryta, z przerażeniem obserwując ogrom zniszczeń. W powietrzu unosił się duszący zapach alkoholu, wszędzie było pełno szkła i poprzewracanych przedmiotów, walających się po podłodze. Hałas, który przed chwilą słyszała, był spowodowany przewróconym regałem. Brunet, najwidoczniej nieusatysfakcjonowany bałaganem, zajął się niszczeniem kolejnych rzeczy.

— Chase. — Josie starała się, by jej głos był opanowany, jednak nie mogła pozbyć się uczucia strachu, gdy patrzyła na tę wersję chłopaka. — Chase! — powtórzyła głośniejsze, i tym razem jej głos przedostał się przez ścianę gniewu i alkoholu.

— Ty! — wyrzucił z siebie jak najgorsze przekleństwo. — Czego tu szukasz? Po co tutaj przyszedłeś?! — Chciał zrobić krok w jej stronę, ale zatoczył się i odbił od ściany, po czym zahaczył o komodę w desperackiej próbie odzyskania równowagi. Pomarańczowy wazon ze sztucznymi kwiatami z trzaskiem dołączył do reszty zniszczonych rzeczy na podłodze.

— Przyszedłam sprawdzić, jak sobie radzisz — wyjaśniła niepewnie. — Sammy do mnie zadzwonił i powiedział, co się stało. Chciałam...

— Gówno mnie obchodzi, co chciałeś! — W końcu zdołał stanąć pewniej i utkwiał w niej nienawistne spojrzenie. — Wynoś się stąd. Nie chcę cię widzieć.

Przerażał ją w tym stanie. Nigdy nie sądziła, że znajdzie się w sytuacji, kiedy Chase będzie wywoływał w niej strach.

To Chase. Ten sam człowiek, przy którym czułaś się najbezpieczniej na świecie. Nigdy by cię nie skrzywdził. Weź się w garść — powtarzała sobie, aż rozsądek przejął panowanie nad roztrzęsionym sercem i dodał jej odwagi.

— Nie. Nigdzie nie idę. — Tym razem udało jej się zdobyć na stanowczość. Spojrzała na niego twardo. — Nie możesz być teraz sam. Pozwól sobie pomóc.

— Ale ja jestem sam! — wykrzyknął, a dziewczyna aż podskoczyła ze strachu. — Byłem sam każdego dnia, odkąd mnie zostawiłaś, i świetnie sobie daje radę. — Rozłożył ramiona, jakby na dowód swoich słów.

— Zdeastrowane mieszkanie mówi coś innego — odparła spokojnie, próbując zebrać się na odwagę i podejść do niego, żeby wyjąć mu z ręki butelkę.

Nienawidziła siebie za ten lęk. Za to irracjonalne pragnienie ucieczki przed osobą, której nigdy nie powinna się obawiać.

Być może dopiero w tym momencie w pełni dotarło do niej, jak bardzo zniszczyły ich te lata. Jak słabi się stali bez siebie.

— Chase...

— To twoja wina. To przez ciebie Florence nie żyje. — Wyrzucał z siebie oskarżenia i nawet jeśli były bezpodstawne, Josephine czuła się, jakby wbijał jej nóż prosto w serce. — Niszczysz i zabierasz wszystko, co miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Odstawił głośno butelkę i ruszył do niej ociężale. Josephine czuła, że wszystkie jej mięśnie spinają się, gotowe do ucieczki.

— Nienawidzę cię — wycodził. Pomimo wypitego alkoholu jego słowa były wyraźne. — Brzydę się tobą.

Był tuż przy niej i wiedziała, że jeśli postanowi zrobić jej krzywdę, nie zdoła uniknąć ciosu. Nie odsunęła się jednak. Czekwała.

— Żałuję, że cię poznałem. — Nachylił się do jej poziomu, zanim wyrzucił z siebie kolejne bolesne słowa: — Chciałbym, żebyś nigdy nie stanęła na mojej drodze.

— Skończyłeś? — zapytała w końcu, nie łamiąc się pod ciężarem jego spojrzenia ani bliskości. Zbyt dobrze wiedziała, co próbował zrobić.

Był zraniony, więc w reakcji obronnej ranił też ją. Nieważne, kto stałby teraz na jej miejscu — zmieniałyby się tylko obelgi, którymi próbował

osiągnąć cel. Chciał zostać sam, bo wierzył, że *zastępuje* na cierpienie w samotności. Ale bez względu na to, czy mówił dokładnie to, co myślał, czy przemawiał przez niego alkohol, Josie nie miała zamiaru zostawiać go w takim stanie.

— Musisz się położyć. Chodź. — Chwyliła go za łokieć, ale wyrwał się niemal od razu.

— Nie dotykaj mnie.

Chase odsunął się od niej i ruszył do komody, gdzie odstawił alkohol. Widząc, co planuje, wyprzedziła go i chwyciła butelkę, zanim on jej dosięgnął.

Nie spodziewała się jednak, że w konsekwencji chłopak złapie ją za ramię. Upuściła butelkę, która z trzaskiem rozbiła się o drewniane panele, gdy szarpnął jej ciałem, przyciągając bliżej siebie.

Skrzywiła się z bólu, czując palce wbijające się w ramię, jednak Chase zdawał się tym nie przejmować. Nadal trzymał ją w bolesnym uścisku, przyglądając się gniewnie.

— Chase, proszę. — Nie chciała okazywać lęku, jednak głos ją zdradził.

Nie wiedziała, czy zobaczył w jej oczach strach, czy postanowił odpuścić z innego powodu, jednak puścił ją z tą samą gwałtownością.

Cofnął się najpierw o krok, a potem o kolejny. W końcu odwrócił się i ruszył w stronę swojego pokoju. Rozległo się trzaśnięcie drzwiami, a Josephine odetchnęła z ulgą.

Nie potrafiła jednak zmusić się do wyjścia. Odczekała kilkanaście minut, próbując się uspokoić, i dopiero gdy jej ciało przestało trząść się z emocji, przeszła na palcach pomiędzy odłamkami szkła do pokoju chłopaka, by przekonać się, że śpi. Czuliła się jak intruz, wchodząc do środka, ale mimo to podeszła do łóżka i nakryła chłopaka kocem. Nie była w stanie spojrzeć na ścianę, która kiedyś wypełniona była fotografiami. Nie chciała wiedzieć, czy jej zdjęcia nadal na niej są.

Po wyjściu z sypialni zabrała się do sprzątania, zaczynając od wytarcia rozlanego w kuchni alkoholu i uchylenia okna, by pozbyć się gryzącego zapachu. Nie sądziła, żeby cokolwiek było w stanie obudzić Chase'a, więc sprzątnęła też rozsypane wszędzie szkło, które pochodziło głównie

z rozbitego stolika i kilku innych przedmiotów. Z trudem podniosła przewrócony regał, a potem poukładała na nim te rzeczy, które nie zostały zniszczone.

Gdy skończyła, za oknem świtało, a ona padała z nóg. Mieszkanie wciąż nie było w idealnym stanie, ale większość udało jej się doprowadzić do porządku.

W teorii nic więcej jej tam nie trzymało, ale nie mogła go tak zostawić. Jakkolwiek brutalna była ta świadomość, wiedziała, że najgorsze miało dopiero nadejść, gdy Chase się obudzi i będzie musiał zmierzyć się z rzeczywistością bez pomocy tłumiącego ból alkoholu.

Dlatego z pewnością, której nie czuła, usiadła na kanapie i postanowiła zaczekać na rozwój wydarzeń.

Rozdział 14

W pierwszej chwili po przebudzeniu Chase miał wrażenie, że umiera. Nie pamiętał, co się wydarzyło, a rozsadzający czaszkę ból głowy nie pozwalał mu się skupić.

Potem jednak zaczął sobie przypominać i z każdą sekundą coraz bardziej żałował, że jednak nie jest bliski śmierci. Może bolałoby mniej niż świadomość tego, co się stało.

Wpatrywał się tępo w sufit z rozdzierającym bólem w sercu, a kolejne fragmenty wczorajszej nocy wracały na swoje miejsce. Najpierw telefon od Rosalie, jej płacz i jego płacz. Potem cisza i w końcu zakorzeniony głęboko w jego głowie krzyk, który tego wieczoru wydostał się na zewnątrz. I Josephine.

Strach w jej oczach zdecydowanie był czymś, czego żadna ilość alkoholu nie mogła wymazać z jego pamięci. Jeśli jakimś cudem nie nienawidziła go wcześniej, to teraz z pewnością do tego doprowadził.

W końcu podniósł się ociężale i wyszedł z pokoju z zamiarem zmierzenia się z rzeczywistością — zaczynając od szkód, które wyrządził w pijackim napadzie szału.

Nie spodziewał się, że zastanie mieszkanie w tak dobrym stanie. Prawie wszystkie zniszczenia zostały usunięte, niewątpliwie przez dziewczynę, która spała zwinięta na kanapie. Jej obecność dziwiła go o wiele bardziej niż porządek.

Niepewny, jak się zachować, podszedł bliżej. Przyglądał się Josie, jakby jego mózg nie mógł pojąć widoku, który rejestrowały oczy.

Dziewczyna знаła mieszkanie jak własne. Wiedziała, gdzie znajdzie koc, i jak sądził, zdawała sobie też sprawę z tego, że sypialnia jego matki

od dawna jest pusta i że stoi tam nieużywane przez nikogo łóżko. Mimo to spała na niewygodnej kanapie, przykryta własnym płaszczem, skulona, jakby nie chciała zajmować zbyt dużo miejsca.

Nie rozumiał, dlaczego została. Dlaczego po tym, jak powiedział jej te wszystkie okrutne rzeczy i przestraszył, używając siły, nie uciekła od niego, zostawiając samego — dokładnie tak, jak na to zasługiwał.

Bo to Josie — uświadomił sobie wraz z nową falą wstydu. Josephine, którą znał, nigdy nie porzuciłaby kogoś potrzebującego pomocy. Kiedyś jej dobroć sprawiała, że sam chciał być lepszy, jednak wszystko zniknęło, gdy odeszła.

Przez chwilę myślał o przeniesieniu jej na łóżko, ale niemal od razu zrezygnował. Nie chciał jej przypadkiem obudzić, więc jedynie przyniósł koc i okrył ją ostrożnie, zanim zniknął w łazience. Naiwnie liczył, że zimny prysznic zmyje poczucie winy i obrzydzenie, jakie czuł do siebie.

Dorastając, zarzekał się, że nigdy nie będzie taki jak jego matka, która raz skrzywdzona przez miłość resztę życia spędziła, zapijając smutek i raniąc bliskich. Ostatnio jednak coraz częściej dostrzegał rodzinne podobieństwo.

Gdy ponownie znalazł się w salonie, dziewczyna już nie spała. Miała ciemne cienie pod oczami i bladą ze zmęczenia cerę, ale jej spojrzenie wyrażało jedynie zmartwienie. Przynajmniej tyle był w stanie dostrzec, zanim odwrócił wzrok.

— Jak się czujesz?

W odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami. Gniew wypalił się poprzedniej nocy i teraz czuł się pusty w środku. Ruszył do kuchni, by napić się wody, a Josie poszła za nim. Doskonale widział niepewność w jej ruchach, tak dla niej nietypową.

— Doceniam troskę o mnie, ale możesz już wrócić do domu. Nie będę więcej pił, nie planuję też nic głupiego, jeśli o to się martwisz.

Jego wczorajsza reakcja była błędem. Z doświadczenia wiedział, że upijanie się w niczym nie pomaga. Alkohol był łatwą ucieczką od problemu, ale miał dosyć uciekania.

Zamierzał przeżyć stratę jak dorosły. W końcu nie pierwszy raz tracił osobę, którą kochał.

Josephine skinęła głową i Chase nie był pewien, czy jest zawiedziona, że ją wyrzuca, czy jej ulżyło, że może iść. Zniknęła na chwilę i wróciła z płaszczem w dłoni.

— Posłuchaj... — Przygryzała wargę, ewidentnie bijąc się z myślami. — Chciałabym pojechać z tobą na pogrzeb. Wiem, że jestem ostatnią osobą, którą chcesz widzieć, ale myślę, że nie powinienes być z tym sam. No i jestem też jedyną osobą, która rozumie, co przechodzisz.

Oboje wiedzieli, że ma rację. Chase, chociaż bardzo chciałby zaprzeczyć, nie potrafił. Zdziwiło go natomiast, że nie wspomniała o kwestii, która jemu wydawała się najbardziej oczywistym argumentem.

— Josephine, nie musisz mnie prosić o zgodę na to, by jechać na jej pogrzeb. Florence była ważna też dla ciebie. — Przynajmniej tyle mógł zrobić, żeby jej się odwdzińczyć. — Możemy jechać razem.

— Dziękuję. — Skinęła głową ze szczerą wdzięcznością i ruszyła do wyjścia.

— Zaczekaj. — Zatrzymał ją, w panice szukając właściwych słów. — Przepraszam za wczoraj. Byłem pijany i zraniony, nie byłem sobą. Te rzeczy, które powiedziałem...

— Nie musisz mi się tłumaczyć — przerwała mu spokojnie, bez cienia złości. — Rozumiem, na prawdę.

Byłoby mu łatwiej, gdyby była na niego zła. Zwłaszcza że doskonale wiedział, że wbrew temu, co mówiła, zranił ją swoim zachowaniem.

— Mimo to przepraszam. I dziękuję. Nie wiem, jak ja zachowałbym się na twoim miejscu. — Nie był idealny pod żadnym względem, ale przynajmniej miał odwagę otwarcie to przyznać.

Josephine zaskoczyła go najmniejszym z uśmiechów.

— Cóż, ja wiem. Zachowałbyś się dokładnie tak samo, gdybym to ja cię potrzebowała.

Chase nie miał pojęcia, czym uwarunkowana była tak ogromna wiara w niego. Był przekonany, że nie dał dziewczynie ku temu żadnego powodu.

— Pójdę już — postanowiła. Nie chciała go zostawiać, ale wiedziała, że potrzebuje przestrzeni. — Gdybyś czegoś potrzebował, to... — Niezręcznie wruszyła ramionami, pozwalając brunetowi samemu wyciągnąć wnioski. — Mój numer telefonu się nie zmienił.

Jeśli wiedziała cokolwiek o chłopaku stojącym przed nią — to że nadal go ma. Zachował go specjalnie po to, by dodatkowo dręczyć się myślą, że kontakt z nią ma na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie nie może zadzwonić.

— Mój też nie. — Nie zapytał, czy powinien jej go podać. Był zupełnie bezpodstawnie pewien, że nie ma takiej potrzeby.

Dwa dni później wyjechali z Moreton z samego rana. Oboje milczeli przez całą drogę, a żałobna czerń ich ubrań wydawała się przesiąkać powietrze i z każdym oddechem ich smutek jedynie się wzmacniał.

Josephine czuła się źle z powodu tego, że jej głowę nawiedzały myśli o poprzednim razie, gdy byli w drodze do Seaport. Wtedy jechali tam, by spędzić razem kilka wakacyjnych tygodni. Przebyli tę samą trasę, śpiwając głośno piosenki z płyt Chase'a i ciesząc się latem, póki trwało.

Nigdy nie podejrzewała, że kiedykolwiek odwiedzi jeszcze nadmorskie miasteczko, tym bardziej nie w takich okolicznościach.

Łzy uparcie zbierały się pod jej powiekami, nieważne, ile razy je przeganiała. Za każdym odwracała głowę, bo nie chciała, żeby Chase je widział. Jechała tam, by go wspierać, i musiała być silna za nich oboje.

Chase wyrwał ją z zamyślenia, gdy zwolnił i gwałtownie zjechał na szerokie leśne pobocze. Wyskoczył z auta, zanim zdążyła zapytać, co się dzieje. Trzasnął drzwiami i odszedł od samochodu. Niepewnie wysiadła za nim.

— Chase?

Stał tyłem i Josie widziała jedynie, że jego ramiona trzęsą się od powstrzymywanego płaczu.

— Nie potrafię. — Gdy się odwrócił, jego twarz była mokra od łez. — Nie dam rady tego zrobić. Zostawiłem ją. Uratowała mnie tyle razy, przyjęła mnie do swojej rodziny, a ja byłem zbyt słaby, by odwiedzić ją chociaż raz w ciągu ostatnich lat... — Urwał, gdy szloch wyrwał się z jego gardła. — Nie zasługuję na to, żeby móc się z nią pożegnać.

Obserwowanie go w tym stanie było dla Josephine czystą torturą. Pragnęła odebrać chociaż część tego bólu, dlatego zaryzykowała i zamknęła

dzielącą ich odległość. Zaplotła ręce wokół jego ciała, ściskając tak mocno, jakby mogła go w ten sposób uchronić przez rozpadnięciem się na kawałki.

— Była sama przez ostatnie lata swojego życia — mówił dalej, trzymając ją niemal boleśnie mocno. — A teraz umarła i już nigdy jej nie zobaczę. Nigdy jej nie powiem, jak bardzo wdzięczny jej jestem za wszystko, co dla mnie zrobiła.

— Jestem pewna, że wiedziała — zapewniła go spokojnym głosem. Kojącymi ruchami dłoni uciszała jego płacz, jakby był dzieckiem. — Florence zawsze wszystko wiedziała. Zwłaszcza to, co było niewypowiedziane wprost.

— Co, jeśli miała do mnie żal? Co, jeśli znienawidziła mnie za to, że ją zostawiłem?

— Wiesz, że to nieprawda. — Z trudem powstrzymywała łzy, ale jej głos był pewny. Nie mogła zostawić nawet krzty wątpliwości w chłopaku. — Florence kochała cię jak własnego syna. Czy za tobą tęskniła? Oczywiście, że tak. Ale znała cię i rozumiała powody, które powstrzymywały cię przed wizytą. Wiedziała też, że jeśli naprawdę będziesz jej potrzebował, znajdziesz drogę do domu.

Stali tak jeszcze chwilę. Josie cierpliwie czekała, aż chłopak się uspokoi, szepcząc ciche słowa pokrzepienia.

W końcu ciałem Chase'a przestał trząść szloch i chłopak odsunął się od niej. W jego oczach błyszczał zupełnie inny odcień cierpienia.

— Straciłem ją. — Dopiero teraz w pełni to do niego dotarło. — Straciłem ostatnią osobę, którą kochałem. Teraz nie mam już nikogo.

Na ceremonii pogrzebowej pojawiło się dużo osób, jednak nie był to sztuczny tłum ludzi, którzy przyszli wyłącznie z obowiązku. Każda obecna osoba знаła Florence, dzieliła z nią prywatne wspomnienia, a żal po jej odejściu był szczerzy. Josie słyszała nawet kobietę, która nazwała zmarłą „duszą Seaport”.

Wraz z jej odejściem dla wielu mieszkańców miasteczko zmieniło się bezpowrotnie. Stracili coś o wiele cenniejszego niż sąsiadkę o promiennym uśmiechu.

Nawet niebo zdawało się podzielać nastroje żałobników i ciemne chmury wisiały nad cmentarzem, gdy opuszczano trumnę do wykopanego dołu. Florence została pochowana w jednym grobie ze swoim mężem i Josephine bardzo chciała wierzyć, że gdziekolwiek kobieta trafiła, spotkali się ponownie.

Po pogrzebie ludzie skupili się w niewielkie grupki, jeszcze niegotowi, by już opuścić cmentarz. Niektórzy składali kondolencje rodzinie, inni wspominali, jaką cudowną kobietą była Florence.

Josephine stała sama z boku, obserwując Chase'a, który z pojedynczą różą w dłoni stał nad świeżą mogiłą, w samotności żegnając się po raz ostatni.

— Nie wiedziałem, że nadal jesteście razem.

Dziewczyna wzdygnęła się, gdy przy jej boku pojawiła się wysoka postać. Sammy uśmiechnął się do niej słabo, ale nawet on nie był w stanie wykrzesać z siebie szczerej radości w ten dzień.

— Sądziłem, że wyjechałaś — zauważył, przekrzywiając głowę.

— Bo wyjechałam. Wróciłam kilka tygodni temu — wyjaśniła, odrywając wzrok od bruneta. — I nie jesteśmy razem, ale chciałam być tu dla niego.

— Dobrze sobie radzi. — Kiwnął głową w stronę Chase'a.

Josephine mogła jedynie przytaknąć. Chase przez całą uroczystość wykazywał się siłą, za którą dziewczyna mogła go jedynie podziwiać. Jednocześnie wiedziała, że to tylko maska nałożona z konieczności, by nie okazać cierpienia przy innych. Zawsze tak postępował, Josie była jedną z niewielu osób, którym świadomie pokazywał cały ból, jaki w sobie nosił.

— A ty? — zapytał Sammy, powodując chwilową konsternację Josie. — Jak ty sobie radzisz? Bo może Florence była moją rodziną, ale wy dwoje byliście z nią o wiele bliżej niż ja.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale uświadomiła sobie, że właściwie sama tego nie wie. Od pierwszego momentu, gdy się dowiedziała, jej myśli skupiały się wyłącznie na Chasie. Martwiła się o niego tak bardzo, że nawet przez chwilę nie pomyślała o sobie. O tym, że też straciła kogoś ważnego.

Sammy musiał widzieć, że dziewczyna jest bliska płaczu, bo przygarnął ją do siebie w uścisku.

— No już. Spokojnie. — Pocieszał ją tak, jak kilka godzin wcześniej ona pocieszała Chase'a.

— Josephine?

Odsunęli się od siebie, gdy z boku dotarł do nich głos Sandersona.

— W porządku? — zapytał, widząc jej zapłakane oczy. Jego również nosiły ślady łez.

— Tak. — Pospiesznie wytarła twarz, posyłając w kierunku Sammy'ego uśmiech pełen wdzięczności.

Chłopak skinął im obojgu głową i odszedł, zostawiając ich samych.

— Nie mam siły wracać dzisiaj do domu — wyznał Chase szczerze. Nie byłby w stanie skupić się na drodze. — W dodatku robi się późno, a pogoda jest okropna i nie chcę prowadzić w takich warunkach. Masz coś przeciwko, żebyśmy zostali na noc w latarni?

— Nie. Oczywiście, że nie. — Musiałaby być egoistką, by w tych okolicznościach wszczynać protest wyłącznie dlatego, że nie czuła się komfortowo z myślą o powrocie do latarni.

Widziała, w jakim Chase jest stanie. Zmuszanie go do siadania za kierownicą, gdy ledwo się trzymał, nie byłoby bezpieczne ani rozsądne. Chłopak skinął głową i oboje ruszyli w stronę kobiety, która jak Josie przypuszczała, była córką Florence.

— Rosalie — przywitał się z kobietą Chase, wrywając ją z zamyślenia. — Strasznie mi przykro.

— Nie musisz mówić — zapewniła, ściskając go.

Było między nimi wzajemne zrozumienie dwojga ludzi, którzy stracili równie ważną osobę. Rosalie traktowała go, jakby naprawdę był jej kilkanaście lat młodszym bratem, który również żegnał matkę.

— Radzisz sobie jakoś? — zapytał przyciszonym głosem, gdy się odsunął.

Josephine ze szczerym podziwem pomyślała, że kobieta znosi stratę z godnością. Pod jej oczami widziała ślady rozmazanego tuszu, ale mogła się jedynie domyślać, ile wysiłku wymagało stanie w pobliżu grobu

ukochanej matki i przyjmowanie kondolencji. Nie widziała, gdzie są pozostałe dzieci Florence, ale podejrzewała, że przyjmują wyrazy współczucia od innych żałobników.

— Tak samo jak ty — odpowiedziała Rosalie z wymuszonym uśmiechem. — Dziękuję, że przyjechałeś. To na pewno dużo dla niej znaczy. Dla nas wszystkich wciąż jesteś rodziną, nie zapominaj o tym.

— Dziękuję. — Wzruszenie ścisnęło go za gardło, gdy usłyszał jej zapewnienia. — Wybacz, że zawracam ci tym głowę, ale masz coś przeciwko, żebyś pojechał do jej domu i wziął klucze od latarni? Nie chcemy wracać w taką pogodę.

Smutek na twarzy kobiety na chwilę przesłoniło zmieszanie.

— Nie wiesz? — Westchnęła, gdy Chase zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, co kobieta ma na myśli. — Zeszłej jesieni były wyjątkowo mocne sztormy. Podczas jednego z nich wiatr poważnie uszkodził konstrukcję latarni. — Rosalie musiała wiedzieć, ile dla chłopaka znaczyło to miejsce. Jej mina wyrażała szczere współczucie, jakby przekazywała mu wieść o śmierci kolejnej bliskiej osoby. — Obawiam się, że teraz niewiele już z niej zostało. Przykro mi, Chase.

Rozdział 15

Stali ramię w ramię, w milczeniu obserwując to, co zostało z miejsca będącego niegdyś ich schronieniem przed światem. Teraz wszystkie spędzone tam chwile, rozmowy i śmiechy, które niosły się echem do samego nieba, leżały zakopane pod stertą gruzu.

Szczyt latarni zapadł się do środka, pociągając za sobą część muru od strony morza, i teraz przez pół wysokości budynku biegła szeroka wyrwa w ścianie. Z miejsca, w którym stali, Josephine mogła dostrzec fragment niebieskiej tapety ściennej, który był jedynym, co zostało z sypialni, a także szczyt metalowych schodów — sterczały groteskowo ponad murem, prowadząc donikąd. Wszystko zostało oddzielone czerwoną taśmą ostrzegawczą i opatrzone tabliczką z informacją o niebezpieczeństwie.

W tamtym momencie oboje byli wdzięczni za okropną pogodę. Wyjący wiatr zagłuszał dźwięk łamiących się serc.

„Niewiele z niej zostało” było trafnym określeniem. Bo jeśli latarnia była symbolem łączącej ich kiedyś miłości, to jej obecny stan wręcz idealnie odzwierciedlał koniec tego uczucia.

Był to zupełnie inny cios niż śmierć Florence, a jednocześnie uderzał tak samo mocno. Po raz kolejny tego dnia stracili coś ważnego. Zupełnie jakby ktoś pozbawił ich przeszłości, kawałek po kawałku niszcząc wszystko, co składało się na *Chase'a i Jose*.

— Kiedyś musiała się zawalić. — Chase przerwał ciszę, w której oboje utonęli, pogrążeni we własnych myślach. — Była stara i zniszczona, a sztormy jesienią potrafią być okropne. Aż dziwne, że wytrzymała tyle lat i runęła dopiero teraz. Nikt nie mógł temu zapobiec, prawda?

Josie dopiero po chwili zrozumiała, co robił Chase. Starał się przekonać samego siebie, że tak właśnie musiało być i że nie mógł zrobić nic, by zmienić bieg wydarzeń.

— Prawda.

Jednak świadomość, że byli bezsilni, nie sprawiała, że bolało mniej. To była lekcja życia, którą odbyli już lata temu.

— Ciekawe, czy byśmy zginęli. — Zmusiła się do oderwania wzroku od ruiny i spojrzała w oczy Chase'a. — Gdybym nie wyjechała i zostalibyśmy tutaj na stałe, jak chciałam — wytłumaczyła, przenosząc spojrzenie z powrotem na to, co zostało z latarni. — Zastanawia mnie, czy byliśmy wtedy w środku. Czy po tym wszystkim, po tylu poświęceniach i staraniach, i tak zginęlibyśmy pod stertą gruzu.

To była okropna i mrożąca krew w żyłach wizja, a jednocześnie bardzo prawdopodobna. Gdyby zbuntowali się przeciw przeznaczeniu i poświęcili wszystko dla bycia razem, taki właśnie mógł być ich koniec. Czy tego chcieli, czy nie, patrzyli na alternatywny finał ich wspólnej historii.

Było coś równie pocieszającego, jak dobijającego w świadomości, że najwidoczniej każdy wybór był zły. Bo to znaczyło, że los nigdy nie przewidywał dla nich szczęśliwego zakończenia. Od początku byli skazani na tragedię.

— Może dobrze, że nas tam nie było — odezwał się Chase po namyśle. Słowa Josephine utkwily mu w głowie.

Po raz pierwszy był wdzięczny, że pozwolił jej odejść. O wiele bardziej wolał widzieć ją obok siebie, żywą, chociaż była narzeczoną innego mężczyzny. Nie przejął się szczególnie wizją własnej śmierci, nie widział w niej jakiegś wielkiej straty dla świata. Ale prawdopodobieństwo, że ich rozstanie uratowało Josie od tragicznego końca, nadawało całej tej sytuacji trochę inne znaczenie.

— Może.

Może z tej niewypowiedzianej wdzięczności, że stali obok gruzów, zamiast zginąć pod nimi, mogło narodzić się coś nowego.

Do czasu, gdy wrócili do centrum miasteczka, nastąpiło kompletne załamanie pogody i Rosalie nie chciała nawet słyszeć o tym, że będą wracać do domu w takich warunkach ze względu na brak miejsca do spania. Nie mogła jednak zaprosić ich do domu Florence, gdzie zostawało kilkoro innych członków rodziny, więc nie byłiby w stanie się pomieścić. Zamiast tego uparła się, że zostawi im klucze do knajpki swojej matki, uznając, że przynajmniej tyle może dla nich zrobić.

Po kolejnej tragedii, która na nich spadła, żadne z nich nie znalazło w sobie siły, by jej odmówić.

I może było to lepsze rozwiązanie niż powrót do domu podczas ulewy lub noc spędzona w samochodzie, ale w tamtych okolicznościach przebywanie w miejscu do najmniejszego skrawka podłogi przesiąkniętym Florence było trudne do zniesienia.

Josephine zajęła jeden boks, a Chase usiadł w następnym, tworząc między nimi spory dystans. Jednocześnie wybrał miejsce tak, by być naprzeciwko dziewczyny.

Siedzieli w ciszy, którą zakłócały jedynie szum lodówek dobiegający z kuchni i krople deszczu wściekle uderzające o szyby. Oboje zwróceni byli twarzą do okien. Korzystali z tego, że na zewnątrz nie zapadł jeszcze całkowity zmrok i ze swoich miejsc mogli obserwować kawałek plaży i wzburzone przez sztorm morze.

Wszystko w tym momencie — pogoda za oknem, półmrok restauracji, żałobne ubrania, a nawet cisza — z okrutną perfekcją współgrało z cierpieniem, jakie rozdzierało ich serca.

Josephine, która była samozwańczą ekspertką w rozdzieleniu przeszłości od teraźniejszości, nie mogła nie dostrzec ogromnego kontrastu pomiędzy tym dniem a czasami, gdy za oknem świeciło słońce, a knajpka tętniła życiem. W powietrzu unosił się śmiech, rozmowy turystów i ciepło letniego dnia, a Josie wirowała między stolikami, obsługując klientów.

Robiła proste rzeczy, żyła prostym życiem. I była szczęśliwa. Tak bardzo, że teraz ledwo mogła uwierzyć, że wspomnienia zalewające jej głowę dotyczą tej samej dziewczyny, którą się stała.

— Dlaczego tu jesteś? — odezwał się Chase nieoczekiwanie, przerywając ciszę.

Może wybrał zły moment i może w ogóle nie powinno go to interesować, ale chciał wiedzieć. Oboje nie mieli dokąd uciec, więc trudno było o lepsze warunki do szczerzej rozmowy. W dodatku oboje byli zbyt wyczerpani, by się kłócić.

— Co masz na myśli? — Odwróciła głowę od okna, by utkwić w nim spojrzenie.

— Dlaczego wróciłaś do Moreton? — sprecyzował. — I znam powody, które wcisnęłaś Archerowi i Valerie. Pytam o prawdę.

— Powiedziałam im prawdę. — Kiedyś nie była w stanie go okłamać. Zawsze umiał przejrzeć ją na wylot i zastanawiała się, czy minione lata coś zmieniły i czy uda jej się uciec od odpowiedzi na pytanie.

— Nie uważasz, że znamy się odrobinę za dobrze, by wzajemnie wierzyć w swoje kłamstwa? — Chase szybko rozwiązał jej wątpliwości. — Mam uwierzyć w to, że zgodziłaś się wrócić w miejsce, z którego tak bardzo chciałaś uciec, żeby lepiej poznać rodzinę swojego brata, którego nienawidziłaś całe swoje życie? Przecież to śmierdzi kłamstwem na kilometr, w dodatku bardzo słabym — zaznaczył, jakby był rozczarowany jej marnymi próbami ukrycia prawdy.

Miał rację, stać ją było na coś bardziej wiarygodnego. Jednak kiedy sprzedawała tę historię Valerie, a później Archerowi, nie przewidziała, że w jej życiu pojawi się również Chase, który bez trudu dostrzeże oczywisty fałsz.

— Nie sądzisz, że kto jak kto, ale *ja* zasługuję na szczerłość? — dopytał głosem pozbawionym większych emocji. — W końcu dla tego powrotu przekreśliłaś poświęcenia, których oboje dokonaliśmy.

Josephine toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Nie chciała mówić, bo to sprzeciwiało się wszystkiemu, co wpoila sobie przez lata. A jednak zgadzała się, że zasługiwał na to, by wiedzieć.

Chase widział jej wahanie, ale chociaż jego ciekawość rosła, nie chciał jej zmuszać.

— Okej, nie chcesz, to nie mów, nie będę naciskał. W końcu jesteś dla siebie nikim — rzucił, unosząc dłonie w poddańczym geście.

Po namyśle jednak dodał: — Chociaż może to właśnie powód, dlaczego powinnaś mi powiedzieć. — Bo skoro nic dla siebie nie znaczyli, jaką wartość miałyby ta jedna rzecz, którą by mu zdradziła? Nie zależało im na sobie na tyle, by martwić się o swoją opinię w oczach tego drugiego. — Jakby się nad tym zastanowić, to nawet zabawne. — Chase zaśmiał się bez cienia humoru, kontynuując tę rozmowę, w której tylko on uczestniczył. — Po wszystkim, co się wydarzyło, znowu skończyłem jako jedyna osoba, której możesz powiedzieć całą prawdę. Z zupełnie innych powodów niż kiedyś, ale jest pewna ironia w tym, jak historia zatoczyła koło.

Nadal był jedyną osobą, przed którą nie musiała udawać, podobnie jak ona była jedyną osobą, na którą mógł liczyć w każdej sytuacji, czemu dowodził chociażby fakt, że siedzieli tu teraz razem.

— Ja też mam pytania — ostrzegła, otwarcie ustalając stawkę za własne odpowiedzi.

— Jakie to szczęście, że mamy tak dużo wolnego czasu i nie mamy żadnych ciekawszych sposobów, by go zapłacić, niż stara, dobra gra w pytania — skomentował z przekąsem. — Dlaczego wróciłaś do Moreton?

Zdobycie się na to, by powiedzieć prawdę, patrząc prosto w ciemne oczy Chase'a, wymagało niezwykłych pokładów odwagi.

— Bo nie miałam innego wyjścia. Nie wróciłam z własnej woli.

— Więc dlaczego? — Tego, że ktoś podjął decyzję za nią, sam zaczął się już domyślać.

— Nie wszystko z tego, co powiedziałam Val, było kłamstwem. — Teraz już nie mogła się wycofać. — Rodzina Cartera otworzyła filię swojej firmy w Londynie i Carter objął fotel prezesa. Przeprowadzka była nieunikniona i wiedziałam o niej, jeszcze zanim skończyłam studia. Miałam rok, żeby się przyzwyczaić do myśli o powrocie do Anglii, ale nigdy nie było mowy o Moreton. Tylko... sprawy się skomplikowały.

— W jaki sposób?

— Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałam ci o moich problemach z odzywianiem?

Nie mógłby zapomnieć, nawet gdyby chciał. Nieproszone uczucie wtargnęło do jego serca w reakcji na to, co spodziewał się usłyszeć.

— Koniec studiów to był dla mnie naprawdę ciężki czas. — Jej głos był cichy, niemal zawstydzony. — Mogłam ich nienawidzić, ale wciąż chciałam być najlepsza. Stary nawyk. — Uniosła kącik ust w smutnym uśmiechu. — Przez egzaminy, stres i wszystko, co się działo przez kilka tygodni, straciłam sporo na wadze.

W końcu odważyła się podnieść wzrok, by wiedział, że mówi prawdę. Wtedy nikt jej nie uwierzył, ale z nieznanego powodu ważne dla niej było, żeby teraz Chase to zrobił.

— Nie robiłam tego celowo — zaznaczyła, dzielnie znosząc jego spojrzenie. — Nie zrobiłabym tego po historii z Charliem.

Chase skinął głową. Wiedział, że mówi prawdę, bo rozumiał, kim był dla niej tamten chłopak. Zawdzięczała mu swoje życie, zupełnie jak on zawdzięczał swoje Florence.

— To działo się samo, a ja po prostu miałam zbyt dużo na głowie, żeby zwrócić na to uwagę — kontynuowała, nerwowo bawiąc się nitką wystającą z czarnego płaszcza. — Dotrwałam tak aż do rozdania dyplomów. Wtedy w końcu zauważyłam, że coś jest nie tak, i zaczęłam z tym walczyć na własną rękę. I szło mi dobrze, jadłam zdrowo i regularnie, powoli zaczęłam odzyskiwać wagę.

— I co się stało? — Jego głos był neutralny i Josephine nie była w stanie stwierdzić, co czuł lub myślał.

— Kilka tygodni po rozdaniu dyplomów rodzice Cartera obchodzili okrągłą rocznicę założenia firmy. Ogromna impreza z rodzaju tych, o których później piszą w gazetach. Setki gości, w tym celebryci, dziennikarze, nawet moi rodzice zostali zaproszeni. — Uśmiechnęła się gorzko na wspomnienie wieczoru, który zniszczyła. — Zemdlałam na oczach wszystkich, wywołując sensację.

To była jedna z rzeczy, których Carter nigdy nie będzie w stanie jej wybaczyć. Jej największy błąd, który prawdopodobnie zaważył na całej ich relacji.

— Trafiłam do szpitala, gdzie zrobili mi badania. — Starła się ignorować dyskomfort spowodowany opowiadaniem chłopakowi o narzeczonym. — Wciąż miałam niedowagę i lekarze od razu to zauważyli.

Zaczęli wypytywać Cartera i moich rodziców, czy miałam kiedyś podobne problemy. Moja matka powiedziała im o chorobie i pobycie w ośrodku.

Akurat ten jeden jedyny raz postanowili grać troskliwych rodziców przed rodziną Cartera i pojechali za nią do szpitala, gdzie pograżyli Josie.

— Carter się wściekł. Nie mógł mi wybaczyć, że ukryłam przed nim coś takiego. Nie chciał mnie słuchać, kiedy mówiłam, że nie jestem chora, kiedy próbowałam wyjaśnić, dlaczego straciłam na wadze. Ani on, ani rodzice mi nie uwierzyli.

— Dlaczego nie powiedziałaś mu o swojej historii z Charliem? — zapytał szczerze zdziwiony.

Josie pokręciła głową, zanim odpowiedziała:

— Nie zrozumiałby. Carterowi od dziecka był pisany sukces. Dla niego nie istnieją słabości ani wady. To tylko przeszkody, które można wyeliminować, jeśli się chce.

— Dałaś mu tę idealną wersję siebie — odgadł, bez trudu wyłapując to, co nie zostało powiedziane. Jeszcze nie wiedział, jak ma się z tym czuć. — Tę samą, którą miałaś wypracowaną dla rodziców.

— I podobnie jak oni był rozczarowany, gdy odkrył, że nie jest prawdziwa — przyznała, nie dbając już o to, co Chase sobie pomyśli o niej i jej wyborach.

— Co zrobił?

Josephine była wdzięczna, że na zewnątrz jest już prawie całkiem ciemno, a uliczne oświetlenie ledwo dociera do restauracji. Miała nadzieję, że to wystarczy, by ukryć wyraz jej twarzy, gdy powiedziała:

— Zamknął mnie w ośrodku na cztery miesiące. Z pełnym poparciem ze strony moich rodziców. — To z kolei była jedna z tych rzeczy, których Josephine nigdy nie wybaczy *jemu*. — Sądził, że robi to dla mojego dobra, że naprawdę potrzebuję pomocy specjalistów. A płacił za mój pobyt i dyskrecję personelu wystarczająco, by nikt nie przejmował się tym, że zamknęli zdrową osobę w zakładzie psychiatrycznym. Chociaż nie mogę narzekać. Zapewnili mi takie warunki, że pobyt tam przypominał raczej bardzo długie wakacje. — Wakacje, na które została wysłana wbrew jej woli. — Wychodziłam tylko wtedy, kiedy potrzebowałam

mnie u swojego boku na ważnych uroczystościach, żeby moja nieobecność nie wzbudziła podejrzeń.

— To nadal nie wyjaśnia, jak skończyłaś w Moreton — zauważył, za wszelką cenę próbując odciąć się od napływających emocji.

— Wróciłam do domu w czerwcu. Planowaliśmy przeprowadzić się dopiero w styczniu, ale Carter coraz częściej był potrzebny też w Londynie. Jednocześnie nie ufał mi na tyle, żeby zostawić mnie bez opieki na dłuższy czas, więc kiedy jego wyjazdy stawały się coraz częstsze, moja matka podsunęła mu pomysł wysłania mnie do Williama.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Patrzył tępo na dziewczynę, która po chwili szczeroci powoli wracała do chowania się, i nie był w stanie uwierzyć. Nie dlatego, że sądził, że kłamie, bo doskonale wiedział, że wszystko, co powiedziała, było prawdą. Zwyczajnie nie mógł w tę prawdę uwierzyć. Czuł, że burzy mu się pewien światopogląd. Wszystko, co do tej pory myślał o dziewczynie, traciło sens, łącznie z całą jego niechęcią, która wydawała się topnieć w świetle tego, co usłyszał.

Gdy w końcu zdecydował się odezwać, dziewczyna pokręciła głową.

— Nie — zaprotestowała stanowczo. Wolą nie wiedzieć, co o tym wszystkim myślał.

Nie próbował zmienić jej zdania, bo właściwie było mu to na rękę. Nie był dobry w rozmowach o uczuciach i problemach. Zamiast tego wstał i obszedł ladę w poszukiwaniu konkretnej rzeczy, którą Florence zawsze trzymała na podobne wypadki. Normalnie nie sprzedawała w restauracji nic mocniejszego niż piwo, ale zawsze miała pod ladą butelkę czegoś specjalnego.

Tym razem Chase również się nie zawiódł i z tajnego schowka wyciągnął w połowie pełną butelkę rumu i dwie szklanki.

— Jutro rano mieliśmy wracać do domu — przypomniała mu Josephine, gdy postawił przed nią znalezione. — Jak chcesz kierować autem, jeśli teraz będziesz pił?

Otworzył butelkę i nalał do obu szklanek. Nie wrócił jednak na swoje miejsce, tylko usiadł w boksie Josie, zajmując miejsce naprzeciwko niej.

— Więc wrócimy wieczorem. — Wzruszył ramionami, jakby nie widział problemu. — To był cholernie ciężki dzień. Obojgu nam się przyda. Za Florence.

— Za Florence — powtórzyła i uniosła dłoń z drinkiem w geście toastu. — Kolej na moje pytanie.

— Strzelaj. — Chase niechętnie musiał przyznać, że zasłużyła na odpowiedź na to, co ją dręczyło.

— Co Valerie zrobiła, żeby cię przekonać do pozbierania się po moim wyjeździe?

— Ktoś tu był wścibski — zauważył kąśliwie, zanim upił łyk ze swojej szklanki.

— Nie sądzisz, że kto jak kto, ale *ja* zasługuję na szczerość? — zapytała, powtarzając jego własne słowa. — Wyciągnęłam od Archera historię o tym, co się działo, gdy mnie nie było. — Po wszystkim, czym się z nim właśnie podzieliła, nie czuła się ani trochę winna. — Wiem o łapówce i o tym, że po tej sytuacji mieliście z Val prywatną rozmowę, w wyniku której przyjechałeś tutaj. Co ci powiedziała?

— Zawarliśmy umowę. — Prawdopodobnie powinien się bardziej wzbierać przed opowiedzeniem tej historii, ale chciał, żeby wiedziała. — Obiecała mi, że jeśli wezmę się w garść, zaprosi cię na swój ślub.

— Po co miała to zrobić?

— Żebym mógł cię odzyskać — odparł spokojnie, utrzymując spojrzenie na brunetce, by dobrze widzieć jej reakcję. — Pojechałem za tobą na lotnisko, wiesz? Po naszym pożegnaniu. Nie żeby cię zatrzymać, tylko żeby na własne oczy widzieć, jak cię tracę. Nie mogłem się powstrzymać. — Przez cały czas, gdy mówił, jego głos był wyprany z emocji. Jakby wcale nie wspominał dnia, w którym im obojgu złamały się serca. — W momencie gdy samolot zniknął mi z oczu, wiedziałem, że popełniłem największy błąd swojego życia, pozwalając ci odejść. Ale było za późno. Valerie obiecała, że da mi szansę, by to naprawić.

— Ale ja się nie pojawiłam — powiedziała tak cicho, że Chase wątpił, czy mówiła to do niego.

— Ale ty się nie pojawiłaś — powtórzył, dolewając sobie alkoholu. — Nie wiem, może i tak nie byłbym w stanie cię przekonać, żebyś rzuciła

wszystko i została ze mną. Ale przynajmniej miałbym pewność, że próbowałem.

— Zostałabym. — Co do tego nie miała najmniejszej wątpliwości. I właśnie ta świadomość była najgorsza. — To właśnie był jeden z powodów, dla których odrzuciłam zaproszenie Valerie. Bałam się, że nie będę w stanie tak po prostu wrócić do Bostonu po tym, jak znów cię zobaczę.

Ta niczym nieskrępowana szczerość między nimi potrafiła być zarówno ich darem, jak i przekleństwem.

— Archer przyznał się, że powstrzymał cię przed powrotem.

Pozbyli się już wszelkich zahamowań w kwestii pytań. Dostali jedną szansę na uzyskanie wszystkich odpowiedzi i teraz zarzucali się prawdą, choć oboje o pewnych sprawach woleliby nie wiedzieć.

— Naprawdę byłaś gotowa to zrobić?

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami, chociaż dobrze знаła odpowiedź. — Myślę, że tak.

— Rzuciłabyś wszystko po czterech latach układania sobie życia w Bostonie? — Zmarszczył brwi w niezrozumieniu. — Dla mnie? — To dziwiło go najbardziej.

— Kiedy teraz o tym mówisz, brzmi to jak najgłupszy pomysł, na jaki mogłam wpaść. — Przerwała na moment, unosząc szklankę do ust. — I może taki był, nie wiem. Łudziłam się wtedy, że jeszcze mam do kogo wracać.

— Miałaś — potwierdził i żeby zająć czymś ręce, napełnił ponownie naczynie Josie. — Gdybyś wtedy wróciła... — Urwał, bo słowa nie były potrzebne.

Spojrzenia, które ze sobą wymienili, dawały jasno do zrozumienia, że byli świadomi, jak inne byłoby ich życie, gdyby Josie przyjęła zaproszenie Valerie lub nie posłuchała Archera.

Minęli się nie raz, ale aż dwa razy. Los dał im dwie szanse, by się odnaleźli i spróbowali napisać szczęśliwe zakończenie swojej historii, a kiedy w końcu wpadli na siebie — zupełnym przypadkiem, tak, jak przewidział Chase — było już za późno.

Gdyby tylko wróciła *dla niego*, rzuciłby to, co zdążył odbudować, i przyjął ją z powrotem do swojego życia bez względu na to, ile czasu upłynęło.

Ale decyzję o powrocie podjęła dla innego mężczyzny i to zmieniało wszystko.

Przez długi czas jedynie pili w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, próbując przetrwać każdą usłyszaną nowinę, i żadne z nich nie czuło potrzeby, by przerywać tę ciszę.

Było coś kojącego w świadomości, że nawet po tylu latach wciąż potrafili ze sobą milczeć. Większość ludzi miała trudność ze znalezieniem osoby, z którą cisza byłaby komfortowa, a im swobodne milczenie zawsze przychodziło zupełnie naturalnie.

— Chase, ja nie żałuję, że posłuchałam wtedy Archera i zostałam w Bostonie.

— A ja uważam, że lepiej dla wszystkich wyszło, że jednak nie przyjechałaś na ślub.

I chociaż oboje mówili tak samo szczerze, niewypowiedziane „Co by było, gdyby...?” wisiało w powietrzu, tuląc ich do snu wraz z deszczem uderzającym o szybę.

Rozdział 16

Wizyta w Seaport wykończyła Josephine zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Kiedy następnego dnia w końcu weszła do domu, pożegnawszy się z Chase'em, pragnęła jedynie zamknąć się w sypialni i przespać następny tydzień. Chciała tego tym bardziej, że sen wydawał się jedyną rzeczą, która uwolniłaby ją od myślenia o chłopaku.

Największym problemem Josephine było to, że chciała go w swoim życiu. Nie kochała go i nie pozostało w niej nic z romantycznych uczuć, którymi kiedyś go darzyła, ale między nimi zawsze było o wiele więcej niż tylko miłość. Stał się kimś ważnym na długo przed tym, jak go pokochała, i to za tamtym Chase'em tęskniła — za chłopakiem, który znał ją i rozumiał najlepiej ze wszystkich, bo był taki sam jak ona.

Chase jednak nie podzielał jej sentymentu. Gdy obudzili się rano w restauracji, nie było już śladu po otwartości, jaka panowała między nimi jeszcze kilka godzin wcześniej. Zaraz po skromnym śniadaniu składającym się z tego, co udało im się znaleźć w kuchni, zostawił Josephine samą. Powiedział, że chce przejść się po okolicy, zanim wyjadą. Kiedy wrócił, mur, jakim się od niej odgradził, był niemal namacalny.

— Josephine? — odezwał się William za jej plecami, gdy była już prawie w swoim pokoju.

Dziewczyna podskoczyła przestraszona, słysząc głos brata. Ponieważ było dosyć późno, w duchu liczyła, że uda jej się przemknąć niezauważenie i uniknąć spotkania z Williamem bądź Crystal. Chociaż powiedziała im prawdę o wyjeździe — że jedzie z przyjacielem na pogrzeb członka jego rodziny, żeby go wspierać — nie miała jeszcze pomysłu, jak wytłumaczyć fakt, że nie wróciła na noc do domu.

Najpierw usłyszała kroki, a chwilę później w korytarzu zapaliły się światła i Josephine obróciła się, by spojrzeć na zaspaną twarz brata.

— Dzięki Bogu, zaczynałem rozważać zgłoszenie zaginięcia. — Mężczyzna westchnął ze szczerą ulgą, omiatając dziewczynę wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że jest cała. — Nic ci nie jest?

— Nie — odparła niepewnie. Troska w jego głosie nieco zbiła ją z tropu. — Pogoda nas zatrzymała. Nie chcieliśmy wracać w nocy w ulewie i przenocowaliśmy na miejscu.

— Mogłaś uprzedzić. — Mimo tych słów William nie brzmiał, jakby miał pretensje albo był zły. — Próbowałem się do ciebie dodzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale pewnie padł ci telefon. Z twoim przyjacielem wszystko dobrze?

Właściwie nie był rozładowany, ale zgodnie z dawną tradycją jej i Chase'a wyłączyła urządzenie, gdy tylko opuścili Moreton. Nie planowała wtedy, że zostaną tam dłużej, a przez wszystko, co się działo, nie przeszło jej przez myśl, żeby sprawdzić telefon w trakcie jej własnego spaceru po Seaport tego poranka albo w drodze powrotnej.

Nie miała jednak zamiaru wyprowadzać Williama w błąd, dlatego jedynie skinęła głową w odpowiedzi na jego pytanie.

— Przepraszam, że cię przestraszyłam. Nie pomyślałam, że...

— Że mogę się o ciebie martwić? — Dokończył, po czym skinął głową z nikłym uśmiechem, jakby doskonale rozumiał. — No tak, w końcu troskliwość nie jest zbyt popularną cechą wśród Sinclairów. W przeciwieństwie do Cartera.

— Dlaczego do niego? — Ciężko rozbawienia jego komentarzem o ich rodzinie natychmiast znikł.

— Bo podobnie jak ja nie mógł się do ciebie dodzwonić, więc zadzwonił do mnie, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś.

— I co mu powiedziałeś? — Josephine miała nadzieję, że William nie słyszał napięcia w jej głosie.

— A jak sądzisz? — Prychnął, nagle zirytowany. — Wybacz, ale twój narzeczony nie wygląda mi na typa, który byłby zadowolony, że jego przyszła żona pojechała gdzieś z innym mężczyzną i nie ma z nią

kontakty przez dwa dni. Powiedziałem mu, że pojechałaś do spa z przyjaciółką z czasów liceum.

Pomysł, że miałyby spędzać czas w ten sposób, był tak absurdalny i tak daleki od warunków, w których faktycznie spędziła te dni, że być może parsknęłaby śmiechem, gdyby nie obezwładniająca fala ulgi, jaką ją ogarnęła. Wytlumaczenie Carterowi, gdzie naprawdę była, niesłoby ze sobą zbyt wiele komplikacji, których wolała uniknąć.

— Dziękuję — powiedziała szczerze, wzruszona świadomością, że pierwszy raz w życiu miała w rodzinie kogoś, na kim mogła polegać.

— Nie ma sprawy, ale lepiej do niego zadzwoń. — Przez chwilę William wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć na ten temat, ale zrezygnował. — Dobranoc.

Josephine odpowiedziała tym samym i weszła do sypialni, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu telefonu.

O dziwo, Carter odebrał po pierwszym sygnale.

— Halo? Josephine?

— Tak, to ja — potwierdziła, niemal od razu żałując, że nie zdecydowała się poczekać z tym do rana.

— Próbuję się do ciebie dodzwonić od wczoraj — oznajmił jej. — William powiedział, że pojechałaś do spa. Dlaczego dowiaduję się o tym od niego, a nie od ciebie?

— Przepraszam, wyjazd wyszedł spontanicznie. Pakowałam się w pośpiechu i zapomniałam ładowarki — wymyśliła na poczekaniu, starając się brzmieć przekonująco. Przez chwilę bała się, że mężczyzna jej nie uwierzy.

W końcu jednak po drugiej stronie rozbrzmiało przeciągłe zirytowane westchnienie, które znała aż za dobrze.

— Zdajesz sobie sprawę, jak nieodpowiedzialnie się zachowałeś? Czy choćby jedna wiadomość z informacją, że planujesz wyjazd, to naprawdę zbyt wiele? Martwiłem się, że coś się stało, a twój brat nie chciał podać mi adresu hotelu.

— Próbowałam zadzwonić, zanim wyjechałam, ale nie odbierałeś.

— Kłamała, świadoma, że Carter i tak nie sprawdzi rejestru połączeń.

— Byłem na spotkaniu w Bostonie, miałem wyłączony telefon przez większość dnia.

Josephine mimowolnie wywróciła oczami. Nawet gdyby coś jej się stało, on i tak był na drugim końcu świata, więc nie mógłby nic zrobić. Zrezygnowała jednak z powiedzenia mu tego, wiedząc, że to argument, który do niego nie trafi.

Zdawała sobie sprawę, że sama zapracowała na nadmierną opiekuńczość Cartera. Po skandalu, który wywołała, nieustannie traktował ją, jakby była z cennego szkła, które trzeba chronić, by nie zniszczyło się jeszcze bardziej i nie straciło na wartości.

— Jesteś teraz w Londynie? — Zmieniła temat.

— Zgadza się.

— Więc skoro już wróciłeś i ja też wróciłam, może w końcu znajdziesz dla mnie chwilę? Tęsknię za tobą. — Miała nadzieję, że się zgodzi. Czuliła, że tego właśnie potrzebuje.

Wbrew wszystkiemu, co mogłoby się wydawać, przebywanie z Carterem było proste. Zawsze wiedziała, czego się po nim spodziewać, jakby miała w głowie ustalony scenariusz, co mówić i jak się zachowywać. Pragnęła odrobiny tej prostoty i poczucia, że jej życie jest stabilne i przebiega zgodnie z jej planem. Miała dosyć chaosu, który był nieodłączną częścią przebywania z Chase'em.

Jednak jej nadzieja została zduszona przez kolejne westchnienie. Znała je na pamięć i nie musiał się nawet odzywać, by wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

— Kochanie, to nie najlepszy czas.

— Rozumiem. — Starła się zignorować niespodziewane rozczarowanie. — W końcu firma jest najważniejsza.

— Chcę skupić się na firmie teraz, żeby po ślubie skoncentrować się wyłącznie na tobie — wyjaśnił spokojnie. — Nie chcesz chyba, żeby nasza podróż poślubna była wypełniona moimi telekonferencjami.

I tak będzie — chciała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

Uwadze Josephine nie umknęło, że nie zaprzeczył wprost, że firma jest ważniejsza od niej. Nie była jednak zdziwiona, bo to dokładnie z tego powodu ostatecznie zdecydowała się związać z Carterem.

Pragnęła spędzić życie z kimś, dla kogo *nie* będzie całym światem. Doświadczyła tego raz i cena, jaką za to zapłaciła, wystarczyła, by nie chciała znaleźć się w podobnej sytuacji już nigdy więcej. Małżeństwo z Carterem było bezpieczną opcją — mężczyzna zapewniał jej dobrą przyszłość, nie oczekując w zamian tej jednej rzeczy, którą już nigdy więcej nie chciała nikogo obdarzyć.

Carter nie mógł złamać jej serca, bo mu go nie dała. Czerpała komfort ze świadomości, że już nigdy nie znajdzie się w stanie, do jakiego doprowadziła ją rozłąka z Chase'em. I za samo to była gotowa dać Carterowi wszystko inne, czego zapragnął.

Nie mogła więc zrozumieć, skąd nagle wzięło się to ukłucie żalu, gdy odmówił spotkania.

— Na szczęście niedługo jest bal charytatywny, który organizują twoi rodzice. — Głos Cartera wyrwał Josephine z zamyślenia. — Tam się spotkamy.

Jej rodzice, razem z kilkoma innymi ważniejszymi rodzinami w Moreton, co dwa lata organizowali uroczystość w celu zebrania funduszy na wybrany szczytny cel.

Oczywiście te z pozoru dobroczynne działania były jedynie okazją do pokazania się w jak najlepszym świetle i pretekstem do osiągnięcia własnych korzyści. Lillian i Anthony uwielbiali te bale i uczestniczyli w każdym. Josephine ich nienawidziła.

Nieszczerólnie dziwiło ją, że Carter podziela opinię jej rodziców. Jeszcze w Bostonie towarzyszyła mu na podobnych wydarzeniach niezliczoną ilość razy.

— Świetnie, w takim razie nie mogę się doczekać.

Rozmowa ciągnęła się jeszcze przez kilka minut. Carter opowiedział jej o pierwszych sukcesach w firmie, a ona w zamian podzieliła się z nim postępami w przygotowaniach do ślubu. W końcu mężczyzna obiecał, że będzie dzwonił częściej, wymusił na Josephine zapewnienie, że następnym razem poinformuje go o swoich planach, i się pożegnał.

Josephine jeszcze przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę, która nastąpiła po zakończeniu połączenia. Jakimś sposobem kilkunastominutowa rozmowa

zmęczyła ją jeszcze bardziej niż dwa dni w trudnym towarzystwie Chase'a.

Josephine bardzo rzadko nie wiedziała, co robi, albo robiła rzeczy, które nie były dla niej dobre. A jednak stojąc tamtego dnia przed drzwiami mieszkania Chase'a, nie miała najmniejszego pojęcia, po co tam przyszła. Była też całkiem pewna, że to się nie skończy dobrze.

Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki — ich przeszłość, obecną niechęć między nimi i zachowanie chłopaka dzień po pogrzebie — nie powinna przychodzić. Powinna pozwolić, by sprawy wróciły do normy, jaką w tym przypadku było ignorowanie siebie nawzajem, przerywane okazjonalnymi kłótniami.

Jednak nie potrafiła się do tego zmusić. Wytrzymała dwa dni, mówiąc sobie, że nie może się narzucać i że Chase wcale jej nie chce w swoim życiu, więc powinna to uszanować. Ostatnie dni pokazały jednak, że potrafili zachowywać się jak przyjaciele, i nie podobała jej się myśl, że mieliby wrócić do tego, co było wcześniej. A to, w połączeniu z martwieniem się, jak Chase sobie radzi, wystarczyło, by postanowiła spróbować.

Trzeciego dnia wysłała mu więc wiadomość z pytaniem, czy wszystko w porządku.

A ponieważ nie otrzymała żadnej odpowiedzi, czwartego dnia wieczorem stanęła pod drzwiami jego mieszkania, po raz ostatni próbując się przekonać, czy powinna wrócić do domu i zapomnieć o głupim pomysle przyjaźni.

Wiedziała jednak, że ta sprawa nie da jej spokoju, zanim nie spróbuje, więc zebrała się na odwagę i w końcu zapukała. Kroki po drugiej stronie upewniły ją, że chłopak jest w domu.

Chase na jej widok uniósł brwi ze zdziwienia. W pierwszej chwili chciał zamknąć drzwi bez słowa, jednak w porę się opamiętał. Nawet jeśli nie miał ochoty na niczyje towarzystwo, mógł się przynajmniej postarać i wyrzucić Josephine w bardziej cywilizowany sposób.

Dlatego uchylił drzwi szerzej i wpuścił ją do środka. Bez słowa przeszedł do salonu i odwrócił się do brunetki.

— Więc? Czemu zawdzięczam wizytę?

— Nie odpowiadałeś na wiadomości — zaczęła, ignorując głos mówiący, że to był zły pomysł.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że mam niańkę. — Posłał jej nieprzyjazne spojrzenie. — Wystarczy ci ogólne sprawozdanie z całej doby czy mam wyszczególnić, co robię o każdej godzinie?

— Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie — wyjaśniła zupełnie niewzruszona jego sarkazmem.

— Jak widzisz. — Rozłożył ramiona, prezentując gestem przestrzeń wokół siebie. — Nie zdemolowałem mieszkania, nie piję, z lampy nie zwisa jeszcze sznur, na którym planowałem się powiesić. Radzę sobie znakomicie. — Posłał jej najbardziej sztuczny uśmiech, na jaki go było stać.

— Widzę. — Skinęła głową, a kącik jej ust uniósł się dyskretnie, gdy spojrzała w kierunku telewizora. — Nadal oglądasz bajki na poprawę humoru? Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

— W przeciwieństwie do niektórych ludzi — mruknął, bardziej do siebie niż do niej. Wypuścił głośno powietrze, jakby zbierał siły, by zapytać, i odezwał się: — Josephine, po co tutaj przyszłaś? Bo nie przychodzi mi do głowy żaden dobry powód.

— Naprawdę tak trudno jest wpaść na to, że mogłam się o ciebie zwyczajnie martwić, bo jesteś w żałobie i możesz potrzebować drugiej osoby?

— I tą osobą miałabyś być ty? *Ciebie* miałbym potrzebować spośród wszystkich ludzi? — Zaśmiał się oziębłe. — Nie bądź śmieszna. Te kilka dni nie robi z nas przyjaciół.

— Nie — zgodziła się, walcząc z pokusą, by być tak samo okrutną jak on dla niej.

Mogłaby mu wytknąć, że kilka dni temu, kiedy płakał w jej ramionach, wyglądał całkiem, jakby jej potrzebował. Ale wiedziała, że jeśli da się sprowokować, niczego nie osiągnie.

— Czy to naprawdę byłoby takie straszne, gdybyśmy spróbowali mieć relacje przynajmniej zbliżone do przyjacielskich?

— Tak! — wykrzyknął, nie dając sobie nawet sekundy do namysłu.

— Dlaczego?! — Chciała go zrozumieć. Chciała pojąć, dlaczego sama myśl o byciu przyjaciółmi była dla niego tak odpychająca.

— Naprawdę mam ci to tłumaczyć? — Chase wyglądał na równie zdziwionego tym, że Josephine nie widzi absurdu tego pomysłu.

— Najwidoczniej! — Czuła irytację narastającą w zawrotnym tempie. Jak zwykle, kiedy chodziło o Chase'a, bo nikt inny nie potrafił tak szybko wytrącić jej z równowagi. — Może jestem idiotką i potrzebuję, żebyś mi wytłumaczył jak małemu dziecku, dlaczego mnie nienawidzisz. Widocznie inaczej tego nie zrozumiem!

Miała dosyć tego, że chowa się przed nią i patrzy z wyższością. Znosiła to spojrzenie u wielu osób w swoim życiu, ale wściekała się na samą myśl, że Chase staje się jedną z nich.

— Może dlatego, że nie jestem w stanie nawet na ciebie spojrzeć bez przypominania sobie całego bólu po twoim odejściu?! — wykrzyczał, czując, jak mur wokół niego się kruszy. — Nie potrafię odciąć się od przeszłości i zapomnieć, jak wiele straciłem. To po prostu za bardzo boli.

Był w stanie znieść jej obecność blisko siebie jedynie wtedy, kiedy zraniło go coś innego. To dlatego spędził z nią noc, pijąc w barze, i to dlatego potrafił przyjąć jej pomoc po śmierci Florence.

— Nie jesteś jedyną osobą, która tamtego dnia straciła wszystko — przypominała mu cicho. Nie spodziewała się słów, które padły. — A jakoś ja ciebie nie nienawidzę.

— Myślisz, że straciłem cię tylko tego jednego dnia? — Pokręcił głową. — Nie, Josie. Tamtego cholernego dnia odeszło jedynie twoje ciało, ale traciłem cię jeszcze długo po tym, jak zniknęłaś.

Na twarzy Chase'a powoli pojawiał się cały ból, który niszczył go od środka, a Josephine zaczynała się zastanawiać, czy jest gotowa na tę rozmowę. Czy po latach, które spędzili, próbując zasklepić wszystkie swoje rany, oboje są gotowi, by je teraz rozdrapać.

— Najpierw twój zapach zaczął powoli znikać z mojej pościeli, z ubrań, aż w końcu zniknął całkowicie. Potem straciłem twój śmiech — wymieniał dalej, nie dbając już o nic. — Z każdym dniem coraz trudniej było mi przywołać w pamięci to, jak się śmiałaś. Zaraz za nim

zaczął się rozmyślać sposób, w jaki wypowiadałaś moje imię, aż w końcu musiałem włączać nasze wspólne nagrania, by w ogóle przypomnieć sobie twój głos.

Josephine powoli zaczynała rozumieć, że dystans między nimi, który wcześniej za wszelką cenę chciała zmniejszyć, tak naprawdę był zbawieniem. Wydawało jej się, że wie, jak wiele zniszczeń w nim wyrządziła, ale patrzenie na to z bliska wciąż bolało.

— Na samym końcu straciłem twoje oczy — wyznał. — Mijały miesiące i nie wiedziałem już, czy naprawdę wyglądały jak wzburzone morze, czy tylko mi się wydawało. Przeciekałaś mi przez palce i z każdym dniem było cię mniej, a ja nie mogłem zrobić nic, by cię zatrzymać. To było jak niekończąca się tortura.

Nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co na to powiedzieć.

— A teraz przychodzisz do mnie i chcesz być znowu w moim życiu. A ja potrafię myśleć tylko o tym, że ty najwidoczniej nie przeszłaś tego samego. Bo gdybyś cierpiała chociaż w połowie tak jak ja, nigdy nie chciałabyś się znowu znaleźć blisko tego, co sprawiło ci ten ból.

— To chcesz usłyszeć? Że cierpiałam? — Była zaskoczona i zraniona. Ze wszystkich ludzi Chase najlepiej ze wszystkich powinien rozumieć, ile kosztował ją wyjazd na studia. — Mam ci opowiedzieć o tygodniach, które spędziłam, płacząc... nie, *wyjąc* z bólu za tobą?

To było coś zupełnie innego niż ich rozmowa w restauracji i nic, co sobie wtedy wyznali, nie miało teraz znaczenia. Josephine nie obchodziło to, że Chase chciał znaleźć sposób, by spróbowali jeszcze raz, a Chase był obojętny na fakt, że Josephine chciała do niego wrócić.

Gdyby ból złamanego serca dało się podzielić na kręgi, jak piekło, to teraz cofnęli się do czasów, gdy tkwili w tym najgorszym. I za wszystko, co wtedy przeszli, obwiniali siebie nawzajem.

— A może przyjemność sprawi ci fakt, że przez całe miesiące widziałam cię wszędzie? Każdy chłopak w tłumie, na ulicy, gdziekolwiek, który choć odrobinę przypominał cię, sprawiał, że serce biło mi szybciej, bo byłam pewna, że to ty. — Jej głos się łamał, a w oczach miała łzy, ale nawet nie próbowała już opanować emocji. — Za każdym razem, kiedy

ktos pukał do drzwi mojego pokoju w akademiku, byłam pewna, że to ty. Bo byłam na tyle głupia, by wierzyć, że do mnie przylecisz, że wcale nie pozwoliłeś mi odejść.

Chase nawet nie próbował się odezwać. Milczał, chłonąc wzrokiem jej twarz, jakby dopiero teraz naprawdę widział ją pierwszy raz od sześciu lat.

— Myślisz, że zapominanie było torturą? — wykrztusiła, nie spodziewając się odpowiedzi. — Ja pamiętałam, Chase. Pamiętałam wszystko i dokładnie to było moim przekleństwem. Nie potrafiłam wyrzucić cię ze swojej głowy. Musiałam *zabić* miłość do ciebie, przy okazji zabijając w sobie wszystko, co we mnie kochałeś, bo tylko tak mogłam ruszyć dalej.

Chase nie wiedział, czy kiedykolwiek patrzyła na niego z takim bólem w oczach. W którymś momencie przestała już krzyczeć, ale głos wciąż był pełen emocji, które go przerażały. Bo były bliźniaczo podobne do jego.

— I co? Teraz ci lepiej?

— Nie wiem, może! — wykrzyczał w odpowiedzi, pozwalając, by złość znów przejęła nad nim kontrolę. Tak było bezpieczniej. — Może muszę wiedzieć, że też cierpiałaś, żeby uwierzyć, że naprawdę mnie kochałaś! Bo kiedy patrzę na ciebie i wyglądasz, jakby nic się nigdy nie wydarzyło, jakbym nie złamał ci serca, mam wrażenie, że może jednak nie kochałaś mnie aż tak bardzo. W każdym razie nie tak, jak ja kochałem ciebie.

Toczyli ze sobą walkę o to, kto kogo zrani bardziej, czyj cios będzie najbardziej bolesny, jakby zranienie drugiego mogło sprawić, że pozbędą się tego bólu, który wciąż nosili w swoich sercach.

Wygrał. Widział to po jej oczach, które na sugestię, że nie kochała go wystarczająco, przecięł zupełnie inny błysk. Sięgnął rany, która biegła najgłębiej.

— Wiesz co? — Jednym zdaniem zabił całą jej wściekłość, pozostawiając pustą skorupę. — Przez cały ten czas nie mogłam pogodzić się z myślą, że naprawdę możesz mnie nienawidzić, bo nie byłeś jedynie moją miłością. Gdyby tak było, gdybyśmy byli tylko kolejną z miliona par, którym nie wyszło, zrozumiałabym. Ale nie byliśmy, Chase. — Nie sądziła, że kiedykolwiek będzie musiała mu przypominać, kim dla siebie byli. Miała wrażenie, że wbił jej nóż w serce. Gdyby była w stanie

spuścić wzrok z chłopaka, pewnie upewniłaby się, czy na pewno nie krwawi, bo ból był tak autentyczny, jakby zadał jej prawdziwy cios. — Kiedyś powiedziałeś, że ty masz kawałek mojej duszy, a ja twojej i osobno zawsze będziemy niekompletni — przypomniała mu. — To się nadal nie zmieniło. Bez względu na wszystko, co się stało, bez względu na to, ile czasu upłynęło i ile jeszcze upłynie albo jak daleko od siebie będziemy, twoja i moja dusza są takie same. Zawsze będą.

Urwała na chwilę, a Chase dostrzegł w jej oczach coś, czego wcześniej w nich nie było. Przez sekundę miał problem ze zrozumieniem, na co patrzy, aż w końcu pojął, że już kiedyś to widział. Raz. Gdy w końcu zrozumiała, że nie ma sposobu, by mogli być razem.

Josephine się poddawała.

— Prawda jest taka, że oboje potrzebujemy siebie nawzajem, chociaż ty jesteś zbyt dumny, żeby to przyznać. Dlatego chciałam odnowić z tobą kontakt, ale może masz rację, może niepotrzebnie się staram.

Z jej twarzy i głosu powoli odpływały emocje. Tym razem to nie była maska. To był znak, że skończyła, i z jakiegoś powodu to go przeraziło. Josephine, którą znał, nigdy się nie poddawała.

— Nie będę dalej zabiegać o coś, czego ewidentnie nie chcesz. Myśl sobie o mnie, co chcesz. Możesz mnie nawet nienawidzić do śmierci, tak samo jak nienawidzisz siebie, jeśli to sprawi, że poczujesz się choć odrobinę lepiej, ale *nigdy*... — Łzy w jej oczach zamarły i nawet wzburzone morze w jej tęczęwkach zostało skute taflą lodu, które pokryło jej serce. — Nigdy nie mów, że nie kochałam cię wystarczająco, bo wiesz cholernie dobrze, że sześć lat temu wystarczyłoby jedno twoje słowo, a zostawiłabym wszystko, żeby tylko być z tobą.

Nie czekała na jego odpowiedź, zapewne wiedząc, że ona i tak nie nadejdzie. Albo może naprawdę przestało jej zależeć i nawet nie chciała jej słyszeć.

Chase aż za dobrze znał uczucie, które mu towarzyszyło, gdy patrzył, jak wychodzi. Czuł zakradający się po cichu strach, że znowu ją traci, co było absurdalne, bo tym razem nawet jej nie miał.

A jednak uczucie straty paliło go do żywego, i to było najlepszym dowodem, że Josephine miała rację. Między nimi nigdy nie chodziło wyłącznie o miłość.

Przez własną dumę i zaślepienie fałszywą nienawiścią, która służyła jedynie ukojeniu cierpienia, tracił prawdopodobnie ostatnią w życiu szansę, by się naprawić. Bo podświadomie wiedział, że Josephine jest jedyną osobą, która mogłaby go uratować.

Powoli zaczynał myśleć, że to ich prywatne przekleństwo. Ona odchodziła, a on jej nie zatrzymywał. Zmarnował już dwie szanse i nie wiedział, czy los będzie łaskaw dać mu kolejną.

Rozdział 17

Minęły dwa tygodnie od rozmowy z Josephine, a Chase z rosnącym przerażeniem zaczynał rozumieć, że miał rację. Tamtego wieczoru dziewczyna się poddała i nie zamierzała więcej zabiegać o kontakt z nim. Nie dzwoniła ani nie pisała, by dowiedzieć się, jak się czuje. Nie widywał jej też przypadkiem w mieście ani u przyjaciół. Podczas ostatniej wspólnej kolacji Archer nawet słowem nie wspominał o tym, co u niej. Było tak, jakby nigdy nie wróciła.

Jednak wróciła i Chase nie potrafił o tym zapomnieć. Był rozdarty, bo chociaż jej obecność przywracała wspomnienia, które wołałby wyrzucić z pamięci, coś ciągle go do niej ciągnęło. Prowokował ją do kłótni, bo nie potrafił być wobec niej obojętny. Ranił ją, bo chciał się zemścić za te wszystkie uczucia, które w nim budziła od momentu, gdy na nowo pojawiła się w jego życiu.

Kiedy już przełknął dumę, cierpienie oraz wściekłość na siebie i wszechświat za to, że ten zawsze znajdował sposób, by jeszcze bardziej mu dokopać, był skłonny przyznać jedno — tęsknił za człowiekiem, jakim kiedyś przy niej był.

Miał dosyć bycia Chase'em, który odtrąca tych nielicznych ludzi, którym na nim zależy. Albo który nie pojawia się na spotkaniach, bo psuje atmosferę, bo nie potrafi się śmiać tak głośno jak kiedyś. Tym, przy którym nie można swobodnie wspominać starych dobrych czasów, bo nadal nie przebolewał swojej straty. Tym, który nie pamięta już, jak to jest być szczęśliwym.

Na tym właśnie polegał problem ze szczęściem — jeśli doświadczysz go przez moment, nieważne, jak krótki, resztę swoich dni spędzisz

w tęsknocie za tym uczuciem. Chase przez siedemnaście lat nigdy tak naprawdę nie był szczęśliwy. Później Josephine wtargnęła do jego życia, pokazała mu, jak to jest, tylko po to, by chwilę później brutalnie wyrwać mu to szczęście z rąk razem z sercem. Teraz bardziej niż za jej miłością, czy za nią samą, tęsknił za szczęściem, które przy niej czuł.

Niezamknięte na klucz drzwi jego mieszkania, gdy wrócił wieczorem z antykwiariatu, zaniepokoiły go tylko na krótką chwilę. Potem dostrzegł damski płaszcz na wieszaku i parę szpilek porzuconą przy wejściu. Elementy garderoby wraz z zapachem jedzenia i dźwiękami włączonego telewizora nie pozostawiały wątpliwości co do tożsamości jego gościa.

— Kiedy przestaniesz włamywać się do mojego mieszkania? — rzucił jeszcze z korytarza.

— Jak zmienisz zamki — odkrzyknęła Valerie ze swojego miejsca.

— Mogłaś przynajmniej mieć na tyle przyzwoitości, żeby poczekać na mnie z jedzeniem — skarcił ją od niechcienia, wchodząc do salonu.

— Czekałam piętnaście minut. — Blondynka wzruszyła ramionami, pakując sobie do ust porcję chińszczyzny. — Nie moja wina, że tak długo ci zeszło w pracy.

— Pewnie, zwał winę na mnie, bo nie mam parapsychicznych zdolności, żeby wiedzieć, że przyjeżdżasz. — Chase ciężko opadł na kanapę obok przyjaciółki, a dziewczyna nachyliła się do stolika, by sięgnąć po jego pudełko. — Słyszałaś kiedyś o dzwonieniu albo wysyłaniu SMS-ów?

— Sam mnie wczoraj zaprosiłeś.

— *Zapytałem*, czy masz czas wpaść w tym tygodniu — sprecyzował dla samego przekomarzania się.

— Mama Ethana postanowiła dzisiaj do nas przyjechać. — Dla Valerie odwiedziny u Chase'a wcale nie oznaczały, że powinna poświęcać mu całą swoją uwagę. W tej chwili większym zainteresowaniem cieszył się serial, który włączyła, niż sam Chase.

— Unikamy teściowej. Nieładnie, Val — zakpił, za co zarobił kopnięcie w kolano.

— Zamknij się. Jak uwielbiam rodzinę Ethana, tak każde pytanie o dzieci przybliżyło mnie do szaleństwa. — Valerie miała podwójne szczęście, bo nie tylko poślubiła swoją licealną miłość, ale też od razu

została ciepło przyjęta przez rodzinę męża. Dwie rzeczy, które nigdy nie udadzą się Chase'owi. — Byłeś idealną wymówką, żeby uciec.

— Przyniosłaś jedzenie, więc jesteśmy kwita.

— *Będziemy kwita*, jak tylko mi powiesz, co cię gryzie — poprawiła go, sięgając po pilota, żeby ściszyć telewizor. Obróciła się, by lepiej widzieć chłopaka. — Chociaż mam przekonanie graniczące z pewnością, że chodzi o pewną wysoką brunetkę z niebieskimi oczami, którą oboje dobrze znamy.

Nie było sensu zaprzeczać, zwłaszcza że to Josephine była powodem zażyłości, jaka rozwinęła się między nim a Valerie w ostatnich latach.

Chociaż przed wyjazdem to do Archera Josie zwróciła się z prośbą, żeby się opiekował Chase'em, Valerie była dla niego takim samym wsparciem, jeśli nie większym. Była przy nim, nawet kiedy Archerowi brakowało już siły, mimo że nikt jej o to nigdy nie poprosił.

Zbliżyli się do siebie głównie dlatego, że Valerie najlepiej rozumiała, przez co przechodził. Znały się z Josephine tak długo, że dla niej również wyjazd dziewczyny był jak utrata części samej siebie.

— Myślisz, że ja i Josie moglibyśmy zostać przyjaciółmi?

Valerie zachłysnęła się jedzeniem.

— Tego się nie spodziewałam — przyznała, próbując uspokoić oddech. Posyłała mu przy tym spojrzenia, próbując się upewnić, że pyta poważnie.

Chase podał jej ze stolika szklanekę z wodą, nieco rozbawiony jej reakcją. Między innymi dlatego wiedział, że z tym pytaniem lepiej zwrócić się do blondynki. Archer na jej miejscu zapewne od razu zacząłby skakać z radości. Valerie widziała też powody, dlaczego to mógł nie być najlepszy pomysł, na jaki Chase wpadł w tym roku. Albo w tej dekadzie.

— Jeśli chcesz to zrobić ze względu na Archera albo mnie i Ethana...

— Nie powiedziałem, że *chcę* to zrobić. — Na razie sam nie wiedział, czego chce. — Josephine to zasugerowała, a ja najpierw powiedziałem jej, że jest śmieszna, jeśli myśli, że moglibyśmy być przyjaciółmi, i się pokłóciliśmy...

— Akurat to mnie nie dziwi. — Valerie pozwoliła sobie wtrącić ironiczny komentarz.

— ...ale nie mogę przestać myśleć o tym, czy nie miała trochę racji — dokończył, ignorując jej słowa. — Byliśmy dla siebie ważni na długo przed tym, jak zostaliśmy parą, i nie wiem... Może przyjaźń to nie jest taki zły pomysł?

— To tragiczny pomysł — oceniła zdecydowanie, odstawiając szklanekę. — Ale to, że mielibyście się kłócić za każdym razem, gdy się spotkacie, wcale nie jest lepsze. A nie oszukujmy się, będziecie się spotykać.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem. — Byłoby o wiele łatwiej, gdyby nie mieli wspólnych przyjaciół, dla których byli tak samo ważni.

— Największy problem z waszą dwójką jest taki, że od zawsze potrafiliście wyciągać z siebie zarówno to, co najlepsze, jak i to, co najgorsze. Nie ma drugiej osoby, która potrafiłaby cię doprowadzić do stanu, w jakim byłeś po odejściu Josie, ale też nikt inny nie dał ci tyle szczęścia co ona. — Posłała mu spojrzenie, jakby wyzywała go, żeby się z nią nie zgodził. Nie zrobił tego, więc mówiła dalej: — Z Josie jest tak samo. Może ruszyła dalej, ale jednocześnie mam wrażenie, że jest z nią gorzej, niż było, jeszcze zanim się poznaliście. Najlepszą wersją siebie była, kiedy miała ciebie.

Jego myśli niechętnie powędrowały do rzeczy, o których Josie powiedziała mu w Seaport. Nie miał jednak zamiaru zdradzać ich Valerie. Nawet jeśli byli blisko, to wiedział, że nigdy nie będzie między nimi takiej otwartości w dzieleniu się wszystkim, jaką miał z Josephine.

— Więc co sugerujesz?

— Żadne rozwiązanie nie jest idealne — zaznaczyła na początku. — Ale nie potraficie być wobec siebie obojętni, a jak na razie każde wasze spotkanie wyciąga z was to, co najgorsze. Sytuacja nie może stać się o wiele gorsza, niż jest teraz, więc może warto zaryzykować. Może wyjdzie z tego coś dobrego.

Rozmowa z Valerie zostawiła po sobie sporo myśli, które nie chciały opuścić jego głowy. Przeplatały się ze wspomnieniami i nie dawały mu spokoju, skutecznie przeganiając sen.

Nie był pewien, ile czasu spędził, wpatrując się tępo w ścianę swojej sypialni i rozwieszzone na niej zdjęcia. A właściwie to, co z nich zostało. Zniszczył kolaż razem z aparatem kilka tygodni po odejściu Josephine i już nigdy go nie naprawił. Dopiero teraz, w środku nocy, poczuł dziwną potrzebę uzupełnienia luk. Podniósł się z łóżka, by sięgnąć po karton, w którym trzymał większość fotografii.

Tamtego dnia Archer powstrzymał go przed podarciem wszystkich i umieścił je bezpiecznie w pudełku, ratując w ten sposób jego najcenniejsze pamiątki. Była to jedna z miliona rzeczy, za które był wdzięczny Colemanowi, bo gdyby nie on, nie miałby już pewnie żadnej fotografii babci, Florence czy Josephine.

Przeglądał zdjęcia, szukając tych, które zawsze wisiały na ścianie. Z powrozeniem omijał każde, na którym była dziewczyna, nie chcąc zagłębiać się w skrywane przez nie wspomnienia, ale w końcu natrafił na białą kopertę.

Może był masochistą, ale nie mógł się powstrzymać przed przeczytaniem listu, który dostał od Josephine, gdy się żegnali. Przez lata tkwił w przekonaniu, że go zniszczył, ale najwidoczniej był jedną z rzeczy, które uratował Archer.

Papier był pognieciony od wielokrotnego czytania, a tusz w kilku miejscach był rozmazany i Chase nie wiedział już, które z plam powstały z jego łez, a które z wylanych przez Josephine.

Dla Chase'a. Człowieka, który zawsze będzie miłością mojego życia. — Brzmiał napis na kopercie. Tych kilka słów wystarczyło, by zaczął żałować, że znalazł list.

Piszę ten list z nadzieją, że nigdy go nie przeczytasz. Liczę, że zgubię go gdzieś, bo nie będzie mi już potrzebny, albo może znajdę go przypadkiem po latach i odczytam ci te słowa na głos, leżąc w twoich ramionach. Będziemy śmiać się z czasów, gdy sądziliśmy, że coś jest w stanie nas rozdzielić.

Bo jeśli dostałeś ten list, to znaczy, że jednak nam się nie udało.

To trudne, wiesz? Pisać pożegnanie, a jednocześnie kurczowo trzymać się myśli, że los jeszcze się odmieni i nie będę musiała się z tobą rozstawać. Jest tyle rzeczy, które chciałabym tu zostawić, żebyś na zawsze miał dowód tego,

co czułam — na wypadek, gdyby to była moja ostatnia szansa, by to zrobić. Część mnie wciąż wierzy, że będzie mi dane mówić ci to w twarz do końca życia. Ale nie mogę ryzykować. Nie potrafię znieść myśli, że kiedyś zapomnisz, ile dla mnie znaczyłeś. Stąd ten list.

Chasie Sanderson, byłeś, jesteś i zawsze będziesz moją największą miłością. Wierzę, że ludziom trafia się tylko jedna taka w życiu. Moją byłeś właśnie ty i nie zmieniłabym tego za nic w świecie.

Jednak nie tylko nią. Bo miłość to za mało, by nazwać wszystko, co do ciebie czuję. Jesteśmy czymś o wiele, wiele więcej. Setki razy myślałam o tym, co powiedziałeś tamtej nocy nad jeziorem o byciu bratnimi duszami, i chcę, żebyś wiedział, że miałaś wtedy rację. Część mojej duszy na zawsze zostanie z tobą. Opiekuj się nią, dobrze?

Nigdy nie powiedziałam tego na głos, ale boję się. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Seaport, Florence poprosiła mnie, żebym została tą Jose, którą pokochałeś, i boję się, że ją zawiodę. Jestem przerażona, bo to ty odnalazłeś we mnie to wszystko, i nie mam pojęcia, jak to zatrzymać, kiedy ciebie nie będzie blisko. Jesteś najlepszą częścią mnie.

Kocham cię, Chase. Nigdy o tym nie zapominaj.
Twoja Jose.

PS Wiem, że mi nie uwierzysz, bo nigdy nie wierzyłeś, kiedy to mówiłam, ale powtórzę jeszcze raz: Chase, jesteś wspaniałym człowiekiem i zasługujesz na o wiele więcej, niż los ci dał. Mam nadzieję, że pewnego dnia dostaniesz to wszystko. Przepraszam, że ja nie mogłam ci tego dać.

Był skończonym idiotą. Nie miał innego wytłumaczenia na to, że dał się namówić Valerie na wzięcie udziału w uroczystym bankiecie organizowanym przez ludzi, którzy szczerze nim gardzili. Zresztą z wzajemnością.

Chociaż może samo to, że się zgodził, jeszcze niczego nie dowodziło. Przyszedł dokładnie z tego samego powodu, dla którego Valerie, za pośrednictwem Archera, dodała go do listy gości. Bał był szansą na spotkanie Josephine, a on potrzebował okazji, by naprawić to, co ostatnio koncertowo zepsuł.

Dowód jawił się w tym, że kiedy układał w głowie plan, co jej powie, nie przewidział jednego małego szczegółu. Chociaż szczegół właściwie nie był mały.

Był mniej więcej jego wzrostu, miał idealny zarost, perfekcyjnie dopasowany garnitur, wart pewnie więcej niż mieszkanie Chase'a, i w ogóle cały wyglądał, „jakby wracał z sesji okładkowej do magazynu dla ludzi sukcesu”, jak go określiła Valerie, kiedy go zobaczyła.

Nawet na chwilę nie przeszło mu przez myśl, że na balu będzie narzeczony Josephine.

— Przestańcie się gapić — skarcił przyjaciół. We czwórkę stali przy ścianie, *dyskretnie* obserwując Cartera w towarzystwie rodziców Josephine.

— Sam przestań się gapić — odparowała Valerie od razu, wciąż nie odrywając wzroku od mężczyzny pogrążonego w rozmowie z Lillian. — Pieprzona arystokracja — prychnęła z irytacją.

— Pragnę przypomnieć, że też pochodzisz z tej pieprzonej arystokracji — zauważył słusznie Archer.

— Mogę powiedzieć to, co wszyscy myślimy? — włączył się do rozmowy Ethan. — Nie podoba mi się ten koleś, wydaje się taki...

— Irytująco idealny? — dokończył za niego Archer, a reszta pokiwała głowami.

Chase'owi wystarczyło jedno spojrzenie na zachwyty rodziców Josie, gdy z nim rozmawiali, by wiedzieć, że taki dokładnie był ich przyszły zięć. Biorąc pod uwagę, że poprzednim kandydatem był on sam, była to spora poprawa. Od zera do milionera. Dosłownie.

— Będziemy mieli okazję się przekonać, jaki jest. — Głos Valerie nie miał w sobie grama entuzjazmu. — Rozmawiałam z Josie kilka dni temu i wspominała, że chciałyby nam go przedstawić.

— Wiecie, że będziemy musieli być mili, jak do tego dojdzie? — Archer spojrzał po kolei na każdego ze swoich przyjaciół, aż jego spojrzenie zatrzymało się na Chasie. — I mówię to szczególnie do ciebie, Sanderson.

— Nie patrz tak, umiem się zachować. — Josephine zapewne zabiłaby go na miejscu, gdyby zrobił cokolwiek nieodpowiedniego, a to

zdecydowanie nie pomogłoby mu w jego misji. — Poza tym co twoim zdaniem miałbym zrobić? Dać mu w twarz?

Archer zgromił go wzrokiem, jakby próbował wybić mu z głowy ten pomysł, ale Valerie uśmiechnęła się, przekrzywając głowę, jakby oceniała mężczyznę stojącego po drugiej stronie sali.

— Myślicie, że by się popłakał?

— Valerie! — skarcił Ethan żonę, podczas gdy ona razem z Chase'em z trudem powstrzymywali śmiech.

Chase powoli zaczynał myśleć, że dzięki towarzystwu przyjaciół wieczór spędzony wśród nadętych bogaczy może być całkiem zabawny, chociaż wciąż czuł się tam kompletnie nie na miejscu. Zupełnie nie pasował do reszty gości.

— Patrzcie — odezwał się Ethan ponownie, kiwając dyskretnie w stronę wejścia. — Josie już jest.

I faktycznie Josephine weszła do sali w towarzystwie swojego brata i jego rodziny. Chase z nutą ironii pomyślał, że gdyby to była scena z filmu, na pewno rozgrywałaby się w zwolnionym tempie i z odpowiednią muzyką w tle. Jednak nawet bez tego wielu gości zwróciło głowy w jej kierunku. Ale Josephine zawsze taka była. Przyciągała wzrok i zachwycała innych, nawet nieszczególnie się o to starając.

Wyglądała pięknie, wręcz zjawiskowo. Czarna suknia z pojedynczym rękawem uszyta z materiału, który mienił się w świetle żyrandoli, opinała jej smukłe ciało, uwydatniając wszystkie kształty. Staranny makijaż jedynie podkreślał niekwestionowaną urodę, dopełniając idealny obraz. Gdyby Chase poświęcił więcej czasu na przyglądanie się dziewczynie, zapewne poczułby, że robi mu się niedobrze od tego nadmiaru perfekcji.

Jednak kiedy wszyscy podziwiali Josephine, Chase patrzył na Cartera. Obserwował jego reakcję na pojawienie się narzeczonej. Nie wiedział, co dokładnie spodziewał się zobaczyć, ale twarz mężczyzny wyrażała jedynie zachwyt. Podobnie jak wielu innych gości nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy przy boku brata przemierzała salę w jego kierunku. Patrzył na nią, jakby była jego prywatnym cudem świata.

Chase doskonale rozumiał jego zachwyty, ale akurat w tamtej chwili w ogóle go nie podzielał. Oczywiście musiałby być ślepy, żeby uznać, że Josephine nie wygląda pięknie, ale ona zawsze tak wyglądała, nawet kiedy nie wkładała w to najmniejszego wysiłku. Jednak dla Chase'a *zachwycająca* była w zupełnie innych momentach.

Sam pewnie nie raz, nie dwa miał podobny wyraz twarzy, jak Carter w tamtym momencie. Jednak on zachwycał się Josie, kiedy siedziała obok niego na plaży przed wschodem słońca, z włosami potarganymi od wiatru i sińcami pod oczami z niewyspania. Lub kiedy śmiała się do utraty tchu, rozłożona na kanapie w jego mieszkaniu, ubrana w jego bluzę i z kieliszkiem taniego alkoholu w dłoni. I kiedy śpiewała z nim piosenki z jego starych płyt, drąc się wniebogłosy, fałszując i myśląc tekst, dopóki śmiech nie pozwalał jej wydusić następnych słów. I w niezliczonej liczbie innych momentów, w których wszyscy ci ludzie, patrzący teraz na nią z podziwem, nawet nie zwróciliby na nią uwagi.

Dla niego była najpiękniejsza, gdy była żywa i prawdziwa. Kiedy jej oczy błyszczały jak dwie gwiazdy zatopione na dnie morza, a uśmiech był w stanie rozświetlić nawet nocne niebo.

Josephine, na którą patrzył w tamtej chwili — witająca się z narzeczonym i wręcz ociekająca perfekcją — nawet w najmniejszym calu nie była tamtą dziewczyną.

Idealna Josephine, którą zachwycali się wszyscy, nie robiła na nim żadnego wrażenia.

Rozdział 18

Josephine nie spodziewała się, że jego widok sprawi jej aż taką radość. Miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi, chociaż nie była pewna, czy powodem była ekscytacja, czy stres.

Nie widzieli się z Carterem zdecydowanie zbyt długo i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że minione tygodnie były ich najdłuższą rozłąką od czasu jej pobytu w ośrodku. Może nie tęskniła za nim tak, jak narzeczona powinna tęsknić za swoim przyszłym mężem, ale brakowało jej jego obecności.

Lubiła pewność i bezpieczeństwo, jakie przy nim czuła. Bateson był typem mężczyzny, który nie pozostawiał jej wiele miejsca na wątpliwości, zarówno wobec siebie, złożonych obietnic, jak czegokolwiek innego.

Sam sposób, w jaki na nią patrzył, gdy zmierzała w jego stronę — jakby pomimo milionów na koncie to ona była jego najcenniejszą własnością — wystarczył, by poczuła się kimś więcej, niż w rzeczywistości była.

Pilnowała się, by iść spokojnie i z uniesioną głową, jak kobieta, którą w niej widział, zwłaszcza że czuła na sobie także wzrok gości. Miała wrażenie, że patrzą na nią jak na ładną kukielkę z doczepionym nazwiskiem, która pełni jedynie funkcję dekoracyjną.

Nienawidziła tego, jak bliskie prawdy to było. Dla jej rodziców, a nawet dla Cartera, w takich chwilach miała być przede wszystkim ozdobą pasującą do całego obrazka.

Jednak to było życie, które wybrała. Dorastała, latami marząc o ucieczce, tylko po to, by w końcu przekonać się, że wolność jest bardziej przerażająca niż tkwienie w klatce. Wleciała więc do innej, dając sobie podciąć skrzydła w zamian za schronienie, jak ptak, który przestraszył się prawdziwego świata.

Była tchórzem i doskonale o tym wiedziała. Nigdy też nie twierdziła, że jest inaczej. Jedyne czasu, kiedy była wystarczająco odważna, by o coś walczyć, skończył się w momencie, gdy dokładnie ta sama osoba, która dawała jej odwagę, by postawić wszystko na jedną kartę, zniknęła z jej życia bez walki.

— Kochanie — powitał ją Carter, gdy tylko znalazła się wystarczająco blisko. Delikatnie przyciągnął ją do swojego boku i pocałował w policzek.
— Wyglądasz pięknie.

— Szkoda tylko, że nie potrafisz wyglądać dobrze i być punktualna — wzięła się Lillian, jeszcze zanim dziewczyna zdążyła podziękować narzeczonemu za komplement.

— Wątpię, żeby Josephine miała wpływ na ruch drogowy albo umiejętności kierowcy — odparł mężczyzna z opanowaniem, nie odwracając nawet głowy w kierunku przyszłej teściowej. — Poza tym przyjechała tutaj razem z Williamem i jego rodziną. Dlaczego twoim zdaniem to ona jest powodem ich spóźnienia?

Jego głos przez cały ten czas pozostał lekki, bez krzty wrogości, a jednak sama aura autorytetu, jaką bez najmniejszego wysiłku wokół siebie roztaczał, wystarczyła, by odebrać Lillian mowę.

— Dziękuję. — Josie uniosła się na palcach, żeby w geście wdzięczności złożyć pocałunek na jego policzku.

Tak właśnie działał ich związek — kiedy spełniała jego oczekiwania, byli jedną drużyną i mogła na niego liczyć w niemal każdej kwestii. Jednak jeden błąd z jej strony wystarczył, żeby zamienił się w jej największego wroga.

— Josie! — Nicole pojawiła się przy niej i pociągnęła za materiał długiej sukienki, by ciocia zwróciła na nią uwagę. — Patrz, tam jest ten śmieszny pan! — powiedziała podekscytowana, pokazując palcem w stronę grupki stojącej po drugiej stronie sali. — Ten, który mówił, że jesteś jego najulubieńszą osobą na świecie.

Josephine spojrzała w kierunku wskazywanym przez dziewczynkę. Zgodnie z jej słowami pod ścianą stał Archer razem z pozostałymi przyjaciółmi. Wszyscy niedyskretnie obserwowali jej rodzinę. Posłała im

słaby uśmiech w geście powitania, starając się ukryć zdziwienie na widok Chase'a. Ponieważ знаła nienawiść, jaką darzył ludzi pokroju jej rodziców, jego obecność tego wieczoru była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała. Zdecydowanie nie przewidziała tej możliwości, gdy obiecała Valerie, że przedstawi im Cartera.

— Nicole! — Lillian karcąco spojrzała na swoją wnuczkę, najwidoczniej decydując się przenieść swój krytycyzm na kogoś innego niż córka. — Proszę, żebyś zachowywała się odpowiednio. Nie jesteś na placu zabaw, nie wolno pokazywać palcami na innych ludzi.

Dziewczynka wymamrotała ciche przeprosiny, kuląc się i ciałniej przylegając do nóg Josie, jednak kobieta jeszcze nie skończyła wygłaszać swoich opinii.

— Crystal, dlaczego niczego jej nie uczysz? Córka mojego syna nie może zachowywać się jak nieokrzeseane dziewczysko.

— Mamo, wystarczy. — Głos Williama był opanowany, jednak czaił się w nim chłód, którego Josie wcześniej nie miała okazji słyszeć. — Jak słusznie zauważyłaś, to *moja* córka, więc byłbym wdzięczny, gdybyś przestała wtrącać się w jej wychowanie. Ty już miałaś swoją szansę, a wnioskując po tym, jak świetnie poszło ci wychowywanie własnych dzieci, lepiej dla wszystkich będzie, jeśli zachowasz dla siebie swoje jakże skuteczne metody.

Josie z trudem powstrzymywała cisnący się na usta uśmiech, gdy słuchała brata, który otwarcie postawił się matce. Dla kogoś stojącego z boku mogłoby to wyglądać jak zwykła rozmowa pomiędzy członkami rodziny. Dla niej był to moment o niezwyklej wadze. Duma była kolejnym uczuciem, którego nigdy nie spodziewała się doświadczyć wobec kogoś noszącego nazwisko Sinclair.

— William. — Anthony wybrał dokładnie ten moment, by dołączyć do rodzinnej potyczki ubranej w uprzejme uśmiechy dla utrzymania pozorów. — Jeśli nie zamierzasz okazywać swojej matce należnego szacunku, nie psuj wszystkim wieczoru i wróć do domu. Nie będziemy wywlekać prywatnych spraw rodziny na oczach ludzi.

Zapewne dużo większe znaczenie niż obecność pozostałych gości miał dla niego fakt, że Carter słyszał każde słowo. Dysfunkcyjność jego

rodziny nie była niczym nowym i nie robiła na Anthonym wrażenia, ale opinia kogoś tak wpływowego jak Bateson była zbyt ważna, by pozwolić tej rozmowie dalej się toczyć.

— Myślę, że powinniśmy zająć nasze miejsca. — Lillian starała się wyglądać na niewzruszoną faktem, że została skrytykowana dwukrotnie w ciągu zaledwie kilku minut. — Lada moment rozpocznie się pierwsze przemówienie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę stolika, z mężem podążającym tuż obok. Carter poszedł zaraz za nimi, zostawiając Josephine, która wciąż miała balast w postaci pięciolatki uczonej do jej sukienki.

Josie upewniła się, że pozostali ich nie słyszą, i zwróciła się do Williama:

— Muszę przyznać, że mi zaimponowałeś. Może jeszcze będą z ciebie ludzie. — Kiwnęła głową z uznaniem, uśmiechając się szeroko do niego i Crystal.

William w odpowiedzi jedynie mrugnął okiem, widocznie powstrzymując śmiech, po czym przeniósł uwagę na córkę.

— Idźcie — zasugerowała Josie, chcąc zyskać chwilę sam na sam z Nicole. — Zaraz do was dołączymy.

Rodzice dziewczynki odeszli bez sprzeciwu, a Josie ukucnęła przed małą, zapominając przez chwilę o tym, jak powinna się zachowywać. Kiedy patrzyła na Nicole, widziała siebie, gdy była w jej wieku. Pięciolatka zapewne nawet nie rozumiała do końca wszystkiego, co się działo wokół niej, a mimo tego oczekiwania wobec niej były wielkie.

Josie cieszyła się, że w przeciwieństwie do niej bratanica nie jest z tym wszystkim sama. Chciała być jedną z tych osób, które sprawią, że jej dzieciństwo będzie lepsze niż to, które sama miała.

— Wszystko w porządku, zajączku? — zagadnęła, wygładzając jej sukienkę.

— Nie lubię babci, ale mama mówi, że nie mogę tak mówić, bo babcia będzie zła — wyjaśniła z dziecięcą powagą. — Ale babcia zawsze jest zła, nawet jak jestem grzeczna.

Coś o tym wiem — miała ochotę powiedzieć.

— Zdradzić ci sekret? — spytała, zniżając głos do szeptu, i wskazała bratanicy, by się nachyliła. — Ja też jej nie lubię.

To wystarczyło, żeby rozchmurzyć Nicole, która zachichotała głośno, zwracając uwagę gości stojących w pobliżu.

— Nikomu nie możesz powiedzieć. — Josie wyciągnęła mały palec w jej stronę. Odkąd niedawno nauczyła dziewczynkę obietnicy na paluszek, nieustannie go używały. — A teraz chodźmy. Może później będziemy miały okazję pójść do Archera — dodała jako formę zachęty, która okazała się skuteczna, bo kiedy się wyprostowała, Nicole z ufnością złapała jej dłoń i pozwoliła się zaprowadzić do stolika.

Co Josephine widziała w swoim narzeczonym, było dla Chase'a największą zagadką tego wieczoru.

Rozważania na ten temat w żadnym stopniu nie wynikały z zazdrości. Przeciwnie, powoli godził się z faktem, że jego dawna miłość ruszyła dalej i układa sobie życie. Może nawet odrobinę się cieszył, że nie była kompletnym wrakiem jak on.

Ale zwyczajnie nie rozumiał, dlaczego wybrała akurat kogoś *takiego*. Obserwował go uważnie, trzymając się na uboczu, pod ścianą na samym końcu sali. Czekало na niego miejsce przy stoliku, ale sztuczna i napompowana do granic wytrzymałości atmosfera wokół zmusiła go do wyjścia na papierosa. Nie mógł się zmusić, by wrócić do przyjaciół, bo nie chciał zwracać na siebie zbędnej uwagi przechodzeniem obok innych stolików. Wolał uniknąć bycia wziętym za kelnera. Kolejny raz.

Carter stał na scenie i z pewnością wygłaszał przemówienie, z którego Chase nie usłyszał nawet słowa. Całą uwagę skupiał na jego postawie, ruchach i mimice, próbując go rozszyfrować.

Szukał najmniejszego znaku, że Carter Bateson jest kimś więcej niż nadętym bufonem traktującym z wyższością wszystkich bez wyjątku. Jak na razie bezskutecznie.

— Próbujesz się porównywać? Na twoim miejscu zaoszczędziłabym sobie rozczarowania. Podobieństw między wami nie ma zbyt wiele.

— Przepraszam? — odezwał się Chase dla pewności, że słowa były skierowane do niego.

Nie dlatego, że same w sobie były tak zaskakujące, a raczej dlatego, że padły z ust matki Josephine. Rozmowa z Lillian Sinclair była wątpliwym zaszczytem, którego nie spodziewał się doświadczyć w swoim życiu.

— Za to, że próbowałaś zniszczyć życie mojej córce? — Nie miała zamiaru czekać, aż chłopak odzyska rezon, żeby dalej atakować. — Doceniam gest, ale na to jest trochę za późno.

— Gdybym wiedział, że czeka pani na przeprosiny, wysłałbym kwiaty. — Posłał jej uśmiech i miał nadzieję, że był wystarczający, by przekazać całą nienawiść, jaką darzył tę kobietę.

— Myślisz, że nie wiem, co próbujesz zrobić, przychodząc tutaj? — zapytała, ignorując ironiczny komentarz. — Nawet nie waż się próbować drugi raz, chłopcze.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pani mówi. — Chase uznał, że zachowanie spokoju w rozmowie z matką Josie będzie dobrym treningiem przed poznaniem Cartera. Istniała szansa, że po tym nawet poznanie narzeczonego swojej pierwszej miłości będzie przyjemne.

— Carter to najlepsze, co spotkało Josephine, i nie pozwolę, żeby takie zero jak ty zniszczyło jej jedyną szansę na osiągnięcie czegoś w życiu. — Ton jej głosu wskazywał, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Najwidoczniej ukończenie Harvardu to wciąż za mało, żeby ją zadowolić. — Więc jeśli chociażby spróbujesz znowu zawrócić jej w głowie, dopilnuję, żebyś pożałował, że nie skończyłaś jak twoja matka. — To powiedziawszy, odwróciła się i odeszła dumnie, zostawiając Chase'a samego.

Chłopak w osłupieniu podążył za nią wzrokiem aż do stolika, przy którym siedziała jej córka. Nawet z tej odległości widział, jak Josie natychmiast siada bardziej prosto, jakby sama obecność matki wymagała poprawienia postawy. Pewnie w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, że to zrobiła.

W końcu wrócił spojrzeniem do sceny, wznawiając swoje obserwacje. Teraz jeszcze bardziej niż kilka minut temu dręczyło go pytanie, co, do cholery, Carter miał w sobie, że Josephine była skłonna tak się dla niego poświęcić.

Już po godzinie miała serdecznie dość. Wieczór zaczął się od kilku pustych przemówień, z których Josephine nie zapamiętała nawet słowa, nawet gdy to Carter stał na scenie. Siedząc dokładnie naprzeciwko matki, bała się chociażby odetchnąć zbyt głośno, żeby nie dać jej powodu do uszczypliwego komentarza.

Na szczęście dla niej najbardziej oficjalna część wieczoru dobiegła końca, a goście rozproszyli się po wynajętym specjalnie na tę okazję budynku. Niektórzy przeszli do sąsiedniej sali, by tańczyć, jednak zdecydowana większość zajęła się tym, po co tak naprawdę się pojawiła, czyli robieniem interesów.

Carter był w swoim żywiole, pławiąc się w spojrzeniach pełnych podziwu i zazdrości podczas nawiązywania znajomości z nowymi ludźmi, których przedstawiali mu rodzice Josie. Dziewczyna dzielnie trwała przy jego boku, starając się uśmiechać i kiwać głową z zainteresowaniem przy rozmowach o nieruchomościach, kursach walut, papierach wartościowych i innych rzeczach, które przyprawiały ją o ból głowy.

Czując, że jest na skraju wytrzymałości, przeprosiła Cartera i jego rozmówcę, rzucając wymówkę o potrzebie skorzystania z łazienki. Niemal natychmiast, gdy wtopiła się w tłum, zaczęła szukać wzrokiem przyjaciół. Archer dostrzegł ją jako pierwszy i kiwnął energicznie w jej stronę.

— Proszę, proszę, niech mnie ktoś uszczypnie — powitał ją swoim standardowym uśmiechem. — Gwiazda wieczoru zaszczyliła nas swoją obecnością. Uściskałbym cię, ale boję się, że zniszczę to dzieło sztuki. Wyglądasz pięknie, kruszynko.

— Dziękuję. — Odwzajemniła szczery uśmiech, czując, że sama obecność przyjaciół pomaga jej zebrać siły na nadchodzące godziny. — Wy też prezentujecie się niczego sobie.

— Daj spokój. — Valerie prychnęła na jej słowa, z zazdrością patrząc na sukienkę przyjaciółki. — Przy tobie czuję się jak brzydka siostra przyrodnia Kopciuszka — dodała z udawaną irytacją. — Wyglądasz jak milion dolarów.

— Oddam ci ją z przyjemnością, jeśli tylko zamienisz się ze mną i pójdziesz słuchać rozmów nadętych staruchów o najlepszych sposobach inwestowania majątku. Uciekłam na chwilę, bo jeszcze minuta rozmowy *poważnych biznesmenów* i oszaleję.

— Wiesz, po namyśle stwierdzam, że chyba jednak wcale nie jest taka ładna. — Dziewczyna zaśmiała się z męczeńskiej miny przyjaciółki. — Ale zapraszamy do naszego nieelitarnego towarzystwa. Właśnie próbujemy zgadnąć, z kim pan Sorensen zdradza swoją żonę.

Odwróciła się, żeby zlokalizować wspomnianego mężczyznę, ale zamiast tego jej wzrok spoczął na dobrze znajomej sylwetce chłopaka zbliżającego się do nich ze szklanką alkoholu w ręku.

— Jestem. Co mnie ominęło? — zapytał Chase, zanim jego spojrzenie padło na Josephine. Ku zdziwieniu niemal wszystkich uśmiechnął się przyjaźnie na jej widok. — Cześć, Josie.

— Cześć, Chase. — Udało jej się ukryć zaskoczenie jego ciepłym powitaniem, więc jej głos był pozbawiony emocji.

Mówiła prawdę, kiedy powiedziała, że nie będzie dłużej zabiegać o kontakt z nim. Musiała spróbować, ale teraz z czystym sumieniem zamierzała odpuścić wszelkie próby zawarcia przyjacielskich relacji i chciała, żeby o tym wiedział.

Nie mógł jednego dnia wykrzykiwać jej, że nie może na nią patrzeć, a przy następnej okazji uśmiechać się, jakby cieszył się, że ją widzi.

Wróciła wzrokiem do pozostałych przyjaciół, licząc, że będzie mogła zacząć z nimi rozmowę i zignorować chłopaka, ale Chase nie odpuszczał:

— Słuchaj, chciałem z tobą porozmawiać... — Nie było mu dane dokończyć, bo przy boku Josephine nagle pojawił się Carter.

— Josephine.

Brunetka wzdrygnęła się niekontrolowanie, gdy mężczyzna położył dłoń na dole jej pleców, zwracając na siebie uwagę. Oderwała wzrok od Chase'a, przywołując na twarz uśmiech.

— Podobno miałaś zniknąć tylko na chwilę.

— Wybacz, właśnie miałam wracać, ale zatrzymałam się, żeby przywitać się z moimi przyjaciółmi. — Skinęła głową, zwracając uwagę mężczyzny na grupę, z którą stała. — Skoro już jest okazja, poznaście się. —

Z radosnym uśmiechem wskazała na Archera. — To Archer Coleman. Poznałeś wcześniej jego rodziców.

— Pamiętam. Czyli to o tobie Nicole mówi przez cały wieczór? — zagadnął przyjaźnie, wymieniając z nim uścisk dłoni.

Josephine celowo wspomniała o poznanych wcześniej rodzicach przyjaciela, mając w pamięci, że zrobili na jej narzeczoną dobre wrażenie. Zależało jej, by Carter zaakceptował jej przyjaciół, skoro zamierzali pojawić się na ich ślubie.

Archer wrzucił ramionami z szelmowskim uśmiechem i jeszcze zanim zdążył się odezwać, Josephine wiedziała, że powie coś głupiego.

— Co mogę powiedzieć. Temu urokowi żadna się nie oprze. Nasza kruszynka wie o tym najlepiej. — Wyszczrzyli się sugestywnie do przyjaciółki, jakby mieli wspólną historię, której nigdy nie było.

— To Valerie. Przyjaźnimy się od dziecka — powiedziała, ignorując pytający wzrok Cartera. Archer był cudowny, ale czasem wołałaby, żeby wiedział, kiedy przestać mówić. — I jej mąż, Ethan.

— Cieszę się, że mogę was poznać. Dobrze kojarzę, że to ty ukradłaś moją narzeczoną do spa i nie było z nią kontaktu przez dwa dni? — rzucił do Valerie, starając się uprzejmie nawiązać rozmowę.

Josephine poczuła, że jej serce zamiera ze strachu, kiedy spojrzenie blondynki na ułamek sekundy powędrowało w jej stronę.

Valerie oczywiście nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówi Carter. Josephine już zaczęła się zastanawiać, jak wytłumaczyć swojemu narzeczonemu, że te dwa dni tak naprawdę spędziła z Chase'em, i jednocześnie nie wywołać skandalu.

Nie wiedziała, czy to zasługa cholernie dobrej intuicji, czy Valerie czytała w myślach, ale miała ochotę dziękować Bogu za lata, które przyjaciółka spędziła w szkolnym teatrze. Ta bowiem z prawdziwym talentem aktorskim uśmiechnęła się nagle, jakby właśnie sobie przypomniała, że faktycznie takie zdarzenie miało miejsce.

— No tak, byliśmy razem. Prawie zdążyłam już zapomnieć. Zaprosiłam ją, żebyśmy mogły nadrobić ostatnie lata i spędzić trochę czasu razem. Babskie ploteczki, sam rozumiesz. — Zachichotała cicho, dopełniając obraz głupiej blondynki, który Carter kupił bez zawahania.

Josephine widziała ten krótki przeblysł pogardy, gdy uznał Valerie za zwykłą pustą córkę, rozpieszczoną przez bogatych rodziców, który szybko został zamaskowany przez uśmiech.

— Miło mi to słyszeć, ale następnym razem przypomnij, proszę, mojej zapominalskiej narzeczonej, żeby przynajmniej informowała mnie o takich rzeczach. Zaoszczędzisz mi niepotrzebnego martwienia się. — Carter złożył krótki pocałunek na jej skroni i nawet jeśli Josie zdawała sobie sprawę, że ta uprzejmość jest wymuszona, była zbyt ogarnięta ulgą, że jej kłamstwo nie wyszło na jaw, by się tym martwić.

— A to Chase — wyjaśniła, kiedy wzrok Cartera przeniósł się na ostatnią osobę z grupy, i zawahała się, zdając sobie sprawę, że nie wie, co więcej mogłaby powiedzieć, przedstawiając narzeczonemu swoją byłą miłość.

Podświadomie czuła też, że Chase doskonale wie, że usilnie starała się ukryć przed przyszłym mężem ich wspólny wyjazd do Seaport, i miała wrażenie, że czerpie z tego niezwykłą satysfakcję. Przez chwilę bała się nawet, że postanowi zdemaskować jej kłamstwo.

Jednak o dziwo, widząc jej zmieszanie, postanowił przyjść jej z pomocą i sam wyciągnął dłoń do Cartera.

— Chase Sanderson — przedstawił się, jakby jego nazwisko mogło cokolwiek mówić biznesmenowi. — Miło w końcu poznać słynnego narzeczonego Josie. Trochę już o tobie słyszeliśmy.

— Naprawdę? — Zdziwiony spojrział na Josie. — Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Josephine nigdy nie chwaliła się, że miała taką grupę przyjaciół, zanim wyjechała — przyznał z udawanym zakłopotaniem. — Bardziej namawiałbym ją na wizyty w domu, gdybym wiedział. Ale i tak miło mi was poznać, nawet po takim czasie.

— Cała przyjemność po naszej stronie — zapewnił Chase, spoglądając mężczyźnie prosto w oczy.

Gdyby Josie nie znała go tak dobrze, może uwierzyłaby w tę uprzejmą i przyjacielską postawę chłopaka.

— Myślę, że powinniśmy już wracać do naszego stolika — wtrąciła, odwracając uwagę Cartera. Miała wrażenie, że balansują na krawędzi katastrofy, i bała się, że sytuacja za chwilę wymknie się spod kontroli.

— Masz rację, kochanie. Twoi rodzice pewnie zastanawiają się, gdzie zniknęliśmy. — W czułym geście przyciągnął ją do swojego boku i po raz ostatni spojrzął na przyjaciół Josie. — Cóż, mam nadzieję, że przy następnej okazji będziemy mieli szansę porozmawiać trochę dłużej. Być może nawet na naszym weselu.

— Z pewnością. — Archer postanowił wtrącić się do rozmowy, a dziewczyna miała nieodparte wrażenie, że pod jego szerokim uśmiechem kryje się ironia, której nie powstydziliby się nawet sam Chase. — Za nic byśmy tego nie przegapili.

Carter już nie odpowiedział i odszedł, wciąż trzymając Josie blisko siebie w niemal zaborczym geście.

— Naprawdę przyjaźnisz się z tymi ludźmi? — zapytał, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem ich słuchu.

Zdusiła w sobie uwagę na temat pogardliwego tonu, jakiego użył.

— Tak. *Ci ludzie* są dla mnie bardzo ważni i naprawdę zamierzam ich zaprosić na nasz ślub. Dlatego chciałabym, żebyś postarał się ich zaakceptować.

Zmarszczył brwi zdziwiony jej stanowczością, a przez jego twarz przemknął cień irytacji. Gdyby byli teraz sami, ta rozmowa zapewne wyglądałaby zupełnie inaczej. Jednak w porę opamiętał się, zdawszy sobie sprawę, że widzi ich zbyt wiele osób.

— Po prostu odnoszę wrażenie, że to nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie. Rozumiem, przyjaźniliście się, kiedy byliście młodszy, ale zastanów się, czy ci ludzie pasują do Josephine Bateson. — Zakończył rozmowę, a na jego twarzy z powrotem pojawił się idealny uśmiech, kiedy kolejny mężczyzna podszedł do nich w towarzystwie ojca Josephine.

Pod koniec wieczoru była już niewypowiedzianie wdzięczna za wszystkich ludzi, koniecznych chcących zamienić słowo z Carterem. W przeciwnym razie ciężko byłoby jej znieść jego towarzystwo po tym, co powiedział na temat jej przyjaciół. A skoro był zbyt zajęty byciem biznesmenem, by pamiętać o byciu narzeczonym, Josephine skorzystała z pierwszej

okazji, by od niego uciec. Tym razem nie poszła jednak szukać Archera i reszty, ale wyszła z sali, by przez chwilę odetchnąć w samotności.

Przyjęcie zawsze odbywało się w tym samym pensjonacie zbudowanym na podobieństwo wystawnego pałacu. Kiedy Josephine była dzieckiem, zawsze żałowała, że uroczystość nie odbywa się w cieplejszej porze roku, by można je było zorganizować w pięknych ogrodach należących do posiadłości.

Jednak nawet w porze zimowej pałacowy ogród był imponujący — z idealnie przyszyronymi żywopłotami, tworzącymi korytarze, oświetlonymi ścieżkami i rzeźbioną fontanną pośrodku, chociaż akurat tamtego wieczoru była wyłączona. Kierując się instynktem, odnalazła wychodzący na tył posiadłości balkon, na którym zwykła się chować przed matką jako mała dziewczynka.

Tym razem również zaszyła się tam, sądząc, że nikt jej nie znajdzie. Nie przewidziała tylko, że ktoś od dłuższego czasu jej szukał.

— Josephine Sinclair i papieros? — Głos podszyty ironią dotarł do niej, gdy Chase pojawił się obok. — To zdecydowanie największe zaskoczenie tego wieczoru.

— Większe nawet niż Chase Sanderson w garniturze? — zapytała od niechcienia, unosząc brew.

Nie była dumna z tego, że skusiła się na używkę. Ale kiedy przyszła na balkon, spotkała tam jednego z kelnerów, który sam zaproponował jej papierosa. Powiedział, że wygląda na kogoś, kto tego potrzebuje.

Zgodziła się głównie dlatego, że miała dosyć ciężaru perfekcji wiszącego nad nią przez cały wieczór. Nogi niemiłosiernie bolały ją od wysokich szpilek, sukienka od projektanta była tak dopasowana, że niemal utrudniała oddychanie, w dodatku była głodna po całym wieczorze unikania jedzenia z obawy, że jeśli zje za dużo, brzuch będzie się nieestetycznie odznaczał. A to wszystko i tak było niczym w porównaniu ze zmęczeniem psychicznym.

— Będziesz musiała mi powiedzieć, co cię do tego skłoniło, bo nie zasnę spokojnie w nocy. — Postanowił zignorować jej kąśliwą uwagę,

zanim niegroźne przekomarzanie przypadkiem zmieni się w kłótnię.
— Nienawidzisz papierosów.

Dawniej powtarzała mu, że powinien je rzucić. On zawsze odpowiadał, że rzuci palenie, jeśli ona odstawi kofeinę, co dla Josephine było niewykonalne. Jego umysł wbrew jego woli podrzucił mu wspomnienie, kiedy po jednej z takich rozmów Josie uznała, że właściwie to dobrze, że jest uzależniona od kawy, bo w ten sposób oboje mają sprawiedliwie po dwa nałogi. On miał papierosy, ona kofeinę, a oprócz tego mieli jeden wspólny, czyli siebie nawzajem.

— Wystawnych imprez też nienawidzę, a jednak tu jestem. — Nie wiedziała nawet, po co tak właściwie mu odpowiada. Miała przecież odpuścić i grubą kreską przekreślić wszystko, co wiązało się z Chase'em, a zamiast tego z łatwością dawała się wciągnąć w kolejną rozmowę.

— Naprawdę? Wyglądałaś, jakbyś się świetnie bawiła.

Nie musiała nawet na niego patrzeć, by wiedzieć, że uśmiecha się w ten *swój* sposób. Oczywiście, że jeśli ktokolwiek z kilkuset gości mógł zauważyć, jak bardzo męczyła ją rola idealnej narzeczonej, to był to jedynie Chase.

Przez chwilę milczeli. Josephine zdążyła zgasić swojego papierosa, a Chase wyciągnął z kieszeni i odpalić swoją dawkę trucizny, ciągle zastanawiając się, co jej powiedzieć. Mógłby zwyczajnie zacząć od przyznania jej racji, ale właściwe słowa jeszcze nie chciały przejść mu przez gardło.

— Więc... Carter, co? — Starał się zagadnąć, chociaż miał świadomość, że pewnie wybrał najgorszy możliwy temat. — Wydaje się... fajnym gościem. — Próbował brzmieć przekonująco, ale ani on sam, ani Josephine, ani nawet latające po niebie nietoperze nie wierzyli w szczerść jego słów.

Carter reprezentował dokładnie ten typ ludzi, którymi Chase z całego serca gardził. Na jego obronę — to oni pierwsi zaczęli nim gardzić, kiedy był jeszcze dzieckiem. Odwzajemnienie tego uczucia było więc naturalną reakcją.

— O co ci tak naprawdę chodzi, co? — Założyła ręce i spojrzała na niego, unosząc brew. — *Znamy się odrobinę za dobrze na kłamstwa.* — Z kąpiącym uśmiechem zacytowała jego własne słowa. — Do sedna, Chase.

— Próbuję nawiązać przyjacielską rozmowę. To źle?

— *Przyjacielską?* — zadrwiła. — Nie możesz jednego dnia zachowywać się, jakby sama sugestia o przyjaźni między nami cię brzydziła, a następnego zaczynać *przyjacielskiej* pogawędki, jak gdyby nigdy nic.

Chase powstrzymał kąśliwą uwagę o tym, że jej prawnicze geny dają o sobie znać. Czasem rozmawianie z Josephine wpisywało się idealnie w zasadę „wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie”.

— Być może miałeś wtedy trochę racji — wyznał w końcu niechętnie. Nigdy nie lubił przyznawać się do błędu, zwłaszcza przed nią.

— I myślisz, że możesz tak po prostu przyjść i powiedzieć, że zmieniłeś zdanie, a ja entuzjastycznie temu przyklasnę? — Pokręciła głową z pobłażaniem. — Dlaczego miałabym to zrobić? — Zapytała z uniesioną brwią, a Chase miał wrażenie, jakby mówiła tym: „Przekonaj mnie”. Godność nie pozwalała jej teraz tak po prostu się z nim zgodzić, po wszystkim, co sobie powiedzieli.

— Bo jak sama słusznie zauważyłaś, potrzebujemy siebie nawzajem. — Uśmiechnął się z satysfakcją, wykorzystując jej własne słowa. — I wiesz, co myślę? — Zrobił pojedynczy krok w jej stronę. — Potrzebujesz tej przyjaźni, bo tęsknisz za tym, jak się przy mnie czułaś. Tęsknisz za tymi wszystkimi głupimi i szalonymi rzeczami, które razem robiliśmy, bo chcesz znowu poczuć, że żyjesz, a nie tylko egzystujesz. Chcesz na chwilę znowu być nastoletnią Josie i wyrwać się z tego idealnego świata, bo się w nim dusisz. Znalazłaś okazję, by ten ostatni raz na chwilę uciec, i chcesz ją wykorzystać, zanim na dobre staniesz się właśnie taka. — Wskazał dłonią na jej strój, podkreślając swoje słowa.

Trafił w dziesiątkę, bo oprócz tego, że tylko z nim mogła rozmawiać o wszystkim, to właśnie dlatego chciała odbudować ich przyjaźń.

— Skończyłeś? — Miała czelność udawać niewzruszoną tym, jak dobrze ją znał. Sama nie zamierzała pozostać mu dłużna. — Bo wnioskuje po tym, że nienawidzisz przyznawać mi racji, pokuszę się o stwierdzenie,

że ty też kierujesz się egoistycznymi powodami. Skoro schowałeś swoją dumę do kieszeni, to stawka jest wysoka.

Może i była odrobinę egoistką, ale miała przecucie, że w tym przypadku Chase wcale nie był lepszy.

Przekrzywiła głowę, jakby go oceniała i intensywnie się nad czymś zastanawiała, a na jej czerwonych ustach błąkał się lekki uśmiech. Prowadzili ze sobą grę i oboje świetnie się przy tym bawili. Zawsze tworzyli parę godnych przeciwników.

— Wyciągasz do mnie rękę, bo masz dosyć samotności — rzuciła na próbę. — Zawsze wzmagała w tobie poczucie, że jesteś niekompletny, a mój powrót przypomniał ci o czasach, kiedy nie byłeś sam, i dlatego plułeś jadem na wszystko, co się wiązało ze mną. Wcale nie nienawidzisz *mnie*, tylko tego, że wciąż za mną tęsknisz, bo byłam jedyną osobą, która sprawiała, że czułeś się mniej samotny. Trafiłam?

— Co mogę powiedzieć. Znamy się jak nikt inny. — Pokręcił głowę z uśmiechem, walcząc z przyznaniem przed samym sobą, że tęsknił również *za tym*.

— To trochę przerażające, gdyby się nad tym zastanowić. — Zmarszczyła nos z niezadowoleniem, wywołując jego śmiech.

Oboje gdzieś głęboko w sercach doznali ciepłego uczucia, spowodowanego właśnie tą świadomością, że mimo tylu lat nie utracili umiejętności czytania z siebie nawzajem jak z otwartej książki.

Przed poznaniem Josephine Chase nie wierzył, że można poznać kogoś tak dobrze, a także odsłonić się przed kimś na tyle, na ile zrobił to przed nią. Dziewczyna naprawdę widziała każdy, nawet najciemniejszy skrawek jego duszy, a on jej. Znali swoje pragnienia, marzenia, lęki i demony przeszłości. Nawet jeśli uczucia, które były między nimi, zniknęły, to ta bliskość spowodowana tak głęboką znajomością wciąż tam była.

— Więc jak będzie? Przyjaźń? — Z wzywającym uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

Josephine miała wrażenie, że podpisuje pakt z diabłem, ale w tamtej chwili niczego nie pragnęła bardziej.

— Skoro nalegasz. — Skinęła głową i uściśnęła jego rękę. — Ale jeszcze ci nie zapomniałam tego, co powiedziałaś.

— Nie mam co do tego wątpliwości. — Nie mógł mieć o to pretensji, bo trochę sobie na to zasłużył, ale zamierzał znaleźć sposób na zadośćuczynienie swoich win. — Wiesz, przydałaby mi się pomoc w antykwariacie, a ty, zdaje się, masz dużo wolnego czasu.

— Sprawdzę, czy znajdę dla ciebie chwilę w moim napiętym grafiku. — Starła się udawać obojętną, ale zdradzał ją szeroki uśmiech, z którym nieskutecznie walczyła.

Rozdział 19

Nie rozmawiali zbyt długo. Chyba oboje potrzebowali czasu, by na spokojnie przepracować w swoich głowach nowy status ich relacji. Poza tym Josephine w końcu uświadomiła sobie, że jej *przenia* za długo się przeciągnęła i powinna wracać. Pożegnała się z Chase'em zapewnieniem, że będą w kontakcie, by umówić się na spotkanie, i z ulgą wróciła na ciepły korytarz. Stanie na zewnątrz bez płaszcza prawdopodobnie nie było najmądrzejszym pomysłem, na jaki mogła wpaść.

Pocierając zmarznięte ręce, szybkim krokiem szła przez płataninę korytarzy, aż dotarła do szerokich schodów z białego marmuru prowadzących do głównego holu, w którym znajdowało się wejście do sali bankietowej. Zatrzymała się jednak w pół kroku, gdy na dole schodów zobaczyła Cartera mierzącego ją niezadowolonym spojrzeniem.

— Gdzie byłaś? Zniknęłaś bez słowa na pół godziny. Szukałem cię wszędzie.

Właściwie zniknęła na dłużej, a trzydzieści minut minęło jedynie od momentu, w którym się zorientował, że jej nie ma. Nie zamierzała mu jednak tego wypominać, zdając sobie sprawę, że nie poprawi tym sytuacji.

— Żle się poczułam, poszłam odpocząć chwilę do pokoju, w którym śpi Nicole — wyjaśniła na poczekaniu, niedbale kiwając za siebie w kierunku piętra, na którym znajdowały się pokoje hotelowe.

Zamierzała odejść w kierunku sali, by uniknąć kolejnych pytań, ale Carter zatrzymał ją, chwytając za łokieć i przyciągając blisko siebie. W jego gestach nie było już śladu delikatności, z jaką traktował ją na oczach świadków.

— Kłamiesz. — Nachylił się do niej, mówiąc cichym głosem. — William tam był i cię nie znalazł.

— Więc pewnie przyszedł tam, kiedy ja już zdążyłam wyjść. — Josephine starała się ignorować ból spowodowany stalowym uściskiem, w jakim mężczyzna trzymał jej rękę. — Byłam też na balkonie, by się przewietrzyć, bo uznałam, że świeże powietrze mi pomoże.

— Sama?

— A niby z kim miałabym być? — Nie miała pojęcia, czym spowodowana była ta podejrzliwość. Carter zazwyczaj nie podważał jej słów w ten sposób. — Jeśli mi nie wierzysz, idź i poproś ochronę o nagrania z monitoringu. Daj wszystkim powód do plotek, dlaczego Carter Bateson nie ufa swojej przyszłej żonie.

To było konieczne ryzyko, które podejmowała ze świadomością, że jeśli Carter naprawdę się do tego posunie, jej kłamstwo wyjdzie na jaw. Pokładała jednak sporą nadzieję w tym, że mężczyzna nie będzie chciał kuśić losu, ściągając niepotrzebną uwagę na ich związek. Gdyby ktoś przyjrzał się bliżej, mógłby dostrzec, jak daleko w rzeczywistości jest im do ideału.

Możliwie najdyskretniej spojrzała za jego ramię, rozglądając się, czy nikt z osób rozmawiających na korytarzu przed salą nie zwraca na nich uwagi. Na szczęście wszyscy w zasięgu jej wzroku wydawali się zbyt zajęci swoimi sprawami. Nie mogła jednak równie niespostrzeżenie obejrzeć się w kierunku, z którego przyszła.

I chociaż ktoś inny mógłby wysnuć wnioski, że natknął się na prywatny moment dwójki zakochanych, to pech chciał, że osobą, która akurat pojawiła się u szczytu schodów, był Chase. Josephine nie mogła go dostrzec, ale on doskonale widział grymas bólu na twarzy dziewczyny. Stał za daleko, by usłyszeć, o czym rozmawiają, ale jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by stwierdzić, że w zachowaniu Cartera nie było nawet grama czułości.

— Wiem, że się martwisz, i wiem, że to wyłącznie moja wina — odezwała się ponownie, próbując podejść go z innej strony, gdy jej poprzednia próba załagodzenia sytuacji zakończyła się fiaskiem. — Ale

przysięgałam ci, że tamto się już nigdy nie powtórzy. Nie rozczaruję cię znowu, możesz mi zaufać.

Carter przez chwilę patrzył na nią, jakby chciał dalej dążyć temat. Być może nawet tak długo, aż Josie przyzna się do kłamstwa, ale ostatecznie podjął inną decyzję. Puścił jej ramię i odsunął się na pół kroku, poprawiając krawat.

— Przepraszam. — Znowu wyciągnął rękę w jej stronę, ale tym razem po to, by założyć kosmyk jej włosów za ucho. Tak po prostu, jakby ktoś pstryknął przełącznik, wrócił do bycia dżentelmenem. — Po prostu nie powinnaś tak znikać bez słowa, dobrze o tym wiesz.

— Nie chciałam przerywać ci ważnej rozmowy swoimi problemami — broniła się cicho.

— Jeśli nadal źle się czujesz, poproszę kierowcę, by odwiózł cię do domu. Sam też niedługo powinienem wracać.

Skinęła głową w odpowiedzi. Dopiero gdy Carter odszedł, zostawiając ją samą, przymknęła na chwilę oczy, z westchnieniem ulgi masując obolałe miejsce. Jutro zapewne pojawią się tam siniaki, chociaż akurat to nie była żadna nowość. Irytacja Cartera zostawiała podobne przypadkowe ślady na jej ciele wystarczająco często, by zdążyła już całkiem na nie zobojętnieć.

Wzięła głęboki, uspokajający wdech i wyprostowała się dumnie, by ruszyć w stronę sali i pożegnać się z rodziną. Ani razu nie odwróciła głowy w kierunku schodów, zupełnie nieświadoma, że u ich szczytu stał Chase i skryty za filarem widział całe zajście, które zrodziło masę pytań.

Zdaniem Chase'a największą zaletą pracy w antykwariacie był panujący tam spokój. Czas płynął tam trochę wolniej, zmuszając człowieka, by też na chwilę przestał się spieszyć. Była to miła odmiana od posady w firmie Jamesa, gdzie jako chłopiec na posyłki czasami był potrzebny wszędzie w tej samej chwili. Wciąż był gdzieś spóźniony, a czasu zawsze było za mało.

Był wdzięczny mężczyźnie za to, że zaoferował mu pracę i pomógł w wynajęciu mieszkania, chociaż pojawił się pod jego drzwiami

niespodziewany i nieproszony. Jednak wiedział na pewno, że to nie jest życie dla niego.

Gdyby miał luksus decydowania, w jaki sposób chce zarabiać, wybrałby dla siebie właśnie to — prowadzenie antykwariatu w jakimś cichym miejscu, które nie byłoby Moreton.

Tego konkretnego dnia jednak ten spokój, który tak sobie cenił, był notorycznie przerywany przez pewną irytującą blondynkę, która nazywała siebie jego przyjaciółką.

Dzwoniła i pisała przez większą część niedzieli i poniedziałkowy poranek, poważnie testując jego cierpliwość. Jasne, mógłby zwyczajnie odebrać, ale wiedział aż za dobrze, w jakim celu go nękała. Z czystej złośliwości odwlekał w czasie danie jej to, czego tak bardzo chciała.

Mógł też wyciszyć telefon, dzięki czemu ignorowanie Valerie stałoby się łatwiejsze, ale wtedy mógłby przegapić wiadomość od Josephine. Na nią czekał z czystej ciekawości, jak dziewczyna podejdzie do całego tego odbudowywania przyjaźni. Bo jeśli miałby być szczerzy — sam nie miał pojęcia, co z tego wyniknie.

Dzwonek jego komórki rozbrzmiał po raz szósty tego dnia, jeśli się nie mylił, zagłuszając dźwięki *Half the World Away* Oasis wydobywające się ze starego gramofonu pana Barnetta.

Tym razem odebrał, godząc się z faktem, że Valerie nie zamierza odpuścić i do końca dnia zapewne jeszcze kilka razy przerwie mu przyjemność słuchania jego ulubionych piosenek.

— No nareszcie! — wykrzyknęła do słuchawki.

— Myślałem, że po dwudziestym razie w końcu złapiesz sugestię — rzucił na powitanie, jeszcze bardziej irytując dziewczynę.

— Cóż, ja myślałam, że po dwudziestu czterech latach opanowałeś w końcu umiejętność odbierania telefonu za którymś z pierwszych pięciu razy, kiedy ktoś do ciebie dzwoni. Ale jak widać oboje byliśmy w błędzie. — To nie był pierwszy raz, kiedy używała swojego uporu, żeby dopiąć swego, jeśli chodziło o kontakt z Chase'em. Im bardziej on się oddalał, tym bardziej ona potrafiła naciskać. — A teraz opowiadaj, jak poszło z Josie.

Właśnie taka była cena za angażowanie przyjaciół w swoje sprawy. Teraz kwestia jego relacji z Josephine to już nie był jego problem, ale ich wspólny. I Valerie koniecznie chciała usłyszeć relację z tego, jak poszła mu rozmowa z brunetką.

— Dobrze.

— Znasz trochę więcej słów, Chase. Użyj ich, zanim ja użyję swoich i *przypadkiem* wygadam się Archerowi, że chcesz się pogodzić z Josie. — Nie było najmniejszej wątpliwości, że była zdolna się do tego posunąć. — Udało ci się z nią w ogóle porozmawiać?

— Tak, ale jeśli czekasz na porywającą historię, to lepiej wracaj do pracy, zanim cię z niej wywalą, bo tracisz czas. — Nie miał pojęcia, jak udawało jej się zachować posadę stażystki w domu mody. Liczba wykonanych do niego telefonów i wysłanych SMS-ów jasno wskazywała, jaki stosunek Val miała do tej pracy. — Porozmawialiśmy, pogodziliśmy się, zaproponowałem, że jeśli ma ochotę, to może wpaść do antykwariatu w wolnym czasie, i tyle. Potem wróciła do Cartera i nawet nie wiem, czy jest teraz u siebie, czy w Londynie.

— No to może pora się dowiedzieć, zamiast siedzieć na tyłku i czekać, słuchając tych twoich staroci — poradziła mu. Brzmiała przy tym, jakby była zirytowana faktem, że sam na to nie wpadł.

— Ja *pracuję*, w przeciwieństwie do niektórych. — Dla własnego dobra zignorował część o muzyce, której słuchał. Gust Valerie w tej kwestii był tragiczny. — Poza tym wyciągnąłem już rękę na zgodę, zaprosiłem ją do antykwariatu. Co jeszcze twoim zdaniem mam zrobić? Wprosić się do niej do domu na herbatę i ciastko?

— Tylko że wcześniej, kiedy to ona wyciągnęła rękę jako pierwsza, ty w odpowiedzi metaforycznie naplułeś jej w twarz. Więc jeśli naprawdę teraz chcesz, żeby było między wami jak kiedyś, to musisz postarać się trochę bardziej. Stać cię na więcej, niż jakieś marne *jak chcesz, to przyjdź*. Muszę lecieć, nie zawieź mnie — rzuciła szybko i rozłączyła się, zanim Chase miał szansę odpowiedzieć.

Czuł się jak idiota, stojąc pod drzwiami ogromnego domu w oczekiwaniu, aż ktoś mu otworzy. Powodem tego uczucia było głównie to, że chyba pierwszy raz w życiu faktycznie użył tu dzwonka, zamiast zwyczajnie wtargnąć bez uprzedzenia lub ewentualnie skorzystać z tylnego wejścia i pójść prosto do pokoju Josie. Teraz miał wrażenie, jakby przychodził w obce miejsce.

W końcu jednak drzwi się otworzyły. Ku swojemu zdziwieniu nie zobaczył za nimi Josephine ani nawet pani Murphy, ale Williama. Wiedział, że relacje między rodzeństwem nie wyglądały już tak, jak w przeszłości, a nawet sam widział, jak odnoszą się do siebie na balu. Jednak wciąż był nieco uprzedzony, mając w głowie wszystko, co kiedyś Josephine opowiadała mu o bracie.

William natomiast uśmiechnął się przyjaźnie na jego widok.

— Cześć. Jesteś jednym z przyjaciół Josephine, prawda? Kojarzę cię z bankietu, ale nie mieliśmy okazji się poznać. William, brat Josie.
— Wyciągnął rękę w stronę chłopaka.

— Chase — przedstawił się, czując niezręczność płynącą z faktu, że on o mężczyźnie wiedział całkiem sporo, głównie złych rzeczy, podczas gdy William widocznie nie miał pojęcia, co go kiedyś łączyło z jego siostrą. — Jest Josie?

Brat dziewczyny przez chwilę wyglądał, jakby chciał zaprzeczyć i grzecznie wyrzucić gościa.

— Jest, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby przyjmowała gości — wyjaśnił w końcu.

Chase nie spodziewał się takiej odpowiedzi, podobnie jak nie spodziewał się nagłej fali zmartwienia o Josephine.

— Co jej jest? — Z jakiegoś powodu jego myśli od razu powędrowały do sceny między nią a Carterem, której był świadkiem.

— Jest chora, więc jeśli nie chcesz się zarazić, możesz wpaść kiedy indziej.

— Zaryzykuję — stwierdził, mając problem z uwierzeniem mężczyźnie na słowo.

Nieszczególnie krył się z tym, że dobrze zna dom Sinclairów. Zostawwszy buty i kurtkę w korytarzu, skierował się do salonu z pewnością osoby bywającej tam regularnie.

Zgodnie z przypuszczeniem znalazł Josephine leżącą na kanapie. Dziewczyna, słysząc kroki, uniosła głowę z poduszki i teraz patrzyła na niego z uniesioną brwią, wyraźnie zaskoczona jego widokiem.

No tak, gdzieś po drodze zapomniał, że pojawienie się w domu Josie mogło być najgłupszym pomysłem, na jaki wpadł. Z drugiej strony zaczynanie nowego etapu tej dziwnej relacji od SMS-a, jeśli w okienku wiadomości wciąż widział ich stare rozmowy przepełnione uczuciem, którego już nie było, wydawało się jeszcze bardziej niezręczne.

A na odwiedziny w domu miał przynajmniej wymyśloną wymówkę.

— Cześć, Bestia — rzucił tak po prostu w ramach powitania.

— Bestia?

— No tak. Na bankiecie byłaś Piękną, ale dzisiaj przypominasz raczej Bestię — wyjaśnił z pogodną uszczypliwością, wskazując na jej potargane, przetłuszczone włosy, bladą twarz i za dużą bluzę, która, mógł się założyć, należała kiedyś do Archera.

Myśl, że nawet taką wolał ją o wiele bardziej, niż tę nedorzecznie perfekcyjną wersję, którą widział na balu, zachował dla siebie.

— Komplementarz jak zawsze. — Josie ostentacyjnie wywróciła oczami, poprawiając przykrywający ją koc. — Co tutaj robisz?

— Miałaś rzeczy, które chciałaś oddać do antykwarjatu. — Zdawał sobie sprawę, że było go stać na wymyślenie lepszego powodu, ale to było pierwsze, co mu przyszło do głowy, gdy postanowił skorzystać z rady Valerie. — Uznałem, że pomogę ci się ich pozbyć. Wiesz, jako dobry przyjaciel.

— Już się ich pozbyłam. Crystal oddała je na zbiórkę charytatywną. Powiedziałabym ci o tym, gdybyś wcześniej zapytał. Na przykład przez telefon — podsunęła z pobłażliwym spojrzeniem, dając mu tym samym do zrozumienia, że dobrze wie, że był to jedynie pretekst.

Chase mógłby się w tej chwili poddać i zwyczajnie przyznać, że potrzebował powodu do spotkania, bo nie miał pojęcia, na jakich zasadach

ma funkcjonować ich przyjaźń. Liczył, że zaproszenie do antykwariatu załatwi sprawę, ale potem Valerie uświadomiła mu, że być może działanie po linii najmniejszego oporu nie jest rozwiązaniem.

Mógł też iść dalej w zaparte. Wybór był oczywisty.

— Obiecałaś mi też, że pomożesz w antykwariacie. Chciałem się przy okazji upewnić, czy nie tchórzysz przed pracą i zamierzasz dotrzymać słowa, skoro nie przysłałaś dzisiaj.

O to tym bardziej można było zapytać przez telefon, ale to było mniej istotne. Najważniejsze, żeby wyszło na jego.

— Jestem chora, jakbyś nie zauważył. — Udawanie zirytowania było wyjątkowo trudne przy komicznych wysiłkach Chase'a, by zachować twarz. — Przeziębiam się...

— Bo jesteś idiotką, która spędziła pół godziny na balkonie bez kurtki, chociaż mamy grudzień — dokończył za nią.

— Rozmawiając z burakiem bez manier, który nawet nie zaproponował mi swojej marynarki — odgryzła się w tym samym tonie.

— Za kogo ty mnie masz? Księcia na białym koniu? Tam było w cholerę zimno.

Mogliby tak przekomarzać się jeszcze długo i oboje świetnie by się przy tym bawili. William najwyraźniej też to wyczuł, bo odkaszlnął głośno ze swojego miejsca, zwracając na siebie uwagę obydwójka.

— Więc... — Konsternacja na jego twarzy mieszała się z zabawieniem.

— To jest Chase. — Josie niedbale machnęła ręką w stronę bruneta.

— Tyle już wiem. — Zmroził siostrę spojrzeniem. Albo przynajmniej próbował, bo efekt psuł uśmiech czający się w kącikach jego ust. — Ale coś mi mówi, że *po prostu* Chase jest o wiele ciekawszy, niż wynikało z twojego opisu.

— Obgadywałaś mnie? — zapytał Chase, wnioskując ze słów Williama, że musieli wcześniej o nim rozmawiać.

— Same złe rzeczy, nie martw się — zapewniła z wrednym uśmiechem.

— Kamień z serca. — Teatralnym ruchem otarł nieistniejący pot z czoła. — Już myślałem, że będę musiał udawać porządnego człowieka.

Na szczęście zaoszczędziłaś swojemu bratu rozczarowania, kiedy powiem, że zamierzam wyciągnąć cię z domu. — Przelotnie spojrział na Williama, który jednak nie wyglądał, jakby miał zamiar się wtrącić, i z nieodgadniętą miną obserwował ich interakcję.

— Nie ma mowy, jestem chora — postanowiła twardo, bardziej żeby dla zasady się z nim nie zgodzić, niż faktycznie z powodu samopoczucia.

— Jakoś czujesz się na tyle dobrze, żeby się ze mną sprzeczać, więc równie dobrze możesz to robić w antykwariacie.

— Wybij to sobie z głowy, Sanderson. Nigdzie się stąd nie ruszam.

Chase nie zamierzał się jednak poddawać. Ten upór był tak znajomy, że nie mógł się powstrzymać przed naciskaniem jeszcze bardziej.

— Daj spokój, pewnie nie masz nawet gorączki. — Nachylił się, udając, że chce dotknąć jej czoła, ale Josie w porę pacnęła go w rękę.

— Zabieraj łapy. — Josie z każdą chwilą coraz bardziej przegrywała walkę z rozbawieniem. Te przekomarzania i niegroźnie dogryzanie sobie były do nich tak podobne, że nikt patrzący z boku nie uwierzyłby, że jeszcze niedawno skakali sobie do gardeł przy prawie każdym spotkaniu.

Nie było też możliwe domyślenie się, że kiedyś byli parą. Ta swoboda między nimi była charakterystyczna dla dwojga ludzi, którzy zwyczajnie przyjaźnili się całe życie.

— Nie przyjmuję odmowy. Czekałem dzisiaj na ciebie i bardzo zraniło mnie to, że się nie pojawiłaś. Więc teraz musisz mi to wynagrodzić. — Starł się utrzymać powagę, chociaż wzrok dziewczyny jasno mówił mu, że robi z siebie idiotę.

— Zaczynam nabierać podejrzeń, że spędzasz za dużo czasu z Archerem. Jego błazeństwo ma na ciebie zły wpływ — oceniła Josie, kręcąc głową. Spojrzała na swojego brata, licząc na wsparcie.

— Nie patrz tak na mnie, ja się nie wtrącam. — William uniósł ręce w obronnym geście. — Ale wcześniej sama twierdziłaś, że nic ci nie jest, jak Crystal namawiała cię na wizytę u lekarza.

Była to zupełnie nieistotna informacja, którą mógł zachować dla siebie, i Josephine doskonale zdawała sobie sprawę, że powiedział to tylko i wyłącznie w ramach wsparcia dla Chase'a.

— Słyszałeś kiedyś, że jesteś najbardziej upierdliwym wrzodem na psim tyłku? — zapytała zrezygnowana, zwracając się do chłopaka.

— Obiło mi się o uszy raz czy dwa. — Chase parsknął śmiechem, bo oczywiście wielokrotnie słyszał te słowa od brunetki we własnej osobie. — Dalej, dalej. Ruszaj się, bo zamknąłem dla ciebie antykwariat, a nie chciałaś chyba, żeby biznes pana Barnetta przez ciebie ucierpiał. Musimy jeszcze wstąpić po coś do jedzenia. Wisisz mi pizzę za włożony trud.

— Muszę wziąć prysznic — rzuciła, podnosząc się z kanapy, jakby liczyła, że to cokolwiek zmieni i Chase jakimś cudem uzna, że jednak nie będzie czekał, aż dziewczyna doprowadzi się do porządku.

— Koniecznie. Wyglądasz jak jedno wielkie nieszczęście. — Uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi na środkowy palec, który wystawiła w jego stronę.

— Nic się nie martw, siostrzyczko. Z przyjemnością dotrzymam Chase'owi towarzystwa. — William był pod wrażeniem tego, co właśnie widział. Wcześniej był przekonany, że nie ma takiej mocy, która byłaby w stanie przekonać jego siostrę do zmiany zdania, a tymczasem Chase zdawał się mieć nieprawdopodobną łatwość w łamaniu jej uporu. — Mam przecucie, że się polubimy.

Rozdział 20

— I tak po prostu z nim wyszła. Rozumiesz?

Josephine rozumiała aż za dobrze. Właściwie ciężko byłoby *nie* zrozumieć, bo praktycznie od momentu, gdy pojawiła się w mieszkaniu, Archer mówił tylko o jednym.

Chłopak sam zadzwonił i zaprosił ją do siebie pod pretekstem spędzenia czasu z nim i jego synkiem, a Josie zgodziła się z chęcią, nieświadoma tego, w co się pakuje. Bardzo szybko zrozumiała, dlaczego jej przyjaciel potrzebował towarzystwa, i nie było to odkrycie, na które była gotowa.

Archer Coleman po raz pierwszy w swoim dwudziestoczteroletnim życiu był zazdrosny o kobietę.

Wyciągnięcie tej informacji z szatyna było dziecinnie proste, bo chłopak aż palił się, by podzielić się z kimś swoim oburzeniem faktem, że Camille zostawiła mu syna pod opieką, bo wyszła na randkę.

Oczywiście sugestia, że powodem, dla którego tak bardzo to przeżywa, jest zazdrość, spotkała się z zaciekłym zaprzeczeniem. Ale to jedynie utwierdziło Josie w jej przekonaniu.

Gwałtowna reakcja Archera była jednak dla niej nauczką, że najlepiej będzie, jeśli pozwoli przyjacielowi pogodzić się ze swoimi uczuciami w jego własnym tempie. Od tamtego momentu jedynie przytakiwała wszystkiemu, co mówił, zajmując się w tym czasie Alfiem.

W końcu kolejny wywód na ten sam temat przerwał dźwięk dzwonka do drzwi

— Otworzę. Może randka okazała się katastrofą i Cami postanowiła wrócić wcześniej. — Szybciej niż było to konieczne, udał się do drzwi, zostawiając Josie z chłopcem na kolanach.

Dziewczyna nie wyprowadziła go z błędu, chociaż wiedziała, że chłopaka spotka mały zawód, gdy otworzy drzwi. Po godzinie wysłuchiwania narzekań przyjaciela doszła do wniosku, że potrzebuje pomocy. Dlatego napisała do Chase'a i jak sądziła, to właśnie on stał pod drzwiami.

Nie pomyliła się — chwilę później obaj pojawili się w salonie.

— To tylko Chase — oznajmił Archer z widocznym rozczarowaniem i wyszedł do kuchni.

Jedną z głównych cech Archera była jego transparentność. Wszystkie dręczące go emocje, zarówno pozytywne, jak i negatywne, nosił na zewnątrz i odważnie pokazywał światu, zamiast dusić je w sobie. Ta szczerość dla jednych była wadą, a dla innych zaletą, ale przynajmniej nikt nie mógł mu zarzucić, że nie jest autentyczny. Josephine, która znaczną część życia spędziła na udawaniu kogoś, kim nie była, od zawsze właśnie tę cechę najbardziej w nim podziwiała.

— Archer junior. — Chase usiadł obok Josie i delikatnie złapał za rączkę chłopca, witając się z nim. — Więc co mu jest? — zapytał konspiracyjnym szeptem, korzystając z chwilowej nieobecności przyjaciela.

— Cami poszła na randkę i jest zazdrosny — wyjaśniła podobnym tonem, nachylając się do chłopaka.

— Nie jestem zazdrosny. — Archer wrócił do pomieszczenia i zmierzył dziewczynę nieprzychylnym spojrzeniem. — Po prostu się o nią martwię. Kto umawia się na randki z ludźmi poznanymi w internecie?

— Jakaś połowa populacji naszego kraju? — Chase strzelił w ciemno, patrząc na przyjaciela, jakby ten postradał zmysły.

— A co, jeśli koleś jest niebezpieczny? Kazałem jej wziąć gaz pieprzowy, ale stwierdziła, że jestem niepoważny.

— Może dlatego, że zamierzali spotkać się w restauracji, gdzie wokół będzie mnóstwo ludzi, więc raczej nie ma powodów do zmartwień? — Tym razem Josie postanowiła wtrącić się z sugestią, licząc, że może we dwoje uda im się uspokoić Archera.

— Myślicie, że powiedziała mu, że ma dziecko? — Ze sposobu, w jaki chłopak przemierzał swoje mieszkanie, bezcelowo przekładając rzeczy z miejsca na miejsce, można było wywnioskować, że wysiłki Chase i Josie były raczej nieskuteczne. — Będzie dobrym ojczymem dla Alfiego?

— To, że ktoś poszedł na jedno spotkanie, nie znaczy jeszcze, że zamierza od razu brać ślub. — Chase podjął kolejną próbę. — Akurat ty, Coleman, powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

— Ale dlaczego musiała wyjść akurat dzisiaj? Jak dotąd każdy wolny piątek spędzała ze mną. — Archer w końcu spojrzał na chłopca, który powoli zaczynał marudzić ze zmęczenia, i zabrał go od Josie. — Chodź do taty, kolego. Czas spać. Ciebie też mama zostawiła, prawda? — mówił do dziecka zmienionym głosem, z wprawą kołysząc go uspokajająco w swoich ramionach.

— On naprawdę jest zazdrosny — stwierdził Chase, gdy tylko Archer zniknął za drzwiami sypialni. — Myślisz, że boi się o to, że ktoś może zając jego miejsce w życiu Alfiego?

Pomimo że ojcostwo spadło na chłopaka niespodziewanie, nikt, kto spędziłby chociaż godzinę, obserwując go z synem, nie miałby wątpliwości, że Archer darzy Alfiego wielką miłością. Dlatego w opinii Chase'a właśnie to wytłumaczenie wydawało się najbardziej logiczne.

— Albo... zwyczajnie się zakochał. — Josie już od pierwszego spotkania z Cami odnosiła wrażenie, że relacja dwójki młodych rodziców nie jest dokładnie taka, jak twierdził szatyn, a ten wieczór jedynie ją w tym przekonaniu utwierdzał.

— Żartujesz? — Spojrzał na nią z powątpiewającym uśmiechem. Archer był prawdopodobnie ostatnią osobą, którą podejrzewałby o zakochanie.

Chociaż z drugiej strony siebie też nigdy o to nie podejrzewał, dopóki nie było za późno. Dlatego zaczął się zastanawiać, kiedy ostatni raz słyszał jakąś historię o podbojach przyjaciela, czy to od Archera we własnej osobie, czy z ust Valerie lub Ethana. I doszedł do szokującego wniosku.

Od miesięcy jedynymi kobietami, o jakich Chase słyszał w odniesieniu do przyjaciela, były Valerie i Josie, albo właśnie Cami. Jasne, samo to jeszcze nie było niezbitym dowodem, ale już w połączeniu z jawnym aktem zazdrości sprawa zaczynała przyjmować wyraźniejsze kształty.

— On się naprawdę zakochał — stwierdził w końcu z niedowierzającym uśmiechem, a jego zaskoczenie bardzo przypominało to, gdy dowiedział się, że zostanie wujkiem. — I co teraz? Powinniśmy coś zrobić?

Najlepiej ze wszystkich ludzi wiedzieli, jak wiele czasu można zmarnować na wypieranie własnych uczuć. A dodatkowo mieli przeczucie, że Archer może być nawet trudniejszym przypadkiem, niż oni byli.

Swojego czasu to właśnie on odegrał dużą rolę w powstaniu ich związku i teraz czuli się zobowiązani, by się odwdziaczyć.

Z braku lepszego pomysłu postanowili ściągnąć do mieszkania także Ethana i Valerie. Nie wiedzieli, czy ich obecność cokolwiek zmieni, ale wspólnie uznali, że to jest przełomowy moment w historii ludzkości i para powinna być jego świadkiem.

Dlatego gdy Archer w końcu opuścił sypialnię, cicho zamknął za sobą drzwi, by nie obudzić chłopca, i wrócił do salonu, ze zdziwieniem zauważył, że liczba gości podwoiła się pod jego nieobecność.

— Jasne, czujcie się jak u siebie — powitał ich z lekką ironią i zajął wolne miejsce na fotelu. — Co was do mnie sprowadza?

— Ano wiesz, akurat przechodziliśmy i postanowiliśmy wpaść przy okazji — wyjaśnił Ethan, wruszając ramionami. Nie chciał zdradzać, że przyszli w odpowiedzi na alarm, który wszczęli Josie z Chase'em, i uznał, że najlepiej będzie stopniowo wybadać, czy podejrzania tych dwojga są słuszne.

Miał jednak pecha, bo jego żona nie podzielała jego cierpliwości.

— Właśnie. Wracaliśmy z randki i tak jakoś wyszło.

— Bardzo subtelne — skomentował Chase, próbując zamaskować swoją uwagę kaszlnięciem.

Josie odwróciła głowę, by stłumić śmiech spowodowany prowokacją Valerie, więc Chase szturchnął ją delikatnie, nawołując do zachowania powagi, chociaż sam z trudem krył rozbawienie. Nikt nie powiedział tego głośno, ale to niegroźne spiskowanie sprawiało, że czuli się, jakby znów byli beztroskimi nastolatkami.

— Dlaczego wszyscy dzisiaj wychodzą na randki? Walentynki są za dwa miesiące. — Archer pozostawał błogo nieświadomy działań przyjaciół. — To już jakaś plaga.

— Wszyscy to znaczy kto konkretnie? — Valerie uśmiechnęła się niewinnie, ignorując irytację Archera.

— Cami! — odpowiedział z oburzeniem i podjął się opowiadania całej historii od początku po raz kolejny tego wieczoru.

W miarę jak Archer opowiadał, Chase czuł się coraz bardziej zmęczony słuchaniem tej samej opowieści, której wnioski były boleśnie oczywiste. W którymś momencie z ciężkim westchnieniem odchylił głowę na oparcie kanapy.

Dzięki temu znalazł się wystarczająco blisko Josie, by odezwać się do niej szeptem:

— Kiedy znów zamierzasz przyjść do antykwiariatu?

Włącznie z pierwszym razem, gdy Chase przyszedł po nią do domu, pomagała mu przez dwa dni. Wspólnie dochodzili do ładu z bałaganem, który nagromadził się przez miesiące, gdy zdrowie pana Barnetta pogorszyło się na tyle, że nie radził sobie już tak dobrze z prowadzeniem sklepu. Wykorzystywali ten czas na stopniowe nadrabianie zaległości i wymienianie się historiami z lat, które spędzili osobno.

Potem jednak Josephine została brutalnie uświadomiona przez swoją matkę, że wolny czas powinna poświęcać na planowanie ślubu, i resztę tygodnia spędziła, przeglądając kolejny zestaw katalogów i próbując wybrać najpiękniejszy spośród dziesiątek wzorów zaproszeń.

— A co? Stęskniłeś się? — Josie próbowała zignorować bliskość chłopaka, która choć niespodziewana, nie wydawała jej się dziwna. Sposób, w jaki jego włosy łaskotały ją w szyję, wydawał się wręcz naturalny, jakby codziennie spędzali popołudnia, siedząc razem na kanapie przyjaciela i prowadząc dyskretne rozmowy.

— No pewnie — zgodził się cicho. — Kto by nie tęsknił za pracownikiem, który wykonuje połowę twojej pracy, i to jeszcze za darmo.

— Nigdy nie powiedziałam, że pomagam ci za darmo. Może zwyczajnie jeszcze nie ustaliłam ceny za swoją pomoc.

— Wiesz, Archer... — Ethan zaczął ostrożnie, gdy Archer w końcu skończył swoją historię. — Przeszło ci przez myśl, że może po prostu zależy ci na Cami i jesteś trochę zazdrosny?

— Nie jestem! — Archer podniósł głos, jednak zaraz zreflektował się, że może obudzić Alfiego, i dodał już ciszej: — Niby dlaczego miałbym być zazdrosny?

Przez chwilę zapanowała cisza, bo nikt nie chciał być tym, który zasugeruje Archerowi odpowiedź. Chase, który nadal wpołyżał w tej samej pozycji, wywrócił oczami, uśmiechając się z ironią.

— Zastanawia mnie, czy my też byliśmy tak boleśnie ślepi — rzucił do Josie, nieświadomie robiąc to wystarczająco głośno, by słyszeli go wszyscy.

— Byliście gorsi — odpowiedzieli chórem Valerie i Ethan.

— Nieprawda! — zaprotestowała Josephine z oburzeniem. Gdzieś z tyłu głowy miała świadomość, jak niedorzeczna jest swoboda, z jaką wszyscy rozmawiają na temat ich byłego związku, jednak chwilowo postanowiła się tym nie przejmować.

— Proszę cię. — Archer spojrzał na nią pobłaźliwie. — Gdybym dostawał pieniądze za każde *jesteśmy tylko przyjaciółmi*, dzisiaj byłoby mnie stać na prywatną wyspę i samolot, żeby na nią polecieć.

— Bo byliśmy tylko przyjaciółmi. Przynajmniej przez większość czasu — próbowała się bronić, ale w miarę jak mówiła, zdawała sobie sprawę ze słabości swoich argumentów.

— A przez pozostałą część robiliście do siebie maślane oczka i badaliście sobie migdałki, gdy nikt nie patrzył. — Valerie nie mogła się powstrzymać przed dorzuceniem czegoś od siebie do rozmowy, która nawet bez tego zmierzała w złym kierunku.

— Wiesz, Josie... oni mogą mieć trochę racji. — Chase uśmiechnął się niewinnie, gdy dziewczyna posłała mu mordercze spojrzenie.

— Po czyjej ty jesteś stronie, Brutusie? — Kto jak kto, ale akurat on powinien ją wspierać, a tymczasem bawił się świetnie, zupełnie nie zważając na niezręczność poruszanego tematu.

— No i był jeszcze epizod Archer, *dlaczego nie mogłam zakochać się w tobie?* — Coleman nieumiejętnie naśladował jej głos, przywołując niezbyt miły moment z przeszłości, kiedy Josie faktycznie powiedziała coś podobnego.

— Naprawdę tak powiedziałaś? — Chase parsknął szczerym i głośnym śmiechem. Dźwięk ten w ostatnich latach był na tyle rzadki, że głowy trojga przyjaciół mechanicznie zwróciły się w kierunku chłopaka.

Josie tymczasem unikała jego wzroku, rozdarta pomiędzy rzucając się na przyjaciela a zapadnięciem się pod ziemię.

— Raz — przyznała w końcu, patrząc wściekle na Archera. — Powiedziałam tak raz, w dodatku nie byłam wtedy do końca poczytalna, ale oczywiście ze wszystkich możliwych rzeczy mój były przyjaciel musi pamiętać akurat to.

— Wybacz, kruszynko, ale takich rzeczy po prostu nie da się zapomnieć. — Archer usilnie próbował pohamować napad śmiechu. — Na nagrobku sobie to każę wykuć.

Chłopak wyraźnie odzyskiwał dobry humor, bawiąc się świetnie kosztem swojej przyjaciółki, a Ethan i Valerie wręcz pokładali się ze śmiechu, jednocześnie próbując uciszyć się wzajemnie, by nie obudzić Alfiego.

— Jak się nie zamkniesz, to nagrobek przyda ci się szybciej, niż myślisz — zagroziła Josie, gniewnie mrużąc oczy. — W ogóle jakim cudem ta rozmowa zesłała na nas? Mieliśmy rozmawiać o tym, że jesteś zakochany w Camille. — Z satysfakcją posłała mu przesłodzony uśmiech, gdy w końcu rozbawienie zniknęło z jego twarzy.

— Porozmawiajmy lepiej o tym, jakim cudem absolwentka wielkiego, wspaniałego Harvardu nie opanowała umiejętności słuchania ze zrozumieniem. Ja i Cami jesteśmy tylko przyjaciółmi.

W tym samym momencie, w którym to oznajmił, ich sprzeczkę przerwało pukanie do drzwi. Archer, kompletnie zapominając o swoich wcześniejszych słowach, zerwał się jak poparzony i popędził w tamtym kierunku, by chwilę później wrócić w towarzystwie swojej przyjaciółki.

— Cześć wszystkim.

— Siadaj. Napijesz się czegoś? — Zaprosił dziewczynę, by dołączyła do pozostałych. Jednocześnie rzucił mordercze spojrzenie Ethanowi, który bąknął pod nosem, że jakoś dla pozostałych nie był taki gościnny.

— Nie, dzięki. Już późno, powinnam zabrać małego i wracać do domu.
— Odmówiła grzecznie, ale mimo to podeszła do kanapy i przysiadła na oparciu, tłumiąc ziewnięcie. — Przepraszam, padam z nóg.

— Archer wspominał, że miałaś randkę — zagadnęła Josie ze szczerym zaciekawieniem, chociaż po części chciała też podręczyć przyjaciela.
— Opowiadaj, jak było.

— Cudownie. Facet jak marzenie. Zabawny, przystojny, dobrze wychowany i nie odstraszyło go nawet to, że mam dziecko. — Cami od razu się ożywiła, z rozmarzeniem opisując poznanego mężczyznę, a jej wzrok wędrował między Josie a Valerie, które słuchały z uwagą.

Chase i Ethan w tym czasie bardziej interesowali się reakcją swojego przyjaciela na relację dziewczyny.

— Najpierw zabrał mnie do wystawnej restauracji w centrum, ale oboje uznaliśmy, że nie pasują nam takie sztywne klimaty, więc poszliśmy do jego ulubionego pubu. Na koniec zabrał mnie na spacer po parku i było tak romantycznie. Jesteśmy już umówieni na kolejną randkę — pochwaliła się, a oczy błyszczały jej z przejęcia.

Niestety stojący obok niej Archer nie podzielał tego entuzjazmu.

I można to uznać za męską solidarność, bo pasjonującą opowieść Camille przerwał płacz Alfiego dochodzący z sypialni. Dziewczyna od razu ruszyła w tamtym kierunku, a Archer podążył za nią.

Pozostała czwórka patrzyła na siebie, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy.

— Nie wiem jak wy, ale ja wyczuwam powtórkę z rozrywki pod tytułem *jesteśmy tylko przyjaciółmi*. — Ethan w końcu zdecydował się podsumować wszystko, co do tej pory widzieli.

Chase uśmiechnął się przebiegle. Nikt lepiej niż on nie wiedział, że tylko kwestią czasu jest moment, w którym Archer uświadomi sobie to, co dla nich już teraz było oczywiste.

— Robimy zakłady?

Święta w tym roku zapowiadały się dla Josephine jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Gdyby to od niej zależało, już dawno temu wykreśliłaby ten czas z kalendarza, jednak mało kto podzielał jej niechęć.

A już na pewno nie robiły tego Crystal i Nicole, dlatego głównie za ich sprawą w domu od dwóch tygodni nieustannie leciały świąteczne piosenki, a dekoracje pojawiały się w kolejnych częściach domu. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem jedynie pokój Josephine był wolny od „czerwonej zarazy”, jak nazywała świąteczne ozdoby, kiedy Nicole była poza zasięgiem słuchu.

Pięciolatka jak wszystkie dzieci uwielbiała święta i kiedy raz usłyszała ciocię narzekającą na nie podczas rozmowy telefonicznej z Chase'em, nie odzywała się do dziewczyny przez resztę dnia.

Chase z kolei stał się ostatnio jej największym wsparciem — z racji tego, że był jedyną znaną jej osobą, która podzielała jej stosunek do Bożego Narodzenia. Jeśli potrzebowałaby dowodu, że ich przyjaźń była dobrym pomysłem, to właśnie to nim było.

— Wyglądasz jak wkurzony Rudolf — rzucił jej William na powitanie, gdy pojawił się w salonie, w którym przebywały we trzy.

Crystal i Nicole przystrajały choinkę, a Josephine dotrzymywała im towarzystwa, dzielnie nosząc opaskę z rogami renifera, którą bratanica jej założyła, tłumacząc, że to ich rodzinny zwyczaj. Mając w pamięci historię, w jaką dziewczynka potrafiła wpaść, gdy Josie odmawiała brania udziału w świątecznych tradycjach, postanowiła przemęczyć się dla dobrej sprawy.

Josephine zignorowała zaczepkę brata, ale ze swojego miejsca na kanapie podążyła za nim wzrokiem. Z mieszanką różnych emocji obserwowała, jak wita się z żoną i córką, po czym ochoczo bierze do pomocy przy dekorowaniu świątecznego drzewka.

Nicole obowiązkowo założyła mu podobną opaskę z rogami i teraz cała trójka je nosiła, co w połączeniu z dopasowanymi świątecznymi sweterkami noszonymi przez matkę i córkę dawało scenę wyciągniętą z bożonarodzeniowej pocztówki.

Dla Josie, która przez dwadzieścia cztery lata życia nigdy nie miała takich świąt, był to obrazek w równej mierze rozczulający, co zasmucający. Zastanawiała się, czy kochałaby święta, gdyby jako dziecko spędzała je otoczona miłością tak, jak miała szczęście spędzać je Nicole.

Świąteczna atmosfera musiała grać na jej emocjach, bo nie mogła nie zastanawiać się, czy gdyby lata temu jej wybory były inne, teraz sama przygotowywałaby się do świąt z własną rodziną.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk przychodzącej wiadomości. Odblokowała telefon i uśmiechnęła się pod nosem, widząc imię nadawcy.

Chase: Przysięgam, że jeśli jeszcze raz usłyszysz *Last Christmas* w radiu, powieszę się na łańcuchu choinkowym.

Parsknęła cichym śmiechem, czytając wiadomość, i natychmiast wystukała odpowiedź:

Josie: A próbowałeś może wyłączyć radio? Będzie prościej.

— Josie?

Gwałtownie podniosła wzrok znad ekranu telefonu i spojrzała na Crystal, która patrzyła na nią wyczekująco.

— Pytałam, czy jesteś pewna, że nie chcesz jechać z nami. — Bratowa powtórzyła pytanie, widząc, że za pierwszym razem dziewczyna zupełnie nie zwróciła na nie uwagi. — Moi rodzice naprawdę nie będą mieli nic przeciwko.

— Jestem pewna, ale dziękuję — zapewniła z uspokajającym uśmiechem, tłumacząc sobie, że nie może się denerwować na żonę Williama, bo chciała dobrze.

Odkąd dowiedziała się, że Josephine nie ma z kim spędzić Bożego Narodzenia, wierciła jej dziurę w brzuchu, żeby dołączyła do nich u jej rodziców. I nie liczył się argument, że dla Josie święta nie miały żadnego znaczenia.

— Tylko żebyś wiedziała, że wciąż możesz zmienić zdanie — dodał William, jednocześnie rozumiejąc powody stojące za decyzją siostry i czując wyrzuty sumienia, że zostawia ją samą.

Carter i jego rodzina nie obchodzili żadnych świąt, traktując je jako stratę czasu. Dlatego Josie nie była szczególnie zaskoczona, gdy dowiedziała się, że jej narzeczony planuje spędzić ten dzień w Japonii na spotkaniach biznesowych. Zamierzał zdobyć przewagę nad konkurentami, którzy w przeciwieństwie do niego mieli serce i *marnowali* ten czas z rodzinami.

Wyjazd Cartera sprawił, że groził jej tradycyjny zjazd rodzinny w Szkocji, ale cudem udało jej się tego uniknąć. Gdy tylko matka dowiedziała się, że narzeczony Josephine i tak by z nią nie przyjechał, przestała nalegać na obecność córki.

— Świeta naprawdę mogą być przyjemne, jeśli spędza się je w gronie osób, które cię kochają — powiedział jej jeszcze, zanim zmienił temat.

Być może miał rację i chociaż nie sądziła, by było dane jej się kiedyś o tym przekonać, nie czuła, że traci przez to coś ważnego. Nie zamierzała się też nad sobą użalać, nawet jeśli wszyscy inni postrzegali sposób, w jaki spędzi święta, w kategoriach życiowej katastrofy.

Samotność w święta nie mogła być przecież o wiele gorsza od samotności w jakikolwiek inny dzień w roku, a do niej była już przyzwyczajona.

Rozdział 21

— Będą się zastanawiać, dlaczego przyjechaliśmy razem — ostrzegła Josie bez żadnego konkretnego powodu.

Archer był ostatnio zbyt zajęty własnymi rozterkami, by zauważyć zmianę w stosunkach pomiędzy nią a Chase'em, ale podejrzewała, że to nie potrwa zbyt długo. Jeszcze nie zapomniała, że jej przyjaciel miał tendencję do wykazywania większego zainteresowania jej życiem niż własnym.

— Ponieważ mieszkamy w jednym mieście, jechaliśmy w to samo miejsce i podwiezienie cię było lepsze dla środowiska. Inaczej zadzwoniłabyś po swojego prywatnego kierowcę, żeby cię zawiózł, prawda? — Chłopak bez wahania zaproponował krótką listę powodów, wychylając się, by nacisnąć dzwonek do mieszkania Archera.

— Wszystkie kobiety w Moreton podwozisz z troski o klimat? — Josie spojrzała na niego z uniesioną brwią i uśmiechem wkradającym się na usta.

— Tylko te najładniejsze. — Flirciarsko puścił jej oczko, wywołując śmiech dziewczyny.

— Boże, Sanderson. — Wciąż rozbawiona pokręciła głową z pobłażaniem. — Dobrze wiedzieć, że twoje teksty na podryw są wciąż tak samo beznadziejne jak sześć lat temu.

— Ciebie jakoś udało mi się poderwać — wytknął jej. — Więc może jednak nie są aż takie tragiczne, jak mówisz.

— Odważnie z twojej strony zakładać, że to ty poderwałeś mnie, a nie na odwrót.

Chase nie zdążył jej odpowiedzieć, bo Archer otworzył im drzwi. Przeskoczył spojrzeniem z uśmiechniętej Josie na sztucznie naburmuszonego Chase'a i z powrotem, a obie jego brwi uniosły się z zaskoczenia, znikając pod czapką mikołaja, którą nosił na głowie.

— Przyjechaliście razem?

— O, no wiesz, w trosce o środowisko — odparł Chase z zabójczą powagą.

— Nawet nie wiem, czy chcę wiedzieć — stwierdził gospodarz, przepuszczając ich w drzwiach. Jednak gdy tylko Chase zniknął w salonie, zwrócił się do Josie z przejęciem: — Kłamałem. Oczywiście, że chcę wiedzieć. — Starał się mówić szeptem, chociaż przychodziło mu to z trudem. — Pogodziliście się?

— Staramy się... — zaczęła wymijająco, ale przyjaciel przerwał jej niemal natychmiast.

— *Starać* to się można co najwyżej o dziecko, a kamień wielkości strusiego jajka na twoim palcu raczej eliminuje prawdopodobieństwo pojawienia się małych Sandersonów, więc tłumacz się, kruszynko. Jakim cudem nagle z zachowywania się, jakby oddychanie tym samym powietrzem było dla was wyczynem, przeszliście do *tego* — wyrzucił z siebie na jednym oddechu. — I dlaczego ja nic o tym nie wiem?!

— Bo poprzednim razem byłeś zbyt zajęty swoją zazdrością, żeby zauważyć, że zaczęliśmy się dogadywać — odpowiedziała z sadyistycznym uśmiechem, nieszczerólnie skora do streszczania całej historii, która doprowadziła do tej sytuacji, gdy w pokoju obok czekali na nich przyjaciele.

— Archer był zazdrosny? O kogo? — zagadnęła Cami, zaglądając do nich z salonu.

— O to, że Josie poprosiła mnie, a nie jego, o radę w sprawie wyboru miejsca na wesele. — Valerie, która najwyraźniej podsłuchiwała całą rozmowę z kuchni, wymyśliła na poczekaniu, wychodząc z pomieszczenia z talerzem jedzenia w dłoni.

To nie było do końca kłamstwo, bo Josie faktycznie wysłała przyjaciółce propozycje sal weselnych, nad którymi się zastanawiała, no i stanowiło idealne wytłumaczenie. Dodatkowy plus był taki, że dogryzła w ten sposób Archerowi.

— Super, masz jakieś zdjęcia? — zwróciła się Cami do brunetki.
— Nie żebym planowała ślub w najbliższym stuleciu, ale chętnie zobaczę.

— Pokażę ci po kolacji.

— Wybrałaś miejsce na wesele beze mnie? — Archer spojrział na nią z wyrzutem, gdy tylko znowu zostali sami. — Gdybym kupił ci prezent, wyrzuciłbym go teraz przez okno.

Obrażony chłopak zniknął w kuchni, więc Josie przeszła do salonu, gdzie przywitała się z Ethanem i siedzącym na jego kolanach Alfiem.

— Pasuje ci — skomentowała żartobliwie. Nietrudno było zauważyć, że nie licząc rodziców, to Ethan najchętniej z ich paczki zajmował się chłopcem za każdym razem, gdy się spotykali.

— Powiedz to jeszcze raz, tak żeby moja żona usłyszała — wyszczerzył się.

— Nie rób tego — ostrzegł natychmiast Chase ze swojego miejsca. — Upadek z czwartego piętra będzie bolał. Uwierz, nie chcesz tego robić.

— Najpierw kariera, potem rodzina — wyjaśnił Ethan, ale w jego słowach nie było śladu negatywnych emocji.

Widać było, że szanuje wybór Valerie, nawet jeśli sam ma inną opinię. Josie nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Przyjaciele byli dla niej przykładem idealnego małżeństwa i dobrze wiedziała, że Ethan jest największym wsparciem żony i na odwrót.

— Ja już teraz zaklepuję sobie wasze pierwsze dziecko jako moje ulubione. — Nie było tajemnicą, że Josie uwielbia dzieci. Choć nie potrafiła sobie wyobrazić siebie w roli matki, zamierzała przelać całą tę miłość na dzieci swoich przyjaciół i bratanicę.

— Przepraszam bardzo, a co jest nie tak z moim dzieckiem, że nie zasłużyło na miano ulubieńca? — zapytała Camille z żartobliwym oburzeniem, stawiając na stole kolejne danie.

— Połowa genów jest Archera — wyjaśnił Chase tonem, jakby to było oczywiste. — Alfie ma o pięćdziesiąt procent mniejsze szanse, żeby wyjść na ludzi, niż dziecko Val i Ethana.

— Sanderson, nie chcesz, żebym ci zaczął wymieniać, co będzie nie tak z twoim dzieckiem, jeśli kiedykolwiek pokarzesz naszą planetę

potomstwem. — Młody tata zmrużył gniewnie oczy, biorąc na ręce Alfiego, jakby chciał go obronić przed docinkami Chase’a.

— Potwierdzam. — Camille w ramach rodzicielskiej solidarności uniosła rękę na znak zgody z Archerem.

— Chciałbym zauważyć, że to nasza najdziwniejsza kolacja świąteczna, a robimy ją siódmy raz. — Ethan popatrzył po swoich przyjaciółach.

Po wyjeździe Josie pozostała czwórka kontynuowała tradycję wymyśloną w ostatniej klasie liceum. Zrezygnowali jedynie z wręczania sobie prezentów, bo studenckie kieszenie nie dawały im szansy, by się odpowiednio wykazać.

— I najbardziej irytująca — potwierdził Chase. — A jeszcze nawet nie zaczęliśmy jeść.

— Mówisz tak tylko dlatego, że to pierwsza od sześciu lat, na której jesteś trzeźwy — zasugerowała Valerie z uśmiechem. — Co daje drugą w całej historii naszych wspólnych świąt.

— Pierwszą. — Josephine postanowiła wyprowadzić przyjaciółkę z błędu. — Na tej w liceum ukradł coś z naszych wspólnych zapasów nagromadzonych w domku, schował to na zewnątrz i popijał za każdym razem, jak mówił, że idzie zapalić.

— Zdrajczyni — prychnął urażony. — Przypomnij mi: dlaczego ja się z tobą przyjaźnię?

— Bo ze mną masz o pięćdziesiąt procent większe szanse, żeby wyjść na ludzi. — Okrasila swoją odpowiedź przesłodzonym uśmiechem.

— Pięćdziesiąt procent z zera to nadal zero. — Łatwość, z jaką Camille dołączała do podobnych przekomarzań, sprawiała, że komuś obserwującemu ich z boku trudno byłoby domyślić się, że nie należała do grupy od początku.

Wszyscy poza Chase’em zareagowali głośnym wybuchem śmiechu. Jedzenie czekało na nich na stole, stygnąc, ale żadne z nich nie spieszyło się z opanowaniem rozbawienia.

Josie nadal pokładała się ze śmiechu na kanapie, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą ocierając łzy, gdy Chase odezwał się do niej, wskazując przy tym palcem.

— Wracasz do Moreton pieszko.

— Niby za co? — zapytała, łapiąc oddech. — To Cami to powiedziała, nie ja.

— Za śmianie się ze mnie — zdecydował, nie mając lepszych argumentów.

Ostatecznie udało im się opanować na tyle, by usiąść do na wpół zimnej kolacji. Składała się z mieszanki potraw typowo świątecznych, które przyszykowała Camille, i fast foodów zamówionych przez Archera, który wołał pójść na łatwiznę. Jedzenie miało jednak najmniejsze znaczenie tego wieczoru.

Mimo że domek nad jeziorem w Moreton już od dawna nie istniał, to pomiędzy docinkami, śmiechem i historiami, które nie miały końca, było zupełnie tak, jakby cofnęli się w czasie do tamtych świąt. Jakby wszystko wróciło na swoje miejsce.

— Wyglądasz, jakbyś miała się zaraz popłakać. — Chase cicho zwrócił uwagę Josie, która jednocześnie miała zaszkłone oczy i uśmiech na twarzy.

Po kolacji rozsiedli się na kanapie i fotelach, kontynuując wesołe rozmowy o wszystkim przy kieliszku wina. Dopóki Chase się nie odezwał, Josie nawet nie wiedziała, że przerwał słuchanie Ethana i skupił uwagę na niej.

— Brakowało mi tego — przyznała szczerze równie przyciszonym głosem. — Szkoda, że nie wzięłaś ze sobą aparatu, chciałabym mieć pamiątkę z dzisiaj.

Jego brak zastanawiał ją przez cały wieczór, bo mogłaby się założyć, że to jeden z momentów, które chłopak chciałby uwiecznić, żeby go zapamiętać. Dlatego tym bardziej zdziwiła ją reakcja Chase'a, gdy spał się na jej słowa. Nie spodziewała się też jego następnych słów.

— Nie mam już aparatu — wyjąwił bez spoglądania w jej stronę. — Zniszczyłem go kilka lat temu.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami, jakby wcale nie chodziło o jeden z najdroższych jego sercu przedmiotów.

— Bo nie było już nic wartego zapamiętania.

Tylko tyle. Kilka prostych słów wyjaśnienia powiedzianych obojętnym tonem. Ich przekaz był prosty — bez niej w swoim życiu Chase nie wierzył, że spotkają go jeszcze szczęśliwe chwile.

Przeprosiny wisiały jej na końcu języka, nawet jeśli przepraszanie za coś takiego wydawało się idiotyczne, jeśli nie przeprosiła za całą resztę krzywd, które mu wyrządziła. Ale to było coś innego.

Chase robił zdjęcia jako formę podtrzymywania nadziei, że życie nie składa się jedynie ze złych chwil, nawet gdy nic innego nie dawało mu na to perspektyw. Robił to, jeszcze zanim się poznali, i myślał, że to ona mu to odebrała, budziła wyrzuty sumienia, jakich nie doświadczała nawet w związku ze świadomością, że złamała mu serce.

Już otworzyła usta, by wydusić z siebie przeprosiny, ale Archer odezwał się głośno ze swojego miejsca, odwracając uwagę ich obojga.

— Pozwolę sobie wznieść toast — zaczął uroczyście z szerokim uśmiechem na twarzy. — Za nas i naszą małą tradycję wspólnych świąt, które w tym roku obchodzimy w większym gronie. — To mówiąc, skinął kieliszkiem najpierw w stronę Josephine, a później Camille. — Obyśmy od teraz spędzali je tylko w coraz większym gronie. Nigdy mniejszym.

Wbrew temu, co Josephine tak uparcie powtarzała sobie i wszystkim innym dookoła, samotność w czasie świąt była okropna. Przekonała się o tym już w przeddzień Bożego Narodzenia.

Otoczająca ją pustka prawdopodobnie nie dokuczałaby jej tak bardzo, gdyby nie poprzedni wieczór spędzony w gronie przyjaciół. William i jego rodzina z samego rana wyruszyli w drogę do rodziców Crystal. Dali też wolne pracownikom zazwyczaj krzątającym się po domu chociaż przez kilka godzin w ciągu dnia, więc Josie została zupełnie sama. Towarzyszyły jej jedynie wielka choinka i kompletna cisza, która w porównaniu z chaosem kolacji u Archera była niesamowicie przygnębiająca.

Jednak ponieważ Josie nienawidziła uzalania się nad sobą, zwłaszcza że świadomie wybrała samotny pobyt w domu zamiast wyjazdu z Williamem, usilnie starała się ignorować uczucie melancholii. Zatopiła się w lekturze, na większość dnia zapominając o całym świecie.

Dopiero późnym popołudniem zrobiła sobie pierwszą od kilku godzin przerwę od czytania i zeszła na dół, by zaparzyć herbatę. Przeszła do salonu, który słabo rozświetlał ciepły blask lampek choinkowych, i właśnie wtedy, gdy stała pośrodku pustego pokoju, w pełni uderzyła ją skala jej samotności. Patrzyła na choinkę, która choć piękna, stała samotnie w kącie i nie było nikogo, kto by się nią zachwycał tego wieczoru. Z jakiegoś powodu ten widok wydał się Josie tak przygnębiający, że w jej oczach pojawiły się łzy.

Wzdrygnęła się przestraszona, gdy do rzeczywistości przywrócił ją gwizd czajnika. Odwróciła wzrok od drzewka i pospiesznie wróciła do kuchni. Gdy zalewała herbatę, leżący na blacie telefon rozświetlił się, informując o nowej wiadomości.

W jej oczach błyszczały jeszcze słabe ślady łez, ale uśmiechnęła się, gdy wzięła urządzenie do ręki i odczytała wiadomość.

Chase: Wesołych Świąt, Josie. Życzę ci, żeby w przyszłym roku usunęli Boże Narodzenie z kalendarza.

Wiadomość, oprócz jakże typowych dla chłopaka życzeń, zawierała załączone zdjęcie, na którym widać było nogi przykryte kocem, miskę z popcornem i laptop wyświetlający kadr z ulubionej świątecznej bajki bruneta.

Josephine zastukała paznokciami o kuchenny blat, rozważając pomysł rodzący się w jej głowie. Nie rozmawiali z Chase'em o tym, jakie mają plany na święta, i dziewczyna z góry założyła, że chłopak pojedzie do Birmingham, by spędzić czas z ojcem. Tymczasem okazało się, że nie tylko nie wyjechał, ale także był równie samotny co ona.

Pół minuty później podjęła decyzję i odepchnęła się od blatu, by pospiesznie ruszyć do sypialni.

Chase nie spodziewał się niczych odwiedzin, jednak mniej zdziwiłby się, gdyby w jego drzwiach stanął Święty Mikołaj, niż Josephine z policzkami czerwonymi od zimna i butelką wina w ręce.

— Josie! — Zaśmiał się krótko z własnego zaskoczenia. — Co tu robisz?

Uśmiechnęła się odrobinę niepewnie, wzruszając ramionami.

— Oboje nie lubimy świąt — wytłumaczyła, jakby to w zupełności wyjaśniało, dlaczego zamiast być w gronie rodziny i narzeczonego, stoi pod drzwiami swojej byłej miłości. — Za to oboje lubimy wino i *Grincha*, więc...

— Więc zapraszam — dokończył za nią ze śmiechem, przepuszczając ją w drzwiach. — Rozgość się, a ja pójdę po kieliszki.

Przeszła do salonu, ignorując wspomnienie z ostatniego razu, gdy tu była. Bycie przyjaciółmi wychodziło im na tyle dobrze, że chwilami zapominała, jak ich relacja wyglądała jeszcze miesiąc temu.

— Trzymaj. — Chase dołączył do niej, w jednej dłoni trzymając dwa kieliszki, a w drugiej kraciasty koc, który rzucił jej na kolana.

Josie uśmiechnęła się z wdzięcznością, otulając szczerze. Kilkunastominutowy marsz w mrozie dał jej się we znaki.

— Więc dlaczego nie spędzasz świąt z rodziną albo Carterem? — zapytał w końcu, gdy oboje trzymali naczynia z czerwonym trunkiem.

— A dlaczego ty nie pojechałeś do Birmingham, do ojca? — zapytała tym samym tonem, licząc, że uniknie udzielania odpowiedzi.

— Nie odpowiada się pytaniem na pytanie.

— Carter nie obchodzi świąt, więc dla niego to dzień jak każdy inny. A to z kolei oznacza, że nie ma dla mnie czasu. — Wzruszyła ramionami, skupiając wzrok na bajce, która leciała na laptopie. — Z kolei matka subtelnie dała mi do zrozumienia, że bez Cartera nie powinnam się pojawiać u dziadków, i wyjątkowo musiałam przyznać jej rację. Mogę sobie jedynie wyobrazić nawał pytań o to, gdzie zgubiłam mojego narzeczonego milionera, którym ona tak się wszystkim chwali.

Chase cicho parsknął śmiechem w reakcji na wspomnienie o matce dziewczyny i jej miłości do Cartera. Mógłby powiedzieć Josie o rozmowie,

jaką miał przyjemność przeprowadzić z Lillian, ale nie widział w tym większego sensu.

— William i Crystal proponowali, żebym pojechała z nimi do jej rodziców, ale nie chciałam się wpraszać.

— Więc jestem jedyną osobą dzielącą cię od samotności u progu świąt — zaśmiał się, dostrzegając ironię losu. — Nie do pomyślenia, jak żałośnie nisko upadłaś, Sinclair. Wypiję twoje zdrowie, bo aż mi cię żal. — Pokręcił głową z rozbawieniem i upił łyk wina.

— A co z tobą? — zapytała Josephine, ignorując kpiące komentarze chłopaka. — Mówiłeś, że masz dobre relacje z ojcem, więc dlaczego jesteś tutaj sam?

Tym razem to on wzruszył ramionami.

— James jest w porządku — zaczął, zastanawiając się, jak najlepiej opisać naturę swoich relacji z mężczyzną, który jednocześnie był jego ojcem i był całkiem obcy. — Po przeprowadzce pomógł mi we wszystkim. Dał mi pracę, udostępnił swoje puste mieszkanie i naprawdę się starał naprawić coś, co nie było jego winą. Dużo mu zawdzięczam...

— Ale?

— Ale święta to podobno czas dla rodziny, a my nie jesteśmy rodziną. Nie tak naprawdę — wyjaśnił po prostu. — James przyjął mnie z otwartymi ramionami, gdy tylko zrobiliśmy testy, by potwierdzić, że faktycznie jest moim ojcem, ale świstek papieru nie zmienił tego, że przez dwadzieścia kilka lat nie miał pojęcia o moim istnieniu. Ma żonę i dzieci i chociaż nikt z nich nie był wobec mnie otwarcie nieprzyjazny, to wciąż ta sytuacja jest dziwna dla nas wszystkich. Nie mogą mnie winić, że jestem jego synem, ale ja nie mogę im się dziwić, że woleliby, żebym go nie odnalazł.

Josephine nie wiedziała, co mogłaby na to odpowiedzieć, a Chase nie wyglądał, jakby liczył na reakcję z jej strony. Dlatego jedynie wystawiła dłoń z kieliszkiem, by stuknąć się z jego naczyniem w geście smętnego toastu.

— Twoje zdrowie.

Po seansie *Grincha* i dwóch innych świątecznych bajek, a także po skończeniu butelki wina i otwarciu kolejnej z zapasów chłopaka Chase zarządził przerwę i wyszedł na balkon, by zapalić papierosa. Josephine po kilku minutach postanowiła założyć buty i dołączyła do niego, owinięta w koc.

Balkon był niewielki, więc kiedy stali na nim we dwoje, ich ramiona ocierały się o siebie. Chase poczuł dreszcze rozchodzące się po jego ciele, ale twardo zganiał to na mroźną pogodę, a nie bliskość brunetki.

Moreton o tej porze zawsze było ciche, jednak tej nocy ten spokój przybierał nieco inną formę. W wielu domach wciąż paliły się światła i z balkonu mieszkania chłopaka widać było rodziny za oknami, spędzające wieczór na ostatnich przygotowaniach przed Bożym Narodzeniem. Puste ulice ozdobione były świecącymi dekoracjami i brakowało jedynie śniegu, by dopełnił magiczną scenerię rodem z bajek, które właśnie skończyli oglądać.

— Szukasz Gwiazdy Betlejemskiej? — Uśmiechnął się ironicznie pod nosem, bo Josephine opierała się łokciami o barierkę, głowę zaś pochyliła.

Uznał za dziwne to, że dziewczyna wbija wzrok w ziemię zamiast w rozgwieżdżone niebo. W końcu pamiętał, że dawniej uwielbiała patrzeć w gwiazdy.

— Nawet gdybym chciała, to nie potrafię — odpowiedziała zdawkowo, a w jej głosie czaił się smutek.

— Co masz na myśli? — zgasił niedopałek i przeniósł całą uwagę na dziewczynę.

Świećący wysoko na niebie półksiężyc delikatnie oświetlał jej twarz i Chase miał wrażenie, że cofnęli się w czasie do innej nocy, gdy też siedzieli sami pod gwiazdami.

— Tylko tyle, że nie jestem w stanie spojrzeć w gwiazdy. — Josie wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok na Chase'a. — Za dużo wspomnień i zdecydowanie za dużo bólu. Nie robiłam tego od wyjazdu.

— Nie brakuje ci ich?

Sami nie wiedzieli, dlaczego o tym rozmawiają. Prawdopodobnie nostalgiczny nastrój świąt wpływał na nich, zachęcając, by zatopili się na chwilę w smutku i naruszyli niewypowiedzianą zasadę niedotykania tej części przeszłości.

Czym innym były luźne żarty na temat pewnych części ich wspólnej historii, rzucane w trakcie przekomarzania się czy wspomnienia w gronie przyjaciół.

Ale były też rzeczy, które należały wyłącznie do nich. Momenty, które dzielili w samotności, skryci przed całą resztą świata, oraz wspomnienia, które teraz żyły tylko w ich głowach, rozdzierały tylko ich dusze. Te rzeczy bolały najbardziej i jeszcze nie byli w pełni gotowi, by o tym rozmawiać.

Z drugiej jednak strony mogli nigdy nie być gotowi.

— Ostatni raz patrzyłam w gwiazdy z tobą, jeszcze w Seaport — wyznała. — W Bostonie i tak wiecznie jest zbyt wiele światła, by cokolwiek dostrzec. Można się przyzwyczaić.

Tak samo jak można się przyzwyczaić do życia bez kończyny. Ale to nie znaczy, że jej utrata nie boli.

— Przepraszam. — Naprawdę zrodziło się w nim poczucie winy. Kochała gwiazdy na długo przed tym, jak pokochała jego, i czuł się źle z tym, że jej to odebrał.

Dokładnie to samo czuła Josie, gdy dowiedziała się o zniszczonym aparacie. *To* była prawdziwa skala zniszczeń, jakie pozostawiły po sobie ich nastoletnie wybory.

Czy stojąc tam tej nocy, patrząc na wszystko, co zyskali i co stracili, naprawdę mogli powiedzieć, że było warto? Te marne kilka tygodni szczęścia, za które płacili do teraz?

Teraz jest dobry moment, żeby przeprosić — uświadomiła sobie Josie. Ale z jej ust wyszły inne słowa.

— Nie sądzisz, że oboje straciliśmy zbyt wiele, by ta jedna rzecz robiła taką wielką różnicę, że należy za nią przeproszać? Bez względu na to, jak droga nam była.

— Coś w tym jest. — Chase skinął głową. Również oparł się o balustradę, niwelując różnicę wzrostu, więc byli jeszcze bliżej niż przed chwilą. Nie tylko w fizycznym sensie. — Porzuciłem pasję, bez której kiedyś nie wyobrażałem sobie życia, i nawet za nią nie tęsknię. Latami czekałem na dzień, w którym znajdę ojca, a kiedy w końcu się udało,

czekało mnie tylko rozczarowanie. Śmierć Florence boli jak cholera, ale wiem, że *powinna* boleć bardziej. Powinna mnie złamać, a tego nie zrobiła. — W geście solidarności również nie patrzył w niebo. Mówił ze wzrokiem utkwionym w oknie jednego z mieszkań, gdzie mały chłopiec z uśmiechem na twarzy wieszał skarpetę na kominku. — Bo odkąd straciłem ciebie, utrata wszystkiego innego nie ma już takiego znaczenia.

— Bo nic nie może się z tym równać — dokończyła.

Kusiło ją, by opowiedzieć mu o wszystkich powodach, dla których związała swoją przyszłość z Carterem. Wyjaśnić, dlaczego zamiast szukać prawdziwego szczęścia, zadowala się egzystowaniem u boku człowieka, który nigdy jej go nie da. Milczała tylko dlatego, że nie chciała, by wzmianka o mężczyźnie psuła moment, który był tylko ich.

Mogli sobie powiedzieć jeszcze wiele rzeczy, ale zamiast tego pozwolili, by zapadła między nimi cisza. To był moment dla nich, by pozbierali się z powrotem w całość, bo gdy wrócą do środka, nie będzie już miejsca na te smutki. Przeszłość ma to do siebie, że jest jak grząskie piaski. Grzebanie w nich zawsze wiąże się z ryzykiem, że pochłoną cię w całości przy pierwszej chwili nieuwagi.

Chase jednak wykorzystał ten moment, by przyjrzeć się Josie. Zgodził się na przyjaźń z nią, bo wierzył, że ona go uleczy. Jednak kiedy spoglądał na dziewczynę, stojąc tak blisko, że znów widział wszystkie rysy i pęknięcia na idealnym obrazie, zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno on jest jedyną osobą, która potrzebuje ratunku.

Rozdział 22

W sylwestra Josephine postanowiła spełnić małe marzenie swojego brata. Ponieważ żadne z jej przyjaciół nie miało konkretnych planów na ostatnią noc w roku, wpadła na pomysł zaproszenia ich do siebie i zorganizowania spotkania w najbliższym gronie. Jak podejrzewała, William i Crystal zgodzili się bez wahania, podobnie jak jej przyjaciele.

Pomimo różnicy wieku William i jego żona bez większego problemu odnaleźli się w towarzystwie i szybko znaleźli wspólny język z gośćmi, a wypity przez część obecnych alkohol jedynie ułatwiał zadanie.

Na życzenie Archera Josie zaprosiła również Camille. Dwie mamy od razu się polubiły, zadowolone, że w końcu mają z kim porozmawiać o urokach macierzyństwa. William natomiast za cel postawił sobie poznanie przyjaciół siostry, w luźnych rozmowach wypytyując o wszystko, co wydawało mu się istotne.

I chociaż ze względu na obecność dzieci zrezygnowali z szaleńczej imprezy, nie powstrzymało ich przed dobrą zabawą. Josie musiała przyznać, że wieczór okazał się lepszy, niż się spodziewała. Nawet kiedy dziewczynka zasnęła jeszcze przed północą, podobnie jak Alfie, nie przesadzali z alkoholem, traktując używkę jedynie jako dodatek, a nie główny element wieczoru.

Jednak dopiero zniknięcie najmłodszych z towarzystwa pozwoliło Archerowi w pełni rozwinąć skrzydła. Wcześniej część swojej uwagi musiał dzielić pomiędzy syna i Nicole, która zdecydowanie wybrała go na swojego ulubieńca. Mimo że nie wyglądał, jakby mu to przeszkadzało, to z radością wszedł w końcu w ulubioną rolę duszy towarzystwa i rozbawiał wszystkich swoimi historiami.

— Dobra, ale rzeczą, która mnie zastanawia od początku, jest to, jak wy się w ogóle zaprzyjaźniliście. — William zadał w końcu pytanie, które dręczyło go od dawna.

Nietrudno było zrozumieć zdziwienie mężczyzny, bo na pierwszy rzut oka różnili się od siebie diametralnie. Ktoś z zewnątrz, nieznający ich wspólnych przeżyć, miał pełne prawo zachodzić w głowę, jakim sposobem z mieszanki cichego Ethana, sarkastycznego Chase'a, uroczej Valerie, szalonego Archera i opanowanej Josephine powstała tak szczerza i silna przyjaźń.

— Dawno, dawno temu... — Archer oczywiście wyrwał się jako pierwszy do opowiedzenia historii. — ... Valerie poznała Ethana. I tu historia się zaczyna.

— A mówiąc prościej: ja przyjaźniłam się z Josie, Ethan z Archerem i Chase'em, więc kiedy zaczęliśmy się spotykać, wpadliśmy na genialny pomysł poznania ze sobą naszych przyjaciół. — Valerie uznała, że jej wersja będzie o wiele prostsza do przyswojenia niż wymysły Archera.

— Psujesz cały efekt! — Przyjaciel posłał jej zirytowane spojrzenie. — No więc z okazji urodzin naszego ukochanego ponuraka Chase'a poszliśmy do klubu. Oczywiście bez Josie, bo twoja siostra wtedy jeszcze była przekonana, że musi poświęcić każdą sekundę swojego życia na naukę, i dopiero przyjaźń ze mną otworzyła jej oczy — dodał nieskromnie, przypisując sobie zmianę, która w rzeczywistości w największym stopniu była zasługą Chase'a. — Ale o tym później. Bo w każdym razie Valerie wypila wtedy trochę za dużo, a przez *trochę* mam na myśli *dużo*, i kompletnie pijana zadzwoniła do Josie z prośbą o pomoc.

— Pamiętasz zadziwiająco dużo, biorąc pod uwagę fakt, że zamiast nam wtedy pomóc, byłeś zajęty podrywaniem dziewczyn — rzucił Chase ze śmiechem.

— W sumie masz rację. Więc może ty dokończysz najlepszą część, skoro grałeś tam główną rolę? — Archer z satysfakcją wpackował przyjaciela w opowiadanie o pierwszym spotkaniu jego i Josie.

Chase uśmiechnął się lekko, bo mimo wszystko lubił to wspomnienie. Na chwilę skrzyżował spojrzenie z Josephine i poznał, że ona myśli

podobnie. Potem przeniósł wzrok na Williama i podjął się kontynuowania historii.

— Oczywiście Josie przyjechała na miejsce i zaczęła szukać Valerie. Akurat tak się złożyło, że to mi przypadło w udziale nianczenie jej. Byliśmy w parku, czekaliśmy na Ethana, kiedy Josie nas znalazła. — Przerwał i znowu zerknął na dziewczynę, która słuchała go z szerokim uśmiechem. — I wyobraź sobie, że twoja spokojna i opanowana siostra się na mnie rzuciła.

— Nie rzuciłam się na ciebie! — zaprotestowała Josephine głośno. — Nawet cię nie dotknęłam. William, nie wierz mu.

— Oskarżyłaś mnie, że chciałem zgwałcić ci przyjaciółkę! — Chase bronił swojego zdania, śmiejąc się z oburzenia brunetki. — Mało brakowało, a trafiłbym na policję za to, że pilnowałem Valerie, żeby nie udławiła się własnymi wymiocinami. Za co, swoją drogą, nigdy nie doczekałem się przeprosin.

— Bo to nie moja wina, że wyglądasz jak typ spod ciemnej gwiazdy. — Rzuciła mu gniewne spojrzenie, starając się zachować powagę.

— Jak można się domyślić, na początku nie pałali do siebie zbytnią sympatią — wtrąciła Valerie, zwracając się do Williama i Crystal, którzy wydawali się bardzo rozbawieni kłótnią tej dwójki.

— Tylko dlatego, że była irytująca i zarozumiała. Nie dało się z nią nawet normalnie porozmawiać. — Chase przywołał w pamięci pierwsze wrażenie, jakie zrobiła na nim Josie. Niesamowite, jak bardzo się wtedy pomylił.

— *Ja* byłem irytująca?! — wykrzyknęła, ignorując rechoczącego obok niej Archera. — To ty byłeś nieznośnym dupkiem, który ciągle mnie prowokował i wyprowadzał z równowagi.

Pomimo tej naciąganej kłótni oboje uśmiechali się do siebie, z sentymentem wspominając tak odległe początki ich relacji. Trudno było uwierzyć, że coś tak pięknego i jednocześnie tragicznego zaczęło się od jednej niepozornej sprzeczki.

— Oboje byli irytujący. — Archer nie byłby sobą, gdyby czegoś nie dodał. — A potem się w sobie zakochali i byli jeszcze gorsi niż na początku.

— Co?! — Zaskoczony William spojrzął na Josie i Chase'a, wciąż mierzących się wzrokiem.

— Byliście parą?! — Crystal dzieliła reakcję męża.

— Nie jakąś tam parą. Oni byli *parą*. — Archer poprawił męczyznę, zaznaczając widoczną tylko dla siebie różnicę. — Byli jak Romeo i Julia, jak Jack i Rose, jak...

— Chyba wszyscy zrozumieli. — Ethan przerwał przyjacielowi, zanim ten nakręcił się jeszcze bardziej.

William był w szoku, bo zupełnie się tego nie spodziewał. Już przy pierwszym spotkaniu z Chase'em odniósł wrażenie, że chłopaka łączy z Josie głęboka więź. Jednak po sposobie, w jaki się do siebie odnosili, obstawiał wieloletnią przyjaźń. Przez myśl mu nie przeszło, że chłopak był pierwszą miłością jego młodszej siostry.

— Za dwie minuty północ! — z entuzjazmem powiadomiła towarzystwo Crystal, patrząc na swój zegarek. — Powinniśmy wyjść na zewnątrz i przygotować szampana.

To skutecznie odwróciło uwagę od tematu Chase'a i Josie, pozwalając im odetchnąć z ulgą. Razem z resztą wyszli do ogrodu, by wspólnie odliczać ostatnie sekundy roku.

— Wiesz... — zagadnął Chase, gdy pozostali zajęli się otwieraniem szampana, jednocześnie dokładnie pilnując czasu. — Skoro już tak wspominamy nasze trudne początki, to mam jedno bardzo konkretne wspomnienie, związane właśnie z sylwestrem.

— Tak? — Nietrudno było odgadnąć, o jakie wspomnienie chodzi. Josie nieudolnie powstrzymywała uśmiech. — Sugerujesz, że powinnam ci przyłożyć? Wiesz, w ramach tradycji?

Chase parsknął śmiechem.

— Tak, dokładnie o to mi chodziło — rzucił sarkastycznie, ale nie zdążył dodać nic więcej, bo Archer podszedł do nich i wręczył im kieliszki z szampanem, a chwilę później wspólnie zaczęli odliczać.

I chociaż pierwszy wspólny sylwester był tym, który na zawsze zostanie w ich głowach, jako ten najważniejszy, tym razem cieszyli się, że przynajmniej następnego dnia nie będą mieli czego żałować.

Było późno, gdy goście rozeszli się do pokoi, ochoczo korzystając z propozycji noclegu. Chociaż Josephine czuła, że po długim wieczorze pełnym rozmów i śmiechu jest wykończona, sen uparcie nie nadchodził. W końcu zrezygnowana wstała z łóżka i zakładając bluzę, zeszła do kuchni po szklankę wody.

Gdy tylko weszła do pomieszczenia, podskoczyła przestraszona, dostrzegając znajomą sylwetkę w półmroku.

— Prawie dostałam przez ciebie zawału — pożałowała się niezadowolona, podchodząc do brata. — Też nie możesz spać?

— Jak widać. — Wzruszył ramionami, chociaż nie był pewien, czy dziewczyna w ogóle mogła to dostrzec.

Kierując się głównie znajomością pomieszczenia, Josie bez zapalania światła nalała sobie wody i wskoczyła na wyspę kuchenną naprzeciwko brata.

— Co cię dręczy?

— Opowiedz mi, jak to było z tobą i Chase'em — poprosił ostrożnie, wciąż nie do końca znając granice, które dziewczyna wyznaczała w ich relacji.

— Nie wiem, czy jest o czym. — Tym razem to ona wzruszyła ramionami, bawiąc się szklanką.

— Naprawdę było tak, jak mówił Archer? Kochałaś go tak bardzo?

Westchnęła cicho, w duchu ciesząc się, że William nie widzi dokładnie jej twarzy ani krótkiego grymasu pełnego bólu.

— Tak bardzo i jeszcze bardziej. — Nie wiedziała nawet, jak miała opisać tamte uczucia, by jej brat w pełni zrozumiał ich siłę. — Porównania Archera były śmieszne, ale miał trochę racji. Naprawdę było tak, jakbyśmy byli dla siebie stworzeni. Mieliśmy wszystko. Poza czasem.

— Więc dlaczego nie zostałaś? — Wiedział już, że Josephine nie miała najmniejszego zamiaru pracować w kancelarii razem z nim i rodzicami. Nie rozumiał więc, dlaczego wybrała studia, których nie chciała, zamiast chłopaka, którego tak kochała.

— Chciałam — przyznała ciężko. — Ale Chase by mi nie pozwolił. Gdybym zrezygnowała z Harvardu, rodzice by się ode mnie odwrócili,

a on już wtedy praktycznie nie miał rodziny. — Kolejne wzruszenie ramion, jakby bardzo chciała pokazać, że jej to nie boli. — Mieliliśmy osiemnaście lat, siebie i trójkę przyjaciół. Nic więcej. Chase nie chciał, żebym poświęciła dla niego szansę na lepsze życie.

— Przepraszam, Josie. — Williamowi wydawało się, że to jedyna słuszna reakcja. — Gdybym był wtedy przy tobie, mógłbym coś zrobić. Pomógłbym wam znaleźć inne wyjście.

— To nie twoja wina. — Nie mogła mieć pretensji do brata. — Sam byłeś wtedy ledwo po studiach. Nie mogłeś nic zrobić. Nikt nie mógł.

Próbowała wmówić bratu dokładnie to samo, co od lat powtarzała sobie. Tak było łatwiej, bo szukanie winnych nie mogło jej nigdzie doprowadzić. Gdyby przez te wszystkie lata dręczyła ją świadomość tego, że istniało inne, lepsze wyjście, przez wyrzuty sumienia nigdy nie ruszyłyby dalej.

Rozdział 23

— Czujcie się jak u siebie — skomentowała Josie ironicznie, gdy następnego dnia weszła do kuchni i zastała tam swoich przyjaciół przygotowujących posiłek. — W ogóle się nie krępujcie.

— Dzień dobry — przywitała ją radośnie Valerie, jakby robili to codziennie, po czym wróciła do pilnowania bekonu na patelni. — Śniadanie będzie za dziesięć minut.

Tuż obok niej Archer zajmował się smażeniem jajek, a kawałek dalej Ethan opiekął tosty. Wyglądało na to, że wspólnymi siłami próbowali przygotować typowe angielskie śniadanie.

Nie licząc Chase'a, który przed przybyciem Josie zadowolił się siedzeniem przy wyspie kuchennej i obserwowaniem przyjaciół. Na widok brunetki wstał jednak i nalał jej kawy zaparzonej wcześniej w dzbanku.

— Pomysł Valerie — wytłumaczył, podchodząc do Josie i wręczając jej kubek z gorącym napojem. — Podobno żeby się odwdzińczyć za sylwestra.

Z mieszkanką rozbawienia i czegoś jeszcze obserwował ją, jak upija pierwszy łyk. Znał na pamięć ten niewielki, błogi uśmiech, który wypływał na jej usta zaraz potem, i teraz na ułamek sekundy cofnął się do czasów, gdy ten widok był jego ulubioną częścią każdego wspólnego poranka.

Josephine otworzyła oczy, zanim Chase był gotowy odwrócić od niej wzrok, i przyłapała go na gorącym uczynku.

— Dzięki za kawę — powiedziała, zdając sobie sprawę, że jedyną osobą w tym towarzystwie, która mogłaby pamiętać, że Josie do rozpoczęcia dnia potrzebuje kofeiny, był właśnie Chase. — I nikt jej nie powiedział, że zdemolowanie kuchni może nie być najlepszym sposobem na wyrażenie wdzięczności? — Chociaż sam gest był uroczy, to bałagan, który powstał

w trakcie gotowania, budził jej przerażenie. Mogła sobie jedynie wyobrazić, jaka będzie reakcja Crystal, która do kuchni wpuszczała wyłącznie ich kucharkę Marie.

— Śmiało, możesz spróbować — zachęcił Chase, kiwając głową w kierunku blondynki. — Ja jeszcze nie chcę żegnać się z życiem.

Oboje wiedzieli, że w przypadku Valerie istniała cienka granica pomiędzy słodką, wesołą dziewczyną a dyktatorką, której nie należało się przeciwstawiać. Po sposobie, w jaki wydawała polecenia swojemu mężowi i Archerowi, można było wywnioskować, że tego poranka bliżej jej było do tej drugiej strony jej osobowości.

— Na pocieszenie mogę ci zdradzić, że z wymysłów Val wyszło też coś dobrego, a nie tylko pobojuwisko w kuchni — powiedział, nachylając się, żeby nikt więcej go nie usłyszał. — Kiedy poszła obudzić Archera, znalazła go w łóżku Camille. Spali sobie grzecznie, bardzo *przyjacielsko* wtuleni w siebie.

— Niemożliwe. — Josie z trudem trzymała emocje na wodzy, nie podając się ekscytacji.

Razem z Crystal zajęły się przygotowaniem pokoi dla gości przed sylwestrem i do jednego z nich dla wygody Cami wstawiły nawet stare łóżeczko Nicole dla Alfiego. Jednak ponieważ brak miejsca w domu Sinclairów nie był problemem, Josie uznała, że powinny przygotować dla Archera osobną sypialnię. Najwidoczniej zupełnie niepotrzebnie.

— Podobno sprężyny w materacu w jego łóżku wbijały mu się w plecy — dodał Chase szeptem, wciąż nachylając się ku niej.

Josie parsknęła śmiechem, krztusząc się przy tym kawą. To zwróciło na nich uwagę pozostałej trójki.

— A was co tak bawi? — zapytał Archer, wskazując na nich drewnianą łopatką.

— Nic — odparli jednocześnie, przez co wyglądali na jeszcze bardziej podejrzanym.

Chłopak zerknął przez ramię, gdzie stojący za nim Valerie i Ethan mieli podobne problemy z zachowaniem powagi, zgadując, na jaki temat szeptala tamta dwójka. Spojrzał jeszcze raz na każdego po kolei z miną człowieka, który jako jedyny nie rozumie żartu.

— Josie, gdzie są łyżeczki?

Josephine spojrzała na przyjaciółkę, przez sekundę nie rozumiejąc, skąd to pytanie, skoro Valerie doskonale wiedziała, gdzie co jest w jej kuchni. Dopiero gdy dziewczyna zaczęła gorączkowo wskazywać głową na wciąż nieświadomego niczego Archera, olśniło ją. Valerie nawiązywała do pozycji, w jakiej znalazła przyjaciela śpiącego z Cami.

— Masz na myśli — urwała na chwilę, żeby nie wybuchnąć śmiechem — *przyjacielskie* łyżeczki?

Chase, nadal stojący bardzo blisko niej, ryknął śmiechem tak głośnym i niepodobnym do niego, że Josie mogła przysiąc, że poczuła go na swojej skórze. Pozostali dołączyli do niego, a Archer w końcu zrozumiał, że to on był obiektem żartu.

— Otaczają mnie sami plotkarze i zdrajcy — oznajmił z grobową miną.

— Dlaczego ja czuję spaleniznę?! — zawołała Cami jeszcze przed pojawieniem się w kuchni z Alfiem na rękach.

To skutecznie wyrwało przyjaciół z rozbawienia. Wszyscy w idealnej synchronizacji spojrzeli w kierunku płyty, na której smażyło się jedzenie. Valerie z Archerem rzucili się do swoich patelni, gdzie zarówno porcja jajek, jak i bekonu spaliły się do tego stopnia, że zaczynały dymić. Sekundę później uruchomił się czujnik i rozległ się alarm.

Ethan otworzył okno, a Archer i Valerie, przeklinając głośno, złapali obie patelnie, żeby zalać je wodą. Chase w ostatniej chwili złapał Josie za biodra i bez uprzedzenia przyciągnął do siebie, żeby przypadkiem jej nie oparzyli, biegnąc w panice do zlewu.

Josephine zachwiała się zaskoczona i odbiła od ciała chłopaka, wylewając przy tym odrobinę kawy na swoją koszulkę.

William i Crystal wybrali dokładnie ten moment, by wbiec do kuchni, przestraszeni wciąż wyjąłym alarmem.

— Dlaczego moja kuchnia wygląda, jakby przeszły przez nią przynajmniej trzy kłęski żywiołowe? — zapytała kobieta, ogarniając wzrokiem bałagan i stojącą pośród niego piątkę przyjaciół.

Archer powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

— Co każe ci sądzić, że to *twoja* kuchnia? — zapytał z beztruską, na którą w tej sytuacji mogło być stać tylko jego. — Czysto teoretycznie my byliśmy w niej pierwsi. Wiesz, jeszcze zanim ty poznałaś Williama.

Crystal otworzyła usta, ale żadna odpowiedź nie nadeszła. Wyglądała, jakby nie wiedziała, czy zacząć krzyczeć, czy się śmiać.

William w tym czasie spojrzął na siostrę, którą z niewiadomego powodu Chase wciążył asekuracyjnie obejmował.

— Nie patrz tak na mnie — broniła się z najbardziej niewinnym uśmiechem, na jaki ją było stać. — Sam chciałeś poznać moich przyjaciół. *To* są właśnie moi przyjaciele.

— Przyzwyczajasz się — rzucił Chase pocieszająco.

William nie wyglądał, jakby mu wierzył.

Josie spędzała popołudnie w antykwarjacie z Chase'em, podobnie jak robiła to przez ostatnich kilka dni.

Gdzieś pomiędzy świętami a sylwestrem coś się między nimi zaczęło zmieniać. Nie potrafiła określić, co to było, ale odrobinę przypominało grę. Polegała mniej więcej na tym, że Chase na nią patrzył, a ona udawała, że tego nie zauważa.

Nie było to ani dobre spojrzenie, ani złe, chociaż zdecydowanie znajome. Po prostu się przyglądał i trudno było odgadnąć, jaki miał w tym cel.

Mogłaby oczywiście zapytać, o co mu chodzi. Nie robiła tego z obawy, że wtedy chłopak przestanie, a wbrew pozorom lubiła czuć na sobie jego spojrzenie.

A Chase patrzył głównie dlatego, że z każdym dniem Josie coraz bardziej przypominała mu *Jose*. Śmiała się głośniej, częściej i z większą swobodą. Gdyby miał bawić się w poetyckie porównania, powiedziałby, że kojarzyła mu się z kwiatem, który ktoś wystawił na słońce po długim czasie trzymania w ciemnym kącie.

Z kolei im bardziej ją przypominała, tym większą przyjemność sprawiało mu patrzeć. Dostrzegł ten proces zmiany, chociaż ona sama jeszcze jej nie widziała, i teraz nie mógł już odwrócić wzroku w obawie, że przegapi jakiś ważny moment.

Nie trudził się szczególnie z ukrywaniem tego, że ją obserwuje, i zdawał sobie sprawę, że Josie o tym wie. Sprawiało mu również głupią satysfakcję, że dziewczyna sama szuka jego spojrzenia i ukradkiem sprawdza, czy akurat na nią patrzy.

Grali tak całymi godzinami w przerwach pomiędzy rozmowami, droczeniem się i pracą. Tego popołudnia wspólnie układali nowe nabytki na półkach antykwariatu, wymieniając je z tymi, które stały tam już za długo. Działali z wprawą wyrobioną jeszcze lata temu i Chase zatracił się w tym na tyle, że chwilę zajęło mu zorientowanie się, że stojąca obok niego Josie zaprzestała pracy.

Zerknął przelotnie w jej kierunku, by ułamek sekundy później zrobić to ponownie, bo był przekonany, że za pierwszym razem mu się przywidziało, ale nie. Josephine patrzyła na niego z dziwną mieszanką zachwytu, zdziwienia i czegoś przypominającego szczęście.

— Co? — zapytał zbity z tropu.

— Śpiewałeś.

Ze zmarszczonymi brwiami obrócił głowę w stronę gramofonu. Z wyboru Josie słuchali akurat jednego z albumów Foreigner, czemu wcześniej nie poświęcał zbyt wielu myśli. Dopiero po chwili rozpoznał piosenkę, którą podobno śpiewał.

— Nie wiedziałem, że nie wolno — mruknął.

— Po prostu dopiero teraz sobie uświadomiłam, jak dawno nie słyszałam twojego głosu — wyjaśniła, wracając do pracy. — Kiedyś nieustannie nuciłeś pod nosem, jak siedzieliśmy w antykwariacie.

Głównie dlatego, że wiedział, jak bardzo to lubiła. Teraz nie mógł już sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wczuł się w jakąkolwiek muzykę tak bardzo, by podśpiewywać ją razem z wykonawcą.

— Wiesz, ty też znasz słowa — przypomniał jej, bo co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Wspinając się na palce, by dosięgnąć książki na najwyższej półce, posłała mu spojrzenie mówiące, że nie da się skusić. Otworzyła usta, by skomentować jego słowa, ale przez nieuwagę potrafiła ręką starą lampę stojącą na górze.

— Uważaj! — Chase bez namysłu szarpnął ją za łokieć, żeby spadający przedmiot nie uderzył jej w głowę. Zamiast tego lampa z hukiem roztrzaskała się o podłogę.

— Przepraszam! — odezwała się Josephine ze skruczą i zupełnie absurdalnym strachem. Uniosła głowę, by sprawdzić, czy Chase jest na nią zły, i z pewnym zaskoczeniem uświadomiła sobie, jak blisko siebie stoją.

— Potrącę ci to z wypłaty — obiecał, wędrując wzrokiem po jej twarzy. Nie wyglądał, jakby miał zamiar ją puścić albo się odsunąć.

— Ty mi nie płacisz. — Liczyła, że go tym rozbawi i przegoni tę dziwną atmosferę, która nad nimi wisiała, ale jej głos brzmiał zbyt miękko i cicho.

— No to mamy problem.

A przynajmniej Chase miał.

Polegał on na tym, że jego ciało nie chciało współpracować z mózgiem, który wręcz krzyczał, że powinien zwiększyć odległość między nim a Josie, zanim wpadną mu do głowy głupie pomysły. Głupsze niż patrzenie na usta dziewczyny.

— Co my robimy? — Josie chciała się upewnić, że nie wymyśliła sobie tego, co się między nimi działo.

— Coś, czego pewnie nie powinniśmy — odpowiedział cicho, ale się nie odsunął. Korzystał z tego, że ton głosu dziewczyny wcale nie wskazywał, że ta bliskość jej przeszkadza. — Prawda? — Upewnił się, jakby liczył, że to pomoże mu odzyskać zdrowy rozsądek, który chwilowo znajdował się gdzieś bardzo daleko.

— Prawda — przytaknęła, ale sama nie czuła się na tyle silna, żeby to przerwać. Nie była przygotowana na to, że nagle bliskość Chase'a tak na nią wpłynie.

Stali tak, niemożliwie blisko siebie, nie robiąc nic więcej. To był nowy rodzaj gry, jednak w tej byli skazani na porażkę bez względu na to, co zrobią.

— Gdybym cię teraz pocałował... — zaczął, jeszcze bardziej nadwyrężając już i tak napięte do granic nerwy swoje i Josie.

Nie wiedział nawet, po co pytał. Może zwyczajnie lubił sprawiać, że złe sytuacje stawały się jeszcze gorsze.

— Ale tego nie zrobisz — wtrąciła. Była cała lista powodów, dla których nie mógł. Akurat w tej chwili nie potrafiła sobie przypomnieć żadnego z nich, ale była pewna, że taka istnieje i jest całkiem długa.

— Ale *gdybym*... — podkreślił, zaznaczając hipotetyczność swojego pytania. — Co byś zrobiła?

Josephine nie mogła mu na to odpowiedzieć i oboje o tym wiedzieli. Podobnie jak wiedzieli, jak brzmiałaby odpowiedź.

Uratował ją leżący na zapleczu telefon Chase'a. Komórka zaczęła dzwonić, wydając głośną melodię, przez którą oboje się wzdrygnęli i wrócili do rzeczywistości.

— Prawdopodobnie powinienem to odebrać — stwierdził i zniknął na tyłach sklepu.

Josie wykorzystała tę okazję, by ze świstem wypuścić długo wstrzymane powietrze. Nawet nie zdawała sobie sprawy, w którym momencie przestała oddychać. Nie próbowała pojąć tego, co się właśnie między nimi wydarzyło i jak to o niej świadczyło.

Do momentu, gdy Chase wrócił, była już w miarę opanowana i wróciła do układania książek, by mieć jakieś zajęcie i ukryć drżenie rąk.

— Kto dzwonił? — odezwała się niezobowiązująco, nawet na niego nie spoglądając. Starła się brzmieć normalnie, jakby poprzednia sytuacja nie miała miejsca.

— Rosalie.

Sam ton jego głosu wystarczył, by Josephine porzuciła swoje zajęcie, a także myśli o wcześniejszym zajściu. Ze zmartwieniem wypisanym na twarzy obróciła się w stronę chłopaka, który opierał się o drewniane biurko, w zamyśleniu bawiąc się telefonem.

— W sobotę jest odczytanie testamentu. Chce, żebym przyjechał.

— Pojedziesz?

Podeszła do niego. Również oparła się o biurko tak, że stykali się ramionami. Wiedziała, jak trudny jest dla Chase'a ten temat, i chciała dać mu w ten sposób poczucie, że nie jest sam.

— Nie wiem — wyznał szczerze, nie mając pojęcia, co powinien zrobić.

Nie był gotowy tak szybko wracać w miejsce pełne wspomnień o kobiecie. W dodatku wcale nie chciał być umieszczony w testamencie. Po tym, jak ją zostawił przez własną słabość, uważał, że nie zasłużył na cokolwiek, co Florence mogłaby mu dać. Z drugiej strony czuł, że jest jej winien obecność tam, nawet jeśli to ostatnie, na co miał ochotę.

— Pojedziesz ze mną? — zapytał cicho. Nie chciał robić tego sam, a Josie była jedyną osobą, którą mógł o to poprosić.

— Chase, ja... — Nie była pewna, czy to dobry pomysł.

Raz udało jej się skłamać na temat swojego zniknięcia, ale jak w razie konieczności wytłumaczyłaby Carterowi kolejny wyjazd? W dodatku takie rzeczy jak odczytanie ostatniej woli powinny dziać się w gronie najbliższych, a nie uważała, że ona się do nich zalicza. Nie powiedziała tego chłopakowi, nie chcąc go tym dodatkowo obciążać, ale jej sumienie wobec Florence również nie było całkiem czyste. Nie dotrzymała obietnicy, którą jej złożyła, gdy się żegnały.

— Proszę — nalegał Chase, patrząc jej prosto w oczy. — Nie dam sobie rady sam. Możemy wrócić jeszcze tego samego dnia, ale jedź ze mną. Potrzebuję cię. — Nie wstydził się do tego przyznać. W końcu właśnie taka była prawda.

I tak po prostu wszystkie jej argumenty mówiące, że to zły pomysł, przestały mieć znaczenie. Nie zniknęły, ale jeśli Chase jej potrzebował, to żaden nie był wystarczająco silny, by ją powstrzymać.

— W porządku, pojedę z tobą. — Skinęła głową, nie będąc w stanie odmówić. — Przejdziemy przez to razem.

Sobota nadeszła zdecydowanie zbyt szybko i właściwie nim się obejrzeni, było już po wszystkim. Jednak w tym wypadku fakt, że mieli to już za sobą, nie przynosił ulgi, lecz jedynie więcej bólu i pytań, na które Chase nie spodziewał się dostać odpowiedzi.

Z kancelarii wypadł niemal biegiem, ignorując członków rodziny Florence. Ominął samochód i ruszył chodnikiem, nawet nie sprawdzając,

czy Josephine idzie za nim. Wiedział, że tak, podobnie jak ona nie musiała zgadywać, gdzie się kierował.

Dziewczyna przystanęła tylko na chwilę, by pospiesznie pożegnać Rosalie i pozostałych dwoje dzieci Florence, z którymi właściwie nie miała jeszcze okazji porozmawiać. Chociaż nie byłoby jej trudno dogonić Chase'a, celowo trzymała się w stosownej odległości, dając mu czas na pogodzenie się z tym, co usłyszał.

Zbliżyła się, dopiero gdy dotarli na cmentarz. Bez słowa stanęli naprzeciwko pomnika i przez kilka minut jedynie wpatrywali się w czarno-białe zdjęcie kobiety. Uśmiechała się do nich z niego radośnie, zupełnie tak, jak robiła to za życia.

— Dlaczego akurat mnie zapisała latarnię? — zapytał po długiej ciszy. — A raczej to, co z niej zostało. — Wydawało mu się to okrutnym żartem ze strony Florence, chociaż był niemal pewien, że nie to miała na celu. — Miała troje prawdziwych dzieci i wnuki. Dosłownie każdy byłby lepszy.

Odpowiedź na to pytanie miał dosłownie w ręku, gdyż trzymał w dłoni zaadresowany do niego list, który był załączony do testamentu. Chase był jednak zbyt przerażony, by go przeczytać. Miał pełną świadomość, że to ostatnie słowa kobiety, jakie kiedykolwiek będzie mu dane usłyszeć. Po przeczytaniu nie zostanie mu już nic i naprawdę będzie musiał pogodzić się z tym, że odeszła.

Dlatego zwrócił się do Josie, jakby wierzył, że zna te powody nie gorzej niż autorka listu.

— A przyjrzałeś się kiedyś jej dzieciom? — odpowiedziała pytaniem, starając się, by jej ton był łagodny. — Każde z nich ma swoje życie. Dostatnie i ułożone gdzieś w wielkim mieście. Nie odwiedzali Seaport zbyt często, a latarnia nigdy nie była dla nich ważna, bo przypominała o wszystkich latach, które ich ojciec tam spędził, unikając nieświadzącej go żony — wyjaśniała, przypominając mu burzliwą historię miłości Florence. — Sprzedaliby ziemię, i to nawet nie dlatego, że potrzebują pieniędzy, tylko z wygody.

Mogła tylko zgadywać, że podobnym tropem myślenia kierowała się kobieta, odbierając swojej rodzinie to, co według Chase'a należało im się bardziej niż jemu. Nie była jednak w stanie dać mu odpowiedzi, które zapewne czekały na niego w liście.

— Przepisała im dom, bo w nim się wychowali i jest dla nich ważny. Restaurację zostawiła w rękach mieszkańców Seaport, bo wierzyła, że oni najlepiej się nią zajmą.

Chociaż pod względem prawnym restauracja trafiła do dzieci Florence, to w swojej ostatniej woli kobieta zaznaczyła, że chciałyby, aby była dalej prowadzona, jakby nic się nie zmieniło. Wyznaczyła dwoje swoich pracowników, by tego dopilnowali.

— Dokładnie z tego samego powodu zapisała latarnię tobie. Bo wiedziała, że tak będzie najlepiej.

Chase skinął głową, czując się odrobinę pewniej. Był wdzięczny Josie za jej obecność bardziej, niż byłby w stanie powiedzieć. Kojący spokój, którym emanowała, otulał go niczym koc.

Ufał temu opanowaniu bardziej niż sobie samemu, niemal bezgranicznie, i nawet jeśli miał wrażenie, że stoi nad przepaścią, wiedział, że tym razem nie spadnie. Jeśli Josephine była spokojna, to nie mógł być w niebezpieczeństwie.

Był przekonany, że świat mógłby być o krok od rozpadnięcia się na części, a jej głos byłby ostatnią rzeczą, która utrzymałaby go w całości.

Dlatego w końcu wyciągnął w jej stronę rękę, w której trzymał list.

— Przeczytasz go dla mnie?

Bez zawahania skinęła głową i ostrożnie rozerwała kopertę.

— „Chase, mój najdroższy synu” — odczytała na głos. Jej usta rozciągnęły się w nikłym uśmiechu, gdy spojrzała na kolejne słowa. — „Proszę, nie wspominaj o tym fragmencie moim pozostałym dzieciom. Mogłyby mieć do mnie żal”.

Siedzący obok niej Chase prychnął cicho, a Josie podniosła wzrok znad kartki, by sprawdzić, czy aby na pewno powinna kontynuować. Chłopak jednak potwierdził skinieniem, więc wróciła do czytania.

— „Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie powinnam zacząć ten list inaczej, biorąc pod uwagę to, że jeśli go czytasz, to znaczy, że nie żyję, ale znasz mnie przecież. Przez całe życie szłam z uśmiechem na ustach, więc dlaczego miałabym żegnać się we łzach? I to samo tyczy się ciebie. Mówię poważnie, jeśli teraz płaczesz, przysięgam na wszystkie świętości, że przyjdę i będę cię straszyć”.

Josephine miała ściśnięte gardło, ale czytane przez nią słowa były tak bardzo w stylu kobiety, że mimo wszystko budziły w jej sercu pewne ciepło. Chase nie zareagował w żaden sposób.

— „Ale odłóżmy na chwilę żarty, bo wiem, że masz w głowie wiele pytań, a ja nie mam zbyt wiele czasu, bo zaraz zacznie się pora obiadowa i w restauracji zrobi się ruch. Odpowiadając na pierwsze z twoich pytań: Tak, naprawdę chcę, żebyś to ty odziedziczył latarnię. I tak, zdaję sobie sprawę, że jest teraz stertą gruzu, więc to słaby prezent, ale daję ci go jako szansę. Możesz pewnego dnia zbudować w jej miejscu swój dom albo możesz sprzedać działkę i za te pieniądze ułożyć sobie życie, gdziekolwiek będziesz chciał...” — Josie zaważała się przed przeczytaniem kolejnych słów. — „Możesz nawet kupić bilet do Bostonu i znaleźć Josephine, jeśli tego właśnie pragnie twoje serce. Od ciebie zależy, co z nim zrobisz, ale wiedz, że będę cię wspierać z góry lub z dołu, cokolwiek postanowisz. Nigdy nie przestałam być wdzięczna, że tamtego dnia pojawiłeś się na mojej drodze. Twoja Florence”.

Skończyła czytać, ostrożnie złożyła list i włożyła go z powrotem do koperty. Nie wiedziała, czy przyniósł on chłopakowi ulgę, czy wręcz przeciwnie. W żaden sposób nie skomentował tego, co przed chwilą usłyszał.

Josephine również milczała. Instynktownie wiedziała, że Chase nie potrzebuje kolejnych słów, bo ma wystarczający problem z pogodzeniem się z tymi, które już padły. Zamiast tego przysunęła się bliżej, by położyć głowę na jego ramieniu. W ciszy pozwoliła mu zmierzyć się z uczuciami, jakie zostawił po sobie list, i zamiast słów, które nie przyniosłyby żadnego efektu, ograniczyła się tylko do tego jednego gestu, by pokazać mu, że jest przy nim.

Nie wiedziała, ile minut minęło, ale w końcu chłopak westchnął ciężko, a jego głowa osunęła się i oparła na głowie Josie.

Gdy wracali, było już kompletnie ciemno. Kiedy Chase zadzwonił do Rosalie, żeby przeprosić za swoje nagłe wyjście, kobieta zaproponowała im, by przenocowali w domu Florence. Jednak oboje z Josie doszli do wniosku, że nie chcą zostawać w Seaport dłużej, niż to konieczne. Samo odczytanie testamentu i wizyta na cmentarzu były wystarczająco trudne.

Podróż powrotna mijiała im wyłącznie w akompaniamencie piosenek z płyt Chase'a. Oboje nie byli w nastroju do rozmów, bo myśli chłopaka nieustannie krążyły wokół słów Florence zawartych w liście, a w głowie Josie zmęczenie toczyło walkę z dobijającym poczuciem bezradności.

Chciałaby móc zrobić coś więcej poza zwykłym byciem przy Chasie, żeby go wesprzeć, ale zdawała sobie sprawę, że cokolwiek powie lub zrobi, będzie niewystarczające. Dlatego nawet nie próbowała, świadoma, że służyłoby to jedynie poprawieniu *jej* samopoczucia, a to nie o nią w tym momencie chodziło.

Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak ogromne znaczenie ma dla Chase'a sama jej obecność.

Odwrocił uwagę od drogi zaledwie na chwilę, by spojrzeć w stronę dziewczyny. Widział dłoń, którą trzymała na kolanie, i miał ochotę ją złapać, by gestem przekazać, że widzi i docenia wszystko, co dla niego robi.

Zdążył jednak jedynie zdjąć dłoń z kierownicy, gdy Josie pode-rwała się nagle na swoim siedzeniu.

— Uważaj! — wykrzyknęła.

Wszystko działo się zbyt szybko, by mógł zorientować się, przed czym go ostrzegała. W ostatniej chwili skręcił kierownicą i odbił na sąsiedni pas, tracąc kontrolę nad pojazdem. Auto wpadło w poślizg i obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Gdy się zatrzymało, przednie światła oświetlały to, co próbowali ominąć.

A właściwie *kogo*, bo wbrew temu, co Chase założył, przed maskę wcale nie wyskoczył im jeleni ani inne dzikie zwierzę, czego można było się spodziewać na drodze z obu stron otoczonej lasem. Okazało się,

że Josie ostrzegła go przed stojącym na skraju drogi człowiekiem, który wychylił się niebezpiecznie na jezdnię, gdy nadjeżdżali.

Zanim zdążył zastanowić się, czy sam żyje, spojrzął na miejsce pasażera. Zalała go fala ulgi, gdy dostrzegł, że Josephine jest cała i nic jej nie dolega. Co więcej, kiedy tylko otrząsnęła się z pierwszego szoku i sama upewniła, że z Chase'em również wszystko jest w porządku, odpięła pas, wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku sprawcy zdarzenia.

— Josephine! — Próbował ją zatrzymać, jednak bezskutecznie.

Widział w życiu wystarczająco dużo filmów, by wiedzieć, że wybieganie z samochodu na spotkanie z facetem, który w środku nocy stoi na drodze w lesie, nie jest zbyt dobrym pomysłem.

I chociaż na ogół to Josephine była rozsądna, a Chase impulsywny, tym razem to nie on rzucał się na spotkanie z potencjalnym mordercą. Gdyby to zależało wyłącznie od niego, po upewnieniu się, że oboje są cali, ruszyliby w dalszą drogę, ograniczając się do uchylenia szyby i nakrzyczenia na ewidentnego idiotę. Może nie czyniło to z niego dobrego człowieka, ale przynajmniej uchroniłby Josie od zagrożenia, które tak wyraźnie widział w swoich czarnych wizjach.

Ponieważ jednak Josephine w przeciwieństwie do niego posiadała kręgosłup moralny i czuła zrozumiałą potrzebę upewnienia się, że z mężczyzną wszystko w porządku, Chase'owi nie pozostało nic innego, jak wysiąść za nią. Na drodze, którą wracali, nie było praktycznie żadnego ruchu i miał cichą nadzieję, że przez następnych kilka minut żaden pojazd nie nadjedzie i nie wpadnie w jego stojący na środku jezdni samochód.

Gdy zbliżał się do Josie, usłyszał, jak dziewczyna pyta, czy wszystko w porządku. Nieznajomy odpowiedział twierdząco, więc poświęcił chwilę na przyjrzenie się niskiemu mężczyźnie. Był mniej więcej w ich wieku, a pod czarnym płaszczem Chase dostrzegł garnitur. Za jego plecami stał zaparkowany na poboczu samochód.

— Skoro wszyscy mamy się świetnie, możemy już wrócić do samochodu? — zwrócił się do Josie. Zdecydował, że dla dobra wszystkich zrezygnuje z wdawania się w rozmowę z nieznajomym. Nie miał mu do powiedzenia nic, co spodobałoby się dziewczynie.

— Błagam, nie! — wykrzyknął tamten z desperacją.

Chase spiął się instynktownie na jego gwałtowną reakcję. Był gotowy w każdej chwili wyskoczyć przed Josie i zasłonić ją przed mężczyzną, gdyby zaszła taka potrzeba.

— Musicie mi pomóc. Jesteście pierwszymi ludźmi, którzy przejeżdżali tędy od godziny. — Świećcie mu w twarz światła samochodu Chase'a sprawiały, że wyglądał jak spanikowane zwierzę.

— Więc ze szczęścia postanowiłeś rzucić się pod samochód? — Skąpy limit cierpliwości i tolerancji dla nieznanego został wyczerpany i Chase czuł, że buzuje w nim złość. — Mogłeś nas zabić!

— Przepraszam za to. — Posłał im obojgu przepraszający uśmiech. — Ale jestem naprawdę zdesperowany. Jadę na wesele. Najpierw mój samolot miał cztery godziny opóźnienia i nie zdążyłem na ślub, a później samochód, który wypożyczyłem na lotnisku, się zepsuł. Nie mam zasięgu, żeby zadzwonić po pomoc, a naprawdę muszę się tam dostać.

— Możemy ci pomóc — zaproponowała Josie od razu, nie zważając na niezadowolonego bruneta. Nie pytała go o zdanie, bo wiedziała, że i tak by się nie zgodził. Chase miał wiele zalet, ale empatia nigdy nie była jego mocną stroną. — Zawieziemy cię, gdzie trzeba.

— Naprawdę? — Rozpromienił się. — Bardzo wam dziękuję. To nie jest daleko, mogę nawet zapłacić. — Szybkim krokiem podszedł do swojego samochodu, by wyciągnąć z niego walizkę z rzeczami.

W tym samym czasie Josie w końcu zwróciła uwagę na swojego towarzysza. Gdyby wzrok mógł zabijać, Chase bardzo potrzebowałby łopaty, żeby zakopać jej ciało.

— No co? — Wzruszyła ramionami z niewinnym uśmiechem. — Przecież nie możemy go zostawić samego w środku lasu bez żadnej pomocy.

Mina Chase'a mówiła wyraźnie, że był innego zdania.

— Skąd wiesz, że mówi prawdę? Może to tylko słaba ściema i jest seryjnym mordercą?

Zanim Josie zdążyła go zganić, chłopak podszedł do nich ponownie.

— Nie jestem, obiecuję. — Zaśmiał się z własnych słów, dając im znać, że słyszał podejrzenia Chase'a. — Jestem Jeff, tak w ogóle.

— Josie. — Wymieniła z nim uścisk dłoni i wskazała na bruneta.
— A to Chase.

— Miło mi was poznać. Jeszcze raz wam dziękuję. — Jeff wyciągnął rękę także do niego, ale został zignorowany.

Chase bez słowa ruszył w stronę samochodu.

— Twój chłopak nie jest chyba zbyt otwarty na nowe znajomości.

— Nie jesteśmy parą — wytłumaczyła Josie, zajmując miejsce pasażera.

— A ona ma narzeczonego — dodał Chase, chociaż nie wiedział, po co tak właściwie się odzywa.

W końcu dla własnego spokoju uznał, że robi to tylko dlatego, że Jeff wydawał mu się odrobinę za bardzo zainteresowany dziewczyną. Jako dobry przyjaciel postanowił zaoszczędzić jej ewentualnego podrywu ze strony nieznanego.

— Więc na czyje wesele próbujesz się dostać? — Josephine spróbowała nawiązać konwersację, by zabić niezręczną ciszę, która nastąpiła, gdy Jeff podał im adres hotelu i ruszyli w drogę.

— Przyjaciółki — odpowiedział krótko, ale zaraz się zawahał. — Miłości mojego życia tak właściwie.

— Chcesz nam powiedzieć, że bierzemy udział w próbie rozwalenia wesela i odbicia panny młodej? — zapytał Chase, zszokowany nietypowym wyznaniem.

— Oczywiście, że nie. — Jeff wydawał się urażony sugestią. — Jadę tam, bo chcę być razem z nią w takim dniu. Cieszę się jej szczęściem.

Chase był zdania, że to drugie największe kłamstwo na świecie, zaraz po „jesteśmy tylko przyjaciółmi”, ale nowo poznany mężczyzna wydawał się pewny swoich słów, więc nie podjął dyskusji. Zamiast tego przez kolejne czterdzieści minut pozwolił Josie prowadzić niezobowiązującą rozmowę, a sam skupił się na drodze, pragnąc jak najszybciej pozbyć się niechcianego pasażera.

— To tutaj! — Jeff nachylił się pomiędzy przednimi fotelami i wskazał na widoczny z daleka znak z nazwą hotelu.

Chase skręcił zgodnie ze wskazówkami i nieco zdziwiony odkrył, że faktycznie, po kilkuset metrach drogi w głąb lasu ich oczom ukazał się duży, pięknie oświetlony hotel, przystrojony weselnymi ozdobami.

Zaparkował pomiędzy wieloma innymi autami stojącymi na parkingu. Gdy tylko się zatrzymał, Jeff wyskoczył z pojazdu.

— Musicie koniecznie wejść razem ze mną — rzucił podekscytowany, zaglądając z powrotem do środka. — Charlotte się uśmieje, jak jej opowiem, co mnie spotkało. Będzie chciała was poznać.

Chase, który zdecydowanie nie rozumiał, dlaczego mieliby w ogóle chcieć wchodzić do środka, miał zamiar stanowczo odmówić i odjechać możliwie jak najszybciej. Jednak Josephine zaskoczyła go po raz kolejny, entuzjastycznie zgadzając się na propozycję Jeffa. Złapała za klamkę i spojrzała przelotnie na Chase'a, posyłając mu szeroki uśmiech, zanim opuściła samochód.

Nie miał pojęcia, co w nią wstąpiło i dlaczego zachowywała się zupełnie niepodobnie do siebie. Choć był przekonany, że zna ją na wylot, Josephine wciąż była w stanie go zaskoczyć i tamten wieczór był tego najlepszym dowodem.

Jednak czy tego chciał, czy nie, nie miał innego wyjścia, jak podążyć za dziewczyną. Wysiadł z auta z dziwnym przeczuciem, że to nie skończy się dobrze.

Rozdział 24

Chase nienawidził mieć racji.

— Musicie zostać! — Przyjaciółka Jeffa ewidentnie była osobą, która nie przyjmowała odmowy. W tym wypadku panna młoda koniecznie chciała przekonać Josie i Chase'a, że powinni dołączyć do zabawy weselnej.

Po co? Nie miał pojęcia. Ale z jakiegoś zupełnie niezrozumiałego dla chłopaka powodu Charlotte uważała zaproszenie dwojga zupełnie obcych jej ludzi za świetny pomysł.

— To naprawdę miłe z waszej strony, ale nie chcemy robić problemu. — Chase był skłonny założyć, że robiła to głównie z potrzeby odwzajemnienia się za pomoc Jeffowi i że jeśli będzie wystarczająco stanowczy, to może uda im się z tego wywinąć.

— To żaden problem. — Pan młody wzruszył ramionami, bagatelizując obiekcje chłopaka. — Wynajęliśmy cały hotel, więc miejsca jest aż w nadmiarze. A zrobicie nam wielką przyjemność, jeśli zgodzicie się zostać.

— Właśnie! — Jego świeżo upieczona żona przytaknęła mu z zapałem. — Wasze pojawienie się sprawiło, że ten wieczór jest jeszcze bardziej wyjątkowy. Bo ile par młodych może się pochwalić taką historią ze swojego ślubu?

Właściwie przekonywali jedynie Chase'a, bo chociaż Josephine z początku również odmawiała, to po jej minie łatwo było wywnioskować, że ma wielką ochotę zgodzić się na to szaleństwo.

— No dalej, zgódźcie się. — Jeff również był częścią komitetu uparcie próbującego ich przekonać. — Dostaliście właśnie zaproszenie na imprezę z darmowym jedzeniem, alkoholem i noclegiem. Co wam szkodzi?

Uwadze Chase'a nie umknął pełen wdzięczności uśmiech, jaki Charlotte posłała mu za wsparcie. Gdy tylko się pojawili, dziewczyna wpadła mu w objęcia z taką radością, że Chase nie mógł wyjść z podziwu, że jej mąż nie ma w sobie nawet cienia zazdrości. Co więcej, sam ucieszył się na jego widok.

Zastanawiał się, czy Philip jest aż tak ślepy, by nie dostrzec miłości w oczach Jeffa, czy ufa swojej żonie na tyle, by mieć pewność, że jej przyjaciel nie jest dla niego zagrożeniem. Tak czy inaczej, Chase właściwie od razu sklasyfikował relację tej trójki jako dziwną.

Cała ta sytuacja była dziwna. I absurdalna. I nikt poza nim nie wyglądał, jakby to dostrzegał.

Nawet jego twardo stąpająca po ziemi Josie już dawno dała się porwać szaleństwu tego wieczoru. Kiedy spojrzał na nią w nadziei na wsparcie, dostrzegł w jej oczach jedynie ekscytację, którą bardzo starała się ukryć.

— Podobno chciałaś być jak najszybciej w domu — przypomniał jej.

To prawda. Sama mu to powiedziała, gdy rozważali propozycję Rosalie. Ale to było, zanim życie rzuciło jej pod nogi idealną okazję, żeby pomóc Chase'owi chociaż na chwilę zapomnieć o wcześniejszych wydarzeniach tego dnia.

Sama chciała zostać, bo podobała jej się myśl zrobienia czegoś szalonego, tak niepodobnego do niej po ostatnich latach życia spędzonych wewnątrz ściśle wyznaczonych linii. Jednak ostateczną decyzję zostawiła jemu. Jeśli usłyszy kateryczne „nie”, pierwsza wsiądzie do samochodu. Ale najpierw zamierzała spróbować uzyskać „tak”.

— Przecież nic się nie stanie, jeśli wrócimy dzień później. — Uśmiechnęła się prosząco i Chase już wtedy wiedział, że sprawa jest przesądzona.

Cała sala gości mogłaby go namawiać, by został, ale tylko Josephine była w stanie naprawdę go przekonać.

— Gdzie się podziała twoja słynna spontaniczność?

Patrzyła na niego z wyzwaniem w oczach, takim samym, jakie on wielokrotnie jej rzucał, gdy namawiał ją do zerwania się ze smyczy i pozwolenia sobie na odrobinę szaleństwa. Tym razem role się odwróciły.

Chase potrzebował chwili, by dostrzec prezent, jaki starała się podarować jemu i przy okazji sobie.

Czuł się, jakby wręczała mu skrawek przeszłości. Bo spontaniczne zgodzenie się na dołączenie do zabawy weselnej kompletnie obcych ludzi bez myślenia o konsekwencjach, by się upić i zabawić, to było coś, co nastoletni Chase zrobiłby bez wahania, przy okazji wciągając w to Josie.

Dawała mu szansę, żeby przez chwilę poczuł się tamtym chłopakiem. Rzucała wyzwania, by oboje zapomnieli o ciężarze dorosłości i na jeden wieczór znów byli tamtymi niespełna osiemnastoletnimi dziećmi, które uciekają od problemów. By byli *Jose i Chase'em*.

A Chase zawsze podejmował rzucane mu wyzwania.

— W porządku, zostaniemy — powiedział w końcu, cały czas patrząc na Josephine, która uśmiechnęła się z satysfakcją.

Ich pojawienie się wywołało wśród gości ogólną ekscytację. Chase nie wiedział, czy to kwestia tego, że gdy w końcu weszli na główną salę, znaczna część bawiących się była już dosyć pijana, czy ich obecność faktycznie była jakimś cudem, powodem do radości. Bez względu na przyczynę szybko stali się drugą najbardziej interesującą parą wieczoru, zaraz po parze młodej.

Josephine bez trudu odnalazła się w towarzystwie, co nie było dużym zdziwieniem dla Chase'a. Wszyscy zakochiwali się w Josie, gdy tylko ją poznawali. Albo raczej gdy tylko pozwalała im dostrzec chociaż przeblysk tego, jaka naprawdę była.

Nie był nawet szczególnie zaskoczony, słysząc propozycję jednej z druzhen siedzących przy stoliku, do którego zostali dosadzeni. Dziewczyna już po chwili rozmowy zaproponowała Josie, że pożyczycy jej swoją zapasową sukienkę, z czego ta chętnie skorzystała.

O ile Chase ze swoją białą koszulą, którą zdecydował się założyć na odczytanie testamentu, całkiem przypadkiem się wpasował, o tyle czarna, wizytowa sukienka Josephine nadawała się bardziej na pogrzeb niż wesele.

Josie zostawiła więc Chase'a przy stoliku, by chwilę później wrócić ubrana w zwiewną sukienkę w kolorze pudrowego różu, która sprawiała, że chłopakowi było jeszcze trudniej niż zazwyczaj odwrócić od niej wzrok.

— Co? — zapytała Josie, gdy złapała spojrzenie Chase'a.

— Nic. — Wzruszył ramionami, ale wciąż na nią patrzył. — Po prostu ładnie wyglądasz w tej sukience. Młodziej, mniej poważnie — wymieniał, starając się znaleźć określenie, które w pełni oddałoby to, co myślał.

Jak moja Jose — odpowiedział mu głos w głowie, chociaż sukienka akurat miała z tym niewiele wspólnego. Chodziło o beztroskę w jej uśmiechu, zaczepny błysk w jej oczach.

— W końcu mamy dzisiaj siedemnaście lat — podsunęła niefrasobliwie, jakby wcale nie chodziło o wyjaśnienie, dlaczego po raz pierwszy od jej powrotu naprawdę widział w niej dziewczynę, która była jego jedyną miłością.

— Można prosić? — Brat pana młodego podszedł do nich, wdzierając się do ich prywatnej bańki.

Z uśmiechem wyciągnął rękę do Josie, a ona ją przyjęła, zanim Chase zdążył zaprotestować. Nie wiedział nawet, dlaczego chciał to zrobić.

Jednak nie było mu dane długo się nad tym zastanawiać, bo chwilę później znajoma już postać opadła na zwolnione przez Josephine krzesło.

— Wiesz, myślę, że jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż początkowo mogłoby się wydawać.

— Tak? — Spojrzał przelotnie na Jeffa i wrócił do oglądania Josie, która z szerokim uśmiechem tańczyła na parkiecie. — A skąd te wnioski?

— Obaj kochamy kobiety, których nie możemy mieć — odpowiedział chłopak zwyczajnie, niemal beztrosko.

— Nie kocham Josie. — Chase liczył, że zabrzmiał wystarczająco przekonująco, by skończyć tę rozmowę.

— Ale cholernie ci na niej zależy. — Jeff zdawał się nie zważać na niezadowolenie swojego rozmówcy i kontynuował tym samym luźnym tonem, jakby byli przyjaciółmi prowadzącymi miłą pogawędkę. — Patrzą na nią, jakby była najcenniejszym, co masz.

— Znasz nas kilka godzin. Co niby możesz wiedzieć o tym, co nas łączy? — Irytacja, którą zaczynał czuć, wystarczająco dowodziła, że w usłyszanym słowach było trochę prawdy. Mógł nie kochać Josie, ale zawsze będzie dla niego najcenniejsza.

— Może znam was krótko, ale za to mam oczy i wiem, co widzę. — Z rozbawieniem poprawił okulary, by podkreślić wypowiedziane słowa.

Chase nie odpowiedział, sądząc, że to zniechęci Jeffa do dotrzymywania mu towarzystwa, ale chłopak był niezwykle odporny na jego nieprzyjętność. Trochę przypominał mu Archera z początków ich przyjaźni.

— Jak ty to znosisz? — odezwał się, decydując, że może przynajmniej zaspokoić dręczącą go ciekawość. — Świadomość, że Charlotte wyszła za innego mężczyznę. Mówisz, że ją kochasz, a jednocześnie wydajesz się autentycznie szczęśliwy z jej powodu. Dlaczego?

— Właśnie dlatego, że ją kocham — odparł po prostu, jakby to było oczywiste. — Znamy się od dziecka i byłem w niej zakochany, odkąd tylko pamiętam, ale zawsze wiedziałem też, że nigdy nie będę wystarczająco dobry. Za to Philip jest dla niej idealny i da jej życie, na jakie zasługuje. Życie, którego ja nigdy nie mógłbym jej zapewnić. Jest z nim szczęśliwa, a czego więcej można chcieć dla osoby, którą kochasz nad życie?

— Więc tak po prostu pozwolisz jej odejść? — Chase spojrzał na chłopaka, ale on był odwrócony w drugą stronę, gdzie tańczyła para młoda.

Podążył za jego spojrzeniem i przez chwilę obaj w milczeniu obserwowali dwójkę zakochanych. Szerokie uśmiechy i szczerą miłość bijącą z ich oczu nie pozostawiała wątpliwości co do tego, czy są szczęśliwi.

— Ja już miałem swoją szansę. Kiedyś, lata temu, przez chwilę była moja. Wykorzystałem ten czas najlepiej, jak mogłem. — Jeff na krótko wrócił wzrokiem do Chase'a, by za chwilę wśród tańczących odnaleźć Josephine. — I tobie radzę zrobić to samo. Wykorzystaj każdą minutę, jaka ci została.

— Można? — Chase, być może pod wpływem słów Jeffa, w końcu zebrał się na odwagę, by podejść do Josephine i tańczącego z nią starszego mężczyzny.

Partner dziewczyny bez wahania skinął głową i w szarmanckim geście pocałował ją w dłoń, zanim się oddalił, zapewne na poszukiwanie kolejnej partnerki.

— Dziękuję. — Spojrzała z wdzięcznością na Chase'a, gdy zaczęła się kolejna, tym razem spokojniejsza piosenka, i chłopak przyciągnął ją do siebie. — Wujek Steve uwielbia tańczyć, ale niestety jego pasja nie idzie w parze z talentem. Nie miałam serca mu odmówić, ale moje stopy pewnie są już całe w siniakach.

— Cóż, cieszę się, że mogłem pomóc. — Cicho parsknął śmiechem, bujając się z nią do rytmu piosenki. — Ale nie wiem, czy nie wpadłaś z deszczu pod rynnę. Jak pewnie pamiętasz, taniec nie jest moją najmocniejszą stroną.

Wbrew temu, co mówił Chase, Josephine zgrała się z nim idealnie już przy pierwszym kroku. W przeciwieństwie do kilku innych partnerów, z którymi miała okazję tańczyć wcześniej, z Chase'em jej ciało poruszało się instynktownie i całą uwagę mogła poświęcić rozmawianiu z nim bez myślenia o kolejnych krokach.

— Nie bądź taki skromny. — Pacnęła go żartobliwie w ramię, na chwilę zsuwając jedną z dłoni zaplecionych na jego karku. — Całkiem nieźle ci szło.

— Miałem bardzo dobrą nauczycielkę. — Mrugnął do niej, uśmiechając się na powracające wspomnienia.

Jej usta były tak blisko, że Chase z bólem uświadomił sobie, jak łatwo byłoby je pochwycić swoimi.

— Albo to DJ grał tak dobrą muzykę.

Czuł ją każdym swoim zmysłem. Ciepło jej ciała, zapach tych samych słodkich perfum, których używała, gdy była jego.

— Albo to kwestia praktyki — dorzucił kolejną możliwość, ledwo pamiętając, o czym rozmawiali.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że gdyby tuż za oknem hotelu spadł meteor, Chase nawet by tego nie zauważył. Tak bardzo każda komórka jego ciała była skupiona na bliskości Josephine.

— Albo wypitego alkoholu — dodała jeszcze.

Albo zwyczajnie tego, że gdy ze sobą tańczyli, cały świat na chwilę znikał. Byli tylko oni, wirujący szaleńczo do starych przebojów pośrodku zagraconego pokoju na szczycie latarni lub kołyszący się pod gwiazdami, traktujący szum fal jak ulubioną muzykę. Żadne wystawne bale, w których Josephine miała okazję później uczestniczyć, nie mogły się z tym równać.

Podobnie jak nic nie mogło się równać z uczuciem, jakie dawało jej bycie w ramionach Chase'a. Nie powinna rozkoszować się jego bliskością w ten sposób, a jednak to robiła, przez krótką chwilę naiwnie życząc sobie, by naprawdę mieli siedemnaście lat i mogli zbliżyć się jeszcze bardziej.

Do końca piosenki już się nie odezwali, tkwiąc w swoich głowach i walcząc z własnymi pragnieniami.

Gdy zespół ogłosił kilka minut przerwy, Charlotte i Philip ruszyli do nich, zanim zdążyli w pełni otrząsnąć się z atmosfery tego momentu. Josephine skrzywiła się, podejrzewając, w jakiej sprawie do nich idą.

— Jest coś, o czym prawdopodobnie powinnam ci powiedzieć. — Posłała chłopakowi spojrzenie pełne skruchy, chcąc go przygotować na to, w co go niechcący wpakowała.

— Dlaczego masz minę, jakbyś zrobiła coś złego? — Zmarszczył brwi, patrząc na nią podejrzliwie.

— Istnieje szansa, że wygadałam się przed Charlotte, że masz niesamowity głos, i prawdopodobnie idzie tu teraz, żeby cię namówić na zaśpiewanie — wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

Wspomniana dziewczyna pojawiła się przy nich w towarzystwie męża, zanim Chase zdążył się odezwać.

— Wiesz już, co chcesz śpiewać?

— Nic. Bo nie zamierzam śpiewać. — Nie miał najmniejszej ochoty zgadzać się na pomysł ze śpiewaniem, nieważne, jak bardzo Josephine tego chciała.

— No weź, nie daj się prosić. — Charlotte nie wyglądała, jakby miała zamiar łatwo się poddać. — Nie będziesz jedyny. Kilka innych osób też chciało zaśpiewać.

— Wciąż nie ma mowy. — Nie śpiewał publicznie od lat. Właściwie od wyjazdu Josephine nie śpiewał praktycznie w ogóle.

Josie spodziewała się, że namówienie go nie będzie łatwe. Jednak po tym, jak usłyszała ostatnio jego nieśmiałe podśpiewywanie pod nosem w antykwariacie, nie mogła sobie odmówić przyjemności posłuchania go ponownie na scenie chociaż ten jeden raz.

Dlatego poczekała, aż spojrzenie chłopaka wyląduje na niej, i uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafiła.

— No dalej, Elvis. Jedna piosenka w imię starych dobrych czasów.

Chase'owi wydawało się, że patrzy na niego z uśmiechem, który nawet samego Boga bez trudu zaciągnąłby na dno piekła. Nie miał najmniejszych szans.

— Jedna piosenka. — Robił to tylko i wyłącznie dla niej.

Został nagrodzony kolejnym uśmiechem. Tym razem z rodzaju tych, za które on sam wybrałby się do piekła, a nawet dalej.

Charlotte mówiła prawdę, bo chwilę później na scenie pojawiły się dwie dziewczyny, na tyle podobne do panny młodej, że Chase uznał, że muszą być jej siostrami. Zapowiedziały, że dedykują piosenkę Charlotte i Philipowi.

Okazało się, że nastolatki swoim występem zachęciły kolejnych śmiarków w różnym stanie trzeźwości, którzy z mniejszym bądź większym talentem próbowali swoich sił. Szybko przerodziło się to w pijacki konkurs karaoke na najlepszą piosenkę zadedykowaną młodej parze.

W końcu przyszła kolej na Chase'a, który został powitany głośnym wiwatem ze strony Josephine. Z pewnym wahaniem chwycił gitarę akustyczną należącą do wynajętego zespołu i odwrócił się do zebranej widowni.

— Niestety nie znam żadnej piosenki o szczęśliwej miłości. Oczywiście parze młodej życzę wszystkiego dobrego i mam nadzieję, że nie weźmiecie tego do siebie — wytłumaczył się przeproszająco, powodując śmiech zebranych. Philip wykrzyczał kilka słów zapewniających, że nie mają nic przeciwko.

Chase kłamał. Naturalnie znał mnóstwo piosenek, które bardziej pasowałyby do okoliczności, ale on nie śpiewał dla młodej pary. Odnalazł wzrokiem Josephine i zaczął grać.

Josie potrzebowała kilku sekund, by otrząsnąć się z pierwszego szoku, w jaki wprawił ją głos Chase'a. Dopiero po chwili zaczęła zwracać uwagę na tekst piosenki.

— *All nights to the early morning, just damaging our health. Sunrises without warning, and history repeats itself. Last time ended so bad...**

Śpiewane słowa w połączeniu ze spojrzeniami, jakie posyłał jej ze sceny, nie pozostawiały wątpliwości, o czym, a właściwie o kim jest ta piosenka. Chase nawiązywał do wspólnie spędzonego lata i wszystkich nocy, które spędzili, robiąc wszystko poza snaniem, aż zaskakiwał ich wschód słońca. A teraz znów robili to samo, chociaż poprzednio skończyło się tragicznie.

— *Just looking for a way to get the feeling back.*

Oboje to robili. Świadomie lub nie szukali sposobu, by przywrócić do życia minioną przeszłość i chociaż przez chwilę poczuć tamte uczucia. Przypomnieć sobie, jak to było — czuć tamto szczęście.

— *You said you would wait. It's written all over your face. You're just like the rest, so heartless. I said I would wait, but they keep dragging me away.*

Tamtego lata złożyli sobie tyle obietnic. Że nigdy nie przestaną się kochać. Że zawsze będą mieć nadzieję na drugą szansę. Że nie staną się dla siebie tylko niechcianymi duchami przeszłości. A po latach okazało się, że oboje zawiedli, i Josie nie była pewna, czy Chase ma większy żal do niej, czy do siebie.

— *I go running to my friends, they always make it better. I've been sitting on the fence, need to forgive or forget her. I can't walk away.*

Niektórzy słuchali w całkowitym zachwycie, a inni otwarcie komentowali występ chłopaka, jednak Chase nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, podobnie jak na wszystko inne. Nie istniało nic poza parą niebieskich oczu, które błyszczały łzami.

Słowami piosenki próbował przekazać Josephine wszystkie uczucia, które zabijały go od środka, i wnioskował po jej reakcji, że rozumiała. Że mimo tylu lat ją też wciąż rozdzierał ten sam żal, że ich historia skończyła się w ten sposób.

* Cytaty pochodzą z piosenki zespołu Seafret *Heartless*.

— *She'll search for another. She'll never look back. And she's so pretty, I'm just not like that.*

Głos Chase'a załamał się na moment, a ta słabość sprawiła jej fizyczny ból. Przez chwilę miała wrażenie, że w jego oczach zabłyszczały łzy, gdy wciąż uparcie utrzymywał z nią kontakt wzrokowy.

— *Why go through this? When it's so heartless.*

Gdy dotarli pod drzwi przydzielonego im pokoju, na zewnątrz już świtało. Byli jedną z ostatnich par, które opuściły parkiet, i chociaż jutro mieli tego żałować, podobnie jak ilości wypitego alkoholu, musieli przyznać, że od lat nie bawili się tak dobrze, jak tamtej nocy.

— Moje nogi będą umierać przez następny tydzień. — Josie z westchnieniem ulgi zdjęła buty na obcasie, gdy tylko zamknęli za sobą drzwi do pokoju. — Nie wiem, czy przez całe życie przetańczyłam tyle, co dzisiaj.

— To na pewno. — Chase parsknął rozbawiony, zdejmując marynarkę. — Byłem pewien, że jeszcze trochę i będę musiał ściągnąć cię z parkietu siłą.

— Przecież nie musiałeś na mnie czekać, żeby iść do pokoju — wypomniała mu, usilnie próbując dosięgnąć zamka z tyłu sukienki.

Prawdopodobnie powinna poświęcić tej czynności trochę więcej myśli, zanim w ogóle do niej przystąpiła. Zamiast tego traktowała fakt, że będzie spała w bieliźnie, dzieląc łóżko z Chase'em, jak najnormalniejszą rzecz na świecie. Może była zmęczona, może wciąż odrobinę pijana, ale nie przyszło jej nawet do głowy, by poczuć z tego powodu choćby cień dyskomfortu.

— I zostawić cię samą na pastwę wszystkich wujków? — rzucił, skupiając uwagę na rozpinaniu guzików swojej koszuli. — W życiu.

— Pomożesz mi? — Josephine podeszła do niego, pogodziwszy się z przegraną walką. Zamek sukienki się zaciął, a bała się, że jeśli użyje siły, rozerwie delikatny materiał.

Delikatnym ruchem odgarnął jej długie włosy na jedno ramię i zdecydowanie wolniej, niż było to konieczne, uporał się z zamkiem.

— Dawno cię takiej nie widziałem — wyznał, z roztargnieniem sunąc palcem w górę jej odsłoniętej skóry.

Josephine nie miała szansy ukryć dreszczy, jakie wzbudził ten niewinny dotyk.

— Niby jakiej? — Odwróciła się do niego przodem i spojrzała z zaciekawieniem.

— Pełnej życia — wyjaśnił. Opuścił dłoń, ale wciąż znajdował się niebezpiecznie blisko niej. — Zapomniałem już, jak twoje oczy błyszczą, kiedy jesteś naprawdę szczęśliwa.

— Może to alkohol? — rzuciła z uniesioną brwią, starając się żartem rozładować narastające napięcie.

— Może. — Skinął głową z lekkim uśmiechem. — Ale nie wydaje mi się.

Spuściła wzrok, nie mogąc znieść sposobu, w jaki na nią patrzył. Jej spojrzenie zatrzymało się na jego odkrytej klatce piersiowej. Tatuaż latarni odznaczał się na tle bladej skóry niczym znak ostrzegawczy. Przypomnienie historii, która została już opowiedziana.

— Ta piosenka, którą śpiewałeś, jest o nas. — Sama nie była pewna, czy pyta, czy zwyczajnie stwierdza fakt.

— A czy ja kiedykolwiek śpiewałem ci piosenkę, która nie jest o nas? — Głos Chase'a był niewiele głośniejszy od szeptu. — Wszystko zawsze było o tobie. Dla ciebie. — Jego dłoń drżała, gdy zawiązał jej kosmyk włosów za ucho. — Przez ciebie.

— Więc wybaczasz czy zapominasz? — zapytała, cytując słowa, które wcześniej zaśpiewał.

— Nie potrafię odejść. — Również użył słów piosenki.

Jednak żadna piosenka nie tłumaczyła tego, co w tej chwili robili. Nie usprawiedliwiała tego, jak nierozsądni byli, nie przerywając w porę czegoś, co mogło doprowadzić jedynie do katastrofy.

— Więc może powinieneś podejść bliżej? — Josie nie myślała w tamtej chwili jasno.

Może nawet nie myślała w ogóle, nie wiedziała. Wszystko zagłuszało jej głośno bijące serce, które krzyczało, że wciąż są za daleko, chociaż ich ciała niemal do siebie przylegały.

Nigdy nie sądziła, że można pragnąć czegoś tak bardzo, że aż boli, a w tym momencie pragnęła w ten sposób bardzo wielu rzeczy. Wszystkie wydawały się jednocześnie na wyciągnięcie ręki i zupełnie poza jej zasięgiem.

Dlatego, prawie jakby chciała sobie coś w ten sposób udowodnić, uniosła dłoń i dotknęła tatuażu na jego piersi. Czuła mocne uderzenia pod opuszkami. Dowód, że Chase również toczył ze sobą walkę.

Wypuścił z siebie ciche westchnienie, jakby ten kontakt sprawił mu ból.

— Jose...

Nie wiedziała, czy użył zdrobnienia specjalnie, czy jego głos zwyczajnie się załamał i nie był w stanie dokończyć, ale to wystarczyło, by zburzyć wszystkie mury, które latami piętrzyły się po obu stronach.

Nachylili się do siebie w tym samym ułamku sekundy, spotykając się w połowie drogi, by pocałunkiem zamknąć dzielącą ich odległość. A kiedy ich usta się zetknęły, oboje mieli wrażenie, że ich mały świat zatrzęsł się w posadach. Czuli się, jakby właśnie wzięli pierwszy oddech od sześciu lat.

Popełnienie błędu jeszcze nigdy nie wydawało się tak właściwe.

— Jose...Jose... — powtarzał w kółko pomiędzy kolejnymi pocałunkami, które dziewczyna składała, jakby chciała spić ten dźwięk z jego ust. — Jose. — Wiedział, że błagał, choć nie miał pojęcia o co.

Josephine nie powiedziała nic, niepewna, czy jakiegokolwiek znane jej słowa byłyby w stanie oddać chociaż w niewielkiej części to, co czuła. Nic nie mogło się z tym równać. Nic nie było równie obezwładniające i nawet wszystkie ich poprzednie zbliżenia bladły w porównaniu z tym momentem i z tym uczuciem, którego wybuch mogła porównać jedynie do siły bomby atomowej.

Dawniej intymność między nimi była przesiąknięta miłością i czułością, którą wkładali w każdy gest, niemal czcząc siebie nawzajem. Teraz nie było po tym śladu. Napędzał ich jedynie głód podsycany tęsknotą, która paliła niczym ogień.

Chase nie spytał, czy jest pewna. Nie sądził, że istnieje w nim jeszcze zdolność składania zdań albo że jest w stanie się w ogóle odsunąć

choćby na tyle, by zapytać. Ufał swoim instyktom, a one jasno podpowia-
dały mu, że rozgrzane dłonie Josie próbujące zdjąć jego koszulę
i jej usta pokrywające pocałunkami każdy odsłonięty fragment skóry
nie pozostawiają wątpliwości, że dziewczyna pragnie go tak samo, jak on
pragnął jej.

Dlatego pozwolił, by to uczucie pochłonęło go bez reszty, i zamiast
myśleć, postanowił działać. Niecierpliwym ruchem zsunął ze smukłego
ciała dziewczyny rozpiętą już sukienkę, a gdy tylko materiał upadł na zie-
mię, przyciągnął Josephine jeszcze bliżej, łapiąc ją za biodra i unosząc,
by ruszyć w stronę łóżka.

Chociaż ich ruchy były pełne gwałtowności, zdawali się odnajdy-
wać w tym chaosie bez najmniejszego trudu, jakby poruszali się wedle
doskonale znanego układu. Nawet lata spędzone z dala od siebie nie
były w stanie zamazać tego, że pasowali do siebie jak dwa elementy
układanki.

Nic nie mogło zmienić tego, że pomimo wszystkich swoich wad
razem tworzyli idealną całość.

Rozdział 25

Obudzenie się w jego ramionach było dziwne. Przez pewien czas, jeszcze przed całkowitym przebudzeniem, balansowała gdzieś na granicy snu i świadomości, czując ciepłe ciało ciasno oplatające jej własne, i była przekonana, że to najlepsze uczucie na świecie. Jakby dokładnie tam było jej miejsce.

Jednak z każdą sekundą sen odpływał coraz dalej, zastępowany przez rzeczywistość. A kiedy w końcu udało jej się poukładać w głowie wydarzenia i dopasować je do kojącego dźwięku bijącego tuż przy jej uchu serca, w jej własne wkradła się panika.

— Chase! — Uniosła się na tyle, na ile pozwalały jej ramiona bruneta, wciąż owinięte wokół jej ciała, i szturchnęła go, próbując obudzić. — Obudź się! — Sama nie wiedziała, co w tej sytuacji mogła zmienić przytomność chłopaka. Może po prostu chciała, żeby razem z nią stawiał czoła temu, co zrobili, by nie musiała robić tego w pojedynkę.

Chase jednak nie miał takiego zamiaru. Przynajmniej na razie.

— Jeszcze chwila — zaprotestował niewyraźnie.

Josie starała się ignorować to, co z jej sercem robił zachrypnięty głos chłopaka, i szarpnęła go jeszcze raz.

— Daj mi się tym nacieszyć jeszcze chwilę. — Przez cały czas nawet nie otworzył oczu i wciąż na wpół śpiąc, przyciągnął dziewczynę z powrotem do siebie.

— Ale...

— Ale nic już nie możemy zrobić — uciszył jej protest. — Później się zmiierzmy z rzeczywistością. Teraz śpij — powiedział cicho i przycisnął usta do jej czoła, składając na nim długi pocałunek pełen czułości.

Josephine chciała nadal protestować, jednak ze zdziwieniem odkryła, że jej własne ciało ją zdradza, całkowicie poddając się woli Chase'a. Miała wrażenie, że kości we wszystkich kończynach roztopiają się od tkiwości jego gestów i ciepła jego ciała. Z cichym westchnieniem zrezygnowała z walki i jedynie wtuliła twarz w szyję chłopaka, pozwalając, by jego kojący zapach ukołysał ją z powrotem do snu.

Chwila, o którą prosił Chase, niepostrzeżenie zmieniła się w kilka godzin. Ostatecznie obudziło ich dopiero pukanie do drzwi jednego z pracowników hotelu, który przyszedł poinformować, że powinni przyjść na śniadanie.

Josephine była za to wdzięczna, bo przynajmniej pod pozorem pośpiechu mogła ukryć to, że nie ma pojęcia, jak się teraz zachować wobec Chase'a. Chciałaby podejść do sprawy jak dorosła i zmierzyć się z konsekwencjami. Ale brakowało jej odwagi.

Zdecydowanie nie pomagało to, że sam Chase zachowywał się, jak gdyby poprzedniej nocy nic się nie stało. Przy śniadaniu swobodnie rozmawiał i żartował z pozostałymi osobami przy stoliku, nie zważając na małomówność Josie. Pozwolił sobie nawet nałożyć jej jedzenie na talerz, gdy tylko się zorientował, że dziewczyna nie zamierza nic jeść.

Nie widziała w nim nawet śladu napięcia, chociaż musiała przyznać, że nie przyglądała się zbyt dokładnie, za bardzo zajęta chaosem we własnej głowie.

— Pójdę się pożegnać z Charlotte i Philipem. — Gdy w końcu śniadanie powoli dobiegało końca, zdobyła się na odwagę, by się odezwać. Wciąż jednak nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. — Jak wrócę, możemy ruszać w drogę.

Pośpiech z wyjazdem wcale nie był konieczny, bo para młoda zapewniała, że hotel jest wynajęty do następnego dnia, więc mogli zostać dłużej. Josephine chciała jednak jak najszybciej znaleźć się w domu i w spokoju sobie wszystko poukładać. Obecność bruneta była w tym momencie trudna do zniesienia.

— Gotowa? — Chase podszedł do niej, gdy wymieniała ostatnie pożegnania z Charlotte.

Jeszcze raz uściskała dziewczynę, życząc jej wszystkiego dobrego, i ruszyła za chłopakiem do wyjścia, po drodze kiwając na pożegnanie jeszcze kilku osobom.

— Okej, ja to widzę tak — zagadnął swobodnie, gdy już znaleźli się w samochodzie i wyjechali z parkingu, zostawiając za sobą hotel. — Mamy dwie opcje. Możemy udawać, że nic się nie stało, odczekać kilka dni, aż napięta atmosfera stanie się nie do wytrzymania, i wtedy się pokłócić. Albo możemy też zacząć od razu się na siebie wydzierać i zobaczyć, gdzie nas to doprowadzi. Jak dla mnie obie opcje są w porządku, dopóki faktycznie będziemy ze sobą rozmawiać, bo to, co robisz teraz, jest nie do wytrzymania.

Nie doczekał się żadnej reakcji. To był jeden z tych niewielu momentów, kiedy nie miał pojęcia, co Josie chodzi po głowie. Nie była do niego wrogo nastawiona, nie wydawało mu się, by była wściekła, ale jednocześnie na palcach jednej ręki mógł policzyć słowa, które do niego wypowiedziała, odkąd opuścili pokój hotelowy.

— No dalej, Jose — zachęcił delikatnie, zmotywowany, by za wszelką cenę zmusić ją do rozmowy. — Mieliliśmy już rozmowy na gorsze tematy niż to, że przespaliśmy się ze sobą po pijaku. — Nie był tego taki pewien, ale coś by się pewnie znalazło. — Wściekaj się na mnie, jeśli chcesz, krzycz, możesz mi nawet powiedzieć, że mnie nienawidzisz, wezmę wszystko. Tylko ze mną porozmawiaj.

— Nie zamierzam na ciebie krzyczeć. Nie jestem na ciebie zła. — W głosie Josephine próżno byłoby szukać jakichkolwiek emocji. — To w ogóle nie ma z tobą nic wspólnego.

— Jasne — prychnął. — Bo przecież ja w tym czasie byłem w pokoju obok i grałem w rozbieranego pokera z wujkiem Paulem i ciotką Muriel, a obudziłem się nago obok ciebie tylko dlatego, że jestem beznadziejny w karty.

— Tak, ale to nie ty masz narzeczonego, którego zdradziłeś — odparowała, niewzruszona jego próbą żartu.

— A skąd wiesz, że nie mam? — Chase uznał, że jeśli będzie próbował wystarczająco długo, to albo ją w końcu rozbawi, albo zezłości. Wolałby pierwszą opcję, ale nawet złość byłaby jakimś postępem.

— Bo nie zrobiłbyś czegoś takiego drugiej osobie. — Nawet nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią. — Nie zapomniałbyś, że za pół roku bierzesz ślub. A ja to zrobiłam, bo nawet przez sekundę wczoraj nie pomyślałam o Carterze. — To właśnie przerażało ją najbardziej, i o ile nie była zła na Chase'a, tak powoli doprowadzał ją do szału jego brak zrozumienia powagi sytuacji. Dlatego po chwili dodała z jadem: — A tak w ogóle to jestem na tabletkach, na wypadek, gdyby cię to zastanawiało.

Nie zastanawiało, bo do tej pory jakimś cudem ten temat w ogóle nie przeszedł mu przez myśl. Przetarł twarz wolną dłonią, wzdychając ciężko, gdy zaczęło do niego docierać, dlaczego Josephine tak gnębi to, co zrobili.

To nie był zwykły pijacki wyskok. To był dowód, jak niebezpieczni dla siebie byli. Mieli zapomnieć tylko o problemach, a przez przypadek zapomnieli dosłownie o wszystkim. Josephine była przerażona świadomością, jak bezmyślni potrafili być, ile granic przekroczyli i jak wiele tym ryzykowali.

— Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że żałuję? — Pokręcił głową, nie odwracając wzroku od drogi. — Wiesz, że to nie jest prawda, Jose. Prawdopodobnie powinienem. Może i nie mam wobec nikogo żadnych zobowiązań, ale to nie zmienia faktu, że jestem dupkiem, bo wcinam się między ciebie i Cartera i niszczę wszystko, co sobie ułożyłaś. Ale to niczego między nami nie zmienia, przynajmniej z mojej strony. Nie zacząłem znowu czegoś do ciebie czuć, nie robię sobie nadziei, że zerwiesz zaręczyny, a zwyczajnie dobrze było poczuć się chociaż na chwilę tak, jak kiedyś. Więc czysto egoistycznie nie mam czego żałować.

Josie potrzebowała bardzo długiej chwili, by zebrać się na podobną odwagę, jaką wykazał się Chase, dzieląc się z nią swoim punktem widzenia. Ale koniec końców to właśnie była kwintesencja ich relacji — jeśli istniało coś takiego jak nadmierna szczerość, to oboje cierpieli na tę wadę.

— Ja też nie żałuję. — To prawdopodobnie było najgorsze.

Wiedziała, jak *powinna* się czuć. Powinna się sobą brzydzić i gardzić. I faktycznie, w bardzo pokrętny sposób te uczucia były obecne w jej sercu, jednak nie w reakcji na samą zdradę — tylko z powodu braku jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

Prawda była taka, że nie czuła się, jakby kogoś zdradziła, bo jej związek z Carterem był nim tylko z tytułu. W praktyce przypominał zimną i wykalkulowaną umowę biznesową.

Zdawała sobie sprawę, że to jej nie tłumaczy ani nie zmienia tego, że była okropną osobą. Carter nie oczekiwał od niej miłości, jedyne, na czym mu zależało, to lojalność, a poprzedniej nocy Josephine z krete-
sem poległa w zachowaniu jej. Ale jednocześnie wiedziała, że nawet gdyby mężczyzna poznał prawdę, nie zerwałby zaręczyn. Znalazłby sposób, by ją ukarać, ale dopóki nikt inny by się nie dowiedział i nie nad-szarpnęło by to jego wizerunku, zamiótlby sprawę pod dywan.

— Z nami jest coś bardzo nie tak — oznajmiła, opierając głowę o za-główek fotela.

— Nie mogę się nie zgodzić. — Ich relacja nigdy nie była normalna i nic nie wskazywało, by to się miało kiedyś zmienić. — Ale hej, przy-najmniej siedzimy w tym razem. Ty i ja przeciwko światu. Prawie jak Shrek i Osioł.

— Jesteś idiotą. — Josie wywróciła oczami, ale w kącikach jej ust zaczęła pojawiać się cień uśmiechu.

— Poprawka. Jestem twoim *ulubionym* idiotą — podkreślił z satysfakcją.

W ich obecnej sytuacji absolutnie nie było nic zabawnego, bo jednym błędem skomplikowali rzeczy, które nawet bez tego były wystarcza-
jąco trudne. Na przykład ich relacja, która była teraz tak poplątana, że przypominała pięciometrowy łańcuch lampek choinkowych wrzucy-
onych beztrzesko do kartonu po świętach i wyjętych rok później.

Ale jeśli przez lata przyjaźni z Archerem Chase czegokolwiek się od niego nauczył, to właśnie tego. Że jeśli czasami mierzysz się z proble-
mem, którego nie potrafisz rozwiązać, najlepiej jest zacząć śmiać się

mu prosto w twarz. Jasne, to nie sprawi, że problem zniknie, ale przynajmniej tobie będzie weselej.

— Co robisz? — zapytała Josie, gdy zauważyła, że chłopak skręca na parking pod przydrożną knajpką.

— Idziemy coś zjeść. — Wzruszył ramionami, parkując pod restauracją.

— Już jedliśmy — zaprotestowała. Jej humor może i był minimalnie lepszy, niż kiedy wyjeżdżali, ale wciąż wołała jak najszybciej znaleźć się w odosobnieniu własnego pokoju. Potrzebowała chwili na poukładanie sobie wszystkich wydarzeń ostatnich godzin.

— Ja jadłem — poprawił ją. — Za to ty ledwo ruszyłaś to, co miałaś na talerzu. Poza tym nie wypiałaś nawet kawy, a oboje dobrze wiemy, że bez kofeiny z rana jesteś gorsza niż ja bez papierosa.

— Kawa nie rozwiązuje wszystkich problemów.

— Przypomnij mi, żebym zapisał to w swoim pamiętniczku, bo to musi być pierwszy raz w historii ludzkości, kiedy te słowa padły z twoich ust. — Chase błysnął uśmiechem na próbę, ale nie dostał w odpowiedzi nawet krzty rozbawienia. — Wiem, że chcesz już wrócić do domu, żeby móc się w spokoju zadrećcać, i nie mogę zrobić nic, żeby cię przed tym powstrzymać. Ale jako dobry przyjaciel mogę przynajmniej dopilnować, żeby moja przyjaciółka nie zadrećcała się z pustym brzuchem — wyjaśnił i tym razem nie było już śladu po wcześniejszej błazeńskiej wesołości, jedynie szczerą troską.

— Nie sądzisz, że *dobry przyjaciel* i *przyjaciółka* brzmią raczej średnio w obliczu wcześniejszych wydarzeń? — zapytała kąśliwie, by trochę zepsuć jego satysfakcję, że udało mu się ją przekonać.

— Wybacz, że nie mam pod ręką słownika, żeby znaleźć lepsze określenie na coś tak popieprzonego jak nasza relacja — odgryzł się z sarkazmem. Ot tak, gdzieś pomiędzy jednym słowem a drugim, wszystko wróciło na swoje miejsce.

Ruszyli wspólnie w stronę wejścia do knajpki i Josie nie mogła nie zauważyć, że idą znacznie bliżej siebie niż robili to dotychczas, a ich luźno opuszczone dłonie ocierały się o siebie, jakby prosząc, by je ze sobą spleść.

— Jak już jakiś znajdziesz, to szukaj pod „w” — poradziła. — Jak „wariactwo”.

— Zawsze mogę jeszcze wrócić do nazywania cię Jose.

— Co? — Zmarszczyła brwi, bo dopiero dźwięk tego zdrobnienia zmusił ją do odwrócenia uwagi od ich ocierających się dłoni.

Do jej głowy wpadło zupełnie niechciane wspomnienie minionej nocy i Chase’a, który bez końca szeptał jej imię, trzymając ją w swoich ramionach.

— Josephine brzmi zbyt sztywno, a Josie mówią wszyscy inni, więc... *Jose*. — Mówienie do niej inaczej niż zwyczajowym zdrobnieniem było zwyczajnie nienaturalne. — Jeśli nie masz nic przeciwko.

— Nie mam — odpowiedziała bez zawahania, bo jak mogłaby mieć?

Z pozoru to nic nie znaczyło, zwykłe zdrobnienie. Jednak to konkretne zawsze było zarezerwowane tylko dla niego i w pewien sposób w pełni oddawało ich obecną relację. Nie była już jego miłością, nie była też wyłącznie jego przyjaciółką, ale nadal była *jego Jose*.

Wszystkie wyjazdy z Chase’em miały jedną wspólną cechę. Nieważne, po co wyjeżdżali ani na jak długo znikali, Josephine niezmiennie i z niebywałą łatwością odrywała się wtedy od rzeczywistości.

I zazwyczaj owa rzeczywistość dawała o sobie znać, gdy tylko Josie rozstawała się z brunetem, uderzając ją prosto w twarz i przygniatając swoim ciężarem. Z doświadczenia dziewczyna wiedziała także, że powroty na ziemię bywają bolesne.

Podobnie było i tym razem. Dopiero gdy zatrasnęły się za nią drzwi wejściowe, Josephine przypomniała sobie, że w całej spontaniczności poprzedniego wieczoru nie pomyślała nawet przez chwilę o tym, że powinna poinformować Williama, że jej nieobecność nieco się przedłuży. Złamała tym samym obietnicę, którą złożyła mu po swoim ostatnim zniknięciu.

Poczuła napływające wyrzuty sumienia, bo zdawała sobie sprawę, że jej brat mógł się o nią martwić. Zwłaszcza że, jak podejrzewała, jej

telefon leżał gdzieś na dnie torebki, wyciszony jeszcze od spotkania z adwokatem lub nawet rozładowany. W myślach przekłęta własną nieodpowiedzialność i ruszyła do salonu, z którego dobiegały odgłosy włączanego telewizora.

— O, wróciłaś. — William spojrzął na nią przelotnie, wrzucając sobie do ust garść popcornu, i wrócił do patrzenia na ekran. Cała rodzina leżała wspólnie przed telewizorem, oglądając film animowany.

Josie zmarszczyła brwi, nieco zdziwiona zachowaniem brata. Spodziewała się, że będzie zły i zmartwiony, a tymczasem wyglądał, jakby jego siostra wyszła z domu na pięć minut, a nie dwie doby, chociaż zaręczała, że wróci jeszcze tego samego dnia.

Wcześniej nie wiedziała, jak wytłumaczyć bratu powód swojego wyjazdu, by nie brzmiało to dziwnie, więc ostatecznie zdecydowała się na bezpieczną półprawdę. Powiedziała, że jedzie z Chase'em, bo poprosił ją o pomoc w pewnej prawnej kwestii, popierając to drobnym żartem, że w końcu jej studia na coś się przydadzą. William uwierzył i nawet sam uznał, że jak najbardziej powinna z nim jechać.

Jednak teraz nie wiedziała, co powiedzieć, gdy on albo Crystal zapytają, dlaczego wróciła dopiero teraz. Czowała się, jakby miała na czole wypisane, co zaszło pomiędzy nią a Chase'em.

— Przepraszam, że nie dałam wam znać wcześniej, że nie wrócę na noc. Musieliście się martwić. — Usiadła na fotelu, w głowie już układając wiarygodne wytłumaczenie.

— Właściwie to nieszczególnie. Uznaliśmy, że wasze sprawy pewnie się przeciągnęły. — Wzruszył ramionami. — Poza tym byłeś z Chase'em. Co złego mogłoby ci się stać?

— Ledwo go znasz — wytknęła, próbując zwalczyć zaskoczenie, w jakie wprawiły ją słowa brata.

— Widocznie zrobił na mnie bardzo dobre pierwsze wrażenie — wyjaśnił z przesadzonym uśmiechem. — Na tyle, że uznałem, że mogę bez obaw powierzyć mu moją małą siostrzyczkę.

— Josie, obejrzyś z nami bajkę? — Nicole, wtulona w swoją mamę, wtrąciła się do rozmowy, patrząc prosiącym spojrzeniem na ciotkę. — Mamy popcorn i twoje ulubione żelki.

— Innym razem — obiecała. — Chyba pójdę się od razu położyć.
— Była wykończona i nawet myśl, że sprawiła dziewczynce zawód, nie był w stanie zmusić jej do zmiany zdania.

Pożegnała się, życząc domownikom dobrej nocy, i ociężałym krokiem ruszyła do sypialni. Wiedziała, że odrobinę okłamała swoją bratanicę, bo była niemal pewna, że mimo zmęczenia ma niewielkie szanse na chociaż odrobinę snu.

I mogła jedynie zgadywać, czy zasnąć nie pozwolą jej uczucia dręczące ją w związku z Carterem, czy odtwarzające się bez końca w jej głowie wspomnienia z minionej nocy.

Rozdział 26

Wieżowiec, w którym mieściła się firma Cartera, może nie był najwyższy spośród kilku znajdujących się w tej części miasta, ale wystarczająco wysoki, by stojąca pod nim Josephine czuła się niesamowicie mała i niewiele znacząca. Chociaż może to wyrzuty sumienia, które ją tam przywiodły, były bardziej winne, niż sam budynek.

Już od kilku minut stała na ruchliwym chodniku i z żołądkiem ściśniętym z nerwów wpatrywała się w wysoką budowlę po drugiej stronie ulicy. Przez całą podróż z Moreton kwestionowała słuszność swojego planu i do ostatniej chwili była o krok od ucieczki.

I może tak byłoby najlepiej dla wszystkich, ale Josephine potrzebowała tego spotkania z powodów, których sama nie potrafiła zrozumieć. Cokolwiek to było, napędzało ją wystarczająco, by w końcu weszła do budynku.

Stukot jej szpilek odbijał się od ścian holu, gdy zmierzała do recepcyjnej lady.

— Dzień dobry, mogę w czymś pomóc? — Drobna rudowłosa recepcjonistka uśmiechnęła się do niej uprzejmie, przerywając rozmowę ze stojącą obok kobietą.

— Chciałabym się dowiedzieć, na którym piętrze znajduje się siedziba Bateson Industries, a dokładniej gabinet prezesa — wyjaśniła Josie najpewniejszym głosem, na jaki było ją stać. Starła się ignorować jawnie oceniającą ją wzrokiem dziewczynę obok.

— A można wiedzieć, co panią sprowadza? — odezwała się blondynka, zwracając na siebie uwagę, i wyciągnęła rękę w stronę Josie. — Shannon Wiley, osobista sekretarka pana Batesona — przedstawiła

się i nietrudno było wyczuć nutkę wyższości w jej głosie, jakby zajmowana przez nią posada miała zrobić wrażenie. — I przykro mi, ale nie przypominam sobie, żeby prezes miał dziś umówione spotkanie z jakąś kobietą.

Josie nie wiedziała, za kogo wzięła ją jej rozmówczyni, ale domyślała się, że czeka ją niemiłe zaskoczenie.

— Josephine Sinclair, narzeczona *pana Batesona*. — Odwzajemniła uścisk dłoni, naśladowując słowa kobiety.

Nie była dumna z tej wersji siebie, ale w tamtej chwili nie mogła powstrzymać satysfakcji. Kobiety otaczające Cartera zdecydowanie zbyt często próbowały ustawić ją na miejscu, które według nich jej przynależało, nawet jej nie znając. Nie wiedziała, czy chodziło o pięcioletnią różnicę wieku, czy coś innego, ale prawie nikt nie zakładał z góry, że jest jego narzeczoną.

Na ogół pilnowała, by nie udzieliło jej się podejście do życia, jakie miał Carter. Opierało się ono na przekonaniu, że jest lepszy niż reszta świata. Jednak skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie czuła zadowolenia, gdy obserwowała, jak błysk wyższości znika z twarzy Shannon i zostaje zastąpiony przez zmieszanie.

Zaraz jednak na jej piękną twarz wróciły opanowanie i profesjonalizm.

— Najmocniej przepraszam. Pan Bateson nie wspominał, że się pani spodziewa, i wzięłam panią za dziennikarkę.

— Nie mógł wspomnieć, bo jeszcze nie wie. Powiedzmy, że to mała niespodzianka. — Josie zignorowała głos podświadomości, mówiący jej, że próbuje oszukać samą siebie.

Nie przyjechała dlatego, że była dobrą narzeczoną, która stęskniła się za ukochanym. Przyjechała, bo z każdym dniem czuła się coraz gorzej i liczyła, że w ten sposób uciszy wyrzuty sumienia. Albo dokładniej: wyrzuty sumienia z powodu ich braku, co nie miało sensu, ale dokładnie tak czuła się nieprzerwanie od powrotu do Moreton.

Potrzebowała też dowodu, że jej poukładane życie nie zaważyło się z powodu tego jednego błędu. Noc z Chase'em zatrzęsała posadami jej

dokładnie zaplanowanej przyszłości i teraz pragnęła przekonać się na własne oczy, że mimo trzęsienia misterna konstrukcja wciąż stoi.

— Skoro już sobie wszystko wyjaśniłyśmy, zaprowadzisz mnie do niego? — zapytała, posyłając dziewczynie wyczekujące spojrzenie.

— Przykro mi, ale nie mogę. — Shannon zdążyła się już otrząsnąć z chwilowego zakłopotania i z każdą chwilą wracała jej pewność siebie.

— Pan Bateson zabronił wpuszczania do firmy osób z zewnątrz, które nie są umówione na spotkanie.

— Nie sądzisz chyba, że muszę się umawiać, żeby spotkać się z własnym narzeczonym?

Carter byłby z niej dumny, gdyby ją teraz słyszał. To właśnie on wpoił jej, że najłatwiejszą drogą do osiągnięcia celu jest przekonanie innych, że się na niego zasługuje.

— Instrukcje były bardzo wyraźne i nie wydaje mi się, żeby prezes przewidywał jakiegokolwiek odstępstwa.

Josephine zastanawiała się, w jakim stopniu zachowanie kobiety wynikało z faktycznych poleceń Cartera, a w jakim z potrzeby odzyskania twarzy i podbudowania dumy, która ucierpiała chwilę wcześniej.

— A mnie się wydaje, że zamiast dyskutować tu ze mną, mogłabyś zacząć wykonywać swoje obowiązki i zapytać *prezesa* osobiście. Chyba że wolisz, żebym to ja zadzwoniła i zrobiła to za ciebie — zasugerowała z zimnym uśmiechem.

To w końcu przekonało Shannon do porzucenia dalszej dyskusji. Wyciągnęła z kieszeni służbowy telefon i odeszła na bok, by skontaktować się z szefem. Nie trwało to długo i wnioskując po jej minie, Josephine mogła łatwo się domyślić, co usłyszała.

— Proszę za mną.

Josie posłała przyjazny uśmiech rudowłosej recepcjonistce, która w milczeniu obserwowała to dosyć dziecinne starcie, po czym poszła za kobietą.

Decydując, że raczej nie ma co liczyć na przyjazną pogawędkę w drodze do biura, skupiła uwagę na wnętrzu biurowca. Musiała przyznać, że jest równie imponujące co jego fasada. Rozpoznała układ pomieszczeń oraz wystrój, które były wyraźnie inspirowane ojczyzną siedzibą firmy w Bostonie.

To skojarzenie przywołało wspomnienia z okresu, kiedy dopiero poznawali się z Carterem, a on sam ledwie co zaczynał wspinanie się po szczeblach kariery. Josephine często go wtedy odwiedzała po zajęciach, beczynn timerze przesiadując w jego biurze, odrabiając zadania i zwyczajnie spędzając z nim czas.

Sama nie wiedziała, kiedy zaczęło się to zmieniać. Z perspektywy czasu miała wrażenie, jakby jednego dnia prosił swoją ówczesną asystentkę, żeby zrobiła jej kawę, a następnego wprost oznajmił, że lepiej będzie, jeśli przestanie nachodzić go w miejscu pracy, bo to wygląda nieprofesjonalnie.

Gdy dotarły pod odpowiednie biuro, Shannon powiedziała Josie, żeby poczekała na zewnątrz, i weszła do środka. Chwilę później drzwi się otworzyły.

— Zapraszam. Pan Bateson już na panią czeka.

Josie posłuchała, świadoma, że i tak jest za późno, by się wycofać.

— Josephine — powitał ją Carter, podnosząc głowę znad dokumentów rozłożonych przed nim na biurku. Ogarnął ją spojrzeniem wyrażającym mieszankę zmartwienia i irytacji. — Co się stało?

— Czy coś się musiało stać? — Uśmiechnęła się delikatnie, siadając na krześle naprzeciwko mężczyzny. — Chciałam cię odwiedzić. Pomyślałam, że może pójdziemy coś zjeść i spędzimy trochę czasu razem.

— I tylko po to wyklócałaś się z moją sekretarką? — Znów poświęcił uwagę teczce na biurku.

Josephine z trudem powstrzymała się od wywrócenia oczami. W jej opinii wymiana zdań z blondynką nie miała nic wspólnego z kłótnią, ale mogła się domyślać, jak Shannon przedstawiła sytuację swojemu szefowi. To również wyjaśniało, dlaczego najpierw weszła sama, zanim ją wpuściła.

— Pozwolę sobie zaznaczyć, że nie podoba mi się to, jak potraktowałaś Shannon — oznajmił. — Wypełniała swoje obowiązki. Nie musiałaś być wobec niej nieuprzejma.

— Szkoda, że nie słyszałeś, jaka ona była wobec mnie. — Próbowała się bronić, potęgując tym samym niezadowolenie mężczyzny.

— Tym gorzej to o tobie świadczy — rzucił Carter od niechcienia, wciąż nie zaszczycając Josie spojrzeniem. — Ona jest zwykłą sekretarką,

a ty przyszlą żoną prezesa tej firmy. Czy naprawdę musiałaś zniżyć się do jej poziomu, by poczuć się lepiej?

Sposób, w jaki Carter przedstawił jej zachowanie, sprawił, że poczuła się jak niedojrzałe dziecko, co niekoniecznie było jej celem, skoro przyjechała do niego, żeby poczuć się lepiej, nie gorzej.

Zirytowana, głównie na siebie za własną naiwność, odezwała się, zanim pomyślała:

— Co naprawdę sprawiłoby, że poczuję się lepiej, to gdybyś poświęcił mi dwie minuty swojego cennego czasu i chociaż na mnie spojrzął!

— Jej głos był o wiele bardziej donośny, niż planowała.

Carter miał czelność nie pokazać po sobie nawet odrobiny zdziwienia jej zachowaniem. Przeniósł wzrok z dokumentu na ekran komputera i powiedział:

— Może patrzyłbym na ciebie, gdyby nie to, że mam przed sobą rozhisteryzowaną dziewczynę, zachowującą się jak pięciolatka, która potrzebuje uwagi. — I w końcu, jakby przecząc swoim słowom, spojrzął wprost na Josephine. — W swoim obecnym stanie nie reprezentujesz sobą nic, na co warto by było spojrzeć.

Nie były to najgorsze słowa, jakie od niego usłyszała, ale ton, z jakim rzucił obelgę, sprawił, że poczuła się, jakby ją uderzył.

I może to było dokładnie to, na co zasłużyła, ale przez krótką chwilę miała ochotę wyrzyczeć mu w twarz, że go zdradziła. Wyłącznie po to, by zmusić go, żeby w końcu na nią naprawdę spojrzął.

Zrezygnowała niemal natychmiast. Ta gra nie była warta świeczki. Te kilka marnych sekund satysfakcji nie zrekompensowałyby kary, jaka zapewne by ją spotkała.

— Rozmawiałem kilka dni temu z twoim ojcem — odezwał się ponownie, zupełnie normalnym tonem, jakby pół minuty temu nie zrównał jej z ziemią samymi słowami. — Pytał o twoje plany na przyszłość. Chciał wiedzieć, *kiedy* zamierzasz dołączyć do ich kancelarii.

Groźba była tak subtelna, że Josephine potrzebowała chwili, by w ogóle ją wyłapać.

— Naturalnie, powiedziałem mu, że nie dołączysz, bo nie życzę sobie, żeby moja przysza żona pracowała, kiedy nie ma takiej potrzeby.

Ale zawsze mogę zmienić zdanie — wybrzmiało głośno, chociaż nie zostało nawet wypowiedziane.

Carter wiedział, że jej największym koszmarem jest perspektywa pracy dla rodziców. Zwierzyła mu się z tego, jeszcze gdy nie byli razem. Gdy był dobry i dawał jej nadzieję, że przy jego boku zapomni o przeszłości. Gdy odwracał jej uwagę, zabierając ją w piękne, wystawne miejsca w mieście i krok po kroku wprowadzając do swojego świata. Gdy ten świat, pełen ambicji i wielkich planów, jej imponował, bo ona sama ledwo unosiła się na powierzchni.

Gdy łudziła się, że Carter jest lekarstwem, a nie trucizną.

— Dziękuję — wyduśliła z siebie, a kiedy zdała sobie sprawę, że nie brzmiała wystarczająco przekonująco, dodała: — Doceniam to, naprawdę.

Znał jej największą słabość i nie wahał się przed wykorzystaniem tej wiedzy przeciwko niej. Mogła być jedynie zaskoczona, że ten szantaż nadszedł dopiero teraz. Oboje zdawali sobie sprawę, że mężczyzna jest jedyną osobą, która ratowała ją przed tak niechcianym losem.

Nie był ślepy. Widział, jacy są jej rodzice, jak ją traktują, choćby w porównaniu z tym, jacy są wobec niego. Jeśli Carter powiedział im, że nie chce, żeby Josephine pracowała, uszanują jego decyzję, bo ich współpraca była warta więcej niż córka, której w zasadzie i tak nigdy nie chcieli.

Jednak gdyby to ona się sprzeciwiła, nie miała wątpliwości, że nie spotkałaby się z takim zrozumieniem. A w obecnej sytuacji, kiedy mieszkała w ich domu, bo Carter nie chciał jej u siebie, jedno jego słowo dzieliło ją od bezdomności.

To było wykalkulowane okrucieństwo, które idealnie ukazywało wyrachowanie Cartera i naturę ich relacji. Dopóki Josephine jest posłuszna, ma wszystko, czego zapragnie.

I chociaż nie mogła mieć pewności, czy mężczyzna faktycznie byłby skłonny spełnić swoje groźby, bała się zaryzykować. Nie zamierzała testować jego granic.

— Nie ma za co — odparł dobrodusznie. — Jest jeszcze coś, co chciałabyś przedyskutować?

— Restauracja na wesele, którą wybrałam — palnęła na poczekaniu. Głównie po to, by nie pokazać mu, jakie wrażenie zrobił na niej jego szantaż. — Jest zajęta w terminie, który nas interesuje.

— Bardzo ci na niej zależy?

— Jest najlepsza — odpowiedziała wymijająco. Nie zależało jej na niczym, co wiązało się z tym ślubem. — Organizatorka powiedziała mamie, że rozmawiała z parą, która ma tam wtedy wesele, żeby zaproponować im inne miejsce, ale nie chcą o tym słyszeć.

— Zajmę się tym — obiecał, spisując jakąś notatkę na małej karteczce. — Może podróż poślubna na Karaibach wystarczy, żeby zmienili zdanie.

— A jeśli nie?

— To otrzymają wiadomość od właściciela obiektu, że zaszła pomyłka i zarezerwował miejsce dwóm parom na ten sam termin. — Carter zachowywał się, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. — I niestety dla nich, to nam zarezerwował w pierwszej kolejności.

W pewnym stopniu spodziewała się, że dojdzie do takiej sytuacji. Na pół roku przed ślubem wszystkie najlepsze sale weselne naturalnie były zarezerwowane, ale nikt poza nią nie widział w tym problemu. To dlatego tak dużo czasu zajęło jej podjęcie decyzji, co w końcu i tak zrzuciła na Valerie — nie chciała mieć na sumieniu pary, której zniszczy jej wielki dzień swoim wyborem.

Ostatecznie zwlekanie i tak nie miało znaczenia. Mogła stanąć w obronie nieznanych jej ludzi i zasugerować wybranie nowej daty ślubu, która nie kolidowałaby z innym weselem. Ale ponieważ była tchórzem i egoistką, siedziała cicho.

Czasem ją to przerażało — jakim człowiekiem się stała przez te lata.

— Dziękuję — powtórzyła machinalnie. Gdy wstała, jej ciało było zeszywniałe, jakby siedziała tam kilka godzin, a nie ledwie kwadrans. — Pójdę już. Przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu.

— Postaram się w najbliższym czasie zaplanować dla nas wspólny wieczór — rzucił na pożegnanie, ale nie brzmiało to obiecująco.

Gdy tylko znalazła się poza gabinetem, Shannon pojawiła się przy jej boku.

— Szybko nas pani opuszcza. Trafi pani do wyjścia czy panią odprowadzić? — Josephine musiała mieć wszystkie emocje wypisane na twarzy, bo kobieta nieudolnie starała się ukryć uśmiech satysfakcji.

— Poradzę sobie — rzuciła oschle, nie mając w sobie wystarczająco siły na kolejną potyczkę.

— Cóż, w takim razie do widzenia, pani *Sinclair*. — Asystentka Cartera pożegnała się z pozorną uprzejmością, kładąc nacisk na jej nazwisko.

Dała jej w ten sposób do zrozumienia, że dopóki jest jedynie narzeczoną, jest nikim. To akurat Josephine wiedziała nawet bez przypomnień osób trzecich. Carter sam o to zadbał.

Wychodząc z budynku, zastanawiała się, czy właściwie odniosła zwycięstwo, czy też poniosła kompletną porażkę. Bo jeśli chodziło o uczucia związane ze zdradą, to odczuwała znaczną ulgę. Po spotkaniu z Carterem i jego groźbach nie potrafiła znaleźć w sobie nawet jednej negatywnej emocji wobec siebie za to, co zrobiła. Ona go zdradziła, a on ją szantażował. Koniec końców byli siebie warci.

Jednak ogólnie rzecz biorąc, wcale nie czuła się lepiej. Była upokorzona i zła, pierwszy raz w życiu szczerze przyznając przed sobą, że żałuje, że kiedykolwiek dała się wciągnąć do świata Cartera.

Na własnym przykładzie powinna doskonale wiedzieć, że rzeczy idealne są takie jedynie wtedy, kiedy podziwia się je z daleka. Gdy znalazła się na tyle blisko, by dostrzec prawdę, drzwi umożliwiające ucieczkę już od dawna były zamknięte.

Kiedy się poznali, jego życie wydawało się takie proste i ułożone w porównaniu z życiem Josie. Dawało jej poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa, którego brakowało jej od momentu, gdy straciła Chase'a.

Jednak im wyżej Carter się wspinał, osiągając sukcesy w firmie ojca, tym jeszcze więcej chciał. Gdzieś po drodze zgubił ideały, którymi oczarował Josie na samym początku, i stawał się coraz bardziej wyrachowany, gotowy piąć się wyżej za wszelką cenę. Ona sama stała się dla niego jedynie dodatkiem, który mógł uformować według własnego życzenia, żeby wpasowała się do jego idealnego obrazka.

Josephine się na to godziła, bo była młoda, zbyt zagubiona i całkiem sama. Przyklejała na twarz uśmiech i stawała się dokładnie taka, jak chciał.

To wtedy złamała obietnicę złożoną Florence i pozbyła się tych części siebie, które Chase kochał, a których Carter nie akceptował, uważając je za wady. Nie widziała wtedy dla siebie innego wyboru.

Przebudzenie nastąpiło, dopiero gdy jej się oświadczył. Wtedy z nagłą desperacją chciała się wyrwać, uciec bez względu na konsekwencje, dostrzegając, że to jej ostatnia szansa. Jednak Archer zabronił jej powrotu i odciął jedyną drogę ucieczki, pozbawiając złudzeń. Była całkiem sama we wciąż obcym mieście, bez pracy, bez przyjaciół. Zwrócenia się do rodziców o pomoc nawet nie brała pod uwagę.

Wróciła więc do Cartera z podkulonym ogonem jeszcze tego samego wieczoru, błagając o przebaczenie i przypieczętowując swój los.

Myśli o błędach, które popełniła przez ostatnie lata, zajęły jej całą drogę powrotną na stację. Dopiero gdy była już w pociągu do Moreton, jej uwagę zwróciła wibracja telefonu schowanego w kieszeni płaszcza.

Nie powinna być zdziwiona imieniem nadawcy.

Chase: Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale jeśli nadal chcesz mieć szansę na tytuł pracownika miesiąca, radziłbym ci zacząć pojawiać się w miejscu pracy.

Przez chwilę naprawdę rozważała prawdopodobieństwo istnienia telepatycznej więzi pomiędzy nimi. Chase zawsze pojawiał się, kiedy najbardziej go potrzebowała.

Josie: Jestem twoim jedynym pracownikiem. Myślałam, że to załatwia sprawę i tytuł mam w kieszeni.

Chase: Źle myślałaś. Przywlecz tu swój tyłek, bo się nudzę.

Josie: Co będę z tego miała?

Chase: Moje towarzystwo?

Josie: A coś, co faktycznie mogłoby mnie przekonać?

Chase: Planowałem zamówić jedzenie.

Josie: Będę za godzinę.

Towarzystwo Chase'a było zbawienne, ale nawet on nie był w stanie wyrzucić z głowy Josie wcześniejszego spotkania z Carterem.

Nie wiedziała, dlaczego tak się tym przejmuje ani dlaczego zraniło ją to tak bardzo. Powinna być już do tego przyzwyczajona, jednak tym razem odrzucenie, z jakim się spotkała, i sposób, w jaki Carter ją potraktował, nie dawały jej spokoju.

— Chase?

Było już dawno po zamknięciu, więc przenieśli się na zaplecze. Przez większość czasu pracowali w komfortowej ciszy i tylko Chase czasami zaczynał nucić pod nosem, gdy któraś z piosenek lejących z odtwarzacza była mu znajoma.

Na dźwięk głosu dziewczyny podniósł wzrok znad papierów, które trzymał w ręce, wdzięczny za odwrócenie uwagi. Kochał pracę w antykwariacie, ale przejście całkowitej opieki nad sklepem oznaczało, że na jego głowę spadła też papierkowa robota, która podobnie jak wiele innych rzeczy, została zaniedbana przez pana Barnetta ze względów zdrowotnych.

Domyślał się, że zamiast się torturować, mógłby poprosić o pomoc Josie, która pewnie uporałaby się z tym już dawno. Nie zrobił tego tylko dlatego, że wiedział, jak wielką radość sprawia jej myszkowanie w kartonach i wyszukiwanie ciekawych skarbów. Nie chciał odrywać jej od zajęcia, które tak lubiła.

Teraz jednak skorzystał z okazji, by zrobić sobie chwilę przerwy, i odłożył kartki na stertę innych, całą uwagę poświęcając dziewczynie.

— Dlaczego ciągle mnie tu zapraszasz? — zapytała, gdy na nią spojrział. — Wcale nie potrzebujesz mojej pomocy i równie dobrze mógłbyś zrobić to sam. Nie żebym narzekąca, bo uwielbiam tu przesiadywać, ale zwyczajnie zastanawia mnie dlaczego.

— Bo lubię spędzać z tobą czas? — Podsunął jej odpowiedź, która dla niego była oczywista.

— Ale my praktycznie ze sobą nie rozmawiamy.

— Powiedziałem, że lubię spędzać z tobą czas, nie rozmawiać — rzucił z ironicznym uśmiechem, żartem próbując przegonić z twarzy dziewczyny tę dziwną niepewność.

Rzadko zdarzało mu się widzieć ją taką, bo Josephine nie brakowało pewności siebie, a nawet jeśli, to potrafiła to dobrze maskować.

Teraz jednak patrzyła na niego, jakby nie do końca wierzyła, że lubił jej towarzystwo, co było prawdopodobnie najbardziej absurdalnym pomysłem tego roku. A styczeń jeszcze się nawet nie skończył.

— Mówię poważnie. — Josie wstała z podłogi, otrzepując dłonie z kurzu, i podeszła bliżej niego. Oparła się o biurko, przy którym siedział. — Dawniej spędzaliśmy razem jeszcze więcej czasu i przecież były takie dni, że nie rozstawaliśmy się przez całutki dzień i noc. Nie zdarzyło ci się nigdy, że miałeś mnie dosyć?

— Zadajesz bardzo dziwne pytania — zauważył z lekkim rozbawieniem, chociaż powoli zaczynał się zastanawiać, co ją do tego doprowadziło. Ten nagły brak wiary w siebie widoczny w jej oczach w żadnym wypadku nie budził w nim optymistycznych uczuć. — Być może umknęło to twojej pamięci, ale byliśmy parą. I kochałem cię na zabój. Nie sądzisz, że byłoby to trochę dziwne, gdyby jednocześnie męczyło mnie twoje towarzystwo?

— No dobra, a teraz? — Wciąż nie ustępowała, licząc, że jakimś cudem Chase pomoże jej zrozumieć, co jest z nią nie tak, do tego stopnia, że jej własny narzeczony nie chce poświęcić jej nawet chwili czasu. — Kiedy jesteście... *nami* — dokończyła, nie mając lepszego określenia na ich relację, która niezdrowo wykraczała poza definicję przyjaźni.

— Jose. — Chase z westchnieniem wstał i zbliżył się do dziewczyny, nawiązując z nią kontakt wzrokowy, by wiedziała, że wszystkie jego słowa są szczerze. — Twoja obecność to *zawsze* jest dla mnie przyjemność. I wcale nie mówię tego dlatego, że mój wybór towarzystwa jest dosyć ograniczony i alternatywną opcją jest siedzenie samemu — dodał żartobliwie, powodując ciche prychnięcie brunetki.

Josephine nic nie odpowiedziała, więc Chase nie był pewien, czy jego zapewnienie było wystarczające.

— Wiesz dobrze, że dawniej nie miałem problemu z tym, że zawsze jestem sam. Byłem przyzwyczajony — wyznał, odgarniając kosmyk ciemnych włosów z jej twarzy. — Ale potem poznałem ciebie i im bliżej byliśmy, tym bardziej wolałem twoje towarzystwo niż samotność. Nie

wiem, może to kwestia tego, że rozumiesz mnie jak nikt inny, albo bycie z tobą było odpoczynkiem od mojego głównianego życia. Bez względu na powód nigdy nie mógłbym mieć cię dosyć. Ani wtedy, ani teraz, zrozumiano?

Pokiwała głową, posyłając mu słaby uśmiech. Nie wiedziała, jak Chase to robił, ale jakimś sposobem zawsze wiedział, co powiedzieć.

— Świetnie, w takim razie mógłbym prosić moją Jose z powrotem? Ta wersja kompletnie mi nie pasuje — dodał już z uśmiechem, by do końca rozweselić dziewczynę.

— Dziękuję — powiedziała, patrząc na niego ze szczerą wdzięcznością.

To było dokładnie to, o odzyskanie czego zabiegała zaraz po śmierci Florence. Bezwarunkowe wsparcie i bezgraniczne zrozumienie, jakie dzielili, zawsze były najsilniejszymi filarami ich relacji. Chase sprawiał, że mogła sobie pozwolić na chwilę słabości, bo jej za to nie oceniał. Zamiast tego pomagał jej pozbierać z powrotem w całość te kawałki, które się rozsypały.

— Do usług. — Rozłożył ramiona, zachęcając, by się do niego przytuliła. Starał się ignorować znajome ciepło rozchodzące się w jego ciele, gdy zamknął ją w uścisku. — Jeśli ktoś świadomie cię odtrąca, to znaczy, że to z nim jest coś nie tak, a nie z tobą. I to wyłącznie jego strata.

Dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego tym razem zachowanie Cartera tak ją zraniło. Przez ostatnie tygodnie spędzała o wiele więcej czasu z Chase'em, więc siłą rzeczy przyzwyczaiła się do sposobu, w jaki on ją traktował. Przywykła do ilości uwagi, jaką jej poświęcał, znajomej czułości oraz wszystkich tych małych rzeczy, które składały się na ich relację, i nieświadomie założyła, że ma prawo oczekiwać tego samego ze strony Cartera. Jakby zapomniała już, jaki jest jej narzeczony.

Oziębłość Cartera przestała jej przeszkadzać już dawno temu, bo zwyczajnie nie pamiętała, że może być inaczej. Jednak kiedy w jej życiu znowu pojawił się Chase, dając jej namiastkę przeszłości i przypominając, jak wyglądał ich związek, zaczynała tęsknić za tym ciepłem, jakie dawała obecność drugiej osoby.

I chociaż za rozczarowanie mogła winić wyłącznie siebie i swoją naiwność, to wraz z uświadomieniem sobie tej prawdy poczuła jeszcze większy przyływ wdzięczności do Chase'a.

Bo mogła przez lata zgadzać się na bycie zawsze na drugim miejscu, na ciągle odrzucenie i chłód, ale to nie zmieniało faktu, że wciąż pragnęła odrobiny ciepła. Chciała czuć, że dla kogoś jest ważna i że komuś zależy na niej bardziej niż na pracy, pieniądzach czy opinii innych.

Carter nigdy jej tego nie da, ale jednocześnie nie pozwoli jej odejść. Czy w tym świetle fakt, że zwróciła się do kogoś innego, by zaspokoił jej podstawowe potrzeby, nie był usprawiedliwiony chociaż w niewielkim stopniu?

Być może nie. Być może nic jej nie usprawiedliwiało, gdy wspięła się na palce i pocałowała jedyną osobę, która dawała jej wszystko, czego potrzebowała. Ale przez krótką chwilę pozwoliła sobie o tym nie myśleć.

Nie musiała długo czekać na reakcję ze strony Chase'a, bo gdy tylko otrząsnął się z chwilowego zdziwienia, przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

Pocałunek był zupełnie inny niż te, które dzielili tamtej nocy. Brakowało pośpiechu i gwałtowności, jaka im wtedy towarzyszyła. A jednocześnie był tak samo niebezpieczny, tak samo się w nim zatracili, znowu całkowicie zapominając, że popełniają błąd.

Zapomnieli, że zaledwie chwila nieostrożności wystarczyła, by przekroczyli cienką granicę i by komuś zaczęło zależeć za bardzo.

Być może nawet już w tamtym momencie weszli na drogę, która była niczym innym jak powtórką z przeszłości. I nic nie wskazywało na to, by poprzedni raz czegokolwiek ich nauczył.

Rozdział 27

O ile po wspólnej nocy mogli się jeszcze oszukiwać, że wszystko wróci między nimi do normy, tamten pocałunek w antykwariacie oficjalnie wyznaczał punkt zwrotny w ich historii. Kiedy za kilkanaście lat przyjdzie im spojrzeć w przeszłość i określić jeden moment, który zwiódł ich ponownie na drogę prowadzącą do zakochania, to wskażą właśnie tę chwilę słabości.

Na ich obronę trzeba przyznać, że w ich relacji zmieniło się tak niewiele, że łatwo było nie zauważyć, w jakim kierunku zmierzają. Zwłaszcza gdy nie chciało się tego widzieć. Nadal spędzali ze sobą czas w ten sam niewinny sposób, dogryzali sobie z tą samą pasją i milczeli równie komfortowo. Po prostu byli przy tym *bliżej*.

Tak jak teraz, kiedy oglądała z nim film, leżąc na kanapie w jego mieszkaniu z nogami na jego kolanach, a Chase wolnymi ruchami kreślił kółka na jej łydce. W zasadzie nie robili nic złego, ale właśnie takich drobnych gestów Josie była spragniona, a Chase karmił ją małymi dawkami, sprawiając, że pragnęła tego wszystkiego coraz więcej.

Po raz kolejny ich relacja przybrała formę, której nie sposób było zakwalifikować do jakiegokolwiek kategorii. Josephine zaczynała podejrzewać, że taki już był ich urok. Zwyczajnie nie mieścili się w słownikowych definicjach.

Może jedynie gdzieś z tyłu głowy oboje zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później przyjdzie im zapłacić za tę ignorancję, ale był to bardzo cichy głos, łatwy do zagłuszenia głosem ich pragnień. Największym z nich było to, by cieszyć się tym, co mają, póki trwa.

— Mogę cię o coś zapytać? — Swoboda, z jaką Chase się odezwał, nie zwiastowała pytania. — Kochasz go?

— To miał być przyjemny wieczór — upomniała go, bo kiedy ją zapraszał, obiecywał, że będzie mogła odpocząć po dniu spędzonym z matką na omawianiu organizacji wesela. W gruncie rzeczy jej rola polegała jedynie na kiwaniu głową i zgadzaniu się na pomysły Lillian, ale już samo to w połączeniu z towarzystwem kobiety odebrało jej siły i chęci na cokolwiek. — Przyjemne wieczory nie zawierają trudnych pytań.

— Ale to jest bardzo proste pytanie. — Podniósł wzrok, uśmiechając się kącikiem ust. — Są tylko dwie możliwe odpowiedzi. Tak albo nie.

— Wcale nie — zaprzeczyła, bo w jej przypadku odpowiedź była nieco bardziej złożona. Samo to, że nie kochała Cartera, nie wydawało się wystarczające. — Nie zdecydowałam się być z nim z miłości...

— Czyli go nie kochasz — wtrącił, nie pozwalając jej dokończyć. — Okej, jeszcze jedno pytanie w takim razie. — Miał swobodny ton i wciąż utrzymywał z nią fizyczny kontakt, teraz bawiąc się palcami jej dłoni. — Uważasz, że ślub z Carterem to dobra decyzja?

— Tak.

Pewność, z jaką to powiedziała, nie pozostawiła Chase'owi wątpliwości. Mówiła szczerze.

— Nie rozumiem. — Nie było widać po nim nawet śladu zazdrości czy jakichkolwiek innych negatywnych uczuć, które wskazywałyby, że zaczął ten temat ze względu na siebie. Zachowywał się jak człowiek, który zyczajnie chciał mieć pewność, że ważna dla niego osoba wybrała dobrze. — Skoro go nie kochasz, to jak małżeństwo z nim może być dobrą decyzją?

— A co ty niby wiesz o małżeństwie? — Josie spojrzała na niego kąpiąco, podnosząc się do pozycji siedzącej. Nie miała mu za złe tej troski, ale wolała skończyć niewygodny dla siebie temat. — O ile dobrze pamiętam, zawsze byłeś przeciwnikiem małżeństw i uważałeś, że to zbędna formalność, która tworzy jedynie problemy. A teraz nagle wydajesz się specjalistą w tej kwestii.

— Wiem tyle, że była kiedyś jedna osoba, dla której mógłbym zmienić zdanie — odpowiedział podobnym tonem. — Bo kochałem

ją wystarczająco, by to zrobić. Więc teraz chcę wiedzieć, co stoi za twoją decyzją, jeśli nie miłość.

Otworzyła usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Problemem nie był brak powodów, bo tych było wiele, ale nagle żaden nie wydawał się wystarczająco ważny, żeby go podać.

— Co to są w ogóle za pytania? Nie wiem, skąd ci się to nagle wzięło. — Świadoma tego, że nie ma dobrej odpowiedzi, była zdeterminowana, by jej uniknąć. — Poza tym to w ogóle nie jest twoja sprawa. Równie dobrze mogłabym powiedzieć, że wychodzę za niego dla pieniędzy, albo sama nie wiem, mogłabym zdecydować, że wyjdę za niego, bo jest dobry w łóżku, a ciebie to w ogóle nie powinno interesować. — Nie do końca panowała nad tym, co mówi. Próbowwała po prostu za wszelką cenę wyjść z twarzą z tej sytuacji i definitywnie zakończyć temat.

— O! — Chase klasnęła w dłonie, z każdą chwilą coraz bardziej rozbawiony kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa. — Zatrzymajmy się na chwilę przy tej ostatniej kwestii. Jestem bardzo ciekawy.

— Twoje kruche męskie ego mogłoby tego nie znieść. — Josie doskonale zdawała sobie sprawę, jak wielkie zadowolenie Chase czerpie z wpędzania jej w zawstydzenie, i nie miała zamiaru dać mu tej satysfakcji.

— Zaryzykuję.

— Nie. Nie ma mowy — oznajmiła kategorycznie, rzucając w niego poduszką, by zetrzeć ten głupi uśmieszek z jego twarzy. — Jesteś prawdopodobnie ostatnią osobą na świecie, z którą powinnam o tym rozmawiać, i nie będziemy tego robić.

— A mnie się właśnie wydaje, że jestem idealną osobą do tej rozmowy. — Chase z trudem opanowywał śmiech, walcząc, by zachować resztki powagi. — Pomijając oczywisty fakt, że jestem twoim przyjacielem, to jestem też twoim byłym chłopakiem, z którym de facto przeżyłaś swój pierwszy raz, a teraz praktycznie jestem twoim kochankiem, więc nie rozumiem... — Nie było dane mu powiedzieć więcej, bo Josie rzuciła się w jego stronę, by zatkać mu usta dłonią.

Jej ruch rozpoczął małą wojnę, bo Chase nie miał zamiaru poddać się zbyt szybko. Z łatwością unikał jej ataków, z głośnym śmiechem

wykorzystując swoją fizyczną przewagę w tych niegroźnych przepychankach. Pilnował jedynie, by dziewczyna nie spadła z kanapy i nie zrobiła sobie krzywdy.

Dopiero kiedy miał już dość, zdecydowanym ruchem złapał ją za biodra i przyciągnął tak, że usiadła na jego kolanach. Jej policzki były czerwone z wysiłku i chociaż po przyspieszonym oddechu mógł wnioskować, że nie ma już siły, by dalej walczyć, błysk złości w jej oczach podpowiadał mu, że jeszcze nie skończyła. Dlatego obrał inną taktykę.

Zanim zdążyła zareagować, zdjął dłonie z jej bioder i najpierw przesunął na pośladki, by za chwilę wsunąć je pod koszulkę dziewczyny. Uśmiechnął się z satysfakcją, czując dreszcz przechodzący po jej ciele, który wywołał nawet tak drobnym ruchem.

— Więc? — odezwał się, a jego dłonie wciąż sunęły po jej bokach. — Powiedz mi, czy on wie, jak powinien cię dotykać? — Podniósł się odrobinię i pochylił się do przodu, by dosięgnąć szyi brunetki. Złożył krótki pocałunek w zagłębieniu jej obojczyka i zaczął sunąć w górę, co chwilę zostawiając pocałunki na rozgrzanej skórze. — Zna wszystkie twoje najczulsze miejsca? — zapytał cicho tuż przy jej uchu i przeniósł swoje usta na jej policzek, by tym sposobem dotrzeć do jej warg, kontynuując słodką torturę.

Josephine jednak pierwsza straciła cierpliwość i złączyła ich usta. Czowała, że Chase uśmiecha się przez pocałunek, i wiedziała, że prawdopodobnie wpadła prosto w zastawioną przez niego zasadzkę, ale nie dbała o to. Bliskość bruneta po raz kolejny uderzyła jej do głowy, skutecznie przysłaniając wszystko inne. Zdążyła się już pogodzić z faktem, że zawsze będzie tak na nią działał, a ona się nigdy nie uodporni.

Trwali tak kilka, może kilkanaście minut, całkowicie zatracając się w pocałunkach i dotyku. Ale życie nie byłoby sobą, gdyby pozwoliło im cieszyć się tym zbyt długo, i w końcu ich prywatną bańkę przebił dzwonek do drzwi. Oboje wzdygnęli się, zaskoczeni tym nagłym wtargnięciem rzeczywistości. Oderwali się od siebie, dysząc ciężko i spoglądając po sobie ze zdziwieniem.

— Ktokolwiek to jest, zamierzam go zabić — zapowiedział, a irytacja w jego głosie sprawiła, że Josie zaśmiała się krótko.

— Chętnie ci pomogę. — Z konieczności zsunęła się z jego kolan i nachyliła po swoją bluzkę, która leżała na podłodze.

Chase nie spieszył się zanadto do drzwi. Podniósł się z kanapy, ale zaraz nachylił się z powrotem do Josie, kradnąc jej kolejny pocałunek, jakby ten jeden więcej był mu potrzebny bardziej niż powietrze.

Gdy w końcu otworzył, irytacja z powodu dzwonka została zastąpiona przez nieopisaną wdzięczność, że w ogóle rozbrzmiał. Bo stojący po drugiej stronie Archer nie miał w zwyczaju go używać i najczęściej po prostu wchodził bez uprzedzenia. Niewiele brakowało, by zobaczył coś, czego nie powinien.

Ulga odeszła w zapomnienie, gdy tylko Chase przyjrzał się chłopakowi i do jego serca wdarło się dawno zapomniane uczucie zmartwienia o przyjaciela.

Bo Archer nie był osobą, o którą trzeba było się martwić. Miał swoje ułożone życie, które uwielbiał, pracę w firmie ojca, która sprawiała mu radość, cudownego synka i przyjaciół, jakich każdy pragnął w swoim życiu. Nie pojawiał się znieacka pod czyimiś drzwiami, pijany do tego stopnia, że ledwo trzymał się na nogach.

W tym duecie ta rola przypadała Chase'owi, i chociaż gdyby zamienili się miejscami, widok byłby równie przykry, to po nim przynajmniej można się było tego spodziewać. Ale nie po Archerze — i z jakiegoś powodu ten odwrócony stan rzeczy przeraził bruneta.

— Archer? — zapytał, głównie po to, by sprawdzić, czy chłopak w ogóle kontaktuje.

Nawet z odległości, w jakiej stał, czuł silną woń alkoholu i bez trudu domyślił się, że to dlatego Archer opiera się o ścianę przy drzwiach. Nie był w stanie samodzielnie utrzymać równowagi i Chase mimowolnie zaczął się zastanawiać, jak mu się udało wspiąć na trzecie piętro.

— Co się stało?

— Potrzebowałem... przyjaciela — wybełkotał z zamkniętymi oczami. — Mogę?

Chase bez słowa złapał chłopaka pod ramię i zaprowadził do salonu, gdzie czekała na niego Josie.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie na stan Archera, by poczuć tę samą panikę, która zawładnęła Chase'em. Oboje wiedzieli, że to zachowanie nie jest normalne w jego przypadku i że musiał mieć poważny powód, by tak się upić.

Chase pomógł mu bezpiecznie dojść do kanapy, na którą Coleman opadł ciężko obok Josie. Chłopak uśmiechnął się szeroko, bo dopiero wtedy zauważył jej obecność.

— Kruszyńka — wymamrotał niewyraźnie, próbując ją objąć.

— Archer. — Josie zwinnie uniknęła jego ramion i złapała jego twarz w dłonie, zmuszając, by na nią spojrzał. — Archer, jak się tu dostałeś? — zapytała powoli, żeby ją zrozumiał. Bała się usłyszeć, że przyjechał do Moreton samochodem, chociaż w jego stanie bezpieczne dojechanie na miejsce byłoby praktycznie niemożliwe.

— Taksówką — odparł wyraźnie dumny z siebie.

Chociaż podróż z Londynu do Moreton taksówką zdecydowanie nie była najtańszym pomysłem, to Josie i tak westchnęła z ulgą. Sam fakt, że w ogóle pamiętał adres mieszkania przyjaciela i udało mu się tam dostać, był dla niej zadziwiający.

Chase przysiadł na stoliku przy kanapie, by być naprzeciwko przyjaciela.

— Archer, musisz nam powiedzieć, co się stało.

Jego słowa od razu starły uśmiech z twarzy pijanego chłopaka.

— Mielicie rację — powiedział, czkając. — Kocham ją.

Josie i Chase wymienili zaniepokojone spojrzenia, bo nietrudno było się zorientować, o czym Archer mówił.

— Skąd wiesz? — zapytała Josie delikatnie, widząc, że Chase nie do końca wie, co powiedzieć.

— Pamiętasz — zaczął bełkotliwie, z trudem skupiając wzrok na Josie.

— Pamiętasz, w jaki sposób się dowiedziałas, że kochasz Chase'a?

Josephine skinęła głową, ignorując uważny wzrok bruneta, który słuchał ich rozmowy. Nie sposób było zapomnieć, jak zabolął widok Chase'a z inną dziewczyną, gdy znalazła go po ich kłótni.

— To właśnie stąd — dodał zrezygowany.

— Chodź. — Rozłożyła ramiona, pozwalając, by Archer wtulił się w jej drobne ciało. Dokładniejsze wyjaśnienia mogły poczekać.

Na razie domyślała się, że musiał w jakiś sposób zobaczyć Camille z innym mężczyzną, być może nawet z tym, z którym parę tygodni temu była na randce. To jej wystarczyło, by mieć pewien obraz tego, jak Archer się czuł.

Kiedy lata temu ona była w tej samej sytuacji, Archer nie opuścił jej nawet na moment, i ona również nie zamierzała go zostawić.

— Z czasem będzie lepiej. — Nie mogła mu powiedzieć, że to mija, nieważne, jak bardzo by tego chciała, więc jedynym pocieszeniem było właśnie to. Że kiedyś się przyzwyczai.

— Dopiero teraz rozumiem, co wtedy czułaś — odezwał się Archer po długiej ciszy. — Rozumiem, jak to jest, kiedy ktoś łamie ci serce.

— Gdyby to zależało ode mnie, nigdy byś się nie dowiedział. — Nikomu tego nie życzyła, a już na pewno nie komuś tak dobremu jak Archer. — Ale nie martw się. Razem jakoś poskładamy to twoje złamane serce.

— Twoje też trzeba w końcu poskładać — wymamrotał niewyraźnie, będąc na granicy snu. — Już i tak za długo jest w kawałkach.

— Nie chciałbym być w jego skórze jutro, kiedy się obudzi — stwierdził Chase, gdy wrócili na kanapę w salonie. — Po takiej ilości alkoholu będzie umierał przez cały dzień.

Z niemałym trudem udało im się odkleić ledwo kontaktującego Archera od Josie i umieścić w wolnym pokoju, żeby nie musiał spać na sofie.

— Tobie też nie ma czego zazdrościć, bo to ty jutro rano będziesz musiał wysłuchiwać, jak cierpi. — Aż za dobrze pamiętała z ich nastoletnich czasów, jak ciężko Archer znosił kaca.

— Dlaczego tylko ja? — zapytał zaskoczony. — Nie zostaniesz? — W jego głosie słychać było lekki zawód, który niemal sprawił, że zapomniała o wątpliwościach.

— Nie powinnam. — Nie czuła się dobrze, okłamując brata, co ostatnio zdarzało jej się zbyt często. Nie miała pojęcia, czy pozostały jej w ogóle jeszcze jakieś wiarygodne wymówki.

Czymkolwiek było to, co działo się między nią a Chase'em, musiało zostać tajemnicą dla dobra wszystkich. Josie była bliska paranoi na punkcie tego, czy William i Crystal nie zaczęli podejrzewać, że jej wyłączne przyjacielskie stosunki z chłopakiem w rzeczywistości są od takich dalekie.

— A mnie się wydaje, że wręcz musisz. — Chase posłał jej szeroki, przebiegły uśmiech. — No wiesz, ze względu na Archera. Jako dobra przyjaciółka powinnaś być przy nim w tej trudnej chwili.

— Tylko i wyłącznie ze względu na niego? — zapytała, próbując zachować powagę wobec jego argumentacji. — I nie ma żadnego innego powodu, dla którego nie powinnam wracać do domu?

— Powodów jest całe mnóstwo.

— Na przykład? — Josie udawała, że nie zauważa, jak Chase stopniowo zmniejsza dzielącą ich odległość.

— Na przykład to, że jest już późno i nie powinnaś wracać sama o tej porze, a przecież ja nie mogę cię odprowadzić, bo muszę pilnować Archera. — Ciężko było odmówić mu logiki, nawet jeśli wykorzystywał ją do niezbyt szlachetnych celów. — Jestem pewien, że William zrozumie, że w tej sytuacji musiałaś zostać. Sam pewnie wołałby, żeby jego kochana młodsza siostra nie chodziła sama po mieście w środku nocy.

Ta dziwna przyjaźń pomiędzy Sandersonem a jej bratem, jaka zaczęła się tworzyć w ciągu ostatnich tygodni, coraz bardziej przerażała Josie. Chase był u nich kilkakrotnie i nie mogła nie zauważyć, że z każdą wizytą mężczyźni znajdowali nowe tematy do rozmów, a im lepiej się poznawali, tym bardziej zaczynali się lubić.

— Jakoś wciąż nie jestem do końca przekonana. — Udawała niewzruszoną, zupełnie jakby sprawa nie była przegrana od samego początku. — Musisz postarać się trochę bardziej.

— A co, jeśli ci powiem... — Był już bardzo blisko niej i ściszył głos do szeptu — ...że bardzo chcę, żebyś została? — dokończył i nachylił się, by pocałować ją krótko.

— Chyba jednak masz rację. — Zagryzła wargę, by powstrzymać uśmiech, gdy Chase już się odsunął. — Powinnam zostać. Ze względu na Archera.

— Oczywiście, że ze względu na niego.

Rozdział 28

— Musisz uważać.

Zaspany głos Chase'a tuż przy jej uchu sprawił, że Josie uśmiechnęła się pod nosem. Nie spała już od dłuższego czasu i czekała, aż chłopak się obudzi, w zamyśleniu obrysowując palcem kontur tatuażu na jego piersi.

— Bo jeszcze trochę i się przyzwyczaję do takich poranków.

— A może tak „dzień dobry”? — Podniosła się na łokciach i posłała mu szeroki uśmiech, czego i tak nie widział, bo wciąż miał szczelnie zamknięte oczy.

— Jest za wcześnie — wymamrotał, wtulając się mocniej w poduszkę.
— Spróbuj za godzinę.

— Jest prawie dziewiąta. — Zdawała sobie sprawę, że ta informacja niewiele zmienia, bo Chase nigdy nie był rannym ptaszkiem. — Powinniśmy wstać, zanim Archer się obudzi.

— Archer nie zmartwychwstanie do południa i my też nie powinniśmy. — Chase wiedział, że nie ma szans, by ją przekonać, oraz że w gruncie rzeczy miała rację. Protestował głównie dla samego faktu, a także dlatego, że to niegroźne sprzeczenie się z brunetką było jego ulubionym hobby.

W końcu jednak się poddał i otworzył oczy. Natrafił na uśmiechniętą twarz dziewczyny i nie mógł dłużej żałować obudzenia się tak wcześnie. Gdyby ktoś zapytał go o najlepszy widok po przebudzeniu, bez wątpienia wskazałby właśnie to. Josephine z potarganymi włosami, sińcami pod oczami z niewyspania i szerokim uśmiechem, zarezerwowanym wyłącznie dla niego.

— Dzień dobry. — Nie dało się nie zauważyć błysku satysfakcji w jej oczach, że osiągnęła zamierzony cel.

Chase nie odpowiedział od razu, zamiast tego przyciągnął ją do siebie i złączył ich usta w przelotnym pocałunku.

— Teraz już dobry.

Josie wywróciła oczami, jakby chciała pokazać, że nie zrobił na niej wrażenia, chociaż usilnie starała się powstrzymać uśmiech.

— Więc jaki mamy plan na dzisiaj?

— A proponujesz coś konkretnego? — zapytał sugestywnym tonem, za co oberwał w ramię. — Wezmę to za „nie”. W takim razie wolisz siedzieć w antykwariacie czy zajmować się skacowanym Archerem?

— Biorę Archera na siebie. — Bez względu na to, jak długą przyjaźń mieli za sobą Chase i Archer, Josie podejrzewała, że jeśli chodzi o rozmowę o uczuciach, to ona nadaje się do tego nieco lepiej niż Chase.

Chłopak pokiwał głową, przystając na jej słowa.

— W takim razie ja idę pod prysznic, a ty w tym czasie zrób śniadanie.

— Najchętniej zostałby w łóżku cały dzień, razem z Josie, ale wstał z niechęcią i podszedł do szafy z ubraniami.

— Dlaczego ja? — Dziewczyna prychnęła oburzona, obserwując każdy jego ruch. — Jestem twoim gościem. To gospodarz powinien robić śniadanie.

— A gość nie powinien spać z gospodarzem w jednym łóżku — odgryzł się bez namysłu. — Wniosek? Jesteś u siebie i tym razem jest twoja kolej, żeby zrobić śniadanie.

— Ciekawe, kiedy będąc twoja.

— Następnym razem. — Chase uśmiechnął się cwaniacko i rzucił w jej stronę legginsy i koszulkę, które Josephine z niemałym zaskoczeniem rozpoznała jako swoje. — Zostały po poprzednim razie, jak tu spałaś. Jest jeszcze kilka innych rzeczy, jeśli to ci nie pasuje — wyjaśnił, widząc jej pytające spojrzenie.

— To było sześć lat temu — zauważyła całkiem słusznie.

Chłopak jedynie wzruszył ramionami, jakby to wystarczyło jako odpowiedź na stwierdzenie, że po tylu latach wciąż trzymał jej ubrania. Nawet kiedy się wprowadzał, wołał je zostawić, niż wyrzucić.

Zmotywowanie się do wstania okazało się o wiele trudniejsze niż przekonanie do tego Chase'a. Poprzedniej nocy rozmawiali jeszcze długo po tym, jak Archerowi urwał się film, i im dłużej była obudzona, tym bardziej czuła skutki zbyt małej ilości snu. Chociaż nie mogła powiedzieć, że żałuje, bo nocne rozmowy to zawsze była *ich* rzecz. Z nikim innym nie wyobrażała sobie siedzenia do świtu, by rozmawiać o wszystkim i o niczym.

— Nie zaszkodziłoby ci raz na jakiś czas zrobić zakupy, wiesz? — zapytała, gdy po przebraniu się i wizycie w łazience w końcu przeniosła się do kuchni, gdzie czekał na nią Chase. — Twoja lodówka świeci pustkami.

— Nie spodziewałem się gości. — Sprawnym ruchem przesunął w jej stronę kubek z kawą. — W szafce na górze są twoje ulubione płatki.

— I je też trzymasz tam od sześciu lat? — Josie posłała mu kpiący uśmiezek.

— Nie. — Wywrócił oczami, nie doceniając uszczypliwości. — Kupiłem ostatnio.

Znowu ta sama beznamiętność, jak kiedy mówił o ubraniach. Jakby nie było nic dziwnego w tym, że kupił jej ulubione płatki, których sam nie cierpiał, bo chciał mieć pewność, że Josie będzie miała co jeść, jeśli kiedyś przyjdzie jej zostać na noc.

Josephine była tak wzruszona tym małym, banalnym gestem, że przez chwilę bała się, że się rozpłaczę. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni ktoś wykazał się taką troską o nią, w dodatku Chase zachowywał się, jakby to nie było nic wielkiego.

Walcząc o odzyskanie kontroli nad własnymi emocjami, sięgnęła po wspomniane płatki. Pozwoliła, by zapadła między nimi swobodna cisza. Ta chwila była wyjątkowa w swojej prostocie i Josie pomyślała, że w jakimś innym życiu to mogłoby być codziennością. Mogliby każdego dnia budzić się obok siebie, spędzać leniwe poranki i jeść śniadania przed wyjściem do pracy.

Wspólne poranki z Carterem były kolejną rzeczą, z których braku nie zdawała sobie sprawy aż do tej chwili. Mężczyzna sześć dni w tygodniu wstawał dużo wcześniej niż ona i jedynie niedziele najczęściej rozpoczynali

wspólnie, ale nawet wtedy nie było to pełne takiego spokoju, jaki towarzyszył jej teraz. Nie było między nimi miejsca na zwyczajne cieszenie się swoją obecnością.

— Jose?

Wzdrygnęła się gwałtownie, gdy głos chłopaka wyrwał ją z zadumy.

— Mówiłem do ciebie, ale chyba na chwilę odleciałaś.

— Zamyśliłam się. Możesz powtórzyć? — Usiadła naprzeciwko, starając się wyrzucić z głowy te nierealne wizje.

Chase zmarszczył brwi, przez chwilę zastanawiając się, czy powinien zapytać, co wywołało to zamyślenie, ale w końcu zrezygnował.

— Mówiłem, że muszę wyjechać na kilka dni. Do Birmingham.

— Coś się stało?

— Mam tam parę spraw do załatwienia i chcę odwiedzić ojca przy okazji. Nic specjalnego — wyjaśnił i upił łyk kawy z kubka dziewczyny, ale zaraz skrzywił się, czując gorzki smak.

— W porządku. Zajmę się wszystkim przez ten czas. — Z lekkim rozbawieniem obserwowała reakcję chłopaka, który z obrzydzeniem oddał jej kubek.

Chase nigdy nie przepadał za kawą, a jeśli już ją pił, to sypał do niej mnóstwo cukru, więc niesłodzony napój Josie był dla niego prawie jak trucizna.

— Albo — zaczął, gdy w końcu pozbył się okropnego posmaku — możesz jechać ze mną.

— To nie jest dobry pomysł. — Bez względu na to, jak bardzo chciałyby pojechać i na własne oczy przekonać się, jak wygląda życie chłopaka w innym mieście, a także poznać jego ojca, wiedziała, że nie powinna się zgadzać. — Poza tym ktoś musi się zająć antykwariatem.

— I rozumiem, że ty się zgłaszasz na ochotnika? — Posłał jej powątpiewające spojrzenie.

— A co? Sugerujesz, że sobie nie poradzę? — Uniosła brew, wyzywając go, by spróbował potwierdzić jej słowa.

— Oczywiście, że nie. Za dobrze cię znam. — Chase podniósł obie ręce w obronnym geście, a groźny wzrok dziewczyny zastąpił zadowolony

uśmiech. — Po prostu nie sądziłem, że będziesz miała ochotę siedzieć tam sama.

— Myślałeś, że przesiaduję tam całymi dniami tylko ze względu na ciebie? — Właściwie Chase był głównym powodem, dla którego tak lubiła tam być, ale nie musiał tego wiedzieć. — Muszę cię rozczarować.

— Cios prosto w serce. — W dramatycznym geście złapał się za pierś, by pokazać, jak bardzo go zraniła. — Będziesz tu, aż wrócę?

— Nie wiem, chyba nie. Obiecałam Nicole, że spędzę z nią trochę czasu. — Najmłodsza członkini rodziny była jedyną osobą, której nie podobało się to, że jej ciocia spędza więcej czasu poza domem, i Josie miała zamiar się zrehabilitować. — Mamy iść razem w odwiedziny do pani Murphy.

Chase skinął głową, po czym bez słowa wstał od stołu i zniknął na chwilę w salonie.

— Łap — ostrzegł, gdy wrócił do pomieszczenia, i rzucił w jej kierunku pojedynczy klucz z breloczkiem.

Josie z małym trudem udało się złapać przedmiot. To był ten sam klucz do mieszkania chłopaka, który dał jej lata temu. Wciąż miał nawet ten sam breloczek z plastikową muszelką, kupiony dawno temu w Seaport.

Chase uważnie obserwował, jak dziewczyna nostalgicznie gładzi tę na pozór nic nieznaczącą ozdobę, która dla nich niosła ze sobą całą masę wspomnień.

— Zgaduję, że wraca do właścicielki — zauważył słusznie, posyłając jej delikatny uśmiech.

Kiedy Chase w końcu wyszedł, Archer wciąż jeszcze spał, więc z braku lepszego zajęcia Josephine postanowiła wyjść z mieszkania, by uzupełnić braki w lodówce i kupić aspirynę. Przewidywała, że Archer będzie jej potrzebował, a jeśli chciała z nim poważnie porozmawiać, musiała najpierw sprowadzić go z powrotem do żywych.

Po powrocie została powitana przez stłumiony odgłos dochodzący z łazienki, gdzie Archer pozbywał się resztek alkoholu z żołądka.

— Wyglądasz okropnie. — Josie skrzywiła się ze współczuciem, gdy błądy jak ściana chłopak pojawił się w salonie. — I domyślam się, że podobnie się czujesz.

— Bingo — wymamrotał bezsilnie i resztkami sił doczłapał do kanapy, na której zaległ, przykrywając się kocem.

Josie podeszła do niego, podając mu wodę i tabletki.

— Pamiętasz w ogóle wszystko z wczoraj?

— Więcej, niż bym chciał. To na pewno — przyznał, cokolwiek to miało oznaczać. — A zrobiłem coś głupiego?

— Głupszego niż przyjechanie tutaj taksówką w środku nocy? Ty mi powiedz. Mnie z tobą nie było, jak wlewałś w siebie cały zapas alkoholu w mieście. — Trudno było zachować stanowczość, widząc zboląły wyraz twarzy chłopaka. — Mamy do pogadania, ale najpierw doprowadzimy cię do porządku. Przede wszystkim przysnąć, bo śmierdzisz tak, że ledwo da się wytrzymać z tobą w jednym pomieszczeniu.

— Dzięki, kruszynko. Wiesz, jak podnieść kogoś na duchu — odgryzł się niemrawo.

— Do usług. — Wyszczrzyła się, nie zważając na ironię przyjaciela. — Poszukam ci coś do ubrania w rzeczach Chase'a i zrobię śniadanie. Zjesz i porozmawiamy, okej? — zapytała, ale jej ton nie wskazywał, że bierze pod uwagę odmowę.

Archer też to wiedział, dlatego bez słowa sprzeciwu pokiwał głową i ociężale podniósł się z kanapy, chociaż była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

Znalezienie czegoś, w co szatyn miał szansę się wcisnąć, nie było najłatwiejszym zadaniem ze względu na różnicę w budowie ciała jego i Chase'a, ale w końcu udało jej się coś wygrzebać. Podrzuciła ubrania pod drzwi łazienki, zanim przeniosła się do kuchni.

Zabrała się do przygotowania śniadania, w międzyczasie wymieniając wiadomości z Chase'em.

Chase: Archer żyje?

Josie: Jest mniej więcej tak żywy, jak rybki, które dostałam na dziesiąte urodziny od pani Murphy. Ale powoli stawiam go na nogi.

Chase: Cóż, jeśli ci się nie uda, zawsze możesz zrobić z nim to, co zrobiłaś z rybkami.

Josie: Wątpię, żeby zmieścił się w toalecie.

— Szczerzysz się do telefonu — zwrócił jej uwagę Archer, gdy wyszedł z łazienki. Po prysznicu wyglądam już nieco lepiej niż jeszcze chwilę temu.

— Nieprawda. — Dziewczyna podjęła marną próbę zaprzeczenia, ale została zgaszona przez pobłażliwe spojrzenie przyjaciela. — Jedz — poleciła, stawiając przed nim talerz i kubek z kawą.

— Możesz już zacząć pytać — zachęcił z pełnymi ustami. — Wiem, że chcesz.

— Powiedziałaś nam wczoraj, że kochasz Camille. — Josie nie była pewna, czy chłopak to pamięta. — Co się między wami wczoraj wydarzyło?

— Był piątek i Cami miała wolne — wyjaśnił Archer, nawiązując do zwyczaju spędzania wspólnie piątkowych wieczorów. — Więc poszedłem do niej jak zawsze. I stanąłem przed jej drzwiami z jedzeniem z jej ulubionej knajpki, bo trzy dni wcześniej wspomniała, że ma na nie ochotę. — Wykrzywił usta w zupełnie nietypowym dla siebie grymasie pełnym goryczy. — Więc wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy otworzył mi *Isaac*.

— I co? — Po ilości jadu, z jaką Archer wypowiedział to imię, uznała, że może bezpiecznie założyć, że chodzi o chłopaka, z którym Cami była wcześniej na randce.

— I zaprosił mnie do środka. — Prychnął. — Rozumiesz? Zaprosił mnie do środka, jakbym to ja był gościem w mieszkaniu, w którym żyje mój syn, a on miał prawo decydować, czy mogę wejść go zobaczyć. I wiesz, co zastałem, jak wszedłem? Uroczą, *rodzinną* scenkę. Spędzali wieczór we trójkę. Cami była tak zdziwiona moim widokiem, że śmiem twierdzić, że zapomniała o naszej tradycji.

— Wszedłeś?

— Chciałbym. Może wtedy udałoby mi się zachować resztki godności. — Odrobinę zbyt gwałtownie odstawił talerz na stolik i skrzywił się na głośny dźwięk. — Zamiast tego powiedziałem jej, że kupiłem jej ulubione jedzenie, przez co sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna, bo jak się okazało, nie ja jeden. Isaac przyniósł dokładnie to samo.

Może to wszystko były drobiazgi, ale Josie rozumiała doskonale, dlaczego tak zabolą Archer. To był pierwszy raz, kiedy jej przyjaciel był w romantycznej relacji wystarczająco bliskiej, by powstały między nim a dziewczyną ich prywatne zwyczaje, rzeczy, które dzielili tylko oni. Czy tego chciał, czy nie, cieszył się tym przez długi czas. I nagle przyszło mu stanąć twarzą w twarz z faktem, że to było wyjątkowe wyłącznie dla niego.

Próbowała to porównać do swojej relacji z Chase'em i podejrzewała, że podobnie by się czuła, gdyby dowiedziała się, że zabrał kogoś innego do Seaport. Teoretycznie nie miałyby żadnych praw, by czuć się zdradzona, ale i tak byłoby to niewiarygodnie bolesnym ciosem.

Był jakiś osobny, niemożliwy do nazwania słowami rodzaj bólu odczuwanego właśnie w takich momentach. Gdy ktoś brutalnie obdziera cię z wiary w wyjątkowość czegoś, co dawało ci szczęście.

Archer potrzebował chwili na zebranie myśli, więc w ramach wymówki chwycił kubek z kawą. Wypił ponad połowę zawartości, zanim znowu zabrał głos:

— Zostałem kwadrans — przyznał, zanim upił kolejny łyk. — Piętnaście minut oglądania ich razem pod pretekstem bawienia się z Alfiem. Zostałbym dłużej, bo jestem kretynem, który najwyraźniej ma skłonności masochistyczne. Ale jak tylko Cami zniknęła na chwilę, Isaac dyskretnie spytał, czy nie mam lepszych planów na wieczór niż psucie im randki.

— Więc wyszedłeś i poszedłeś do baru — dodała Josie, domyślając się dalszego ciągu tej historii.

— I klubu. I jeszcze jednego baru. I znowu klubu — wymienił, wyraźnie rozczarowany sobą. — Nawet nie pamiętam, co w nich robiłem. To brzmi żałośnie, bo ja tu siedzę, zastanawiając się, czy nie zdradziłem dziewczyny, z którą nawet nie jestem, podczas gdy ona pewnie robi śniadanie do łóżka swojemu chłopakowi. Cholera, dlaczego samo myślenie o tym tak boli?

Josie podkuliła nogi i oparła brodę na kolanie, myśląc, jak odpowiedzieć na pytanie Archera. Czuła się trochę tak, jakby miała tłumaczyć metafizykę przedszkolakowi, i dopiero wtedy naprawdę do niej dotarło, że jedyna miłość, jakiej jej przyjaciel wcześniej doświadczył w życiu,

pochoziła od przyjaciół. Jego rodzice pod wieloma względami byli jak jej własni, więc chłopak, dorastając, nie otrzymał zbyt wiele ciepła z ich strony. Nigdy dotąd się też nie zakochał i Josie uświadomiła sobie, że Archer przeżywa dokładnie to, co ona, gdy kończyli liceum.

— Podobno na tym właśnie polega urok tego wszystkiego — wyznała w końcu z nutką ironii w głosie.

— W takim razie miłość jest do dupy — stwierdził Archer i trudno się było z tym nie zgodzić. — Chcę złożyć reklamację.

— Nie ty jeden. — Josie nawet nie wiedziała, którą z niesprawiedliwości własnej historii zgłosiłaby najpierw, gdyby miała taką możliwość.

Ale okrucieństwo świata polegało właśnie na tym, że nikogo nie obchodziło, że nie zasłużyła na rzeczy, jakie ją spotkały. Nikt także nie zamierzał wysłuchać zażaleń Archera na temat jego serca, które złamało się, zanim dobrze poznało, czym jest miłość.

— Zamierzasz coś z tym zrobić? — zapytała, a gdy chłopak pokręcił głową, dodała: — Może powinieneś.

— Ona praktycznie jest w związku z innym facetem. Gdyby cokolwiek do mnie czuła, nie zaczynałaby niczego z nim, więc sprawa jest raczej jasna.

— Tak, ale...

— Gdybym miał teraz stanąć przed Cami, wiesz, co bym jej powiedział? — rzucił nerwowo. — Że prawdopodobnie zaczęło mi na niej zależeć już w trakcie tych miesięcy wspierania jej, gdy była w ciąży. Że przegrałem w momencie, w którym stanęła w moich drzwiach z paczką prezerwatyw w ręce i powiedziała tym swoim zadziornym tonem, że bym zaczął używać lepszych, bo jest ze mną w ciąży. Że tamtego dnia powaliła mnie na kolana swoją umiejętnością zachowania poczucia humoru w każdej sytuacji. Tym, że jest nieustraszona i nawet największy problem nie jest dla niej końcem świata. Że chcę ją mieć przy sobie zawsze, bo przy niej ja też jestem odważny i wyłącznie dzięki niej uwierzyłem, że poradzę sobie w roli ojca.

Josephine mogła tylko w kompletnym szoku słuchać słów, które powinna usłyszeć Camille.

— A wiesz, co ona by na to odpowiedziała? — Archer kontynuował swój wywód. — Że nie czuje tego samego. A ja nie mogę ryzykować, że zniszczę tym naszą przyjaźń, bo ona jest matką mojego dziecka, a to jest zbyt ważne.

— Twoje szczęście też jest.

— Ale szczęście Alfiego jest ważniejsze — zaprzeczył ze smutnym uśmiechem i Josie zaczęła go podziwiać jeszcze odrobinę bardziej. — Poza tym ze złamanym sercem da się żyć. Sama jesteś tego najlepszym przykładem.

Archer w żadnym wypadku nie był osobą, która nadmiernie skupia się na negatywnych stronach życia, i teraz też nie zamierzał pogrążyć się w smutku. Nawet jeśli miał lepsze momenty niż ten, to wciąż był tym samym niepoprawnym optymistą.

Josie dobrze o tym wszystkim wiedziała i pocieszało ją, że chłopak nie stracił całkiem swojego pozytywnego nastawienia. Jednak to nie wystarczyło do pozbycia się troski o przyjaciela.

Archer musiał wyczytać to z jej twarzy.

— Nie martw się o mnie, kruszynko. Jestem duży i dam sobie radę — zapewnił, a z każdą chwilą jego uśmiech stawał się odrobinę bardziej szczerzy. Na co komu miłość, kiedy ma się takich przyjaciół? — A teraz twoja kolej.

— Niby na co?

— Na spowiedź. Sesję terapeutyczną. Nazwij to, jak chcesz. Ja chcę po prostu wiedzieć.

— Mielśmy rozmawiać o twoich problemach, nie moich. — Jej problemy nie były żadną nowością i spokojnie mogły poczekać.

— Ale ja potrzebuję twoich problemów, bo to mój mechanizm radzenia sobie z *moimi* problemami! — narzekał, brzmiąc już zupełnie jak typowy on. Jakby poprzednich kilkanaście minut rozmowy się nie wydarzyło.

— Twój mechanizm jest beznadziejny — poinformowała go beznamiętnie.

— Ostatni raz, jak sprawdzałem, to skończyłaś prawo, a nie psychologię — odgryzł się Archer tym samym tonem. — Natomiast ja miałem

psychologię zarządzania przez trzy semestry. Jeden dlatego, że nie zdałem, ale to nie jest istotne. Istotne jest to, że jestem praktycznie dyplomowanym psychologiem. Więc tłumacz się. Dlaczego ze wszystkich możliwych miejsc w najlepsze spędzałaś wieczór w mieszkaniu swojego byłego chłopaka, a mojego najlepszego przyjaciela?

— Jesteśmy przyjaciółmi, więc to chyba nie jest aż takie dziwne?

— Wzruszyła ramionami, utrzymując obojętny wyraz twarzy.

— I to dlatego czujesz się w jego mieszkaniu jak u siebie, nocujesz tutaj i masz własne klucze? — Archer dopytywał tonem sugerującym, że nie dał się zwieść jej argumentem.

— Po pierwsze, to zostałam na noc ze względu na ciebie. — Josie miała pełną świadomość, że jeśli piekło istnieje, to ona z pewnością spłonie w nim za wszystkie kłamstwa, które opowiedziała w ostatnim czasie. — A po drugie, ty też czujesz się tu jak u siebie, więc to o niczym nie świadczy.

— Ale ja, kochanie, nie śpię z nim w jednym łóżku, nie grzebię w jego szafie ani nie robię mu zakupów — wymienił z niezmiennym uśmiechem satysfakcji. Zmiana tematu ewidentnie mu służyła i bawił się świetnie, dręcząc swoją przyjaciółkę.

Josephine z kolei czuła, że jej mały sekret właśnie wymyka się jej z rąk.

— Nie spaliśmy razem. Chase spał na kanapie.

Kolejne kłamstwo sprawiło, że Archer wybuchnął głośnym śmiechem.

— Pieprzenie. — Pokręcił głową z dezaprobatą. — Oboje wiemy, jaka jest prawda, więc nie pograżaj się, kruszynko, i odpowiedz szczerze. Co jest między tobą a Chase'em?

Przez chwilę w milczeniu toczyli ze sobą bitwę na spojrzenia, ale Josie w końcu odpuściła, wiedząc, że nie ma szans z Archerem. A może gdzieś w głębi duszy bardzo chciała z kimś porozmawiać o bagnie, w którym tkwiła po uszy?

— Nie mam pojęcia, okej? — wyrzuciła z siebie z irytacją, przeczesując włosy dłonią. — Zbliżyliśmy się do siebie ostatnio.

— Jak bardzo?

— Za bardzo. — Tego akurat miała pełną świadomość. — Śmiało, możesz mi wygarnąć, że jestem kompletną idiotką i przy okazji okropną

osobą. — Zakryła twarz ramieniem, jakby to miało pomóc ukryć się przed rzeczywistością. — Nie powiesz nic, czego sama bym nie wiedziała.

— Jesteś idiotką — potwierdził wesóło. — A ja jestem jasnowidzem.

Odchyliła rękę na tyle, by spojrzeć na niego jednym okiem.

— Więc mówisz, że od początku wiedziałeś, że to się tak skończy?

— Oczywiście, że tak. Jesteście do bólu przewidywalni. — Z niewiadomego dla niej powodu czerpał z tego niesamowitą radość. — Między wami zawsze coś będzie. Na początku była to nienawiść i przez jakiś czas myślałem, że paradoksalnie to byłoby dla was najlepsze. Ale wy się nie potraficie nawet nienawidzić z jakimkolwiek umiarem. Zawsze idziecie na całość i to już zaczęło być niezdrowe, więc jak powiedziałeś, że próbujecie się pogodzić, to uznałem, że nie będę się wtrącał. Ale nie ukrywam, przeszło mi przez myśl, że tak skończycie.

— Moje gratulacje — rzuciła, a jej głos ociekał sarkazmem. O wiele bardziej wołała rozmawiać o problemach Archera. — Możesz rzucić pracę u ojca i rozkręcić własny biznes wróżbity albo zapisać się do cyrku.

— Wiesz, że jestem ostatnią osobą, która kiedykolwiek będzie cię oceniać. — W końcu spowaźniał i szturchnął ją w łokieć, żeby na niego spojrziała. — Prawda jest taka, że nie jesteś idiotką. Wręcz przeciwnie, jesteś rozsądna i cholernie inteligentna. Po prostu Chase zawsze będzie twoją największą słabością, a ty jego. I to w porządku je mieć.

— To dlaczego jednocześnie czuję się, jakby był moją najmocniejszą stroną?

— Bo podobno na tym właśnie polega urok tego wszystkiego — wyjaśnił jej z przekąsem, cytując jej własne słowa.

— To nie to. — Josie pokręciła głową. — Nie jesteśmy w sobie zakochani. To jest dużo bardziej zagmatwane. — Głośno wypuściła powietrze z płuc, pozwalając głowie opaść do tyłu. — Myślę, że próbujemy się nawzajem poskładać w całość, ale oboje jesteśmy w takiej rozsypce, że nie wiem, czy sobie pomagamy, czy tak nam się tylko wydaje, a tak naprawdę jedynie pogarszamy sprawę.

Właśnie dlatego Archer zawsze powtarzał, że nie chce się zakochać. Bez względu na to, jak cudownym uczuciem miłość by była, uważał, że zdecydowanie nie jest warta wszystkich komplikacji, jakie ze sobą niesie.

Jak dotąd na przykładzie swoich przyjaciół, a teraz również samego siebie, jedynie utwierdzał się w tym przekonaniu.

— To brzmi tak, jakbyście próbowali wyleczyć się z raka, zarażając się zapaleniem płuc — stwierdził pół żartem, pół serio. — Co jest naprawdę frustrujące, bo podtrzymuję swoje twierdzenie, że jesteś rozsądna. Ale jednocześnie uważam, że oboje jesteście skończonymi kretynami.

— To twoja oficjalna psychologiczna diagnoza? — rzuciła kąśliwie.

— Nie. Oficjalna diagnoza to kretyni ze skłonnościami masochistycznymi, bo ewidentnie lubicie sprawiać sobie ból. I niezdolność do uczenia się na błędach jako dodatkowa dysfunkcja.

— Wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej przykre i zarazem najbardziej pocieszające?

— Boję się, ale oświeć mnie, proszę. — Archer ostentacyjnie wywrócił oczami.

— Że cokolwiek by się wydarzyło, nie będzie tak źle, jak wtedy, bo wyraziliśmy już sobie tyle krzywd, że nie może być gorzej — odpowiedziała ze wzrokiem utkwionym w suficie. — I chyba właśnie dlatego się na to zdecydowaliśmy, czymkolwiek to jest. Oboje egoistycznie wyciągamy z obecnej sytuacji wszystko to, co najlepsze, bo mamy krótką chwilę szczęścia do zyskania i w zasadzie nic do stracenia. Nie robimy planów na przyszłość, nie oszukujemy się, że to przetrwa. I oboje wiemy, że pewnie w końcu zaboli. Ale co z tego? — Wzruszyła ramionami, by podkreślić swoje słowa. — Nie pierwszy raz.

— A co z Carterem? — Archer nie był głupi, wbrew temu, co lubił czasami udawać. Widział swoją przyjaciółkę, gdy była naprawdę zachana, i widział ją z narzeczonym. Był pewien, że różnica byłaby widoczna gołym okiem z kosmosu.

— Ślub jest dwudziestego pierwszego czerwca — rzuciła w odpowiedzi, jakby to było wystarczającym wyjaśnieniem. — Wyjdę za niego i będę jego idealną żoną. Ale do tego czasu jego nie obchodzi, co robię, dopóki mu to nie szkodzi w jakiś sposób.

— To nie jest zdrowe. Cała ta sytuacja jest popieprzona.

— A duszenie w sobie uczuć do jedynej dziewczyny, którą pokochałeś, zamiast o nią powalczyć, jest zdrowe? — odparowała z uniesioną brwią.

Archer nie odpowiedział. Potrzebował chwili, by ogarnąć umysłem cały bałagan swój i Josie.

Świat opierał się na fałszywym przekonaniu, że w tym wieku powinni już mieć całe życie poukładane. Tak jakby istniała niewidzialna granica, do kiedy wolno jest popełniać głupie błędy, a kiedy należy zacząć zawsze wiedzieć, jak postąpić.

A jednak kiedy tak siedzieli oboje, przygniecenii swoimi pomyłkami, trudno było nie dojść do stwierdzenia, że dorosłość być może jednak wcale nie różni się tak bardzo od nastoletniości.

— Więc... — odezwał się po dłuższej ciszy, przeciągając samogłoskę — oboje siedzimy po uszy w gównie. Ale przynajmniej razem.

Josie nie pozostało nic, jak tylko się roześmiać.

— Zawsze to jakieś pocieszenie.

Rozdział 29

— Wszystkiego najlepszego! — Josie z entuzjazmem owinęła ramiona wokół drobnej sylwetki swojej przyjaciółki.

— Dziękuję. — Valerie równie ochoczo odwzajemniła uścisk. — Dobrze jest znowu obchodzić z tobą urodziny.

Josie czuła to samo, bo chociaż ich przyjaźń nie była idealna, to świętowały wspólnie kolejne lata swojego życia, jeszcze kiedy za imprezę urodzinową uważały przyjęcia z lalkami i misiami. Koniec tej wieloletniej tradycji był jedynie kolejnym punktem na długiej liście strat.

Świętowanie dwudziestych piątych urodzin Valerie było złotym środkiem pomiędzy czasami herbatek nalewanych do plastikowej zastawy a fazą obchodzenia nastych urodzin z przytupem i zbyt dużą ilością alkoholu. Solenizantka nigdy nie omieszkała wykorzystać argumentu, że to jej święto, przeciwko Josie i upić jej bez względu na protesty.

Dlatego być może najbardziej zadziwiającą zmianą, jaka zaszła przez te wszystkie lata, było to, że tego wieczoru Josephine z chęcią wybrała się do baru z przyjaciółmi, żeby opić urodziny Valerie.

Chase, który składał życzenia przed nią, zdążył już usiąść w boksie, gdzie czekali na nich Archer i Ethan. Josie bez większego namysłu zdecydowała się zająć miejsce obok bruneta. Jednak gdy tylko zbliżyła się do stolika, Archer pokrzyżował jej plany. Wychylił się i przyciągnął ją w swoją stronę, zmuszając, by usiadła obok niego.

— Co... — zaczęła, najpierw wymieniając skonsternowane spojrzenia z Chase'em, a później spoglądając na przyjaciela.

Archer jedynie skinął podbródkiem w stronę wejścia, co było wystarczającą odpowiedzią, bo stała tam Cami, rozglądając się w poszukiwaniu znajomych. Dostrzegła ich po chwili.

— Cześć. — Każdemu z osobna posłała promienny uśmiech, zupełnie nieświadoma emocji towarzyszących Archerowi. — Przepraszam za spóźnienie. Dojazd do mojej mamy, żeby zostawić jej Alfiego, zajął mi dłużej, niż planowałam.

— Nic się nie stało. — Ethan przyjaznym gestem zachęcił ją, żeby usiadła. — Valerie właśnie poszła złożyć zamówienie, bo Chase i Josie też dopiero weszli.

Dziewczyna obrzuciła spojrzeniem wspomnianą dwójkę.

— Przyjechaliście razem? Ostatnio często wam się to zdarza — rzuciła żartobliwy przytyk z jawną sugestią w głosie.

— Może dlatego, że mieszkają w tym samym mieście, jechali w to samo miejsce i mieli pociąg o tej samej godzinie? — zasugerował Archer poważnie, zanim którekolwiek z nich miało szansę odpowiedzieć.

To była niemal dokładnie ta sama rozmowa, jaką Coleman sam odbył z nimi podczas świątecznej kolacji, ale wtedy była ona utrzymana w lekkim, przyjacielskim nastroju.

Cami przez ułamek sekundy wydawała się dotknięta jego oschłym tonem. Ale ponieważ nie była kobietą, która zwykła ugiąć się pod atakiem nawet tak subtelnym, niemal natychmiast przystąpiła do odwetu:

— Może powinieneś zacząć brać z nich przykład i nauczyć się trochę tej praktyczności, bo gdybyś raczył ruszyć tyłek i zawieźć mnie do domu mojej mamy, udałoby mi się dotrzeć tu na czas — zarzuciła mu, podnosząc głos. — Nie wspominając o tym, że nie musiałabym się tłuc komunikacją miejską sama z dzieckiem.

Josie domyślała się, dlaczego Archer nie pomógł Cami. Zastanawiała się, czy powinna jakoś interweniować, zanim sprawy zajdą za daleko, ale powstrzymało ją spojrzenie Chase'a.

Chłopak pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że ma się nie wtrącać. Jednocześnie jego mina wskazywała, że nie zrobił tego z żadnego dobrego powodu. Po prostu był ciekawy, jak potoczą się sprawy między Archerem i Cami.

— Myślałem, że masz chłopaka od takich rzeczy. Skoro z powodzeniem wyręcza mnie w innych sprawach, do których mnie wcześniej potrzebowałeś, to niby dlaczego nie w tej?

Josie, jednym uchem wciąż słuchając dyskusji, w odpowiedzi posłała Chase'owi spojrzenie, jakby chciała nim zapytać: „Serio? Mam się nie wtrącać, bo ty się dobrze bawisz?”.

— A ty nadal jesteś zły o ostatni piątek? — rzuciła Cami z niedowierzaniem. — Przestań zachowywać się nedorzecznie. Ze sto razy ci mówiłam, że nie zapraszałam Isaaca, tylko sam przyszedł. I on nie jest moim chłopakiem. Tylko się przyjaźnimy.

Chase bez najmniejszego problemu zrozumiał niewerbalnie przekazaną wiadomość dziewczyny. Odpowiedział jej wzruszeniem ramion i uśmiechem, który mówił: „No co? To darmowa rozrywka”.

— A powiedziałas mu to przed czy po tym, jak się z nim przespałaś?
— Archer nie pozostał jej dłużny.

Josie, uznając, że sytuacja wymyka się spod kontroli, wbiła mu łokieć w żebra, żeby się opamiętał.

— Pójdę sprawdzić, czy Valerie nie potrzebuje pomocy — ogłosiła, podnosząc się z miejsca. Zanim odeszła, rzuciła jeszcze Chase'owi kolejne spojrzenie, które tym razem przekazywało polecenie: „Pilnuj, żeby się nie pozabijali”.

Bez trudu odnalazła w tłumie jasne włosy przyjaciółki. Blondynka usilnie próbowała dostać się do obleganego baru, żeby zamówić alkohol do ich stolika.

— Co chciałaś zamówić? — zapytała Josie, zachodząc ją od tyłu.

— Myślałam, że zaczniemy standardowo, a później się zobaczy.

Jak Josephine domyślała się po ich poprzednim wyjściu do baru, niedługo po jej powrocie, które swoją drogą skończyło się porażką, „standard” w tym wypadku oznaczał piwo. Pokręciła głową.

— Nie chcę cię martwić, ale nasz zakład o związek Archera i Cami stoi pod znakiem zapytania — powiedziała, starając się przekrzyknąć muzykę. — Sukcesem będzie, jeśli nie urwą sobie głów w przeciągu najbliższych piętnastu minut.

Josie zdawała sobie sprawę, że zakład najprawdopodobniej i tak jest już nieważny, biorąc pod uwagę wszystko to, co Archer powiedział jej ostatnio. Jednak nie do niej należało wtajemniczenie w sytuację Valerie.

W tym momencie starała się jedynie uchronić urodziny przyjaciółki od katastrofy, bo dokładnie w tym kierunku zmierzał ten wieczór.

Valerie nie zadawała pytań. Rozumiała powagę sytuacji bez znajomości szczegółów albo zwyczajnie nie potrzebowała zbyt wielu powodów, żeby zaszaleć trochę bardziej, niż planowała. W ostatnich latach jej życie i tak było zdecydowanie zbyt ułożone jak na jej gust.

Upicie Archera miało swoje dobre i złe strony. Dobrą była zauważalna poprawa nastroju, bo z każdą kolejką rozwiewała się napięta atmosfera między dwójką rodziców. Złą było to, że alkohol nie wpłynął wyłącznie na Colemana.

Jednak ta strona miała zostać zauważona dopiero jutro rano, gdy większość z grupy przyjaciół obudzi się z potwornym bólem głowy. Na razie czuli się świetnie i bawili jeszcze lepiej. To był ich wieczór. Jeden z tych, które sprawiają, że zapominasz o problemach następnego dnia i przez krótką chwilę czujesz się niewyciężony.

— To nie była moja wina! — Archer wyklócał się głośno, rzucając orzeszkami w zwijającą się ze śmiechu Valerie.

Ethan był w trakcie wspomnienia jednej z wielu przygód ze studiów i chociaż Josie lubiła o nich słuchać, to jednocześnie te opowieści zawsze sprawiały, że czuła się trochę jak wyrzutek. To nie tak, że historia o tym, jak cała ich trójka została wyrzucona z imprezy halloweenowej, nie była zabawna. Zwyczajnie Josie nie mogła śmiać się tak głośno jak Valerie czy wtrącić swojego komentarza, jak robił to Archer, bo nie była jej częścią.

Dlatego pozwoliła sobie na chwilę przestać skupiać całą uwagę na przyjaciółach i zaczęła rozglądać się po barze. Valerie wyjaśniła jej wcześniej, że to jedno z ich ulubionych miejsc, jeszcze z czasów studenckich, i Josie widziała, że nie tylko oni chętnie tam przychodzą, bo w lokalu roіło się od młodych ludzi bawiących się w grupkach znajomych. Część siedziała przy stolikach lub oblegała bar, a inni tańczyli na parkiecie w drugiej części sali.

— Nawet o tym nie myśl. — Chase, który tak jak dziewczyna stracił zainteresowanie historią, bo nie brał w niej udziału, z uwagą obserwował

Josie ze swojego miejsca naprzeciwko. Widział, jak na jej twarz wpłynął szeroki uśmiech, gdy zorientowała się, że tańczący ludzie bawią się do muzyki na żywo, i dobrze wiedział, co zaraz nadejdzie.

Zgodnie z jego przewidywaniami odwróciła się do niego z tym wielkim uśmiechem, który sprawiał, że stawała się jeszcze piękniejsza.

— Proooszę — przeciągnęła samogłoskę, patrząc na niego błagalnie. Wcześniej była tak pochłonięta swoimi przyjaciółmi, że nawet nie zauważyła, kiedy muzyka puszczana z głośników zmieniła się na karaoke.

Chase skłamałby, gdyby powiedział, że się nie spodziewał, że to nadejdzie. Valerie uwielbiała ten bar właśnie ze względu na muzykę na żywo, więc jasne było dla niego, że wybierze go na świętowanie swoich urodzin. Po spisku Josie na weselu był też niemal pewien, że będzie próbowała wykorzystać kolejną okazję, by zmusić go do śpiewania.

Tyle że tym razem nie miał zamiaru poddać się tak łatwo. Albo przynajmniej nie bez własnej korzyści.

— Niby dlaczego miałbym się zgodzić? — zapytał tonem, jakby podejmował biznesowe negocjacje.

— A co byś chciał w zamian? — Josie była zdeterminowana, by osiągnąć cel, a wypity alkohol sprawiał, że zapominała o ryzyku, z jakim wiązało się pozwolenie Chase'owi na stawianie warunków.

Drapieżny uśmiech Chase'a szybko jej o nim przypomniał.

— Jedno życzenie.

To przywołało odległe wspomnienie innego wieczoru, w innym barze, gdy zakładali się o to, czy Chase zdoła wygrać konkurs.

— Zgoda — przytaknęła, ale mając w pamięci, jakie było życzenie chłopaka ostatnim razem, dodała: — Ale życzeniem musi być coś, czego jeszcze nie robiliśmy.

— To nie fair! — Chase zaśmiał się jednocześnie rozbawiony i oburzony. — My zrobiliśmy już razem chyba wszystko.

Josie odpowiedziała jedynie pełnym satysfakcji uśmiechem. Dodała ten warunek właśnie po to, żeby utrudnić mu zadanie. Wyciągnęła rękę ponad stołem w jego stronę. Chase ją uściśnił, chociaż robił to z o wiele mniejszym entuzjazmem, po czym ruszył w stronę sceny.

Dopiero gdy zniknął, Josie zwróciła uwagę na dziwną ciszę przy ich stoliku. Spojrzała po każdym z osobna i zrozumiała, że wszyscy wpatrują się w nią z tym samym zdziwieniem.

— Co? — zapytała, sięgając po swojego drinka.

— Namówiłaś go na śpiewanie — odpowiedział Ethan, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ale ponieważ Josie nie tłumaczyło absolutnie nic, Valerie dodała:

— Chase był tu z nami dziesiątki razy i zawsze namawialiśmy go, żeby zaśpiewał. Wiesz, ile razy nam się udało?

— Zero — dodał Archer od siebie.

— Prawda. — Cami potwierdziła wyjaśnienia poprzedników. — Przynajmniej tak było za każdym razem, jak ja z nimi byłam.

Josie nie wiedziała, co może na to odpowiedzieć, bo jedyny argument, jaki miała na swoją obronę, to taki, że przecież Chase z łatwością dał się namówić na zaśpiewanie na weselu, ale w porę ugryzła się w język.

Na szczęście od konieczności odpowiedzi uratowało ją wejście Chase'a na scenę, bo cała uwaga jej przyjaciół zwróciła się w tamtym kierunku.

Dodatkową atrakcją zabawy, jaką oferował bar, było to, że uczestnik nie wybierał piosenki sam. W każdy weekend muzyczny temat przewodni był inny, dlatego utwory były automatycznie losowane z puli pasujących do danego motywu. Odważny, który zdecydował się wystąpić, poznawał tytuł dopiero po wejściu na scenę.

Tylko to uniemożliwiło Chase'owi zmianę zdania. Chociaż już z wcześniejszych obserwacji wywnioskował, że motywem tego wieczoru były lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte, nie mógł przewidzieć, jak źle mu się trafi. Natomiast kiedy dowiedział się, w co się wpackował, było już za późno, by się wycofać. Duma nie pozwoliła mu uciec ze sceny, gdy na ekranie wyświetlającym tekst pojawił się tytuł piosenki i rozbrzmiały pierwsze takty *Wake Me Up Before You Go-Go*.

— O Boże! — Podekscytowana i rozbawiona Valerie zapiszczała prosto do ucha przyjaciółki, nie będąc w stanie powstrzymać emocji.

Archer i Ethan zaczęły dopingować chłopaka głośnymi okrzykami i gwizdami, zaśmiewając się przy tym do rozpuku. Camille w tym czasie

zrobiła prawdopodobnie jedyną rozsądną rzecz, jaką można zrobić w sytuacji upokorzenia swojego przyjaciela — wyciągnęła telefon i zaczęła nagrywać występ Chase'a.

— Zamierzam to pewnego dnia oddać jego dzieciom, żeby miały kartę przetargową, jak zagrozi im szlabanem — obiecała równie ubawiona co reszta, nachylając się z komórką bardziej w stronę Valerie i Josie, by mieć lepszy widok.

A było co dokumentować, bo Chase typowo dla siebie całkowicie wczuł się w śpiewany przebój. Poruszał się po scenie z luzem i beztroską, naśladując ruchy George'a Michaela z ikonicznego teledysku do piosenki.

Josie nie do końca mogła uwierzyć, że nie robił tego całymi latami. Zwłaszcza kiedy miała przed oczami jasny dowód, że to uwielbiał. Kochał wkładać wszystkie emocje i całego siebie w śpiewanie. Nieważne, czy był to jego ukochany rock, stare disco, czy popowa piosenka w kółko grana w radiu. Rodzaj muzyki nie miał dla niego najmniejszego znaczenia, bo za każdym razem robił to z sercem.

Josephine już dawno temu rozumiała, że właśnie to było jego największym atutem, gdy występował na scenie. Miał dobry głos, ale na świecie były miliony lepszych. To swoją szczerością z powodzeniem przyciągał uwagę ludzi i teraz też nie było inaczej. Gdy skończył, został nagrodzony gromkimi brawami.

— To był najlepszy prezent urodzinowy, jaki dostałam w życiu — zadeklarowała Valerie, ocierając policzki z łez.

— Zapłacę każde pieniądze za to nagranie. — Archer bawił się kosztem przyjaciela tak dobrze, że zapomniał nawet o swoim postanowieniu ignorowania Camille.

Chase pojawił się przy stoliku i wystarczyło, że wzrok każdego z siedzących przyjaciół spoczął na nim na sekundę, by cała piątka wybuchła niepohamowanym śmiechem.

— Nienawidzę was wszystkich — oznajmił Chase, łąpiąc swoje piwo. — A ty — powiedział, wskazując na Josie — mi za to zapłacisz.

— Śmiało — rzuciła niedbale, próbując unormować oddech. — To było warte każdej ceny.

— No to chodź. — Wyciągnął dłoń w jej stronę, sygnalizując, by za nią złapała.

Josie posłuchała go głównie z ciekawości i podążyła za nim na parkiet, gdzie jeszcze przed chwilą ludzie bawili się do śpiewanego przez Chase'a utworu. Następny uczestnik wylosował coś o wiele wolniejszego i teraz jedynie kilka par kołysało się powoli w rytm muzyki.

— To twoje życzenie? — Josie kpiąco uniosła brwi, ale pozwoliła przyciągnąć się bliżej. — Łamiesz zasady.

— Wcale nie — zaprotestował z nikłym uśmiechem. — Nigdy nie tańczyliśmy do tak okropnego wykonania twojej ulubionej piosenki.

Prawda była taka, że Chase nie potrzebował żadnej gratyfikacji z jej strony. Nie musiał wykorzystywać swojego życzenia do czegoś szczególnego. Podziwianie jej takiej — roześmianej i szczęśliwej — samo w sobie było wystarczającą nagrodą.

Josie obróciła głowę w kierunku śpiewającej dziewczyny, usiłując odgadnąć tytuł utworu. Dopiero po kilku wersach ze zdziwieniem rozpoznała tekst *I Want To Know What Love Is*.

— Faktycznie. — Zmarszczyła nos, krzywiąc się na fałsz uczestniczki. Zazwyczaj, gdy do niej tańczyli, Chase śpiewał jej cicho słowa do ucha. — Czyli jednak są jeszcze rzeczy, których nie robiliśmy.

— Tak naprawdę jest bardzo dużo takich rzeczy — przyznał, poruszając się z nią w spokojnym rytmie. — Nigdy nie miałem cię na zawsze. Nigdy nie mieliśmy szansy na wspólną przyszłość. Nigdy nie zgodziłaś się za mnie wyjść.

— Bo nigdy nie poprosiłeś mnie o rękę — odparła, bo niezgodzenie się z nim było łatwiejsze niż zastanawianie nad jego słowami.

— Więc może powinienem był zachować moje życzenie i wykorzystać je na którąś z tych rzeczy?

— Może powinieneś. — Wtedy nie mogłaby odmówić. — Którą z nich byś wybrał?

To był pierwszy raz, gdy pozwolili sobie na podobne rozważania. Prawdopodobnie pełną odpowiedzialność za to mogłyby wziąć alkohol i czar tego wieczoru, wypełnionego beztróskim śmiechem. Te myśli

były niebezpieczne i nigdy nie powinny się pojawić. Groziły zrodzeniem się złudnej nadziei.

— Odbijany! — Archer, zupełnie nieświadomy wiszącej w powietrzu emocji, lub może świadomy aż nadto, zjawił się tuż przy nich i porwał w strzępy ich kruchą bańkę.

Przejął Josie z ramion Chase'a, nie dając brunetowi innego wyboru jak powrót do stolika, żeby dotrzymać towarzystwa siedzącej samotnie Camille. Josephine rozejrzała się wokół, próbując zlokalizować Ethana z Valerie, i znalazła ich również tańczących na parkiecie.

— Więc zamierzamy porozmawiać o tym, że przez całe lata Chase nigdy nie zgodził się wziąć udziału w tym durnym karaoke, aż nagle zjawiasz się ty i wystarczy, że zrobisz słodkie oczka, a on już łapie za mikrofon? — zapytał chłopak ze złośliwym uśmiechem, gdy zostali sami.

— To zależy. — Josie zastanowiła się chwilę nad swoimi kolejnymi słowami. — Czy zamierzamy porozmawiać o tym, że Cami przyznała, że Isaac wcale nie jest jej chłopakiem? I o tym, że ewidentnie nie potrafisz się zachowywać wobec niej jak przyjaciel, więc masz niewiele do stracenia i mógłbyś wyznać jej, co czujesz, bo dużo gorzej między wami nie będzie?

— Czyli nie — odpowiedział Archer na swoje własne pytanie. Chciał dodać coś jeszcze, ale rozpoczęła się kolejna piosenka i natychmiast zapomniał. Jego twarz rozświetliła się w dzikim uśmiechu.

Archer był okropnym tancerzem, ale nadrabiał to zapałem, więc gdy rozbrzmiał dobrze znany początek *Livin' La Vida Loca*, Josie mogła jedynie modlić się, by nie zrobił jej krzywdy w trakcie tańczenia do tak szybkiej piosenki.

Nie umiał też śpiewać, ale to nie powstrzymało go przed krzykiem refrenu piosenki, gdy obracał Josie w szaleńczym tempie, powodując jej głośny śmiech. Kręciło jej się w głowie i ledwo nadążała za ruchami przyjaciela, ale dawno nie czuła się tak dobrze. Zapomniała już, jak to jest tak po prostu bawić się beztrasko i być kompletnie obojętną na to, co pomyślą ludzie wokół niej.

Może była za głośna, może śmiała się za bardzo i zwracała na siebie niepotrzebną uwagę. Jej makijaż był rozmazany, a włosy w nieładzie,

ale przez tę krótką chwilę nie miało to żadnego znaczenia, gdy wydierała się razem z Archerem do piosenki, którą oboje kochali. To było kilka minut całkowitego zapomnienia i czystego szczęścia.

— Gapisz się na nią — stwierdziła Valerie, opadając ciężko na miejsce naprzeciwko Chase'a. Zrobiła sobie chwilę przerwy od tańczenia, więc jej mąż wyciągnął na parkiet Camille, żeby odrobinę poprawić jej humor.

— Co w tym złego? — Oczywiście, że Chase się gapił. Nie był w stanie odwrócić wzroku, a gdyby mógł, wypaliłby sobie ten widok pod powiekami i już zawsze widział ją taką. Nie czuł nawet cienia zazdrości, że to nie on jest w tej chwili powodem jej czystego szczęścia, bo był zbyt zachwycony samym faktem, że jest szczęśliwa.

— Może nic. — Mimo swoich słów dziewczyna nadal obserwowała go tak, jakby próbowała o czymś zdecydować. — Ale sposób, w jaki na nią patrzysz... Dobrze jest widzieć znowu starego Chase'a — stwierdziła, porzucając wcześniejszą myśl, bo i tak nie było słów, żeby opisać to, co widziała wtedy w spojrzeniu przyjaciela. — Tylko jakim kosztem?

— Val, nie martw się. Wszystko jest w porządku.

I naprawdę było. Po raz pierwszy od dawna wszystko było lepiej, niż Chase spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek będzie.

Właśnie dlatego odważyli się z Josie na to coś, co było między nimi. To był prosty układ, z którego zamierzał czerpać to ulotne szczęście niczym spragniony człowiek wodę.

A potem rozejdą się w swoje strony. I tym razem będzie inaczej. Chase w to wierzył, bo tym razem nie zamierzał sobie pozwolić nawet na myślenie o przyszłości z nią. Dopóki nie pozwoli wykiełkować nadziei, jego serce było bezpieczne.

Ponieważ rozmawiając z Valerie, na moment przeniósł spojrzenie na nią, przegapił moment, w którym wszystko się zmieniło.

W jednej chwili Josephine była roześmiana i szczęśliwa, a gdy spojrział znowu, stała pośrodku parkietu z czymś na kształt strachu w oczach. Chase poczuł instynktowny przyływ opiekuńczości wobec dziewczyny i niewytłumaczalną złość na to, co jej tę radość zabrało. Pchnięty tymi emocjami podążył za jej spojrzeniem w stronę drzwi wejściowych.

Rozpoznał go natychmiast, bo Carter Bateson nie należał do osób, o których łatwo było można zapomnieć, ale też dlatego, że nie mógłby się bardziej wyróżniać, stojąc w studenckim barze w płaszczu i garniturze wartym tysiące.

Nie ruszył się ze swojego miejsca ani nie wykonał żadnego gestu w kierunku swojej narzeczonej. Jedyne stał i patrzył na nią, samym wzrokiem nakazując, by podeszła.

Josie posłuchała tego niemego rozkazu, chociaż jedyne, na co miała ochotę, to ukrycie się za Archerem. Po raz pierwszy od dawna naprawdę bała się wściekłości Cartera, jednak nie było żadnej drogi ucieczki, a ona miała tyle rozumu w głowie, by to wiedzieć.

— Co tutaj robisz? — zapytała zwyczajnie. Była świadoma par oczu obserwujących ją uważnie.

— Obiecałem, że wkrótce znajdę dla ciebie czas — odparł tonem tak ostrym, że mógłby ciąć papier. — I dotrzymałem słowa. Zarezerwowałem stolik w najlepszej restauracji w mieście, chcąc zrobić ci niespodziankę. Ale kiedy przyjechałem do Moreton, ciebie nie było. Znowu. Twój brat podał mi nazwę... baru, w którym cię znajdę — poinformował ją, nie kryjąc obrzydzenia lokalem.

— Nie wiedziałam, że zamierzasz przyjechać — broniła się słabo.

— Tak zazwyczaj działają niespodzianki.

— Carter! Miło cię znowu widzieć. — Archer pojawił się u boku przyjaciółki z najlepszym uśmiechem, na jaki go było stać. — Świętujemy urodziny Valerie. Może się przyłączysz? Usiądziesz z nami, wypijemy i w końcu trochę lepiej się poznamy?

Josephine nie próbowała nawet zgadnąć, którą częścią propozycji Carter był najbardziej zniesmaczony.

— Nie, dziękuję. — Chociaż jego słowa wydawały się uprzejme, to ton, z jakim je wypowiedział, nie miał nawet śladu grzeczności. — Właśnie wychodziliśmy.

Ze względu na swoje pogodne usposobienie Archer często był lekceważony. Ludzie błędnie zakładali, że nie muszą go szanować, bo ktoś taki jak on nie może się za to odpłacić.

— Naprawdę? — Chłopak uniósł brwi w ironicznym zdziwieniu, zerkając na Josephine. — A to ciekawe, bo Josie nic o tym nie wspominała. Wręcz przeciwnie, jeszcze chwilę temu planowała wypić ze mną kolejnego drinka.

— Chyba lepiej wiem, co planuje moja narzeczona. — Nikle pokłady cierpliwości mężczyzny zaczynały się wyczerpywać.

— Carter ma rację — wtrąciła ze spokojem, którego nie czuła, zanim Archer pogorszył sytuację. — Mieliśmy wspólne plany, o których zapomniałam. To moja wina. Zabiorę tylko swoje rzeczy.

— Przyniosę ci je — zaoferował Archer i odszedł, zanim zdążyła zaprotestować.

Widział upokorzenie na jej twarzy i inne emocje wychylające się spod maski opanowania, którą utrzymywała z trudem. Był niemal pewien, że gdyby podeszła do stolika i Chase zobaczyłby ją w takim stanie, jego przyjaciel straciłby nad sobą kontrolę, a to ostatnie, czego Josephine potrzebowała.

— Przekażesz Valerie przeprosiny, że wychodzę tak nagle? — zapytała, gdy chłopak wrócił z jej płaszczem i torebką.

— Już przeproszona — zapewnił, puszczając do niej oczko. — Nie gniewa się.

— Bawcie się dobrze — życzyła mu jeszcze na pożegnanie, zanim Carter wyprowadził ją z baru.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, mężczyzna opuścił rękę, którą trzymał na dole jej pleców, i ruszył przodem w stronę samochodu zaparkowanego tuż przed lokalem. Kierowca Cartera wysiadł, by otworzyć mu drzwi.

— Josie! — Głos Valerie zatrzymał ją, gdy była prawie przy aucie. — Zapomniałaś szala — wyjaśniła, wręczając jej szalik należący do Camille, i zanim Josie zaprotestowała, objęła ją w przyjaznym uścisku. — Jeszcze raz dzięki, że przyjechałaś — powiedziała na tyle głośno, by siedzący już w samochodzie Carter ją słyszał. Zaraz potem dodała szeptem: — Chase chciał wyjść za tobą, ale Archer go powstrzymał. Na pewno wszystko w porządku?

— Drobne nieporozumienie, nic wielkiego — odszepnęła, w duchu dziękując przyjacielowi. — Nie ma za co, świetnie się bawiłam. Przepraszam, że znikam tak szybko, ale mamy plany z Carterem, o których zapomniałam — wyjaśniła już normalnym głosem, starając się brzmieć pogodnie.

— Josephine, spóźniliśmy się — zawołał mężczyzna z auta.

— Leć. — Valerie wypuściła przyjaciółkę z objęć i kiwnęła głową w stronę pojazdu, chociaż jej brwi nadal były ściągnięte w zmartwieniu.

Josie nie miała jednak czasu dalej ją zapewniać, że nie ma powodu do troski. Posłusznie wsunęła się na tylne siedzenie i pozwoliła, by kierowca zamknął za nią drzwi.

Cisza była tak ogromnym kontrastem w porównaniu ze zgiełkiem, w jakim spędziła ostatnie godziny, że już po kilku minutach stała się nie do wytrzymania.

— Gdzie jedziemy? — Prawdopodobnie rozsądniej byłoby zyczajnie milczeć i nie prowokować mężczyzny, który emanował ledwie opanowaną wściekłością, ale uznała, że w tamtym momencie nawet krzyk byłby lepszy od tej okrutnej ciszy.

— A jak sądzisz? — parsknął ironicznie. — Myślisz, że pokazałbym się gdziekolwiek z tobą publicznie w tym stanie? Śmierdzącą potem i tanim alkoholem? Ze zrujnowanym makijażem i w *takich* ubraniach? Wyglądasz jak uboga studentka wracająca z imprezy.

Czyli do domu — odpowiedziała sobie Josie w myślach.

Jednocześnie poczuła przypływ wściekłości, być może napędzany resztkami alkoholu, które nie zdążyły wyparować, gdy zobaczyła Cartera w barze. Była wściekła za to, że jeszcze kilka minut temu była szczęśliwa, a jej *narzeczony* to zniszczył, podobnie jak cały ten wieczór, żeby móc ją poobrazić.

— Nie możesz mieć do mnie pretensji o to, że spędzam czas z przyjaciółmi — warknęła, zanim zdążyła to przemyśleć. — Nie masz prawa oczekiwać ode mnie, że będę siedzieć zamknięta w czterech ścianach, odcięta od świata, tylko dlatego, że ty tak chcesz. Zostawiłeś mnie w Moreton jak walizkę na przechowanie, a ja nie mam zamiaru czekać, aż *łaskawie* postanowisz poświęcić mi swój cenny czas.

Carter nie powiedział nic, by ją powstrzymać, a Josie była już o krok poza granicą kontroli.

— Tak, poszłam do baru z przyjaciółmi. Tak, piłam z nimi alkohol, tańczyłam i bawiłam się *świetnie*. Bo mam, do cholery, dwadzieścia cztery lata i chcę pożyć chociaż trochę, zanim utknę z tobą na zawsze! — wykrzyczała, rzucając mu w twarz słowa, których nigdy wcześniej nie odważyła się powiedzieć głośno.

Siedzący obok niej mężczyzna nie był ani trochę poruszony jej wybuchem. Przez cały ten czas nawet na nią nie spojrzął.

— Henry, zatrzymaj się — zwrócił się do kierowcy.

Zdążyli już wyjechać na przedmieścia Londynu, których Josephine ani trochę nie знаła. Nigdzie w pobliżu nie widziała ludzi, a ciemność utrudniała jej rozeznanie się po okolicy. Nie rozumiała też, dlaczego Carter kazał się zatrzymać, dopóki nie odezwał się ponownie:

— Otwórz, proszę, drzwi mojej narzeczonej.

Kierowca posłuchał polecenia bez cienia wahania, a Josie z rosnącym przerażeniem spojrziała na Cartera. Zimny wiatr owiewał jej nogi odziane jedynie w spódniczkę i rajstopy.

— Jeśli jesteś taka nieszczęśliwa, to proszę bardzo, droga wolna. — Ruchem dłoni wskazał na otwarte drzwi. — Ale według mojej wiedzy potrzebujesz mnie bardziej niż ja ciebie. W tym kraju jest wiele ładnych dziewczyn z prawniczych rodzin, które chętnie wskoczą na twoje miejsce.

Oto i ona. Odpowiedź na pytanie, dlaczego ze wszystkich zainteresowanych nim kobiet Carter wybrał właśnie ją. Wisiała teraz między nimi w powietrzu, prawie jakby była trzecim pasażerem. Przypominała Josie, że w niej samej nie było nic oprócz urody, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie mężczyzny takiego jak on.

Temat poszerzenia działalności firmy i otwarcia filii w Anglii był obecny w rodzinie Cartera lata przed tym, jak skończył studia. Jednak żeby zwiększyć swoje szanse na sukces, potrzebowali na miejscu kogoś znającego angielskie prawo. Kogoś, kto byłby jednocześnie na tyle dobry, by poradzić sobie z legalnymi sprawami firmy, i na tyle godny zaufania, by było mu można powierzyć także te nielegalne.

Rodzice Josephine, ze swoim zaślepieniem władzą i pieniędzmi, byli idealni do tej roli. Zgodziliby się pomóc w każdym jego biznesowym przekręcie, nawet gdyby byli sobie całkowicie obcy, jednak małżeństwo z ich córką było dla Cartera dodatkową gwarancją długiej i owocnej współpracy.

— Wysiadasz czy zostajesz? — dopytał cierpliwie, gdy nie spotkał się z żadną reakcją ze strony brunetki. — Zastanów się dobrze, *kochanie*, bo twoja decyzja może wiele kosztować twoją rodzinę.

Jeszcze do niedawna ta groźba nie zrobiłaby na niej najmniejszego wrażenia. Nie dbałaby o to, czy gdyby od niego odeszła, Carter zniszczyłby w zemście kancelarię jej rodziców.

Jednak teraz jej myśli od razu powędrowały do Williama. Co jej brat by zrobił, gdyby nagle stracił pracę? Małe biuro architektoniczne, które Crystal założyła z przyjaciółkami po studiach, nie przynosiło wystarczających zysków, by mogli utrzymać się tylko z tego. Jak to wpłynie na Nicole?

Zastanawiała się, czy William nadal chciałby mieć z nią bliskie relacje, gdyby dowiedział się, że to ona stała za zniszczeniem jego kariery, i była przerażona odpowiedzią, jaką podsuwała jej podświadomość. Przeżyła dwadzieścia cztery lata bez brata. Jak to możliwe, że po zaledwie kilku miesiącach była gotowa zrobić wszystko, by go nie stracić?

— Zostaję — wycedziła.

— Dziękuję, Henry. Możesz zamknąć drzwi i ruszać. — Skinął uprzejmie kierowcy, zanim wrócił spojrzeniem do dziewczyny. — Zostałaś z własnej woli. Należysz do mnie — zaznaczył tonem, za który Josephine miała ochotę go uderzyć, ale za bardzo się bała. — Radzę ci o tym pamiętać, bo jeśli jeszcze raz zdarzy ci się zapomnieć, jakiego zachowania oczekuję od swojej przyszłej żony, przekonasz się, z jaką łatwością mogę zniszczyć życie twoich przyjaciół.

— Mam się z nimi nie spotykać?

— Masz nie narażać mnie na wstyd tak, jak to zrobiłaś dzisiaj — poprawił ją niecierpliwie. — Jeśli naprawdę uważasz, że miesiące przed małżeństwem ze mną to twój czas, żeby trochę *pożyć*, to *zwyczajnie jesteś idiotką*. — Pogarda, z jaką powtórzył użyte przez Josie słowo, zaboląła

bardziej, niż gdyby ją spoliczkował. — Nie zamierzam ryzykować, że gdy za parę miesięcy naprawdę zaczniesz coś znaczyć, ktoś spróbuje mnie upokorzyć, upubliczniając zdjęcia, na których moją żonę obmacują obcy mężczyźni. Rozumiemy się?

Chciała jej się płakać z bezsilności. Z okrucieństwa losu, który sprawił, że z jednej klatki wleciała wprost do następnej. *Za to poświęciła swoją jedyną miłość? To właśnie otrzymała w zamian za porzucenie przyjaciół?*

Pokiwała głową w odpowiedzi, pewna, że gdyby spróbowała się odezwać, z jej ust wydobyłyby się jedynie szloch, a nie zamierzała dać Carterowi tej satysfakcji. W tej chwili nienawidziła go bardziej niż swoich rodziców. Nienawidziła też siebie, za własną słabość i naiwność.

Dlaczego nie potrafiła po prostu wyjść, trzasnąć drzwiami i nie oglądać się za siebie? Gdzie była ta odwaga, z którą była gotowa walczyć o życie z Chase'em, gdy miała osiemnaście lat?

— Twój wesoły przyjaciel ma dziecko, prawda? — rzucił Carter niezobowiązująco po chwili ciszy, jakby zaczynał luźną pogawędkę. — Byłoby źle, gdybym wykupił większość udziałów w firmie jego ojca i zostawił go bez środków na utrzymanie siebie i syna. A może powinienem zacząć od twojej blondwłosej przyjaciółki? Jej kariera w świecie mody jest jeszcze prostsza do zrujnowania. Mam wymieniać dalej?

— Nie. — Zrozumiała przekaz. Nawet gdyby sam fakt, że przyjrzał się życiu jej przyjaciół, nie budził wystarczającego strachu, robiła to świadomość, że miał absolutnie wszystko, czego potrzebował, żeby spełnić swoje groźby.

Wciąż jeszcze pamiętała opowiedzianą jej przez Archera historię z łapówką, którą Valerie zapłaciła, żeby uchronić Chase'a przed więzieniem. Wystarczyło, żeby Carter znalazł funkcjonariuszy, których wtedy dziewczyna przekupiła. Jednym ruchem poważnie zaszkodziłby nie tylko im, ale przez Valerie pośrednio zraniłby także Ethana.

Archer zdobywał doświadczenie w firmie jako normalny pracownik. Nie miał tam jeszcze żadnej władzy, która mogłaby go uchronić, gdyby Carter naprawdę wykupił udziały od jego ojca.

— Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

Josie pomyślała o tym krótkim momencie, który dzieliła z Chase'em, gdy tańczyli na parkiecie do jej ulubionej piosenki, rozmawiając o rzeczach, których jeszcze nie zrobili. Przez chwilę pozwoliła je sobie oplakiwać w duszy, bo te rzeczy były marzeniami. Takimi, które nigdy się nie spełnią.

Myśląc o nich, czuła coś na kształt żałoby, i to uświadomiło jej, że nadzieja, której odrodzenia tak się bała, już zaczęła kiełkować. Była wątła i słaba, ale to nie miało znaczenia.

Nadzieja, nieważne, jak krucha, zawsze bolała tak samo, gdy zostawała zdeptana.

Rozdział 30

— Dzięki. — Cami uśmiechnęła się do Josie ciepło, odbierając od niej szal, który tydzień wcześniej posłużył Valerie za wymówkę do wyjścia z baru za przyjaciółką. — Siadaj.

Zaproszenie w jej wykonaniu brzmiało niepokojąco, jak polecenie, i Josie wymieniła zdziwione spojrzenia z Valerie, która trzymała Alfiego na kolanach. Blondynka przyjechała do mieszkania Camille jeszcze przed nią, ale cokolwiek dziewczyna chciała z nimi omówić, najwidoczniej wymagało obecności obu przyjaciółek.

— Dobra, krótka piłka bez owijania w bawełnę — zarządziła z typowym dla siebie konkretnym podejściem do życia. Usiadła na oparciu fotela naprzeciwko dziewczyn, spoglądając na nie poważnie. — O co, do cholery, chodzi temu kretynowi?

— Któremu? — Josie i Valerie spytały w synchronizacji.

— Bez urazy, ale pozostali dwaj kretyni z tej grupy to wasze zmarnięcia. — Cami spojrzała na nie jak na idiotki. — Chodzi mi o *mojego* kretyna, znanego też jako ojciec *mojego* dziecka. O co mu chodzi?

— A o co ma mu chodzić? — Valerie ewidentnie przybrała podejście iście w stylu Archera i zamierzała udawać głupią tak długo, jak to możliwe.

Czyli krótko, bo Cami nie należała do ludzi, których łatwo zwieść.

— Nie udawaj, że nie wiesz! — wyjęczała zniecierpliwiona i zdeterminowana, by wyciągnąć od nich odpowiedzi. — Widziałas, jak się zachowywał na twoich urodzinach, obie widziałyście. Obraził się o coś i teraz ledwo ze mną rozmawia, jak przychodzi zobaczyć się z Alfiem.

— Skąd pomysł, że my coś wiemy? — zapytała Josie niezobowiązująco. Ta rozmowa zaczynała przypominać przesłuchanie na policji i może bawiłaby ją bardziej, gdyby sekrety Archera nie ciążyły jej na sumieniu.

— Bo ten idiota nie potrafi utrzymać języka za zębami, kiedy coś go dręczy — odpowiedziała jej bez zastanowienia. — O twoim konflikcie z Chase'em sprzed paru miesięcy wiem więcej, niżbym chciała, bo to do mnie Archer przychodził się wyżalić po waszych kłótniach.

— Dobrze wiedzieć — mruknęła Josie cicho, zapamiętując to sobie, żeby wypomnieć Archerowi brak dyskrecji przy następnej okazji.

— Więc? — ponagliła je Cami, nie doczekawszy się reakcji żadnej z dziewczyn. — Do której z was poszedł się wyżalić tym razem?

Josie wymieniła szybkie spojrzenia z Valerie. Ponieważ ta druga mogła z czystym sumieniem odpowiedzieć, że nie do niej, drogą eliminacji doszła do oczywistego wniosku, że osobą, której Camille szuka, jest Josephine.

Mogłaby ją wydać, żeby oczyścić siebie z zarzutów, ale ze względu na to, że stanowiły jedną drużynę w zakładzie z Chase'em i Ethanem o związek Archera, postanowiła pomóc przyjaciółce.

— Z tego, co słyszałam od Ethana po moich urodzinach — zaczęła niewinnie, zaznaczając, że pozyskała informacje od osób trzecich — to podczas waszej kłótni padło coś o... Isaacu? Kto to?

Josie miała ochotę parsknąć śmiechem na niebywałe umiejętności aktorskie Valerie. Może nawet uwierzyłaby w jej niedoinformowanie, gdyby nie znała jej tak dobrze i nie wiedziała z całkowitą pewnością, że przesłuchiwała swojego męża, aż wyciągnęła z niego każde słowo, które padło przy stoliku pod jej nieobecność.

— Chłopak, z którym byłam kilka razy na randce — wyjaśniła Cami, krzywiąc się. — Poznaliśmy się przez internet i na początku było miło, ale teraz... sama nie wiem. Próbowalam go spławić parę razy, ale nie załapała sugestii. Tydzień przed urodzinami przyszedł do mnie w piątek bez zapowiedzi, z jedzeniem, i co miałam zrobić? Archer zawsze przychodzi w piątki i sądziłam, że Isaac sobie wtedy pójdzie, ale zamiast tego Archer wyszedł po chwili i od tego czasu jest obrażony jak dziecko.

Dwie przyjaciółki wymieniły kolejne porozumiewawcze spojrzenia, z trudem kryjąc uśmiech. Valerie wyciągnęła z Cami najważniejszą informację — że Isaac nie jest przeszkodą. Wiedząc to, mogły spróbować pomóc trochę szczęściu Archera.

— Wiesz... — Josie zaczęła, szturchając łokciem dziewczynę obok niej.

— ...jest taka możliwość...

— ...że być może Archer jest zazdrosny. — Słowa Josephine były idealnie wyważoną mieszanką prawdy i niedomówienia i dodatkowo nie zdradzały sekretu szatyna, bo to, że Archer jest zazdrosny, dziewczyna wiedziała na długo przed tym, jak zdradził jej swoje uczucia względem Camille.

— O to się obraził? Bo myśli, że jak zacznę się z kimś umawiać, to ten ktoś zajmie jego miejsce w życiu Alfiego? — zapytała Cami z niedowierzaniem, po czym parsknęła śmiechem, kręcąc przy tym głową. — Co za kretyn.

— Josie chyba nie Alfiego miała na myśli — sprostowała Valerie, podrzucając delikatnie na kolanie gaworzącego chłopca.

— Co?

— To o ciebie Archer jest zazdrosny — zdradziła jej Josie, tłumacząc ciche wyrzuty sumienia tym, że jej przyjaciel też miał zbyt długi język.

— Niemożliwe. — Cami zerwała się nagle i zaczęła chodzić po salonie, jakby nadmiar energii nie pozwalał jej usiedzieć w miejscu. — Chciałabym, żeby tak było, ale dla niego jestem tylko przyjaciółką. Sam mi to powiedział.

— Chciałabym? — powtórzyła Valerie zaskoczona.

— Niby kiedy? — Josie zadała swoje pytanie w tym samym momencie, ale jej uwagę bardziej przykuło ostatnie zdanie.

— Parę miesięcy temu — wyjaśniła dziewczyna ze wzruszeniem ramion, wciąż krążąc od okna do ściany, odprowadzana wzrokiem przez trzy pary oczu. — I tak, *chciałabym*. Lubię go.

— *Lubić* to można co najwyżej pizzę hawajską — poprawiła ją blondynka z pobłażliwym spojrzeniem. Najwyraźniej uznała, że przyszedł czas, żeby postawić wszystko na jedną kartę. — Kochasz go czy nie?

— Tak? Nie. Nie wiem! — wyrzucała z siebie kolejne odpowiedzi, próbując połapać się we własnych uczuciach. Miłość była jej niemal tak obca jak Archerowi. — Myślę, że tak — zdecydowała w końcu,

zatrzymując się w pół kroku. Zwróciła się w kierunku dziewczyn. — Dlaczego się tak szczerzycie?

— Bo myślimy, że Archer też cię kocha.

— Wiemy — poprawiła Josie swoją przyjaciółkę, z ciężkim sercem podejmując decyzję.

— *Wiemy?! —* Tym razem Valerie była tak samo zszokowana jak Camille. Wyprzedziła ją w wykrzyczeniu pytania o ułamek sekundy.

— Powiedział mi właśnie po tym, jak zastał u ciebie w mieszkaniu Isaaca. Swoją drogą wyszedł, bo Isaac spytał, czy nie ma innych planów niż psucie wam randki. — Skoro już i tak było za późno, żeby się wycofać, równie dobrze mogła wykorzystać swoją wiedzę, żeby usprawiedliwić Archera.

— I powiedział ci, że mnie kocha? — Cami nie do końca uwierzyła w jej słowa.

— No tak.

— I dlaczego postanowił wyznać to tobie, a nie na przykład, no nie wiem, *mnie?! —* Podniosła głos.

— Bo jest przekonany, że ty i Isaac jesteście parą. Albo niedługo będziecie, bo chcesz z nim być. — Josephine mogła tylko mieć nadzieję, że wyniknie z tego coś dobrego, bo w przeciwnym razie nigdy nie wybaczy sobie niedotrzymania tajemnicy Archera. — Był o ciebie zazdrosny już za pierwszym razem, jak wyszłaś na randkę, a gdy zastał u ciebie Isaaca akurat w ten jeden wieczór, który zawsze spędzacie razem, jedynie utwierdził się w przekonaniu, że nic do niego nie czujesz. Uznał, że nie powie ci o swoich uczuciach, żeby nie niszczyć waszej relacji. Ze względu na Alfiego.

Camille milczała przez kilka chwil, podczas których próbowała przetworzyć wszystkie usłyszane informacje. Gdy w końcu dotarła do niej ta najważniejsza, zerwała się z miejsca i ruszyła prosto do przedpokoju.

— Nie no, ja go zabiję — zadeklarowała, zrywając płaszcz z wieszaka. — Miesiącami się starałam, żeby zaczął widzieć we mnie kogoś więcej niż przyjaciółkę i matkę swojego dziecka. *Miesiącami* mu dawałam sygnały, a on nic! Teraz się obudził, że jednak mnie kocha?! Kiedy ja spróbowałam ruszyć dalej i znaleźć sobie kogoś, żeby zapomnieć o nim?! —

Wyrzucała z siebie kolejne słowa, a z każdym wydawała się jeszcze bardziej wściekła. — Popilnujcie Alfa?

— A ty gdzie idziesz? — Valerie zadała pytanie, na które Josie bała się poznać odpowiedź.

— Do Archera. Mamy sobie kilka spraw do wyjaśnienia — powiedziała, zakładając buty. — Wrócę za godzinę. Może dwie. Zależy, jak długo mi zajmie pozbywanie się ciała. Czujcie się jak u siebie — rzuciła jeszcze i wyszła, zanim którakolwiek z dziewczyn zdążyła zaprotestować.

— Czy mi się wydaje? — Kompletne osłupienie, w jakie wprawiło je ostatnich kilka minut, sprawiło, że Valerie z trudem formułowała słowa. — Czy my właśnie wygrałyśmy zakład?

— Albo wygrałyśmy zakład, albo straciłyśmy przyjaciela. — Josie wciąż jeszcze wpatrywała się w przestrzeń, gdzie jeszcze chwilę temu stała Camille. — Szanse są wyrównane.

— Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy świat jest gotowy na tę dwójkę razem.

Bez względu na to, czy świat był gotowy, czy nie, Archer i Camille zostali parą jeszcze tego samego dnia, jak przystało na dwoje ludzi nie lubiących niepotrzebnie komplikować sobie życia.

Gdy dziewczyna wróciła w końcu do mieszkania, zjawiała się w towarzystwie szatyna, który był zbyt szczęśliwy, by chociaż udawać, że ma Josie za złe wygadanie się przed Cami. Wiedział przecież, że zrobiła to w dobrej intencji, a ze wszystkich ludzi na świecie akurat on miał najmniejsze prawo do pretensji wobec Josephine za wtrącanie się w jego życie.

Wracała więc do Moreton z wieloma powodami do radości. Poza oczywistym, jakim było szczęście Archera, miały też z Valerie satysfakcję z wygranego zakładu, jako że obstawiały, że Coleman i Cami zejdą się w przeciągu mniej niż dwóch miesięcy.

Kolejnym powodem na liście był powrót Chase'a do miasteczka. Zgodnie z tym, co planował, wyjechał do Birmingham następnego dnia po urodzinach Valerie. Wtedy jego wyjazd był Josie na rękę, bo dzięki temu

udało jej się uniknąć rozmowy na temat Cartera, jednak dni mijały, a z każdym kolejnym jego nieobecność doskwierała jej trochę bardziej.

Nawet nie próbowała powstrzymać uśmiechu cisnącego się na usta, gdy popychała drzwi antykwiariatu. Nie widzieli się niespełna tydzień, ale ostatnio spędzali ze sobą tak dużo czasu, że nawet tak krótka rozłąka dłużyła się jak wieczność.

Chase wyszedł z zaplecza, zaalarmowany dźwiękiem dzwonka nad drzwiami sklepu.

— Cześć. — Jego uśmiech dorównywał temu Josephine.

Dziewczyna przez ułamek sekundy rozważała, czy zachowałaby się absurdalnie, gdyby rzuciła mu się na szyję z radości na jego widok.

Nie zdążyła jednak tego sprawdzić, bo zanim zrobiła pierwszy krok, za plecami Chase'a zauważyła ruch i chwilę później obok chłopaka pojawiła się znajoma sylwetka staruszka wspierającego się na kuli ortopedycznej.

— Josephine! — Pan Barnett patrzył na nią znad swoich okularów i posyłał jej ciepły uśmiech. — Nie uściskasz starca?

Podeszła do mężczyzny i szczerze liczyła, że jej twarz oprócz zaskoczenia wyraża radość, której nie czuła w sercu. Tam czaił się głównie bardzo egoistyczny strach, bo na widok właściciela sklepu w jej głowie niemal od razu pojawiła się myśl, co jego powrót oznacza dla niej i Chase'a.

Bo skoro Chase przyjechał do Moreton tylko po to, żeby opiekować się antykwarem podczas nieobecności pana Barnetta, to oficjalnie nie było już potrzeby, by tu dłużej zostawał. Mógł wrócić do Birmingham, gdzie przecież czekały na niego praca, mieszkanie i całe życie. Zaraz przyszło jej także do głowy, że być może właśnie dlatego wyjechał na kilka dni i że sprawy, które miał załatwić, wiązały się z powrotem do Birmingham. Może wiedział, że ich czas się kończył, ale wołał to przed nią ukryć.

— Jesteś jakaś blada, słońce. Nie cieszysz się, że mnie widzisz? — rzucił mężczyzna żartobliwie, udając urażonego.

— Oczywiście, że się cieszę — zaprotestowała, usiłując przegonić panikę napędzaną czarnymi myślami. — Po prostu jestem zaskoczona, Chase nie zdradził mi wcześniej, że pan wraca.

— Bo to miała być niespodzianka. I jak widać, się udała — odpowiedział zadowolony. — Szkoda tylko, że tak długo kazałaś na siebie czekać, bo właśnie miałem wracać do domu. Moi synowie na mnie czekają, ale nie mogłem się powstrzymać przed zobaczeniem sklepu po tak długim czasie. Liczyłem, że wrócisz wcześniej i będę mógł posłuchać trochę o twoich studiach.

— Nic straconego. Teraz pewnie będziemy mieli do tego wiele okazji — zapewniła z uśmiechem. Pan Barnett był cudownym człowiekiem i gdyby nie jej egoistyczne pobudki, byłaby naprawdę szczęśliwa, że znów mogła go zobaczyć.

— Masz rację, kochana. — Rozpromienił się, ściskając jej dłoń. — W takim razie zostawiam was i mam nadzieję, że zobaczymy się niebawem i wtedy porozmawiamy dłużej. — Ostatnie słowa powiedział do Josie, po czym zniknął na chwilę na zapleczu, by wziąć kurtkę.

Pożegnał się ostatni raz, strofując Chase'a za to, że ten chciał mu pomóc, otwierając drzwi. Ostatnim, co usłyszeli, zanim drzwi się za nim zamknęły, był pełen irytacji komentarz, że chłopak ma go nie traktować jak inwalidy, bo następnym razem uderzy go kulą.

— Cały pan Barnett. — Chase prychnął rozbawiony i wrócił wzrokiem do miejsca, gdzie wcześniej stała Josie. Jednak dziewczyna zdążyła już zniknąć na tyłach sklepu.

Teraz, kiedy już nie musiała udawać, ciężko było jej powstrzymać łzy paniki, gromadzące się pod powiekami. Jednocześnie miała ochotę przeklinać własną głupotę. Od początku zdawała sobie sprawę, że ich relacja jest tylko chwilowa i prędzej czy później będą musieli się rozstać, ale nie sądziła, że to nastąpi tak szybko i niespodziewanie. Nie była jeszcze gotowa, by znowu pozwolić mu odejść.

— Jose?

Cichy głos za plecami nie skłonił jej do odwrócenia się. Bez celu przekładała książki, by sprawiać wrażenie zajętej i nie musieć mierzyć się z prawdą.

— Jesteś na mnie zła, że ci nie powiedziałem? — dociekał Chase z rosnącą konsternacją, gdy Josephine nadal nie odpowiadała, uparcie

stojąc do niego plecami. — Wiem, że nie lubisz niespodzianek, ale myślałem, że z tej się ucieszysz.

— Cieszę się! — wybuchła w końcu, odwracając się do niego. — Cholernie się cieszę, że pan Barnett wrócił i wyjeżdżasz. Zadowolony?

— Co?

To, co powiedziała, nie miało dla niego sensu.

— Wracasz do Birmingham, prawda? — Nie czekała na odpowiedź i mówiła dalej, ledwo powstrzymując się od płaczu. — Przyjechałeś tu tylko dlatego, że musiałeś zająć się antykwariatem, więc skoro pan Barnett wrócił, to znaczy, że nic cię tu nie trzyma i możesz wrócić do swojego życia z dala od Moreton.

— Nic mnie tu nie trzyma? — powtórzył zdziwiony.

Ku jej zdziwieniu Chase wydawał się całkiem rozbawiony jej słowami.

— To ciekawe, bo ja widzę co najmniej jeden powód, który nie pozwala mi wyjechać — odparł spokojnie i podszedł do niej, by delikatnym ruchem wytrzeć pojedynczą łzę spływającą po jej policzku. — Naprawdę myślisz, że mógłbym cię tak nagle zostawić?

Nie była pewna, co właściwie myśli. Wiedziała jedynie, że ostatnie dni spędziła, próbując pozbiierać się po rozmowie z Carterem. Była wytrącona z równowagi i nieustannie balansowała gdzieś na granicy przerażenia, że mężczyzna spełni swoje groźby. Desperacko potrzebowała obecności Chase'a.

— To dlaczego byłeś w Birmingham?

Chase wciąż trzymał jej twarz w dłoniach, cierpliwie czekając, aż całkowicie się uspokoi.

— Właśnie dlatego, że chcę jeszcze zostać w Moreton — wyjaśnił, patrząc na nią z tym samym rozbawieniem pomieszanym z czułością. — Kiedy zgodziłem się zająć antykwariatem, James powiedział, że może trzymać dla mnie posadę u siebie w firmie, dopóki nie wrócę, ale nie spodziewał się, że to zajmie tak długo. Dzwonił ostatnio, bo chciał wiedzieć, co zamierzam, więc pojechałem się z nim zobaczyć, żeby wytłumaczyć, że nie wrócę. Poprosiłem go też, żeby zajął się szukaniem kogoś, kto będzie wynajmował mieszkanie na moje miejsce.

— Więc nie wyjeżdżasz? — upewniła się, chociaż jego wyjaśnienia nie pozostawiały wątpliwości.

— Pan Barnett wciąż mnie potrzebuje. — Wzruszył ramionami i wyszczerzył się z satysfakcją. — I coś mi się wydaje, że nie tylko on.

— Wystraszyłam się, że mnie zostawisz. — Czuła się jak dziecko, ale nie zważała na to i wtuliła się w niego mocno, jakby był jej kołem ratunkowym podczas sztormu. Pozwoliła, by otuliło ją poczucie bezpieczeństwa, którego nie czuła, odkąd wsiadła z Carterem do samochodu.

— Nigdzie się nie wybieram. — Kołysał ją delikatnie w ramionach, przyciskając usta do czubka jej głowy. — Będę przy tobie tak długo, jak to możliwe. Aż do końca. — Oboje wiedzieli, co miał przez to na myśli. Że zostanie przy niej aż do ślubu. — Obiecuję, Jose.

Już wtedy zrozumiała, że myliła się podczas rozmowy z Archerem. Ta sytuacja była idealnym dowodem na to, że nie miała żadnej kontroli nad tym, co się między nimi dzieje, ani nad swoimi uczuciami.

Nie miała już dłużej pewności, czy zakochanie się na pewno jest niemożliwe.

Rozdział 31

Josephine zdążyła już stracić rachubę, który raz stanęła przed ogromnym złotym lustrem, patrząc na swoje odbicie. Jednak nawet jeśli po ponad trzech godzinach wynik można było liczyć w dziesiątkach, to widok za każdym razem zadziwiał ją tak samo. I nie sądziła, żeby w najbliższym czasie miała przywyknąć do patrzenia na siebie, ubraną w białą suknię ślubną.

Próbowała zrozumieć, co czuje, widząc swoje odbicie. Nie była próżna, ale potrafiła bez skromności przyznać, że wygląda pięknie. Wykwintne projekty dodawały jej powagi i elegancji. Jednocześnie miała wrażenie, że patrzy na obcą osobę. I ponieważ miała rację.

Z lustra patrzyła na nią idealna narzeczona Cartera Batesona. Jeśli małżeństwo z nim było więzieniem, to suknia ślubna była jej więziennym uniformem.

Chciałaby potrafić cofnąć się w czasie do okresu, kiedy jeszcze nie patrzyła na to w ten sposób. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy wróciła do Moreton, widziała w nim swoje wybawienie od rodziców. Teraz naprawdę zastanawiała się, czy nie wolałaby pracy u boku matki niż życia z Carterem.

Wiedziała dobrze, co jest źródłem tej zmiany nastawienia, co sprawiło, że odważyła się pragnąć od życia trochę więcej, niż było jej dane. A raczej kto. I z tego powodu, jako że za zbliżenie się do Chase'a mogła winić jedynie siebie, nie dała sobie prawa do uzalania się nad sobą.

Zamierzała znieść torturę przymierzania sukien ślubnych tak samo, jak planowała znieść samo małżeństwo — z dumnie uniesioną głową i robiąc dobrą minę do złej gry.

Dlatego dzielnie przymierzała kolejne kreacje, które przynosiła jej ekspedientka, jak przystało na pannę młodą pragnącą znaleźć tę idealną suknię na swój wielki dzień. Dlatego też zabrała ze sobą Valerie — bo liczyła, że ogólny życiowy entuzjazm przyjaciółki udzieli jej się chociaż trochę i że uwierzy, że naprawdę chce wziąć ślub.

Ta decyzja, jak się okazało, była jej największym błędem.

— Wyglądasz w niej, jakbyś ważyła dwa razy więcej, niż ważysz, i była po co najmniej trzech ciążach. — Rozbrzmiał szydzący głos blondynki siedzącej wygodnie na białej kanapie, z której miała doskonały widok na podwyższenie, gdzie stała Josie.

Mniej więcej tak właśnie wyglądały ostatnie trzy godziny, bo Valerie krytykowała każdą suknię, nawet te, które trafiały w gust Josie na tyle, by zastanowić się nad wybraniem ich.

— Mnie się podoba — zaoponowała, powstrzymując się od wywrócenia oczami.

W którymś momencie zdołała oddzielić przymierzane projekty od okazji, na którą je wybierała, i widziała je dokładnie tym, czym były — pięknymi sukniami, za które większość kobiet na jej miejscu oddałaby nerkę, żeby pójść w nich do ołtarza.

— Tobie się każda podobała. — Mimo że już długo tam były, Valerie wcale nie wydawała się nudzić, a wręcz przeciwnie, czerpała radość z własnej złośliwości.

— Za to tobie żadna.

Słowa Valerie utrudniały sytuację wyłącznie dlatego, że Josie mimo wszystko zaczęło zależeć na tym, żeby jej suknia była idealna. Jeśli dzień jej ślubu miał być tym, w którym straci resztki wolności, to uznała, że zasłużyła przynajmniej na to, by wyglądać zachwycająco.

Dlatego słysząc negatywne komentarze przyjaciółki, sama zaczynała wątpić i decydowała się przymierzyć kolejną. A ponieważ następna także spotykała się z tą samą reakcją, wpadły w błędne koło, które mogło się skończyć jedynie wybuchem Josephine, bo nawet jej ogromne pokłady spokoju kiedyś musiały się wyczerpać. Valerie właśnie na to czekała.

Brunetka z mniejszym niż jeszcze chwilę temu zachwytem wygładziła materiał, szukając tych dodatkowych kilogramów, których rzekomo dodawała jej sukienka. W końcu spojrzała na ekspedientkę. Ta z tym samym uprzejmym uśmiechem, z jakim witała je w salonie trzy godziny wcześniej, skinęła głową i zniknęła, by przynieść kolejną propozycję.

Josephine zastanawiało, jak wiele pieniędzy jej matka zapłaciła właścicielce salonu, że pracowniczka wciąż miała cierpliwość do użerania się z niezdecydowaną przyszłą panną młodą i jej wredną przyjaciółką, która ze słodkim uśmiechem na ustach krytykowała wszystkie sukienki.

— Nie masz jeszcze dosyć tych zgryźliwości? — zwróciła się Josie do blondynki, gdy zostały same. — Musimy się na coś zdecydować. — Na tym etapie miałyby zbyt wielkie wyrzuty sumienia, gdyby po tak długim czasie znęcania się nad pracownicą wyszła z pustymi rękoma.

Inną sprawą było to, że nawet jeśli matka pozostawiła jej wybór w kwestii sukni, to uparła się, by pochodziła ona właśnie z tego salonu, którego projektantka była dawną znajomą rodziny.

— Chyba że specjalnie sabotujesz przymiarki i czekasz, aż cię poproszę, żebyś ty zaprojektowała moją suknię.

W innej rzeczywistości Josephine sama by się do niej zwróciła. Valerie skończyła studia w tej dziedzinie, a niedługo miała też kończyć staż u jednej z projektantek i zacząć stawiać samodzielne kroki w świecie mody. Poza tym miała już doświadczenie, bo zaprojektowała własną suknię, gdy brała ślub z Ethanem, a ze zdjęć, które Josie widziała, wynikało, że efekt końcowy był niesamowity.

— Nawet na to nie licz, nie mam zamiaru przyłożyć do tego ręki. — Val uśmiechnęła się niewinnie, chociaż złośliwy błysk w jej oku sugerował, że jej słowa nie były wyłącznie zwykłym żartem. — Skoro nie możesz się zdecydować, to może powinnaś zacząć robić zdjęcia i wysłać do Cartera? — zaproponowała entuzjastycznie, jakby właśnie wpadła na świetny pomysł.

— Pan młody nie może widzieć przyszłej żony w sukni przed ślubem, bo to przynosi pecha — wytknęła jej oczywistość, posyłając karcące spojrzenie w odbiciu lustra.

Była coraz bardziej zirytowana. Jeśli któraś z nich dwóch miała prawo się tak zachowywać, to Josephine. Valerie miała być jej wsparciem, a jedynie sprawiała, że już i tak wystarczająco trudne zachowanie optymizmu stawało się niemożliwe.

— Byłabym gotowa podjąć to ryzyko. — Posłała jej kolejny słodki uśmiech, który znikł, gdy zobaczyła niezadowolone spojrzenie Josephine. Brunetka знаła ją zdecydowanie za dobrze, by nabrać się na udawanie cukierkowej blondynki bez rozumu, więc Val spróbowała innej taktyki. — Nie złość się, tak tylko rzuciłam. W końcu jak dotąd Carter świetnie sobie radził z podejmowaniem decyzji za ciebie.

Josephine zaczynała mieć już dosyć tych nieustannych przytyków i dwuznacznych komentarzy. Nie była głupia i zdawała sobie sprawę, że zachowanie dziewczyny nie ma nic wspólnego z tym, co myśli o przymierzanych sukienkach. Problem tkwił w czymś innym, ale łudziła się, że jeśli będzie to ignorować, Valerie w końcu odpuści.

— O co ci tak właściwie chodzi?! — Odwróciła się od lustra, wbijając pełne złości spojrzenie w blondynkę. — Gdybym chciała słuchać nieustannej krytyki, poprosiłabym o pomoc swoją matkę. Liczyłam, że mi pomożesz, ale jedyne, co robisz, to wszystko utrudniasz. Więc miej przynajmniej odwagę powiedzieć wprost, jaki jest twój problem, zamiast pluć jadłem na Bogu ducha winne sukienki.

— Masz rację — przyznała Valerie, chociaż w jej głosie nie było nawet cienia skruchy. — Tu nie chodzi o sukienki. Chodzi o to, co wszyscy myślimy, ale nikt nie chce powiedzieć tego głośno. Nawet ty.

— Oświeć mnie. — Wywróciła oczami, krzyżując ramiona.

Blondynka wyglądała na usatysfakcjonowaną tym, że osiągnęła swój cel i może w końcu oświadczyć wprost, co myśli.

— Problem nie polega na tym, *w czym* pójdziesz do ślubu, tylko *z kim* ten ślub bierzesz.

Josephine bez słowa obserwowała, jak jej przyjaciółka, nie zważając na nic, podnosi się z kanapy i zakłada płaszcz, zbierając się do wyjścia.

— Nie potrzebujesz mojej pomocy, bo to bez znaczenia, którą sukienkę wybierzesz. We wszystkich wyglądasz równie pięknie. — Podeszła

do drzwi i ostatni raz odwróciła się w stronę Josie, która wciąż była zbyt zszokowana zachowaniem Valerie, by zareagować w jakikolwiek sposób. — I w każdej popełnisz równie wielki błąd.

Po spektakularnym wyjściu Valerie wybór okazał się banalnie prosty, głównie dlatego, że Josie nie miała już siły ani chęci, by udawać, że suknia ma jakiegokolwiek znaczenie. Nawet jeśli nie zgadzała się z przyjaciółką co do tego, że popełnia błąd.

Słowa Cartera z ich ostatniej rozmowy rzadko opuszczały jej głowę, nie pozwalając zapomnieć o konsekwencjach zmiany zdania. Podejmowała dobrą decyzję, wychodząc za niego, bo w ten sposób ucierpi tylko ona. Nie zamierzała być egoistką, która dla własnego szczęścia poświęci szczęście przyjaciół.

Wybrała pierwszą suknię, która pasowała idealnie, bez konieczności dokonywania poprawek krawieckich, żeby jak najszybciej zamknąć tę kwestię i zapomnieć, że rozmowa z Valerie w ogóle miała miejsce. Dlatego gdy kilka dni później przywieziono jej do domu pokrowiec z wybraną sukienką, powiesiła go w szafie bez zaglądania do środka i nie miała zamiaru wyciągać, dopóki to nie będzie absolutnie konieczne. Liczyła, że zobaczy sukienkę znowu dopiero na dzień lub dwa przed ślubem.

Niestety nie było jej dane długo wytrwać w tym postanowieniu za sprawą Archera. Przyjechał do Moreton, gdy tylko się dowiedział, że wybrała suknię bez niego, by wyraźnie dać jej do zrozumienia, co myśli o całej sprawie.

Archer był wściekły. Josie nie sądziła, że kiedykolwiek wcześniej udało jej się doprowadzić przyjaciela do takiego stanu.

— Po prostu nie wierzę. — Od dłuższego czasu chodził w tę i z powrotem po sypialni Josie, kontynuując swoją tyradę, a dziewczyna ze wszystkich sił starała się zachować powagę, by nie pogarszać sytuacji. — Tyle lat przyjaźni, tyle poświęceń. Ile razy ja sobie żyły wypruwałem dla ciebie? No ile?! A ty mi się tak odwdzięczasz? Wbijając mi nóż w plecy?!

Powodem tej przesadzonej reakcji Archera był fakt, że Josephine nie zabrała go ze sobą na przymiarki, co w jego opinii było karygodną zdradą.

— Powtarzam ci dziesiąty raz, że dzwoniłam do ciebie, ale byłeś zbyt zajęty swoją nową dziewczyną. — Josie uniosła obie dłonie w obronnym geście. — Co więcej miałam zrobić?

— Nie wiem, gołębia wysłać! — wyrzucił z siebie z irytacją, nie zważając na to, jak idiotycznie brzmi. — A o Camille i działaniu za moimi plecami też jeszcze sobie porozmawiamy. Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho.

— Nie możesz być na mnie zły. Jestem matką tego związku — wytknęła mu z podłą satysfakcją.

— Nie zmieniaj tematu, kruszynko, i tak ci to nie pomoże.

Josie nie zdążyła się nacieszyć tym, że Archer w końcu nieco się uspokoił i przestał histeryzować. Podejrzany uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, sugerował, że należy zacząć się niepokoić.

— Na co czekasz? Wciskaj się w kieckę, chcę ją zobaczyć.

Przez chwilę zastanawiała się, jakie ma szanse przekonać Archera, że to zły pomysł, używając tych samych mniej lub bardziej logicznych argumentów, którymi przekonała Crystal i Williama. Powiedziała im, że nie chce przypadkiem pobrudzić sukienki i że wołałaby, żeby to była niespodzianka, a jej brat i jego żona to zrozumieli.

Zdawała sobie jednak sprawę, że żadna logika nie jest w stanie wygrać z Archerem Colemanem, więc dla własnego spokoju odpuściła sobie sprzeciw. Wyciągnęła z szafy pokrowiec i wyszła z pokoju, rzucając chłopakowi spojrzenie, które jasno pokazywało jej stosunek do jego zachcianki.

Ostatecznie zdecydowała się na suknię z długimi rękawami uszytymi z cienkiej koronki, haftowanymi we wzory, które wyglądały, jakby oplatały jej ramiona, płynąc w kierunku dłoni, oraz gorsetem subtelnie podkreślającym dekolt i smukłą talię. Dół nie był tak obszerny, jak tego początkowo chciała, ale delikatny materiał opadał luźno, nadając wrażenie lekkości, i idealnie dopełniał całość. Była piękna, nawet gdy przyćmiewało ją widmo okazji, na jaką została wybrana.

Reakcja przyjaciela jedynie utwierdziła ją w tym przekonaniu, bo gdy tylko wróciła do sypialni, twarz szatyna przybrała wyraz mieszanki zdziwienia i zachwyty, a jego usta ułożyły się w „o”.

— I co myślisz? — zapytała, obracając się powoli wokół własnej osi, by zaprezentować całą kreację.

— Kruszyńko, wyglądasz...

Josie z szerokim uśmiechem obserwowała, jak jej przyjaciel próbuje wykrztusić z siebie odpowiedź, ale zanim zdołał zebrać słowa, przerwał im głos dochodzący z korytarza.

— Jose, jesteś? Nikt nie otwierał, więc sam wszedłem, bo...

Drzwi się otworzyły i Chase urwał w pół zdania. Zdziwiony spojrzał najpierw na Archera, bo jego obecności się nie spodziewał.

Dopiero potem jego wzrok padł na Josie, która rozbawiona reakcją przyjaciela, wciąż miała wypisane na twarzy to szczere szczęście i radość, które Chase zawsze tak kochał widzieć.

Tym razem jednak ten znajomy błysk w oku i szeroki uśmiech w połączeniu z białą suknią sprawiły, że poczuł się, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

Przez chwilę nie był nawet w stanie oddychać, mógł jedynie gapić się na dziewczynę jak kompletny idiota. Czuł na sobie uważny wzrok Archera oraz samej Josie i wiedział, że powinien wziąć się w garść, ale nie potrafił. Nie wiedział nawet, co uderzyło go bardziej, doprowadzając do tego stanu. Samo to, jak niewyobrażalnie pięknie dziewczyna wygląda, czy świadomość, że nic z tego, na co patrzył, nie jest przeznaczone dla niego.

Ani piękna suknia, ani sama Josephine, ani nawet to szczęście, które jeszcze chwilę temu widział na jej twarzy. I chyba nigdy wcześniej nie czuł jeszcze tak palącej zazdrości z powodu człowieka, który odebrał mu to wszystko. Wszystko, co *powinno* być jego.

— Wiecie co? — Archer klasnął w dłonie, przywołując ich oboje do rzeczywistości i zmuszając, by zerwali kontakt wzrokowy. — Napiłbym się czegoś. Chyba pójde do kuchni i zrobię sobie kawę. I zadzwonię do Cami. Tak, to świetny pomysł. To ja idę, a wy sobie... porozmawiajcie — rzucił tak szybko, jak to było możliwe, i zniknął za drzwiami.

— Chase? — zapytała nieco przestraszona tym, co przez moment widziała w jego oczach. — W porządku?

W tamtej chwili daleko mu było do bycia w porządku pod jakimkolwiek względem, ale i tak przytaknął, starając się, by jego uśmiech był przekonujący. Nie chciał przypadkiem zepsuć tego, co było między nimi, nawet jeśli w tamtym momencie po raz pierwszy zrozumiał, jak niewiele tak naprawdę mieli.

Jak niewiele on miał.

— Jasne, po prostu... pięknie wyglądasz. — Zdawał sobie sprawę, że Josie i tak przejrzy oczywiste kłamstwo, ale miał nadzieję, że zrozumie ukryty przekaz i podejmie grę.

On będzie udawał, że jest w porządku, a ona, że mu wierzy. Czasem tak po prostu było łatwiej.

Uśmiechnęła się słabo, kiwając głową.

— Pójdę się przebrać. — Nagle pojawiło się wrażenie, że gorset ją dusi, odbierając tlen, koronka niemiłosiernie gryzie, a wszystko waży tonę, przygniatając do ziemi.

— Jose?

Nie mógł się powstrzymać. Delikatnym ruchem złapał ją za łokieć, gdy przechodziła obok niego, zmierzając w stronę wyjścia. Zatrzymała się, obracając do niego, i pozwoliła, by położył dłoń na jej talii, przyciągając bliżej siebie.

— Carter jest cholernym szczęściarzem i mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.

W jego oczach Josie widziała tyle emocji, że aż coś ścisnęło jej serce.

Zaraz jednak wszystkie zniknęły, a na jego twarz wrócił uśmiech, gdy ją puścił i zrobił krok w tył.

— Powinienem się zbierać. Wpadłem tylko na chwilę, zobaczyć, co u ciebie, bo nie przyszedłem do antykwariatu i pan Barnett wysłał mnie na zwiady. Będzie lepiej, jak już do niego wrócę. Upiera się, że nic mu nie jest, ale nie powinien zostawać jeszcze sam w sklepie — wyjaśnił lekko i wyszedł, nie czekając na jej reakcję.

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, odetchnął ciężko, przymykając na chwilę oczy. Żałował, że w ogóle przyszedł. Gdyby mógł, cofnąłby się w czasie o kilka minut, by nie widzieć tego, co zobaczył. Chętnie wymazałby z pamięci widok Josephine w sukni ślubnej, bo teraz zapewne będzie

go prześladował za każdym razem, gdy zamknie oczy. Ostatnie, czego potrzebował, to tak dosadne przypomnienie o oczywistości, którą każdego dnia tak usilnie starał się ignorować.

Ale po tym, co widział, nie był w stanie dłużej wypierać faktu, że znowu znaleźli się w tej samej sytuacji, co sześć lat temu. A on znowu był bezнадziejnie zakochany w dziewczynie, którą miał zaraz stracić.

Rozdział 32

W niedzielny poranek Chase'a obudził przez ciężar, który niespodziewanie pojawił się na jego ciele. Przez chwilę wydawało mu się to dosyć dziwne, bo był niemal stuprocentowo pewien, że kładł się spać samotnie.

Zaraz jednak do jego powoli budzących się zmysłów dotarł znajomy zapach perfum.

— Zaczynam żałować, że dałem ci klucze do mieszkania — wymamrotał, przecierając oczy, by spojrzeć na brunetkę, która siedziała na nim i posyłała mu szeroki uśmiech. — Zdradzisz mi, dlaczego budzisz mnie w niedzielę z samego rana?

— Jest dziesiąta — wytknęła mu głównie dla zasady, bo już dawno pogodziła się, że w tej kwestii nigdy nie dojdą do porozumienia.

Dla Josie godzina dziesiąta była środkiem dnia, a dla Chase'a wciąż bardzo wczesnym porankiem, więc jeśli tylko nie musiał, nie wstawał o takiej porze.

— Więc dlaczego budzisz mnie o dziesiątej w niedzielę? — Sen opuścił go już całkowicie i teraz uśmiechał się zadziornie. — Nie żebym narzekał, bo wbrew pozorom to całkiem miła pobudka.

Poderwał się z poduszki i złapał dziewczynę za biodra, by za chwilę pociągnąć ją za sobą w akompaniamencie jej głośnego śmiechu.

Opadła obok, a Chase zawisł nad nią i zdążyła jedynie zobaczyć łobuzerski błysk w jego oczach, zanim poczuła ciepłe usta bruneta na swoich.

— O nie, nie ma mowy. — Josie odsunęła się po chwili, usilnie próbując go odepchnąć. — Nie mamy na to czasu.

— Nie przypominam sobie, żeby mi się gdzieś spieszyło — powiedział i znów się pochylił, ale tym razem Josie zastoniła dłonią jego usta.

— Właśnie dlatego przyszedłam. — Zaśmiała się pod nosem z jego niezadowolonej miny. — Porywam cię na wycieczkę.

— Wycieczka? — Podejrzliwie zmrużył oczy, jakby rozważał, czy warto wykazać zainteresowanie. — Gdzie?

— Niespodzianka. — Josie nie mogła nie zauważyć tego, że od dnia, kiedy Chase przyszedł do niej i zobaczył ją w sukni ślubnej, stał się inny.

Nie była to wielka zmiana i widziała też, że starał się pilnować, by tego nie okazywać, ale wiedziała swoje. Nie zaczynała z nim tego tematu, bo jego zachowanie jasno sugerowało, że nie chce o tym mówić, więc zamierzała to uszanować. Ale to nie znaczyło, że nie może zrobić czegoś, by chociaż trochę uszczęśliwić chłopaka.

— No nie wiem. — Jeśli miał być szczery, to w ogóle nie miał ochoty wychodzić z domu. Wolałby spędzić dzień, nie robiąc kompletnie nic, jednak wyraz twarzy dziewczyny podpowiadał mu, że decyzja w tej kwestii została już podjęta i że ma niewiele do powiedzenia.

— Nie przyjmuję odmowy. Jest taka ładna pogoda, nie będziemy siedzieć w mieszkaniu — oznajmiła zdecydowanie, widząc, że wciąż nie jest do końca przekonany. — Spodoba ci się, obiecuję. Mogę się nawet z tobą założyć.

Chase z kąpiącym uśmiechem obserwował ten nietypowy dla niej entuzjazm.

— Nie wiem, co zaczęłaś sobie dosypywać do porannej kawy, ale radziłbym zmniejszyć dawkę, słońce. — Nie miał pojęcia, skąd u dziewczyny ta nagle zmiana, bo na co dzień raczej nie należała do osób tryskających energią. — Albo ogranicz spotkania z Archerem, bo ma na ciebie niepokojący wpływ.

— Bardzo śmieszne. — Wywróciła oczami, ale drobne zaczepki Chase'a nie były w stanie zmienić jej dobrego nastroju. Miała plan i zamierzała zrobić wszystko, żeby się powiódł i żeby mogli spędzić razem udany dzień. Oboje potrzebowali chwili przerwy. — Czy skoro dałeś już upust swojej złośliwości i zrobiło ci się lepiej, to mogę liczyć, że wstaniesz?

— Może tak, może nie. — Uśmiechnął się bezczelnie, czerpiąc radość z irytacji, jaką budził w brunetce. — Może będziesz mnie musiała

najpierw przekonać. — Znowu się nachylił w jej kierunku, ale tym razem nie protestowała, przyznając w duchu, że nic się nie stanie, jeśli ich wycieczka trochę się opóźni.

Josephine z ulgą wypuściła powietrze, gdy zgasła silnik samochodu. Jeśli miałyby szukać plusów związku z Carterem, to gdzieś na wysokim miejscu na tej liście znalazłoby się posiadanie kierowcy. Nienawidziła prowadzić.

Tym razem jednak musiała się poświęcić w imię niespodzianki. Przytyki Chase'a na temat jej umiejętności zdecydowanie nie ułatwiały sprawy i niemal doprowadziły ją do szału podczas niespełna godzinnej drogi.

Jednak niewidziany od kilku dni całkowicie szczery uśmiech, jaki pojawił się na twarzy bruneta, gdy zorientował się, gdzie go zabrała, wszystko jej wynagrodził.

— Nadal twierdzisz, że siedzenie w domu jest lepsze? — Oboje wysiedli już z samochodu i Josie podeszła do chłopaka, z satysfakcją obserwując jego reakcję. Nie czekała jednak na odpowiedź, zamiast tego splotła ich dłonie, ciągnąc go w stronę dużego placu ogrodzonego siatką.

Pchli targ położony niedaleko Moreton był jednym z *ich* miejsc. Chase trafił tam dzięki panu Barnettowi na długo przed tym, jak się poznali z Josie. Przez pewien czas przyjeżdżał tam sam, zazwyczaj w poszukiwaniu winyli lub płyt CD, aż w końcu tamtego lata zabrał ze sobą dziewczynę, która podobnie jak on pokochała klimat tego miejsca.

Teraz też wystarczyło, że weszli na plac i zaczęli kluczyć pomiędzy straganami pełnymi przeróżnych wyrobów. Kakofonia głośnych rozmów, okrzyków sprzedawców zachęcających do odwiedzenia ich stoiska i unoszący się w powietrzu zapach jedzenia z budek gastronomicznych sprawiały, że Josie poczuła się zupełnie jak sześć lat temu, kiedy potrafilili godzinami włóczyć się po targu.

— Nie byłeś tu od dawna, prawda? — spytała Josie, gdy po kilkunastu minutach błędzenia po uliczkach zatrzymali się przy jednym ze straganów, pełnym drewnianych rzeźb i figurek.

— Ostatni raz jeszcze z tobą — przyznał, wzruszając ramionami. — Właściwie zapomniałem, że to miejsce w ogóle istnieje.

Josie pokiwała głową, ale nie ciągnęła tematu. Zamiast tego klasnęła w dłonie, przywołując na twarz szeroki uśmiech.

— Więc co powiesz na małą rywalizację? Jak za starych dobrych czasów.

Któregoś razu wymyślili zabawę, która polegała na tym, że rozdzielali się na określony czas w poszukiwaniu możliwie najciekawszych, najśmieszniejszych, a czasem nawet najbrzydszych rzeczy, którymi się później wymieniali.

Chase uśmiechnął się pod nosem na te wspomnienia.

— Podejmuję wyzwanie. Co proponujesz? — Skinął głową, zachowując pozorną powagę, chociaż jego oczy błyszczały rozbawieniem.

— Sporo czasu minęło, od kiedy robiliśmy to ostatnio, więc dla ułatwienia kategoria dowolna. — Josephine była świadoma, że nie będzie grać do końca uczciwie, bo od samego początku wiedziała, po co przyjechała, ale starała się nie zdradzić swoich zamiarów. — A przegrany robi kolację.

— Zgoda. — Chase wyciągnął rękę, by przypieczętować rywalizację. — Spotkamy się tutaj za pół godziny. Lepiej zacznij myśleć, co ugotujesz — rzucił i zanim zdążyła odpowiedzieć, ruszył przed siebie i chwilę później zniknął pomiędzy ludźmi.

— Dwie minuty spóźnienia — oznajmił Chase z zadowoleniem, gdy w końcu pojawiła się w umówionym miejscu.

Odnalezienie w labiryncie pełnym zgiełku odpowiedniego straganu przy poleganiu wyłącznie na swojej pamięci zajęło jej większość wyznaczonego czasu. Z trudem udało jej się zdobyć to, czego szukała, i wrócić.

Chłopak opierał się o pusty drewniany stragan, wystawiając twarz w stronę wiosennego słońca, i pierwszy raz od kilku dni wydawał się całkowicie beztroski i zrelaksowany.

Josie niemal miała wyrzuty sumienia, że zaraz zepsuje mu humor.

— Aż tak ci się spieszy, żeby przegrać? — Oboje lubili rywalizację i nawet jeśli w ich przypadku była to jedynie zabawa, czerpali czasem wręcz dzieciinną satysfakcję z wygranej. — Gotowy?

— Panie przodem. — Chase ściągnął okulary przeciwsłoneczne i z ciekawością czekał, aż dziewczyna wyciągnie z torebki swoje znalezisko.

Josie była mieszkanką zdenerwowania i ekscytacji, gdy w końcu wyciągnęła w jego stronę aparat fotograficzny, identyczny z tym, który miał kiedyś.

— Nie możesz nie przyjąć. Takie są zasady — przypomniała mu.

To była jedna z obowiązujących reguł, którą Chase sam wymyślił, gdy pewnego razu Josie zarzekła się, że nie ma zamiaru brać do domu krasnała ogrodowego, który swoją drogą był najbrzydszym krasnałem, jakiego w życiu widziała.

— Jose...

Pragnęła go kupić od momentu, w którym dowiedziała się, że zniszczył swój aparat razem z niektórymi zdjęciami, ale wiedziała, że nie przyjmie drogiego prezentu tak po prostu. Właśnie dlatego go tu ściągnęła i wymyśliła to wszystko.

— Wiem, że nie zastąpi ci tamtego — przerwała mu, domyślając się, co ma zamiar powiedzieć. — Ale zdjęcia to część ciebie. Zawsze nimi były i nie wybaczyłabym sobie, gdybyś przeze mnie miał już nigdy tego nie odzyskać.

Ich przyjaciele nigdy nie przywiązywali wagi do zdjęć, które Chase im robił, i chyba nawet Archer nie wiedział, co tak naprawdę się za tym kryje. Traktowali to jako zwykłą zabawę i tylko Josephine znała prawdę i rozumiała, dlaczego je robił.

Chase miał w życiu niewiele dobrych chwil, więc gdy już się takie trafiały, uwieczniał je, by nie zapomnieć. Robił zdjęcia, bo potrzebował dowodu, że jego życie nie składało się wyłącznie ze złych rzeczy. Więc jeśli zniszczył aparat, zrobił to, ponieważ po jej odejściu stracił wiarę, że jeszcze kiedykolwiek będzie miał coś wartego zapamiętania.

Chłopak milczał nie dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć, ani dlatego, że był zły, jak powoli zaczynała podejrzewać Josie. Milczał, bo był

całkowicie przygnieciony świadomością, jak bardzo ją kocha. Za to, że jest jedyną osobą, która go rozumie. Za to, że dostrzega to, co jest w nim zepsute, i próbuje to naprawić, właśnie takimi na pozór nic nieznaczącymi rzeczami, dokładnie tak, jak robiła to sześć lat temu.

— Chodź tutaj. — Rozłożył ramiona i obserwował, jak Josie wzdycha z ulgą, kiedy na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

— Obiecuj mi... — zaczęła, odsuwając się odrobinę, chociaż wciąż była otoczona jego ramionami. — Obiecuj, że tym razem tego nie stracisz, kiedy odejdziesz. Nie jestem tego warta.

Nie odpowiedział. Zamiast tego przyciągnął jej ciało z powrotem, by ją pocałować. Miał nadzieję, że jeśli zrobi to wystarczająco czule, to przekaże jej wszystko, czego nie był w stanie powiedzieć. Chciał, żeby wiedziała, co czuje.

— Więc... — Josie była już znacznie spokojniejsza, wiedząc, że jej plan się udał, i z zadowoleniem obserwowała nieśmiały błysk szczęścia w oczach chłopaka. — ...twoja kolej.

Zawahał się na sekundę, zanim na jego twarz powrócił uśmiech.

— Jakoś nic ciekawego nie rzuciło mi się w oczy. — Trochę mijał się z prawdą, ale liczył, że dziewczyna jest zbyt skupiona na własnym szczęściu, by to zauważyć.

— Dajesz mi wygrać — stwierdziła, podejrzliwie mrużąc oczy. — Dlaczego?

— Bo stawką była kolacja, a biorąc pod uwagę twoje zdolności kulinarne, wolę się poświęcić i nie ryzykować zatrucia? — Chase żartem zbył jej pytanie.

— Zabawne. — Wywróciła oczami i wspięła się na palce, by zdjąć mu z głowy okulary przeciwsłoneczne, po czym założyła je sobie. — W takim razie prowadź do samochodu, panie Ramsay, bo umieram z głodu.

Chase wskazał dłonią, przepuszczając ją przodem, ale zdążyła odejść zaledwie kilka kroków, zanim została zatrzymana przez jego głos:

— Jose?

Dziewczyna odwróciła się w jego stronę z uśmiechem błakającym się na ustach i dokładnie w tym samym momencie Chase zrobił jej pierwsze zdjęcie.

— Sama się o to prosiłaś — usprawiedliwił się z głupawym wyszczerzeniem, usłyszawszy jej zirytowane prychnięcie, i zadowolony ruszył alejką, starając się ignorować przedmiot, który pomimo niewielkiego rozmiaru niesamowicie ciążył mu w kieszeni.

— Możesz przestać?

Nie miała pojęcia, ile zdjęć Chase zdążył jej już zrobić, ale podejrzewała, że w tym tempie już za kilka dni będą musieli wrócić na pchli targ po zapas klisz do aparatu. Brunet jednak nie wyglądał, jakby mu to przeszkadzało, i z radością marnował na nią kolejne klatki, czerpiąc dodatkową satysfakcję z tego, że doprowadza ją tym do szału.

Siedzieli w jego mieszkaniu i chociaż Josie zapowiedziała, że po kolacji wróci do domu, to wciąż nie mogła zmusić się do wyjścia. W dodatku nie wyglądało na to, żeby w najbliższym czasie miało się to zmienić.

— Dobra, dosyć tego — zdecydowała, zrywając się do pozycji siedzącej. — Oddawaj aparat.

Chase, widząc jej zamiary, podniósł się pospiesznie z kanapy i w ostatnim momencie uskoczył, głośno się przy tym śmiejąc. Śmiech jednak szybko zamarł na jego ustach, bo gdy Josie też wstała i chciała rzucić się w jego stronę, jej nogi zaplątały się w koc, którym wcześniej była przykryta. Z urwanym krzykiem runęła na podłogę, z impetem uderzając głową w stolik.

Na krótką chwilę zrobiło jej się ciemniej przed oczami i słyszała jedynie siarczyste przekleństwo Chase'a. Kiedy sekundy później odzyskała ostrość widzenia, miała już przed sobą przerażoną twarz bruneta.

— Nic ci nie jest?

— Oprócz tego, że jestem niezdarą? — rzuciła sarkastycznie, śmiejąc się z samej siebie. — Nie. Ale ty może powinieneś usiąść, bo wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć.

Czuła jedynie pulsujący ból nad skronią, ale poza tym wszystko wróciło do normy. Za to chłopak wyglądał, jakby to była co najmniej rana postrzałowa. Strach wypisany na jego twarzy sprawił, że wybuchła niekontrolowanym śmiechem.

Chase najpierw przez moment obserwował ją z konsternacją, jakby zastanawiał się, czy jej reakcja jest skutkiem upadku. Kiedy w końcu dotarł do niego powód jej rozbawienia, posłał jej poirytowane spojrzenie.

— No i z czego się śmiejesz, kretynko? Mogłaś sobie coś zrobić.

— Z twojej miny — wydusiła, próbując opanować śmiech.

— Ciekawe, czy też ci będzie tak wesoło, jak zobaczysz swoją twarz — mruknął i nie czekając na jej reakcję, podniósł ją ostrożnie. Trzymając w ramionach, zaniósł do kuchni, gdzie trzymał apteczkę.

— Nie musisz mnie nosić. Umiem chodzić. — Wywróciła oczami z irytacją, gdy Chase posadził ją na kuchennym blacie, traktując jak dziecko.

— Myśle, że pokaz umiejętności ruchowych, który dałaś przed chwilą, nie pozostawia co do tego wątpliwości — odciął się i z wrednym uśmiechem przytknął wacik nasączony wodą utlenioną do rozciętej wargi, którą sobie przygryzła, upadając.

— Delikatniej się nie da? — Skok adrenaliny zdążył już ustąpić, więc coraz dotkliwiej czuła pieczenie rany na ustach i guza, który powoli tworzył się na jej głowie. To skutecznie zgasiło jej humor.

— Nie marudź — zgał ją jak dziecko, ale jego ruchy stały się ostrożniejsze.

Może oczyszczanie drobnego rozcięcia nie było konieczne, ale miał stosunkowo niewielkie pojęcie, co należy robić w takich sytuacjach, i działał raczej instynktownie. Inną kwestią było to, że musiał mieć jakieś zajęcie, żeby nie dać po sobie poznać, że ten upadek go przestraszył.

W końcu odsunął się i podszedł do lodówki, by wyciągnąć z niej woreczek lodu w kostkach, który zawiązał i przyłożył do rosnącego guza dziewczyny.

— Co cię tak bawi? — zapytała zdziwiona, widząc, że teraz to chłopak śmieje się pod nosem.

— Wyglądasz, jakby cię ktoś pobił — wyjaśnił z lekkim rozbawieniem, wciąż stojąc między nogami dziewczyny i trzymając zimny okład na jej głowie. — I pomyślałem, że całe szczęście, że masz narzeczonego, na którego mogę to zrzucić, bo inaczej wszyscy pomyśleliby, że to ja cię tak urządziłem.

Chase rzucił to wyłącznie jako żart i liczył, że chociaż trochę roz-
bawi tym Josie, która dzielnie starała się nie krzywić z bólu. Jednak zamiast
uśmiechu, który chciał zobaczyć, poczuł, że ciało dziewczyny spina
się niekontrolowanie, a w jej oczach na chwilę błyska panika.

Miał wrażenie, że krew w jego żyłach zmroził strach. A może była
to wściekłość? Odłożył zimny okład i całą uwagę poświęcił na obserwowanie
zachowania brunetki, która usilnie unikała jego wzroku.

— Jose? Spójrz na mnie. — Sądził, że już zna odpowiedź, ale i tak
musiał zapytać. — Czy on cię kiedykolwiek uderzył?

— Oczywiście, że nie — zaprzeczyła od razu, ale nigdy nie potrafiła
przed nim kłamać. Chase był jedyną osobą, która była w stanie przejrzeć
ją bez trudu, a mimo to próbowała, naiwnie licząc, że tym razem kłamstwo
przyniesie inny skutek.

Mordercza złość w jego oczach jasno powiedziała jej, jak wielki błąd
popęłniła.

— Raz — przyznała w końcu cicho, zdając sobie sprawę, że brnięcie
w kłamstwo jedynie wszystko pogorszy. — Tylko jeden raz. — Nie liczyła
siniaków, które zostawiał, gdy za mocno ją chwycił albo szarpnął.

Spuściła głowę, by nie widzieć rozczarowania w oczach Chase'a.
Nie była dumna z tego, że mimo wszystko wciąż jest z Carterem. Że nie
odeszła już wtedy, gdy podniósł na nią rękę. Zdawała sobie sprawę, że to
świadczy jedynie o jej słabości, ale świat nie był tak czarno-biały, jak mo-
głoby się wydawać.

— Za co? — Krótkie pytanie. Banalnie proste i niewiarygodnie istotne.
Chciał wiedzieć, czym zasłużyła na przemoc ze strony narzeczonego.
Przecież ten mężczyzna powinien wielbić ziemię, po której stąpała.

Trzymał dłonie po obu jej bokach, zaciśnięte na krawędzi blatu tak
mocno, że jego mięśnie zaczynały się trząść. Nie miał jednak zamiaru
połuźnić uścisku, chociaż ból powoli wdzierał się do jego zaślepionego
wściekłością umysłu.

Miał wrażenie, że gdyby tylko puścił, w następnej minucie byłby już
w samochodzie, by znaleźć Cartera i go zamordować. Nigdy nie był czło-
wiekiem agresywnym, jednak wiedział, że gdyby mężczyzna w tam-
tym momencie przed nim stanął, nie byłby w stanie się powstrzymać.

— Za co cię uderzył, Josephine? — dopytał z naciskiem na jej pełne imię. To nie na nią był zły, ale powoli przestawał nad sobą panować.

Josephine jeszcze nigdy nie widziała go takiego i ten widok ją przerażał. To nie był ten sam chłopak, który jeszcze kilka minut temu parzył na nią z tak wielką troską, bo nabiła sobie niegroźnego guza.

Pozwoliła sobie wypuścić drżący oddech, by pozbyć się lęku przed wściekłością chłopaka. Wiedziała, że nie zrobi jej krzywdy, ale strach był instynktowną reakcją, nabytą przy kimś innym.

— Carter nigdy nie lubił mojego tatuażu. Twierdzi, że mnie szpeci — zaczęła cicho, jakby liczyła, że jest w stanie zarazić Chase'a spokojem. — Przez długi czas bezskutecznie namawiał mnie, żebym go usunęła, ale w końcu stracił cierpliwość i sam umówił mnie na zabieg. Liczył, że jeśli postawi mnie przed faktem dokonanym, to przestanę się upierać. Pokłóciliśmy się, powiedziałam parę słów za dużo i puściły mu nerwy.

Nie miała pojęcia, na jaką reakcję liczyła, ale wydawało się, że jej słowa jedynie podsyciły wściekłość Chase'a.

— Dlaczego się nie zgodziłaś?

— Dobrze wiesz dlaczego. — Nie mogłaby. To była prawdopodobnie jedyna kwestia, w której nigdy by nie ustąpiła Carterowi. — To nic takiego, naprawdę...

— Nic takiego?! — Chase odbił się od blatu, wypuszczając ją z klatki, jaką tworzyły jego ramiona, i zaczął wściekle krążyć po pomieszczeniu. — Nie miał prawa cię tknąć i sama myśl, że to zrobił, sprawia, że mam ochotę go zabić, a ty mówisz, że to nic takiego?!

Ledwo utrzymywał kontrolę nad sobą. Czuł, że sypie się wszystko, co przez cały ten czas usilnie sobie wmawiał.

Od miesięcy ignorował każdy znak, bagatelizował nawet to, co widział na własne oczy. Robił wszystko, byle przekonać samego siebie, że Carter jest dla niej wystarczająco dobry, a on miał wątpliwości wyłącznie przez zazdrość.

Zawsze uważał, że Josephine zasługuje na kogoś, kto da jej lepsze życie, niż on byłby w stanie, i wmówił sobie, że tym kimś jest Carter. Bo tylko dzięki temu był w stanie stać beczynnym i przyglądać się, jak dziewczyna, którą kocha, układa sobie życie z innym mężczyzną.

I udało mu się. Przez pewien czas był przekonany, że jest w stanie to zrobić. Ale teraz?

— Dlaczego ty z nim nadal jesteś? — Nie wiedział już, jak ma dalej milczeć po tym, co właśnie usłyszał. — Powinnaś uciec od niego, gdy tylko cię uderzył. Dlaczego tego nie zrobiłaś?!

Patrzył na nią z tak wyraźną pretensją i żalem, że sama poczuła ukłucie złości. Zeskoczyła na ziemię i wbiła w niego wściekłe spojrzenie.

— Może dlatego, że nie miałam dokąd uciec! — odrzyknęła. — Co miałam zrobić? Rzucić wszystko i zostać bez dachu nad głową, przez jeden błąd człowieka, który był jedynym, co wtedy miałam?

Tak łatwo ją ocenił. Stwierdził, że była zwyczajnym tchórzem i została, bo bała się odejść, ale nie miał pojęcia, jak to jest być całkowicie uzależnionym od człowieka, który użył wobec ciebie przemocy. Nie wiedział, że zostanie przy Carterze było najtrudniejszą decyzją, jaką podjęła w życiu.

W Bostonie była zupełnie sama, bez przyjaciół, bez żadnej rodziny. Carter miał obie te rzeczy, a także władzę i pieniądze. Nawet gdyby odważyła się pójść na policję, nikt by jej nie uwierzył. Archer zabronił jej wracać, więc zrobiła, co musiała, by przetrwać.

Ale Chase nie myślał o tym w ten sposób.

— Ty siebie w ogóle słyszysz? Naprawdę jesteś taka ślepa, czy udajesz, bo nie masz odwagi spojrzeć prawdzie w oczy?

— Jakiej znowu prawdzie?

— Że klatka zawsze będzie klatką. — Przestał już krzyczeć, ale emocje na jego twarzy były równie bolesne. — Bez względu na to, że jej pręty są ze złota. A ty znowu dałaś się zamknąć.

— A nie przyszło ci do głowy, że jestem w tej klatce z własnej woli?! — Nigdy nie wiedzieli, kiedy przestać. Oboje byli jak bomby i gdy wybuchali, niszczyli wszystko, co było w pobliżu. Nie mieli nad tym najmniejszej kontroli.

— Dlaczego? — Nie potrafił pojąć, jak mogła się na to godzić po tym, jak poświęcili swoją miłość, by mogła uciec od rodziców. — Nie zasługujesz na to. Zasługujesz na...

— Na wszystko? — Nietrudno było zgadnąć, bo słyszała te słowa już wcześniej. — Miałam już kiedyś wszystko, Chase. Miałam to, kiedy

miałam cię — przypomniała mu. — A potem to straciłam, kiedy kazałeś mi wyjechać.

Chase nigdy tego nie rozumiał, zaślepiony przekonaniem, że ktoś lepszy mógłby dać jej więcej. Nieważne, ile razy przekonywałaby go, że nie potrzebuje niczego poza nim, nigdy jej nie wierzył.

Było tyle lepszych rzeczy, które mogła powiedzieć. Nawet wyznanie prawdziwego powodu, dla którego była z Carterem, nie zraniłoby Chase'a tak, jak słowa, które zaraz miały paść:

— Masz rację, jestem w klatce. Dlatego, że tam jest bezpieczniej. Bo nic, co Carter zrobi lub powie, nawet w najmniejszym stopniu nie jest w stanie zabolować tak, jak *my*.

I w tamtym momencie czuła, że się nie myliła, bo rozczarowanie, jakie pojawiło się na twarzy Chase'a, zabolowało o wiele bardziej niż jakiegokolwiek uderzenie zadane przez Cartera.

Jednak z ich dwojga to Chase cierpiał bardziej. Bo to on właśnie usłyszał, że dziewczyna, którą kocha, woli być z mężczyzną, który ją uderzył, niż z nim.

— Może miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że zabiłaś w sobie tamtą Jose — powiedział cicho. — Bo ona nigdy nie zdeptałaby tego, co mieliśmy. Nie zaprzepaściłaby wszystkich poświęceń, na jakie się zdecydowaliśmy, żeby mogła uciec. Nie po to, by po tym wszystkim dać się zamknąć w kolejnej klatce. — Ta świadomość bolała tak bardzo, że nie był już nawet w stanie na nią spojrzeć. — Więc może naprawdę nie zostało już w tobie nic z dziewczyny, którą kochałem.

Rozdział 33

Po słowach Chase'a nie było już nic, co mogli sobie powiedzieć, więc Josephine wyszła. Donośnie trzasnęła drzwiami.

Z początku się nie przejęła. Kilkunastominutowy spacer do domu pomógł jej ochłonąć i dojść do siebie, a gdy emocje opadły i przeanalizowała całą kłótnię na spokojnie, doszła do wniosku, że wbrew pozorom to nic takiego. To po prostu oni i w przeszłości zdarzało im się przecież robić gorsze awantury o mniej istotne rzeczy.

Najwycyzajniej w świecie tacy byli. Działali na siebie jak ogień i benzyna, bo była to jedna z wielu konsekwencji tego, że zależało im za bardzo i czuli za dużo. Ale zawsze wracali na właściwe tory, więc wystarczyło jedynie poczekać, aż wszystkie emocje opadną i któreś z nich pierwsze wyciągnie rękę, i wszystko wróci do normy.

Bo musiało i Josie nie brała pod uwagę innej możliwości. Wciąż było za wcześnie, by była gotowa stracić go na dobre.

Problem pojawił się, dopiero gdy po kilku dniach ciszy postanowiła się poświęcić i zrobić pierwszy krok. Została odrzucona i potraktowana z największą oschłością, na jaką tylko było stać Chase'a. Scenariusz, według którego zawsze odgrywali swoje kłótnie, został podarty na strzępy i Josie nie miała pojęcia, co dalej.

Wiedziała jedynie, że nie zamierza się przed nim kajać, bo uważała, że był równie winny ich kłótni co ona. Uniosła się więc dumą i postanowiła czekać, aż tym razem to chłopak wyciągnie rękę na zgodę.

Z pomocą w odwróceniu uwagi nieświadomie przyszedł jej Carter, który ku jej zdziwieniu zaprosił ją na kolację z okazji rocznicy związku. Towarzystwo narzeczonego było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, ale przynajmniej odciągało jej myśli od Chase'a.

Mogła nienawidzić Cartera, ale niemal z ulgą przyjęła możliwość krótkiej ucieczki do świata, gdzie jej życie znajdowało się pod kontrolą, nawet jeśli to nie ona była osobą, która je kontrolowała. Bo chociaż robiła, co w jej mocy, by nie dopuszczać do siebie tej świadomości, w którymś momencie jej relacja z Chase'em całkiem straciła swój od początku chwiejny balans. Josephine nie miała już panowania nad niczym, a przede wszystkim nad swoimi uczuciami.

Nienawidziła chaosu, bo ją przerażał, dlatego czerpała pocieszenie z wieczoru z Carterem, bo doskonale wiedziała, czego się spodziewać po rocznicowej randce. Jej narzeczony wymagał od niej tylko tego, żeby udawała idealną. A to miała opanowane do perfekcji.

— Wyglądasz pięknie, kochanie — powitał ją Carter z uśmiechem, gdy weszła do restauracji i odnalazła stolik, przy którym czekał na nią mężczyzna ubrany w idealnie skrojony garnitur.

Wstał, by pocałować ją w policzek, zanim w szarmanckim geście odsunął jej krzesło. Nie było śladu po mężczyźnie, który trzy tygodnie wcześniej groził wszystkim osobom, które kochała.

— Dziękuję. — Wejście w oczekiwaną przez przyszłego męża rolę przyszło jej z wręcz budzącą smutek łatwością. — Dlaczego mamy stolik dla czterech osób?

Gdy żyli razem w Bostonie, ich rocznica była jednym z niewielu dni, kiedy mężczyzna całkowicie zapominał o pracy i robił wszystko, by wynagrodzić jej to, że na co dzień nie mógł poświęcić jej wystarczająco dużo czasu. Szli do najdroższej restauracji w mieście, potem wybierali się na późny spacer, odwiedzali miejsce, w którym się poznali, a po powrocie do mieszkania Carter dawał jej prezent w postaci kosztownej biżuterii.

— Zaprosiłem człowieka, z którym od dawna próbuję nawiązać współpracę, i jego żonę — wyjaśnił zwyczajnie. — To ogromnie ważny kontrakt dla firmy.

— Rozumiem — powiedziała, chociaż Carter właściwie nie pytał, czy jej to nie przeszkadza. — Skoro to takie ważne.

— Właśnie przyszli. — Skinął głową w stronę wejścia i dyskretnie nachylił się do Josie, gdy para zmierzała w stronę ich stolika. — Będiesz tak dobra i zajmiesz się żoną pana Crawforda, prawda? Porozmawiacie

sobie na jakieś kobiece tematy, a ja w tym czasie zarobię dla nas kilka milionów. — Pogładził jej policzek w geście, który można by nawet uznać za czuły.

Josephine skinęła głową w geście zgody. To był znany schemat, nawet jeśli nie spodziewała się, że będą odgrywać go akurat dzisiaj. Carter zazwyczaj zabierał ją na biznesowe kolacje właśnie po to, by czarowała żony i partnerki ważnych ludzi, ułatwiając mu tym samym osiągnięcie celu. Szczerze nienawidziła, gdy wykorzystywał ją w ten sposób, zmuszając do udawania sympatii wobec ludzi, z którymi nie chciała mieć nic wspólnego. Nienawidziła też tego, jak dobra w tym była.

Jednak protest i tak nie wchodził w grę, więc gdy małżeństwo pojawiło się przy ich stoliku, zmusiła się do przybrania najpiękniejszego uśmiechu i razem z Carterem wstała, by przywitać parę. W duchu zaczynała już odliczać minuty do końca.

Madelaine, bo tak miała na imię żona pana Crawforda, była dokładnie tak okropna, jak Josephine uznała w pierwszej chwili. Zapatrzona w siebie, skupiona na wyglądzie oraz ubraniach od projektantów i traktująca wydawanie fortuny męża jako zajęcie. Książkowy przykład osoby, jaką Josie nigdy nie chciała stać się po ślubie z Carterem.

Jej jedyną zaletą było to, że mówiła właściwie bez przerwy, więc Josie mogła ograniczyć się do potakiwania z uśmiechem i tylko raz na jakiś czas dodawania czegoś od siebie.

Nieprzywiązywanie zbytnej uwagi do tego, co się dzieje przy stole, było jedynym sposobem umożliwiającym przeżycie ciągnących się w nieskończoność rozmów. Uśmiechała się, kiwała głową i dorzucała krótkie komentarze w odpowiednich momentach, ale myślami była zupełnie gdzie indziej i właściwie dopiero dzwonek jej telefonu ściągnął ją na ziemię.

Jej serce zabiło szybciej, bo gdy wyciągnęła urządzenie z torebki, na wyświetlaczu widniało imię Chase'a.

— To William. Pewnie się zastanawia, o której wróć — wyjaśniła przyciszonym głosem Carterowi, zanim wstała od stołu i przeprosiła uprzejmie ich towarzyszy.

— Odbierz i powiedz mu, że może być spokojny. — Carter zdecydowanie był w dobrym humorze i znacznie się rozluźnił, kiedy wiedział już, że odniósł kolejny sukces. — Kierowca cię odwiezie.

Skinęła głową i pospiesznie przeszła do lobby, które było równie imponujące, co sama sala. Restauracja, którą wybrał Carter, znajdowała się na najwyższym piętrze budynku, a przeszklone ściany zapewniały gościom niesamowity widok.

— Halo? — Dopiero kiedy została sama, stanęła przy szybie, podziwiając pięknie oświetlone miasto. Wcześniej nie miała okazji, by zwrócić uwagę na ten aspekt miejsca. Była zbyt zajęta udawaniem, że fascynują ją rozmowy o jachtach, prywatnych wyspach oraz najnowszych kolekcjach ubrań.

— Cześć, Jose. — Miał niepewny ton głosu i Josie była niemal przekonana, że chłopak nie wie, co powiedzieć.

— Cześć.

Kiedy ona kilka dni temu postanowiła zadzwonić, wcześniej dokładnie ułożyła sobie w głowie przeprosiny, natomiast Chase zapewne chwycił za telefon pod wpływem chwili i stwierdził, że jakoś to będzie.

Jednak Josie, wciąż unosząc się dumą, ograniczyła się jedynie do zdawkowej odpowiedzi na jego powitanie, więc nastąpiła między nimi cisza, która przeciągała się z każdą chwilą.

Chase poddał się jako pierwszy i zdecydował się ją przerwać:

— Słuchaj, nadal jestem na ciebie zły i podejrzewam, że ty na mnie trochę też, ale może moglibyśmy już przestać?

Nie musiała go widzieć, by wiedzieć, że się uśmiecha. W jej głowie pojawiło się wyobrażenie chłopaka, który chodzi po mieszkaniu, bo zaw sze to robił, gdy rozmawiał przez telefon, i na jej twarzy też pojawił się słaby uśmiech.

— Albo moglibyśmy chociaż przestać się na siebie wściekać na odległość? Możemy przecież być na siebie źli, siedząc na jednej kanapie

albo w jednej kuchni... albo w jednym łóżku — proponował, z każdą chwilą nabierając odwagi. — Opcji jest wiele, więc możesz przyjść albo przyjadę po ciebie i wypróbujemy jedną z nich.

Uśmiech, który wcześniej grał na jej ustach, zniknął, a żołądek zacisnął się w supeł. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć chłopakowi, dlaczego nie może przyjść, i nie doprowadzić go do wściekłości, wyjawiając, że jest z Carterem.

— Wiesz, z tym będzie mały problem... — Zanim zdążyła chociażby spróbować wypłatać się z tej sytuacji, straciła wszelkie szanse, bo za jej plecami pojawił się Carter.

Dostrzegła go w odbiciu szyby na sekundę przed tym, jak się odezwał.

— Josephine? Jesteśmy gotowi do wyjścia, czekamy tylko na ciebie.

— Już idę — zapewniła i poczekała, aż mężczyzna wróci na salę, zanim z mocno bijącym sercem podniosła telefon z powrotem do ucha.

— Jesteś z *nim*? — Wcześniejsze rozbawienie zniknęło i w jego głosie słychać było jedynie tę samą wściekłość, co kilka dni temu. — Wiesz co? Zapomnij, że w ogóle dzwoniłem. Baw się dobrze ze swoim cudownym narzeczonym.

Chase zakończył połączenie, zanim Josie zdążyła zareagować.

Zanim zdążyła powiedzieć mu, że niczego nie chciała bardziej, niż być przy nim, zamiast spędzać wieczór w absurdalnie drogiej restauracji, otoczona przez chciwość ubraną w uśmiechy i fałszywe uprzejmości.

Stojąc przed drzwiami mieszkania Chase'a, zastanawiała się, czy może tak po prostu wejść, używając własnego klucza, czy biorąc pod uwagę ich ostatnie stosunki, lepiej będzie zadzwonić do drzwi i pozwolić mu zdecydować, czy chce ją wpuścić.

W końcu przekłęła pod nosem własne zdenerwowanie i użyła dzwonnka, chociaż czuła się z tym niezmiernie dziwnie. Chase zawsze powtarzał, że to także jej miejsce, a teraz miała wrażenie, jakby utraciła ten przywilej. Prawdopodobnie na własne życzenie.

Nie czuła już ani odrobiny tej pewności, że wszystko będzie dobrze, która pozwoliła jej we względnym spokoju przetrwać te kilka dni, jakie

minęły od ich kłótni. Tamten konflikt dało się jeszcze łatwo załagodzić, ale spotykając się z Carterem, dołała oliwy do ognia. I nie miała nic, czym mogłaby go ugasić.

Chase nie wyglądał na zaskoczonego jej widokiem, ale nie mogła też powiedzieć, że jest zadowolony, widząc ją. Jednak bez słowa odsunął się na bok i wpuścił ją do środka.

— Po co przyszłaś? — Wszystko w nim, od oschłego tonu przez skrzyżowane ramiona aż po zimne spojrzenie, jasno dawało jej do zrozumienia, że w ogóle nie chciał jej widzieć. — Albo czekaj, sam zgadnę. Twój *uspaniały* przyszły mąż kopnął cię w dupę, bo nie jesteś mu akurat potrzebna, więc przypomniałaś sobie o mnie. Mam rację?

— Możesz sobie darować ten sarkazm? Nie przyszłam się kłócić. Jeszcze wczoraj sam chciałeś się pogodzić.

— *Jeszcze wczoraj* nie wiedziałem tego, co wiem teraz. — Uśmiechnął się szyderczo i Josie miała wrażenie, że cofnęli się o kilka miesięcy, do momentu, gdy Chase jej nienawidził. — Jak na przykład to, że sypiasz z dwoma facetami naraz.

Bardzo starał się nie okazywać targających nim emocji, które paliły go od środka od tamtego telefonu, ale przychodziło mu to z trudem. Czuł, że powoli traci resztki opanowania.

Nie był idiotą i doskonale zdawał sobie sprawę, że przez te sześć lat stracił wyłączność w tej kwestii. Akceptował to, bo sam nie był święty, ale naiwnie liczył, że przez tę krótką chwilę, gdy znów ją miał, był jedynym, z którym spała. Czuł wściekłość na samą myśl, że ktokolwiek, a zwłaszcza Carter, mógł jej dotykać, kiedy jeszcze była *jego*. Czuł się, jakby go zdradziła, nawet jeśli ta racjonalna część jego umysłu wiedziała, że nie miał do tego prawa.

— O czym ty mówisz?

Nie miał żadnych dowodów na swoje oskarżenia, ale racjonalność opuściła go wczoraj, gdy spędzał noc, torturując się myślami o niej z innym mężczyzną. Bo prawda była taka, że czekał na nią wczoraj, nawet po ich rozmowie. Sądził, że przyjdzie wyjaśnić, dlaczego spędzała wieczór w towarzystwie Cartera, a ponieważ tego nie zrobiła, założył najgorsze.

— O tym, że przez cały ten czas robiłaś ze mnie idiotę! — Złość i zazdrość zaślaniały mu zdrowy rozsądek. — Wczoraj spałaś z nim, a dzisiaj przychodzisz do mnie, jak gdyby nigdy nic, i uważasz, że to w porządku?

— Nie wiem, co sobie uroiłaś, ale jeśli koniecznie musisz to wiedzieć, to Carter mnie wczoraj nawet nie dotknął — broniła się, usiłując zachować spokój. — Ale to w ogóle nie jest twoja sprawa. Nie masz prawa urządzać mi scen zazdrości ani zachowywać się, jakbym cię zdradziła.

— Nie moja sprawa? — Wczorajsze zdarzenie było dla niego punktem kulminacyjnym, i nawet jeśli jego oskarżenia okazały się bezpodstawne, wiedział, że nie może się już wycofać. — A mnie się właśnie wydaje, że mam do tego cholerne prawo, bo jestem jedyną osobą, z którą powinnaś być!

— Co? — szepnęła, modląc się, by jakimś cudem okazało się, że źle go zrozumiała.

— Mam dosyć, Jose.

Zrzucił już oziębłą maskę, którą torturował ją na początku, ale uczucia, jakie teraz widziała w jego oczach, wcale nie były łatwiejsze do zniesienia.

— Mam dosyć udawania, że wcale mi nie przeszkadza bycie chwilową opcją. Mam dosyć stania z boku i biernego przyglądania się, jak popełniasz największy błąd w swoim życiu, kiedy już od dawna powinnaś być tylko i wyłącznie moja. — Każde kolejne słowo wypowiadał z coraz większą determinacją, jakby naprawdę zaczynał mieć nadzieję, że słowa wystarczą, by ją przekonać.

— Chase. — Zamknęła oczy, zastanawiając się, skąd niby ma wziąć siłę, by wmówić mu, że nie pragnie przyszłości z nim. — Myślałam, że jesteśmy zgodni w tym, że to potrwa chwilę, a później każde wróci do swojego życia.

— Ty jesteś moim życiem, jeszcze tego nie rozumiesz?! — Determinacja w jego głosie powoli przeradzała się w desperację. — Do czego miałbym wracać? Do czego miałbym *chcieć* wracać, jeśli ciebie tam nie będzie?

Od czasu ostatniej kłótni, a może nawet jeszcze odrobinę wcześniej, zaczęli się od siebie oddalać. Było tak, jakby stali na dwóch odłamkach tej samej góry lodowej, które powoli odpływają w przeciwnych kierunkach.

I oboje gdzieś z tyłu głowy mieli świadomość, że ta rozmowa to ostatnia szansa, bo za chwilę przepaść stanie się zbyt wielka, by ją przeskoczyć.

— Sześć lat temu byłaś gotowa porzucić wszystko, gdybym tylko cię o to poprosił, i już wiem, że popełniłem największy błąd w swoim życiu, pozwalając ci odejść.

Josephine pragnęła zrobić cokolwiek, by go powstrzymać przed słowami, które zaraz miały paść, ale na próżno.

— Więc proszę cię teraz. Zostań ze mną, Jose — powiedział, patrząc jej prosto w oczy. — Nie odchodź, bo dobrze wiesz, że jestem jedyną osobą, która może sprawić, że będziesz naprawdę szczęśliwa, tak, jak na to zasługujesz. *Proszę*. — Nie obchodziło go to, że błagał. Jeśli musi paść na kolana, żeby ją przekonać, to to robi. — Tym razem wybierz mnie.

Nie wiedziała, kiedy w jej oczach pojawiły się łzy, ale w tamtym momencie była za nie niezmiernie wdzięczna. Przysłaniały jej obraz Chase'a i nie musiała widzieć bólu na jego twarzy, gdy z jej ust padła odpowiedź.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Podaj mi chociaż jeden dobry powód. — Jeszcze nie był do końca gotowy, by się poddać. Jeszcze miał nadzieję. — Odnależliśmy się po sześciu latach w miejscu, do którego żadne z nas miało już nigdy nie wrócić. Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz na to, że jeśli na świecie istnieje coś takiego jak przeznaczenie, to jest cholernie pewne, że my jesteśmy przeznaczeni sobie nawzajem? Na co jeszcze chcesz czekać, Jose?

Zawsze sądziła, że Chase jest jedyną osobą na świecie, której może powiedzieć wszystko. Jednak gdy przyszedł najważniejszy moment, by się odezwać, milczała.

Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Nie wiedział, do czego Carter byłby skłonny się posunąć. Nie zrozumiałby, że robiła to, by go chronić.

— Bo trzeciej szansy już nie będzie — dodał, wyrzucając z siebie każde słowo, jakie przyszło mu na myśl. — Nikt nie dostaje trzech

szans na jedną miłość. Nie wiem nawet, dlaczego ktoś uznał, że zasługujemy na drugą, po tym, jak koncertowo spięprzyliśmy za pierwszym razem, ale możesz być pewna, że to już ostatnia. Ostatnia szansa na to, byś kiedykolwiek była szczęśliwa.

— Nie mogę — powtórzyła, szlochając, bo tylko to była w stanie z siebie wydusić. Świadomość tego, co się dzieje, zaczynała ją przerastać i czuła się, jakby za chwilę miała umrzeć.

Chociaż w rzeczywistości to Chase właśnie tracił *swoje życie*.

Przez chwilę naprawdę wierzył, że jest w stanie ją przekonać. Zrozumiał własną naiwność, dopiero gdy uderzyła go fala rozczarowania, a wraz z nią złość na bolesną prawdę, że Josie nigdy go nie wybierze. I w tamtym momencie nie miało nawet znaczenia, czy go kochała.

— Więc wyjdź stąd. Wynoś się, bo nie chcę cię więcej widzieć.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć sens jego słów, i o dziwo to właśnie one podziały jak zapalnik, a wybuch na chwilę rozproszył mętlik w jej głowie.

— Od początku byłam z tobą szczerą, Chase.

Jeśli za chwilę i tak miała odejść na zawsze, to równie dobrze mogła mu wcześniej powiedzieć, co myśli. Nawet jeśli bez wyznania prawdy nigdy nie będzie miała wystarczających argumentów, by się obronić.

— Wiedziałaś, że wychodzę za męża. Wiedziałaś, że cokolwiek mieliśmy, prędzej czy później będzie musiało dobiec końca. Sam to powiedziałeś — przypomniawszy mu, okrutnie obracając przeciw niemu obietnicę, którą jej złożył w antykwariacie. — Zaakceptowałaś to wszystko bez cienia protestu.

Od wesela minęły niespełna trzy miesiące. Nie licząc jednej pijackiej rozmowy na urodzinach Valerie, Chase przez cały ten czas ani razu nawet nie zasugerował, że w ogóle rozważa scenariusz, w którym to, co mieli, nie byłoby chwilowe. Tym samym pozwolił jej wierzyć, że on również chce, by to w pewnym momencie dobiegło końca.

A teraz rzucał jej tym nagle prosto w twarz jak granatem. Zanim była w stanie się otrząsnąć, on już przykładał jej nóż do gardła i żądał podjęcia decyzji, chociaż doskonale wiedział, że nigdy nie była osobą, która decydowała pod wpływem emocji.

— A teraz znikąd wyskakujesz z czymś takim i oczekujesz, że w ciągu kilku minut przekreślę właściwie całe swoje życie? — Była zła, bo Chase znał ją jak nikt inny i świadomie wykorzystywał jej słabości przeciw niej. — I na koniec wyrzucasz mnie jak pustą paczkę papierosów, bo nie jestem w stanie z miejsca dać ci odpowiedzi, na którą liczysz?

W gruncie rzeczy to i tak nie miało znaczenia, bo żadna ilość czasu nie mogłaby zmienić jej decyzji. Kłóciła się jeszcze wyłącznie dlatego, że nie chciała wychodzić. Nie, kiedy wiedziała, że gdy to zrobi, wszystko skończy się na zawsze.

— Oczekujesz, że zostawię wszystko, że złamię wszystkie obietnice złożone Carterowi...

— A co z obietnicami, które złożyłaś mi? — wszedł jej w słowo, zbijając z tropu. — Nie pamiętasz już, że kiedy się żegnaliśmy sześć lat temu, przysięgałaś, że jeśli jeszcze kiedykolwiek na siebie wpadniemy, to wtedy już za nic w świecie nie odejdiesz?

Milczenie z jej strony było dla niego wystarczającą odpowiedzią.

— Zgaduję, że tamte słowa nic już dla ciebie nie znaczą. Dokładnie tak jak ja. — Spojrzał na nią ostatni raz, zanim zmusił się do pierwszego kroku i ruszył w stronę sypialni, tak po prostu zostawiając ją samą.

Rozdział 34

Josephine trzymała się w jednym kawałku chyba tylko dlatego, że wciąż nie do końca docierało do niej, że jest już po wszystkim. Jakaś jej część wciąż wypierała fakt, że koniec, którego od pewnego czasu tak bardzo się bała, już nastąpił.

Utrata Chase'a była równoznaczna z utratą gruntu pod nogami, a kiedy cały jej świat się walił, mogła pójść tylko do jednej osoby.

— Co zrobiłaś?! — wykrzyknął Archer, jednocześnie tłumiąc przekleństwo, gdy potknął się o jeden z wielu kartonów stojących w salonie jego mieszkania.

Archer i Camille, którzy byli zupełnym przeciwieństwem Josie i Chase'a, nie zamierzali tracić czasu ani utrudniać sobie życia. Dlatego zaledwie kilka tygodni po tym, jak wyjawili swoje uczucia i oficjalnie zostali parą, postanowili zamieszkać we trójkę.

Typowo męskie mieszkanie szatyna stało się więc składowiskiem pudeł przywiezionych od Cami, rozrzuconych wszędzie ubrań dziewczyny, zabawek Alfiego i puszek po farbie po skończonym remoncie pokoju gościnnego zamienionego na sypialnię dziecka.

Josie przyjechała, bo uznała, że myślenie o Chasie jeszcze chwilę dłużej doprowadzi ją do szaleństwa i potrzebuje czegoś, co zajmie jej myśli. I chociaż teoretycznie zgłosiła się na ochotnika do pomocy przy całym tym zamieszaniu z przeprowadzką, w rzeczywistości to ona była jedyną osobą, która potrzebowała wsparcia.

— Którą część mam ci powtórzyć, żebyś zrozumiał? — Siedziała na kanapie, kurczowo przyciskając do siebie pluszowego misia Alfiego. Obserwując wędrującego po pokoju przyjaciela, czuła się trochę jak na sesji terapeutycznej.

— Ja rozumiem słowa. Problem tkwi w tym, że nie widzę w nich sensu.
— Na tym etapie przyjaźni z tą dwójką Archer powoli zaczął tracić nadzieję, że któreś z nich pójdzie po rozum do głowy i przestanie utrudniać coś, co było banalnie proste. — Kruszyńko, wiesz, że cię kocham.
— Zignorował spojrzenie dziewczyny, która nie miała pojęcia, co to ma do rzeczy. — Ale albo ja się z każdym dniem staję coraz mądrzejszy, albo ty coraz głupsza.

— Dzięki, wiesz? Od razu mi lepiej. — Wywróciła oczami z irytacją, chociaż nie wykluczała możliwości, że jej przyjaciel ma rację.

Archer nie zraził się jej sarkazmem i w końcu usiadł obok, zdobywając się na powagę, na którą Josie czekała.

— Kochasz go, tak?

Skinęła głową bez cienia zawahania.

— A on ewidentnie kocha ciebie, tak?

Kolejne kiwnięcie.

— Więc czego jeszcze potrzebujecie, żeby żyć długo i szczęśliwie?

— To nie jest takie proste.

Archer zamilkł, obserwując uważnie przyjaciółkę. Chciał zrozumieć, co ją powstrzymywało, bo znał ją i wiedział, że musiała mieć powód. Widział, że było w niej coś dziwnego, jakaś emocja, którą rzadko można było u niej spotkać. Potrzebował chwili, by zrozumieć, że to, co dostrzega w jej oczach, to strach.

— Josie, spójrz na mnie — poprosił delikatnie. — Wiem, że się boisz. Rozumiem to, okej? Nie ma w tym nic złego. Zdecydowanie się na bycie z Chase'em wiąże się ze zrezygnowaniem z życia, które do tej pory znałaś. To ta sama sytuacja, w której byłaś, gdy mieliście osiemnaście lat. Ale wiesz, co się zmieniło?

Josie czuła, że się rozplacze, jeśli się odezwie, więc jedynie pokręciła głową.

— Nie macie już osiemnastu lat. Ja, Ethan i Valerie też nie — udzielił odpowiedzi, która była oczywista. — Nie jesteśmy już bezradnymi dziećmi, które nie mogą nic zrobić, żeby wam pomóc. Jesteśmy dorośli i tym razem faktycznie możecie na nas liczyć. Możemy pożyczyć wam

pieniądze, jeśli będziecie potrzebowali, możemy przyjąć was do siebie na trochę, jeśli nie miałibyście gdzie mieszkać. Cholera, możecie nawet spać na mojej kanapie, aż wszyscy się znienawidzimy za absolutny brak prywatności, jeśli tylko powstrzyma cię to od małżeństwa, którego nie chcesz.

Próbowała się zaśmiać, jednak z jej ust wydobyło się coś pomiędzy śmiechem a płaczem. Czuła pierwsze łzy spływające po policzkach.

— Powiedz mi, co naprawdę cię powstrzymuje przed zostawieniem Cartera.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna mu mówić. Archer i tak nie mógł nic zmienić, a poznanie prawdy jedynie go przygnębi, ale nie miała siły, by dłużej dźwigać ten ciężar w pojedynkę.

— Jeśli odejdę, zemści się na was — wyznała cicho. Nie miała odwagi powiedzieć tych słów głośniej. — Zagroził mi, że to zrobi, jeśli jeszcze raz mu się sprzeciwię, tak jak wtedy, kiedy wyszłam z wami do baru na urodziny Valerie.

— W jaki sposób miałby to zrobić? — zapytał, ale brzmiał przy tym poważnie. Nie bagatelizował słów Josie, skoro te groźby wystraszyły ją wystarczająco, by zrezygnowała z życia z Chase'em.

— Prześledził was wszystkich — wyznała. — Wie, że masz syna. Zagroził, że wykupi udziały w firmie twojego ojca, żeby cię wyrzucić i zostawić bez pieniędzy.

— Śmiało, niech próbuje — prychnął wściekły, ale wciąż jeszcze nie tracił nadziei. — Ojciec nigdy by mu nie...

— W naszym prawie łapówkarstwo się nie przedawnia — weszła mu w słowo. — Valerie może nawet pójść do więzienia za przekupienie funkcjonariusza. Zniszczy życie jej i Ethanowi i nawet nie będzie to dla niego trudne. Wystarczy, że znajdzie tego mężczyznę i zaproponuje mu tyle pieniędzy, że przekona go do przyznania się do przyjęcia łapówki. Jeśli Valerie się wtedy udało, to na pewno zrobi to kwota, jaką Carter jest w stanie mu zaproponować.

Josie widziała moment, w którym Archer zbladł, w końcu w pełni pojmując powagę sytuacji.

— Chase ma zapchaną kartotekę przez głupoty, które zrobił po twoim wyjeździe — odezwał się zamyślony, podążając dalej tokiem myślenia przyjaciółki. — Jeśli Carter bardzo by chciał... — Nie musiał kończyć. Znał ludzi takich jak on. Obracał się w ich towarzystwie każdego dnia w pracy. Jego własny ojciec był jednym z nich. Jeśli czegoś chcieli, nie było ceny zbyt wysokiej. — Po co mu to wszystko? Dlaczego tak mu zależy?

— Potrzebuję moich rodziców, żeby pomagali mi w jego przekrętach, bo chce się dostać na szczyt. — Wzruszyła ramionami i bezradnie pokręciła głową. — Ale oni zrobiliby wszystko, co zechce, nawet gdyby nie był moim narzeczonym. Tak naprawdę nie pozwoli mi odejść, bo dla niego to kwestia dumy.

— I co? Nie możemy nic zrobić? — Archer zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po salonie. — Tak po prostu mamy ci pozwolić się poświęcić i zmarnować sobie życie, bo koleś ma zbyt wielkie ego? Cholera! — krzyknął, z wściekłością kopiąc karton stojący mu na drodze. — Musi być coś, co możemy zrobić. To się nie może tak skończyć, słyszysz? Nie zgadzam się.

— Jesteś gotów zaryzykować? Bo ja nie. Widziałam, co robił z ludźmi, którzy stali mu na drodze, jeszcze w Bostonie. — Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Carter spełniłby swoje groźby dla zwykłej zabawy. — Nie ma nic, co którekolwiek z nas może zrobić.

Zapadła między nimi cisza. Ciężka i pełna złości na niesprawiedliwość świata. Za każdym razem, kiedy wydawało im się, że życie nie może stać się bardziej okrutne, los upewniał się, że spotka ich kolejne niemiłe zaskoczenie.

— Chase o niczym nie wie, prawda? — odezwał się Archer po długiej chwili. Przestał już krążyć po pomieszczeniu i przysiadł na poręczu kanapy, chowając twarz w dłoń.

— Nie.

— Znienawidzi cię, jeśli będzie myślał, że wybrałaś Cartera, bo *chcesz* z nim być — poinformował ją, jakby liczył, że może sprawi tym, że dziewczyna zrezygnuje ze swojego postanowienia.

Jednak Josephine wiedziała o tym, jeszcze zanim opuściła mieszkanie Chase'a dwa dni temu. I nawet to nie było w stanie skłonić jej do zmiany zdania.

Chase naprawdę nie miał ochoty się z nikim widzieć. Dlatego postanowił zignorować dzwonek do drzwi i liczył, że to oszczędzi mu kontaktu z osobą, która stała po drugiej stronie.

Jednak dzwonienie nie ustało. A ponieważ w świetle ostatnich wydarzeń lista osób, które mogły go odwiedzić, skróciła się wyłącznie do Archera i ewentualnie Valerie, pogodził się z myślą, że nie ma szans na samotność. Żadne z tej dwójki nie wiedziało, kiedy odpuścić, więc podszedł do drzwi, przeklinając pod nosem swój dobór przyjaciół.

Jednak spotkała go niespodzianka. Nie wiedział tylko, czy aby na pewno miła, czy wręcz przeciwnie.

— Wiem, że nie tego przedstawiciela rodzeństwa Sinclairów spodziewałeś się zobaczyć...

Chase był w zbyt wielkim szoku, by docenić ironię losu kryjącą się w faktie, że obecnie istniało większe prawdopodobieństwo spotkania Williama niż Josie.

— ...ale chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko.

Właściwie miał, ale mimo wszystko ta niespodziewana wizyta wzbudziła w nim ciekawość, więc skinął głową i zaprosił niespodziewanego gościa do środka.

— Napijesz się czegoś?

— Nie, dzięki. Nie zajmę ci dużo czasu.

Chase widział, że William nie czuje się do końca komfortowo w sytuacji, w jakiej się znalazł, ale on też nie do końca wiedział, jak powinien się zachować, więc milczał. Podczas tych kilku spotkań w ciągu ostatnich miesięcy dogadywali się całkiem nieźle, ale to była zupełnie inna sytuacja.

— Domyślasz się pewnie, na jaki temat chcę porozmawiać.

— Jose. — Powinien przestać nazywać ją w ten sposób, bo nie była już jego.

Obrócił się, by podejść do kanapy, głównie w celu zamaskowania ukłucia bólu, jakie wywoływała w nim ta myśl. Wskazał głową Williamowi, żeby usiadł, gdy był już pewien, że jego twarz nie wyraża żadnych niepożądanych emocji.

— Nie chcę się wtrącać w wasze sprawy. Oboje jesteście dorośli i dotąd raczej udawałem, że nie widzę tego, co się dzieje między wami. Liczyłem, że wszystko samo się ułoży — zaczął, w końcu powoli odnajdując pewność siebie.

Wbrew jego słowom wyglądało na to, że jednak miał zamiar się wtrącić, ale Chase powstrzymał się od powiedzenia tego na głos.

— Ale kiedy moja siostra wróciła do domu z płaczem, zacząłem się martwić, że mój plan trafił szlag i jednak nie zostaniesz moim szwagrem. Więc uznałem, że to poniekąd też moje sprawy.

— Szwagrem? — Chase upewnił się, że się nie przesłyszał. — Ja?

— A znasz jakiegoś innego kandydata do tej roli? — William wydawał się rozbawiony jego zdziwieniem, jakby dla niego to już od dawna było oczywiste. — Pomijając oczywiście tego kontrolującego ją sukinsyna. Rozmawiamy o godnych kandydatach.

— Dlaczego uważasz, że akurat ja nim jestem?

Brat Josie od początku odnosił się do niego z sympatią, ale mimo to Chase miał wobec niego pewne wątpliwości. Być może wcześniejsze doświadczenia z rodziną dziewczyny wyrobiły w nim podświadome uprzedzenia do osób noszących to nazwisko.

— Obserwowałem waszą dwójkę od dłuższego czasu — wyznał z lekким zakłopotaniem. — Nie mam pojęcia, jak wasza relacja wyglądała wtedy, ale jeśli spotykacie się po sześciu latach i wciąż patrzysz na nią z większym uczuciem, niż ten pajac w drogim garniturze kiedykolwiek byłby w stanie, to już o czymś świadczy.

Chociaż obecnie nie było mu do śmiechu, Chase nie mógł powstrzymać cichego parsknięcia, słysząc, jak William obraża Cartera. Sam chętnie dorzuciłby kilka określeń.

— Chcę dla Josie wszystkiego, co najlepsze. Chcę, żeby była szczęśliwa, i wierzę w to, że ty jej to dasz. — Ingerowanie w sprawy uczuciowe

młodszej siostry nie było jego wymarzoną zajęciem w czasie wolnym, ale wierzył, że sytuacja tego wymaga. — Widzę to, jak ją traktujesz. Prawdopodobnie jesteś jedyną osobą, która troszczy się o nią tak bardzo jak ja.

— Bardziej niż ty — poprawił go odruchowo, zanim zdążył się powstrzymać. — Bo teraz jesteś świetnym bratem i chcesz jej dobra, ale przez całe lata byłeś taki sam jak reszta waszej rodziny, i jeszcze ci tego nie wybaczyłem.

Ku jego zdziwieniu William uśmiechnął się szeroko.

— Właśnie o tym mówię. Właśnie dlatego powinieneś zostać moim szwagrem.

— Wiesz, ja bardzo chętnie, ale twoja siostra ma na ten temat trochę inne zdanie. — Wciąż nie do końca opanował emocje po kłótni, która miała miejsce kilka dni temu. — Poprosiłem ją, żeby go zostawiła, ale odmówiła. Najwidoczniej naprawdę go kocha.

Mężczyzna znowu go zaskoczył, parszkając śmiechem.

— Oczywiście, że go nie kocha. — William pokręcił głową z rozbawieniem, jakby usłyszał dobry żart. — Gdyby Josie jak normalny człowiek podejmowała decyzje ze względu na własne uczucia, już dawno siedziałaby tu z tobą, a ja nie musiałbym się bawić w kupidyna. Problem polega na czymś innym.

— Oświeć mnie w takim razie.

— Oboje nas od dziecka wychowywano tak, abyśmy uwierzyli, że mamy przede wszystkim zadowolić innych. Robić to, co należy, bez względu na to, ile nas to kosztuje. Ja miałem lepiej, bo byłem *ukochanym dzieckiem rodziny* — wyjaśnił, robiąc w powietrzu cudzysłów. — Josie zawsze musiała starać się bardziej. Zresztą myślę, że sam dobrze wiesz, przez co przeszła, żeby zadowolić naszą matkę.

Chase skinął głową. Pamiętał aż za dobrze, chociaż o wiele bardziej wolałby wyrzucić z pamięci krzywdy, jakich Josie doznała, wychowując się pod ciężarem oczekiwań rodziców.

— Wiem, że ona jest dorosła i możesz sobie myśleć, że to żałosne wytłumaczenie. Ale ja mam trzydzieści trzy lata i po przegranej sprawie wciąż zdarza mi się myśleć, co powie ojciec, gdy się dowie, że skompromitowałem rodzinę — powiedział szczerze, chociaż się tego wstydził.

— I myślę, że z Josie jest podobnie. To wciąż w niej siedzi, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy, a Carter to wykorzystuje. Znalazła się teraz w sytuacji, w której każdy wybór wiąże się z rozczarowaniem wielu osób, bo wisi na niej milion oczekiwań z każdej strony, i zaczyna się gubić. Dlatego poświęci siebie i własne szczęście, bo ma poczucie, że tak powinna postąpić.

— I co ja niby mam zrobić? — Wiedział to wszystko, o czym mówił William, nawet jeśli wcześniej nie rozpatrywał sytuacji z tego punktu widzenia. Sądził raczej, że problem leży w nim.

— Nie wiem, ale musisz coś wymyślić, bo w innym wypadku ona naprawdę wyjdzie za tego kretyna, a wtedy ja pójdę siedzieć za morderstwo i moja córka będzie się wychowywać bez ojca. — W oczach mężczyzny błyszczała determinacja, jakby naprawdę wierzył, że to może się powieść. — Już raz ci się udało. Kiedy była gotowa dla ciebie porzucić Boston, chociaż wszyscy wkoło oczekiwali, że pójdzie dokładnie tą ścieżką, którą wytyczyli jej nasi rodzice. Powiedziała mi o tym, że to ty skłoniłeś ją do wyjazdu. To teraz nakłoń ją, żeby wybrała to, co najlepsze dla niej, a nie innych.

Widział, jak bardzo Williamowi zależy, i niemal miał wyrzuty sumienia, że musi go rozczarować. Już raz udało mu się wyrwać Josie z siatek oczekiwań, ale zajęło mu to całe miesiące, których teraz nie miał. Wtedy wszystko było inne. Oni byli inni. Bo nie zdążyli się jeszcze sparzyć i byli gotowi postawić wszystko na jedną kartę. A właściwie Josie była gotowa, bo wtedy to on zrezygnował z własnego szczęścia dla jej dobra, wierząc, że bez niego czeka ją lepsze życie.

I chociaż nie wierzył w to teraz, nie zmieniało to faktu, że nie miał pojęcia, jak wydobyć z niej tamtą odwagę.

Kiedy następnego dnia po rozmowie z Archerem Chase niespodziewanie pojawił się w drzwiach jej sypialni, Josie w pierwszej chwili wróciła myślami do dnia, kiedy przyszedł się z nią pożegnać przed jej wyjazdem do Bostonu. Wtedy też stał w tym samym miejscu i miał na twarzy tę samą niepewność pomieszana z bólem.

— William mnie wpuścił — wyjaśnił, nie do końca wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

Postanowił już wcześniej, że lepiej będzie zachować dla siebie jego wcześniejszą rozmowę z Williamem. Podobnie jak przemilczał przed nim prawdziwy powód wizyty, gdy zobaczył jego z trudem powstrzymaną ekscytację. Brat Josie naprawdę wierzył, że Chase przyszedł, by przekonać ją do zmiany zdania.

Sam do końca nie wiedział, po co to zrobił ani co chciał osiągnąć. Być może zwyczajnie był masochistą uzależnionym od bólu, jaki Josie mu zadawała, ale wmawiał sobie, że bez względu na wszystko zasługują na właściwie zakończenie. I nawet jeśli nie będzie ono szczęśliwe, nie chciał, żeby ich pożegnaniem była tamta kłótnia w jego mieszkaniu. Nie żałował słów, które wtedy powiedział, ale mogły być ostatnimi, jakie Josephine od niego usłyszy.

Ostatnie miesiące były przypomnieniem opowiedzianej już wcześniej historii, a opowieści mają to do siebie, że zawsze kończą się tak samo. Bez względu na to, ile razy się je powtórzy.

— Chcę cię gdzieś zabrać.

— Mam to traktować jako tymczasowe zawieszenie broni? — rzuciła na próbę, by wy badać, czego może się spodziewać.

Poczuła ulgę, gdy chłopak uniósł kącik ust, kiwając głową.

— Weź coś ciepłego do ubrania — poradził, siłąc się na swobodny ton. Mimo wszystko chciał, żeby w ten wieczór było między nimi normalnie, bo gdzieś z tyłu głowy miał świadomość, że to może być ich ostatni. — Poczekam na ciebie na dole i przekażę Williamowi, że wrócimy późno.

Leśny domek nad jeziorem należący częściowo do Valerie był dokładnie taki, jak Josie go zapamiętała, chociaż tym razem był pusty i pogrążony w ciemności. Prezentował się nieco upiornie w nocnej scenerii. Mimo to jej serce zabiło szybciej na wspomnienie wszystkich chwil, jakie spędziła tu z przyjaciółmi.

Chociaż atmosfera nie była tak napięta, jak się tego obawiała, to daleko było im do chociaż względnej normalności. Chase przez większość

czasu nie był zbyt rozmowny i teraz również bez zbędnych tłumaczeń wysiadł z samochodu, polecając jej zrobić to samo. Zabrał koce z tylnego siedzenia i ruszył w stronę jeziora, oświetlając sobie drogę latarką. Josie nie chcąc zostać sama w środku lasu, dołączyła do niego pospiesznym krokiem.

— Dlaczego tutaj jesteśmy? — Zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju, gdy usiedli na pomoście i Chase wręczył jej koc.

— Tutaj pierwszy raz patrzyliśmy razem w gwiazdy — wyjaśnił, wzruszając ramionami. — Powiedziałaś, że odkąd wyjechałaś, nie byłaś w stanie na nie spojrzeć. Uznałem, że nie mogę pozwolić ci odejść, nie zwracając ci tego. — Przynął się bliżej niej, kładąc dłoń na jej podbródku, by delikatnie odchylić jej głowę. — Spójrz w górę, Jose.

Zdażyła już zapomnieć, jak piękny jest to widok. Z zachwytem podziwiała bezkسیężycową noc, która w pełni ukazywała czarny nieboskłon usłany gwiazdami odbijającymi się od spokojnej tafli jeziora. Czowała na sobie uważny wzrok Chase'a, ale na chwilę pozwoliła sobie całkowicie dać się pochłonąć uczuciom, jakie wywoływał obraz rozciągający się nad jej głową.

Wcześniej nie podejrzewała, że aż tak jej tego brakowało, ale w tym momencie miała wrażenie, że Chase zwracał jej coś bezcennego. Komuś innemu mogłoby się wydawać, że to nic, ale cała ich historia była zapisana w tamtych gwiazdach. A z kolei ona stanowiła dla Josie większą wartość niż wszystkie bogactwa świata.

Nie miała pojęcia, ile tak trwała, ale opuściła wzrok, dopiero kiedy w jej oczach stanęły łzy, a gwiazdy zaczęły się rozmazywać.

— Myślisz, że wciąż tam jest? — Odważyła się zamknąć odległość między nimi i nachyliła się, by oprzeć głowę na jego ramieniu. — Nasza gwiazda.

— Nie wiem — wyznał szczerze, oplatając jej ciało, by mieć ją jeszcze bliżej, chociaż nie wiedział, czy później będzie w stanie ją wypuścić. — Może nigdy tak naprawdę jej tam nie było, bo przez przypadek kupiłem gwiazdę, która dawno się wypaliła?

Nie widziała jego twarzy, ale wiedziała, że jego usta rozciąga smutny uśmiech.

— Ja myślę, że jednak tam jest. — Chciała wierzyć w to, że na niebie wciąż jest maleńki ślad będący dowodem ich miłości. — Może nawet dotarło już do nas światło z tamtej nocy, gdy mi ją dałeś? Może dlatego znów na siebie wpadliśmy?

— To by znaczyło, że od teraz będziemy wpadać na siebie co sześć lat. — Sam nie wiedział, czy byłoby to przekleństwem, czy darem.

— Dostawalibyśmy kolejne szanse — dodała, nie odrywając wzroku od nieba. — Aż do skutku.

Chase już nie odpowiedział i pozwolili sobie zatonać w tej ciszy, kiedy wtuleni w siebie patrzyli w gwiazdy dokładnie tak, jak robili to wcześniej dziesiątki razy.

— Kiedy byliśmy tu pierwszy raz, kazałaś mi obiecać, że się w tobie nie zakocham. — Jego głos był tak cichy, że niemal stapiał się z nocnymi odgłosami leśnego życia. — I pamiętam, że w pierwszej chwili pomyślałem, że żartujesz, bo ja wtedy kochałem cię już od dawna i nie mogłem pojąć, jak możesz o to prosić.

Uniosła głowę z jego piersi, przyglądając mu się uważnie, chociaż w ciemności ledwie dostrzegała jego oczy.

— A mimo to się zgodziłem — mówił dalej, nawet na nią nie patrząc. — Chciałem tylko twojego szczęścia, więc zrezygnowałem z siebie, bo uznałem, że tak właśnie będzie dla ciebie najlepiej. Krótko później okazało się, że popełniłem błąd, bo nie wyznając od razu tego, co czułem, jedynie wszystko skomplikowałem i przysporzyłem nam obojgu więcej bólu.

— Chase... — Chciała go zapewnić, że to nie była jego wina, ale nie pozwolił jej dojść do słowa.

— Kilka miesięcy później, kiedy byłaś gotowa poświęcić dla mnie wszystko i zostać, żeby być ze mną, kazałem ci jechać, bo znowu wierzyłem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Że będziesz miała lepsze życie, niż mogłabyś mieć ze mną.

Josie wciąż pamiętała, ile kłótni odbyli na ten temat, zanim ostatecznie wbił jej do głowy, że powinna jechać. Jednak nigdy nie obwinała go za to, że nie pozwolił jej zostać, bo wiedziała, że miał na uwadze wyłączenie jej dobro.

— I chociaż w tamtym czasie to wydawało się najrozsądniejszą opcją, patrząc z miejsca, w którym jesteśmy teraz, okazuje się, że wtedy też popełniłem błąd. — Ta świadomość wciąż smakowała gorzko. — Bo właściwie nie wyszło z tego nic dobrego i skończyło się jedynie cierpieniem nas obojga. Znowu.

Rozmowa z Williamem otworzyła mu oczy na nową perspektywę. I może to przekonanie nie było do końca słuszne, bo nie była to wyłącznie jego wina, ale nie mógł zaprzeczyć, że poniekąd to on wepchnął ją w ramiona Cartera. Nic z ostatnich sześciu lat by się nie wydarzyło, gdyby nie jego przeświadczenie, że lepiej od niej samej wie, co jest dla niej dobre.

I chociaż robił wszystko wyłącznie z myślą o jej szczęściu, to pod pewnym względem wcale nie różnił się tak bardzo od jej rodziców. William miał dobre intencje, ale przychodząc do Chase'a, też stał się kolejną osobą w życiu Josie, która dla jej dobra próbowała podejmować decyzje za nią.

Chase dopiero teraz zaczął to dostrzegać. I nie zamierzał pozwolić, by się to dłużej ciągnęło.

— Więc może tak naprawdę wcale nie wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Okazuje się, że za każdym razem, gdy jestem tego pewien, zyskuję zupełnie odwrotny efekt.

Przerwał na chwilę, by uporządkować myśli, zanim w ciemności odnalazł jej wzrok. Josephine nawet nie próbowała zabrać głosu.

— Dlatego nie będę więcej decydował za ciebie — oznajmił. Czuł, że robi właściwą rzecz. Więc dlaczego to było takie trudne? — Bez względu na to, co sądzę, ta decyzja i wszystkie jej konsekwencje należą wyłącznie do ciebie. Jedyne, czego chcę, to mieć pewność, że podjęłaś ją z myślą o sobie. Nie o mnie, nie o Carterze, nie o twoich rodzicach ani wszystkich innych ludziach. Nikt lepiej niż ty nie wie, co jest dla ciebie najlepsze, więc miej odwagę to wykorzystać.

Josephine miała nadzieję, że noc ukrywa łzy, które już od dłuższego czasu płynęły po jej policzkach. Nie mogła pojąć, co zrobiła, by zasłużyć na jego serce. Chase nigdy by się z nią nie zgodził, ale prawda była taka, że to ona nie była dla niego wystarczająco dobra.

— To, co powiedziałaś... — zaczęła powoli, analizując jego słowa. — Przywiezienie mnie tutaj, gwiazdy i to wszystko... — Bała się dokończyć, bo bardzo chciała się mylić. — To pożegnanie, prawda? Zamierzasz wyjechać.

— Nie — zaprotestował nieco za szybko, zanim westchnął zrezygnowany. — Nie wiem. Może będzie najlepiej, jeśli zakończymy to teraz. Obiecałem ci, że będę z tobą aż do końca, ale nie sądzę, że jestem w stanie dotrzymać słowa.

Nie mogła tego od niego oczekiwać. Nie po tym wszystkim, co chwilę wcześniej powiedział, więc jedynie skinęła głową.

Tak bardzo chciała powiedzieć na głos to, co jej serce wiedziało od dawna. Że niczego nie pragnęła bardziej, niż być z nim. Chciała podać mu wszystkie powody, które ją przed tym powstrzymywały, bo zdawała sobie sprawę, że zasługuje, by je usłyszeć. Ale Chase by ich nie zaakceptował. Nie pozwoliłby jej poświęcić się w ten sposób dla niego, chociaż on zrobił dokładnie to samo, gdy kazał jej wyjechać na studia. Teraz była jej kolej.

Czasami jedyną rzeczą, jaką możesz zrobić dla osoby, którą kochasz, jest postawienie jej szczęścia na pierwszym miejscu. Josie zrobiła to, milcząc w momencie, gdy słowa były najbardziej potrzebne.

Więc naprawdę się żegnali. Tym razem bez krzyku i nienawiści czy szalejącej rozpacz, a z cichą akceptacją, kurczowo trzymając się w swoich ramionach jeszcze ten jeden, ostatni raz. Zanim będą musieli puścić się na dobre i odejść w przeciwnych kierunkach.

— Chcę, żebyś wiedziała, że bez względu na to, co postanowiłaś, zawsze będę cię kochał tak samo. — Był całkowicie pogodzony ze świadomością, że dla niego nigdy nie będzie nikogo innego niż ona.

Sześć lat rozłąki pozwoliło mu jedynie zatuszować to uczucie nienawiści, ale nie był w stanie wyrzucić jej ze swojego serca. Wciąż ją kochał, nawet po tym wszystkim, i wiedział, że nie będzie w stanie tego zmienić. Nieważne, ile lat upłynie.

— Nawet jeśli znikniesz z mojego życia, na zawsze będziesz moją Jose.

Z jej gardła wydobył się szloch, zanim nachyliła się, by go pocałować. Włożyła w ten pocałunek wszystkie uczucia, których nie była w stanie

powiedzieć na głos. Chciała przekazać mu nieme zapewnienie, że bez względu na wszystko wciąż ma jej serce i nikt nie jest w stanie mu tego odebrać.

Wiedziała, że to za mało i że nigdy nie będzie w stanie wyrównać szali i odwdziżyć się za wszystko, co dla niej zrobił. Ale mimo tego chciała, żeby wiedział, że oddała mu je na wieczność.

Rozdział 35

Chase zniknął z jej życia.

Wrócili do Moreton, gdy już świtało. Przez całą drogę powrotną żadne z nich nie odezwało się nawet słowem i to milczenie nie zostało przerwane, nawet gdy Chase zatrzymał samochód pod jej domem. Wymienili ostatnie spojrzenia i Josie wysiadła, a on jej nie zatrzymał. Zgodnie ze złożoną obietnicą uszanował jej decyzję i odjechał. Obserwowała jego auto oddalające się pustą ulicą, gdy na horyzoncie pojawiały się pierwsze promienie słońca.

Od tego dnia minął zaledwie tydzień, ale Josie skłamałaby, gdyby powiedziała, że był on czymkolwiek innym niż czystą udręką. Nie szukała kontaktu, chociaż świadomość, że Chase jest na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie poza jej zasięgiem, zabijała ją po trochu każdego dnia.

Dawno nie czuła się tak rozdarta. Każdej nocy leżała, wpatrując się w gwiazdy widoczne przez jej okno, i toczyła ze sobą walkę, próbując wybrać pomiędzy tym, co powinna zrobić, a tym, czego chciało jej serce.

Najgorsze były chwile, kiedy wydawało jej się, że jest gotowa zaryzykować. Że może Carter nie posunie się aż tak daleko.

Podczas jednej z tych nocy, kiedy jej serce zyskało chwilową przewagę, zdobyła się na odwagę, by zadzwonić do Cartera i powiedzieć mu, że zrywa zaręczyny. Jednak mężczyzna nie odebrał, a gdy oddzwonił następnego ranka, stchórzyła i skłamała, że wybrała numer przez przypadek.

Prawda była taka, że nie miała pojęcia, co zrobić. Myśl, że może istnieje wyjście z tej sytuacji, nie dawała jej spokoju, a jednocześnie Josie była zbyt przerażona wizją konsekwencji, by chociaż spróbować go poszukać.

Czuła się, jakby stała na cienkiej linie rozwieszonej nad przepaścią i musiała zdecydować, w którą stronę ruszyć, a panicznie bała się zrobić chociaż krok, bo każdy wiązał się z ryzykiem upadku.

— Można? — Głowa Williama wychyliła się zza drzwi jej sypialni, a gdy skinęła, wszedł do pomieszczenia z dwoma kubkami. — Przestałaś przychodzić na naszą wspólną kawę, więc kawa przyszła do ciebie.

Starła się, by jej uśmiech był wiarygodny, gdy podniosła się na łóżku, pozwalając, by koc opadł z jej ramion, i zrobiła bratu miejsce obok siebie. W ostatnich dniach prawie w ogóle nie wychodziła z pokoju. Głównie dlatego, że odsypiała w ciągu dnia bezsenne noce, ale też zwyczajnie unikała swojej rodziny, nie czując się jeszcze na siłach, by udawać, że wszystko jest w porządku.

— Jak się czujesz? — zagadnął William niezobowiązująco, chociaż w jego oczach błyszczało zmartwienie.

Dwa dni temu skłamała, że złapała grypę i unika wspólnych posiłków, żeby nie zarazić Nicole, ale kiedyś w końcu musiała przestać się ukrywać i wrócić do normalnego życia. Nie mogła w nieskończoność opłakiwać czegoś, co sama na siebie sprowadziła.

— Lepiej, prawie całkiem mi przeszło. — Jej kłamstwo uwiarygadniał fakt, że przez brak apetytu i snu naprawdę wyglądała na chorą.

— To dobrze. — Posłał jej uśmiech znad swojego kubka. — Musisz być w formie, jeśli chcesz przeżyć dzisiejszy wieczór. Rodzice przyjeżdżają, żeby zjeść *rodzinną kolację*.

— Znowu? — Obecność matki i ojca była ostatnim, czego w tej chwili potrzebowała. — Dopiero co tu byli.

— To było w styczniu — poinformował ją, chociaż jego mina wskazywała, że podziela brak entuzjazmu siostry, jeśli chodzi o spędzanie z nimi czasu poza pracą. — A mamy prawie kwiecień.

— Wciąż za wcześnie.

William skinął głową w geście zgody, ale nie dodał nic od siebie. Josie zauważyła, że jest dziś dziwnie zamyślony i dużo mniej rozmowny niż zazwyczaj.

— William? — odezwała się pod wpływem impulsu, zanim zdążyła ugryźć się w język. — Jak zyskujesz pewność, że podejmujesz dobrą decyzję?

Zastanawiała się, czy to pytanie przyszłoby jej naturalnie, gdyby zawsze mieli taką relację jak teraz. Czy jej pierwszym instynktem byłoby zwrócenie się o pomoc do starszego brata, gdyby nie spędziła większości dzieciństwa na antagonizowaniu go przez to, że wydawało jej się, że on ma miłość rodziców, a ona nie.

— Zależy, w jakiej sprawie. — Wzruszył ramionami, obserwując ją uważnie. — Czasem pytam osobę, której ufam i wiem, że pomoże mi wybrać dobrze. Zazwyczaj jest to Crystal — dodał z nikłym uśmiechem, pełnym czułości wobec żony. — Mogę spróbować być tą osobą dla ciebie, wiesz?

— Co, jeśli wiem, że dobra decyzja złamie mi serce? — zapytała niepewnie i przygryzła wargę.

W oczach jej brata na ułamek sekundy błysnęło coś, czego nie była w stanie zidentyfikować, ale jego usta rozciągnęły się w nikłym uśmiechu.

— Wtedy powiedziałbym ci, że powinnaś pieprzyć dobrą decyzję i wybrać złą. Coś, co miałoby cię skrzywdzić, nie może być słusznym wyborem.

— A co, jeśli zła może skrzywdzić kogoś innego?

— Powiedziałaś „może” — podkreślił. — A z twoich wcześniejszych słów wynika, że ta druga decyzja złamie ci serce *na pewno*. Moim zdaniem to rozwiązuje twój problem.

Josephine nie odpowiedziała. Chciałaby, żeby to było takie proste.

— Chodzi o Chase’a, prawda? — Nie zamierzał dzielić się z siostrą swoim małym sekretem o rozmowie z chłopakiem, więc wybrał inną, chociaż równie prawdziwą odpowiedź na pytanie wymalowane na jej zdziwionej twarzy. — Daj spokój, naprawdę trudno jest nie zauważyć tego, co jest między wami. Spędzaliście ze sobą tyle czasu, że tylko idiota nie wyciągnąłby wniosków, a ja lubię sobie mówić, że jestem całkiem mądry.

— Skąd wiedziałeś, że Crystal jest dobrym wyborem? — dociekała, ignorując jego żartobliwą dygresję. — Że warto zaryzykować sprzeciwienie się rodzicom?

— Pojechałem do niej z myślą, że z nią zerwę — zaczął, wywołując jej zdziwienie.

Nigdy wcześniej nie pytała o dokładną historię jego i Crystal, chociaż wiedziała, że nie było im łatwo.

— Kochałem ją, ale wyglądało na to, że wszystkich tym unieszczęśliwiałem. Nawet ją, bo matka urządziła jej piekło przy każdej okazji, więc pomyślałem, że może tak będzie najlepiej. — Przerwał na chwilę, by odstawić pusty kubek, a gdy wrócił do niej wzrokiem, w jego oczach tliła się żarliwość, która jasno mówiła, jak bardzo kocha swoją żonę. — Ale kiedy tylko ją zobaczyłem, zrozumiałem, że nie będę w stanie przeżyć reszty życia bez niej. A skoro nie mogłem żyć *bez niej*, wiedziałem, że muszę zrobić wszystko, by być *z nią*. Bez względu na cenę. Wiedziałem, że nie będzie łatwo, ale podjąłem ryzyko i do dzisiaj nie było nawet sekundy, w której bym żałował swojej decyzji.

William też ryzykował, sprzeciwiając się rodzicom. Stał przed podobnym wyborem, a jednak odważył się postawić wszystko na jedną kartę dla osoby, którą kochał. Żałowała, że akurat odwaga nie była jedną z tych cech, jakie dzieliła z bratem.

Josephine nigdy nie była typem ryzykantki i za wszelkimi odważnymi działaniami i decyzjami, jakie podejmowała w życiu, stał Chase. To on zawsze wyciągał z niej wszystko to, co było w niej najlepsze. I to dla niego kiedyś była gotowa zaryzykować wszystko. Bo był najważniejszym, co miała.

Ale to wszystko było, zanim ich rozstanie roztrzaskało ją na drobne kawałeczki. Josie, którą ulepiła z ocalałych części, nie była już tak silna.

— Jedź do niego. — Głos Williama wyrwał ją z zamyślenia. — Do Cartera — dodał i Josie zastanawiała się, czy po jej minie widać było, że w pierwszej chwili pomyślała o Chasie. — Ja poznałem odpowiedź, gdy tylko spojrzałem na Crystal z myślą, że mógłbym jej więcej nie zobaczyć. Może tobie pomoże, jeśli spotkasz się z Carterem i zapytasz siebie, czy to na pewno jest człowiek, z którym jesteś gotowa spędzić resztę życia.

— To niczego nie zmieni. — Pokręciła głową. Jej sytuacja była dużo bardziej skomplikowana.

— Boisz się tego, co Carter zrobi, jeśli go zostawisz — stwierdził, zdumiewając siostrę po raz kolejny podczas tej rozmowy. — Rozumiem, też bym się go bał na twoim miejscu. — Jego ton był zadziwiająco pogodny jak na słowa, które padały z jego ust. — Gdybym zapomniał, że mam starszego brata, który ma dostęp do kopii wszystkich lewych papierów z jego nazwiskiem.

Drobna sugestia, nic więcej. Wstał i ruszył do wyjścia, zupełnie jakby właśnie nie pomachał jej przed nosem kluczem do klatki, w której sama się zamknęła.

— Zrobiłbyś to? — Lata uprzedzeń do brata, wciąż jeszcze tkwiących z tyłu jej głowy, klóciły się z tym, co wiedziała po kilku miesiącach mieszkania z nim.

— Zgaduję, że się nie dowiesz, jeśli nie zaryzykujesz. — Wzruszył ramionami z wszechwiedzącym uśmiechem.

— To mogłoby zaszkodzić też tobie — ostrzegła na wypadek, gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Jeśli nauczyłem się czegoś, grając w pokera w akademiku przez pięć lat studiów, to tego, że ludzie, którzy mają więcej do stracenia, zawsze bardziej boją się zaryzykować niż ci, którzy mają mniej. — Otworzył drzwi, ale odwrócił się jeszcze raz w kierunku siostry. — Zastanów się, kto ma więcej do stracenia. Ty czy Carter.

Niedziele były jedynymi dniami, które Carter zwykle spędzał poza firmą. O ile nie miał innych planów albo nie był w delegacji, odpoczywał w domu. A przynajmniej tak było, gdy jeszcze mieszkali w Bostonie, i Josie miała nadzieję, że jego przyzwyczajenia nie zmieniły się bardzo od tego czasu. Zbyt wiele od tego zależało.

— Josephine? — W szarych dresach i w koszulce zamiast garnituru Carter wyglądał o kilka lat młodziej i mniej surowo. — Co tutaj robisz?

Mężczyzna używał drogich ubrań jako kolejnego sposobu, by przyciągnąć osoby w swoim otoczeniu. Przykładał więc uwagę do własnej

prezencji i zawsze ubierał się nienagannie, nawet gdy tylko Josie była w pobliżu.

Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz widziała go w tak niechlujnym jak na jego standardy wydaniu.

Miała ochotę uśmiechnąć się z satysfakcji, że chociaż raz to ona zdołała wziąć go z zaskoczenia. Zdecydowanie nie był przygotowany na odwiedzinę i widziała, że jej niespodzianka nie jest mu na rękę. To był drobiazg, ale dziewczyna desperacko chwyciła się wszystkiego, co mogło chociaż trochę uspokoić jej kołatające serce.

— Mogę wejść?

Skinął głową, otwierając szerzej drzwi, i Josie minęła go z nikłym uśmiechem, skanując przestrzeń, której wciąż nie miała okazji poznać zbyt dobrze.

Apartament bez wątpienia był imponujący, ale nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ze swoimi dużymi oknami oraz otwartą przestrzenią był jak tysiące innych luksusowych mieszkań. Josie pokusiłaby się nawet o stwierdzenie, że był żywcem wyjęty z pierwszego lepszego magazynu o wystroju wnętrz.

Podobnie jak ich poprzedni apartament, ten również miał minimalistyczny czarno-biały wystrój, chociaż jednocześnie nie pozostawiał wątpliwości co do zamożności właściciela. Dokładnie taki był zamysł przy urządzaniu mieszkania. Z pozoru był prosty, bo Carter nie lubił wnętrz pełnych zbędnego przepychu, ale mimo tego każdy, kto tam wchodził, miał odnosić wrażenie, że gospodarz jest kimś ważnym.

Zamknął za nią drzwi i zanim ruszył w stronę sypialni, zapewne po to, by się przebrać, rzucił:

— Czuj się jak u siebie. W końcu to też twój apartament.

Wcale tego nie czuła i nie sądziła, że szybko mogłaby to zmienić. Żaden element tego miejsca nie był jej wyborem ani nie było tu nic, co należało do niej. Miejsce, podobnie jak projektantkę wnętrz, wybrał Carter, a każdy aspekt przestrzeni, od mebli przez kolory ścian po obrazy i inne dekoracje, dobrane zostały pod jego upodobania. Josephine miała się wpasować, zresztą jak zawsze.

— Więc po co przyjechałaś? — Carter wrócił do salonu, dopinając guziki w mankietach białej koszuli.

Josie ani trochę nie zdziwiła drastyczna zmiana stroju. Zjawiła się pod jego drzwiami w eleganckiej sukience i szpilkach, więc kiedy on był w dresie, to w jego głowie przez chwilę miała nad nim przewagę. A na to nie zamierzał pozwolić.

— Twój telefon w środku nocy był niepokojący. — Gestem wskazał jej kanapę, a sam usiadł na fotelu po drugiej stronie niskiego stolika. — Coś nie tak?

Nie odpowiedziała od razu, przyglądała mu się uważnie. W śnieżno-białej koszuli wyglądał, jakby przyjmował interesanta w biurze, a nie rozmawiał z kobietą, którą miał poślubić za nieco ponad dwa miesiące.

Znowu biła od niego jego zwyczajowa aura wyższości i Josie była pod wrażeniem tego, jak perfekcyjnym odzwierciedleniem jego osobowości było to mieszkanie. Na pierwszy rzut oka miejsce rzeczywiście budziło podziw, ale wystarczyło przyrzeć się dokładniej, by zrozumieć, jak zimne i pozbawione duszy było. Tak jak Carter.

— Josephine? — ponaglił, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Zadałem ci pytanie.

Rozmowa z Williamem nie sprawiła, że strach Josie znikł, ale po tym, co jej powiedział, po raz pierwszy, odkąd usłyszała groźby Cartera, pozwoliła sobie mieć nadzieję. Pchnięta tym uczuciem zdecydowała się na konfrontację z narzeczoną, żeby sprawdzić, czy znajdzie w sobie wystarczającą odwagę, by zaryzykować.

Wbrew woli Josie przed jej oczami pojawił się obraz Chase'a. Jego uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niej, łobuzerski błysk w oku, który był w stanie przekonać ją nawet do najgłupszych pomysłów. Pomyślała o tych wszystkich godzinach, które spędziła w jego mieszkaniu, czując się bardziej w domu niż gdziekolwiek indziej, bo on był przy niej, i o tej przygniatającej wręcz miłości w każdym jego geście czy spojrzeniu.

Myśl, że miałyby zrezygnować z czegoś tak cennego z własnej woli tylko i wyłącznie dlatego, że się bała, i stracić to na zawsze, była gorsza niż wszystko inne, czego do tej pory doświadczyła.

Kontrola, jaką Carter miał nad Josie, opierała się na strachu i była skuteczna tak długo, aż ta zrozumiała, że bardziej niż jego boi się życia bez Chase'a.

W końcu spojrzała prosto w oczy mężczyzny siedzącego naprzeciwko niej. Po raz ostatni próbowała znaleźć *cokolwiek*, co mogłoby ją przekonać, że warto poświęcić wszystko to, co dawał jej Chase. Na próżno.

— Nie wyjdę za ciebie. — Ku jej własnemu zdziwieniu jej głos był pewny, bez śladu zawahania. — Odchodzę.

Na kilka sekund nastąpiła cisza. Później Carter parsknął śmiechem.

— Zartujesz sobie, tak? — Dopiero kolejne spojrzenie na dziewczynę pozwoliło mu zrozumieć, że jest śmiertelnie poważna, i w jego oczach pojawiło oburzenie, jakby obrażała go sama myśl, że ona może zostawić *jego*. — Nie możesz ode mnie odejść. Nie masz nic, beze mnie jesteś nikim.

— Masz rację. — Zmusiła się do wytrzymania jego spojrzenia i czuła, że jej własny głos staje się równie zimny, bez trudu dorównując głosowi mężczyzny. Serce obijało jej się mocno o żebra ze strachu, ale nie pozwoliła, by Carter to dostrzegł. Jeśli czegokolwiek się nauczyła przez lata przy jego boku, to właśnie tego. — Ale to nadal lepsze niż życie z tobą.

— To przez niego, prawda? — Błysk zrozumienia na chwilę przysłonił wzrastającą złość na jego twarzy. — Jak mu było? Chase?

To skutecznie przebiło balonik zadowolenia, jaki powoli pompował się w sercu Josie.

— Skąd...? — Była zbyt zdziwiona, by chociażby pomyśleć o tym, żeby skłamać. Nigdy mu nie powiedziała, kim tak naprawdę był Chase ani jak wiele dla niej znaczył, więc nie miał prawa wiedzieć, że to on stał za jej decyzją.

— Od twojej matki. — Uśmiechnął się z zimną satysfakcją. — Już wtedy na bankiecie powiedziała mi, że byłaś zakochana w tym ćpunie i prawie porzuciłaś dla niego studia. Ostrzegała mnie, że powinienem od razu znaleźć sposób, żeby się go pozbyć, ale to zignorowałem. Byłem pewien, że mogę ci ufać, bo nigdy byś mnie nie zdradziła. Mój błąd, jak widać.

— Dzwisz mi się? — Zignorowała chęć powiedzenia mu, że jedyną osobą, którą zdradzała, był Chase. Samym faktem, że była narzeczoną Cartera. — Tak, zdradziłam cię. I nie jest mi z tego powodu nawet odrobinę przykro. Bo pierwszy raz, odkąd przyjąłam twoje oświadczenia, byłam naprawdę szczęśliwa.

— Wiedziałaś, na co się pieszysz, wiążąc się ze mną, i wiedziałaś, jak będzie wyglądało twoje życie u mojego boku. Mimo to zgodziłaś się za mnie wyjść, a w dodatku przez lata cieszyłaś się wszystkim, co się wiązało z byciem moją partnerką. Pieniędźmi, luksusem, szacunkiem — wymieniał, a każde jego słowo wręcz ociekało jadem. — To była transakcja wiązana i zgodziłaś się na to, bo odpowiadało ci, że będziesz ustawiona do końca życia. A teraz przychodzisz tutaj i próbujesz zrobić z siebie ofiarę, żeby usprawiedliwić to, że jesteś zwykłą dziwką.

Było tyle rzeczy, które mogła mu wyrzyczyć w odpowiedzi. Że zamknął ją w ośrodku psychiatrycznym wbrew jej woli, że ją uderzył, szantażował i groził. Ale nie powiedziała żadnej z nich. Bo w gruncie rzeczy nawet w najmniejszym stopniu nie obchodziło jej, co Carter o niej sądzi. Nie miało dla niej znaczenia, co o niej mówi lub myśli, bo on sam nic dla niej nie znaczył.

— Jedynie utwierdzasz mnie w przekonaniu, że podjęłam słuszną decyzję — powiedziała zamiast tego.

— Powiedz mi... — zaczął, odzyskując nagle spokój, i Josephine dobrze wiedziała, co zaraz usłyszy. — Co zrobi twoja przyjaciółka, gdy się dowie, że poświęciłaś jej karierę dla swojego narkomana? Albo twój przyjaciel, gdy straci przez ciebie pracę? Jesteś pewna, że będziesz potrafiła żyć z tym na sumieniu?

Nie była ani trochę zdziwiona, że nawet po tym, co usłyszała, nadal jest gotowy posunąć się tak daleko, żeby przy nim została. Jej niewierność nie miała dla niego znaczenia, ale decydując się odejść, uderzyła w jego dumę, i to za to chciał się zemścić.

— Nic — odpowiedziała z pewnością, której nie czuła. — Bo nic im nie zrobisz.

Na jego twarzy na sekundę pojawiło się zaskoczenie, gdy nie spotkał się z oczekiwaną reakcją.

— Co każe ci tak myśleć? — zapytał. — Musisz mi to wyjaśnić, bo masz wiele wad, ale naiwność nigdy do nich nie należała. A ja nie widzę nawet jednego powodu, który miałby mnie powstrzymać.

— Mam zdjęcia tego, jak wyglądała moja twarz po tym, jak mnie uderzyłeś. — Kłamstwo wypłynęło z jej ust z łatwością właściwą komuś, kto większość życia spędził na udawaniu.

— Kłamiesz — ocenił, ale zrobił to z taką porywcznością, że nie udało mu się ukryć cienia wątpliwości. — Nikt by ci nie uwierzył. Byłoby twoje słowo przeciwko mojemu.

— Być może — zgodziła się. — Ale zastanów się, ile jest osób, które tylko czekają na okazję, żeby cię zniszczyć. Carter Bateson znęcający się nad swoją narzeczoną, to dopiero byłby skandal. — Snuła przed nim wizję, wykorzystując przeciw niemu jego największe słabości. — A gdyby to nie wystarczyło, mam też kopie kilku twoich mniej legalnych dokumentów. Prezent od Williama.

To była dokładnie taka sama broń, jaką on stosował przeciwko niej. Zasiał w niej strach i stale go pielęgnował, nigdy tak naprawdę nie dając jej dowodu, że jego słowa mogą stać się czymś więcej.

— Nie jest już tak miło, kiedy to ktoś grozi tobie, co? — Po jego minie widziała, że się poddał.

Chociaż porażka była dla niego czymś niewyobrażalnym, dokładnie tym była ta chwila. Josie była niemal zdziwiona, jak banalnie proste się to okazało. Carter pracował na sukces każdego dnia swojego dorosłego życia. Miał za dużo do stracenia, a ona nie znaczyła dla niego wystarczająco dużo, by satysfakcja ze zranienia jej była warta ryzyka, że straci jedyną rzecz, na jakiej tak naprawdę mu zależało.

— Czego chcesz? — wydusił z siebie po długiej chwili milczenia. Patrzył na nią, jakby widział ją pierwszy raz. — Pieniędzy?

Rozumiała jego szczerze zdumienie, bo nigdy wcześniej nie miał okazji poznać jej z tej strony. W jego oczach zawsze była uzależnioną od niego, słabą i pozbawioną własnego zdania kobietą, która zgodzi się z każdym

jego słowem. I niewiele brakowało, by naprawdę się nią stała. Nie miał jednak pojęcia, do czego jest zdolna dla dobra osób, które kochała.

— Absolutnie niczego — przyznała szczerze. — Rozchodzimy się *pokojo*. I zapominasz, że kiedykolwiek byłam obecna w twoim życiu. Ja na pewno zapomnę.

Nie było już nic, co mogliby sobie powiedzieć, więc Josie uznała, że to najlepszy moment, by wyjść i zamknąć ten rozdział. Wstała z kanapy, ale zanim ruszyła do drzwi, zwróciła uwagę na pierścionek, który wciąż tkwił na jej palcu.

— Nie rób tego — zaprotestował Carter, widząc, że chce go zdjąć. — Zostaw go sobie. Dla mnie i tak jest bezwartościowy. Stać mnie na dziesiątki takich, za to ty będziesz potrzebowała pieniędzy, gdy ten twój narkoman ściągnie cię na dno. — Nie ukrywał, że czerpie radość z tej wizji przyszłości. — I może gdy już tam trafisz, gdy będziesz żyć w jakiejś norze, a sprzedaż pierścionka będzie ostatnią rzeczą ratującą cię przed głodem, zrozumiesz, jak wielki błąd dziś popełniłaś.

W pierwszej sekundzie miała ochotę rzucić mu biżuterią prosto w twarz i powiedzieć mu, co o nim myśli, ale zamiast unosić się honorem, posłała mu najszerszy uśmiech, na jaki było ją stać.

— Masz rację. Sprzedam go. — Skinęła głową, jakby podsunął jej świetny pomysł. — A za uzyskane pieniądze ułożę sobie życie z człowiekiem, którego kocham. Kto wie, może nawet zasponsorujesz nam ślub. — Posłała mu ostatni uśmiech, pełen wręcz okrutnej satysfakcji, zanim ruszyła do drzwi odprowadzana przez jego wzrok.

Gdy zamknęły się za nią, poczuła się, jakby ktoś zdjął jej z serca dwutonowy ciężar. Za chwilę znów miała zacząć się martwić tym, co będzie dalej, ale jeszcze przez tych kilka minut nie mogła zetrzeć z twarzy uśmiechu wywołanego niezachwianą pewnością, że podjęła jedyną słuszną decyzję.

Rozdział 36

Gdy już znalazła się z powrotem w Moreton, drogę do domu przebyła praktycznie biegiem. Zatrzymał ją dopiero widok samochodu rodziców zaparkowanego na podjeździe.

Wcześniej miała zamiar jedynie powiedzieć Williamowi o swojej decyzji i pobiec do Chase'a. Właściwie tylko myśl, że powinna poinformować brata o ostatnich wydarzeniach, które były wyłącznie jego zasługą, powstrzymała ją przed pójściem prosto do mieszkania chłopaka.

Jednak obecność rodziców uniemożliwiła ten plan i Josie zdała sobie sprawę, że czeka ją jeszcze jedna konfrontacja, zanim w końcu będzie mogła znaleźć się tam, gdzie pragnęła. Wizja tego, co za chwilę miało się wydarzyć, napawała ją strachem, ale jednocześnie dziewczyna czuła też cień ulgi, że będzie miała to już za sobą. Pokona ostatnią przeszkodę, jaka dzieliła ją od wolności.

Głos matki strofującej Nicole dobiegł do niej, gdy tylko znalazła się w środku, ale zignorowała to i szybkim krokiem ruszyła w stronę schodów na górę, w duchu modląc się, by nikt jej nie zatrzymał. Była świadoma, że ma naprawdę niewiele czasu, zanim rodzice przyślą kogoś, by dołączyła do nich w salonie, więc praktycznie wpadła do sypialni. Przebrała się z sukienki, w której była u Cartera, i w pośpiechu wyciągnęła walizkę, by zacząć pakować swoje rzeczy.

— Josie? — Zaledwie kilka minut później William pojawił się w drzwiach, przerywając jej gorączkowe działania. Z konsternacją obserwował otwartą walizkę i bałagan, jaki zdążył powstać.

— Zostawiłam Cartera — rzuciła w biegu, uznając, że to wystarczające wyjaśnienie jej zachowania.

Napędzana adrenaliną i paniką jak w amoku biegała po pomieszczeniu, starając się w kilka minut spakować całe swoje życie do jednej walizki. Była zbyt skupiona na tym zadaniu, by zauważyć krótki uśmiech triumfu na twarzy brata.

— Powiedziałaś już o tym Chase'owi? — Domyślał się, że nie ma czasu, by wdawać się w szczegóły rozstania. Ta historia mogła poczekać na inną okazję, w tamtym momencie liczyło się dla niego jedynie to, że Carter zniknie z życia jego siostry.

— Jeszcze nie. — Zdusiła w sobie przekleństwo, gdy naręcze przedmiotów wypadło jej z trzęsących się dłoni na podłogę. — Muszę najpierw powiedzieć rodzicom. Wyrzucą mnie, gdy się dowiedzą — tłumaczyła, próbując zapanować nad trzęsącym się głosem. Nie mogła sobie jeszcze pozwolić na rozklejenie się. — Dlatego próbuję się spakować już teraz.

Była przerażona niepewnością, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mogła w ogóle wejść do swojego rodzinnego domu. Zdawała sobie także sprawę, że rodzice mogą być na tyle okrutni, by kazać wyrzucić jej rzeczy. To mogła być jej jedyna okazja, by cokolwiek zabrać.

William jednak ani trochę nie podzielał jej zdenerwowania. Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach w uspokajającym geście.

— Nie trać na to teraz czasu. Crystal i ja się tym zajmiemy, przywieziemy ci rzeczy do mieszkania Chase'a, gdy rodzice wyjadą. Do tego czasu nikt niczego nie ruszy.

Nie mogła powiedzieć, że jego spokój jej się udzielał, bo wciąż miała żołądek i serce ściśnięte z nerwów, ale świadomość, że nie jest w tym sama, przyniosła chwilową ulgę.

— Rób, co masz robić — polecił. — Zajmij się rodzicami i leć do Chase'a, a my zajmiemy się resztą, okej?

Skinęła głową i wtuliła się w ciało brata, licząc, że to doda jej siły.

— Dziękuję — wyszeptła szczerze, czując, że wzruszenie i wdzięczność ściskają jej gardło. Zaraz jednak poczuła nowe ułknięcie paniki i z niepokojem spojrzała na Williama. — Nie stracę cię przez to, co się zaraz stanie, prawda?

— Oczywiście, że nie. W końcu ktoś będzie musiał cię poprowadzić do ołtarza na waszym ślubie.

Mimo całego tego chaosu i przerażenia nie mogła powstrzymać nikłego uśmiechu.

— Dasz mi chwilę? Zaraz zejść na dół.

Poczekwała, aż William zamknie za sobą drzwi, i z pewną nostalgią rozejrzała się po pokoju.

Była świadoma, że gdy stąd wyjdzie, całe jej życie się zmieni, i pozwoliła temu uczuciu opaść na sercu. Już kiedyś opuszczała ten pokój z myślą, że jest to ostatni raz, jednak wtedy robiła to, bo poniekąd uciekała od Chase'a. Teraz żegnała swoje życie, by wpaść prosto w jego ramiona.

Odwróciła się do wyjścia, ale zaraz cofnęła się, by z dna szafy wyciągnąć szkatułkę ze zdjęciami, którą dawno temu dostała od chłopaka. Ufała Williamowi, ale gdyby jednak coś poszło nie tak, nie wybaczyłaby sobie, że ją straciła, więc dla pewności od razu schowała ją do torebki, wszystko inne pozostawiając na łaskę losu.

Schodząc po schodach, by stanąć przed rodzicami, desperacko pragnęła znaleźć w sobie tę pewność siebie, która obudziła się w niej podczas rozmowy z Carterem. Czuła się głupio ze świadomością, że jest dorosła, a wciąż obawia się matki, dokładnie tak samo, jak kiedy była dzieckiem.

Być może ze strachu przed niektórymi potworami po prostu się nie wyrasta. Trzeba samemu stawić im czoła, by je pokonać.

Wzięła ostatni głęboki wdech, który miał jej pomóc nałożyć maskę opanowania, i weszła do salonu.

— Mam wam coś ważnego do powiedzenia — odezwała się, zwracając na siebie uwagę.

Nie widziała sensu w niepotrzebnym przeciąganiu nieuniknionego i nie siliła się na uprzejmości, które i tak niczego by nie zmieniły. Żadne miłe słowa nie mogły zmienić tego, że za chwilę zostanie wyrzucona z domu przez własnych rodziców.

Jednak bez względu na to, jak bolesna była ta świadomość, sprawiła też, że zniesienie krytycznego wzroku matki stało się łatwiejsze.

— Więc jednak znalazłaś dla nas chwilę? — Kobieta uśmiechnęła się chłodno, chwytając swoją filiżankę kawy, i wróciła do przeglądania dokumentów, które trzymała przed sobą. — Jakże wspaniałomyślnie z twojej strony, że zaszczyliłaś nas swoją obecnością. Obawiam się jednak, że teraz to my nie mamy czasu dla ciebie.

Przez głowę Josie przemknęła paskudna myśl, w której życzyła matce, by się udławiła. Ale od powiedzenia tego na głos powstrzymała ją świadomość, że wiadomość, z którą tutaj przyszła, będzie dużo bardziej satysfakcjonująca.

— Na szczęście to nie potrwa długo — oznajmiła zdecydowanie i dokończyła, zanim ktoś zdążył jej przerwać: — Chciałam was tylko poinformować, że nie wyjdę za Cartera. Zerwałam zaręczyny.

William, siedzący nieco z boku, miał spory problem z powstrzymaniem uśmiechu na reakcję rodziców, którzy na szczęście dla niego całą uwagę skupiali na córce.

Ku zdziwieniu Josie to ojciec pierwszy zabrał głos.

— O czym ty mówisz? Do ślubu zostały dwa miesiące, wszystko jest już gotowe. Nie możesz tak po prostu się wycofać. Zastanowiłaś się chociaż przez chwilę, jak to wpłynie na nas wszystkich?! — Anthony uwielbiał Cartera, a jeszcze bardziej korzyści, jakie przyniosłoby ze sobą to małżeństwo.

Los córki był mu obojętny, ale nie mógł znieść myśli, że straci przez nią koneksje z rodziną Batesonów.

— Wiesz, jaki wstyd nam przyniesiesz? — dodała Lillian.

Dla Josie niemal zabawne było to, że największym zmartwieniem jej matki jest opinia innych ludzi. Widziała, że wizja skandalu budzi w kobiecie szczerze przerażenie, które stara się zamaskować.

— Masz w tej chwili zadzwonić do Cartera i go przeprosić. — Wstała, jakby miała w ten sposób zyskać większy autorytet. — Będziesz go nawet błagać, żeby ci wybaczył, jeśli będzie trzeba.

— Nawet gdybym cię posłuchała, czego i tak nie mam zamiaru robić, w niczym by to nie pomogło. Nie sądzę, żeby błaganie mogło cokolwiek zmienić.

— Nie obchodzi mnie, co ty sądzisz, głupia dziewczyno! — Ojciec również wstał, głównie dlatego, że buzująca w nim złość nie pozwalała mu usiedzieć w spokoju.

William, który w milczeniu obserwował tę scenę, spiął się gotowy, by zainterweniować, jeśli gniew ojca wymknie się spod kontroli.

— Zrobisz, co twoja matka powiedziała. Zrobisz wszystko, żeby cię przyjął z powrotem.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl, jak łatwo było złamać dumę i aurę wyższości, którą otaczali się na co dzień, i jak żałośni byli pod warstwami kłamstw. Trudno byłoby wyrazić słowami, jak wielką ulgę przynosiła jej myśl, że miała się od tego uwolnić.

— Nie zrozumieliście mnie. — Pokręciła głową z rozbawieniem. — Nie zamierzam nikogo błagać o wybaczenie. Carter doskonale wie, że nigdy do niego nie wrócę. Wie też dlaczego. — Skrzyżowała spojrzenie z matką, która wręcz gotowała się ze złości. — I to akurat twoja zasługa. W końcu to ty postanowiłaś opowiedzieć mu o Chasie.

Dla Josephine zadziwiające było, jak wielką nienawiść Lillian czuła do człowieka, którego nawet nie знаła. Sam dźwięk jego imienia sprawił, że skrzywiła się z obrzydzeniem.

— Mogłam się domyślić, że to przez niego. Próbowaliśmy ci z ojcem przemówić do rozsądku, odwołując się do honoru rodziny, ale jak miałabyś to zrozumieć, skoro ty nie masz szacunku nawet do samej siebie? — Zaśmiała się bez krzty radości, wbijając w nią zimne spojrzenie. — Ale masz rację, Carter nigdy ci nie wybaczy. I słusznie, bo jesteś zwykłą dziwką. Jest mi wstyd, że cię urodziłam.

— Wystarczy. — William w końcu stracił resztki cierpliwości i przerwał tyradę matki, patrząc na nią wściekle ze swojego miejsca. — Jeśli nie chcesz doprowadzić do tego, że stracisz również mnie i swoją wnuczkę, to przestaniesz obrażać Josie i ją przeprosisz.

— Nie ma takiej potrzeby — zaprotestowała dziewczyna, posyłając bratu słaby uśmiech. Doceniała jego starania, ale wiedziała, że matka wolałaby odgryźć sobie język, niż ją przeprosić. Poza tym obelgi padające z jej ust nie miały już dla Josie znaczenia. Podobnie jak te, które usłyszała wcześniej od Cartera. — I tak już wychodzę. Wiem, jak ważny był

dla ciebie ten ślub, więc to tobie zostawię przyjemność odwołania wszystkiego, *mamo*.

— Zdajesz sobie sprawę, że jeśli teraz wyjdiesz z tego domu, to nie będziesz już miała po co wracać? — Głos Anthony'ego sprawił, że Josie zatrzymała się w pół kroku. — Przystaniesz być częścią tej rodziny.

— Wiem — potwierdziła. — I właśnie dlatego z niego wychodzę. — Widziała błysk dumy w oczach brata, zanim odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

Jeszcze nigdy w życiu jej serce nie biło tak szybko, jak w momencie, gdy stanęła przed drzwiami mieszkania Chase'a. W teorii po starciu z Cartelem i rodzicami to powinna być najłatwiejsza część, a mimo to była jeszcze bardziej zestresowana niż wcześniej. O ile to było w ogóle możliwe.

W końcu odważyła się zapukać z niepokojącym uczuciem, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Odliczała sekundy dzielące ją od upragnionego dźwięku przekręcania zamka, by zająć czymś niecierpliwym umysł, jednak nie wytrzymała długo i znów uderzyła pięścią w drzwi. Zignorowała ból w dłoni i nachyliła się, próbując wychwycić kroki po drugiej stronie, jednak tych wciąż nie było słychać.

Potrzebowała jeszcze kilku natarczywych uderzeń i odliczonych sekund, by zrozumieć, co tak naprawdę oznacza cisza po drugiej stronie. Ta myśl była ciosem, który nadszedł zupełnie niespodziewanie z siłą będącą w stanie zwalić ją z nóg.

Chase wyjechał.

Poczuła zimną panikę pełznącą wzdłuż kręgosłupa i rozchodzącą się po jej ciele. Przez cały ten czas nawet przez chwilę nie wzięła pod uwagę, że mogło być za późno. Że Chase wrócił do Birmingham, tak jak zapowiedział. Podczas gdy ona paliła dla niego wszystkie mosty, mając w głowie wizję ich wspólnej przyszłości, on już zatrzaskał za sobą drzwi, uznając ją za przeszłość.

Nagle zrozumiała własną naiwność, gdy uświadomiła sobie, jak głupia była, z góry zakładając, że będzie na nią czekał. Ale nie mogła go winić. Nie dała mu żadnej nadziei, więc nie mogła mieć mu za złe tego, że stracił

wiarę. Obwiniła siebie i swoje wahanie przed podjęciem decyzji, która od początku powinna być oczywista.

I być może właśnie dlatego, że potrzebowała tak wiele czasu, los postanowił ją ukarać. Nie mogła uwierzyć w to, że gdy w końcu odważyła się zostawić Cartera, okazało się, że zrobiła to za późno. Postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała. Została z niczym.

Czuła łzy napływające jej do oczu, gdy gorączkowo zastanawiała się, co powinna zrobić. Nie mogła wrócić do domu, przynajmniej dopóki byli tam rodzice. Carter prawdopodobnie zdążył już odciąć ją od swoich pieniędzy, ale być może uda jej się dotrzeć do Archera. Chase prawdopodobnie nie odbierze od niej telefonu, więc pojedzie do Birmingham. Jedyne, czego była pewna, to tego, że nie zamierza się poddać. Nie, kiedy była tak blisko.

Pierwsze łzy popłynęły po jej policzkach, gdy po raz kolejny uderzyła pięścią w drzwi. Nie w nadziei, że to coś zmieni, ale by się wyżyć. Uderzała i kopała wściekle, pozwalając sobie dać upust kotłującym się w niej emocjom. Wiedziała, że powinna wziąć się w garść i zacząć działać, ale przez chwilę czuła się zbyt zmęczona, by to zrobić.

W końcu odsunęła się, oddychając ciężko, i schyliła po torebkę, która wcześniej wypadła jej z ręki, by znaleźć telefon i zadzwonić do przyjaciela. Nie zdążyła jednak wyciągnąć urządzenia, bo rozległ się szcęk zamka.

Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Chase. Początkową irytację na jego twarzy zastąpiło zdziwienie, gdy zobaczył, kto stoi po drugiej stronie.

Z gardła Josie wydobył się niekontrolowany szloch będący wyrazem czegoś pomiędzy zaskoczeniem a ulgą. Zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać, jakby była na skraju szaleństwa, i może faktycznie tak było, ale w tamtej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

— Zerwałam zaręczyny — wypaliła, zanim Chase zdążył chociażby otworzyć usta, by zapytać, co tu robi. — Nie jestem już narzeczoną Cartera. Jestem wolna. — Dopiero w tej chwili w pełni to do niej dotarło. — I powiedziałam też o tym moim rodzicom, więc tak się składa,

że jestem również bezdomna — dodała, niepewnie unosząc kącik ust w nadziei, że to wywoła jakąkolwiek reakcję z jego strony.

Patrzył na nią, nie zdradzając żadnych emocji, i przez chwilę bała się nawet, że zaraz zamknie jej drzwi przed nosem.

— Nie jesteś wolna — powiedział tylko, na sekundę przed tym, jak jego twarz w końcu rozświetliła się w upragnionym przez nią uśmiechu. — Jesteś moja. Zawsze byłaś.

Z jej gardła wyrwał się kolejny szloch, który urwał się nagle, gdy Chase przyciągnął ją do siebie. Zdecydowanym ruchem zatrzaskał za nią drzwi, zanim ich usta odnalazły się w desperackim pocałunku.

— I zawsze będę. — Złożyła obietnicę, patrząc mu w oczy.

— To dobrze, bo jeśli sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek pozwolę ci odejść, to się mylisz. — Nachylił się, by być jeszcze bliżej, i oparł swoje czoło o jej. Na sekundę przymknął oczy, jedynie wdychając jej zapach i czując ciepło jej ciała. Wiedział, że będzie potrzebował czasu, by uwierzyć, że to działo się naprawdę. — Drzwi się zamknęły. Utknęłaś ze mną na zawsze.

— Nigdzie się nie wybieram. — Josie położyła dłoń na jego piersi w miejscu, które zdobił tatuaż. — Jestem w domu. To mi wystarczy.

Nie pytał, co się stało, że zmieniła zdanie. Nie chciał znać szczegółów. Będą mieli całe życie na opowiedzenie sobie tej historii, a on będzie miał równie dużo czasu na nienawidzenie Cartera, więc nie miał zamiaru niszczyć tego momentu chociażby jedną myślą o nim. To i tak nie miało najmniejszego znaczenia. Liczyło się wyłącznie to, że Josie w końcu była tylko jego, i już zawsze będzie. Tego był pewien, bo nie istniała siła, która mogłaby go teraz zmusić, by pozwolił jej odejść.

I chociaż mógł poczekać z poznananiem odpowiedzi na niektóre pytania, to czuł desperacką potrzebę, by mieć ją przy sobie tak blisko, jak to możliwe. Pocałował ją po raz kolejny, tym razem bardziej zapalczywie, zanim chwycił ją za biodra i podniósł. Czuł jej uśmiech pomieszany ze łzami na swoich ustach, gdy ruszył w stronę sypialni.

Każdy ich dotyk i pocałunek z pozoru były tylko kolejnymi z setek, jakie dzielili wcześniej, a jednak oboje czuli, że tym razem coś się zmieniło. Chase dopiero po kilku minutach zrozumiał, z czego to wynikało.

Kochał ją od tak dawna, ale po raz pierwszy mógł to robić bez czającego się z tyłu głowy strachu, że to wszystko jest jedynie chwilowe. Wcześniej zawsze czuł, że każde skradzione muśnięcie warg, każdy uśmiech, jaki mu pośtała, i każde spojrzenie były z góry odliczone przez kogoś innego, a każdy wspólny dzień zbliżał ich do końca.

Ale teraz mógł trzymać ją w ramionach już zawsze, nigdy nie martwiąc się o to, że za chwilę będzie musiał ją wypuścić. Ta świadomość skłoniła go do odsunięcia się. Klęczał nad nią, z szerokim uśmiechem obserwując jej rozczarowanie, gdy przerwał pieszczotę i zwiększył odległość między nimi.

— Co robisz? — zapytała zaniepokojona, ale nie odpowiedział.

Nie musiał się nigdzie spieszyć, dlatego przez chwilę pozwolił sobie zwyczajnie ją podziwiać. Sunął wzrokiem od jej ciemnych włosów rozspanych na białej poduszce, patrzył w błyszczące oczy obserwujące go uważnie, zaczerwienione policzki i usta spuchnięte od pocałunków. Zjechał spojrzeniem niżej, na wystające obojczyki, aż w końcu zatrzymał się na tatuażu nad sercem.

Ten widok nigdy nie przestanie wzbudzać w nim tych samych uczuć, jakie towarzyszyły mu za pierwszym razem, gdy go zobaczył na jej idealnym ciele. Dowód, że należała do niego. A teraz w końcu była tam, gdzie było jej miejsce, czyli tuż przy nim. Nachylił się, by złożyć pocałunek w miejscu, które zdobył tusz, i zsunął się z jej ciała.

— Zaczekaj chwilę — rzucił, zanim wyszedł z pokoju.

Gdy wrócił chwilę później, Josie widziała, że z trudem panuje nad utrzymaniem względnej powagi. Przyjął swoją poprzednią pozycję. Już miała zapytać o powód jego dziwnego zachowania, gdy Chase, przegrywając z szerokim uśmiechem, wyciągnął dłoń schowaną wcześniej za plecami.

— O mój Boże. — Zakryła usta dłonią najpierw w niedowierzaniu, a potem, by powstrzymać atak niekontrolowanego śmiechu.

Tamten dzień kosztował ją zdecydowanie zbyt wiele emocji i widok pierścionka ostatecznie przechylił szalę, spychając ją w otchłań szaleństwa. Widocznie nie można było czuć tak wielu skrajnych emocji w ciągu zaledwie kilku godzin i nie zwariować.

— Możesz przestać się śmiać? Próbuję ci się oświadczyć, a nie mogę tego zrobić poprawnie, kiedy dusisz się ze śmiechu! — Chase bardzo chciał udawać poirytowanego, ale nieopanowane rozbawienie dziewczyny skutecznie uniemożliwiało mu zachowanie powagi.

— Przepraszam! — wydusiła z trudem, wycierając oczy, które zaszkły jej łzami. — Ale wiesz, że poprawnie to się klęczy *przed* kobietą, a nie *nad* nią?

— Wybacz, że nie mam takiego doświadczenia w kwestii zaręczyn jak ty — odgryźł się złośliwie. — Poza tym to twoja wina, bo przyszłaś niespodziewanie. Gdybyś uprzedziła, że zamierzasz dzisiaj atakować moje drzwi wejściowe, przygotowałbym się lepiej. Poćwiczyłbym z Archerem czy coś.

Fakt, że żartowali na ten temat, chociaż jeszcze godzinę temu wszystko wyglądało zupełnie inaczej, był tak typowy dla nich, że Josie nie mogła powstrzymać kolejnego ataku śmiechu.

— Zdajesz sobie sprawę, że to prawdopodobnie najważniejszy moment w naszej wspólnej historii, a ty go psujesz, bo śmiejesz się jak głupia? — wytknął jej z pozorną irytacją, chociaż żadne z nich nie uważało, że ten moment jest w jakikolwiek sposób zepsuty.

Był idealnie nieidealny. Zupełnie tak jak oni.

— Po co w ogóle chcesz pytać, skoro znasz odpowiedź? — droczyła się, ale w końcu westchnęła poddańczo. — Okej, już nie będę się śmiać, obiecuję.

Poczekał jeszcze chwilę, by mieć pewność, że dziewczyna naprawdę się opanowała. Na jej ustach wciąż grał uśmiech, ale tym razem był spokojny i ciepły. Dopełniał spojrzenie pełne miłości, jakim na niego patrzyła.

— Jose... — Wcześniej wcale nie planował wielkiej przemowy ani deklaracji miłości, bo to nie było w ich stylu, ale gdy patrzył na nią, odpowiednie słowa same cisnęły mu się na usta. — *Moja Jose*. Nie mogę ci obiecać, że zawsze będzie łatwo. Będzie cholernie trudno, a z naszym talentem do komplikowania nawet najprostszycy spraw będzie jeszcze gorzej. — Oboje zaśmiali się cicho, nawet na chwilę nie przerywając kontaktu wzrokowego. — Będziemy się kłócić tak, jak tylko my to potrafimy, i będziesz

mnie doprowadzać do szału, a ja ciebie, i pewnie nieraz będziesz się zastanawiać, co ci strzeliło do głowy, że za mnie wyszłaś.

Sposób, w jaki na nią patrzył, sprawiał, że pod powiekami zbierały jej się łzy, a gardło ścisnęło ze wzruszenia. Nie było słów, by opisać, jak cenny był dla niej ten moment. *To* było zakończenie historii, na jakie zasłużyli.

— Nie mogę cię także zapewnić, że dam ci wszystko, na co zasługujesz, chociaż możesz być pewna, że będę próbował. — Chase sam z trudem panował nad wzruszeniem. — Ale mogę ci obiecać, że będę cię kochał. Każdego dnia, bez względu na wszystko. Nawet gdy będę miał ochotę udusić cię gołymi rękami — dodał jeszcze, wywołując jej śmiech, chociaż po jej policzkach płynęły już pierwsze łzy. — O ile uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną. Wyjdiesz za mnie, Jose?

Brzmienie tych słów było tak piękne, że przez kilka sekund nie była w stanie wydusić z siebie odpowiedzi w obawie, że wydostanie się jedynie płacz.

— Tak — powiedziała w końcu, kiwając głową bez opamiętania, zanim podniosła się, by go pocałować. — Tak, wyjdę za ciebie.

Chase westchnął teatralnie z udawaną ulgą, zanim złapał za jej dłoń, by wsunąć pierścionek na palec. Przysunęła dłoń bliżej twarzy, by go obejrzeć. Zaledwie kilka godzin wcześniej widniał na nim wystawny pierścionek od Cartera i chociaż ten był o wiele skromniejszy, pasował tam o wiele lepiej. Błyszczące diamenty zastąpił matowy kamień w odcieniu ciemnego błękitu, który przywodził jej na myśl morze w Seaport.

— Kupiłem go wtedy na pchlim targu — wyjaśnił, obserwując uważnie jej reakcję. — Wziąłem go, bo taki sam kolor mają twoje oczy. Chciałem ci go dać już wtedy jako zapewnienie, że zawsze będę cię kochał, ale zrezygnowałem, gdy dałaś mi aparat i wspomniałaś o końcu. Wiem, że w porównaniu z poprzednim wygląda żałośnie, ale...

— Jest idealny — zaprotestowała i uciszyła go kolejnym pocałunkiem. — A skoro jest zapewnieniem o twojej miłości, to nigdy go nie zdejmę, bo od teraz do końca mojego życia zamierzam doprowadzać cię do szału i równie mocno cię kochać. Mam nadzieję, że jesteś na to gotowy.

— Już się nie mogę doczekać.

Rozdział 37

Minęły trzy dni, odkąd Josephine pojawiła się w mieszkaniu Chase'a. Trzy dni, od kiedy została jego narzeczoną.

Wciąż nie do końca w to wierzyła i musiała raz na jakiś czas spoglądać na pierścionek, by upewnić się, że naprawdę tam jest. Chase śmiał się z niej, gdy to robiła, chociaż sama łapała go na tym, że przygląda jej się z tym samym niedowierzającym zachwytem, który ona czuła. To zwyczajnie wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Nie mieli pojęcia, co dalej, poza pewnością, że bez względu na to, co postanowią, będą razem. Chase naprawdę nie potrzebował niczego więcej i zamierzał najpierw przez chwilę nacieszyć się tym, co ma teraz. Josephine z kolei już pierwszego poranka zaczęła temat ich najbliższej przyszłości.

Wtedy też powiedziała mu całą prawdę o powodach, które kryły się za jej wcześniejszymi wyborami, a także streściła mu pobieżnie wydarzenia poprzedniego dnia.

Chase jednocześnie był na nią wściekły, że to przed nim ukryła, i niewiarygodnie z niej dumny — z tego, jaką siłę i odwagę wykazała, podejmując ryzyko i odchodząc od człowieka, który wyrządził jej tyle krzywd. Ale przede wszystkim pokochał ją po tym jeszcze trochę bardziej.

Oboje byli zgodni, że powinni wyjechać jak najszybciej. Mieli jednak odmienne pojęcie co do znaczenia tego terminu.

Josie zdawała sobie sprawę, że muszą poczekać przynajmniej do momentu wyjazdu z miasta jej rodziców, by mogła zabrać swoje rzeczy, ale nie widziała przeszkód, by już zawczasu ustalić, co zamierzają później. Chase natomiast nie widział sensu w martwieniu się o przyszłość

szybciej, niż to konieczne. Skoro i tak mieli związane ręce, to równie dobrze mogli wykorzystać ten czas wyłącznie na cieszenie się sobą.

Takim sposobem Josephine dostała kategoryczny zakaz poruszania tego tematu, a gdy tylko próbowała, była skutecznie uciszana. I chociaż to podejście kompletnie kłóciło się z jej naturą, nie miała zamiaru narzekać na metody, jakich Chase używał do osiągnięcia swoich celów.

Czwartego dnia obudziło ją słońce świecące wprost na jej twarz. Nie miała pojęcia, która jest godzina, chociaż przy ich obecnym trybie życia nie miało to większego znaczenia. Położyli się spać nad ranem i po zaledwie kilku godzinach snu wciąż czuła się zmęczona, a w ramionach Chase'a było jej zdecydowanie zbyt wygodnie, by się zrywać. Zawsze była rannym ptaszkiem, ale jej codzienne nawyki stopniowo ulegały zmianie pod wpływem Chase'a i jego przekonania, że równie dobrze mogą w ogóle nie wychodzić z łóżka.

Podniosła głowę z klatki piersiowej chłopaka, która służyła jej jako poduszka, by spojrzeć na jego spokojną twarz pogrążoną we śnie. Usta rozciągnęły jej się w uśmiechu na ten widok, zanim schowała twarz w zagłębieniu jego szyi, by ukryć się przed słońcem. Liczyła, że uda jej się jeszcze zasnąć, ale chwilę później poczuła, że Chase też się budzi, a uścisk jego ramion wokół jej ciała staje się bardziej świadomy. Przycisnęła usta do ciepłej skóry chłopaka, by dać mu znać, że nie śpi.

— Nigdy mi się nie znudzą te nasze poranki.

Zaspany głos tuż przy jej uchu sprawił, że jej serce zabiło szybciej.

— Tylko ja i moja piękna narzeczona.

Josephine pomyślała, że jej zdecydowanie nigdy nie znudzi się słuchanie, jak on nazywa ją swoją narzeczoną. Tym razem jednak nie mogła się w pełni nacieszyć brzmieniem tych słów, bo gdy tylko Chase je wypowiedział, w mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka.

— I ktoś, kto ewidentnie prosi się o śmierć — stwierdziła ze zbolonym jękiem.

Najwidoczniej siła wyższa, która wcześniej nad nimi czuwała, uznała, że trzy dni spędzone w szczelnej bańce zdecydowanie im wystarczą.

— W sumie mogliśmy przewidzieć, że nawet jeśli odetniemy się od świata, to świat prędzej czy później sam się o nas upomni.

— A nie możemy go ignorować jeszcze przez chwilę? — zapytała, wtulając się jeszcze bardziej w ciało chłopaka, by zatrzymać go w łóżku. Chociaż z początku była przeciwna pomysłowi Chase'a, musiała przyznać, że to kilkudniowe odcięcie się od wszystkich spraw i problemów było dokładnie tym, czego oboje potrzebowali, i nie miała nic przeciwko, by ta beztraska trwała jeszcze trochę. — To na pewno nic ważnego.

— To samo pomyślałem sobie ostatnio. — Wysunął się spod ciała Josie, nie zważając na jej protest. — A okazało się, że to ty stoisz pod drzwiami.

— Jeśli masz na boku jeszcze jakąś miłość życia, która może się teraz dobijać, to może jednak ja powinnam iść i zamienić z nią słowo — wymamrotała wtulona w poduszkę, powodując jego śmiech.

— Mówię to z ciężkim sercem, ale powinnaś się ubrać. — Rzucił w nią jej bluzką, gdy sam był już ubrany. — Jeśli to Archer, a prawdopodobnie tak właśnie jest, to wpadnie tutaj, jak tylko zobaczy twoje rzeczy w salonie. Nieszczególnie cieszy mnie wizja mojego przyjaciela oglądającego moją nagą narzeczoną.

Josephine mogła się założyć, że w tej sytuacji ilość ubrań, jakie miała na sobie, byłaby dla ich przyjaciela najmniej istotną kwestią.

— Jesteś okropny — wytknęła mu. — Nawet nie wiem, czy mam większą ochotę cię uderzyć za tę głupią zazdrość, czy pocałować za to, że ciągle nazywasz mnie swoją narzeczoną.

Chase jedynie zaśmiał się głośno i wyszedł, nie dając jej szansy na żadną z tych opcji.

Jednak posłuchała go, chociaż robiła to niechętnie, i również wstała, by przetrząsnąć komodę w poszukiwaniu czystej bielizny i ubrań. Szybko zaczęła być wdzięczna sile wyższej sprawującej nad nimi opiekę, że Chase wciąż miał u siebie kilka ciuchów, które zostały u niego nawet po jej wyjeździe. W przeciwnym wypadku musiałyby chodzić w rzeczach chłopaka.

Gdy wyszła z sypialni, zaniepokoiła ją cisza panująca w mieszkaniu. Gdyby to faktycznie Archer ich odwiedził, na pewno nie byłoby tak cicho.

— Chase? — rzuciła niepewnie. Nie wiedziała, kogo jeszcze mogli się spodziewać. — Kto przyszedł?

— To do ciebie — odpowiedział z ledwie opanowaną złością, gdy podeszła bliżej, i odsunął się, odsłaniając człowieka stojącego w drzwiach.

— Co ty tutaj robisz? — Sama nie wiedziała, czy bardziej jest zła, czy zaskoczona widokiem swojego ojca. Po ich ostatniej rozmowie zdecydowanie był na szarym końcu listy osób, które spodziewała się zobaczyć, i miała przeczucie, że nie wyniknie z tego nic dobrego.

— Chciałem z tobą porozmawiać, ale twój chłopak nie chce mnie wpuścić — wyjaśnił, nawet nie starając się ukryć niechęci wobec niego.

Chase odwrócił wściekle spojrzenie od gościa i przeniósł je na Josie. Bez słów dawał jej do zrozumienia, że decyzja należy do niej i że nie musi z nim rozmawiać, jeśli nie chce.

— Wpuść go. — Domyślała się, że Chase z radością zamknąłby mu drzwi przed nosem. Sama chętnie by to zrobiła, ale zdawała sobie sprawę, że Anthony Sinclair nie fatygowałby się osobiście bez wyraźnego powodu.

Pożałowała swojej decyzji niemal od razu, widząc pełne wyższości spojrzenie ojca, gdy mijał Chase'a.

— Chłopcze, wolałbym, żebyś zostawił mnie sam na sam z moją córką. To sprawy rodzinne.

— A ja wolałbym, żeby nie nachodził pan mojej narzeczonej w naszym domu. — Dopiero teraz w pełni rozumiał, co Josie miała na myśli, gdy dawniej powtarzała, że najlepiej dla wszystkich byłoby, gdyby nigdy osobiście nie poznał jej rodziców. Już po kilku minutach w towarzystwie ojca Josie czuł, że zaczyna tracić cierpliwość. — Zgaduję więc, że ten poranek rozczarował nas obu.

Wolał skupić się na złości, bo pod nią czaił się strach, że mężczyzna będzie próbował nakłonić Josie do powrotu. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że mogłoby mu się udać.

Josephine jednak szybko przegoniła jego obawy.

— Sprawy rodzinne? — prychnęła, z trudem powstrzymując się od wyrócenia oczami na oczywistą pogardę wymalowaną na twarzy ojca, gdy usiadł i zaczął oceniająco rozglądać się po mieszkaniu. — O ile dobrze pamiętam, podczas naszej ostatniej rozmowy sam powiedziałeś, że nie

jestem już częścią tej rodziny. Więc cokolwiek masz mi do powiedzenia, możesz powiedzieć w obecności Chase'a albo wyjść.

Cień zaskoczenia przemknął przez jego twarz i Josie widziała, że w pierwszej chwili chciał ją zganić za brak szacunku. Jednak równie szybko zrezygnował, zapewne zrozumiał, że nie ma już władzy nad córką.

— Jak wolisz — powiedział tylko i nachylił się do swojej aktówki, by rzucić na stół grubą brązową kopertę.

— Co to jest? — Zgadywała, że w środku są pieniądze, ale nie rozumiała dlaczego. Znała swojego ojca na tyle, by niemal od razu zacząć się zastanawiać, w jaki sposób chce ich nimi zaszantażować. Nie widziała innego powodu, dla którego miałby chcieć im dać cokolwiek.

— Wiem, że nigdy nie byłem najlepszym ojcem — zaczął, a Josie była zbyt zdziwiona tymi słowami, by sprostować, że „nie najlepszy” to spore niedopowiedzenie. — Ale bez względu na to, co myślisz o mnie i swojej matce, zależy nam na tym, żebyś miała dobre życie. Dlatego chcemy, żebyś wzięła te pieniądze.

— Jaki jest haczyk? — Trudno było jej uwierzyć w tak bezinteresowne działanie i była niemal pewna, że stoi za tym coś więcej.

— Nie ma żadnego. — Mężczyzna zaprzeczył od razu. — To twoja część rodzinnego majątku, a przynajmniej to, co z niej zostało. Wspólnie z matką uznaliśmy, że sprawiedliwie będzie odjąć od niej koszty organizacji wesela, skoro tak beztrudno wyrzuciłaś te pieniądze w błoto.

Widziała, że ojciec wciąż nie do końca pogodził się z odwołaniem ślubu, i nie spodziewała się, że to się w najbliższym czasie zmieni.

— Resztę i tak byś odziedziczyła pewnego dnia. Równie dobrze możemy ci ją dać teraz.

— Już rozumiem. — Uśmiechnęła się szeroko, powodując konsternację obu mężczyzn. — Naprawdę sądziłeś, że jestem aż tak naiwna, by uwierzyć, że ciebie albo matkę chociaż w najmniejszym stopniu obchodzi, co się ze mną stanie? Martwicie się wyłącznie o siebie, dokładnie tak jak zawsze.

Naprawdę chciałyby, żeby było inaczej. Chciałyby, żeby chociaż raz jej rodzice zrobili coś dla niej, ale znała ich zbyt dobrze, by ślepo wierzyć w ich dobre chęci.

— Boicie się, że po śmierci któregoś z was mogłabym sobie przypomnieć, że coś mi się należy, pojawić się i chcieć pieniędzy. Nawet jeśli byście mnie wydziedziczyli, to wciąż istnieje ryzyko, że kiedyś wrócę i wywołam skandal. Nie chcecie mieć ze mną nic wspólnego, więc dajecie mi to teraz, żeby pozbyć się mnie raz na zawsze.

Ku jej zdziwieniu ojciec spojrział na nią z wyrazem, który mogłaby uznać za podziw.

— Mogłabyś naprawdę wiele osiągnąć, gdybyś nie była na tyle głupia, by marnować swój potencjał na tego chłopaka.

— Na szczęście to już nie twoje zmartwienie. — Posłała mu nieszczerzy uśmiech. — Zgaduję, że mam też coś podpisać na dowód, że wzięłam pieniądze?

Zgodnie z oczekiwaniami w odpowiedzi na to pytanie Anthony wyciągnął z teczki odpowiedni dokument oraz pióro. Josephine miała ochotę parsknąć śmiechem na przewidywalność ojca.

— Co, jeśli odmówię i tego nie podpiszę?

— Wtedy podrobisz twój podpis — odparł zwyczajnie, jakby to było zupełnie normalne. — Nie obchodzi mnie, co zrobisz z pieniędzmi. Jeśli o mnie chodzi, możesz je nawet wyrzucić przez okno zaraz po moim wyjściu, ale nie mam zamiaru ryzykować, że jeszcze kiedykolwiek nadszarpniesz reputację *mojej* rodziny. Wyrządziłaś już wystarczająco szkód.

Część niej, ta przesiąknięta dumą wpojona osobiście przez rodziców, miała ochotę podrzeć dokument i kazać ojcu wynosić się razem z pieniędzmi. Zdawała sobie jednak sprawę, że w obecnej sytuacji nie może sobie na to pozwolić. Spojrzała na Chase'a i po jego minie wywnioskowała, że myśli to samo.

Nawet jeśli darzyli mężczyznę podobną niechęcią, potrzebowali pieniędzy, żeby zacząć wspólne życie. Dlatego powstrzymała obelgi cisnące się jej na usta i chwyciła za czarne pióro.

— Cieszę się, że masz przynajmniej trochę oleju w głowie — skomentował Anthony z zadowoleniem, odbierając podpisany dokument. — Zgaduję, że na mnie już pora. — Wstał, poprawiając marynarkę, i posłał córce ostatnie beznamienne spojrzenie. — Myślę, że możemy sobie darować cklive pożegnania. Sam trafię do wyjścia.

— Mam ochotę iść za nim i mu przyłożyć. — Chase pierwszy zdecydował się przerwać chwilową ciszę, jaka nastąpiła po wyjściu intruza.

— Nie rób tego — zaprotestowała, odchylając głowę, by oprzeć ją o oparcie, i schowała twarz w dłoniach. — Ostatnie, czego potrzebujemy, to sprawa w sądzie o pobicie. Nie warto.

— Pewnie masz rację.

Słyszała, że Chase się porusza, ale nie otwierała oczu, nawet gdy poczuła, że chłopak staje za kanapą i pochyła się, by ją objąć.

— Jestem z Ciebie dumny, wiesz? — wyszeptał jej z czułością. — Zdaję sobie sprawę, że to nie było dla Ciebie łatwe.

— Po prostu cieszę się, że mam to za sobą. — Czuła, jak napięcie zaczyna stopniowo ulatywać pod wpływem ust Chase'a wędrujących po jej szyi. — Podejrzewam, że skoro rozwiązali już problem krnąbrnej córki, wrócą na stałe do Londynu, a ja będę mogła zabrać swoje rzeczy z domu.

— I będziemy mogli się stąd wynieść — dodał i wyprostował się, by obejść kanapę i usiąść obok niej. — Myślałem trochę o tym, co dalej. — Przerwał na chwilę, by wciągnąć Josie na swoje kolana. — Pan Barnett znalazł już kogoś do pomocy na moje miejsce, więc ta sprawa jest załatwiona.

Dopiero w tej chwili Josie uświadomiła sobie, że faktycznie Chase przez ostatnie dni nie wspominał o tym, że powinien iść do antykwariatu. Jednak chłopak kontynuował, zanim zdążyła zapytać o szczegóły.

— Wcześniej byłem wstępnie umówiony z ojcem, że wrócę do Birmingham, bo nie zdążył znaleźć nikogo do wynajęcia tamtej kawalerki, ale zawsze mogę mu powiedzieć, że zmieniłem zdanie. Spróbujemy sprzedać to mieszkanie. Może znajdzie się ktoś na tyle głupi, by chcieć zamieszkać w Moreton. — Rozejrzał się wkoło, jakby oceniał szanse na znalezienie kupca.

Zawahał się na sekundę, a przez jego oczy przemknął ledwie zauważalny cień smutku, zanim powiedział:

— Ze sprzedażą działki w Seaport powinno pójść łatwiej, bo to dobre miejsce na hotel. To wszystko, plus pieniądze od twojego ojca, wystarczy, żeby kupić jakieś porządne mieszkanie i zacząć życie, gdzie tylko będziesz chciała.

— Całkiem nieźle sobie to wszystko wymyśliłeś jak na kogoś, kto nie lubi planować — zaśmiała się, gładząc go po policzku. — Ale mam lepszy pomysł.

— W takim razie zamieniam się w słuch. — Zgadywał, że Josie wprost nie mogła się doczekać tej rozmowy, więc oparł się wygodnie i z uśmiechem czekał na jej słowa.

Przez chwilę zastanawiała się, czy szalony plan, który ułożył się w jej głowie niespełna minutę temu, na pewno jest dobrym pomysłem, ale nie dała sobie zbyt wiele czasu na nabranie wątpliwości.

— Nie kupimy mieszkania. — Zdawała sobie sprawę, jak bolesna była dla Chase'a sama myśl o sprzedaniu latarni. Świadomość, że był na to gotowy dla niej, sprawiła, że pokochała go jeszcze bardziej, o ile było to w ogóle możliwe. Jednak nie zamierzała mu na to pozwolić. — Zbudujemy dom. W Seaport.

— Zwariowałaś? — Chłopak przyglądał jej się, jakby nie był pewny, czy już może zacząć się śmiać, czy nadejdzie jeszcze jakaś puenta. W końcu dotarło do niego, że to nie był żart. — Boże, ty mówisz serio.

Josie pokiwała głową z entuzjazmem, śmiejąc się pod nosem z czystego przerażenia widocznego na twarzy bruneta.

— Naprawdę zwariowałaś — stwierdził, przeczesując włosy dłonią. — Znamy się tyle lat, a ty postanowiłaś poczekać, aż ci się oświadczę, żeby mi oznajmić, że jesteś wariatką?! Możesz mi powiedzieć, gdzie jest moja Jose, która boi się ryzyka i musi czuć pod nogami stabilny grunt?

— Zabiłam ją, jak spałeś, i ukryłam ciało w szafie. — Wzruszyła ramionami, wciąż szczerząc się wariacko. — Obawiam się, że ta wersja musi ci wystarczyć, bo właśnie z nią spędzisz resztę życia.

Chase miał rację, że była dziewczyną, która bała się ryzyka. Jednak zapomniał, że istniało jedno uczucie silniejsze niż strach — była nim miłość do niego.

— To się nie uda. — Chase z kolei na ogół nie miał problemów z ryzykanckimi decyzjami, ale nie kiedy w grę wchodziło dobro Josie. Wołałby sprzedać działkę i zapewnić jej stabilne życie, nawet jeśli pozbycie się latarni złamałoby mu serce.

Dokładnie w tej samej sytuacji byli, kiedy Josie była gotowa zrezygnować z wyjazdu, a on nie chciał, by podejmowała to ryzyko, więc wołał poświęcić siebie i pozwolić jej odejść. I nawet jeśli teraz mieli już pewność, że będą razem, najwidoczniej pewne rzeczy nigdy się nie zmieniały.

— Właśnie, że się uda. — Chociaż pomysł wpadł jej do głowy całkowicie spontanicznie, to z każdą chwilą nabierał dla niej większego sensu. — Przeprowadzimy się do Birmingham. Oboje znajdziemy pracę, a pieniądze od moich rodziców i ze sprzedaży tego mieszkania przeznaczymy w całości na dom — tłumaczyła pospiesznie, próbując nadążyć za gonitwą własnych myśli, które wydawały się same układać w idealny plan. Naprawdę zaczynała wierzyć, że to może się udać. — Wystarczy na pokrycie części kosztów budowy, a jak tylko zaczniemy zarabiać, będziemy odkładać, co się da.

Chase widział, że z każdym słowem jej ekscytacja wzrasta, i nienawidził siebie za to, że musi to zniszczyć.

— Nie mamy pojęcia o budowie domu. Jose, naprawdę doceniam to, że chcesz dla mnie uratować latarnię, ale nie wydaje mi się, żeby to mogło się udać.

— Zapominasz, co studiowałam przez pięć lat w tym cholernym Bostonie — wytknęła mu z uśmiechem pełnym wyższości. — Powinłam poradzić sobie ze wszystkimi pismami i pozwoleniami, a nawet jeśli nie, to William na pewno nam pomoże. No i Crystal jest przecież architektem, więc może nam zrobić projekt i wyjaśnić co i jak. Możemy z nią nawet porozmawiać od razu, jak pojedziemy po moje rzeczy. — Była tak podniekształcona, że miała ochotę podskakiwać jak dziecko, które dostało wymarzony prezent.

— Musimy jeszcze za coś żyć. — Chase wciąż obstawał przy swoim, chociaż opór w jego głosie powoli topniał. W końcu chciał tego tak samo jak ona. — Powiedziałaś, że odłożymy twoje pieniądze i te z mieszkania, jeśli uda nam się je sprzedać, ale będziemy potrzebować czegoś na początek. Ojciec trzymał dla mnie kawalerkę, ale praca u niego odpada. Może trochę potrwać, zanim oboje coś znajdziemy.

Uśmiech zszedł z jej ust i Chase sądził, że ostatni argument, jaki miał, w końcu ją przekonał. Jednak sekundę później jej twarz na powrót się rozświetliła i Josie zeskoczyła z jego kolan.

— Poczekaj chwilę — rzuciła przez ramię, pędząc w stronę sypialni.

Nie musiał długo czekać, by wróciła na swoje poprzednie miejsce, z triumfalnym uśmiechem wystawiając w jego stronę pierścionek od Cartera.

— W domu mam certyfikat autentyczności. Carter w kółko powtarzał, że jest tylko jeden taki na świecie i że kosztował go małą fortunę. No więc teraz w końcu ma okazję przysłużyć się słusznemu celowi.

— Nie ma mowy. — Chase zgromił ją spojrzeniem, a dłonie położone na jej biodrach zacisnęły się ze złości. Zastanawiał się, jak w ogóle mogła uznać, że to dobry pomysł. — Gdy ci się oświadczałem, obiecałem, że zrobię wszystko, żeby zapewnić ci życie, na jakie zasługujesz. I możesz być cholernie pewna, że zamierzam spełnić tę obietnicę, ale nie ma opcji, żebym zrobił to za pieniądze człowieka, który prawie mi cię odebrał.

— Obawiam się, że w naszej obecnej sytuacji nie mamy wielkiego wyboru. — Rozumiała jego złość, ale nie miała zamiaru pozwolić, by jego męska duma odebrała im taką szansę. — Poza tym zbyt wiele samokontroli kosztowało mnie nierzucenie mu tym pierścionkiem w jego zarozumiałą twarz — dodała z uśmiechem, licząc, że Chase się dzięki temu rozchmurzy.

— I nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłaś. — Wywrócił oczami z irytacją.

Zdecydowanie zbyt długo musiał oglądać ten pierścionek na palcu *jego* Jose i nienawidził go tak samo, jak samego Cartera. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest to dziecinne, ale miał ogromną ochotę wyrwać go z ręki dziewczyny i spuścić w toalecie bez względu na to, jak drogi był.

— Chciałam, uwierz. — Wcześniej celowo pominęła słowa, które Carter do niej powiedział, gdy kazał jej zostawić sobie pierścionek, i teraz też nie zamierzała ich zdradzać. Wtedy straciłaby jakiegokolwiek szansę na to, by Chase się zgodził przyjąć pieniądze ze sprzedaży. — Ale o wiele więcej satysfakcji dała mi jego mina, gdy powiedziałam, że zasponsoruje nam wesele.

— Po moim trupie. Poczekamy, jeśli będziemy musieli, ale prędzej piekło zamarznie, niż pozwolę ci dołożyć chociaż centa ze sprzedaży tego cholerstwa do naszego ślubu.

Spodziewała się takiej odpowiedzi, ale mimo to uśmiechnęła się z satysfakcją, bo poniekąd osiągnęła cel.

— I jeśli naprawdę chcesz go sprzedać, to radzę ci go schować, bo z każdą chwilą, gdy na niego patrzę, rośnie mi ochota, żeby wybrać się do Cartera i wepchnąć mu te jego diamenty prosto do gardła.

Nie zamierzała kusić losu, więc schowała pierścionek do kieszeni i pocałowała Chase'a, by przegonić jego mordercze myśli.

— Powinienem zadzwonić do ojca, żeby uprzedzić go, że przyjeżdżamy — zdecydował. — Musimy też zabrać się do pakowania, żeby uwinąć się z tym jak najszybciej i przygotować mieszkanie do sprzedaży.

— Czy to znaczy, że się zgadzasz? — zapytała, a jej oczy wręcz błyszczały ekscytacją. — Zbudujemy dom?

— A mam inne wyjście? — Starł się zachować powagę, ale powstrzymanie uśmiechu, gdy patrzył na szczęście w oczach Josie, było niemożliwe. — Zbudujemy dom — potwierdził i został nagrodzony kolejnym pocałunkiem. — Już prawie to widzę. Sypialnia z widokiem na morze, żebyś mogła budzić się i zasypiać przy dźwiękach szumu fal, bo wiem, że kochałaś to, kiedy mieszkaliśmy w latarni. Kominiek w salonie, żebyśmy mogli spędzać tam zimowe wieczory — wymieniał, patrząc w oczy Josie, a jej serce rosło z każdym jego słowem. — Mała, ale przytulna kuchnia, w której będziesz gotować obiady. Będę wracał do domu z pracy witany przez zapach pysznego jedzenia.

— Zapominasz, że ledwo umiem gotować — wytknęła mu rozbawiona i rozczulona. — Na twoim miejscu byłabym ostrożna z robieniem sobie nadziei na pyszne jedzenie.

— Będziesz miała trochę czasu, żeby się podszkolić, zanim dom będzie skończony. — Patrzył na nią z tak ogromną czułością, że Josephine czuła łzy wzruszenia napływające jej do oczu. — W weekendy będziemy zabierać dzieci na pikniki na plaży i obiady w knajpce Florence.

— Dzieci? — upewniła się. Nie była pewna, czy w tamtym momencie jej uśmiech mógłby się stać jeszcze szerszy.

— Dopiero gdy już zamieszkamy w Seaport i zyskamy pewność, że będziemy mogli zapewnić dziecku dobre życie. — Wiedział, że życie może zmienić te plany według własnego uznania, ale miał zamiar zrobić wszystko, by je urzeczywistnić. — I jak ci się podoba moja wizja naszej przyszłości?

— Jest idealna — zapewniła głosem drżącym od emocji. Nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego życia niż to, które opisał Chase.

Seaport zawsze było *ich* miejscem i nigdzie indziej nie byli tak szczęśliwi, jak tamtego lata podczas kilku spędzonych tam tygodni. Nie mogli uratować latarni, ale mogli odtworzyć tamto szczęście, stawiając w jej miejscu dom, w którym spędzą resztę życia.

Uprzątnięcie mieszkania i spakowanie wszystkiego, czego Chase nie chciał się pozbyć przy przeprowadzce, zajęło im kolejne trzy dni. W międzyczasie Josie zrobiła to samo ze swoimi rzeczami, gdy rodzice w końcu wyjechali i William razem z Crystal i Nicole przywieźli je do Chase'a.

A przynajmniej taki był oficjalny powód odwiedzin, ale Josie podejrzewała, że zwyczajnie przyjechali we trójkę, bo chcieli się pożegnać. I chociaż nienawidziła pożegnań, z wdzięcznością przyjęła to, że nie musiała pojawiać się w rodzinnym domu.

Razem z Chase'em wykorzystali okazję, by powiedzieć o zaręczynach i przedstawić im swój plan. Tak jak podejrzewała, oboje zadeklarowali chęć pomocy i szczerze cieszyli się ich szczęściem. Zwłaszcza William, który z całej tej radości przez przypadek wygadał się o jego małym spisku z Chase'em, ale Josie nie potrafiła być zła, nawet gdyby chciała.

Wszystko układało się idealnie, a perspektywa życia, które lada chwila mieli wspólnie zacząć, wywoływała zbyt wielkie szczęście, by mogła znaleźć w sobie chociażby jedną negatywną emocję.

Ostatnim punktem dzielącym ich od wyjazdu było przekazanie wszystkich wieści przyjaciołom. Wspólnie zdecydowali, że zostawią sobie tę przyjemność na dzień, w którym raz na zawsze mieli opuścić Moreton. Oboje byli też zgodni, że sposób, w jaki postanowili to zrobić,

jest *nieco* dziecinny, ale to nie było w stanie ich powstrzymać. Najwi-
doczniej byli dowodem, że człowiek głupieje od nadmiaru szczęścia.

— Gotowy?

Stali już przed mieszkaniem Archera, gdzie jak się spodziewali,
czekała na nich czwórka przyjaciół.

W odpowiedzi Chase przyciągnął ją do siebie i pocałował szybko,
a potem się odsunął, by zachować pozory.

— Będziemy się za to smażyć w piekle, ale ich miny będą tego warte
— rzucił, posyłając jej ostatni uśmiech, zanim przybrał obojętną ma-
skę i zadzwonił do drzwi.

Archer musiał się bardzo niecierpliwić, bo otworzył niemal od razu.

— Cześć — rzucił luźno, gdy spostrzegł Chase'a, ale zmarszczył
brwi, widząc Josie stojącą w znacznej odległości od chłopaka. — Przyjecha-
liście razem?

To powoli stawało się standardowym pytaniem za każdym razem, gdy
się widzieli, i Josephine prawie wszystko zepsuła, bo chciało jej się śmiać
ze szczęścia na myśl, że od dzisiaj nikogo to już nie będzie dziwić.

— Nie — zaprzeczyła od razu, starając się zachowywać, jakby nie
czuła się komfortowo w obecności Chase'a. — Spotkaliśmy się akurat
przed wejściem do kamienicy.

Weszła do środka, nie oglądając się na chłopaka, i słyszała, że Archer
cicho go przeprosza i tłumaczy, że to ona chciała, by ich ściągnął.

Plan Josie opierał się na tym, że poprosiła przyjaciela, by zaprosił do
siebie pozostałych, nie mówiąc im o tym, że to ona tego chciała. Wytłu-
maczyła, że ma im coś ważnego do przekazania, ale boi się, że jeśli
zaprosi ich sama, mogliby nie przyjść. Oficjalnie wciąż była narzeczoną
Cartera, więc Archer bez trudu uwierzył, że jej relacje nie tylko z Chase'em,
ale też z Valerie są mocno nadszarpięte.

Zgodnie z przewidywaniami Valerie i Ethan już na nich czekali.
Nigdzie za to nie widziała Cami i Alfiego, więc podejrzewała, że matka
chłopca wyszła, by mogli porozmawiać w spokoju.

— Cześć. — Ethan wstał, by ją uściskać, ale jego żona zdobyła się je-
dynie na słaby uśmiech.

Valerie już kilka dni po pamiętnej wizycie w salonie sukien ślubnych zadzwoniła do niej, by przyznać, że ją poniosło. Jednocześnie wprost oznajmiła, że nie popiera jej decyzji o małżeństwie i chociaż kocha Josie jak siostrę, nie ma zamiaru być jej druhną. Josephine miała nadzieję, że zmieni zdanie, gdy dowie się o ślubie z Chase'em.

— Więc po co nas tu wszystkich ściągnąłeś? — zapytał Ethan jako pierwszy, gdy Chase i Archer do nich dołączyli.

Josie miała naprawdę duży problem z powstrzymaniem uśmiechu, gdy widziała, że Chase odruchowo chce usiąść jak najbliżej niej, ale w ostatniej chwili się reflektuje i siada obok z zachowaniem sporego odstępu.

— Właściwie to nie ja, tylko Josie. — Archer postanowił wyznać prawdę, przysiadając na podłokietniku kanapy, na której siedziało małżeństwo. — Ja byłem tylko posłańcem, ale sam chętnie dowiedziałbym się już, o co chodzi.

— Ściągnęłam was, bo chciałam się pożegnać. Wyjeżdżam na jakiś czas. — Celowo nie zdradziła nic więcej, tylko sięgnęła do torebki, by wyciągnąć z niej trzy białe koperty. — I przy okazji dać wam to — do dała, wręczając je.

W środku były zaproszenia, pierwotnie na ślub z Carterem. Wszystkie inne zostały wysłane pocztą, ale przyjaciółom Josie chciała je dać osobiście. Jednak po kłótni z Valerie nie mogła się na to zdobyć. Postanowiła wtedy poczekać na odpowiedni moment, który na szczęście nigdy nie nadszedł, a potem znalazła je pomiędzy rzeczami, które przywiózł jej William. Razem z Chase'em postanowili wykorzystać je do niegroźnego żartu.

— Dlaczego Chase nie dostał? — Valerie podejrzliwie wodziła wzrokiem od koperty do przyjaciółki i z powrotem, domyślając się zawartości.

— Nie sądzę, żeby zaproszenie było mi potrzebne — wyjaśnił, wręczając w tym Josephine.

Gdy Chase się odezwał, Josie zauważyła pierwsze ślady rozbawienia na jego twarzy, ale zanim Valerie zdążyła zapytać o coś więcej, podskoczyła przerażona, ponieważ siedzący obok niej Archer krzyknął przeraźliwie, gdy poznał treść zaproszenia.

— „Josephine Sinclair i CHASE SANDERSON!...” — wykrzyczał na cały głos imię i nazwisko przyjaciela. Z szoku kartka wypadła mu z rąk, więc rzucił się za nią desperacko.

Ku zdziwieniu dziewczyny Chase bez trudu zgodził się na jej pomysł i sam z chęcią zajął się *naprawianiem* zaproszeń. Dlatego teraz w miejscu imienia i nazwiska Cartera widniały wściekle czarne kreski, idealnie oddające jego stosunek do mężczyzny, a nad nimi znalazły się dane, które Chase określił jako „jedyne właściwe”.

— „...mają zaszczyt zaprosić Archera Colemana wraz z osobą towarzyszącą na uroczystość ZAWARCIA ZWIĄZKU MAŁŻEŃSKIEGO — odczytał, znowu podnosząc głos na najbardziej szokujących go słowach — które odbędzie się...”

To miejsce także zostało zakreślone przez Chase’a z równie wielką pasją, przez co Archer miał problem z rozszyfrowaniem.

— „Nie mamy pojęcia kiedy ani gdzie, ale na pewno chcemy, żebyście tam byli”. — Sprowokowana reakcją przyjaciela, Valerie również zdecydowała się otworzyć kopertę i teraz dokończyła za niego, odczytując schludne pismo Josie, które kontrastowało z poprzednimi bazgrołami Chase’a.

— Czuję się, jakbym w każdej chwili mógł dostać zawału, więc macie trzy sekundy, żeby powiedzieć mi, czy to żart. — Archer trzymał się za serce i naprawdę wyglądał, jakby był bliski utraty przytomności. — Błagam, powiedzcie, że to nie jest żart.

— To nie jest żart — odpowiedzieli równocześnie.

W międzyczasie Chase przysunął się już bliżej dziewczyny i teraz objął ją, by przyciągnąć do swojego boku.

— To znaczy, właściwie trochę jest — sprostował, śmiejąc się z min przyjaciół.

— Odeszłam od Cartera. — Josie postanowiła się zlitować i zaczęła wyjaśniać, machając w ich stronę dłonią z pierścionkiem zaręczynowym od Chase’a. — Zaręczyliśmy się tydzień temu.

— Ile?! — Cała trójka wybuchła w tym samym momencie, powodując atak śmiechu sprawców całego zamieszania.

— Okej, od początku. — Archer otrząsnął się już z pierwszego szoku i zaczął nerwowo chodzić po salonie, jakby natłok emocji nie pozwalał mu usiedzieć w miejscu. — Poprzednim razem, jak się widzieliśmy... — Zatrzymał się nagle, celując palcem w rozbawioną dziewczynę. — Właśnie! Co ze wszystkim, co mi powiedziałaś ostatnim razem, jak się widzieliśmy?

— Archer wiedział? — Chase zwrócił się oburzony do swojej narzeczonej. — Okej, głupie pytanie, oczywiście, że wiedział — odpowiedział sam sobie, wywracając oczami, gdy zobaczył niewinny uśmiech Josie. — Archer zawsze wszystko wie — marudził obrażony. — Nie będę nawet zdziwiony, jak Archer będzie znał płeć mojego dziecka szybciej niż ja.

— Jesteś w ciąży?! — wykrzyczała Valerie z ekscytacją do Josie.

— Nie.

— Jeszcze nie. — Chase rzucił swoją odpowiedź w tym samym momencie, w którym Josephine zaprzeczyła, za co zarobił od niej cios łokciem w żebra.

— Nie, ja naprawdę dostanę przez was jakiejś zapaści. Ethan, możesz zadzwonić na pogotowie? — dramatyzował Archer, wciąż chodząc po pokoju. — Umrę i to będzie wyłącznie wasza wina.

— Nie możesz umrzeć — zaprotestował Chase spokojnie. — Przy najmniej jeszcze nie. Będę potrzebował drużby.

— A ja druhny. O ile zgodzisz się nią być. — Josie posłała niepewny uśmiech Valerie. — Miałas rację, że to nie sukienka była problemem.

— Pod warunkiem, że to ja uszyję ci suknię. Nie mam zamiaru drugi raz spędzać z tobą całego dnia w salonie.

— Zgoda — przytaknęła, puszczając do niej oczko.

— Więc... — wtrącił się Ethan, spoglądając na przyjaciół — ...na prawdę bierzecie ślub. Żadnych więcej rozstań, dramatów i wyjazdów?

— Właściwie będzie jeszcze jeden wyjazd — zaprzeczył Chase lekko. — Trochę sobie z was zażartowaliśmy, ale Jose nie kłamała, kiedy powiedziała, że chciała się pożegnać. Oboje chcemy.

— Możesz darować sobie to napięcie i powiedzieć od razu? — Archer wydawał się wyczerpany wrażeniami, jakie zapewnili mu przyjaciele,

i spoglądał na nich błagalnie. — Naprawdę nie wiem, ile jeszcze zniosę, więc cokolwiek macie jeszcze do przekazania, najlepiej dobiejcie mnie od razu.

— Przeprowadzamy się do Birmingham na jakiś czas. — Josie pospieszyła z wyjaśnieniami. — Moi rodzice wyrzucili mnie z domu, pozostanie w Moreton nie jest żadną opcją, a Carter... Po prostu najlepiej będzie zniknąć im wszystkim z oczu.

Nie sądziła, by Carter mógł zmienić zdanie co do ugodowości ich rozstania, ale nie miała zamiaru kusić losu. W kręgach, w których mężczyzna się obracał, niedługo stanie się głośno o ich zerwanych zaręczynach i powstaną pierwsze plotki.

— Na jakiś czas? — Ethan wyłapał jej słowa. — A później zamierzacie tu wrócić?

— Możemy zamieszkać wszyscy razem. — Archer ożywił się nagle na swój pomysł. — Wiecie, trzy mieszkania gdzieś blisko siebie. Mogłoby o nas nakręcić brytyjską wersję *Przyjaciół!*

— Wiesz, nie chcę niszczyć twoich marzeń... — Chase postanowił przemilczeć to, że wolałby do końca życia mieszkać w swojej ciasnej kawalerce w Birmingham niż w jednym budynku z nim, tym samym skazując się na jego ciągłe wizyty o każdej porze nocy i dnia. — Ale mamy już z Jose inne plany.

Wyciągnął telefon, by znaleźć odpowiednie zdjęcie, i wystawił go w stronę przyjaciół.

— Kupa gruzu. — Archer postanowił nie przebierać w słowach, patrząc na Chase'a jak na idiotę. — Zamierzasz zamieszkać na gruzowisku?

— Nie. — Chase zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel wcześniej nie miał pojęcia o istnieniu latarni i nie mógł wiedzieć, jak ważna jest dla nich ta „kupa gruzu”, ale i tak czuł irytację spowodowaną słowami przyjaciela. — Zamierzam zbudować tam dom. To *gruzowisko* kiedyś było latarnią i tak się składa, że razem z działką należą do mnie.

— Latarnia. — Twarz Valerie rozjaśniła się w zrozumieniu. — Jak wasze tatuaże. To jest to miejsce, do którego wyjechaliście na część wakacji przed wyjazdem Josie, prawda?

Oboje skinęli głowami w odpowiedzi, ale ich spojrzenia były skupione na sobie nawzajem, porozumiewali się bez użycia słów. Wcześniej zawsze trzymali to w tajemnicy, jako coś, co było wyłącznie ich, podobnie jak nigdy nie wyobrażali sobie zabrać tam kogokolwiek innego, ale oboje zdawali sobie sprawę, że to musi się zmienić. W końcu chcieli założyć tam rodzinę, a ich piątka już od dawna nią była.

— Chcę tylko powiedzieć, że ja od zawsze wiedziałem, że kiedyś wreszcie skończycie razem. — Archer zdecydował się przerwać ich prywatny moment, patrząc na nich z satysfakcją. — A teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym was w końcu uściskać — zapowiedział i nie czekając na reakcję, złapał Josie za rękę, by zmusić ją do wstania i zamknąć w swoich objęciach. — Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę z twojego szczęścia, kruszynko — wyznał jej do ucha, by tylko ona słyszała. — Zasłużyłaś na nie.

— Dziękuję. — Tylko tyle mogła powiedzieć, choć to nawet w połowie nie oddawało wdzięczności, jaką czuła do przyjaciela.

— Ale i tak jesteś mi winna wyjaśnienia — zaznaczył żartobliwie, odsuwając się. — A teraz przestań płakać, bo wyczerpałaś już limit na resztę życia. Już ja dopilnuję, żebyś nie miała więcej powodów do łez — obiecał uroczyście i był gotowy dotrzymać słowa.

Odszedł od Josie, by pogratulować Chase'owi, a Ethan i Valerie poszli w jego ślady, więc przez kilka minut salon był wypełniony gratulacjami, śmiechem i wymienianymi uściskami. Zdecydowanie byli rodziną, i to najlepszą, jaką Josie mogła sobie wymarzyć.

W końcu opanowali ten wybuch radości i Josephine mogła wrócić tam, gdzie było jej miejsce — do boku Chase'a, który przyciągnął ją do siebie, z czułym uśmiechem obserwując, jak wyciera z policzków łzy wzruszenia.

— Nadal jesteście tak samo obrzydliwie uroczy jak dawniej. To jedno się nie zmieniło. — Archer patrzył na nich z udawaną odrzą, ale Chase jedynie wystawił w jego stronę środkowy palec. — W każdym razie uważam, że kompletnie zwariowaliście z tą budową domu, ale chcę, żebyście wiedzieli, że możecie na mnie liczyć w każdej sprawie. Jeśli będzie

trzeba, to mogę nawet własnymi rękami stawiać ten dom cegła po cegle, słowo. — Przyłożył dłoń do serca, jakby składał przysięgę, a Valerie i Ethan się z nim zgodzili, również oferując pomoc.

Josie czuła, że kolejna fala rozczulenia ściska jej gardło, i nie potrafiła znaleźć słów, by wyrazić wypełniającą ją miłość do przyjaciół. Może budowa domu była czystym szaleństwem, ale po raz pierwszy od bardzo dawna nie czuła strachu przed nieznanym.

Zawsze bała się, że przyszłość ją zaskoczy i że nie będzie wystarczająco silna, by sobie z nią poradzić. Teraz już wiedziała, że niepotrzebnie. Bez wątpienia czekały na nią przeszkody, bo takie właśnie jest życie, ale nie musiała przecież pokonywać ich sama. Miała wokół siebie ludzi, na których mogła liczyć. Miała przede wszystkim Chase'a.

Chase'a, który miesiące temu dostrzegł w niej okruchy dawnej Josie, nawet gdy ona sama ich nie widziała, i zrobił wszystko, by ją uratować. Przebyła długą drogę, by odnaleźć w sobie tamtą dziewczynę, ale w końcu dotarła do tego miejsca. I mogła czuć jedynie nieopisaną wdzięczność i miłość do chłopaka, któremu sześć lat temu oddała zarówno serce, jak i duszę. Teraz również oddawała mu całe swoje życie.

Chase od zawsze, być może nawet od ich pierwszego spotkania, był zapalnikiem początkującym jej zmianę. Dawał jej siłę i odwagę, gdy tego potrzebowała, i wypychał ją na nieznaną ścieżki, których się bała.

Miał rację, gdy mówił, że nie będzie łatwo. Ale po raz pierwszy naprawdę czuła, że jest gotowa przejść każdą, nawet najtrudniejszą drogę, bo zrobi to z nim.

Z jej Chase'em. Z jej najlepszym przyjacielem. Z jej bratnią duszą. Z miłością jej życia.

Epilog

Dwa lata później.

Chase z pewnej odległości przyglądał się sylwetce Josie na tle morza. Chociaż być może lepszym określeniem byłoby, że ją *podziwiał*.

Stała w pobliżu kamienistej skarpy, gdzie kończyła się ich posesja, a zaczynało morze, i z przymkniętymi oczami łapała ostatnie promienie zachodzącego słońca, a na jej ustach błąkał się błogi uśmiech. Wsłuchiwała się w szum fal objających się o skały, pozwalając, by wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, podobnie jak letnią sukienkę.

Chase z niemal nabożną czcią wymalowaną na twarzy chłonał każdy fragment tego niesamowitego widoku i świat wokół na chwilę przestał istnieć. Za jego plecami słychać było głośnie śmiechy i rozmowy ich przyjaciół, a w tle grała muzyka, ale nic nie miało dla niego znaczenia, kiedy z sercem przepelnionym miłością podziwiał swoją *żonę*.

Chciał wypalić sobie ten obraz pod powiekami. Pragnął zapamiętać pierwszy raz, gdy ją tam zobaczył, by z biegiem czasu móc go porównywać z kolejnymi, które miały nastąpić. Właśnie ta świadomość, że będzie mógł ją podziwiać do końca swojego życia, sprawiała, że miał ochotę paść na kolana przygnieciony wdzięcznością za szczęście, jakim los go obdarzył.

Pewnego dnia po raz pierwszy ujrzy ją stojącą w tamtym miejscu z ich dzieckiem na rękach, które z czasem zacznie stawiać tam swoje pierwsze kroki, a później biegać wokół niej z głośnym śmiechem. Kiedyś na tych rozwianych wiatrem ciemnych włosach pojawią się pierwsze siwe pasma, a na twarzy zmarszczki. Był pewien, że nawet wtedy, nawet po tak wielu latach, będzie obserwował ją z tą samą miłością, którą czuł teraz.

Minęły ponad dwa lata, od kiedy pojawiła się w drzwiach jego mieszkania i wypowiedziała najpiękniejsze słowa, jakie mógł w tamtej chwili usłyszeć. Mimo to wciąż czasem łapał się na tym samym niedowierzającym zachwycie, że kobieta, obok której zasypiał co noc i budził się każdego poranka, naprawdę jest jego.

— Jak się mają moje dwie dziewczynki? — zapytał, wyrwijąc Josie z zamyślenia, gdy w końcu zdecydował się podejść. Objął ją od tyłu, układając dłonie na jej ledwie zarysowanym brzuchu.

— Ja i twój syn mamy się świetnie — poprawiła go z uśmiechem dokładnie tak, jak robiła to za każdym razem. Wtuliła się w jego ciało, rozkoszując znajomym ciepłem.

Wciąż było za wcześnie, by poznać płeć dziecka, ale Chase od pierwszego momentu, gdy tylko otrząsnął się z szoku na wieść, że zostanie tatą, twierdził, że będzie to dziewczynka. Josie z kolei na przekór jemu upierała się, że będą mieli syna, a ich rodzina szybko podzieliła się na dwa obozy, wspierające jedno z przyszłych rodziców.

Valerie, która pół roku wcześniej urodziła dziewczynkę, wzięła stronę Chase'a, zachwycając się myślą, że ich córki będą najlepszymi przyjaciółkami, zupełnie tak jak ona i Josie. Ethan i Cami żartowali, że byłoby bezpieczniej, gdyby to był chłopiec. To uchroniłoby go w przyszłości przed ewentualnym podrywem ze strony Alfiego, który z każdym dniem coraz bardziej stawał się małą kopia Archera. William również stanął po stronie siostry i pragnął najpierw siostrzeńca, by mógł być on starszym bratem, tak jak on był dla Josie. Crystal solidarnie sprzeciwiła się swojej drugiej połówce i uznała, że dziewczynka będzie miała lepszy kontakt z Nicole.

Archer jako jedyny nie opowiedział się po żadnej ze stron. Był zbyt rozczarowany, że to nie będą bliźniaki, które z jakiegoś powodu sobie wymarzył.

— Nie jest ci zimno?

Chase zawsze był wobec niej troskliwy, ale od kiedy dowiedział się o ciąży, wręcz zwariował na tym punkcie. Było to w równym stopniu rozczulające i irytujące, ale jej zapewnienia, że niepotrzebnie się martwi,

nie przynosiły żadnego skutku. Josie nie pozostało nic innego, jak się przyzwyczaić i przygotować na następne sześć miesięcy traktowania jej, jakby była ze szkła.

— Albo może jesteś zmęczona? — dopytywał. — To był ciężki dzień, pełen wrażeń, więc nikt się nie obrazi, jeśli się położysz.

— Wesele bez panny młodej? — zapytała kpiąco, obracając się w jego ramionach, by stanąć do niego przodem. — Nie ma mowy. Poza tym czuję się świetnie i czekam na pierwszy taniec z moim mężem.

Zdążyła się już przebrać z sukni ślubnej w zwiewną kwiecistą sukienkę i jej wygląd ani trochę nie wskazywał na to, że jest panną młodą. Podobnie jak trudno było sobie wyobrazić, by ten wieczór mógł jeszcze bardziej odbiegać od tradycyjnego wesela. Był jednocześnie parapetówką, jej imprezą urodzinową i świętowaniem nowiny o ciąży, która stała się głównym powodem tego nagromadzenia wydarzeń.

Chase zawsze powtarzał, że układanie planów nie ma sensu, bo życie i tak je pomiesza według własnego uznania. I miał rację. Jeszcze kilka tygodni temu nawet nie planowali ślubu.

Gdy już zaczęli wspólne życie w Birmingham, zgodnie uznali, że nie muszą się z tym spieszyć. Oboje byli pewni, że należą do siebie i nie potrzebują obrączek, by to potwierdzić. Dlatego zamiast wydawać pieniądze na wesele, wszystko przeznaczali na dom ich marzeń, by jak najszybciej zacząć życie, na które od dawna czekali.

Z kolei po upragnionej przeprowadzce zamierzali skupić się na stopniowym ustatkowaniu się, zaczynając od znalezienia pracy. Chase planował spełnić swoje marzenie i otworzyć własny antykwariat, a Josie już na początku życia w Birmingham zrozumiała, że chciałaby połączyć swoją sympatię do dzieci z dawną miłością do nauki i zostać nauczycielką.

I o ile jego plany wciąż były aktualne, tak Josie musiała nieco odłożyć w czasie swoje, gdy miesiąc temu spadła na nich informacja o ciąży. Wtedy też kategorycznie oznajmiła, że muszą wziąć ślub, argumentując to tym, że później będzie za gruba, by zmieścić się w swojej sukni.

Chase uważał, że to prawdopodobnie najbardziej idiotyczny powód na świecie, by brać ślub, ale pod żadnym pozorem nie miał zamiaru

oznajmiać tego swojej ciężarnej narzeczonej. Zwłaszcza że szczęście wywołane perspektywą bycia ojcem sprawiało, że spełniłby każde jej życzenie.

Dlatego zdecydowali się zorganizować wszystko jednego dnia, włącznie z przeprowadzką. Tym sposobem stali teraz wtuleni w siebie, jako świeżo upieczone małżeństwo, a za nimi widniał dom z ich marzeń. Chociaż na razie był po brzegi wypełniony pudłami, które razem z przyjaciółmi przywieźli rano z Birmingham i rzucili, gdzie popadnie, by zacząć przygotowania do ślubu i na ostatnią chwilę zdążyć do kapliczki.

Josie w duchu musiała przyznać rację swojemu mężowi. To był ciężki dzień, obfitujący w wiele wrażeń. Ale jednocześnie był zdecydowanie najpiękniejszy w jej życiu i miała zamiar cieszyć się nim w gronie najbliższych tak długo, jak to możliwe.

— Kto by się spodziewał, że tak skończymy — odezwała się, gdy oboje obserwowali, jak słońce chowa się za horyzontem. — Od kłótni pod klubem w Moreton, po rozstanie, które złamało nam serca, i sześć lat rozłąki. Później mój powrót, kolejne kłótnie i następne rozstanie...

— Hej, zapominasz, że między tym wszystkim mieliśmy też dobre momenty — przerwał jej z czułym uśmiechem.

— ...aż po małżeństwo, wspólny dom i dziecko — dokończyła, ignorując jego udawane oburzenie.

— To była cholernie długa droga, ale przeszedłbym ją jeszcze milion razy, gdyby była taka potrzeba — przyznał, zakładając jej pojedynczy kosmyk za ucho. — Ale na szczęście nie będzie, bo teraz mamy przed sobą zupełnie nową do przejścia. Tym razem we trójkę.

— Nie boisz się? — Wciąż nie mogła do końca uwierzyć w to, że zostaną rodzicami.

— Żartujesz? Jestem przerażony — zaśmiał się, a Josie mu zawtórowała. — Ale wiem też, że poradzimy sobie ze wszystkim. Kto, jeśli nie my?

Oboje się bali, ale był to dobry strach, pomieszany z ekscytacją. Nie mieli pojęcia, jak być dobrymi rodzicami, ale bazując na własnych doświadczeniach, wiedzieli na pewno, jakimi nie być. Na początek musiało wystarczyć. To i dom wypełniony miłością, a reszta miała przyjść z czasem.

— Hej! — William przerwał ich pocałunek, krzyżąc z miejsca, w którym stał. — Państwo Sanderson mają zamiar dołączyć w końcu do zabawy na własnym weselu czy zrobiliście sobie osobną imprezę?

Zwrócili głowy w kierunku, z którego dobiegało nawoływanie. I chociaż Josie cieszyła się, że po raz pierwszy tego dnia znaleźli z Chase'em chwilę spokoju tylko dla siebie, to jednocześnie nie mogła powstrzymać uśmiechu, obserwując przyjaciół kręcących się wokół *ich* domu.

Ethanowi i Williamowi udało się wreszcie rozpalic ognisko, a Cami i Crystal siedziały wraz z Valerie na kocach rozłożonych wokół paleniska i rozczuły się nad jej córeczką. Nieco dalej Nicole biegła wkoło, uciekając przed Alfiem, który dzielnie próbował nadążyć za dziewczynką, powodując śmiech mającego na nich oko Archera.

— Właśnie! — Nie byłby sobą, gdyby nie dodał czegoś od siebie do słów Williama. — Na bycie sam na sam będziecie mieli całą noc poślubną, więc chodźcie tu albo ja po was przyjdę! — zagroził i wśród grupy rozległy się okrzyki poparcia.

— Podobno rodziny się nie wybiera, ale ciekawe, czy można oddać gdzieś tę, którą się jednak samemu wybrało. — Chase postanowił jeszcze przez chwilę ignorować przyjaciela i wciąż stał w miejscu, obejmując swoją żonę. — Myślisz, że jest szansa, żeby wymienić ich na jakichś mniej upierdliwych? — zapytał, ale po jego minie widać było, że myśli coś zupełnie innego. Kochał tę ich zwariowaną rodzinę dokładnie tak samo jak Josephine, nawet jeśli nie chciał się do tego przyznać.

Być może właśnie dlatego nie protestował, gdy Josie pocałowała go ostatni raz, zanim wyswobodziła się z jego objęć. Bez słowa protestu pozwolił zaciągnąć się w stronę ogniska, przy którym pozostali zabrali się do otwierania szampana. Cami i Valerie zajęły się rozdawaniem kieliszków z alkoholem każdemu poza Josie, której blondynka z przepaszającym uśmiechem wręczyła kieliszek wypełniony sokiem.

— Skoro już wszyscy się zebraliśmy... — Archer ze swoim trunkiem w dłoni wskoczył na jeden z drewnianych pni, by zyskać uwagę pozostałych. — ...chciałbym powiedzieć kilka słów.

— Już się boję — mruknął cicho Chase do Josie.

Ta posłała mu karcące spojrzenie i skupiła uwagę na przyjacielu.

— Jak wszyscy wiemy, zebraliśmy się tutaj, by świętować fakt, że nasi drodzy przyjaciele... — Wskazał dłonią z kieliszkiem na Chase'a i Josie, którzy stali objęci. — ...poszli w końcu po rozum do głowy. Można klaskać — zarządził i uzyskał oczekiwaną reakcję.

Archer zdecydowanie był w swoim żywiole, skupiając na sobie uwagę wszystkich, i Josie pomyślała, że to jedno nigdy się nie zmieni. Nieważne, ile lat upłynie, jej przyjaciel zawsze będzie tym samym Archerem o złotym sercu, który uwielbiał rozbawiać wszystkich do łez.

— Miałem przyjemność obserwować tę relację od samego początku i możecie mi wierzyć, że zdrowia i nerwów, jakie zszargałem przez tych dwoje, nikt mi nie odda — poskarżył się. — Pozwolę sobie oszczędzić przykrych szczegółów i powiem tylko, że gdybym dostawał pieniądze za każde „jesteśmy tylko przyjaciółmi” albo „nic nas nie łączy”, to stać by mnie było na bezludną wyspę, na którą bym ich oboje wysłał. Może wtedy mieliby mniejsze szanse na wymyślanie sobie problemów i teraz świętowalibyśmy już którąś z kolei rocznicę, a nasza rodzina byłaby większa o gromadkę małych Sandersonów.

Trudno było sobie wyobrazić przemowę, która byłaby bardziej w stylu Archera niż ta niepoważna paplanina. Josie nie wiedziała, czy przez ciężę tak łatwo było doprowadzić ją do płaczu, ale słuchając przyjaciela, nie mogła powstrzymać łez wzruszenia, chociaż policzki bolały ją od uśmiechu.

— Podsumowując... — Przerwał, by zgromić wzrokiem Chase'a, który rzucił pod nosem ciche „nareszcie”, chociaż był tak samo rozbawiony jak pozostali. — Chyba wszyscy zgodzimy się z tym, że Chase i Josie przebyli naprawdę długą drogę. Fakt, że pomimo wielu przeszkód, jakie się pojawiały, stoimy tu teraz wszyscy razem na ich weselu, jest najlepszym dowodem na to, że od zawsze byli sobie przeznaczeni.

Błażeńska postawa zniknęła na chwilę, zastąpiona przez coś zbliżonego do powagi, gdy uniósł w górę kieliszek z szampanem i gestem wskazał, by pozostali zrobili to samo.

— Dlatego chciałbym wnieść toast — oznajmił z ciepłym uśmiechem. — Za przeznaczenie, które doprowadziło nas wszystkich do tego miejsca, oraz za Chase'a i Josie, by już zawsze byli tak obrzydliwie szczęśliwi i zakochani w sobie jak dzisiaj.

W odpowiedzi rozległy się radosne okrzyki przyjaciół, ale Josie i Chase patrzyli wyłącznie na siebie. Nie potrzebowali słów, by wiedzieć, że myślą o tym samym.

Archer miał rację. Byli sobie przeznaczeni od pierwszego momentu, gdy ich drogi się ze sobą przecięły. I chociaż zajęło im to całe lata, tamtego dnia mogli z czystym sercem przyznać, że ich przeznaczenie się dopełniło, bo w końcu znaleźli się tam, gdzie było ich miejsce. W swoich ramionach.

Nie byli idealni. Mieli swoje słabości, zdarzały im się pomyłki i potknięcia, a na sercach wciąż nosili dawne rany, ale pomimo *wszystkich ich wad* uczucie, jakie ich połączyło, było *bez skazy*.

I będzie trwało już zawsze.

Podziękowania

Po premierze pierwszej części pojawiło się sporo głosów żartobliwie wytykających mi, że nie było w niej podziękowań. I słusznie! Należą się one wielu osobom, ale przede wszystkim moim czytelniczkom z Wattpada, które były pierwszym głosem mówiącym, że moja książka zasługuje na wydanie. To one zasiały małe ziarenko wiary, że to mogłoby się udać. Mam nadzieję, że jesteście z siebie dumne i czytacie te słowa z uśmiechem mówiącym „A nie mówiłam?”.

I chociaż wypisanie z osobna każdego, kto zasłużył na „dziękuję”, dałoby pewnie materiał na kolejną książkę, kilku osobom podziękowania należą się szczególnie.

Justyna, Lena, Marysia, Wiktoria — ogromu wdzięczności za wsparcie, jakie od Was dostałam, nie da się ubrać w odpowiednie słowa, nawet jeśli pisze się książki. Za pomoc w podejmowaniu nawet najdrobniejszej decyzji, za znoszenie mojego narzekania, za śmianie się ze mnie i ze mną, a także za cieszenie się moimi sukcesami tak, jakby były Wasze. I trochę są, bo bez Was poddałabym się już dawno. Po prostu dziękuję.

Wśród osób, bez których tej książki nigdy by nie było, nie może zabraknąć też Moniki, która uwierzyła w jej sukces na długo przed tym, zanim ja to zrobiłam. To Twoja miłość do historii Chase’a i Josephine dała mi odwagę, żeby spróbować. Więc dziękuję za to, że ich pokochałaś i że zrobiłaś to z pasją, która popchnęła mnie do spełnienia marzenia — przed znajomością z Tobą nawet nie odważyłam się go mieć.

Szczególnie dziękuję każdej osobie zaangażowanej w proces wydawniczy, która sprawiła, że przeniesienie tej historii na papier stało się możliwe.

Jestem niezmiernie wdzięczna za danie mi szansy, by podzielić się nią ze światem w ten sposób.

Podziękowania należą się także całej mojej rodzinie, która wspiera mnie, nawet (a może przede wszystkim) kiedy mówię, że wcale tego nie potrzebuję. Dziękuję, że przychodzicie mi z pomocą, kiedy jestem zbyt dumna i uparta, żeby o nią poprosić. Kocham Was.

I na koniec skromne podziękowanie kieruję też do samej siebie. Dziękuję nastolatce, która nie wierzyła, że może coś osiągnąć, bo ogromną satysfakcję sprawia mi udowadnianie jej każdego dnia, jak bardzo się myliła.

Rozdział dodatkowy

Josephine wyczekiwała tego dnia z mieszkanką ekscytacji i zdenerwowania. To drugie wzrastało w niej odwrotnie proporcjonalnie do upływającego czasu, który dzielił ją od powrotu Chase'a do domu po ponad dwutygodniowej nieobecności.

Mieszkali w Birmingham już ponad dwa lata, ale ten okres nareszcie powoli dobiegał końca i już niedługo mieli się przeprowadzić do Seaport. To właśnie tam wyjechał Chase i w pojedynkę nadzorował ostatnie prace, które musiały być skończone, zanim będą mogli się wprowadzić. Josie wyjątkowo została w mieście, mając na głowie ukończenie studiów zapewniających jej kwalifikacje, by zostać nauczycielką.

To była ich najdłuższa rozłąka od dnia, w którym została jego narzeczoną. Tych kilka dni było niczym przy sześciu latach, które spędzili bez siebie, gdy była w Bostonie, ale po przeprowadzce do Birmingham przywykli do bycia ze sobą na co dzień. Nawet jeśli przez pracę Chase'a oraz studia i pracę Josie w ciągu dnia często się mijali, wracanie do pustego mieszkania i zasypianie bez chłopaka przy boku było dla niej udręką, więc z wytęsknieniem oczekiwała jego powrotu.

A przynajmniej tak było przez cały pierwszy tydzień. Wszystko zmieniło się w momencie, gdy wróciła do domu z ostatniego egzaminu i ledwo zdążyła dobiec do łazienki, nękana nagłą falą nudności. Podobne zdarzały jej się kilkukrotnie już wcześniej, ale tłumaczyła to sobie stresem związanym z egzaminami. Dokładnie jak wszystkie inne symptomy, które dopiero wtedy zaczęły układać się w całość, sugerując, że to wcale nie tryb życia, jaki prowadziła przez ostatnie tygodnie, godząc intensywną naukę z pracą, był winny jej złego samopoczucia.

Dlatego kupiła test, by sprawdzić swoje podejrzenia, i chociaż bardzo chciała się mylić, tamtego dnia los postanowił zignorować jej prośby. Wynik okazał się pozytywny, a wizyta u lekarza go potwierdziła.

Takim sposobem została sama z myślą, że będzie mamą, podczas gdy nieświadomy niczego Chase był na drugim końcu kraju. Gdyby chodziło o cokolwiek innego, zapewne od razu zadzwoniłaby do Archera lub Valerie, ale wiedziała, że o tej konkretnej sprawie Chase powinien dowiedzieć się jako pierwszy. A ponieważ nie była to informacja, którą chciała przekazywać przez telefon, od tygodnia tkwiła w niecierpliwym wyczekiwaniu i niewiedzy na temat tego, jak chłopak przyjmie informację, że zostanie ojcem.

Oczywiście gdy już przywykła do nieco przerażającej myśli, że rozwija się w niej nowe życie, z typową dla siebie skłonnością do analizowania wszystkiego doszła do wniosku, że ciąża wcale nie jest aż tak wielką tragedią, jak jej się przez chwilę wydawało. Owszem, przewracała do góry nogami wszystkie plany, jakie układali przez ostatnie dwa lata, ale ostatecznie dziecko i tak miało się pojawić. Nawet jeśli zamierzali poczekać z powiększaniem rodziny jeszcze jakiś czas i najpierw na dobre zacząć żyć w Seaport, to przecież chcieli być rodzicami. Chase *chciał* być ojcem, a ona nie miała powodów, by obawiać się, że źle zareaguje na informację, że jego pragnienie wkrótce się spełni.

Właśnie to powtarzała sobie przez cały tydzień, próbując opanować szalejącą w niej burzę emocji, dodatkowo podsycanych przez hormony, i przygotować się na powrót narzeczonego. Jej wysiłki okazały się jednak bezskuteczne, bo gdy w końcu w niedzielny wieczór ciszę w mieszkaniu przerwał dźwięk klucza przekręcanego w zamku, czuła, że żołądek skręca jej się z nerwów, co było tym gorsze, że budziło ciężowe mdłości. Istniało ryzyko, że witając się z brunetem po dwóch tygodniach rozłąki, zwyczajnie na niego zwymiotuje.

Jednak wszystkie negatywne emocje zostały na chwilę zduszone przez szczęście, gdy Chase wszedł do środka, a w mieszkaniu rozległ się jego głos.

— Jose?

Bez zastanowienia ruszyła w stronę korytarza, z trudem powstrzymując chęć rzucenia mu się na szyję. Uśmiech, który wypłynął na jego twarz, gdy tylko pojawiła się w zasięgu wzroku, ostatecznie zabił dręczącą ją wątpliwość. Podeszła do niego, by chwilę później znaleźć się w jego ramionach.

— Dobrze być w domu — westchnął z ulgą, chowając twarz we włosach dziewczyny. Przebywanie w Seaport było miłą odmianą od Birmingham, ale nawet widok ich wymarzonego domu i świadomość, że już niedługo będą mogli się do niego wprowadzić, nie rekompensował mu braku Josie. — Seaport bez ciebie to nie to samo, ale na szczęście to już ostatni raz. Wszystko jest już prawie gotowe. Nasz dom na nas czeka.

— Chase. — Nawet jeśli jego obecność kołowała jej nerwy, wciąż czuła palącą potrzebę, by zrzucić z siebie ciężar tej wiadomości. Zdecydowanie za długo była jedyną osobą, która wiedziała, że zostaną rodzicami. — Muszę ci coś powiedzieć.

— Zaraz — mruknął jedynie, wciąż oplatając ją ciasno swoimi ramionami. — Pozwól mi się tobą nacieszyć. Jakoś muszę nadrobić te dwa tygodnie z dala od ciebie.

— Ale...

Nie pozwolił jej dokończyć i wziął ją na ręce. Nie zważając na cichy protest ze strony Josie, podszedł do kanapy, by usiąść, i posadził ją sobie na kolanach.

— To naprawdę ważne. — Starła się, by jej głos był stanowczy, chociaż bliskość Chase'a sprawiała, że miała ochotę wtulić się w niego i zasnąć. Rozumiała jego zmęczenie, ale to nie mogło czekać.

— Zdradziłaś mnie? Stwierdziłaś, że jednak nie chcesz spędzić ze mną reszty życia? — wymieniał od niechcenia z głupawym uśmieszkiem, nadal nie dzielając jej powagi.

— Jesteś idiotą — oświadczyła mu, ale nie miała siły na ciągnięcie tych przekomarzań i postanowiła od razu przejść do sedna: — A ja jestem w ciąży.

Ku jej zdziwieniu Chase zwyczajnie parsknął śmiechem na jej wyznanie.

— Nie ma mnie dwa tygodnie, a ty zachodzisz w ciążę?

Przez chwilę jedynie przyglądała mu się w kompletnym zdziwieniu.

— Na szczęście to ósmy tydzień, więc się nie wyprzesz, że to twoje — odgryzła się, gdy odzyskała rezon. Ze wszystkich możliwych scenariuszy, jakie wymyśliła przez ostatnie dni, takiej reakcji nie brała pod uwagę. Czuła wzrastającą irytację, że Chase nie traktuje jej słów na serio. — Mógłbyś chociaż przez chwilę być poważny? Właśnie ci powiedziałam, że będziesz ojcem, a ty sobie żartujesz.

Dopiero wtedy w pełni zrozumiał sens tego, co Josie próbowała mu przekazać, i uśmiech momentalnie zniknął z jego ust. Wpatrywał się w dziewczynę w kompletnym osłupieniu.

Josephine powoli zaczynała żałować, że nie doceniła jego pierwszej reakcji, bo ta nagła powaga sprawiała, że jej zdenerwowanie wracało.

— Nie wiem, jak to się stało... To znaczy wiem, ale musiałam zapomnieć o tabletkach przez to zamieszanie z egzaminami — tłumaczyła nieskładnie, licząc, że uzyska jakąkolwiek reakcję chłopaka. — Wiem, że mieliśmy poczekać i że teraz wszystko się skomplikuje, ale... Błagam, powiedz coś.

— Będę ojcem — powiedział ostrożnie, jakby sprawdzał brzmienie tych słów, po czym odchylił głowę na oparcie kanapy, a z jego ust wydobył się cichy śmiech przepełniony niedowierzeniem. — Będziemy mieli dziecko. Będę ojcem — powtarzał, a jego uśmiech się wzmagał, gdy informacja z każdą chwilą docierała do niego coraz bardziej.

— Czy to znaczy, że się cieszysz? — zapytała, bo chociaż zachowanie Chase'a nie powinno pozostawiać wątpliwości, chciała to usłyszeć.

— Cieszę się nawet w jednej setnej nie oddaje tego, co czuję. — Przyciągnął ją do siebie, próbując pocałunkiem przekazać szczęście, które wręcz rozsadzało go od środka. — Dlaczego płaczesz?

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki Chase nie zwrócił na to uwagi.

— Ze szczęścia. Chyba. Wygląda na to, że przez ciążę jestem trochę niestabilna emocjonalnie — wyjaśniła ze śmiechem, ścierając łzy z policzków.

— W obronie naszego dziecka muszę powiedzieć, że wcześniej też nie byłaś do końca zrównowazona — wytknął jej złośliwie, za co oberwał w ramię. — No już dobra, lepiej mi opowiedz po kolei, co się działo. Chcę wiedzieć wszystko o naszym dziecku.

Josie miała wrażenie, że jej serce wybuchnie od nadmiaru miłości na dźwięk tych słów, ale nie pozwoliła sobie rozkleić się kolejny raz. Zamiast tego zgodnie z prośbą Chase'a skupiła się na streszczaniu ostatniego tygodnia.

— Przepraszam, że nie było mnie wtedy przy tobie. Nie powinnaś być z tym wszystkim sama tyle czasu.

— Przecież to nie twoja wina, że dowiedziałam się, akurat kiedy ciebie nie było — uspokoiła go. — Nie chciałam ci mówić przez telefon, a zależało mi, żebyś dowiedział się jako pierwszy, więc Archer i Valerie odpadali. Znając Archera, wygadałby się, jeszcze zanim ja miałabym okazję ci powiedzieć.

Oboje doskonale wiedzieli, że w przypływie radości ich nieobliczalny przyjaciel mógłby nie dochować tajemnicy i na przykład zadzwonić z gratulacjami do przyszłego taty.

Josie bez słowa zsunęła się z kolan Chase'a i zniknęła w sypialni, ignorując jego pytający wzrok. Gdy wróciła, trzymała w dłoni zdjęcie USG, które mu wręczyła. Spojrzał na fotografię z niezrozumieniem, więc Josie wskazała palcem na ciemny pęcherzyk, a jego oczy rozblęły.

— Moja dziewczynka — wykrztusił głosem pełnym emocji, a Josie miała wrażenie, że niewiele dzieli go od płaczu ze wzruszenia.

— Dziewczynka? — powtórzyła ze zdziwieniem. — Nie możesz tego wiedzieć, równie dobrze to może być chłopiec.

Chociaż próbowała się nie nastawiać na żadną płęć, tylko poczekać, aż dziecko będzie wystarczająco duże, by mogli ją poznać, jej myśli same wędrowały w tamtym kierunku i skłaniała się bardziej w stronę syna.

Za to Chase nic nie mógł poradzić na to, że za każdym razem, gdy wyobrażał sobie ich dziecko, widział dziewczynkę, będącą kopią Josie, z jej niebieskimi oczami i uśmiechem, który tak kochał.

— Takie przecucie. A poza tym kto powiedział, że skończymy na jednym dziecku? Jeśli o mnie chodzi, możemy próbować do skutku. — Uśmiechnął się cwaniacko, pochylając się, by ją pocałować.

Oddała pieśczołę, czując jego uśmiech na swoich ustach, jednak sekundę później oderwała się od niego porażona myślą, która wpadła jej do głowy.

— Skoro jestem w ciąży, musimy wziąć ślub! Jak najszybciej.

— Nie widzę związku. Co ma ciąża do ślubu?

— No właśnie wszystko! Musimy wziąć ślub, zanim przez ciążę będę za gruba, żeby zmieścić się w sukienkę — tłumaczyła zaaferowana. Jej suknia ślubna już od roku czekała na nią w Londynie, w pracowni Valerie.

Blondynka zabrała się do tworzenia projektu krótko po ich wyjeździe. Konsultowała się z przyjaciółką, a gdy tylko mogły, spotykały się, by dokładniej omawiać szczegóły, wybierać materiały, robić przymiarki i milion innych rzeczy, o których Chase nie miał pojęcia. Projekt sukni jego przyszłej żony był objęty ścisłą tajemnicą i nawet Archer ani Ethan nie wiedzieli niczego, co się z nim wiązało, z obawy, że zdradzą coś przyjacielowi.

Z opowieści Josie wiedział jedynie, że suknia jest idealna i padnie przy ołtarzu, gdy ją w niej zobaczy. W to akurat łatwo było mu uwierzyć, chociaż nie sądził, że sukienka odegra w jego reakcji dużą rolę. Jednak dziewczyna wydawała się tak podekscytowana projektem, że nie miał serca jej powiedzieć, że dla niego to, w czym pójdzie do ślubu, nie ma żadnego znaczenia.

— Kochanie, popraw mnie, jeśli się mylę, ale sukienki można poszerzać.

Morderczy wzrok, jaki mu posłała na tę sugestię, był wystarczającą odpowiedzią na pytanie, co myśli o jakichkolwiek zmianach w jej idealnej sukni.

— Zawsze jeszcze możemy poczekać, aż urodzisz, i wtedy wziąć ślub.

— Tak, bo na pewno z małym dzieckiem będzie nam o wiele łatwiej się pobrać. — Doskonale wiedziała, że gdy dziecko się urodzi, pochłonie całą ich uwagę, a ślub odsunie się w czasie o kolejne lata. — Jeśli

nie zrobimy tego teraz, to pewnie już nigdy. No chyba że jednak nie chcesz się ze mną ożenić.

— Wykończysz mnie kiedyś, przysięgam — westchnął męczeńsko, chowając twarz w dłoniach. Nie chodziło wcale o to, że nie chciał, by została jego żoną, zwyczajnie nie uważał tego za priorytet. Była jego całkowicie i nieodwracalnie, aż do samego końca, i to mu wystarczało. Obrączka na palcu niczego nie zmieniała. — Dwa tygodnie.

— Co?

— Weźmiemy ślub za dwa tygodnie — wyjaśnił. — Dom jest już prawie gotowy i chciałem zaproponować, żebyśmy przeprowadzili się w twoje urodziny. I zrobimy to, ale do tego wszystkiego dodamy ślub. Nie potrzebujemy przecież niczego wielkiego, a wszyscy nasi przyjaciele i tak będą z nami na miejscu. Lepszą okazja się nie trafi.

Szeroki uśmiech, jaki wypłynął na jej twarz, był wystarczającą odpowiedzią.

— Czyli mam dwa tygodnie, żeby przyzwyczaić się do myśli, że zostanę panią Sanderson.

— Jeśli chcesz, mogę zacząć cię nazywać tak już teraz. Pani Sanderson... — zaczął uroczyście, chociaż na jego ustach grał cwaniacki półuśmieszek — ...zapraszam panią do sypialni — dokończył, po czym podniósł się z dziewczyną na rękach i ruszył we wspomnianym kierunku w akompaniamencie jej głośnego śmiechu.

Pomysł Chase'a z połączeniem ślubu i przeprowadzki był dobry, a zwlekanie z małżeństwem dwa lata po to, by nagle postanowić, że pobiorą się za dwa tygodnie, było tak typowe dla nich, że plan wydawał się jeszcze lepszy.

Josephine nie miała pojęcia, co nią kierowało, kiedy uznała, że plan Chase'a jest dobry, ale była skłonna zrzucić to na ciężę. Przez ostatnie dwa tygodnie wyrobiła w sobie niezdrową tendencję do usprawiedliwiania wszystkiego noszeniem pod sercem dziecka, bezlitośnie wykorzystując fakt, że był to argument, który całkowicie rozbijał Chase'a. Nawet

gdy zachowywała się jak kompletna wariatka, a zdarzało jej się to średnio trzy razy na dzień. Dość szybko okazało się, że nawet jej wrodzony spokój i racjonalizm nie miały szans z hormonami i wahaniami nastroju.

Jednak zanim przez euforię, jaką wywołała w ich rodzinie wiadomość o ciąży, i ogólny ferwor przygotowań do przeprowadzki przedarł się chociaż cień rozsądku, mówiącego, że ich plan to szaleństwo, było już za późno.

O wiele za późno, bo ta myśl pojawiła się w głowie Josie, dopiero gdy siedziała przed lustrem w swojej sypialni z obiecany widokiem na morze dziesięć minut przed planowanym wyjazdem do kapliczki. Była w kompletnej rozsypce, walcząc z mdłościami, podczas gdy Valerie i Crystal skakały nad nią, próbując ją uspokoić i jednocześnie poprawiając zniszczenia spowodowane poprzednim szaleńczym biegiem do łazienki.

Josephine zdecydowanie nie tak wyobrażała sobie najważniejszy dzień swojego życia. Zaczęło się od pobudki o świcie, nerwowego pakowania ostatnich rzeczy z mieszkania i sprzeczek wywołanej przez nadmiernie troskliwego Chase'a, który zabronił jej dźwigać nawet najlżejsze kartony. Później było jedynie gorzej, bo ich przyjaciele dotarli do Birmingham prawie godzinę po ustalonym czasie, więc w czterogodzinną drogę do Seaport wyjechali ze sporym opóźnieniem. To jeszcze bardziej zwiększało nerwowość Josie, a więc automatycznie również Chase'a, który wiedział, że brunetce nie wolno się denerwować ze względu na dziecko.

Jednak przyszła panna młoda nie zwątpiła w słuszność planu ani wtedy, ani nawet kiedy wszystkie emocje tego dnia znalazły swoje ujście, gdy zaczęła płakać ze wzruszenia na widok ich domu.

Wątpliwości pojawiły się, dopiero gdy do wyjścia pozostał im czas, w którym „żadna kobieta nie byłaby w stanie się wyszykować, a co dopiero kobieta, która ma wziąć ślub”, jak to z typową dla siebie beztroską określił Archer.

Valerie jednak potraktowała to jako rzucone jej wyzwanie. W zastraszającym tempie przeszła ze standardowej cukierkowo-słodkiej wersji siebie do tej, z którą nie należało zadzierać, i ze stanowczością przydzieliła każdemu zadania. Męska część rodziny, poza Chase'em, który sam

musiał się przygotować, miała na głowie wypakowanie kartonów z aut, Cami dostała za zadanie opiekę nad dziećmi, podczas gdy ona sama z pomocą Crystal zajęła się Josie.

I być może wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fatalne samopoczucie Josephine, które znacznie komplikowało już i tak wystarczająco trudną sytuację.

— Josie, błagam cię, powiedz coś temu twojemu dziecku, bo jeszcze jedna taka akcja i pójdę się rzucić z klifu. — Valerie, podobnie jak wszyscy, była już wyczerpana ilością emocji i wyzwania, jakie niósł ze sobą ten dzień. — Przecież chcesz, żeby mamusia i tatuś się pobrali, prawda? Więc współpracuj z cicią i nie świruj — zwróciła się do brzucha Josie, na chwilę przerywając nerwowe ścieranie rozsmazanego tuszu spod oczu Josie.

— Na twoim miejscu nie robiłabym sobie wielkich nadziei, że to zadziała — wtrąciła Crystal, skupiona na poprawianiu pojedynczych loków, które wysunęły się z upięcia. — To dziecko dwójki kompletnych wariatów. Rozsądek nie będzie jego mocną stroną.

— Ej! — Josie posłała rudowłosej oburzone spojrzenie w lustrze. — Przypomnę wam, że wiecie o tym ślubie od dwóch tygodni i żadna z was nawet nie zająknęła się, że to zły pomysł.

— Byliśmy zbyt szczęśliwi, że w końcu postanowiliście się pobrać — przyznała Valerie w ramach obrony.

Przyjaciele już od dawna czekali na ten dzień. Sądziła, że ze swoją predyspozycją do stwarzania problemów dla bezpieczeństwa Josie i Chase powinni zrobić to jak najszybciej, i wszystko wskazywało na to, że było trzeba ich posłuchać.

— Okej, ja zrobiłam, co w mojej mocy.

— Ja też.

Obie kobiety odsunęły się od Josie, by ocenić efekty swojej pracy, kiedy ciszę przerwało ciche pukanie do drzwi. Cami zajrzała do środka, żeby skontrolować sytuację.

— Wyglądasz pięknie — zapewniła Josephine, patrząc na nią ze szczerym uśmiechem. — Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej, bo jeśli

nie chcesz się spóźnić na własny ślub, powinnaś zakładać suknię i wychodzić. Na dole wszyscy są już gotowi.

Josephine była świadoma tego, że czekają wyłącznie na nią. Nawet pomagające jej dziewczyny zdążyły się już przebrać w swoje sukienki, podczas gdy ona do ostatniego momentu z obawy, że pobrudzi suknię, miała na sobie cienki szlafrok. Jednak nie mogła sobie pozwolić na dalsze zwlekanie, więc z nerwowym uśmiechem skinęła głową w stronę Valerie.

— Już wiem, kto uszyje mi sukienkę, jeśli któregoś dnia stracę rozum na tyle, by wziąć ślub z Archerem.

Crystal i Cami, które nie widziały wcześniej sukni, patrzyły teraz z zachwytem na brunetkę.

Sama Josie starała się nie patrzeć na siebie zbyt długo w obawie, że po raz kolejny tego dnia zacznie płakać, czego Valerie najprawdopodobniej by nie zniosła. Miała ją na sobie już kilka razy wcześniej, ale świadomość, że w końcu nadszedł dzień, w którym ma pójść w niej do ołtarza, zdecydowanie zwiększała emocje, jakie suknia w niej wywoływała.

W porównaniu z krzyczącą swoją ceną wystawną suknią, którą wybrała na ślub z Carterem, projekt Valerie — z delikatnej koronki połączonej z lekkim materiałem, opadającym luźno do jej stóp — był wręcz skromny. Dzięki niezaprzeczalnemu talentowi blondynki okazał się jednak idealnym odzwierciedleniem wymarzonego projektu Josie, chociaż wcześniej nawet nie sądziła, że taki ma.

Moment zachwyty przerwał im dźwięk otwieranych drzwi, który spowodował paniczne poruszenie, gdy zorientowały się, że to Chase ma zamiar dostać się do środka.

— Sanderson, jeszcze jeden krok, a przysięgam, że zrobię ci takie krwawe gody, że cię nawet twoja przyszła żona przy ołtarzu nie pozna! — zagroziła Valerie, ruszając w jego stronę, podczas gdy dwie pozostałe kobiety usilnie starały się zakryć Josie przed wzrokiem chłopaka.

Drzwi zamknęły się posłusznie w reakcji na groźny ton dziewczyny, jednak chwilę później z korytarza dobiegł głos Archera:

— Zostałem wysłany jako posłaniec i mediator. Nie wolno zabijać posłańca, takie jest prawo. Mogę wejść?

Valerie posłała Josie pytające spojrzenie i otworzyła niechętnie, gdy ta kiwnęła głową.

— Melduję, że pan młody jest gotowy do wyjazdu i na skraju załamania nerwowego. Przed wyjazdem chciałby uzyskać audiencję u swojej królowej.

Archerowi jako jedynemu nerwowa atmosfera i pośpiech wydawały się w ogóle nie udzielać, a nawet był jeszcze bardziej radosny niż zazwyczaj. Jego wyraz twarzy zmienił się, dopiero gdy jego wzrok padł na Josephine.

— Kruszynko... — Patrzył na przyjaciółkę szczerze wzruszony, z mieszaniną dumy i zachwytu.

— Nie. Żadnego *kruszynko* i ckliwego gadania, bo Josie za chwilę znowu zacznie płakać, a wtedy już nigdy stąd nie wyjdziemy — wciąła się Valerie, stając przed Archerem, by odwrócić jego uwagę. — A Chase'owi przekaż, że żadnego oglądania panny młodej przed ślubem, bo to przynosi pecha. Zobacz ją przy ołtarzu, a teraz wynocha.

— Oj, już nie bądź taka surowa. — Błysnął uśmiechem w jej kierunku. — Daj im chociaż porozmawiać przez drzwi. Dwie minuty ich nie zbawią, a ja będę mógł mówić, że wykazałem się jako družba.

— Dwie minuty — zaznaczyła kategorycznie i usiadła na łóżku, podczas gdy pozostali wychodzili, by dać parze młodej trochę prywatności.

Ona jednak za bardzo wzięła sobie do serca przesąd, że pan młody nie może widzieć swojej przyszłej żony w sukni, i nie miała zamiaru podejmować ryzyka, zostawiając ich samych.

— Jose?

Stłumiony głos odwrócił uwagę Josie, która toczyła walkę na spojrzenia ze swoją upartą przyjaciółką.

— Chciałem się dowiedzieć, jak się masz. Bo wiesz, wciąż możemy to odwołać, jeśli nie czujesz się wystarczająco dobrze. Mamy całe życie, żeby się pobrać, a wasze zdrowie jest najważniejsze.

— Po moim trupie, Sanderson. — Chase już wcześniej tego dnia sugerował odłożenie ślubu, ale Josie nawet nie brała tej możliwości pod uwagę. — Już trochę za późno, żeby tchórzyć. Nie wywiniesz się z tego małżeństwa — zażartowała, chcąc uspokoić jego obawy. Sama z każdą

chwilą czuła się lepiej i miała zamiar zapomnieć o wcześniejszych trudach, by w pełni cieszyć się ich wyjątkowym dniem.

— Chcę mieć po prostu pewność, że nie wystawisz mnie do wiatru — bronił się, ale Josie mogła wyczuć, że się uśmiecha.

— Spokojnie, przyjdę. Głupio byłoby się nie pojawić na własnym ślubie.

Zdawali sobie sprawę, że nie mają czasu na żartobliwe pogawędki, ale ta rozmowa była jak na razie najspokojniejszym punktem tego dnia i oboje zaczęli się w końcu relaksować.

— W takim razie biorę Archera i wyjeżdżam. — Zgodnie z planem Chase miał pojechać do kapliczki jako pierwszy, a razem z nim reszta gości, by wszyscy byli już swoich miejscach, gdy Josie przyjedzie z Williamem, który miał ją poprowadzić do ołtarza. — Do zobaczenia w kapliczce.

— Jeśli zobaczysz głupio szczerzącą się ze szczęścia idiotkę w białej sukience, to będę ja.

— A ja będę tym frajerem, który prawdopodobnie popłacze się z zachwytu na twój widok — odpowiedział tym samym, na w pół żartobliwym tonem. — Tylko nie pomył mnie z Archerem. — Na kilka sekund zapadła cisza i Josie sądziła, że odszedł, gdy odezwał się ponownie: — Kocham cię, Jose. Najbardziej na świecie.

— Ja ciebie też — odpowiedziała bez wahania, czując, że po raz setny tego dnia jej oczy zapelniają się łzami.

Rzadko sobie mówili te słowa, nawet bez zapewnień doskonale wiedząc o swojej miłości. Dlatego za każdym razem, gdy je wypowiedzieli, były one wyjątkowe.

— Zgaduję, że to moment, w którym powinienem zapytać, czy jesteś pewna, i powiedzieć, że jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, to wciąż możemy stąd zwać. — William przerwał chwilową ciszę, gdy wysiedli z samochodu.

Ponieważ liczba gości ograniczała się wyłącznie do ich niewielkiej grupki, zamiast głównego kościoła w Seaport zdecydowali się na kameralną

drewnianą kapliczkę położoną na wzniesieniu ponad miasteczkiem. Ten wybór umożliwił im także uzgodnienie terminu w tak szybkim tempie.

— Ale ty przecież jesteś pewna, prawda?

— Jak niczego na świecie — powiedziała, po raz ostatni ogarniając wzrokiem rozciągający się wokół widok na miasteczko i morze. Leniwie chyłące się ku zachodowi lipcowe słońce odbijało się w tafli wody, dodając scenerii uroku.

— W takim razie wydajmy cię za mąż — rzucił z ciepłym uśmiechem, wyciągając do niej rękę, którą przyjęła, łapiąc go pod ramię.

— Tylko łap mnie, jeśli się potknę — dodała w ostatniej chwili, gdy przekroczyli próg, a w pomieszczeniu rozbrzmiały dźwięki muzyki puszczonej z telefonu Ethana.

Ponieważ wyposażenie skromnej kapliczki ograniczało się do prostego ołtarza i kilku drewnianych ławek, ksiądz udzielający im ślubu żartował, że o oprawę muzyczną muszą zadbać sami.

I chociaż zapewne miał na myśli, że ktoś z gości mógłby zagrać na jakimś instrumencie, przyjaciele pary młodej wpadli na lepszy pomysł i nadali tej uroczystości nieco humorystyczny nastrój.

Archer stojący przy boku Chase'a z trudem powstrzymywał głośny śmiech, ignorując mordercze spojrzenia, jakie posyłała mu równie rozbawiona Valerie, ale Josephine nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Podobnie jak ledwo rejestrowała fakt, że w tle w ogóle gra muzyka.

W tamtym momencie istniał dla niej wyłącznie Chase i jego spojrzenie pełne niezaprzeczalnej miłości, która przepełniała jego serce. Żadne słowa nie oddałyby wszystkich emocji, które im towarzyszyły, gdy patrzyli sobie w oczy ze świadomością, że za chwilę zostaną małżeństwem. Bo nawet jeśli ślub nie zmieniał między nimi wiele ani nie sprawiał, że będą kochali się bardziej, był ostatecznym potwierdzeniem faktu, że należą do siebie.

Ocknęła się, dopiero gdy William doprowadził ją do końca, a muzyka ucichła nagle, powodując ciche parsknięcie któregoś z przyjaciół. Chase wyciągnął rękę, by przejąć jej dłoń od brata, i Josie widziała, że jego własna drży równie mocno jak jej.

William poklepał bruneta w przyjacielskim geście i dołączył do Crystal i Nicole, podczas gdy Chase i Josie odwrócili się w stronę kapłana.

— Zebraliśmy się tutaj, by w obecności Boga być świadkami zawarcia związku małżeńskiego — oznajmił ten, spoglądając również na pozostałych, a zgromadzeni spoważniali, chociaż ich twarze wciąż były rozciągnięte w uśmiechach pełnych szczęścia.

Sama uroczystość była znacznie skróconą i uproszczoną wersją tradycyjnej liturgii, dlatego zanim się obejrzel, przyszedł czas na złożenie przysięgi.

— Ja Chase, biorę cię, Jose...phine — zaciął się, gdy z przyzwyczajenia chciał użyć zwyczajowego zdrobnienia — za żonę i ślubując ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Josie włożyła naprawdę wiele wysiłku w powstrzymanie łez, które stały w jej oczach, ale udało jej się powtórzyć tę samą przysięgę, chociaż głos drżał jej z emocji, wywołując czuły uśmiech Chase'a.

Gdy przyszła kolej na obrączki, pan młody odwrócił się do swojego drużby. Archer zadowolony, że nadszedł czas na odegranie jego roli w uroczystości, sięgnął do kieszeni swojego garnituru. Sekundę później uśmiech na jego twarzy zmienił się w panikę.

— Zapomniałem obrączek — wyznał i zaczął desperacko poklepywać się po marynarce i przeszukiwać kieszenie, by za chwilę znów się roześmiać. — Żartowałem, żartowałem. Spokojnie — przyznał beztrasko, nie zważając na to, że Chase wygląda, jakby miał się rzucić na przyjaciela.

— Jak go teraz zabiję, to pójdę do piekła czy Bóg mi wybaczy? — zwrócił się do księdza, który jedynie zgromił go spojrzeniem.

Josie podejrzewała, że po wszystkim, co kapłan widział, zapewne stwierdzi, że są grupą kompletnych wariatów. I właściwie nie pomyliłby się za bardzo.

Jakimś cudem jednak udało im się wymienić obrączkami i bez kolejnych niespodzianek dotrzeć do końca liturgii.

— Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Nachylili się do siebie w akompaniamencie głośnych okrzyków i oklasków przyjaciół.

— A więc stało się. Oficjalnie jesteś na mnie skazana do końca życia — rzucił zaczepnie, odsuwając się.

— Mówisz tak, jakbym wcześniej nie była — odgryzła się tym samym tonem.

Jej świeżo upieczony mąż poprowadził ją do wyjścia z kapliczki, by mogli odebrać gratulacje od rodziny.

— Nie wiem jak wy... — Archer zaczął, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Wszyscy czuli, że w końcu mogą westchnąć z ulgą i cieszyć się szczęściem pary młodej. Cały stres powoli odchodził w zapomnienie.

— ...ale ja myślę, że wszyscy zasłużyliśmy na porządną lampkę szampana, żeby uczcić ewidentny cud, jakim jest to, że ten ślub doszedł do skutku. Dla pani Sanderson oczywiście wersja bezalkoholowa.

Josie zaśmiała się ze słów przyjaciela, wtulając w bok męża. Zdecydowanie będzie potrzebowała czasu, by przywyknąć do myśli, że w końcu została *panią Sanderson*.

Sześć miesięcy później

Josie stała przed dużym lustrem w sypialni, krytycznym wzrokiem obserwując swoje odbicie. Za oknem, o które lustro było tymczasowo oparte, widziała tworzące się na morzu bałwany z piany i zadrżała na samą myśl o przeszywającym wietrze i mroźnej pogodzie na zewnątrz.

Czas od ich ślubu leciał nieubłaganie i zanim się obejrzel, świętowali swoje pierwsze Boże Narodzenie jako małżeństwo. Wraz z początkiem nowego roku rozpoczęło się nerwowe odliczanie dni do zbliżającego się porodu.

Chociaż Josie wciąż czuła nutkę paniki na myśl o byciu mamą, dwa tygodnie przed planowanym terminem, wyznaczonym na przełom stycznia i lutego, nie marzyła o niczym innym, tylko o tym, by było już po wszystkim.

Strach przed nieznanym nie mógł się równać z pragnieniem pozbycia się dodatkowego ciężaru, który na tym etapie ciąży utrudniał jej nawet najprostsze codzienne czynności. Już w grudniu, kiedy całą rodziną

spędzali wspólnie święta, Archer śmiał się, że chyba nie może dłużej nazywać jej kruszynką.

— Jose?

Wzdrygnęła się zaskoczona, gdy za jej plecami rozległ się głos Chase'a, który wrócił do domu, i pospiesznie ściągnęła poły puchatego szlafroka. Chłopak objął ją od tyłu, zanim zdążyła się odwrócić w jego stronę.

— Czy ty się przede mną zakryłaś? — zapytał z rozbawieniem.

— Nie. — Josie uśmiechnęła się niewinnie, jednocześnie próbując odsunąć się od zmarzniętego ciała męża.

Chase jednak uparcie trzymał ją w swoim uścisku, wtulając zimny policzek w jej odkrytą szyję.

— To dobrze, bo w innym wypadku musiałbym ci pokazać, jak bardzo kocham twoje ciało. — Posłał jej w lustrze wredny uśmiech, wsuwając lodowato zimne dłonie pod jej ubranie.

Pisnęła zaskoczona, obracając się przodem do zadowolonego bruneta, bo stojąc w ten sposób, dzięki ciężowemu brzuszkiowi zyskiwała dodatkową przestrzeń.

— Czuję się jak wieloryb — wyznała w końcu zrozpaczonym głosem.

Chase na szczęście zdążył już przywyknąć do tego typu narzekań swojej ciężarnej żony i potrafił sobie z nimi radzić.

— W takim razie jesteś najpiękniejszym wielorybem na świecie.

— Umiesz pocieszyć — prychnęła, ale pozwoliła się zaprowadzić w stronę łóżka. Posłusznie poddała się zamiarom Chase'a, który gestem wskazał, by się położyła, po czym sam opadł obok na wysokości jej brzucha.

— Widzisz, ona się ze mną zgadza — zauważył radośnie, gdy dziecko postanowiło dać o sobie znać, a na odkrytym brzuchu Josie zaczęły pojawiać się niewielkie wybrzuszenia.

— Jak zawsze. Córeczka tatusia — skomentowała ze złośliwym uśmieszkiem, bo ich dziecko często reagowało na głos Chase'a.

Wciąż pamiętała pierwszą reakcję bruneta, gdy był świadkiem, jak zaczęło kopać. Teraz stało się to już normą, jednak Chase z niezmiennym zachwytem podziwiał ten mały spektakl w wykonaniu ich dziecka.

Josie z kolei obserwowała jego wzruszenie, które wciąż budziło w niej to samo szczęście, chociaż mężczyzna podobnie reagował na wszystko, co wiązało się z jego córką.

— Ciekawe, gdzie kobieca solidarność — skrzywiła się, gdy poczuła mocniejsze kopnięcie.

— Hej, księżniczko, spokojnie — odezwał się ciepłym głosem, palcami śledząc miejsca, w których pojawiały się ślady ruchów dziecka. — Oszczędzaj siły, jeszcze razem damy mamie w kość, jak podrośniesz — obiecał, składając pocałunek na niewielkim wybrzuszeniu.

Chase ucieszył się na wieść, że zostanie ojcem. Jednak tamta radość okazała się niczym w porównaniu z tym, jak przyjął wiadomość, że będą mieli córeczkę. Od momentu, gdy usłyszał bicie jej serduszka i rozplakał się w gabinecie lekarskim, miał wręcz obsesję na punkcie swojej małej dziewczynki.

Valerie śmiała się, że Josie powinna czuć się zazdrosna, jednak stosunek męża do ich nienarodzonego dziecka rozczulał ją do tego stopnia, że nie byłaby w stanie.

— Będziesz świetnym tatą. — Posłała mu uśmiech, przeczesując jego ciemne włosy.

— A ty będziesz wspaniałą mamą. — Chase przesunął się wyżej i przyciągnął żonę do siebie, by złożyć pocałunek na jej czole.

— Nie mogę się doczekać, aż będziemy mogli się o tym przekonać. — Westchnęła, gładząc brzuch. Oczekiwanie na poród było pełne różnych emocji, jednak przede wszystkim czuła ekscytację.

— Już niedługo. Szybko zleci i za chwilę będziesz mogła wziąć ją na rękę.

Może wciąż mieli dość mgliste pojęcie o rodzicielstwie, a życie szybko miało skonfrontować ich wyobrażenia z rzeczywistością, ale ogrom miłości, jaką oboje darzyli swoją nienarodzoną córeczkę, nie pozostawiał wątpliwości, że będą dobrymi rodzicami.

Chase sam nie zdawał sobie sprawy, ile prawdy było w jego słowach, gdy mówił, że czas do porodu szybko zleci, dopóki nie został obudzony

w środku nocy, by usłyszeć od żony, że zaczęła rodzić. Jeśli miałby być szczerzy — wszystko od tamtego momentu pamiętał jak przez mgłę i miał wrażenie, że zanim zdążył pojąć, że to dzieje się naprawdę, było już po wszystkim.

W rzeczywistości nie było to niestety takie proste i wymagało kilku godzin bólu i krzyku Josie, głównie na Chase'a, który miał ją wspierać, a na sali porodowej trzymał się gorzej niż ona.

W końcu jednak Destiny Florence Sanderson z głośnym płaczem pojawiła się na świecie, rekompensując swojej mamie cały trud, na jaki ją skazała. Moment, w którym pielęgniarka położyła Josephine dziewczynkę na rękach i wraz z Chase'em, nawet nie próbującym powstrzymać łez na widok swojej córki, zobaczyli ją po raz pierwszy, był jednym z najpiękniejszych w jej życiu.

Gdy zostały wypisane ze szpitala i we trójkę mogli wrócić do domu, Josie, chociaż obolała i zmęczona, przede wszystkim była też szczęśliwa.

Chase, mimo że nie popisał się na sali porodowej, to po powrocie do domu był dla niej nieopisanym wsparciem. Mając w pamięci zachowanie Ethana, który przez kilka pierwszych dni bał się nawet brać swoją córkę na ręce, Josie zastanawiała się, czy jej mąż będzie miał podobne opory przed zajmowaniem się noworodkiem. Jednak zaskoczył ją i jednocześnie już wtedy dowiódł, że miała rację, gdy mówiła, że będzie świetnym ojcem. Z całą swoją troskliwością wobec żony był gotowy wyręczać ją we wszystkim poza karmieniem, by dać jej czas na potrzebne wypoczęcie.

Tym sposobem gdy tylko Josie nakarmiła i odłożyła śpiącą dziewczynkę do łóżeczka, została wręcz wygoniona z sypialni dziecka z poleceniem, by poszła się położyć, podczas gdy Chase będzie czuwał nad Destiny.

Z początku protestowała, ale brunet był nieustępliwy, a ona zbyt wykończona, by się kłócić. I chociaż półtorej godziny później, gdy została obudzona, by przystawić małą do piersi, czuła się o niebo lepiej, Chase znów ją odprawił i wysłał pod prysznic.

— Patrzysz na nią w taki sposób, że naprawdę zaczynam czuć się zazdrosna — powiedziała cicho, gdy po kąpieli stanęła w drzwiach dziecięcej sypialni.

Chase nadal był w tym samym miejscu, ze wzrokiem utkwionym w śpiącym noworodku siedział na podłodze, opierając się plecami o ścianę przy łóżeczku. Nie była pewna, czy w ogóle ruszał się stamtąd przez cały dzień.

— Powinnaś być. — Uśmiechnął się, widząc, że Josie wygląda już o wiele lepiej i powoli wraca do formy. — Po raz pierwszy w naszej historii masz poważną konkurencję o moje serce.

Zawsze wierzył, że nie będzie w stanie pokochać nikogo z taką mocą, z jaką kochał Josie. Sądził, że miała jego serce na wyłączność i nic, nawet sześć lat rozłąki, nie było w stanie tego zmienić. Była jego jedyną miłością.

Ale kiedy dowiedział się o ciąży, wiedział już, że się mylił, bo zrodziła się w nim nowa, zupełnie inna miłość, która rosła z każdym dniem, gdy na własne oczy widział, jak rozwija się dziecko. A potem Destiny przyszła na świat i całkowicie zawładnęła jego sercem od pierwszego momentu, gdy tylko wziął ją na ręce. Od tamtej chwili były już dwie osoby, dla których bez wahania byłby w stanie spalić świat.

A Josie, znając go na wylot, wiedziała to wszystko i kochała go za to jeszcze bardziej.

— Myślę, że jakoś się tam obie pomieścimy. — Podeszła do mężczyzny, usiadła obok niego na podłodze i oparła głowę na jego ramieniu.

Przez krótką chwilę oboje w ciszy wpatrywali się w śpiącą dziewczynkę.

— Jest taka malutka.

Josie nie mogła powstrzymać uśmiechu na zachwyty w głosie Chase'a.

— Nie wydawała się taka, kiedy musiałam ją z siebie wypchnąć.

— Jestem z ciebie cholernie dumny. — Objął żonę ramieniem, całując w czoło. — Obie byliście dzielne. Nasza córka będzie silna jak jej mama.

— Na szczęście w przeciwieństwie do mnie nie będzie musiała taka być. — Josephine była silna, bo nie miała innego wyjścia. Od wczesnego dzieciństwa była całkiem sama przeciwko rodzicom. Już dawno obiecała sobie, że jej córka nigdy nie będzie musiała doświadczyć tego, co ona. — To niesamowite, że ona nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest kochana.

— I przez jak wielu ludzi — dodał.

Sam miał dzieciństwo i rodzinę dalekie od ideału, dlatego doskonale rozumiał, co Josie miała na myśli. I podobnie jak ona był szczęśliwy, że ich córka będzie miała dom pełen miłości i ludzi, którzy zawsze będą przy niej.

Wszyscy ich przyjaciele wyczekiwali jak na szpilkach momentu, w którym będą mogli przyjechać, by poznać nowego członka rodziny. Na razie powstrzymywał ich fakt, że młodzi rodzice najpierw chcieli nacieszyć się szczęściem we dwójkę, ale i tak nie dawali im więcej niż tydzień, zanim całą paczką zjadą się do Seaport.

— Jest tyle rzeczy, których będziemy musieli ją nauczyć, które trzeba jej opowiedzieć — wymieniała, gdy spadała na nią świadomość tego, że są odpowiedzialni za przekazanie jej odpowiednich wartości. Za nauczenie życia.

— Samo opowiedzenie naszej historii zajmie nam dobrych kilka lat — zażartował. — Może zrobimy z tego bajkę na dobranoc, gdy już trochę podrośnie.

— O księciu z bajki i księżniczce-idiotce, która prawie wybrała ropuchę? — odpowiedziała z ironią. — Nie jestem pewna, czy jesteśmy dobrym materiałem na dobranockę.

— Możemy pominąć kilka fragmentów — zaproponował z czułym uśmiechem. — Wyrzucimy ropuchę z tej historii i jakoś to będzie.

— Najważniejsze, że jak na porządną bajkę przystało, mamy szczęśliwe zakończenie. — Wyciągnęła rękę w jego stronę, by spleść dłonie, na których mieli obrączki.

— To na pewno, chociaż jeszcze daleko nam do zakończenia. Wciąż jesteśmy dopiero na początku naszego bajkowego życia.

Pięć miesięcy później

Życie z małym dzieckiem w rzeczywistości było dalekie od *bajkowego*, o czym przekonali się, gdy rozpoczął się maraton kolek, nieprzespanych nocy i płaczu, nie tylko Destiny.

Josie w takich momentach przeklinała swoje doświadczone w macierzyństwie przyjaciółki. Były tak skupione na opowiadaniu o pozytywach

bycia mamą i pięknych chwilach, jakie ją czekają, że ani słowem nie uprzedziły, że serce będzie jej pękać za każdym razem, gdy będzie musiała słuchać histerycznego płaczu swojego dziecka, nie mogąc go uspokoić.

Z kolei gdy kolki dobiegły końca i Josie powoli zaczynała mieć nadzieję, że przestanie funkcjonować jak zombie, Destiny zaczęła ząbkować, skazując rodziców na serię nowych, niekoniecznie przyjemnych wrażeń, i poszerzając ich bagaż rodzicielskich doświadczeń.

— Wróciłem — rzucił Chase w głąb domu, zdejmując buty. — Jose?

Nie musiał długo czekać, by Josephine pojawiła się w zasięgu wzroku. Posłała mu mordercze spojrzenie.

— Ciszej. Dopiero zasnęła.

— Wyglądasz, jakby nieźle dała ci w kość. — Uśmiechnął się pod nosem, podchodząc do żony, by ją pocałować.

— Twoja córka kiedyś mnie wykończy — poskarżyła się, a Chase nie mógł powstrzymać śmiechu.

W takich chwilach to zawsze były *jego* córka i *jego* charakter, który według Josie miała odziedziczyła. Za to kiedy Destiny wracała do bycia najwspanialszym dzieckiem na świecie, była już ukochaną córeczką mamusi.

Chase rozumiał zmęczenie Josie, ale chociaż chciał, niewiele mógł zrobić, by ją odciążyć. Jedno z nich musiało pracować, więc znaczną część dnia spędzał w antykwariacie, pozostawiając żonie zajmowanie się dzieckiem i domem.

I chociaż przez zdecydowaną większość czasu Josie sprawdzała się świetnie w roli mamy, przychodziły dni takie jak ten, kiedy marudność dziewczynki ją pokonywała. Chase nie zliczyłby, ile razy po powrocie z pracy zastawał swoją ukochaną z oczami podkrążonymi od płaczu oraz zarwanych nocy, potarganymi włosami i plamami z marchewkowego purée na koszulce, a w domu unosił się zapach spalonego obiadu.

— W takim razie ja przejmuję dowodzenie, a ty masz wolne — zaproponował, ciasno obejmując ją w pasie. — Weźmiesz sobie długą kąpiel, a później pójdziesz na spacer i zadzwonisz do Archera, żeby ponarzekać na życie. Ja w tym czasie zajmę się naszym małym potworem

i może zrobię nam kolację. Wieczorem położymy Dessie spać i spędzimy miły wieczór. Co ty na to?

Szeroki uśmiech, który wypłynął na usta Josie, niezmiennie sprawiał, że jego serce zaczynało bić szybciej.

— Jesteś najlepszym mężem pod słońcem, wiesz o tym? — zapytała, wspinając się na palce, by go pocałować. Każdego dnia dziękowała losowi za to, że miała szczęście trafić na kogoś tak wspaniałego jak Chase. Nie wyobrażała sobie, co by zrobiła bez jego wsparcia.

— Staram się, jak mogę. — Wzruszył ramionami, wywołując jej cichy śmiech. — Ale żeby nie było, że jestem taki idealny, nie robię tego całkiem bezinteresownie.

Josie starała się ignorować przyjemny ucisk w brzuchu, gdy poczuła dłoń mężczyzny wędrującą na jej pośladki. Już dawno pogodziła się z tym, że prawdopodobnie nawet po kilkudziesięciu wspólnych latach wciąż będzie na niego reagować jak zakochana nastolatka.

— Zobaczmy, jak się spiszesz na swojej warcie. — Pocałowała go przelotnie po raz ostatni, zanim wyswobodziła się z jego objęć i ruszyła w stronę schodów.

— Biorę to za „tak” — rzucił z pewnością siebie, ale Josie jedynie pokręciła głową, śmiejąc się pod nosem, chociaż pewność Chase’a nie była nieuzasadniona.

Sprawował się bezbłędnie nie tylko jako mąż. Był też równie świetnym tatą i Josie wiedziała, że bez obaw może go zostawić z Destiny i pozwolić sobie na chwilę odpoczynku bez martwienia się, czy poradzi sobie ze wszystkim sam.

Tym razem również się nie myliła i po raz pierwszy tego dnia przez ponad godzinę, którą spędziła w łazience, nie dotarł do niej nawet najmniejszy płacz Destiny.

Gdy w końcu zdecydowała, że podładowała baterie na tyle, by zejść na dół, przypadkowo natrafiła na poważną rozmowę Chase’a z ich pięcioletnią córką, leżących razem na macie rozłożonej w salonie.

— Musisz czasem trochę odpuścić mamie, wiesz? — W odpowiedzi dostał radosny śmiech dziewczynki, gdy połaskotał ją po brzuszku.

— Mówię poważnie. Jak tak dalej pójdzie, to mama w życiu nie zgodzi się na rodzeństwo dla ciebie, a przecież chcesz brata, prawda?

Tym razem odpowiedziało mu wesołe gaworzenie, ale Chase wziął to za zgodę.

— Prawda. — Usiadł i pomachał dziewczynce grzechotką nad głową. — Widzisz, wiedziałem, że się dogadamy, księżniczko. Musisz mieć brata, bo ktoś musi mi pomóc pilnować, żeby nie kręcili się wokół ciebie nieodpowiedni chłopcy, jak dorośniesz.

— Co tam spiskujecie? — odezwała się Josie, dając znać o swojej obecności. Nachyliła się nad Chase'em i objęła go od tyłu.

— Tajemnica. — Podniósł głowę w kierunku Josie, by ją pocałować, ale przerwał im kolejny śmiech dziewczynki, której udało się przewrócić na brzuch i teraz wpatrywała się w rodziców swoimi dużymi niebieskimi oczami. — Nie mam pojęcia, dlaczego na nią narzekasz. Przecież nasza córka to aniołek.

Wyrzynające się zęby, które męczyły ją cały dzień i wprawiały w marnudny nastrój, musiały na chwilę dać jej spokój i dziewczynka w końcu miała dobry humor.

— Teraz tak — zgodziła się Josie z ironią. — Wygląda na to, że obecność taty działa cuda.

Destiny przewróciła się z powrotem na plecy i wyciągnęła rączki w stronę mamy, więc dziewczyna ukucnęła, by ją podnieść.

— Jak tam twoje wolne? — Chase uśmiechnął się kpiąco, obserwując działania żony. Zawsze robiła to samo. Chociaż narzekała, że jest zmęczona, nie potrafiła zbyt długo być z dala od córki, nawet gdy miała okazję odpocząć. — Miałś iść na spacer.

— Możemy pójść we trójkę — zaproponowała, podrzucając delikatnie córkę, co spowodowało jej śmiech. — Chyba że teraz ty chcesz odpocząć, to pójdziemy we dwie. Świeże powietrze dobrze jej zrobi i może będzie lepiej spała w nocy.

— W takim razie chodźmy. — Również podniósł się z podłogi i przeniósł spojrzenie na Josie. — Jesteś pewna, że nie chcesz jeszcze trochę czasu dla siebie?

— Jestem pewna, że chcę spędzić trochę czasu z moim mężem i córką. Kochali Seaport, które stało się ich domem, jednak dopiero od niedawna wiosenna pogoda pozwalała im zabierać Destiny w miejsca, które były świadkami początków ich wspólnej historii. Wykorzystywali więc każdą nadarzającą się okazję, by to zrobić, z nadzieją, że córka również zarazi się miłością do miasteczka, w którym będzie dorastać.

Wieczorem, gdy już wspólnie wykąпали i uśpili dziewczynkę, leżeli wtuleni w siebie na kanapie w salonie, obserwując leniwie tłący się w kominku ogień i zwyczajnie ciesząc się chwilą spokoju i własnym towarzystwem. Mimo całej miłości do Seaport życie w oddaleniu od przyjaciół miało też swoje minusy. Na co dzień byli zdani wyłącznie na siebie i czasem brakowało im wsparcia rodziny, która mogłaby na jeden wieczór odciążyć ich od rodzicielskich obowiązków, by mogli skupić się wyłącznie na sobie.

Dlatego wieczory takie jak ten, kiedy oboje nie padali z nóg i nie marzyli wyłącznie o chwili snu, zanim zostaną obudzeni płaczem dziecka, zdarzały się dosyć rzadko. Tym bardziej doceniali momenty, gdy tak po prostu mogli ze sobą pobyc.

— William dziś do mnie dzwonił. — Josie przerwała komfortową ciszę, decydując się podzielić ciężarem, który spoczywał na niej od rana. Bo chociaż Chase bezbłędnie odczytał jej zmęczenie i potrzebę odpoczynku, nie domyślał się, że istniał więcej niż jeden powód tego stanu jego żony. — Nasz ojciec nie żyje.

Poczuła, że leżące pod nią ciało tężeje, a oplatające ją ramiona wzmacniają swój troskliwy uścisk.

— Jak się z tym czujesz?

— Nie wiem — wyznała szczerze. Cały dzień próbowała rozgrzyźć różnicę pomiędzy tym, jak rzeczywiście się czuje, a tym, jak według podpowiedzi podświadomości *powinna* się czuć. — Nie czuję się jak córka po śmierci ojca, ale jednocześnie...

— ...w jakiś sposób cię to dotknęło — dokończył za nią. — Mogłaś go nienawidzić, ale to nie znaczy, że jego śmierć będzie cię cieszyć. I to w porządku, ja też nie skakałem z radości, jak moja matka się zaćpała.

Uniosła głowę z jego klatki piersiowej, by spojrzeć mu w oczy.

— Zostaliśmy zaproszeni na pogrzeb.

— My? — upewnił się, bo rodzina jego żony raczej nie darzyła go sympatią, ale Josie skinęła głową.

— Moja matka poprosiła Williama, żeby nas zaprosił w jej imieniu — wyjaśniła, skupiając wzrok na tatuażu Chase'a. — To podobno część tej wielkiej zmiany, o której William wspominał, gdy nas ostatnio odwiedzili.

Anthony Sinclair chorował od dawna i jeśli wierzyć słowom brata Josie, świadomość, że prawdopodobnie nie pozostało mu wiele czasu, wpłynęła na Lillian. Tak jakby dopiero w obliczu nadchodzącej straty zaczynała rozumieć popełnione liczne błędy. Według Williama i Crystal kobieta próbowała zmienić swoje postępowanie.

— Wierzysz w to?

Josephine bez zastanowienia pokręciła głową. Nie wierzyła w to, że cokolwiek mogłoby naprawdę zmienić jej matkę, a nawet jeśli, to nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Lillian mogła nawet zostać świętą, ale to nie wymazywało przeszłości.

— To dlaczego wyglądasz, jakbyś chciała jechać do Moreton?

Nie byli tam ani razu, odkąd wyjechali do Birmingham, i nie zamierzali tego zmieniać. A przynajmniej tak było przez ostatnie trzy lata. Ale teraz Chase widział wahanie w oczach Josie.

— Czy to zrobi ze mnie okropną osobę, jeśli powiem, że chcę jechać, ale nie dla niej, tylko dla własnej satysfakcji? — Nie czuła się dobrze z własnymi myślami, ale wiedziała, że Chase nie będzie jej oceniał. — Wyrzucili mnie z rodziny przekonani, że skończę na dnie, bo przecież wybrałam narkomana. Prawdopodobnie nawet nie podejrzewali, że wytrwam tak długo sama. Chcę spojrzeć jej w twarz i zobaczyć jej minę, gdy zrozumie, jak bardzo się co do nas myliła.

Na prośbę Chase'a i Josie William wraz z Crystal przez ostatnie lata zachowywali w tajemnicy wszystko, co dotyczyło ich życia. Chociaż wątpiła, że Anthony i Lillian w ogóle interesowali się tym, co się działo z ich córką, to nawet jeśli tak było, nie mieli żadnego sposobu, by mogli

się czegokolwiek dowiedzieć. Jej matka nie miała nawet pojęcia o tym, że drugi raz została babcią.

Chase rozumiał, dlaczego Josephine chciała to zrobić. Zdawał sobie sprawę, że jako dorośli i przede wszystkim jako rodzice powinni zachowywać się dojrzałe, ale nie mógł zaprzeczyć, że sam miał coś do udowodnienia miastu i jego mieszkańcom, którzy odkąd był dzieckiem, czekali, aż skończy jak jego matka.

— Wygląda na to, że czeka nas wycieczka do Moreton. Archer się ucieszy.

Ostatecznie zawsze mogli powiedzieć, że wykorzystali okazję jako pretekst, by spotkać się z najbliższymi. Wciąż nie brzmiało to najlepiej, ale przynajmniej nie tak źle jak to, że zwyczajnie chcieli się odegrać.

Powrót do Moreton po trzech latach był niemal tak samo dziwny jak udawanie córki pogrążonej w żałobie po stracie ojca.

Wcześniej planowali, że na cmentarzu staną gdzieś z boku i wtopią się w tłum żałobników, którzy przyszl, ponieważ tak wypadało. Jednak William, który w przeciwieństwie do Josephine był szczerze przygnębiony śmiercią Anthony'ego, poprosił ją, by razem z Chase'em i śpiącą w wózku Destiny zajęła miejsce obok niego i Crystal. To sprawiło, że skończyła zdecydowanie zbyt blisko matki, która na szczęście ani razu się do nich nie odezwała.

Kolejnym zaskoczeniem było dla niej to, że gdy ceremonia dobiegła końca, zebrani podchodzili do niej, by złożyć kondolencje, jakby naprawdę straciła kogoś ważnego i zasługiwała na wyrazy współczucia. Wszystko to sprawiało, że niemal czuła wyrzuty sumienia, że nie oplakuje człowieka, który jej nienawidził i wyrzucił ją z rodziny.

Zdążyła zacząć żałować decyzji o przyjeździe, jeszcze zanim mężczyzna, który rozprawiał o tym, jakim wspaniałym człowiekiem był jej ojciec, w końcu się z nią pożegnał i został zastąpiony przez znajomą twarz. Twarz, która była ostatnią, jaką chciała spotkać zarówno tamtego dnia, jak i przez resztę swojego życia.

— Witaj, Josephine.

Carter nie zmienił się ani trochę od dnia, gdy widziała go po raz ostatni, i wciąż prezentował się tak samo idealnie w swoim nieodzownym obrzydliwie drogim garniturze. Jediną różnicą było to, że w jego oczach nie było już nienawiści, z jaką patrzył na nią, gdy wychodziła z jego mieszkania.

— Przykro mi z powodu twojej straty.

— Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam — wyznała szczerze. Nie była przygotowana na to, że jeszcze kiedykolwiek będzie musiała z nim rozmawiać, i nie czuła się dobrze w jego towarzystwie. W duchu modliła się, by Chase zaraz do niej dołączył.

— Po twojej minie wnioskuję, że nie jest to dla ciebie miłe zaskoczenie — zauważył niezrażony, a wręcz rozbawiony. Zupełnie jakby byli dwojgiem przyjaciół z dawnych czasów.

— Raczej nie rozstaliśmy się w przyjaznych stosunkach, więc nie wiem, dlaczego miałabym się cieszyć na twój widok. — Po mężczyźnie, którego znała, spodziewała się, że wciąż będzie pałał do niej nienawiścią, jednak nic na to nie wskazywało i czuła się przez to niepewnie. Nie wiedziała, czego może się spodziewać po tej wersji byłego narzeczonego.

— Chciałem ci pogratulować — wyznał, a Josie w pierwszej sekundzie sądziła, że się przesłyszała. Oczekiwała na dalszą część wypowiedzi, podejrzewając, że początek był tylko wstępem do jakiejś kąśliwej uwagi, ale Carter wciąż patrzył na nią niemal przyjaźnie. — Widziałem cię w trakcie ceremonii z Chase'em i waszym dzieckiem. Wyglądacie na szczęśliwą rodzinę.

— Jesteśmy — wtrącił się trzeci głos, zanim Josephine zdążyła odpowiedzieć.

Jednocześnie poczuła silne ramię oplatające ją w talii.

— Gdzie Destiny? — Uniosła głowę, spoglądając na męża, ale Chase nawet na nią nie patrzył, uparcie mierząc Cartera morderczym wzrokiem.

— Z Crystal — wyjaśnił, nie spuszczając oczu z mężczyzny. — Tobie nie udało się znaleźć nikogo, kto byłby w stanie z tobą wytrzymać?

Josie dopiero w tym momencie zwróciła uwagę na fakt, że Carter jest sam, a na jego palcu nie widnieje obrączka.

— Niestety nie, ale cieszę się z waszego szczęścia. Naprawdę. — Wyciągnął dłoń w stronę Chase'a, który jednak zignorował ją, posyłając mu kolejne zimne spojrzenie.

Może był niedojrzały, ale naprawdę wiele kosztowało go powstrzymanie się przed przyłożeniem mu za wszystko, co zrobił w przeszłości, i Carter zdawał się to wyczuwać.

— Chyba czas na mnie. Jeszcze raz gratuluję. — Przeniósł wzrok na Josie i zawahał się na moment. — I przepraszam. Za wszystko.

Chase jeszcze przez chwilę usilnie próbował zabić go spojrzeniem, wpatrując się w oddalającą sylwetkę, aż w końcu zwrócił się do Josie.

— Czego chciał?

— Słyszałeś. — Wzruszyła ramionami kompletnie zbita z tropu. — Pogratulować i przeprosić. — Ani trochę nie wierzyła w tę nową wersję Cartera i czuła ulgę, że dziwna rozmowa dobiegła końca. — Mam dosyć tego miejsca. Chodźmy po Dessie i jedźmy do Archera.

Jej humor poprawił się znacznie, gdy przy wyjściu z cmentarza dostrzegła swoją córkę, która z wesołym uśmiechem wymachiwała rączkami w ramionach Crystal.

Nie zdążyli jednak podejść do kobiety, gdy zostali zatrzymani przez głos za plecami Josie:

— Josephine.

Odwróciła się, by zobaczyć matkę wspierającą się na ramieniu Williama.

Brat posłał jej przepaszające spojrzenie i odsunął się od Lillian, by dołączyć do swojej żony.

— Zostawię was — zaproponował Chase niechętnie, widząc, że jego teściowa ma problem ze znalezieniem odpowiednich słów, by zacząć rozmowę.

— Zaczekaj.

Chase posłuchał głównie z powodu zdziwienia faktem, że matka Josie się do niego zwróciła.

— Przepraszam — powiedziała, zadziwiając go jeszcze bardziej. — Przez te wszystkie lata źle cię oceniałam. Byłam zaślepiona i wiem, że to niczego nie zmienia, ale teraz rozumiem, że się myliłam.

Chase nie czuł się zobowiązany do udawania, że słowa kobiety robią na nim jakiekolwiek wrażenie, więc jedynie skinął głową i odszedł, zostawiając je same.

— Dziękuję, że przyjechałaś — powiedziała Lillian, spoglądając na córkę.

Josie nie mogła przestać dziwić się, jak bardzo matka zmieniła się od ich ostatniego spotkania.

Nie było nawet śladu po dumnej kobiecie pełnej chłodu, którą pamiętała. Ta stojąca przed nią nie mogłaby być nawet cieniem tamtej. Z twarzą poznaczoną licznymi głębokimi zmarszczkami wyglądała, jakby postarzała się o dobre dziesięć lat. Jej ramiona były przygarbione i Josie miała wrażenie, że żałobna sukienka przygniata ją swoim ciężarem.

Wyglądała żałośnie w porównaniu z obrazem z jej wspomnień, ale Josephine uświadomiła sobie okrutną prawdę, że nie potrafi znaleźć w sobie współczucia dla tej kobiety.

— Nie zrobiłam tego dla ciebie — sprostowała, nie chcąc, by kobieta sądziła, że to ona skłoniła ją do przyjazdu. — Przyjechałam ze względu na Williama.

— Rozumiem. — Skinęła głową z powagą. — Mimo wszystko cieszę się, że tu jesteś.

Nigdy wcześniej nie usłyszała takich słów od matki i nie spodziewała się usłyszeć, ale przyszły zdecydowanie zbyt późno, by robiły na niej wrażenie.

— Wiem, że nie zasługuję na twoje wybaczenie. Te wszystkie okropne rzeczy, które robiłam, wierząc, że postępuję właściwie i lepiej od ciebie wiem, co jest dla ciebie dobre... Tego nie da się zapomnieć, ale chcę, żebyś wiedziała, że rozumiałam swój błąd.

Josie nie była pewna, czy chce tego słuchać. Nie chciała burzyć swojego wyobrażenia o matce i zacząć postrzegać ją inaczej niż potwora, który niszczył jej życie. Mimo tego cierpliwie czekała, aż kobieta dokończy.

— Kiedy twój ojciec zachorował i dowiedziałam się, że go stracę, rozumiałam, że w swoim zaślepieniu zmarnowałam całe życie. Gdy wzięliśmy ślub, byliśmy młodzi i oboje chcieliśmy być kimś, wspierać się na szczyt, ale po drodze zgubiliśmy siebie.

— Wybaczam ci — powiedziała wbrew sobie, bo to nie była do końca prawda. Może chciała po prostu, by ta rozmowa dobiegła końca, a może robiła to z litości.

— Naprawdę? — Lillian spojrzała na nią ze zdziwieniem, a chwilę później jej wzrok przeniósł się za nią, na Destiny, która gaworzyła ze wzrokiem utkwionym w Chase trzymającym ją na rękach. — Nie miałam pojęcia, że mam wnuczkę. Jest bardzo podobna do ciebie. Czy mogłabym...

— Nie. — Josie przerwała jej stanowczo, domyśliwszy się dalszej części pytania. — Wybaczyłam ci, ale nie oczekuj niczego więcej. Nie oczekuj, że po jednej rozmowie zapomnę o przeszłości. W mojej głowie zawsze będziesz kobietą, która zrobiła piekło z mojego dzieciństwa. Nie zamierzam pozwolić ci zbliżyć się do mojej córki.

Nie podzieliła się tą myślą nawet z Chase'em, ale żal, który chowała do Lillian, zwiększył się jeszcze bardziej, gdy sama została matką. Kochała swoją córkę, jeszcze zanim dziewczynka się urodziła, ale nawet ta miłość nie mogła równać się z uczuciem, które ogarnęło ją, gdy pierwszy raz wzięła ją na ręce. Już wtedy wiedziała, że byłaby w stanie zrobić dla niej wszystko, i zastanawiała się, jak to możliwe, że jej własna matka nie czuła tego samego wobec niej. Że podczas gdy ona bez wahania spaliłaby świat dla dobra Destiny, Lillian przez całe jej dzieciństwo nie potrafiła nawet spojrzeć na nią z odrobiną ciepłych uczuć.

I może czyniło to z niej okropną osobę, ale nie ufała matce i nie zamierzała ryzykować, że jej córka doświadczy chociaż w najmniejszym ułamku tego, co ona przeżyła.

— Rozumiem. — Kobieta wydawała się szczerze zawiedziona, ale jednocześnie jakby spodziewała się takiej odpowiedzi. — Będziesz o wiele lepszą matką, niż ja byłam. — Ostatni raz spojrzała jej w oczy, zanim odwróciła się, by odejść w przeciwnym kierunku.

5 lat później

— Mamo, jesteście! — zawołała głośno dziewczynka, gdy wraz z Chase'em weszli do domu. Właśnie wrócili ze spaceru po plaży, na który

namówiła mężczyznę, i miała zdecydowanie zbyt wiele rzeczy do opowiedzenia mamie, by pamiętać o takich rzeczach jak zdjęcie butów czy kurtki.

— Dessie, zaczekaj! — rzucił za nią rozbawiony Chase i poczekał, aż zwróci na niego uwagę. Dopiero wtedy kiwnął głową, podbródkiem wskazując na mokre ślady, które zostawiała za sobą na podłodze.

— Ups? — Posłała ojcu przepraszający uśmiech.

Ten, kręcąc głową, podszedł do niej i pomógł jej zdjąć buty, podczas gdy ona niecierpliwie przebierała nogami, nie mogąc się doczekać, aż pobiegnie na górę.

Destiny miała pięć lat i wyglądała jak mama, co bezsprzecznie czyniło ją oczkiem w głowie Chase'a, który ani trochę nie był odporny na urok córki. Dziewczynka jak na swój wiek wydawała się doskonale rozumieć, że o ile mama potrafi czasem powiedzieć stanowcze „nie”, tak tata jest na każde skinienie swojej małej księżniczki. Bez względu na to, czy chodziło o spacery po plaży, które kochała, wspólne zabawy, słodczyce przed obiadem w tajemnicy przed mamą, czy zabieranie jej ze sobą do antykwariatu i inne pomysły.

Wypracowali sobie nawet system i w praktyce wyglądało to mniej więcej tak, że Destiny najpierw pytała o zgodę mamę, a jeśli ta odmawiała, szła do taty, na którego z kolei proszące oczy i uśmiech działały zawsze. Wtedy oboje szli do Josie, a o ile brunetka była w stanie oprzeć się jednemu z nich, nie miała szans, gdy zyskiwali przewagę liczebną.

Josie co prawda irytowała się i wytykała mężowi, że pozwalając Destiny na wszystko, za bardzo ją rozpieszcza, ale Chase miał swoje sposoby, by ją udobruchać.

— Może mama położyła się spać i musimy iść ją obudzić — zaproponował konspiracyjnie, a Destiny uśmiechnęła się psotnie. Może i z wyglądu była kopią Josie, ale charakter zdecydowanie odziedziczyła po nim. — Tylko musimy być bardzo cicho, żeby ją zaskoczyć.

Kiedy tylko Destiny podrosła i stała się na tyle samodzielna, że nie potrzebowała nieustannej opieki mamy i mogła pobawić się sama albo spędzić dzień z Chase'em w antykwariacie, Josephine postanowiła znaleźć sposób, by zacząć dokładać się do domowego budżetu.

Sklep Chase'a idealnie wpasował się w charakter niewielkiej miejscowości i odniósł sukces, więc praca Josie nie była niezbędna, ale dziewczyna i tak nie zamierzała ograniczać się do siedzenia w domu. Wciąż nie mogła zacząć pracy w szkole na pełen etat, więc zaczęła udzielać korepetycji, co spotkało się z większą popularnością, niż początkowo zakładała.

Chase wiedział, że zajmowanie się domem, wychowywanie dziecka i prowadzenie indywidualnych lekcji niekiedy bywało dla niej męczące, ale była zbyt uparta, by się do tego przyznać.

We dwoje zakradli się na górę i Chase przyłożył palec do ust, by uciszyć chichot córki, zanim uchylił drzwi sypialni. Destiny wpadła do środka z radosnym okrzykiem i podbiegła do mamy, której wbrew oczekiwaniom nie zastali śpiącej na łóżku.

Jednak mężczyzna zatrzymał się w pół kroku, a jego serce wypełnił zapomniany już strach, gdy Josie odwróciła się od okna i zobaczył jej spuchnięte od płaczu oczy.

— Destiny, pójdziesz pobawić się do swojego pokoju? — rzucił spokojnie, ale z tak nietypową dla siebie stanowczością, że jego córka bez wahania odkleiła się od nóg mamy i wyszła z pomieszczenia. — Jose, spójrz na mnie — zaczął ostrożnie, gdy podszedł do niej i złapał jej twarz w dłonie. — Dlaczego płakałaś?

Josie nie odpowiedziała od razu, więc po jego głowie zaczęło przelatywać milion czarnych myśli. Jednak wszystkie ucichły w ciągu sekundy, gdy jej usta rozciągnęły się w pięknym uśmiechu, dając do zrozumienia, że były to łzy szczęścia.

— Jestem w ciąży.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 